

Hera Lind jest z zawodu śpiewaczką, a od 1982 r. stale współpracuje z telewizją WDR. Jej pierwsza powieść *Mężczyzna na każdą tonację (Ein Mann für jede Tonart)* ukazała się w 1989 r. i od razu wspięła się na szczyt listy bestsellerów. Równie duży sukces odniósł nakręcony na jej podstawie film. Podjętą tematykę autorka kontynuowała w książce *Aby być kobietą, nie trzeba wiele (Frau zu sein bedarf es wenig)*, która także trafiła ekrany kin. W 1994 r. ukazała się jej trzecia powieść - *Superbaba (Das Superweib)*; nakład tej książki przekroczył już 2 mln egzemplarzy. W marcu 1996 r. film pod tym samym tytułem wszedł na ekrany kin. *Czarodziejka (Die Zauberfrau)* stała się bestsellerem natychmiast po wydaniu.

Czarodziejka

Charlotta Pfeffer jest kuta na cztery nogi i prowadzi prawdziwe podwójne życie. Każdego dnia staje przed kamerą jako pani doktor Anita Bach w mydlanej telewizyjnej operze *Nasz mały szpitalik* nadawanym przez prywatną stację telewizyjną Cztery Minus, ale jej życie prywatne wygląda zupełnie inaczej. Charlotta Pfeffer, która wyszła za mąż z rozsądku - za solidnego, świadomie kroczącego drogą kariery rewidenta księgowego o imieniu Ernstbert, który poza bliźniakami, Ernstem i Bertem, nie wniósł do małżeństwa niczego wartościowego - w wolnym czasie zaczarowuje według upodobania niewinnych mężczyzn, stwarzając jakby przeciwwagę dla codziennej frustracji. Jedynym mężczyzną, który nie daje się jej zauroczyć, jest jej flegmatyczny mąż. W tym wypadku Charlotta musi podjąć innego rodzaju działania...

Feeria zabawnych pomysłów, komedia tryskająca humorem, zamieszanie i temperament: jednym słowem prawdziwa Hera Lind.

Hera Lind

Czarodziejka

Przekład

Janina Zapaśnik-Ogrzewalska



CIBET

W pomieszczeniu obok coś upadło na podłogę.

- Greto! Co się tam dzieje? - Na chwilę przestałam wciągać brzuch i przyglądać się sobie w lustrze stojącym w sypialni. Zniechęcona rzuciłam tę cholerną, bo za ciasną, spódnicę na łóżko.

- Nic takiego! To tylko torba ze słodyczami na rozpoczęcie roku szkolnego! Przewróciła się! Po co on ją wziął ze sobą do kibla? Przecież wyraźnie mówiłam, że spodnie zapina się oburącz!

- Mój malutki Bert siedział na desce klozetowej i z żalem przyglądał się kupce gumowych misiów, które się wysypały na dywanik wokół muszli. Misie swoim wyglądem przypominały klasę maluchów: w kolorowej gromadce panował doskonały chaos. Brakowało jedynie gdzieś na czele tej grupki spoconego, rozwrzeszczanego misia, który ryknąłby: „Siadać!”, a następnie przedłożyłby propozycję - szalenie wartościową pod względem wychowawczym - jak spędzić wspólnie tak miło rozpoczętą godzinę lekcyjną.

- Pozbieramy je razem! - powiedziałam, siłąc się na wesołość, i kucnęłam, by do zrobionej własnoręcznie ładnej torebki z makulatury zebrać klejące się gumowe cukiereczki.

- Synku - odezwałam się do mojego dziecka, walącego właśnie kupę - czy ty się denerwujesz?

- Nieeee... - odparł Bert. - A dlaczego miałbym się denerwować?

- Przecież dziś jest twój pierwszy dzień w szkole! - odpowiedziałam, starając się wyrazić głosem emocjonalne zaangażowanie.

zowanie i dać mu do zrozumienia, że wczuwam się w jego położenie.

- No to co! - mruknął pogardliwie. Swoją tłustą, obsypaną potówkami łąpkę wsunął do torby ze słodyczami. Pogrzebał w niej, by po chwili wyłować cukierka lukrecjowego w kształcie ślimaczka. Demonstrując pełny luz, wsadził go sobie do buzi.

- Nie ma łasuchowania przed rozpoczęciem szkoły! - Greta zareagowała ostro. - Charlottto, powiedz mu coś! Za MOICH czasów było inaczej! Żeby tak się objadać łąkociami jeszcze przed rozpoczęciem szkoły! No nie!

- Za moich czasów też nie wolno było objadać się łąkociami przed pierwszą lekcją! - powiedziałam, rzucając z ukosa spojrzenie w kierunku Greta.

- Nie zaszkodziło ci to! - skomentowała zjadliwie.

- Synku - usiłowałam pertraktować. - Po pierwsze umyłeś już zęby, a po drugie w kiblu się nie je. Niczego. Cukierków lukrecjowych również!

- A tata? Tata PALI w kiblu! Jemu wolno, co?

Greta wyszła z łazienki, zabierając ze sobą torbę ze słodyczami.

- Ernie?! Gdzie jesteś! Odezwij się, chłopcze!

- Ernie jest na dworze. Właśnie przemawia! - zawołałam za nią.

Widziałam go przez okno w łazience. Stał na wielkim kamieniu przed garażem i przemawiał głośno do wymaginowanych słuchaczy:

- Czy wy w ogóle macie pojęcie, że idę dzisiaj do szkoły?! Nie, nic o tym nie wiecie! A przecież już wczoraj o tym mówiłem, chłopcy! Bert, mój brat, też idzie do szkoły, to jasne! Bo musicie wiedzieć, że jesteśmy dwojaczkami. Ale to już wszyscy wiedzą. Jesteśmy dwujajowymi dwojaczkami! Ale ja - chłopcy - ja wam jeszcze pokażę!

Teatralnym gestem wymachiwał swoją torebką ze słodyczami. I obrzucał wspaniałomyślnie czekoladowymi pastylkami dworaków, istniejących jedynie w jego wyobraźni. Ulicą przechodziła właśnie jakaś kobieta, prowadząc za sobą szpic. Uśmiechnęła się rozbawiona i na chwilę przystanąła.

- Mogę ci ich kilka dać! - krzyknął Ernie i, kierując się jedynie przejętością, obrzucił szpicą garścią cukierków.

Szpic zaszczeakał przestraszony.

- Milcz, człowieku! - warknął na psa.

Kobieta prędko się oddaliła.

- Ernie! Nie ubrudzisz się?! - Z domu dotarł głos Greta.

- Jak mam się ubrudzić, skoro stoję na kamieniu? Kiedy wreszcie idziemy do szkoły? WCIAŻ się nudzę!

Z domu dobiegał głos Greta:

- Jak tylko zaczniesz chodzić do szkoły, przestaniesz się nudzić. Trudy życia dopiero się zaczną! Szybciutko! Siusiu! Umyj rączki! Ubierz kurtkę!

- Mamcia? - Bert szeptał mi do ucha, podczas gdy ja zapinałam mu guzik w džinsach. To była jedyna czynność, z którą sobie jeszcze nie radziłam.

- Tak, skarbie?

- Chcę ci coś powiedzieć, ale tylko na ucho.

Kucnęłam ponownie. W nosie poczułam cudowny, ciepły zapach oddechu dziecka, które właśnie najadło się lukrecyjnych słodyczy. Na szyi poczułam dwie szorstkie łapki, obejmujące mnie mocno. I szeptał swojego chłopaczka:

- Tak naprawdę to się strasznie boję. Ale nikomu nic do tego.

Przed kościołem kłębił się tłum. Odświętnie ubrane matki i ojcowie, babcie i dziadkowie oraz różne ciocie i inni krewni witali się wylewnie, ściskając sobie ręce i prawiąc komunały, które miały świadczyć o serdeczności i wzajemnej życzliwości.

- No, Olgo, nadszedł wreszcie ten dzień, prawda?

- To ważny dzień w twoim życiu, Żanetko, no nie?

- Ale urósł ten wasz Sasza! Jaki kawaler już z niego!

- Skończyła się zabawa, Kevin, zobaczysz, jak dostaniesz teraz w kość!

- No co, cieszysz się, że idziesz do szkoły, Edytko?

Edytka była błada. Kiwnęła nieśmiało główką i spuściła wzrok na swoją torbę ze słodyczami, własnoręcznie wykonaną z różowego papieru z odzysku.

Wzrok mój przykuł ożywczy widok młodszego rodzeństwa, często jeszcze raczkujących maluchów, przyprowadzonego na uroczystość i w celach wychowawczych również obdarowanego torebkami ze słodyczami i wyposażonego w tornistry. Nikogo nie raził fakt, że część maluchów siedziała jeszcze w wózkach i nie kojarząc, co się tutaj dzieje, gapiła się bezmyślnie na kłębiący się tłum. Odnotowałam jako pozytywne zjawisko, że kudłate psisko, mieszkające na naszej ulicy w domu pod numerem ósmym, zjawiło się na spotkaniu bez tornistra na plecach, chociaż mogło odczuwać pewną zawiść, jako że jego sześćioletni towarzysz zabaw, chłopiec imieniem Benedykt trzymał już torbę ze słodyczami.

Wszyscy obecni tu panowie uzbrojeni byli w kamery wideo i aparaty fotograficzne i wykonywali wokół swoich krewnych nerwowo taniec, by objąć obiektywem - w szczególnie korzystnym momencie! - babcię, kościół, poranne słońce oraz blade się uśmiechającego, a szczerbatego pierwszoklasistę. Miałam nadzieję, że w ogólnym szale fotografowie nie rozdepczą kręcących się tu, ciężko obciążonych, maluchów. - Gdzie jest Ernstbert? - zastanawiała się głośno Greta. W jej głosie brzmiał wyrzut. Jednocześnie wodziła wzrokiem po tłumie, szukając znajomych twarzy. - Mógłby teraz właśnie zrobić takie ładne zdjęcia! Póki dzieci są jeszcze czyste! Dzień dobry, pani pastor!

- Co takiego? Pani pastor? Wydawało mi się, że pan Wojtyła nie wyraził zgody!

- To pani pastor z kościoła ewangelickiego! - mówiła Greta przez zaciśnięte zęby. Nie przeszkadzało jej to jednak uśmiechać się szalenie uroczo do zbliżającej się właśnie przedstawicielki kościoła. - Jest nowa. Rozsądna, młoda, poważna kobieta w TWOIM wieku!

- Czy to zarzut?

- Dobrze wiesz, co mam na myśli. - Greta popatrzyła na mnie, uśmiechając się kpiąco i cokolwiek wzgardliwie. Był to prawie niezauważalny uśmiech, którym mnie przy każdej okazji, odpowiedniej i nieodpowiedniej, nad wyraz chętnie obdarzała. Dziś wydawało mi się, że nie jest to właściwy moment. - ONA dobrze pokierowała swoim życiem!

- Dzień dobry! - odezwałam się do poważnej niewiasty w moim wieku, która dobrze pokierowała swoim życiem, a która dziś występowała w białym śliniaczku.

Podaliśmy sobie dłonie. Była naprawdę urocza.

- To pani jest matką Berta i Erniego? - zapytała. W jej głosie wyczuwało się serdeczność.

- Nigdy w życiu nie wiedziałam jeszcze tak niepodobnych do siebie bliźniaków!

Miałam wielką ochotę odpowiedzieć jej, że moi synowie są bliźniakami dwujajowymi i że każdy ma innego ojca. Jednak obecność Greta i stan duchowny pani pastor powstrzymały mnie od zwierzeń. Greta powiedziałaaby, że nikomu nic do tego i że za żadne pieniądze... Bo inaczej będzie manto! Ograniczyłam się więc do uwagi, że są bliźniakami dwujajowymi, czego zresztą nie sposób było nie dostrzec.

- A pani jest naszą nową panią pastor? Moja matka jest panią zachwycona!

- Panią również! - odpowiedziała pani w czarnej todze, długiej aż do samej ziemi. - Nawet pani sobie nie wyobraża, jak ona panią uwielbia! - Mówiąc, że sobie nie wyobrażam, miałam oczywiście rację. Rozejrzałam się wokół.

- Mówi pani do mnie?

- Tak! - pani pastor roześmiała się serdecznie. - Naturalnie! A do kogo? Pani matka opowiada nam często o pani sukcesach zawodowych i pracy zawodowej. Ja, niestety, nie mogę oglądać serialu, w którym pani występuje, ponieważ, o ile wiem, jest on nadawany w telewizji o czwartej popołudniu, a wtedy sama jestem w szpitalu...

- Hm, Charlottto! - tu wtrąciła się Greta. - Pani pastor pracuje na rzecz ludzi! Robi coś sensownego!

Greta wychowywała mnie, demonstrując to wszem wobec i każdemu z osobna. Zawsze tak było. Kochałam ją za to, ale w końcu teraz miałam trzydzieści trzy lata, byłam matką dwojga dzieci i nie przepadałam za zbyt natrętnymi, a publicznymi po-
łajankami.

Pani pastor panowała jednak całkowicie nad sytuacją.

- Przecież pani córka też robi coś sensownego! Wielu sa-

motnych, starych ludzi ogląda codziennie kolejne odcinki serialu, w którym występuje pani córka, i zapomina na chwilę o swoich dolegliwościach i troskach...

Mój Boże! - pomyślałam w duchu - niech wreszcie skończy, moja cierpliwość się wyczerpuje...

W tym momencie ujrzałam spocone oblicze mego zażywnego małżonka, który energicznie przepychał się przez tłum. Greta już machała do niego ręką.

- Chodź do nas, Ernstbercie, chcę cię przedstawić naszej pani pastor!

Biorąc wzgląd na jego wiek i wagę ciała, odstąpiła od próby zmuszenia go do wykonania głębokiego ukłonu.

Mój mąż najmilszy, z zawodu rewident księgowy, ciągle zestresowany, dziś właśnie w przepoconej koszuli, ścisnął rękę miło uśmiechniętej młodej pani pastor. Jej biały śliniaczek powiewał łagodnie na wietrze.

- Przepraszam - powiedział i z roztargnieniem pocałował innie w policzek. - Po prostu nie mogłem wcześniej zakończyć posiedzenia. Cały system komputerowy znów nam siadł. Gdzie są dzieci?

- Niczego jeszcze nie straciłeś - pocieszyłam go.

Pani pastor skorzystała z zaistniałej sytuacji i zmyła się, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Ernie stał otoczony grupką pierwszoklasistów, którzy z zapartym tchem słuchali jego tekstu o księciu Żelazne Serce. Niektórych spośród nich, jeśli się zgodzili, pasował na rycerzy za pomocą własnoręcznie wykonanej, papierowej torby ze słodyczami, służącej mu za miecz, innych, opierających się, obrzucał szyderstwami: „Ty nędzny tchórze, nie jesteś tego wart, by być u mnie na służbie...”

Bert natomiast, całkowicie przegrany, wcisnął się w kącik przy stojaku na rowery i grzebał z zapałem w torebce z łakociami. Z kącików ust spływała mu ślina po kilku zjedzonych cukierkach lukrecyjnych i apetycznie rozlewała się po brodzie. Bez namysłu sięgnęłam po chusteczkę higieniczną i rzuciłam się w jego kierunku. „Ach, te matki! Nawet zaślinić się człowiek nie może w spokoju... Nic nie wolno...”

Nastąpiło uroczyste wejście do kościoła. Obok ołtarza stała nieodzowna tablica do wyświetlania slajdów. Mniejsze dzieci pobiegły głównym wejściem. Dwóch gówniarzy - w dosłownym znaczeniu tego słowa - pchało przed sobą składane wózki. W pewnym momencie uderzyli o ławkę kościelną. Dobrzy ludzie, o łagodnych twarzach i takich samych spojrzeniach, pomogli im, spychając wózki na właściwy tor.

Pani pastor siedziała skupiona, ze spojrzeniem utkwionym w podłozę, tuż obok tablicy do projekcji. Na jej polecenie kościelny włożył pierwszy slajd do rzutnika. Uczynił to chętnie, a nawet gorliwie.

Ekran zabarwił się na zielono.

Trawa.

Trawa, tylko trawa. Tysiące łodyg, wiele tysięcy łodyg. Jedne długie, inne krótsze.

Cóż za głęboka symbolika obrazu! Natychmiast się domyśliłam.

Tym samym stworzone zostały podstawy do pracy umysłowej na temat: „Pierwszy dzień w szkole. Życie zaczyna się - wczoraj, dziś, jutro”. Wszystkie mamusie i wszyscy tatusiowie mają się teraz zastanowić nad życiem i nad trawą.

- No, co to jest? - zapytała pani pastor, chcąc zachęcić dzieci do myślenia. Korzystała z mikrofonu.

Setka dzieci krzyknęła radośnie, że jest to trawa! Także kilkoro spośród dziadków i babć pokiwało poważnie głowami, zapewniając, że jest to trawa. Rodzice uśmiechali się z dumą. Ja również. W oczach stanęły mi łzy. Co za rozgarnięta dzieciarnia! Będą z nich jeszcze ludzie! Bert zamruczał pod nosem.

- Nie rozumiem, co ma znaczyć ta głupia łąka...

- Zaczekaj, synku - powiedziałam, wycierając wierzchem dłoni łzy. - Wszystko ma swój głęboki sens i przeznaczenie.

Ernie odszedł od nas, stanął przy ekranie i krzyknął na cały głos:

- A czy wy wiecie, jaką kosiarkę ma mój tata? ELEKTRYCZNA! Zdalnie sterowaną! Ale mój tata sam nie kosi. U nas kosi pan Szlagowski!

- Zabierz stamtąd chłopca! - poleciła mi Greta. - Niech

siedzi w ławce skromnie i naturalnie jak wszystkie inne dzieci!
Bo jak nie, to manto!

Dostojnym krokiem ruszyłam w kierunku ekranu. Uśmiechając się wyrozumiale, przekonałam synka, by na chwilę usiadł w ławce kościelnej, bo stamtąd będzie lepiej widział slajdy. Ernstbert sfilmował tę scenę.

Na drugim slajdzie była łąka, a na niej stokrotki.

- Sto-krot-kiiii!!! - młodzi członkowie wspólnoty darli się w niebogłosość. Najgłośniej krzyczał Ernie. Bert, obrażony, usiadł gdzieś z tyłu i znów zaczął grzebać w torbie z łąkociami. Od czasu do czasu prychał niezadowolony.

Młoda pani pastor była zadowolona. Na trzecim slajdzie obok stokrotek widać było krzaki, a na czwartym także młode brzoźki. Na piątym slajdzie ukazały się bratki. I tak dalej, aż doszliśmy wspólnie do wielkiego, wspaniałego ogrodu z fontannami, drzewami o rozłożystych koronach i mnóstwem kwiatów. Zrobiło to na mnie spore wrażenie. Pod względem wychowawczym, mucha nie siada.

- Popatrzcie! - mówiła pani pastor - Tak jest i z wami. Przypominacie tę piękną łąkę. Im więcej się nauczycie, tym będzie ona bogatsza. Pod koniec nauki przypominać będziecie ten piękny i bogaty w roślinność ogród.

Wystąpienie pani pastor wywarło na mnie silne wrażenie. Cóż za wspaniała przypowieść! Podczas gdy po mojej twarzy spływały łzy wzruszenia, gorączkowo szukałam w torbie chusteczki, która nie byłaby obśliniona i zabrudzona lukrecjowymi cukierkami. Ernstbert skierował kamerę na mnie. Poprosiłam, by dał sobie spokój z filmowaniem mojej spłakanej twarzy, więc grzecznie kontynuował filmowanie ekranu.

Kościelny wyłączył rzutnik. Ernstbert wyłączył swoją kamerę video. Organista zaintonował całkiem niezłe preludium, takie rodem bardziej z przedmieścia, w tonacji dur, maltretując poszczególne akordy. Gdy wydało się nam, że dotarł do piątego stopnia gamy durowej i wreszcie do pierwszego zasadniczego tonu gamy, zaśpiewaliśmy pełną piersią pieśń, której tekst mieliśmy na kartce: *Wszystkie dzieci uczą się, zarówno indiańskie jak i chińskie...* Wtedy z moich oczu polały się strumienie łez.

Jaki piękny dzień! Greta zerkała w moim kierunku. Również ona miała wilgotne oczy. Łzy płynące strumieniami po policzkach przy pewnych określonych okazjach - to była chyba nasza cecha rodzinna. Ścisnęłam Gretę za rękę, tuż za główkami moich dzieci.

Greta! Przed dwudziestu siedmioma laty też była ze mną w kościele na rozpoczęciu roku szkolnego, śpiewała pieśni, a ja trzymałam torbę ze słodyczami. Być może też chlipała ze wzruszenia i wycierała mi umorusaną cukierkami lukrecjowymi twarz. Ale nie towarzyszył jej żaden fimiujący Ernstbert. Nikt, kto by fimował. Nie było przy niej nikogo. U jej boku stałam jedynie ja, jej córka.

Biedna Greta!

- Dzień dobry, Fritz!

- Dzień dobry, pani Pfeffer! Już czekają na panią w garderobie.

- Moje dzieci poszły dziś po raz pierwszy do szkoły. Uprzedzałam, że się mogą spóźnić.

- Jasne! Tylko bez nerw!

Mężczyzna za szybą uśmiechał się przyjaźnie.

Od siedmiu lat spotykaliśmy się tutaj i znaliśmy się jedynie z widzenia. Każdego ranka ten sam rytuał. Przyjeżdżałam rowerem, który parkowałam tuż przy jego budce. On za każdym razem grzecznie do mnie zagadywał.

- Nie ma stracha, już pani jest!

Sięgnął po słuchawkę, by zapowiedzieć mnie w garderobie.

Wjechałam pod daszek budki portiera i oparłam rower o jakieś stare, niepotrzebne już nikomu kulisy. Ktoś napisał na nich: „Dziewczyna leśnika”. Pomyślałam sobie, że „Dziewczyna leśnika” może przez kilka godzin popilnować mojego roweru. Przecież i tak nie miała nic do roboty. Poprawiłam spódnicę i przez tylne wejście przekroczyłam próg budynku, który był kiedyś szpitalem. Boczne skrzydło zarezerwowano dla nas, czyli dla ekipy kręcącej serial, którego akcja toczyła się właśnie w klinice.

- Cześć! - Jeden z inżynierów dźwięku zbiegał schodami na dół. Był w dobrym humorze i popatrzył na mnie przyjaźnie.

- *Czy miłość grzechem może być?... -* śpiewał, manipulując kablami i sznurami.

- No nie, skąd... - odpowiedziałam.

Uśmiechnął się cokolwiek krzywo i zniknął za dźwiękoszczelnymi drzwiami.

W biurze prasowym Ewelina rozmawiała z kimś przez telefon.

- Nie, pani doktor Bach* teraz nie może podejść do telefonu. Jest na planie.

Ale łże - pomyślałam. - Pani doktor Bach nie zdążyła się jeszcze nawet przebrać.

Charakteryzatornia była na drugim piętrze. Zwykle brałam windę, ale tym razem śpieszyłam się i chciałam zyskać na czasie. Otworzyłam ciężkie, żelazne, przeciwogniowe drzwi i pobiegłam schodami na górę. Właśnie tutaj, na pierwszym piętrze, natknęłam się na naszą pilotkę, Juttę. Oprowadzała akurat taką typową czterdziestoosobową grupę, zwiedzającą nasze studio: „Tu znajdują się sale operacyjne, po prawej stronie duża sala, w której od trzynastu lat operuje nasz lekarz naczelny, doktor Toenges. Pozostałe są zarezerwowane dla naszych ordynatorów. A tutaj, za tymi szklanymi drzwiami jest sala porodowa. Teraz tam nikogo nie ma. Niemowlaki w łóżeczkach to oczywiście lalki. Kto ma ochotę, może zajrzeć!”

Renciści zwiedzający studio chcieli koniecznie zobaczyć te nieprawdziwe noworodki. Przepchnęłam się, chcąc się przedostać.

- Przepraszam, chciałam przejść... Dziękuję!

Nadal słyszałam donośny głos Jutty:

- Kto chce się - tak na niby - poddać operacji, może zgłosić się w biurze dla statystów. Biuro jest na dole, a prowadzi je nasza koleżanka, sympatyczna pani Wilma.

*** W oryginale niemieckim autorka stosuje swoistą grę słów w odniesieniu również do nazwisk, którymi obdarza swoich bohaterów. Dlatego niektóre z nich, oddające cechy charakterologiczne postaci, próbujemy tłumaczyć na język polski w przypisach. Nie zawsze dla przekazania sensu nadawanego im przez autorkę możliwe jest bezpośrednie tłumaczenie. Stąd odwołania do skojarzeń synonimicznych (bliższoznacznych) oddających ów sens w przybliżeniu.**

Tu: *Bach* - *źródło*.

- Czy to boli? - zapytała jedna ze starszych kobiet, wyraźnie zaniepokojona.

- Ależ skąd! - odpowiedziała wesoło Jutta. - Może będziemy mieli szczęście i akurat trafimy na operację, bo w studiu trwają właśnie zdjęcia. Proszę zachować ciszę i przede wszystkim nie palić!

Przecisnęłam się przez tłum ciekawskich emerytów.

- To przecież ona! - szeptało kilku. - Czy to nie jest aby ta pani, jak jej tam, no, doktor Bach?

- Wygląda całkiem inaczej niż na filmie!

- Spóźniła się!

- To była ona, prawda?! Panienko...! Czy to była właśnie pani doktor Bach?!

- Tak! To jest pani, którą wszyscy znamy jako doktor Bach. - Dobiegał mnie śmiech Juty. - Tak naprawdę to nazywa się Charlotta Pfeffer. Pocztaówki z autografami można nabyć w biurze prasowym, na dole.

Jutta pomachała mi na pożegnanie. Ja jej też. Spieszyłam się do charakteryzatorni.

No tak, kochani emeryci, macie pecha, tutaj nie macie wstępu. Tutaj urzęduje jedynie Bettina. No i jej koledzy, rzecz jasna. Uroczy, jakże mili...

Odetchnęłam głęboko i przestąpiłam próg tego pomieszczenia. Różowe pędzle, szczotki, kłęбки waty, lokówki, farby w pojemnikach, puszki do pudru, lakier do paznokci, pomadki do ust, gąbki, miseczki, tygielki. Jak zwykle.

Bettina siedziała na moim fotelu i czytała gazetę.

- Dzień dobry wszystkim!

- Dzień dobry! - Dwie, trzy osoby podniosły na chwilę głowy znad scenariusza, uśmiechając się nieznacznie.

Przecisnęłam się do mojego fotela na samym końcu garderoby. Bettina wstała.

- No, najwyższy czas! Gdzie byłaś?

- Przecież dziś moi chłopcy poszli po raz pierwszy do szkoły!

- Wszystko jasne! Nieźle się zryczałaś?!

Gruba Lora siedziała przed lustrem. Widząc mnie, posłała w moim kierunku pogardliwe spojrzenie.

- To śmieszne! - rzekła. - Mój Detlev już dawno skończył szkołę. - Filiżanka, z której piła kawę, oblepiona była tłustą, obrzydliwą, wilgotną szminką do ust w kolorze liliowym. Zajęła się ponownie swoim scenariuszem.

- Kosz-mar! - wyrwało się jej po chwili. Miałam cichą nadzieję, że jej uwaga nie dotyczy mojej skromnej osoby. Że raczy mówić o kimś innym. - I ta mała chce zostać aktorką? Jej nauczyciela należałoby ukamienować!

Lora nie panowała nad językiem ojczystym. Dlatego posługiwała się bezkrytycznie i bez umiaru dialektem nadreńskim. Ten właśnie defekt oraz wygląd przysłowiowej matrony zapewniły jej rolę Elżbiety, starszej siostry w naszej filmowej klinice. Pod szopą ufarbowanych na rudo włosów falował biust niczym gradowa chmura znad Szpitsbergenu. Spojrzenie miała zimne i przenikliwe niczym powietrze przed wschodem słońca na wysokości dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza. Wąskie wargi, umalowane na fioletowo, miały odcień zorzy alpejskiej. Zwykle rano nie zdążyła się uczesać, co jej zresztą nie przeszkadzało, bo i tak występowała w twarzowym czepku, jaki zwykle noszą pielęgniarki. Biła z niej straszliwa duma, jako że brała udział we wszystkich odcinkach, czyli grała od początku serialu. A serial nadawano już przecież od dwudziestu dwóch lat!

Była przecież tak utalentowana! Urodziła się uzdolniona! Pan Bóg obficie obdarzył ją swoimi darami! No i ten jej Detlev! Facet bez ikry! Ale dla niej cudowne dziecko! Też taki zdolny jak ona!

- Ta dziewczuszyna nie ma pojęcia o grze! I talentu też jej Bozia poskapiła!

Czyżby mówiła o mnie? Czyżby dotarło do niej, że od siedmiu lat gram w tym serialu rolę nierozgarniętej lekarki, człowieka co prawda dobrego, ale naiwnego i głupawego? Że w repertuarze mam jedynie tę właśnie rolę i codziennie występuję w wykrochmalonym, śnieżnobiałym fartuchu, blada niczym ściana, nijaka, wystrojona w złotą kokardę wpiętą we włosy? I że nigdy jeszcze z moich ust nie padło złe słowo, bo tak napisana jest moja rola! Nie mówiąc już o tym, że nigdy nie popełniłam żadnego błędu?!

Wystraszona zerknęłam w lustro.

- No i ta mała stara się o rolę pacjentki! Młodej nar-ko-man-ki! - Lora nie przestawała pastwić się nad swoją ofiarą. - A nawet nie potrafi porządnie zasłabnąć! Przecież tego ucza już na pierwszym roku!

Jej biust falował zbliżając się na niebezpieczną odległość do filiżanki. Upiła łyk kawy. Brzeg filiżanki był już mocno umazany szminką w kolorze liliowym.

- A co najgorsze, Gustaw ją angażuje! Czy ci młodzi ludzie nie mają już nic więcej do zaoferowania!? Sama miernota! My, gdy byliśmy młodzi, graliśmy z poświęceniem, z zapałem! Dawaliśmy z siebie wszystko! Nie uchylaliśmy się od odpowiedzialności! Ale Gustawowi to wisi. Jemu zależy tylko na tym, żeby jak najszybciej skończyć robotę i pójść do domu.

Bogu dzięki! A więc nie o mnie te miłe słowa! Lora wściekała się na młodą aktorkę, starającą się o jedną z ról w dzisiejszym odcinku naszego serialu. Mnie przecież przy tym nie było. Byłam nieobecna, bo dzisiaj moi synowie poszli po raz pierwszy do szkoły... Miałam szczęście!

- Co ten Gustaw robi ze swoim wolnym czasem? Nie rozumiem! Gdy jeszcze żyła jego żona, wracał po pracy do domu, tak jak to robią wszyscy inni normalni ludzie! Ale teraz!? Siedzi w tej swojej przyczepie kempingowej, zaciąga firanki i tyle go kto widzi! Co on tam może porabiać?

- Gra. Jest hazardzistą - odpowiedziała Gretel Zupf, podnosząc głowę znad magazynu dla gospodyń domowych. - Przegrywa wszystko, do ostatniego grosza. Stracił już mieszkanie!

- Cygan prawdziwy - prychnęła Lora z pogardą w głosie. - On nie wie, co począć ze swoim zmarnowanym życiem. A ja, co z moim synkiem Detlevem...

Bettina uśmiechnęła się do mnie. No, wreszcie ograna płyta o Detlevie. Zналиśmy te teksty na pamięć. Detlev to, Detlev tamto. Detlev, wciąż Detlev... Detlev zwiedza Eifel, Detlev na działce, Detlev w knajpie przy stoliku dla stałych bywalców lokalu... Bettina wykrzywiła twarz w uśmiechu.

* *Zupf* - w przybliżeniu: *dłubaninka*.

- No? Zaczynamy?

Zdjęłam kostium i powiesiłam go w szafie.

Gruba Lora obserwowała mnie kątem oka. Byłam pewna, że mi się przygląda. Nosiła wielki biustonosz, rozmiar „x” albo „y”, a może nawet „z”, jeśli taki w ogóle istnieje. Prowincjonalna dziwka - pomyślałam. - Gra na okrągło samą siebie, bo nic innego nie potrafi. A reżysera właśnie to rajcuje. Ta jej koszmarna postać! Bee! A za dwa lata pójdzie na emeryturę. I już wtedy nie będę musiała znosić ani jej, ani tego teatralnego zadęcia i humorów! Całej tej żalostnej postaci! Detlev ucieszy się z takiego prezentu! Mamuśka na co dzień! Na samą myśl, jak to im będzie razem, chciało mi się śmiać. Nareszcie będzie zadrezczać do woli tylko i wyłącznie mieszkańców Pipidówki, z której pochodzi!

Bettina podała mi świeży fartuch. Fartuch dla pani doktor Bach. Stetoskop i pozostałe przedmioty, które nosi ze sobą pani doktor, gdy jest w pracy, a które jej sterczą z kieszeni i kieszonek tegoż fartucha, Bettina położyła na stole. Włożyłam fartuch, nie zapinając dwóch górnych guzików. Usiadłam na fotelu fryzjerskim i założyłam nogę na nogę.

- Jak zawsze? - zapytała fryzjerka.

- Tak - odpowiedziałam lakonicznie.

Sięgnęłam po scenariusz. Odcinek czterysta trzynasty. Zobaczymy więc, co dziś się przydarzy bladej jak kreda młodej lekarce i jej matronowatym koleżankom dyżurującym u łóżka kolejnego statysty. Markerem zaznaczyłam te trzy i pół zdania, które miałam dziś do wyrecytowania.

Ach, dziewczyno, ty flejtuchowata istoto, co się z tobą zrobiło? Jesteś wyzuta z jakichkolwiek ambicji. Za czasów grubej Lory Koszmarnej każde z nas odpowiadało przed światem za swoje występki. No i graliśmy z poświęceniem. Dając z siebie wszystko. Wypruwając sobie flaki.

Ernstbert. Ernstbert Schatz. Doradca podatkowy i rewident księgowy. Chłop z krwi i kości, dobry i porządny. Solidny i rzetelny, aż do przesady. Tak naprawdę to do tej pory nie rozumiem,

jak to się stało, że wtedy, przed siedmioma laty, gdy po raz pierwszy złożył mi wizytę, zaszłam z nim w ciążę.

Przecież ja tylko na niego popatrzyłam. Nic ponadto. Jestem całkowicie pewna, że tak było, jak mówię! No dobrze, dziś już wiem, dlaczego to się stało. Wszystkiemu winne są czary. Ale wtedy nie zdawałam sobie sprawy z czarodziejskiej mocy, jaka we mnie drzemie! Wtedy stało się to przez nieuwagę! Niechcący! No i naturalnie z nudów. Z nudów i swawoli.

Ernie i Bert powiedzieliby dziś: "Bez przerwy pada deszcz, ciągle się nudzę, nikt nie chce się ze mną bawić, codziennie ryba na obiad..."

Wtedy ich jeszcze nie było. Miałam za to bardzo bujną fantazję. Ona, ta fantazja, dostawała amoku, jeśli nie była odpowiednio karmiona. Podobnie jest obecnie z Erniem. Gdy nie może popuścić wodzy fantazji, dostaje małego rozumu. Tak też chyba było wtedy ze mną. Miałam dwadzieścia kilka lat. Chciałam zostać aktorką. Marzył mi się wielki świat. A nie mała rólka w operze mydlanej, w której gram panią doktor Anitę Bach. A tym bardziej nie marzyła mi się ciąża. I to taka niespodziewana, z dnia na dzień. I to na dodatek bliźniacza!

To się w zasadzie zdarzyć nie mogło. Naprawdę nie. Zapewniam. Z punktu widzenia biologii rzecz niemożliwa. Przecież od patrzenia i myślenia o TYM w ciążę się nie zachodzi! Byłam pewna, że się nie mylę. W historii ludzkości taki fakt zdarzył się tylko raz!

Ernstbert był moim doradcą podatkowym.

Pewnego wieczoru ktoś zadzwonił do drzwi. Dzwonek odezwał się tak, jakby nacisnął go doradca podatkowy. Tak jakoś bez ikry. Popatrzyłam przez wizjer i beztrudnie otworzyłam drzwi. Na nogach miałam filcowe kapcie. Byłam w męskim, wyciągniętym swetrze Hannesa. Ernstbert, bo to był on, stał na ostatnim stopniu schodów. Przedstawił się:

- Dobry wieczór, Schatz*.

- Słucham? - Zapytałam cokolwiek zirytowana. Więcej poufałości niż znajomości! Jaki ten facet namolny!

* *Schatz* - skarb.

- Schatz. Nazywam się Schatz. Jestem doradcą podatkowym.
- Pfefferkorn*. - Również się przedstawiłam i poprosiłam, by wszedł do środka. Wtedy nazywałam się jeszcze Pfefferkorn. Tak samo jak Greta.

Stał w korytarzu i przyglądał mi się z upodobaniem. Czekał na ciąg dalszy. Nagle pociągnął nosem.

- Tutaj pachnie kotem.

Otworzyłam drzwi do kuchni.

- A to jest Eliza Pfefferkorn - powiedziałam, wskazując ręką termę. - Adoptowałam ją.

Eliza leżała w swojej skrzynce. Była gruba. Wydawało się, że lada moment powinna się okocić. Rzuciła okiem na pana Schatza, jednak po krótkiej chwili je zamknęła. Była udręczona.

- Przed kilku miesiącami znalazłam ją w pojemniku na śmieci - powiedziałam do doradcy podatkowego. Właściwie to chciałam tylko wprowadzić lepszy nastrój. Doradca robił na mnie wrażenie człowieka mocno spiętego.

Ernstbert pokiwał grzecznie głową i popatrzył na ciężarne zwierzątko leżące w skrzynce. Zachował jednak odpowiedni dystans i nie zbliżył się do kotki.

- Wygląda tak, jakby niedługo miała się okocić - zauważył.

- Była wycieńczona, chuda, sama skóra i kości, zaropiałe oczy... - informowałam go o wydarzeniach sprzed kilku miesięcy. - Nawet pan sobie nie wyobraża, jak straszliwie cuchnęła.

Ernstbert zdjął płaszcz i powiesił go na wieszaku w przedpokoju.

- Wyobrażam sobie... Skoro była w kontenerze na odpadki...

- Zaniośłam ją do weterynarza, a potem pielęgnowałam, aż wyzdrowiała - opowiadałam dalej. - Potem musiałam wyjechać do Francji, gdzie na południu kraju miałam zagrać rolę w filmie o Ludwiku XIV.

- To ciekawe - rzucił uprzejmie, stawiając swoją aktówkę na podłodze.

- Wtedy znowu wypuściłam ją na ulicę. Przecież nie mogłam jej zabrać ze sobą - wyjaśniłam. - Co miałam z nią zrobić?

* *Pfefferkorn* - ziarno pieprzu.

- No tak, nie było innego wyjścia - powiedział doradca podatkowy i rzucił ukradkiem spojrzenie na olbrzymie, różowe kocie sutki, które sterczały na jej brzuchu.

- I niech pan zgadnie, kogo zastałam pewnego dnia po powrocie na swojej wycieraczce?

- Kotka! - odpowiedział z powagą mój bystry doradca podatkowy.

- Bingo! - zawołałam.

Jaki sympatyczny gość z tego doradcy! Cieszyłam się, że będę mogła z nim współpracować.

- Kotna! - opowiadałam dalej, siląc się na teatralne przedstawienie wydarzeń. - Proszę sobie wyobrazić!

- Tak! - odpowiedział lakonicznie i zerknął na zamknięte drzwi do pokoju.

Nagle odniosłam wrażenie, że nie ma już ochoty wysłuchiwać historii o kotce. Był napalony, by służyć mi radą, jak odliczać podatki. Doradca w każdym calu. Silnie umotywowany. Takich facetów nie spotyka się co dzień.

Ja natomiast nie miałam najmniejszej ochoty siedzieć z nim przy biurku i chwalić się swoimi formularzami podatkowymi, żałosnymi papierkami z zagiętymi rogami, źle powypełnianymi, z brakującymi danymi. Miałam za to ochotę opowiedzieć mu nieco więcej o kotce imieniem Eliza.

- Nie siedziała na dole, przed drzwiami kamienicy, lecz tutaj, na wycieraczce, na czwartym piętrze! - stopniowałam napięcie w odpowiednim tempie. - Na schodach! Na wycieraczce! Po trzech miesiącach! Kotna! No i co pan na to?

- No tak, zwierzaczki mają dobre wyczucie w takich sprawach... - silił się na mętną odpowiedź, chcąc okazać swoją gotowość do konwersacji.

- Musiała czekać na dole, aż ktoś otworzy wejściowe drzwi, potem weszła na czwarte piętro, chyba po schodach, bo przecież nie przyjechała windą, i czekała pod drzwiami, aż wróć z Francji! - podniecałam się coraz bardziej. - To mogło trwać tygodniami!

- A teraz siedzi sobie na termie u pani w kuchni - stwierdził rzeczowym tonem. - Kiedy się okoci?

- Niestety, nie ma książeczki zdrowia matki i dziecka - zartowałam. - Nie chodzi też na badania okresowe dla ciężarnych, chociaż kilkakrotnie jej radziłam, by to zrobiła. Ale ona nie lubi badań ultrasonograficznych. W tej kwestii jest bardzo uparta.

- Czy nie sądzi pani, że teraz moglibyśmy już zająć się troszkę sprawami podatkowymi? - zapytał wreszcie.

- Ależ oczywiście! - odparłam. - Gdy zaczną się bóle porodowe, na pewno da znać!

Ernstbert zapytał grzecznie, czy możemy przejść do pokoju, by przejrzeć dokumenty podatkowe.

- Ależ oczywiście! - powtórzyłam. - Chcę mieć to jak najszybciej za sobą!

Poszłam do kuchni po butelkę wina i dwa kieliszki.

- Elizo, bądź dzielna! - powiedziałam do ciężarnej kocicy w skrzynce. - Ja też jestem dzielna. Musimy się z tym uporać. Obie. Jeśli będziesz mnie potrzebowała, zawołaj! Jestem obok.

Ernstbert siedział już na mojej nadgryzionej przez kotkę kanapie i wypełniał formularz deklaracji podatkowej. Miał bardzo staranne pismo. Drobne, kaligraficzne. I nie mógł się doczekać chwili, kiedy zacznie ze mną rozmawiać na zasadniczy temat. Widać było na pierwszy rzut oka, że wypełnianie formularzy podatkowych jest jego pasją życiową.

Ernst Robert Schatz. Prawdziwy z niego skarb. Wzór dobrego doradcy podatkowego. Rzeczowy, kompetentny, bez poczucia humoru. Nadwaga, przedziątek z boku, okulary w szarej oprawce. Uosobienie solidności.

- Jak często odbywa pani podróże służbowe?

- O, ostatnio non stop! - pochwaliłam się. - Jestem, jak się to ładnie mówi, rozrywaną osobą.

Agencje bez przerwy poszukują statystów, sprawnie posługujących się językiem ojczystym, mających miły wygląd i potrafiących bez akcentu powiedzieć: „Panie hrabio, podano herbatę!” Z największą przyjemnością opowiedziałabym mu kilka zabawnych historyjek z mojego życia, ale nie wydawał się zainteresowany.

- Czy ma pani rachunki za benzynę?

- Nie, skąd! A pan je zbiera?

Na pewno! ON je wszystkie chowa, starannie sortując w koszulkach foliowych i kopertach. Wieczorem, po zakończonej pracy, rozkłada je starannie na dywanie w pokoju, kładzie się na brzuchu i głaszcząc ręką, przygląda się im uważnie i z miłością, zanim je - z ciężkim sercem - uwięzi w segregatorze. Aż do dnia, kiedy je da SWOJEMU doradcy podatkowemu, za co otrzyma karteluszek z pochwałą za pilność, który, oczywiście, również wepnie do segregatora. Mężczyźni tacy jak on byli wcieleniem cnót urzędniczych. Tacy jak on potrafią w ciągu kilku sekund znaleźć każdy papierek! Jeden ruch ręką i papierek już jest!

A teraz, w dobie komputeryzacji, gromadzą takie papierki i inne karteluski w jakiś plikach, by potem myszką zrobić klik-klik i wywołać każdą informację, na którą akurat mają ochotę. Mogą je wyczarowywać, jak tylko przyjdzie im na to chęć, mogą je też i zaczarowywać, by znikły. Tacy wszechmocni mężczyźni, do których zalicza się Ernstbert, znają się dobrze na tych czarodziejskich sztuczkach! A ja podziwiam te umiejętności i odnoszę się do nich z respektem.

Ja, gdy już mi przyszło odszukać jakiś papierek, co - dzięki Bogu - zdarzało się niezwykle rzadko, musiałam najpierw przenieść się do góry nogami całe mieszkanie. Wtedy, ogarnięta uczuciem paniki, znajdowałam to wszystko, czego na próżno od dłuższego czasu poszukiwałam: kartę pływacką, moją pierwszą samodzielną pracę szydełkiem (serwetka z tym cholernym ścięciem krzyżkowym: panna Brueggemeier - trzy mniej!) karteczkę z grupą krwi, moje świadectwo dojrzałości, prawo jazdy nadgryzione przez Zuzię, moją papużkę falistą, trzy pierścionki, które dostałam od moich wielbicieli w czasach zamierzchłej młodości i pierwszych miłości, szaroniebieski ogrzewacz na gotowane jajka, który kiedyś zrobiłam na drutach w prezencie dla Grety (panna Brueggemeier - trzy mniej!), niestety już cokolwiek sfatygowany, no i klucz do pamiętnika, który uznałam już za bezpowrotnie stracony. Ale NIGDY nie było w moich szpargałach, jakże pieczołowicie przechowywanych skarbach, jakichś rachunków za benzynę!

- Na przyszłość proszę tak robić! - powiedział Ernstbert. - Niech pani założy sobie taką małą kartotekę!

O tak! Kartoteka to duża rzecz!

- Jasne! Już się robi! - powiedziałam, mając nadzieję, że zmieni temat.

- Czy w czasie podróży służbowej była pani na własnym utrzymaniu? - Tu zlustrował mnie spojrzeniem znad okularów.

- Ależ tak! Rano kanapeczka z masłem, czasem jabłuszko. To mi wystarcza na cały dzień. Bo wie pan, odtwórcy niedużych ról muszą dbać o swoje figury.

- A więc nie miała pani żadnych wydatków? Może w restauracji? Lub innej instytucji zbiorowego żywienia? Czy podejmowała pani kogoś obiadem lub kolacją?

- Jestem aktorką, a nie właścicielką restauracji - odpowiedziałam zdezorientowana. - Dlaczego pan o to pyta?

- Jak długo trwa przeciętnie pani pobyt poza stałym miejscem zamieszkania? Noc? Dwa noclegi? Więcej niż dwa noclegi...?

- To zależy...

- Czy miała pani wydatki związane ze swoją pracą zawodową, czy kupowała pani na przykład stroje lub kosmetyki?

Oczywiście, kochaniutki, że miałam takowe. A co, może sądzisz, że moje ciuchy pochodzą z worków oddawanych na rzecz Czerwonego Krzyża, które czasem stoją na ulicach? Przywiązuję wielką wagę do strojów i lubię je zmieniać.

- Czy może pani przedłożyć rachunki?

- Nie!

Ernstbercie! - pomyślałam - nie bądź taki zasadniczy!

Mogłabym przysiąc, że mój doradca lekko zezuje. Leciutko. Nic mnie bardziej nie podniecało u mężczyzn! Lekki zez, oczywiście taki leciutki. Odrobinę. Jednym haustem wypitał wino i wpatrywałałam się w jego oczy, usiłując uchwycić jego wzrok za szarą oprawką okularów. Zezuje czy nie zezuje? On mówił dalej ochoczo o obliczaniu dochodu, który obłożony jest podatkiem, o wpływach pochodzących z innych źródeł niż praca zarobkowa podatnika i o dochodach, które osiągnęłam samodzielnie. O przejazdach z domu do miejsca pracy, o kosztach reklamy, o nieprzewidzianych wydatkach, o podatkach: kościel-

nym, od obrotu i od dochodów, o stawkach nie opodatkowanych, kiedy to nie potrąca się podatku z góry... Chciało mi się ziewać.

Pograżyłam się szybko w marzeniach. Bo on nie był facetem z bajki. Może dlatego, że żadna o nim nie śniła. To dodawało smaczku całej sprawie. O Robercie Redfordzie i Mike'u Douglasie marzy przecież każda. Dolałam wina. Najpierw jemu, potem sobie. Gdy odstawiałam butelkę na stół, niechcący spojrzeliśmy sobie prosto w oczy. Zaniepokoiło nas to oboje w takim samym stopniu. Zażenowana sięgnęłam po ściereczkę i zaczęłam wycierać stół... Z rozpędu straciłam leżący na stole złoty długopis, który spadł na dywan.

- O, przepraszam!

Schyliłam się i na czworakach weszłam pod stół, by go podnieść. Podałam mu jego cenną własność. Wziął ją do ręki. Popatrzyliśmy na siebie. Uśmiechnął się lekko zmieszany. Znowu napił się wina. Popatrzył na mnie znad swego kieliszka i powiedział wreszcie mocno zdziwiony:

- Na zdrowie!

Uśmiechnęłam się krzywo. Mów dalej, nie przeszkadzaj sobie, człowieku. Nie przeszkadzaj mnie. Akurat sobie wyobrażałam, że zbliżam się do niego ponad złotym, trzymanym w ręce, długopisem. Jestem całkiem blisko jego twarzy. Widzę wyraźnie jego krzaczaste brwi. Jeden szczecinowaty włos sterczący z nosa niczym wielkie drzewo. Mogłabym go teraz wyrwać. Ale nie, poczekam. Ten szczecinowaty włos jest nieodzowną częścią tego interesującego zjawiska, jakim jest on. Zostawimy go.

Patrzyłam na niego badawczo. Bez żenady. Jego oczy były niczym tajemnicze bajorka leśne. Brązowawo-zielonkawo-szarawe. Ukryte za tymi niesamowitymi, tak bardzo podniecającymi oprawkami w kolorze szarym. Chciwie napiłam się wina.

- Pani powinna więcej pieniędzy wydawać na reklamę i promocję - mówił do mnie, uporawszy się z własnym zażenowaniem. Postawił kieliszek na stole. - Wszystko jedno, gdzie pani jada. Jako osoba wykonująca wolny zawód może pani to odliczyć od podatków. Czy pani mnie zrozumiała?

Nie. O czym on właściwie mówi?

- A kiedy pani ostatnio reperowała swoje auto?

Podczas gdy mówił do mnie, wpatrywałam się w jego zarost na brodzie. W zasadzie był miękki. Włoski sterczały, ale były miękkie.

- Samochodu nie reperowałam od niepamiętnych czasów.

Boże, on naprawdę lekko zezuje!

Jego oczy, te dwa leśne szaro-brązowawo-zielonkawe bajorka, miały lekki defekt. Nie patrzył bowiem idealnie prosto. Jednym okiem odrobinę zezował. Prawym. Boże, jakie to podniecające! Dlaczego on wciąż mówi? Biedaczysko! Chyba przeżywa wtórne dziewictwo. Sądzę, że całuje jedynie swoje rachunki za benzynę. I karteczki wyrażające uznanie dla jego pracowitości. A pieści się jedynie z myślą komputerową. Jestem pewna, że tak jest, jak myślę. Biedaczysko. Emocjonalnie zubożały facet.

Zirytowany popatrzył na mnie, pytając, czy nadałam za nim i czy wszystko zrozumiałam.

- Ależ oczywiście! - odpowiedziałam szybko. - Słucham! Co dalej? To takie interesujące! Tylko proszę sobie nie przerywać! Pańskie wywody są takie ciekawe!

- A jak się sprawy mają z komunikacją miejską? - pytał, nie ustępując. - W zasadzie powinna pani podróżować pierwszą klasą i takie właśnie rachunki przedkładać do rozliczenia! Przyśługuje pani zwrot kosztów podróży!

- W porządku! - odparłam. - Posłucham pana.

Zawsze podróżowałam TYLKO pierwszą. W myślach, rozumie się. Był to luksus, na który pozwalałam sobie już od dawna. Jedynie osoby bez fantazji chadzają pieszo. Poczułam jego zapach. Zapach doradcy podatkowego. Wino, papierosy, paragafy, ich interpretacja, instrukcje, jak należy stosować przepisy prawne. Coś całkiem nowego w moim życiu. Nigdy jeszcze nie spotkałam faceta, który aż tak bardzo pozbawiony byłby fantazji. Zapowiadał się interesujący wieczór!

- Wszystkie wydatki związane z nabyciem garderoby, potrzebnej pani do wykonywania zawodu, może pani odliczyć od podatku - wyjaśniał. - Istotny jest jedynie rachunek, a raczej rodzaj rachunku.

Jakie to interesujące - pomyślałam. - Że też sama na to wcześniej nie wpadłam!

Miał na sobie koszulę z poliestru. Naprawdę. To takie koszule, których nie trzeba prasować. Był kawalerem i prawdopodobnie nie miał ani czasu, ani ochoty na prasowanie koszul. Przecież musiał przede wszystkim zbierać i spinać w segregatorze rachunki i pokwitowania.

- Poza tym wydatki na promocję. A jak stoją sprawy z ubezpieczeniem na życie?

- Ubezpieczenie na życie?

Po co zajmować się takimi drobiazgami? Żyć na luzie, drogi mój doradco podatkowy - pomyślałam - kochaniutki, że tak powiem. Nie zapinając pasów bezpieczeństwa, bez siatki zabezpieczającej. To o wiele ciekawsze! Zademonstrować ci?! No, chodź tutaj, chłopaczkule! Tobie się też coś od życia należy. Nie tylko mnie. No, pokaż, jak wyglądasz!

Uwolniłam go od eleganckiego krawata, od jakże nudnej koszuli ze sztucznego tworzywa, od bawełnianego, prążkowanego podkoszulka.

- Następnym razem zjawisz się tutaj bez tych rekwizytów - mówiłam do niego z naganą w głosie. - Kto tak jeszcze się ubiera?!

Boże! I te spodnie! Z kantem! Co to za materiał? Jaki szorstki, nie można go wziąć do ręki, bo drapie! Aż mnie dreszcz przebiegł!

On nie zwracał na mnie uwagi. Moje ruchy nie robiły na nim żadnego wrażenia. Głupoty, które z nim wyczyniałam, były mu chyba całkowicie obojętne. Najważniejsze, że mógł gadać do woli.

No, zaczekaj, bratku! Zaraz padniesz! Zaraz przestaniesz gadać o kosztach promocji, umowach z kasą mieszkaniową i ulgach podatkowych! Teraz jesteś jedynie kupką nieszczęścia i umierasz niemal ze wstydu. Oczywiście, że jesteś zdolny do głębokich wzruszeń, ty szary okularniku, ty doradco! Przecież na życie składa się tyle różnych zjawisk! Hormony, sprawiające, że kobieta ma ochotę na to, szalały we mnie w sposób nieokiełznany. Doradco ty mój! Wiesz ty co? Ty masz złote serce

i przyjmiesz do niego niemal cały świat. Nie tylko akta, kwity, dane komputerowe.

Ale on nie zrozumiał mego przesłania.

- Wypełnię te formularze i przyniosę pani do podpisu - odpowiedział. - Jutro rano lub coś koło tego.

- Zgoda, czekam - powiedziałam. - Dziękuję panu!

Już wiem. Na pewno spędzi całą noc na dywanie. Leżąc na brzuchu będzie całował moje formularze podatkowe. A następnie wepnie je z największą czułością do teczki, a w miejscu, gdzie mam złożyć swój podpis, zrobi krzyżyk. I to go uczyni bardzo, ale to bardzo szczęśliwym.

- Za co pani dziękuje? Zrobiłem to z przyjemnością!

- Naprawdę? Nie żartuje pan? Czy nie zatrzymałam pana zbyt długo kosztem rozliczania rachunków za benzynę?

- Nie ma sprawy - odparł. - Przecież to mój zawód.

Wypił resztkę swojego wina, zamknął teczkę z papierami, zakręcił swój złoty długopis i podał mi na pożegnanie rękę.

- Dziękuję za poczęstunek!

- Ależ proszę! Było mi bardzo miło!

- Pozdrawiam kota i życzę wszystkiego najlepszego!

- Dziękuję! Na pewno przekażę!

I poszedł sobie do domu.

Schowałam swoje papierzyska i poszłam do kuchni. O rety! Dwie i pół godziny! Ale ja ten czas spędziłam naprawdę sensownie. Każde z nas miało jakąś drobną przyjemność. Doradca swoją, a ja swoją.

- No i co o nim powiesz? - zapytałam Elizę, która nadal leżała na termie. Podenerwowana zamknęła oczy. - Tak, wiem, przyznaję, nie jest uosobieniem dowcipu i polotu. Wiem, wiem, rozumiem, nie jesteś w nastroju i faceci cię teraz nie interesują. - Postawiłam jej miseczkę ze świeżą wodą. - Ale przyznasz, że jest poważnym człowiekiem! Z klasą! Takich facetów właściwie nie znam. Znam tylko aktorów, którzy grają samych siebie, pajacujących nicponi. Czy nie jesteś zdania, że powinnam spotykać się z tym uosobieniem solidności częściej? Greta na pewno

byłaby zachwycona. Zresztą cały czas mi wypomina, że powinienam wreszcie przestać skakać z kwiatka na kwiatek i wybrać sobie jednego! Przecież ma mnie na karku już od tylu lat! Dwadzieścia pięć lat! Wreszcie chciałyby mieć swoje własne życie! Pożyć dla siebie.

Eliza cierpliwie słuchała. Jej wąsiki leciutko drżały.

Popatrzyłam na brzusek kotki. Różowe cycuszki aż prosiły się o malutkie kocie pyszczki.

- Elizo! Widziałam! Poruszają się! Jest ich dwa, jeśli nie trzy! Wyraźnie widziałam!

Eliza nastawiła uszu. Usłyszałam, że ktoś otwiera kluczem drzwi.

- Stuhlbein*? To ty? Już wróciłeś? Próba się skończyła?!

Wreszcie! Hannes. Hannes Stuhlbein - chłopię o ciemnobrązowych oczach i muskularnych ramionach. Jaka różnica! Dwa światy! Mój śliczny, słodki, apetyczny chłopiec o brązowych lokach. Miłość tego lata. W szkole aktorskiej na drugim roku, dwa lata ode mnie młodszymi. Moja miłość z południowej Francji.

- Cześć, Charlie, czy mamy coś do jedzenia? - Zawsze tak mówił do mnie. Dla niego miałam na imię Charlie. Ja natomiast mówiłam do niego po nazwisku. Nie bez kozery. Takie dziwne i rzadko spotykane nazwisko. Nie znałam drugiego człowieka, który by się tak nazywał.

Rzucił klucz na półeczkę i udał się do kuchni. Objął mnie ramieniem i pocałował. - Strasznie tęskniłem za tobą!

- A ja nie miałam na to czasu! - improwizowałam. - Byłam zajęta sprawami podatkowymi. Trwało to godzinami! Mówię ci, odwaliliśmy kawał roboty.

- No co, kochaniutka? Jak sprawy stoją? Co z tobą? - Hannes głąaskał lśniąca futerko kotki.

- Ruszają się! - krzyknęłam. - Popatrz!

Hannes dotknął delikatnie brzuszka kotki. Przytrzymał rękę na chwilę, jakby chciał wsłuchać się w ciało zwierzątka.

**Stuhlbein - noga od krzesła.*

- Rzeczywiście. - Tu uśmiechnął się krzywo. - Ale ruch! Wesoło im!

- Nie zrobiłam nic do jedzenia - powiedziałam. - Był doradca podatkowy.

- Doradca podatkowy? Po co ci doradca?

- Greta mi go przysłała. Wyprecyzował się w wolnych zawodach i obsługuje artystów.

- Nic nie szkodzi. Pobiegnę po pizzę. - Hannes już się rozkręcał, by gdzieś biec. Chwytał kurtkę dżinsową i ściągnął z wieszaka klucz do zamka przy rowerze. - Jaka chcesz? Dużą czy małą? Z tuńczykiem? Z papryką? Z pomidorami? Czy na ostro?... A może z grzybami?... Przecież wiesz, że muszę wrócić do te... at... ru. Dlaczego mi się tak przyglądasz?

- Ach, kochany - westchnęłam rozkosznie. - Czy wiesz, że całe dwie godziny spędziłam nad aktami i nudziłam się przy tym setnie? Aż mnie skręca z głodu, ale tak naprawdę mam apetyt na ciebie!

Jego uroda cieszyła oko. Jędrny, młody, świeży. Szczupły. Zwinny. I nie zużyty.

- Skoro tak, to pizza może poczekać! - odparł Hannes i żądny czynów wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Miał piękne, białe, lśniące zęby, które połyskiwały w opalonej twarzy. Moje serce waliło jak szalone z radości. Cieszyłam się z przyjemności, która właśnie miała mnie spotkać.

- Masz rację! No, chodź do mnie! Ściągnij tę kurtkę!

Jego brązowe oczy były aksamitne. I to, co uwielbiałam w nim szczególnie: on naprawdę lekko zezował! NAPRAWDĘ! Stwierdziłam to sama! Jego oczy zezowały i działały na mnie tak podniecająco, że zakochałam się w nim od pierwszego wejścia. Patrzyłam na niego z zachwytem. Miałam na niego szaloną ochotę.

To było to! Tego właśnie brakowało mi podczas długich godzin rozmowy z doradcą podatkowym! Jeden rzut oka na to, co się działo z moim ukochanym, wystarczył mi całkowicie. Był bardzo spontaniczny. Już nie chciał pizzy. Chciał czegoś innego. Rzucił kurtkę na podłogę. Jego ładne, wysportowane ramiona skrywał biały podkoszulek. Widać było, jak jego mięs-

nie grają pod bielizną. Ramiona opalone na brązowo! Codziennie uprawiał gimnastykę. I nigdy nie miał dość. Patrząc na niego oczarowana. Ani grama tłuszczu. Uosobienie młodości i siły. Talentu i... swawoli! TEN facet nie zbierał rachunków za benzynę! On na pewno nie!

- Właściwie nie miałem ochoty na pizzę! - szeptał Hannes. - Pizza jest taka nudna.

- A poza tym od pizzy się tyje! - dodałam.

- Mamcia, pożyczysz mi swojego laptopa?

- Po co ci, skarbie, laptop w pierwszej klasie?

- Mamy napisać na całą stronę literkę „o”.

Bert trzymał w łapce kartkę. Był to papier z makulatury, na którym sympatyczny pan Schmitz-Nittenwirm*, jego nauczyciel, skreślił memu dziecku kilka wersji pierwszych, ślicznych literek. Była to jedynie propozycja, którą dziecko mogło zaakceptować albo też nie. Nauczyciel nie miał bowiem zamiaru narzucenia dzieciom jakiegoś stylu czy formy. Nie powinny też naśladować pisma nauczyciela! Byłoby to ze wszech miar niewskazane! O tym mówił już na pierwszym zebraniu z rodzicami. Jego „o” to jedynie wskazówka i pomoc, jak ma sobie dziecko z tym poradzić, na wypadek gdyby nie miało żadnego pomysłu.

- Synku, wydaje mi się, że powinieneś napisać „o” własnoręcznie!

- Czy ja jestem Fredem Feuersteinem? Nie będę dokładał sobie pracy!

- Ależ kochanie, przecież ty masz się NAUCZYĆ, jak pisać „o”, a w tym celu używa się ręki.

- Mamusiu! Przecież to okropna strata czasu. Ja wiem, jak się pisze "o". Na laptopie zrobię to szybko - i już!

Doszłam do przekonania, że Bert ma rację. My, matki, powinnyśmy zawsze akceptować decyzje naszych dzieci. Były to słowa pana Schmitza-Nittenwirma. A więc nigdy nie powinnyśmy zmuszać dzieci do tego, by robiły coś wbrew swej woli.

* *Schmitz-Nittenwirm* - w przybliżeniu: brudnawy robaczek.

Dotyczyło to również pisania literki „o”. Bert był typem człowieka postępującego w sposób pragmatyczny. I nie odczuwał żadnej potrzeby kreatywnego, kolorowego zapisywania czy przekształcania na różne sposoby literki „o”.

Ernie był całkiem inny. Rysował „o” pastą do zębów na lustrze w łazience, kijkiem na piasku, oblepiał taśmą klejącą drzwi prowadzące na taras, wycinał „o” nożyczkami w dywanie. Pozwoliłam więc Bertowi usiąść przy moim biurku. Bert włączył komputer i zaczekał, aż uruchomi się program z edytorem tekstu. Następnie swoim małym, tłustym wskazującym paluszkiem nacisnął klawisz „o” i przytrzymał tak długo, aż monitor zapełnił się literką.

- W porządku - powiedział wreszcie usatysfakcjonowany. - Możesz wydrukować.

- Pracowałeś bardzo systematycznie i pilnie - pochwaliłam go.

- Masz papier w drukarce? - zapytał Bert, wskazując ręką sprzęt.

- Chyba tak. Nie wiem. Mam nadzieję, że tata uzupełnił zapas papieru.

Bert popatrzył okiem fachowca na drukarkę. Otworzył ją. W środku leżały setki arkuszy i pokornie czekały na spełnienie swego przeznaczenia. Kartka leżąca na samej górze pliku miała być zadrukowana literką „o”. Gdybyż kartka miała świadomość! Gdyby wiedziała, co się z nią stanie! Bert nacisnął przycisk gestem osoby kompetentnej i zaczął, aż drukarka zgłosi swoją gotowość do pracy.

- Ile kopii potrzebujesz? - zapytałam.

- Jedna starczy w zupełności - odparł syn.

Mały, tłusty wskazujący paluszek synka, umazany, jak zwykle, lukrecją, uruchomił program i polecił wydrukować tekst. Drukarka firmy Druxen rozkazała swoim drukarzom wstrzymać się z pracą, aż do momentu, kiedy wyda im polecenie, a następnie wydrukowała czterysta trzydzieści siedem razy „o”, o czym nas poinformował głupi, służący komputer, podając tę liczbę w lewym dolnym rogu obrazu.

Przeczytałam meldunek komputera.

- Inne dzieci nie napiszą tyle razy „o”! - Bert był zadowolony.

„Sformatuj albo naciśnij klawisz ALT, by wydać dalsze polecenia!” - przeczytałam na głos.

- Głupek! - skomentował Bert. - Wystarczy. Co mam jeszcze formatować! - Wziął kartkę i dał mi buziaka w usta. Pachniał apetycznie gumą do życia. Bert zawsze pachniał jakimś jedzonkiem. Nutellą lub lukrecją. Czasem miętą.

Razem przedziurkowaliśmy papier, żeby go wpiąć do teczek z papieru z odzysku, będącej własnością Berta. Z największą radością trzymał mocno w swoich tłustych łapkach wielki, ciężki dziurkacz, który podwędziliśmy z biurka Ernstberta.

- Czy Ernie też już odrobił pracę domową? - zapytałam, rzucając okiem na zegarek. - Za pół godziny mamy lekcję gry w tenisa.

- Nie, bawi się na górze - odpowiedział Bert. Wziął pastylkę na kaszel z miseczki stojącej na moim biurku i od niechcenia wsadził ją sobie do mordki, następnie podreptał przed siebie.

Poszłam do pokoju dziecinnego, by zobaczyć, co robi Ernie. Ernie leżał na brzuchu na dywanie i bawił się plastikowymi rycerzami. Właśnie staczali między sobą pojedynek. Zamczyłskiem był tornister, a koszulka, w której leżała karta z pracą domową, zawierającą kreatywną propozycję pana nauczyciela, była straszliwą, niebezpieczną pułapką, do której jeden rycerz usiłował zepchnąć drugiego. Ernie nie zauważył, że weszłam.

- Ty nędzny psie, ty tchórze, zepchnę cię do tej strasznej przepaści... - syczał rozgniewany.

Rycerze znów się zwarli, strącając sobie nawzajem hełmy z głów i walili się mieczami, ile popadnie. Kartka z literką „o” załamała się niebezpiecznie w kilku miejscach. Mały pluź z pogardą i kropelki śliny - niczym malutkie kałuże - opadały na otaczające go przedmioty.

- Nigdy nie dostaniesz tej dziewczycy! - mówił rycerz bez głowy.

- Kocham ją nad życie! - odpowiedziała druga głowa. Korpus leżał gdzieś z boku na koszulce.

- No jak, Ernie?! - zapytałam ostrożnie. - Odrabiasz lekcje?

- Cześć, mamcia! - Ernie promieniał ze szczęścia. Wstał

i przytulił się gwałtownie do mnie. - Mamusiu, kocham cię nad życie!

Ernie nigdy nie pachniał miętą ani lukrecją. Ernie pachniał sobą.

- Ja ciebie też - powiedziałam wzruszona. Boże, jak to dziecko było spragnione miłości!

- Nie! Nie tak, mamusiu! Musisz powiedzieć: „Zatem będziesz mnie, dziewicy Marion, wierny aż do śmierci!”

- „Zatem będziesz mnie, dziewicy Marion, wierny aż do śmierci!” Czy odrobiłeś już lekcje?

- Jestem Robin Hoodem. Robin Hood nie odrabia lekcji. Robin Hood walczy o sprawiedliwość.

- Jasne, jasne, rozumiem - odpowiedziałam. - Sprawiedliwość to bardzo ważna rzecz.

Co mówił ich nauczyciel? Nigdy dziecka do niczego nie zmuszać! Któż by śmiał!

- A co powiesz o tenisie? - zaproponowałam. - Bert siedzi już w aucie i zajada się drażetkami czekoladowymi.

- W porządku. Tenis jest w porządku.

Miałam szczęście! Tym razem mi się udało!

- Ale tylko pod warunkiem, że ja będę Borisem Beckerem. Bo nie będę grał!

- Jasne! Musisz to powiedzieć swojemu trenerowi, na wypadek, gdyby sam się nie domyślił!

Trener był uroczym dwudziestopięcioletnim chłopakiem. Niestety, na imię miał Sasza, nie ze swojej winy zresztą. Był studentem Akademii Wychowania Fizycznego. Semestr siódmy. Przyświecały mu wyższe cele. Przypominał Hannesa, chociaż nie miał loków. Ale za to muskularne ramiona! No i błyszczący wzrok, pożerający zachłannie świat. Chociaż, niestety, nie zezował. Był młody, świeży, apetyczny i taki ufny. Słodki chłopczek.

Popchnęłam swoich kochanych maluchów w kierunku boiska.

- Zachowujcie się grzecznie, róbcie, co wam każe Sasza! Za godzinę przyjadę po was!

Z punktu widzenia zasad wychowawczych matki nie powinny siedzieć na ławkach wokół kortów i przyglądać się, jak ich pociechy radzą sobie z raketami. Gdy matek nie ma na lekcjach, dzieci zachowują się o wiele swobodniej, reagują spontanicznie i rozwijają się w sposób naturalny. Tak powiedział nam Sasza na zebraniu z rodzicami w szkółce gry w tenisa. Wzięłam jego słowa poważnie. Nie należy niczego wymuszać na dziecku. Dziecko nie może znajdować się pod ciągłą kontrolą matki, zwłaszcza gdy piłką tenisową wybija dziury w powietrzu! Dziecko potrzebuje luzu, swobody i przestrzeni bez jakichkolwiek granic. Może wówczas rozwijać naturalną samoświadomość, a ponadto sprawdza się w grupie rówieśników - w grupie takich samych jak ono dzieci, poznając siebie samego w całkiem nowy sposób. No, jasne!

Ruszyłam więc na spacer. Ta sama trasa jak zwykle - wokół terenu klubu. Od pierwszego momentu odpowiadała mi tu jedna rzecz: żadne z obecnych tu, a ubranych na biało rodziców, towarzyszących swoim pociechom, na pewno nie oglądało serialu *Nasz mały szpitalik*, który o godzinie szesnastej nadawano w telewizji. Dlatego też nikt nie szeptał na mój widok: „To przecież ta...” albo „Jak ona się nazywa...?”, z tej prostej przyczyny, że przyszli dynamiczni przedsiębiorcy nie siedzą w biały dzień przed telewizorami! Oni się hartują! Stawiają czoło trudom życia! A mamusie przyszłych biznesmenów nie prasują oglądając telewizję! Ani po południu, ani w ogóle! Każda z nich ma swoją perłę, która wykonuje takie prace dyskretnie, przebywając w tym celu w odpowiednim pomieszczeniu w piwnicy domu. A jeśli ta perła, prasując bieliznę, ogląda serial telewizyjny *Nasz mały szpitalik*, to jest to JEJ sprawa.

Mamusie Beniaminów, Kevinów czy Patryków o tej porze zwykły pijać herbatę lub - o ile ich frustracja spowodowana faktem, że ich zajęcie polega jedynie na tym, by być dobrą matką, była już mocno zaawansowana - alkohol z buteleczki w barku na terenie klubu. Niektóre zadowolowały się wyprowadzaniem na spacer swej biżuterii. Nie byłam pewna, czy chcę tak spędzać czas. Czekając na chłopców, pomyślałam sobie, że nie da się tego zmienić przez następne dwa lata. Chłopcy byli

jeszcze zbyt mali. Nie mogli jeździć sami do klubu. Będę więc musiała tak żyć jeszcze przez jakiś czas, niemal codziennie połykając tę żabę. W każdy poniedziałek hokej. W każdy wtorek pływanie w hotelu „Plaza”. W każdą środę zajęcia artystyczne w klubie. We czwartki tenis. W piątki zajęcia z wychowania muzycznego dla dzieci młodszych. Jeszcze tylko dwa lata. Albo trzy. Potem staną się samodzielni. Sami będą się poruszać po mieście i uczęszczać na zajęcia pozalekcyjne. No i albo rzuca wszystko w cholerę i zaczną grać tylko w nogę i wałęsać się po mieście, albo... No jasne, będzie to ich decyzja, ich wybór, ale nam, ich rodzicom, przynajmniej pozostanie zadowolenie, że daliśmy im sensowny wybór na przyszłość. Nie będzie więc mnie gryzło, dręczyło, trapiło sumienie czy niepokój wywołany poczuciem nie spełnionego obowiązku. Moje sumienie będzie czyste.

Czy zapewniłaś swoim dzieciom sensowne zajęcia pozaszkolne? No?! Bądź szczerą i powiedz prawdę! Nie oszukuj się, Charlottto! Złe matki idą do piekła!

Tak! - odpowiem wtedy na pytania zadawane mi przez moje sumienie. Będzie ono tak czyste jak fartuch pani doktor Anity Bach, a na dodatek ozdobione śliczną, złotą kokardą, jaką zwykła nosić ta młoda lekarka. - Tak jest! Codziennie zapewniałam! Każdego dnia coś innego!

Czy zrobiłaś wszystko? Czy wystarczająco dużo? A może nie chciało ci się wozić dzieci samochodem? No? Nie oszukuj się! A szermierka? Strzelenie z łuku? Judo? Karate? A jazda konno? No, dlaczego dopuściłaś do sytuacji, że twoje dzieci wegetują z dnia na dzień i nie rozwijają swoich zainteresowań, tracąc w ten sposób szansę na przyszłość! Kiedyś, gdy już dorosną, staną się bezradni i nie będą wiedzieli, co począć ze swoim życiem! Dlaczego nie uczą się grać na harfie, jak inne dzieci? A co z malowaniem na jedwabiu i z garncarstwem? Może nie chce ci się sprzątać po zajęciach? A te, słodziutkie niczym miód, córeczki dentysty z sąsiedztwa? Wiesz, czego one się uczą? Baletu WODNEGO! Dlaczego twoi synowie nie chodzą na tego typu zajęcia? A taniec jazzowy? Co z tą umiejętnością? No, odpowiesz mi na te pytania?!

- Przysięgam, że moje dzieci, zanim nauczą się pisać i czytać, będą umiały malować na jedwabiu, lepić garnki z gliny i grać na harfie! Obiecuję! Na pewno! Teraz nie chcę ich przeforsować! Proszę, uwierz mi! To nieprawda, że jestem zbyt leniwa, by je wozić autem na poszczególne zajęcia!

- W takim razie wszystko w porządku! - odpowie mi moje sumienie, przybierając postać pani doktor Anity Bach i uśmiechnie się do mnie łagodnie. - W takim razie swoje obowiązki matczyne spełniłaś należycie!

A ja wtedy uniosę się lekko w przestworza, by odejść z tego padołu, spokojna, że przed swoimi synami nie zamknęłam żadnej furki i że wszystkie drogi stoją przed nimi otworem. Gdy dorosną, będą zrównoważonymi mężczyznami, odnoszącymi sukcesy, czy to na giełdzie, czy też jako szefowie wielkich przedsiębiorstw lub menedżerowie wielkich firm. Każdy z nich stanie się silną osobowością, człowiekiem z charakterem. No i będą mieli coś tylko dla siebie. W wolnej chwili mogą pograć na harfie, pobawić się w tresurę koni, albo popływać w balecie wodnym, skoro przyjdzie im na to ochota. Wtedy będą mieli szansę, by spotkać innych mężczyzn takiego samego pokroju jak oni, a to otworzy im każde drzwi wiodące do najwyższych sfer.

Moje matczyne sumienie było nie tylko uspokojone - było czyste jak łąza.

Pozostawała tylko jedna kwestia do rozwiązania. Co mam robić ze swoim wolnym czasem? Ja, Anita Bach, kiedy nie gram, kiedy jestem pozostawiona samopas, kiedy mam wychodnie! Jak kto woli.

Codziennie miałam kilka godzin tak zwanego pustego przebiegu. Przebywałam w miejscach dla mnie mało interesujących, czekając bez sensu na dzieci, by je wreszcie zabrać do domu. Czekając. Czekałam trwoniąc bez sensu czas. Nie miałam najmniejszej ochoty stać razem z innymi matkami na kortach, kulić się z zimna i dopingować okrzykami swoich synów. Nie miałam też najmniejszej ochoty - obwiesiwszy uprzednio biust odpowiednią ilością biżuterii - spędzać tych godzin w barku klubowym i zaglądać w oczy obsługującemu go barmanowi, w nadziei, że kiedyś zwróci na mnie uwagę. Barman w barku

klubowym był średnio interesujący. Typ faceta, który nosi dres w kolorze różowo-ostrozzielonym, do tego koszulkę polo, złoty łańcuch na owłosionej piersi, adidas marki: „Nie lubię się gimnastykować”, oraz dwa wielkie złote sygnety na palcach. Na owłosionym przegubie dłoni wisiał zegarek wodoszczelny marki Rolex. Nie, on nie był w stanie pobudzić mojej erotycznej fantazji.

Mimo to codziennie, co ja mówię, co godzina sterczało przy barku pięć do ośmiu sfrustrowanych mamusiek, które emablowały go swym biustem. Co za konkurencja! Jaka presja! Nie miałam u niego żadnych szans!

Zajęta takimi i innymi niewesołymi myślami, dotarłam po chwili do kortu, gdzie Sasza ćwiczył z moimi chłopcami. Bert stał na linii serwisowej i w dość oryginalny sposób posługiwał się rakieta, odbijając piłki. Piłki leciały do pobliskiego lasu. Cholera!

- Świetnie! Bert, jesteś dobry! - wołałam uradowana i pękając z matczynej dumy, usiłowałam powstrzymać napływające mi do oczu łzy wzruszenia.

Ernie dał sobie już od dłuższego czasu spokój z tenisem. Wziął siatkę i zaczął zbierać leżące na korcie niezliczone piłki, których nikt nie chciał.

- Ty psie! Nie próbuj uciekać! Dorwę cię i wreszcie zdechniesz!

- Ernie! - zawołałam, chcąc go zachęcić do tenisa. - Pograj troszkę! Popatrz, jak ładnie Sasza odbija piłki rakieta!

- Mamo, ja nie mam czasu na grę w tenisa! Muszę dorwać tych nędzników! Mam cię, ty nędzny psie! Ty szczurze, nie uciekniesz mi! Biada ci, jeśli dasz głos! Ukręcę ci łeb!

O rety - pomyślałam, kręcąc kolejną rundkę wokół klubu. - Co wyrośnie z tego dziecka? Po MNIE tych cech nie odziedziczył. I po Ernstbercie też. Nie ma co do tego cienia wątpliwości.

Film był kostiumowy. Z epoki Ludwika XIV. Agencja w Duesseldorfie szukała wtedy czterdziestu aktorów, którzy mieli zagrać role dworek i dworaków, służących i szlachciców.

I w tych właśnie rolach zaprezentować na ekranie nie znane jeszcze twarze. Byłam nieznaną aktorką. Chciałam pojechać za darmo do Francji, na południe tego kraju, by tam spędzić przyjemnie lato. Ubiegałam się więc o rolę szlachcianki. Po pewnym czasie dostałam ją za pośrednictwem tejże agencji.

Rola była bardzo prosta. Nie musiałam nic mówić. Nawet tego, że herbatę podano. Musiałam tylko ładnie wyglądać i robić wrażenie osoby uzdolnionej aktorsko. Wszyscy inni, których zatrudniono tak jak mnie, też mieli miłą aparycję. Cieszyłam się, że wkrótce ich poznam. Zapowiadało się piękne lato. Kostiumowy film w południowej Francji, akcja toczyła się na jakimś zamku! Byłam w czepku urodzona!

Ale gdy pewnej nocy spod dworca w Duesseldorfie odjeżdżał autokar wiozący czterdziestu statystów do Francji, mnie wśród nich nie było. Okazało się bowiem, że mój paszport stracił właśnie ważność. Ta złośliwa ohyda, ten paszport odważył się zrobić mi takie świństwo! Stwierdziłam to w chwili, gdy walizka moja została już ulokowana w brzuchu autokaru. Cholera! Wyczółgałam się tyłem z autobusu i udałam się do przedstawiciela agencji, faceta w kroplą potu na górnej wardze, by się poradzić, co mam robić. Poradzić! Prychnął tylko obrażony. Patrzyłam mu w oczy, uśmiechałam czule i byłam taka biedna, że w końcu pozwolił mi na własny koszt dojechać koleją, gdy tylko przedłuży paszport. Najpierw musiałam pobiec do urzędu, tam pokornie błagać, żeby mi szybko przedłużyli dokument. Wypełniłam więc specjalny formularz dotyczący szczególnie pilnych wyjazdów. W czterech kopiach!

Pomachałam grupie czterdziestu szczęśliwych statystów, legitymujących się ważnymi paszportami. Na moje pożegnanie odpowiedział tylko jeden z nich. Był młody i śliczny. I miał brązowe, lekko zezujące oczy. Wydawało mi się, że jego uśmieшек, kpiący i lekki, wyrażał żal. Uniósł ramiona do góry, jakby chciał powiedzieć: „W takim razie nic z tego!”

Miły chłopak - pomyślałam, wsiadając do metra. - Słodki. Może troszkę za młody, ale właśnie taki szczawik jest w sam raz na gorące lato w południowej Francji.

Kto tak uroczo zezuje, sam sobie jest winien.

Gdy w dwa dni później wysiadłam z wagonu sypialnego w Awinionie, już go nie pamiętałam. Dworzec nurzał się w pomarańczowym świetle, a letnie powietrze pachniało koleją, świeżymi rogalikami i letnią nocą. Byłam wolna, z nikim nie związana. Wolna też od kłopotów. Miałam ważny paszport. A przed trzema dniami pozbyłam się jedyne go obowiązku, który na mnie ciążył: czarna kotka Eliza wróciła do swojego poprzedniego życia - bytu miejskiej włóczęgi. Eliza, znajomość ze śmietnika, brzydka jak noc, za to z charakterem i uczuciowa, stała się z czasem dla mnie prawdziwą przyjaciółką. Byłam pewna, że da sobie radę. Nie martwiłam się o nią.

Moim jedynym zmartwieniem było teraz znalezienie taksówkarza, który za parę niemieckich marek zawiózłby mnie na miejsce, gdzie trwały zdjęcia do filmu. Bo kantory były naturalnie jeszcze zamknięte. Ssało mnie w żołądku. Nie jadłam jeszcze śniadania, a z kafejki dochodził zapach świeżych rogalików z francuskiego ciasta! Wdychałam go z rozkoszą. Po chwili ruszyłam ku wyjściu z tego bajecznego południowofrancuskiego dworca. Gdy właśnie usiłowałam przybrać rozkoszną minę młodziutkiej statystki, by bezbronnym, a uroczym uśmiechem oczarować południowofrancuskiego taksówkarza, nagle dostrzegłam jego. Ciemnowłosego chłopca o brązowych oczach. Owego uroczego odtwórcę drobnych ról. W dość prowokujący sposób zezował w moją stronę.

Czy to na pewno on? A może ktoś do niego tak łudzaco podobny? Uśmiechnął się do mnie krzywo. Miał cudownie białe zęby. Równiutkie. Który odtwórca drobnych ról mógł się tym pochwalić? Był w obcisłych džinsach i białym podkoszulku. Opierał się niedbale o murek przy wyjściu z dworca. O piątej rano! A w ręce trzymał pomarańczową torebkę, w jaką zwykle w piekarni pakują pieczywo. Pachniała bardzo obiecująco.

Stanąłam.

- Czy my się nie znamy?
- Nie. Do tej pory się nie znaliśmy.
- Ale ty mówisz po niemiecku!
- Pochodzę z Grevenbroich. Tam się mówi po niemiecku.
- Czyżbyś czekał na mnie?

- Nie, skąd. Czekam na Sofię Loren.
- Ach, rozumiem - powiedziałam, nie kryjąc rozczarowania. - Nie wiedziałam że i ona gra w tym filmie. Czy mogę się z wami zabrać, gdy przyjedzie?

Z torebki dobiegał smakowity zapach pieczonego ciasta. Musiałam bardzo nad sobą panować, by nie wyrwać mu jej z ręki, a potem dać nogę.

- Zobaczmy! To zależy od tego, ile pudeł na kapelusze będzie miało ze sobą to stare pudło!

Popatrzyłam na niego, zmrzywszy oczy.

- Słuchaj no, żartować z siebie to ja mogę sama!

- Też tak myślę. - Powiedziawszy to, znowu uśmiechnął się krzywo, obdarowując mnie ponownie widokiem swoich przepięknych, lśniących zębów. - Zauważyłem, jak to robisz! Wsiadłaś do autobusu bez ważnego paszportu!

Nie wiedziałam, co mam na to odpowiedzieć. Nagle zabrakło mi słów. Na mojej twarzy zamarł sztuczny uśmiech odtwórczyni drobnych ról.

- Jesteś błada. Pomyślałem sobie, że może byś coś zjadła na śniadanie. Jak cię znam, to jeszcze nie wymieniłaś pieniędzy!

Wyciągnął pachnący rogalik z torebki i podsunął mi go pod nos. Był jeszcze ciepły.

Przypomniałam sobie, co mi od lat wkładała do głowy Greta: „Nie wolno ci brać niczego od obcych mężczyzn! Zwłaszcza w ciemnym kącie jakiegoś dworca, gdzie kręcą się najniebezpieczniejsi, czyhający na dzieci, zboczeńcy!” A ja, taki żarłoczny, tłusty, mały bachor, byłam szczególnie łatwym łupem. Greta powtarzała mi to setki razy: „Nie daj się wciągnąć w rozmowę z obcym mężczyzną! Rozumiesz?! Za żadne pieniądze!”

A co ja robiłam? Wzięłam właśnie rogalik i wsadziłam go łakomie całego, do ostatniej okruszynki, do ust. Gdy z zamkniętymi oczami przeżuwałam z rozkoszą ten cudowny - dla podniebienia i dla żołądka! - przysmak, poznany właśnie odtwórca drobnych ról nagle ruszył. Niedbałym gestem dłoni dał mi znać, bym poszła w jego ślady. Wielce zdziwiona podreptałam za nim, przekonana, że w tłumie dostrzegł swoją koleżankę po fachu, Sofię Loren.

Ale się myliłam. Szedł w kierunku placyku przed dworcem, z którego właśnie odjeżdżał autokar. Wskoczyliśmy do niego w ostatniej chwili. Biegając za nim do autobusu, usiłowałam czegoś się dowiedzieć. Moich siedem żołądków wyło z głodu! Podpowiadały, żebym się go trzymała!

Słyszałam wołanie Grety: „Nigdy nie biegaj za chłopakami! Jak często mam ci to jeszcze powtarzać!” Greto, nie w tej chwili! W ogóle jej nie słuchałam!

Wyłądowałam w rozklekotanym autobusie linii podmiejskich. Zanurzyłam rękę w ciepłej, pachnącej torebce z rogalikami. Wyłowiłam następnego i pożerając go łapczywie, odpoczywałam oparta o siedzenie autobusu.

Postanowiłam od razu polubić tego chłopca. Siedział obok mnie i patrzył przez okno.

Chyba zawsze się uśmiechał, siedząc przy oknie w autobusie.

- A gdzie Sofia? - zapytałam, zaniepokojona, z pełnymi ustami.

Odwrócił wzrok, by na mnie popatrzeć.

- Nie ma, po prostu nie ma. Nie przyjechała! - Kpił sobie ze mnie, nieźle rozbawiony.

Przełknęłam ślinę.

- Czy to ma znaczyć, że przyjechałeś po MNIE?

- Jeśli łaskawa pani raczy nie mieć nic przeciwko temu...

- Wprost przeciwnie! - odparłam. - Jestem zdania, że to bardzo uprzejmie z twojej strony! Jak ty w ogóle się nazywasz?

- Hannes - powiedział, podając mi rękę. - Nazywam się Hannes Stuhlbein.

- Charlotta - odpowiedziałam. - Charlotta Pfefferkorn. - Wtedy nazywałam się jeszcze Pfefferkorn. Potem, po poślubieniu Ernstberta, przestałam używać drugiego członu mego nazwiska. W ten sposób wpadało ono łatwiej w ucho. Charlotte Schatz brzmiało trochę za kiczowato. Nie odpowiadało mi wcale. Tak nazywać się nie chciałam. Za żadne pieniądze!

Podaliśmy sobie dłonie, potrząsnęliśmy nimi mocno, zawierając oficjalnie znajomość, podczas gdy autobus straszliwie nami rzucał.

- I co słytać? - zapytałam, sięgając po trzeciego rogalika, bo nadal byłam głodna. - Co słytać na planie?

- W pierwszej części grasz Cygankę, a w drugiej zakonnicę - poinformował, zezując w moją stronę.

- W porządku, nie mam problemów z dostosowaniem się - odparłam.

- Mam nadzieję, że nie masz też problemów z dostosowaniem, jeśli chodzi o zakwaterowanie!

- Nie rozumiem!

- No tak, bo wiesz, mnie do pokoju wstawiono walizkę niejakiego Carlo Pfeffera mówiąc, że dojedzie później.

- No to co? A kim jest ten Carlo Pfeffer?

- Też sobie zadałem to pytanie. Powiedziano mi, że to ten, który zapomniał paszportu i dlatego nie mógł jechać z grupą.

- Ale przecież to o mnie mowa! - zawołałam dość zaskoczona.

- Tak jest! Dokładnie! - Hannes wykrzywił twarz w uśmiechu. - Pamiętam tę scenę doskonale!

- Ale ja jestem kobietą! - zawołałam.

- Ten fakt też sobie przypominałem.

- Czy to znaczy, że mamy wspólny pokój?

- Jeśli łaskawa pani raczy nie mieć nic przeciwko temu...

- Mam! Mam! Jestem przeciw! I to jak! Jak mam grać zakonnicę i jednocześnie mieszkać w jednym pokoju z osobnikiem płci męskiej, w dodatku odtwórcą drobnych ról?

- Rola takiego odtwórcy jest co prawda drobna, ale za to jego męskość... ho, ho! - pocieszył mnie Hannes.

Milczałam, cokolwiek urażona.

- Zrozum! - powiedział, podsuwając mi ponownie torebkę z wypiekami. Odmówiłam kręcąc głową. Nagle straciłam apetyt. - Masz, oczywiście, pole manewru. Możesz wybrać. Dwie czy trzy kobiety są tak niesympatyczne, że nikt z nimi nie chce zamieszkać. Na jedną z nich możesz się zdecydować.

- Na kogo na przykład?

- Znasz może grubą Lorę?

- Tę, która mówi z nadreńskim akcentem? Z prowincji? Tę, która ciągle powtarza „kosz-mar”!

- Tak. Ona jest do wzięcia.

- Nie, dziękuję, obejdzcie się. - Sama myśl, że mogłabym dzielić swoje francuskie łóżko z tą obrzydliwą, prowincjonalną larwą i wysłuchiwać kosz-marnych relacji z jej Pipidówki, napawała mnie najgłębszym obrzydzeniem. - A poza nią?

- Oferta specjalna: dewotka, uczesana w kok w stylu lat pięćdziesiątych, wywodzi się z teatru w Wittenberdze, z miasta Lutra. Mówi dialektem saksońskim. Bez przerwy coś głądzi i mruczy pod nosem.

- No nie, niekoniecznie! - grymasiłam.

- No, a ta ostatnia z wolnej trójki? Ma taką męską fryzurę, podgolony kark, rezolutna, głośno się śmieje, klepie wszystkich po plecach i chadza tylko w męskich garniturach. Jada za trzech. Ta też mieszka sama. - Hannes cieszył się, widząc moją reakcję.

Wygrał bitwę. Milczałam, bo nie miałam nic do powiedzenia. Ładne mi widoki! A tak się cieszyłam na to lato!

- Czy muszę się przebrać?

Wsadziłam głowę w drzwi do kuchni. Zobaczyłam Ernstberta i Gretę. On pożerał właśnie wielki kawał tortu kremowego. Kałdun wisiał mu nad paskiem do spodni, a koszula rozchyłała się na owłosionym brzuchu.

- Chcę, żebyś ładnie wyglądała! - odpowiedział stanowczym głosem, oblizując palce z kremu.

- Na zebranie rodzicielskie? Czy to konieczne? - Byłam zdania, że jestem wystarczająco elegancka. Dżinsy i sweterek. Jak zawsze z resztą, gdy nie odtwarzam roli doktor Anity Bach. Lubiłam luz.

- Tak, koniecznie! Nalegam! - odparł Ernstbert. - Ty może i rzeczywiście poszłabyś w dżinsach na zebranie rodzicielskie. Ale JA wiem, jakie formy obowiązują. Nie chodzę w dżinsach do moich klientów.

- Ona nigdy o sobie nie dbała - skomentowała te słowa zadowolona Greta. - Chodź, weź sobie jeszcze jeden kawałek tortu! Jedz, jedz, na zdrowie!

Ernstbert sięgnął po drugi kawałek tortu z kremem.

- Pospiesz się, o ósmej wsiadam do auta!

Mój mąż nie nosił dżinsów. Zresztą nie byłoby nawet dla niego rozmiaru. Ważył już sto dwadzieścia kilo i ubierał się w sklepach z konfekcją o bardzo dużych rozmiarach. Ale jednak, bądź co bądź, od czasu gdy się pobraliśmy, nigdy więcej nie założył tych okropnych spodni z elanobawełny i tego okropnego, prążkowanego bawełnianego podkoszulka. Mimo to wyglądał staro, na jakieś dwadzieścia lat więcej, niż miał. Będąc rewidentem księgowym, czyli audytorem, zatrudnionym na kierowniczym stanowisku w bardzo poważnej kancelarii adwokackiej, miał po prostu za mało ruchu.

- Możemy iść pieszo do szkoły! - zaproponowałam. - Taki ładny wieczór!

- Chcę posłuchać w radiu wiadomości! - odparł w sposób nie dopuszczający sprzeciwu. - Być może ciebie polityka światowa nie interesuje, ale ja muszę być na bieżąco. Jestem to winien swoim klientom. Oni nie oglądają serialu! MOI klienci są ludźmi wykształconymi, z którymi muszę niemal codziennie rozmawiać o aktualnych wydarzeniach politycznych i gospodarczych na świecie!

- Widzisz, kochana! - Greta triumfowała. - Twój mąż jest wykształconym człowiekiem! - Weź sobie Ernstbercie jeszcze jeden kawałek tortu! A może zrobić ci kanapkę? Przyniosłam sałatkę drobiową, taką jaką lubisz! Prosto z rynku!

Podreptałam na górę. Chłopcy siedzieli na łóżku i oglądali *Ulicę Sezamkową*.

- Mamusiu, a Greta powiedziała, że mamy iść zaraz do łóżka!

- Macie słuchać Grety! Co powiedziała, to święte! - odparłam. - Za moich czasów też tak było. Bo jak nie, to manto!

Zdjęłam dżinsy i wyciągnęłam z szafy szarobłękitny kostium, który wkładałam bardzo rzadko.

- Mamusiu, kim jest właściwie Greta?

- To jest przecież moja mama! Doskonale o tym wiecie!

- To dlaczego nie mówisz do niej „mamo”?!

- Bo ona sobie tego nie życzy! Nie chce też, żebyście wy nazywali ją babcią.

- Dlaczego?

- Bo czuje się staro, gdy tak się do niej mówi.

- Cha, cha, cha! - Ernie śmiał się, triumfując. - Skoro każe nam iść spać, to będziemy do niej mówić „babciu"! Wtedy będzie wyglądała staro!

- Greta da wam szkołę! Cieszymy się, że chce w ogóle do nas przychodzić! Bez Grety tata nie mógłby chodzić do pracy w kancelarii, a ja nie mogłabym kręcić serialu. A wy nie moglibyście chodzić do szkoły. A więc weźcie się w garść! Przecież wiecie, jak bardzo nas kocha!

Pocałowałam chłopców na dobranoc i zeszłam na dół. Wsiadłam do auta i włączyłam radio. Była dwudziesta. Lektor zaczął czytać wiadomości.

Gdzie jest Ernstbert? W kuchni oczywiście, bo nabrał apetytu na sałatkę drobiową!

Zebranie rodzicielskie zakończyło się dużym sukcesem. Trzydzieścioro matek i ojców siedziało - podkurczywszy nogi - na malutkich krzeselkach, które w ciągu dnia zajmowały swoimi kochanymi dupkami ich urocze pociechy. Oglądano się nawzajem ze sporym zainteresowaniem i pewną dozą krytycyzmu. Brakowało mi tutaj Grety, z którą zawsze mogłam sobie pożartować i z towarzystwa i z sytuacji. Wprawdzie była w stosunku do nas i siebie samej twarda i nieczuła, ale można było boki zrywać, gdy znalazła się w towarzystwie, w którym należało zachowywać się nad wyraz poprawnie. Trudno było zdusić w sobie śmiech, gdy zaczynała żartować z ludzi. Zwłaszcza w sytuacjach, kiedy ktoś przemawiał podniosłe, grał na skrzypcach lub odbywała się jakaś szczególnie uroczysta ceremonia. Wtedy stroiliśmy sobie ze wszystkich i ze wszystkiego żarty! Ze śmiechu boki można było zrywać!

Z Ernstbertem pożartować sobie nie mogłam. Za żadne pieniądze. W gruncie rzeczy nie miał poczucia humoru. „Ani krzty humoru - powtarzała Greta - ani krzty humoru nie ma ten twój Ernstbert! Ale za to jaki stateczny!"

I dlatego wyszliśmy za niego za mąż! Zabawić to się możemy gdzie indziej!

Uroczy młodzik, nauczyciel naszych dzieci, wystąpił na zebraniu w cokolwiek niemodnych już welwetowych spodniach i męskim wdzianku w kolorze różowym. Siedząc za swoim pulpitem poprosił nas, abyśmy na karteczkach wyraźnie napisali nazwiska naszych dzieci. On sam swoje nazwisko, a nazywał się Schmitz-Nittenwirm, napisał dziecinnym pismem na karteczce, którą postawił przed sobą na pulpicie. Myślę, że lubił je z powodu trzech „i”. Mogło być przecież znacznie gorzej. Greta na pewno miałyby mnóstwo skojarzeń z tym dość dziwnym nazwiskiem. Ernstbert nazwiskiem nauczyciela nie zainteresował się wcale. To nie temat dla niego. Za żadne pieniądze. No tak, nic nowego! A więc i my napisaliśmy nazwiska naszych dzieci na wspólnej karteczce: Schatz i Pfeffer, nie łącząc obu nazwisk myślnikiem. Po wykonaniu tego zadania udało mi się umieścić nogi - nawet dość zręcznie mi to poszło - obok stoliczka, na którym zwykle nasi chłopcy kreślą swoje „o” i inne literki. Następnie z wielkim zainteresowaniem zaczęłam rozglądać się po sali.

Na tylnej ścianie pomieszczenia klasowego wisiały obrazki, własnoręcznie namalowane przez dzieci. Przedstawiały torebki szkolne, z którymi maluchy przyszły tu pierwszego dnia. Naczyliłam się do Ernstberta.

- Jak myślisz, które z nich namalowały nasze dzieci?

- Skąd mam to wiedzieć? - odparł i dalej robił notatki w swoim terminarzu.

- Ale ja wiem! - szepnęłam. - Ten kolorowy rysunek z torebką ze skrzydłami namalował Ernie, a tę szarą torebkę z cukierkami lukrecjowymi w kształcie ślimaczków - Bert!

- Może - mruknął Ernstbert.

Wszyscy się wszystkim przyglądali. Dość szybko zrozumiałam, że istnieją dwa, że tak powiem, różniące się od siebie zasadniczo, rodzaje rodziców uczęszczających na zebrania rodzicielskie. Jeden z nich to rodzice, którzy posłali dziecko po raz pierwszy do szkoły. Albo też mają pierwsze dziecko w szkole, co na jedno wychodzi. Na zebrania rodzicielskie ubierali się bardzo elegancko. Panowie w czarnych garniturach i srebrnych krawatach. Panie w popołudniowych sukieneczkach, wy-

rażnie wyjściowych, wystrojone w pasującą do sukni kołię z białego lub płatkowego złota. Rozumie się samo przez się, że panie popołudnie spędziły w salonie fryzjerskim, gdzie kazały sobie zrobić eleganckie fryzurki a la lady Diana. Panowie byli świeżo ogoleni i skropieni obficie płynem po goleniu.

Ci rodzice zbierali dopiero doświadczenia z zebrań rodzicielskich. Począwszy od późnego popołudnia przeglądali się nerwowo w lustrach w pokojach sypialnych, przebierali się wielokrotnie, przymierzając różne eleganckie kostiumy czy też garnitury, które wydawały im się stosowane na tak uroczyste wydarzenie jak zebranie w szkole. Przecież nie mogły być to te same stroje, w których wystąpili już na rozpoczęciu roku szkolnego! Około godziny osiemnastej smarowali dzieciom kanapki, wypraszając sobie jakiegokolwiek uwagi i pytania, następnie pozwalali pociechom obejrzeć wszystkie programy telewizyjne, na przykład *Ulicę Sezamkową*, program z Myszką, *Piaskowego Ludzika* i dziennik telewizyjny, tylko po to, by mieć święty spokój. Potem, po nałożeniu ostatniej warstwy pudru i różu przez mamy, biegli zdenerwowani drobnymi kroczkami do aut, by wziąć udział w pierwszym zebraniu rodzicielskim. Jadąc do szkoły, milczeli rozdrażnieni, raz po raz zerkając na zegarki.

Zupełnie inną grupę stanowili rodzice, którzy mieli już drugie - lub też więcej - dziecko w szkole. Matki zachowywały się bardzo swobodnie, wręcz demonstracyjnie. Po prostu były na luzie. Miały dzieci w starszych klasach, stąd ta pewność siebie. W tej grupie istniał pewien związek między wiekiem i liczbą dzieci umieszczonych w szkole a zachowaniem i ubiorem rodziców. Im więcej dzieci i im starsze, tym większy luz w stroju i sposobie bycia rodziców. Od trzeciej klasy żadna z matek nie przychodziła już obwieszona biżuterią, nie mówiąc już o tym, że w pewnym momencie przestawali im towarzyszyć ojcowie. Na zebrania przychodziły same. Ojcowie uczniów klas trzecich pozostawali w domu, popijając piwo i spędzając miły wieczór przed telewizorem.

Matki o największej rutynie, czyli kobiety, których mężowie już nie pamiętali, do której klasy uczęszcza ich pociecha, przy-

chodziły na zebrania w wypchanych dżinsach, koszulach flanelowych i kurtkach sportowych. Dość często miawały włosy obcięte na zapałkę, jak to czynią kobiety, które chętnie i często rodzą któreś z kolei dziecko. Witały się głośno i serdecznie, co było nie do pomyślenia dla młodych, jeszcze bardzo zielonych i na ogół dość wystraszonych rodziców. Po chwili wyciągały robótki ręczne lub kanapki z pudełka na szkolne śniadanie.

By jakoś poradzić sobie z zakłopotaniem wszystkich uczestników pierwszego zebrania, nauczyciel, miły i bardzo młody, poprosił o zgłoszenie jednej osoby do protokołowania zebrania.

Ja wpatrywałam się uparcie w linoleum na podłodze. Ernstbert zagrzebał się w swoim terminarzu.

- To całkiem proste! - pan Schmitz-Nittenwirm zachęcał, jak mógł. - Po zebraniu omówimy punkt po punkcie. - Uśmiechał się sympatycznie, a jabłko Adama skakało mu jak szalone.

Nie miałam najmniejszej ochoty omawiać z panem nauczycielem protokołu punkt po punkcie. Za żadne pieniądze. Zazrzałam pod pulpit Erniego, by sprawdzić, czy porządnie ułożył swój strój gimnastyczny.

- Pani Pfeffer! - odezwał się nauczyciel. - A może pani? Przecież jest pani uzdolniona artystycznie!

- Nie! - odparłam, chcąc uniknąć pracy. - Ja nie umiem pisać!

Wszyscy roześmieli się serdecznie i w taki oto sposób zostałam protokółantką. A przewodnicząca komitetu rodzicielskiego, osoba wszystkim znana, bo wszędzie i zawsze sprawowała jakąś funkcję, podała mi kartkę. Na chwilę nawet przestała robić na drutach. Ernstbert pokiwał z dezaprobatą głową. Znowu dałam się wrobić!

Świadoma swoich obowiązków zanotowałam, że wkrótce zbierane będą pieniądze na kakao. Dać je należy dzieciom w kopercie opatrzonej nazwiskiem dziecka, ponieważ nauczyciel chce uniknąć dość uciążliwej dla niego sytuacji, kiedy to przez kilka kolejnych dni, i to w najmniej odpowiednich momentach, będzie zmuszony przyjmować z utyłanych i spoconych łapek dziecięcych równie utyłane monety, Wychowawczym aspektem całej

sprawy miało być użycie koperty z papieru z odzysku. Koperty należało przekazywać pierwszego dnia każdego miesiąca.

Przewodniczący trójki klasowej klasy trzeciej zachęcał nas usilnie do natychmiastowego wstąpienia do towarzystwa wspierającego działania szkoły. Powinniśmy też wziąć udział w przygotowaniach do przemarszu karnawałowego, który odbędzie się w lutym przyszłego roku. Czy któreś z rodziców mogłoby pomóc przy szyciu tanich, kolorowych kostiumów karnawałowych? Zgłosiła się ciemnowłosa mama pierwszoklasisty, pani w małej czarnej, obwieszona złotymi łańcuszkami i ozdobiona kolczykami. Platynowe obręcze na przegubie jej ręki zabrzczały leciutko.

- Tak? - pan nauczyciel się uradował.

Czyżby chciała pomóc i wziąć udział? Punkt kulminacyjny wieczoru! Zapisywałam każdy ruch i każde posunięcie.

- Nassywam się Kuckuck - odezwała się czarnowłosa. - Jessem matką Kevina. - Tu zmarszczyła czoło. - Mam pytanie.

Byliśmy wszyscy bardzo ciekawi, o co zapyta. Pan nauczyciel również. Jabłko Adama póki co spoczywało w jednej pozycji, a mianowicie gdzieś na wysokości kołnierzyka.

- Tak, słucham?

Prawdopodobnie wszyscy mieli nadzieję, że Pani Nassywam-się-Kuckuck objawi swoją skrywaną miłość do kolorowych kostiumów karnawałowych i ochotę do szycia takowych. A może nawet zaproponuje, że obszyje całą klasę w niedrogie, a twarzowe kostiumy à la kukułka.

Ale z jej piersi wyrwało się następujące oświadczenie:

- Mój Kevin umie już wszystko! Rachować, czytać, pisać! Co mam robić? Zostawić wszystko, tak jak jest?

Pozostali rodzice, zupełnie już sfrustrowani, przyglądali się pilnie czubkom swego obuwia. Ale zdolny chłopak! Już wszystko umie!

- Wspaniale! - jęknął nauczyciel, nie okazując żadnego zachwyty. - Niech pani nic nie robi, nie ingeruje, niech Kevin sam odnajdzie się w szkole. Kevin musi sam zrozumieć, co już umie, a czego jeszcze nie. I tę umiejętność musi wyrobić w sobie sam.

Zanotowałam dokładnie, co Kevin już potrafi i to, że nauczyciel uważa, iż z przyczyn czysto wychowawczych trzeba mu dać się spokojnie rozwijać, nawet jeśli jemu się wydaje, że jest już Albertem Einsteinem.

Milczenie wyrażające skrępowanie. A przecież do niedawna było jeszcze tak miło!

Obgryzałam koniuszek ołówka. Ernstbert oparł się o poręcz krzeselka, jeśli w ogóle było to możliwe z racji rozmiarów mebli w tym pomieszczeniu. Zamknął oczy, co miało oznaczać, że się zastanawia nad czymś nowym, niezwykle twórczym. Zawsze miał taką minę, gdy oglądał w telewizji program na aktualne tematy dnia.

Jedna z niewiast należących do luzaczek, w okularach i zdrowotnych sandałach, doszła do przekonania, że i ona musi zabrać głos.

- A więc moja Anna. Gdy robi coś nie tak. Na przykład laseczkę kreśli w połowie linijki, a nie na linijce. Czy mam to poprawiać, czy nie? Musi się uczyć na swoich doświadczeniach. Też i tych niedobrych. Mówię jej, przedyskutuj to z nauczycielem. Sama ponosisz konsekwencje swego działania. Ja się nie wtrącam.

Zanotowałam: „Matka Anny nie lubi dyskusji o laseczkach”.

- Oczywiście! - odparł na to pan nauczyciel. Jabłko Adama znowu wyruszyło w drogę. Skakało jak szalone po całej szyi. - Niech przyjdzie do mnie ze swoją sprawą. Przecież po to tutaj jestem.

Boże, jakież miły z niego facet!

Gruba mama odważyła się powiedzieć to, co jej leżało na sercu już od dłuższego czasu. Ubrana była w sukienkę w wielkie wzory z kwiatów. W bardzo zręczny sposób udało się jej ułożyć te obleczone w kolorowy materiał masy tłuszczu na malutkim krzeselku.

- Czy Michał ma nosić w tornistrze flamastry? Czy może nie?

Jej pytanie wywołało burzliwą dyskusję. Połowa rodziców była za flamastrami. Druga połowa była przeciw. Nie nadażalam z pisaniem, w sali doszło bowiem niemal do zamieszek na tym tle.

- A jak z pantoflami gimnastycznymi? - zawołała jedna z matek, przekrzykując kłócących się. - Pantofle czy klapki?

- Dziewczynki wolą klapki! - oświadczyła inna. - Ale chłopcy nie chcą chodzić w klapkach.

Zanotowałam specyficzne życzenia chłopców i dziewcząt, uczniów klasy pierwszej, odnośnie kwestii dotyczącej obuwia na zajęciach z wychowania fizycznego.

- Przypominam państwu, że ubiór ten należy od czasu do czasu wrzucić do pralki! - przypomniał miły pan nauczyciel.

Ale gość z niego! Jakimi rzucał tekstami! Trafił w dziesiątkę! Wszyscy roześmieli się serdecznie. Jaki przezorny nauczyciel!

- No, ale co z tym przemarszem karnawałowym - zapytała głośno, przeżuując kanapkę, przewodnicząca komitetu rodzicielskiego. - No a dzień Świętego Marcina? - Wyciągnęła następną kanapkę z razowego chleba. Po sali rozszedł się delikatny zapach zdrowej żywności, kupowanej w sklepach dla zwolenników takowej.

Pan nauczyciel zwrócił nam uwagę na fakt, że nie powinniśmy rozdzielać klasy jako grupy, biorąc udział w przemarszu z okazji dnia Świętego Marcina. Ani pieszo, ani - tym bardziej - konno!

Zanotowałam, że z przyczyn wychowawczych niewskazany jest udział rodziców w obchodach dnia Świętego Marcina, a więc nie należy pchać się tam z papierową latarnią, ani też śpiewać pieśni. Dobrze by natomiast było, gdyby rodzice wzięli udział w robieniu tychże latarni z kolorowego papieru i - już potem, zgodnie z kolejnością świąt - w szyciu tanich kostiumów karnawałowych. I znów prośba nauczyciela: rodzice proszeni są o nieuczestniczenie w pochodzie karnawałowym razem z dziećmi, nawet jeśli ta rezygnacja przyjdzie im z wielkim trudem! Przewodnicząca zapytała, czy któryś z ojców zgłasza się na ochotnika, aby w dniu Świętego Mikołaja wystąpić w jego roli. Pytanie to zadawała, nalewając sobie herbaty rumiankowej, którą przyniosła w termosie. Teraz jednak już wszyscy rodzice zrozumieli postanie, że nie należy się wtrącać w zabawy ich pociech. Nie zgłosił się nikt.

Wskazałam ręką na Ernstberta. Wiem, że było to złośliwe

z mojej strony. Ernstbert chował się właśnie za swoim terminarzem. Przewodnicząca powiedziała z ulgą w głosie:

- Z pana prawdziwy skarb, panie Schatz!

Wszyscy uśmiechnęli się miło. Wszyscy, oprócz Ernstberta, który kiwnął lekko głową i kontynuował swoją drzemkę.

Zanotowałam: „Pan Schatz zgłosił się na ochotnika, aby wystąpić w roli Świętego Mikołaja”.

O rety. Z tego powodu będzie w domu awantura.

- Mile są widziane dary w postaci marmolady własnej roboty! - przewodnicząca komitetu rodzicielskiego była niezadowolona.

- W przedszkolu ewangelickim w ubiegłym roku zorganizowałyśmy bazar, ale wielu rzeczy nie mogłyśmy sprzedać i zostałyśmy z tym towarem, także z marmoladą własnej roboty! - skarżyła się jedna z mam w pomarańczowej bluzeczce w kwiatki i zdrowotnym obuwiu. - Całymi tygodniami musiałam jeść tę marmoladę własnej roboty, bo nikt na nią już nie mógł patrzeć.

Skreśliłam więc punkt: „Marmolada własnej roboty”, z protokołu. Zaczęłam odczuwać ból w kości ogonowej od siedzenia na miniaturowym krzeselku. Ernstbert też już stękał i wiercił się, przez sen szukając lepszej pozycji. Biedaczysko! Jeśli o mnie chodzi, to mógł zostać w domu. Ale koniecznie chciał iść ze mną na to zebranie.

- A co z piciem w szkole? Czy dzieci mogą się tutaj czegoś napić? - zapytała jedna z mam. Było to, moim zdaniem, pierwsze sensowne pytanie.

- Tak! - poparłam ją. - Jak jest z piciem?

- No, po opłaceniu kakao... - powiedział pan nauczyciel - w ciągu trzech dni dzieci mogą je otrzymać, oczywiście w butelkach zwrotnych...

Zastanowiło mnie coś. Zadałam sobie pytanie, czy pan nauczyciel pił kiedykolwiek inny napój niż kakao kupowane w ekologicznym opakowaniu, a mianowicie w zwrotnych butelkach. Chyba jednak nie. Przypuszczałam, że mieszka w jednym z tych skromnych domków, szeregowcu z zadbanym ogródkiem, że w wolne weekendy kręci się po dużych supermarketach z materiałami budowlanymi i ogrodnictwymi. Na pew-

no ma w piwnicy pomieszczenie do majsterkowania, w którym spędza niedziele. Na pewno stoi tam również apetycznie pachnąca maszyna do falcowania, za pomocą której sprasowuje arkusze z makulatury dla naszych dzieci. Wyobraziłam sobie, jak wkrótce obrobi mój protokół, by go rozdać - w trzydziestu egzemplarzach! - całej klasie, mówiąc przy tym:

- Oddaj to mamie, nie zapomnij, Edytko!

W trakcie zebrania zrozumiałam, że nie nadaję się na przewodniczącą komitetu rodzicielskiego. Ani w ogóle na żadną. Brak mi po prostu dojrzałości społecznej.

Hannes wepchnął mnie do swojego pokoju. Było jeszcze ciemno. W nos uderzył mnie zapach stęchlizny. Przełknęłam ślinę. Tu stała moja walizka. Pośrodku pomieszczenia zresztą. Dwa oddzielne łóżka - stwierdziłam to z wyraźną ulgą. Ale w jednym już ktoś spał. Ten ktoś pachniał obcym, śpiącym, nieświeżym mężczyzną. Tak jakoś nie domytym. Nie domytnymi nogami, które od dawna są w drodze, szukając ojczyzny i odpoczynku.

- Kto to? - zapytałam i ręką wskazałam na chrapiące prześcieradło.

- Cholera! - zaklął Hannes. - Wczoraj jeszcze go tutaj nie było.

Przyglądaliśmy się więc istocie, która, nie podejrzewając niczego złego, chrapała wśród naszych czterech ścian. Rzeczywiście miała dziwny zapach.

- O Boże! - zawołał nagle Hannes. - To ten Rosjanin.

- Jaki znów Rosjanin? - Nie życzyłam sobie żadnego Rosjanina w swoim łóżku. A na pewno nie takiego, który chrapał i wydierał tak przenikliwy odór.

- To jeden z tutejszych dozorców. Ten z tłustymi włosami. Bez przerwy gada sam do siebie.

- W filmie czy tak naprawdę?

- Słucham?

- No, ma tłuste włosy i gada do siebie?

- Naprawdę!

- Tego tylko nam brakowało!
Milczeliśmy głęboko przejęci.
- Po rosyjsku czy po niemiecku? - zapytałam, by podtrzymać wątek o Rosjaninie.
- Nie mam pojęcia. Nie słuchałem tego, co mówi. - Hannes zbliżył się ostrożnie do poduszki i przyjrzał się spoczywającej na niej głowie Rosjanina.
- Powinien rzeczywiście zmienić olej! - powiedział z wyrazem obrzydzenia na twarzy.
- Znowu przełknęłam ślinę. I to na MOJEJ poduszce!
- Nie będę tu spała! Ani sekundy! - zdecydowałam. - Nawet jeśli będę musiała stać przez trzy tygodnie!
- Uspokój się - powiedział Hannes. - Na pewno wpadnie mi coś do głowy. Jakoś musimy się go pozbyć.
- I jak ty to sobie wyobrażasz? - usiłowałam się dopytać.
- Zawiniemy go w dywan i wyrzucimy przez okno. - Hannes miał bardzo miły pomysł.
- Będą kłopoty! - ostrzegłam. - Choćby z powodu tłustych plam z oleju na dywanie! Ale możemy go obudzić i zapytać, co on w ogóle sobie wyobraża.
- On sobie niczego nie wyobraża. On jest głupi jak but - skomentował Hannes.
- Palcem dotknęłam delikatnie przedramienia śpiącego Rosjanina.
- Proszę pana, co pan tutaj porabia?
Rosjanin zamlaskał.
- On mlaszcze - wyjaśnił Hannes.
- Tego jeszcze brakowało! - powiedziałam, czując obrzydzenie.
- Hannes zebrał się na odwagę i z całej siły potrząsnął Rosjaninem. Rosjanin otworzył na chwilę oczy i zdziwiony zapytał:
- Żizii?
- To pewnie znaczy, gdzie jestem? - domyśliłam się.
- Skąd wiesz?
- To pytanie zadają sobie wszyscy, których gwałtownie wyrywa się z głębokiego snu. Gdzie jestem? - pytają. Możesz sprawdzić w mądrych książkach.

- On sobie nie zadaje żadnych pytań. - Hannes był nadąsany. - Po prostu m łaszczę.

Oboje prychnęliśmy śmiechem, nie panując nad sobą. Rosjanin zupełnie się rozbudził. Leżał w moim łóżku, chrapał, mlaskał i prowadził sam ze sobą nie kończącą się rosyjską rozmowę.

- Co zrobimy teraz?

- Wywietrzymy pokój!

Otworzyliśmy szeroko okno. Do pokoju wpadły promienie słońca. Zapachniało wspaniałym, świeżym letnim powietrzem południowej Francji. W ogrodzie hotelowym był mały basen. Turkusowa woda aż błyszczała w słońcu. Za łączką do opalania stał pawilon, obrosnięty kwiatami, którego zielone okiennice były jeszcze zamknięte.

- Czy jest tu jakiś dozorca albo administrator? - zapytałam. - Musimy zapytać, czy mają jakiś wolny pokój dla mnie.

- Nie ma jeszcze siódmej - odpowiedział Hannes. - Jeśli chcesz, żeby od razu cię znielubili, to zbudź ich już teraz. Radziłbym ci się jednak zastanowić. Wczoraj pracowaliśmy do drugiej w nocy.

- Kręciliście do drugiej w nocy? Przecież byłeś przed piątą w Awinionie?

- No, byłem - odparł. - Ze świeżymi rogalikami.

- Czy to znaczy, że wcale nie spałeś?

- To znaczy.

- A może jesteś troszkę zmęczony?

- Troszkę.

- W takim razie połóż się, Stuhlbein.

- Gdzie? Z Rosjaninem?

- Nie. W tym drugim łóżku.

- A ty?

- Ja stanę w nogach łóżka i będę się przyglądać, jak śpisz.

- Brak zgody.

- Wiem! Pójdę popływać! Tylko nie protestuj!

Tak, to był dobry pomysł. Łaknęłam kąpieli w porannej, chłodnej wodzie. Szybko otworzyłam walizkę, wyciągnęłam kostium kąpielowy i ręcznik.

- Pa, pa, pa!

Zanim Hannes zdążył cokolwiek powiedzieć, byłam już na schodach. Zbiegłam cichutko. Na dworze szybciotko się przebrałam. Jeden rzut oka na zamknięte okna upewnił mnie, że w tym rajku mogę się poruszać swobodnie. Skoczyłam na głowę do chłodnej wody. Co za rozkosz po nocy spędzonej w kuszetce i poranku we francuskim autobusie liniowym. Woda była chłodna i czysta, w sam raz, nie za zimna. Zanurzyłam się i przepłynęłam od jednej krawędzi do drugiej. Prychając, wynurzyłam się z wody. I jak oczekiwałam - pierwsze, co ujrzałam, to twarz Hannesa. Byłabym ciężko obrażona, gdyby natychmiast nie pobiegł za mną. On jednak nie był jeszcze rozebrany. Że też ci mężczyźni są zawsze tacy powolni.

- Zimna?

- Nie! Cudowna! - Prysnęłam wodą w jego stronę i jej krople rozlały się ciemnymi plamkami na dżinsach Hannesa.

- Szukałem kąpielówek, ale nie znalazłem - powiedział, głaszcząc dłońią powierzchnię wody.

- Dlaczego? - zapytałam pływając, żeby nie zmarznąć.

- Bo nie zabrałem ze sobą kąpielówek - zawołał Hannes z brzegu basenu.

- No to po co szukałeś?

- Myślałem, że może Rosjanin ma takowe! - krzyczał.

- Fu! - zawołałam. - Naprawdę ubrałbyś się w jego kąpielówki? Serio?!

- On nie nazywa się Serio! - wołał Hannes.

- A jak? - chciałam naprawdę wiedzieć, jak nazywa się ten biedny, rosyjski chłopiec, błakający się na obczyźnie.

- Nie ma imienia. Możesz go nazwać, jak chcesz.

- Pss! - dałam mu znać, żeby był cicho i podpłynęłam bliżej. - Całe towarzystwo śpi! Dlaczego to akurat ja mam dać temu chłopcu imię?

To był sposób myślenia typowy dla tej aroganckiej zgrai odtwórców drobnych ról. Nikt nie zadał sobie trudu, by po prostu zapytać tego biednego chłopca, jak ma na imię. Był dla nich jedynie Rosjaninem.

- Jak to biednego chłopca?

- Biedny chłopiec leży w cudzym łóżku - powiedziałam z wyrzutem w głosie. - Nikt go nie kocha, nikt się nim nie zajmuje, nikt na niego nie zwraca uwagi, nie mówiąc już o tym, że można by się nim serdeczniej zająć. Teraz leży bez sił, bez chęci do życia, gnije w łóżku z brudu!

- No, ale teraz przyjechałaś ty! - Hannes się uśmiechnął.

- Możesz być pewny, że ja się nim zajmę - powiedziałam oburzona. Greta też by tak powiedziała: „Dziecko, zajmij się nim. Nie wszystkie dzieci mają tak szczęśliwe dzieciństwo jak ty! Będzie ci wdzięczny aż do śmierci!”

- Wspaniale - odparł Hannes. - Na to właśnie liczyłem.

- Ale nie sądz, że w ten sposób się go pozbędziesz! - dodałam. - Potrzebuje miłości i sympatii innych ludzi! Do tej pory za mało się nim zajmowano! Dlatego nie dba o siebie!

- Ależ ja nie mam nic przeciw temu, żebyś się nim zajęła! Wprost przeciwnie!

- Oboje możemy się nim zająć! - zaproponowałam. - Najpierw trzeba go jakoś nazwać.

- Czy jesteś pewna, że dobrze mu się przyjrzałaś?

- Mam już pewne pojęcie... - odpowiedziałam.

- Wydaje mi się, że będziesz się czuła zawiedziona.

- Oczywiście, że najpierw będę się czuła zawiedziona - odparłam.

- I mimo wszystko masz zamiar się z nim zadawać?

- Tak, mam zamiar, ponieważ ktoś musi się nim zająć. On potrzebuje uczucia. No i imienia. Nazwiemy go Śpioch.

- Kogo?

- No, tego faceta w moim łóżku!

- Tego Rosjanina?

- Oczywiście, a o kim rozmawiamy cały czas?

- O najdłuższym lizaku świata! - odezwał się obrażony Hannes. - O moim!

Stanęłam w wodzie i popatrzyłam na niego w osłupieniu.

- Oszalałaś, czy jesteś aż takim megalomanem?

- Sama się przekonasz! - odparł i wskoczył do wody. Tak jak stał. W spodniach i podkoszulku.

- Gdy się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy! - krzyk-

nęłam, udając, że nie zrobiło to na mnie większego wrażenia. -
Przecież mamy kilka tygodni przed sobą!

- O, Charlie, jak ja cię lubię! - powiedział.

- O, Stuhlbein, ja ciebie też!

Objęliśmy się ramionami. Był to początek wspianiałej przyjaźni.

Obudziłam się, bo na policzku poczułam coś mokrego i klejącego się. To coś było czarne.

- Elizo! - trzęsłam się z obrzydzenia. - Od kiedy to załatwiasz się na mojej poduszce?! Czyżbym dawała ci za mało ciepła? Słuchaj, załatwaj się z łaski swojej w pudełku... ELIZO! Co to jest? Co ty mi tu znosisz? Nie chcę tutaj twoich kupek! Psik, zabierz stąd te swoje gówienka! Naprawdę nie zasłużyłam na takie traktowanie! - Jednak gówienka na mojej poduszce zaczęły się poruszać. No i piszczeć. - Elizo, przecież to twoje dzieci! O cudowne zwierzątko, wspaniała z ciebie mamusia! Przyniosłaś mi swoje maleństwa na znak, że mnie kochasz! Wybacz mi, że aż tak się pomyliłam! Ojej, jakie one małe i mokre! Dajesz mi je w prezencie? - Byłam wzruszona do łez.

Eliza chodziła bez przerwy tam i z powrotem. Na mojej poduszce leżały już trzy maleństwa, czarne, ślepe i obrzydliwe. Teraz szła z czwartym w pyszczku. Ostrożnie, bardzo dumna, ale i bardzo naturalna w tym swoim macierzyństwie, niosła mokre ciało między zębami, następnie położyła je - całkiem świadomie! - na mojej poduszce.

- Elizo! - krzyknęłam. - Składam ci gratulacje! I to wszystko zrobiłaś sama?! Podczas gdy ja spałam?!

Eliza stanęła na chwilę, by wysłuchać moich pochwał. Po chwili ruszyła ponownie.

- Ile ty ich masz?

Bałam się poruszyć, żeby ślepe maluchy nie sturlały się z poduszki. Eliza przyniosła mi jeszcze jedno maleństwo. Potem wskoczyła na poduszkę i wcisnęła się między mnie a dzieci.

- Pięć kociąt! Pięć malutkich kociazków! Całą tę piątkę miałeś jeszcze przed chwilą w brzuszku!

Nie mogłam się uspokoić. Głaskałam lśniącej futerko położ-

nicy. Eliza ocierała głowę o moją rękę i głośno mruzczała. O tak, pękała z dumy, z matczynej dumy. A ja, która zawiodłam już raz jako położna, teraz byłam jedyną osobą, której mogła zaufać. Nie należało się spodziewać, że do jej legowiska podejdzie jakiś dumny kocur z pękiem czerwonych róż i pierścionkiem ozdobionym brylantami i kilkoma innymi szlachetnymi kamieniami. Nie należało się spodziewać również położnej, która udzieliłaby młodej mamie kilku praktycznych porad dotyczących karmienia piersią i depresji połogowej.

I chociaż nigdy nie miałam w rękę praktycznego podręcznika *Mały kotek w roli rodzica* i nie znałam bogato ilustrowanego rozdziału z tegoż dzieła poświęconego małym kiciom, czyli kochanym mamuśkom, to, wiedzona intuicją, wiedziałam, że moja Eliza potrzebuje przede wszystkim miłości i słów uznania.

- Przecież mogłaś mnie obudzić! - powtarzałam kilkakrotnie. - Oddychałabym razem z tobą podczas bólów porodowych! - Eliza przymknęła oczy.- Przynajmniej pępowinę bym odcięła! - głądziłam.

Wiedziałam, że moja kocia przyjaciółka mi nie wierzy. Zabrała się za lizanie swoich maluszków. Myła języczkiem te mokre, małe ciątka, jedno po drugim, wbijając lekko pazurki w bezwładne kocięta.

- Ależ Elizo! Delikatnie!

Popatrzyła na mnie z dezaprobatą, jak gdyby chciała powiedzieć: „Nie gadaj głupot i nie wtrącaj się do mojego sposobu wychowywania! Lepiej zrób nam śniadanie!”

- Wybacz, kochana! - powiedziałam i podniosłam się. - Czy masz apetyt na coś określonego? Może łyk szampana?

Podreptałam - nago, tak jak spałam - do kuchni i nastawiłam wodę na kawę. Potem ze spiżarki wyciągnęłam puszkę żarcia dla kotów, otworzyłam ją i przybrałam smakołyk, smakowicie pachnący nereczkami i flakami, zieleniną. Włożyłam wszystko do srebrnego pucharu, który kiedyś wygrałam w turnieju tenisowym. Z braku listka mięty użyłam zielonej pietruszki.

Wróciłam do pokoju, niosąc w jednej ręce dzbanek z kawą, a w drugiej śniadanie dla kota. Gdy dotarłam do łóżka, zadzwonił dzwonek u drzwi.

- Po co dorobiłam ci drugi klucz, skoro dzwonisz? - zawołałam wesoło. Otwierając łokciem drzwi, krzyknęłam z entuzjazmem: - Chodź, kochany, do łóżka i zobacz, jaki cud natury tam leży! - Następnie podreptałam do sypialni. Gdy przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał, dodałam:

- Nie bój się, Stuhlbein! To wspaniały widok! Chodź, zobacz, a nie będziesz żałował! Wszystkie te wspaniałości leżą na poduszce!

Brak jakiejkolwiek reakcji. Wyszłam więc na korytarz. Co z nim? O co tu chodzi?

- Jeszcze nigdy nie widziałeś tak słodkich, nagich, błyszczących, delikatnych...

Zamarłam.

- Widziałem - odezwał się Ernstbert Schatz, patrząc gdzieś w sufit. - Właśnie teraz...

- O, to pan! - jęknęłam. - Nie spodziewałam się pana! Nie w tej postaci!

- Ja pani w tej postaci też nie! - powiedział dość zirytowany Ernstbert Schatz, mrugając oczami za swoimi szarymi oprawkami. - Ale jestem miłe zaskoczony.

Wcisnęłam mu żarcie dla kota i dzbanek z kawą.

- Niech pan wejdzie do środka! Ja się szybko ubiorę.

Mówiąc to, zrozumiałam, że popełniłam następną gafę. Ponieważ poprosiłam go do sypialni, nie mogłam wejść - goła jak święty turecki - po świeże majtki w szafie stojącej właśnie tam. Musiałabym przebiec przez pokój i na jego zdumionych oczach otworzyć szafę i je wyjąć.

Nie demonstruj golizny, ty ofiaro! Zachowuj się tak, jak gdyby nic się nie stało. Ten mężczyzna ma klasę. On też będzie się tak zachowywał, jak gdyby nic się nie stało.

Dżentelmen rozkoszuje się i milczy.

Wróciłam więc do łazienki i zajrzałam do kosza na bieliznę, mając nadzieję, że znajdę w nim parę majtek. Niestety, w koszu leżały tylko dwa ręczniki. Co zrobić w takiej sytuacji? Muszę jakoś sobie poradzić! Nie ma sytuacji bez wyjścia. Wyciągnęłam te dwa ręczniki. Jednym obwiązałam się od góry, drugim od

dołu. I tak wyszłam do gościa, uśmiechając się miło, jak to zwykle w takich sytuacjach się robi.

- Jak to miło z pana strony, drogi doktorze, że pan do mnie wpadł! Czy napije się pan ze mną kawy? A może niepotrzebnie zabieram pański cenny czas?

Ernstbert siedział w swoich nieodzwonnych spodniach z elanobawełny obok łóżka i przyglądał się - cokolwiek nieobecny duchem - kotkom na poduszce. Kawę i żarcie dla kota postawił na nocnym stoliku, na kiczowatej powieści Daniela Paletti. Środkowym palcem głaskał jednego kotka, którego sierść była jeszcze mokra. Był to wzruszający widok.

Eliza siedziała tak, że mogła pałaszować, nie opuszczając łóżka. Pożarła całe śniadanie w okamgnieniu, nie spuszczając wzroku z pana rewidenta księgowego. Przyglądała mu się nieufnie, mrużąc oczy.

No proszę, a jednak! A jednak ma gościa, który składa jej wizytę przy łóżku połogowym! I to jakiego! Pana z wyższym wykształceniem! Z tytułem doktorskim! Zasłużyła sobie na to!

Pan Schatz spojrział na mnie przelotnie, gdy w tym dość śmiałym stroju stanęłam w drzwiach sypialni. Jego zez przybrał na sile, ale twarz zachowała kamienny wyraz.

Na ręczniku opasującym mój biust widniał napis: „Hotel Bornheim”, a na tym na dole: „Hotel Berlin”. Było mi okropnie głupio, że pan rewident księgowy już na tak wczesnym etapie naszej znajomości został skonfrontowany - i to w sposób dość brutalny - z moją manią zabierania ręczników z hoteli.

Ale pan Schatz był dżentelmenem. Nie wspomniał ani słowem o tym, że kradzionych ręczników nie mogę odliczyć od podatków. Pomiął ten temat gładko.

Usiadłam obok niego na dywanie, nalałam kawy i zapytałam:

- Co pana sprowadza do mnie o tak wczesnej porze?

Byłam w świetnym humorze. Podałam mu filiżankę z kawą.

- Jesteś niesamowitą kobietą! - odpowiedział. W jego słowach zabrzmiała namiętność, jakiej się po nim nie spodziewałam.

O! Panie doradco podatkowy! Co pana napadło?

- Nigdy jeszcze nie spotkałem tak namiętnej kobiety!

Patrzyłam na niego przerażona. Dlaczego nagle mówi do mnie

na ty? No i te śmiałe zwroty! Co wstąpiło nagle w mojego doradcę podatkowego? Co za poufałość! Doprawdy w złym stylu! Natychmiast muszę sprawę wyjaśnić! Co on właściwie sobie myśli?! Z kim on ma do czynienia?! Co to wszystko znaczy?!

- Panie Schatz, ja pana bardzo proszę... - mówiłam, bawiac się zresztą setnie.

No, czekaj, mój ty rewidenciku księgowy, ja ci pokażę! Nie ze mną te numery! Kto tu wpadł nieproszony? Ja czy ty?! I czego ty tutaj szukasz o tak wczesnej porze? Nie masz swojego domu? To jest mój dom, ja tu mieszkam i mogę sobie chodzić nago, skoro tak mi się podoba! Zrozumiałeś?!

Jak zareagowałaby na takie słowa moja wielce szanowna koleżanka, słynna aktorka, pani Vera Beata Wondratschek? Ona ma często do czynienia z takimi facetami. Elegancka, wytworna dama potrafiłaby bez trudu poradzić sobie z tego rodzaju impertyncją i pokazałaby takiemu, gdzie jego miejsce.

Vera Beata, w jedwabnej sukni z głębokim wycięciem, w którym falowałyby obfity biust, powiedziałaby uśmiechając się chłodno:

- Pan tu zjawił się nieoczekiwanie. Pan, a nie ja! Gdyby zapowiedział pan swoją wizytę, byłabym oczywiście ubrana i starannie przygotowana na to spotkanie. A więc to pan mnie naszedł, a nie odwrotnie. I niech pan nie myśli, że należę do tych kobiet, które, przeżywając trudne lata średniego wieku, oczekują, kompletnie ubrane, o wpół do ósmej rano na listonosza!

- Na doradcę podatkowego! - przerwał mi.

- Kimkolwiek pan jest, ja na pana nie czekałam! - wtrąciłam grzecznie. - Ani ubrana, ani nie ubrana!

- Ale ja nie mogę ciebie zapomnieć! - wyrzucił z siebie.

- Ależ pan wcale nie musi... - odezwała Vera Beata Wondratschek łagodnym głosem, uśmiechając się, bo te słowa pochlebny jej bardzo. Ręką pogłaskała go po rozczochranych włosach. - Bardzo się cieszę, że pan nieustannie myśli o moich zeznaniach podatkowych.

- Charlottto! - Ernstbert sapał. Po jego twarzy spływały krople

potu nie spełnionej namiętności. - Nie zachowuj się tak, jak gdyby nic się nie stało!

Krew mi zamarła w żyłach. Co to znaczy? Sen czy jawa? Vera Beata rozplynęła się w powietrzu i w jedwabnym negliżu wyniosła się z pokoju, znikając przez sufit. Nie spuszczałam wzroku z doradcy podatkowego.

- Co pan powiedział?

- Przecież my.... wczoraj... na dywanie.... w pokoju obok... ja... ty... chciałem powiedzieć... my...

- Co my w pokoju obok? - pytałam, ale mój głos już się załamywał.

- Ty zaczęłaś! - powiedział niczym mały chłopiec.

- Co zaczęłam? - zapytałam ze wzrastającym lękiem.

Czyżby doszło naprawdę do...? Naprawdę? Ja przecież tylko o tym pomyślałam!

A przecież było tak miło. Inaczej nigdy bym nie przeżyła tego wieczoru! On cały czas prawił coś monotonnym głosem. W myślach robiliśmy to razem, tak to prawda, ale tylko w moich myślach! Miałam tylko takie fantazje. Nic więcej. Tylko fantazje, tak na niby!

Zastanowiłam się. A może znowu coś sobie uroiłam? Może się znowu nudzę i od razu zaczynam fantazjować? Na pewno znowu puściłam wodze fantazji. Znowu pada deszcz, znowu jest ryba na obiad i nikt nie chce się ze mną bawić. Już jako dziecko miałam niezwykle żywą fantazję. Uciekałam w świat moich myśli. Wtedy nie było jeszcze telewizji i gier komputerowych.

Ale to, co się tutaj działo, nie było wytworem moich brudnych fantazji. Mój doradca podatkowy, we własnej osobie, siedział obok mnie, głaskał kota i jękając się, pytał:

- Charlotta, dlaczego negujesz to, co się stało? Dlaczego nie przyjmujesz tego do wiadomości?

- Bo niczego między nami nie było! - odparłam, doskonale naśladowując ton Grety.

My nie mogliśmy mieć ze sobą stosunku! Za żadne pieniądze! Nie chcę słuchać tych głupot!

- Panie Schatz! - odezwałam się, nadal naśladowując Gretę. Czyli grzecznie, ale bardzo stanowczo. Z dystansem. - Co pan

sobie uroił? Pan pomagał mi wypełnić formularz celem obliczenia podatków. Razem wypiliśmy kieliszek wina. A potem poszedł pan sobie do domu. Czy pan mnie rozumiał?

Pan doradca podatkowy popatrzył na mnie - mrugając oczami - troszkę zirytowany.

- Tak - odparł. - Powiedziała mi to pani bardzo wyraźnie. - Chrząknął. - Czy mogę umyć ręce? Dotykałem tych małych zwierzączków.

No widzisz, rozumiałeś. Wreszcie rozumiałeś, że sobie coś uroiłeś. Najwyższa pora.

- Proszę - odezwałam się. - W łazience. Prosto i na prawo.

Wstał, co przy jego wroście i tuszy nie było wcale takie proste. Z hałasem odstawił filiżankę. Eliza przerażona uciekła pod łóżko.

Nie chciałam wyjść z tego spotkania jako strona przegrana. Nagle zjawiła się ponownie Vera Beata Wondratscheck. I odezwała się w te słowa:

- Proszę pana! W łazience nie ma, niestety, ręcznika!

Pan doradca podatkowy, który stał już w drzwiach, odwrócił się zirytowany. Nie rozumiał, co się dzieje.

- Proszę, niech pan weźmie ten! - powiedziała Vera Beata, uśmiechając się uprzejmie.

Całkiem oszołomiony wziął do ręki ręcznik z napisem „Hotel Bornheim”.

- Dziękuję, to bardzo miłe z pani strony! - wyjąkał i szybko opuścił pokój, nie oglądając się już za siebie.

Vera Beata rozłożyła się na poduszce w dość lubieżnej pozycji i rozmarzona głaskała kotkę. Z korytarza dobiegł ją odgłos zatraskiwanych drzwi wyjściowych. Na jej ustach zaigrał zwycięski uśmiech. Ale nierozsądny i porywczy z niego chłopiec. Najwyższa pora, by go ożenić.

- Halo, pani Pfeffer? Charlotta Pfeffer? Czy rozmawiam z panią Pfeffer? Pani doktor Anita Bach z *Naszego małego szpitalika!*

- Tak. To ja. - Byłam już lekko zirytowana. Dałam dzieciom

znak, by nie łąły wody z węża ogrodowego prosto do pokoju. - Słucham? W czym mogę pani pomóc?

- Dzień dobry pani! Mówię z programu telewizyjnego *Wizerunki kobiet*. Nazywam się Dora Doering. Czy zna pani naszą audycję?

- Jaką audycję?

- *Wizerunki kobiet*. Program prowadzony przez Jochena Mueckiego*!

- Niestety, przykro mi...

- No, nic nie szkodzi. Najważniejsze, że my znamy panią!

- Tak... i... Ernie, nie chlap! Nie lej wody do pokoju!

- Przygotowujemy program o twardych kobietach. O kobietach nadzwyczajnych, o kobietach, które postępują w sposób niekonwencjonalny...

- Niczego nadzwyczaj niekonwencjonalnego nie robię! - odparłam. - Niestety! Ernie, jak nie przestaniesz łąć wody, stłukę ci tyłek!

- Widzi pani, to mi się podoba! - pani Dora z *Wizerunków* się roześmiała. - To lubię! Kobiety, które obiema nogami mocno stąpają po ziemi i robią karierę. Zapraszamy panią do udziału w naszym programie!

Nie miałam najmniejszej ochoty do dyskusji z tą madame, niezależnie od tego jak mocno i iloma nogami stapałam po ziemi. Także nie miałam ochoty wypowiadać się na temat swojej kariery. Co ją właściwie obchodziło, w jakim stopniu rola doktor Anity Bach zaspokajała moje ambicje zawodowe, które kiedyś tam miałam? Rola pani doktor Anity Bach w serialu *Nasz mały szpitalik* na pewno nie była rolą, o której marzyłam całe życie. Ale co jej do tego?!

Jednak zapraszają mnie! To oznaczało powiew odrobiny świeżego powietrza w naszej zatęchłej budzie! Wreszcie coś się będzie w naszym nudnym życiu działo!

- A gdzie się mieści redakcja tych *Wizerunków*?

- W Monachium.

* *Muecke* - komar.

- Uwielbiam Monachium. Sama wielkość kufla do piwa w porównaniu z kuflami w Kolonii...

- A więc weźmie pani udział...

- To zależy kiedy? Mój kalendarz spotkań jest zapełniony.

- W przyszłą środę. O ile pani to odpowiada. Nasz program jest zawsze emitowany w środy. Tym razem poświęcony jest typowym konfliktom między matkami a córkami.

- Przykro mi, ale muszę odmówić. Po pierwsze nie przeżywam żadnych typowych tego rodzaju konfliktów. Ponadto moje dzieci chodzą w środę do pana Eberleina na lekcje śpiewu, co jest szalenie istotne we wczesnej fazie ich twórczego muzycznego rozwoju...

- Dzieci może pani przywieźć ze sobą! Nawet powinna pani! - pani Dora pospiesznie wyjaśniła w czym rzecz. - Zawsze zapraszamy osoby bliskie naszym gościom. To właśnie sprawia, że program *Wizerunki kobiet* jest tak ciekawy!

- No tak, ale czy napiszecie mi usprawiedliwienie dla pana Eberleina?

- Ależ oczywiście! To dla nas drobiazg, jak się pani zapewne domyśla - uspakajała mnie redaktorka. - Żeby pani wiedziała, ile takich zwolnień wystawiamy co tydzień dla uczestników naszego programu! Zorganizowaliśmy w tym celu specjalne biuro!

- No, dobrze - zgodziłam się. - W takim razie przyjedziemy.

Być może ta następna środa będzie bardziej urozmaicona niż te wszystkie inne środy, kiedy wiodę żywot szofera. Przelot samolotem do Monachium to na pewno ciekawsze, niż jazda z dziećmi na lekcję śpiewu i powrót do domu po upływie godziny. Z przyczyn wychowawczych nie wolno mi mianowicie brać udziału w zajęciach szkółki muzycznej, nie mówiąc już o śpiewaniu. Podczas zajęć prowadzonych przez pana Eberleina nudziłam się straszliwie, bo nie mogłam brać udziału w próbach, a tak chętnie pośpiewałabym sobie ze żwawym panem nauczycielem, którego uduchowiony baryton chwycił mnie za serce.

- *Mały piesek imieniem Szczutek!* - wołał z przejęciem co tydzień nad swoją fisharmonią, a maluchy, okradzione z wolnego czasu, siedziały i ziewały, wymachując nogami w ławkach.

Już kilkakrotnie Ernie zasnął w czasie zajęć i mało brakowało, a spadłby z krzesła. - *O żółty i czerwony jedwabiu!* - zaintonował pan Eberlein gwałtownie, a Ernie aż zadrżał cały. Następnie dzieci musiały znieść jeszcze piosenkę o cioci. Ernie zasypiał z nudów i zmęczenia.

Bert też cierpiał i w skrytości ducha tęsknił za swoim komputerem. Ja jednak byłam zdania, że dzieci powinny poznać skarbnicę pieśni niemieckich i że była to świetna okazja. Ja będąc dzieckiem też musiałam przez to przejść. Z nami nikt nie ćwiczył przy fisharmonii. Za żadne pieniądze. Mowy nie było.

Nieznosny czas środowej samotności spędzałam zwykle sortując śmieci: makulaturę wносиłam do specjalnego pojemnika na papier, opakowania szklane wносиłam do zalatującego kwasem kontenera z okrągłą dziurą, wokół której krążyły pijane osy, oblegając chmarami ten metalowy bunkier. O, żywot matki i gospodyni domowej był wspaniały! A przecież jest tyle możliwości spędzenia czasu w inny sposób. W sposób twórczy! To był świetny trening kobiecej umiejętności organizowania sobie wolnego czasu. Mimo to miałam ochotę spędzić jedną środę inaczej niż zwykle.

Nagle nabrałam ochoty na wypad do Monachium. Wyobraziłam sobie, jak idę z dziećmi przez słynny rynek, na którym sprzedaje się wiktuały z całego świata, trzymam dzieci za rączki i pokazuję im najróżniejsze egzotyczne owoce.

- Czy mogłaby pani przyjechać ze swoją matką? - zapytała pani Dora. - Jak już wspomniałam, mowa będzie o typowym konflikcie między córką a matką...

- Greta nie może! - odpowiedziałam. - W środę gra w amatorskim kółku teatralnym.

- No tak, ale skoro prosimy panią o zabranie głosu w sprawie konfliktów między matkami a córkami, to byłoby wskazane, by pani matka też mogła zająć stanowisko w tej kwestii.

- Ale przecież już powiedziałam pani, że między nami nie ma żadnych konfliktów! I nigdy nie było! Usiądziemy w kącie i nie powiemy ani słowa! Będziemy się po prostu nudziły!

Będziemy się nudziły tak samo jak wówczas, gdy ktoś gra

na skrzypcach lub przemawia uroczyście. Wtedy zaczynamy sobie kpić i żartować. No i audycja może się nie udać.

- Jest tyle osób, które tylko o tym marzą, by dostać zaproszenie do udziału w programie telewizyjnym. Chcą za wszelką cenę wystąpić w telewizji i zabrać głos, obojętnie na jaki temat...

- Ależ droga pani, ja codziennie występuję w telewizji! Codziennie o czwartej!

- A matka pani? Czy ona również występuje codziennie o czwartej w telewizji?

- Nie. - Musiałam uczciwie przyznać, że nie. Wszystko zgodnie z prawdą.

- No, widzi pani. Więc proszę, niech pani pomyśli trochę o swojej matce. Niech jej pani zaproponuje przyjemne popołudnie w Monachium! Nie będzie pani tego żałowała!

- Ale między nami nie ma żadnych konfliktów - zapewniłam raz jeszcze. - Naprawdę nie wiem, jaka ma być nasz rola w tej audycji!?

- O, być może przypomni się paniom jakiś mały konflikt! - wtrąciła pani Dora. - Jakiś mały, malutki. Gdyby panie zadały sobie odrobinę trudu i zastanowiły się we dwie nad tym pytaniem, to może by jednak znalazł się jakiś malutki konflikt między paniami? To może być błahostka, coś, co zaszło przed wieloma laty.

- Ale skąd taki temat? Dlaczego jesteście zainteresowani właśnie konfliktami między córkami a matkami? - zapytałam. - Przecież można by pogadać sobie miło, pogawędzić na jakiś sympatyczny temat...

- Nasz następny program poświęcony jest właśnie tej kwestii. Konfliktom między matkami a córkami - redaktorka tłumaczyła mi cierpliwie. - Zaprośiliśmy kobiety, które są albo matkami, albo córkami. Ponieważ pani jako nasz prominentny gość ma, niestety, jedynie synów, musimy zapewnić sobie udział pani matki. I proszę sobie uświadomić, że widzowie, którzy codziennie oglądają *Nasz mały szpitalik*, obejrzą również spotkanie z panią. To w istotnym stopniu podniesie oglądalność.

- No dobrze, zrobię to dla pani - odparłam.

Rzeczywiście byłam to winna obrotnej redaktorce. Skoro mnie już zaprosiła do Monachium, skoro mi obiecała pisemne usprawiedliwienie dla pana Eberleina, to powinnam okazać odrobinę dobrej woli i uchylić rąbka tajemnicy, by milionowa rzesza telewidzów mogła poznać mnie prywatnie. Przecież była to tylko mała uprzejmość! Podczas gdy ona była gotowa zafundować mnie, dzieciom i Grecie bilety lotnicze do Monachium!

Ernie trzymał węża w taki sposób, że woda lała się na okna. Strumień wody uderzał z impetem o szyby, malując tajemnicze wzorki na szkle. Woda waliła tak głośno o szyby, że nie słyszałam swoich słów. Nie ingerowałam. Dzieci uzdolnione muszą od czasu do czasu zachlapać świeżo umyte szyby w oknach lub pohłasować. To całkiem normalne zjawisko polegające na pojmowaniu i rozumieniu świata. A mamuśki tych dzieci nie powinny się im przyglądać podczas tego typu eksperymentów. Kiedyś, gdy już dorosną, staną się świadomymi swej wartości ludźmi, bo jako sześciolatek maluchy mogły bezkarnie oblewać szyby w oknach. Jeśli Ernie i Bert dostaną kiedyś zaproszenie do udziału w programie telewizyjnym o seksownych facetach, to nie będą umieli powiedzieć niczego o konfliktach między matką a synami. Wyrosną z nich nudni, bezkonfliktowi faceci, których nikt nigdy nie zaprosi na rozmowę do telewizji!

Ja jestem inna! Ciemniejsza i prześladowana. O moich losach decydowali zawsze inni. Mnie nigdy nie wolno było oblewać wodą świeżo umytych okien naszego mieszkania.

- Zobaczę, co się da zrobić! - zawołałam do słuchawki. - Jakiś konflikt na pewno się znajdzie!

- Wiedziałam, że mogę na panią liczyć! - ucieszyła się bardzo pani Dora po drugiej stronie kabla. - A więc czekamy na panią i pani matkę! Oraz dzieci! Bilety lotnicze wysyłamy pocztą! Nasz telewizyjny kierowca odbierze wszystkich uczestników programu!

- Greto, chyba jestem w ciąży.

- Nie jesteś w ciąży. Nie chcę słuchać takich głupot.

To był jej sposób na życie. Greta nie chcąc przyjąć czegoś

do wiadomości, negowała fakty. W ten sposób ignorowała wszystko, co jej w jakimś sensie nie odpowiadało. Prawdopodobnie będąc ze mną w ciąży do samego porodu powtarzała lekarzom, że to nieprawda, że rodzic nie będzie i żeby nie zwracali jej głowy takimi głupotami. I tak to było, aż do momentu, kiedy zaczęły się bóle porodowe.

Chciała zostać aktorką. A ja jej przeszkodziłam. Nie twierdzę, że zrobiłam to złośliwie. Nie odczuwałam też radości z jej nieszczęścia. Przychodząc na świat nie odczuwałam nic i nie miałam też żadnych zamiarów. Przyszłam na świat i, szast-prast, pokrzyżowałam mojej ślicznej i zdolnej matce wszystkie życiowe plany. No i uniemożliwiłam zrobienie kariery aktorskiej. Nigdy nie została aktorką. Ja byłam temu winna. Ja, tylko ja. Przyszłam na świat, uniemożliwiając jej zrobienie kariery. Tak się po prostu nie postępuje. Gdyby każdy tak się zachowywał, zapanowałby straszliwy chaos.

Niestety, nie udało się Gercie zdobyć dla mnie jakiegoś w miarę normalnego ojca. Greta nie miała takich możliwości, jakie obecnie mają kobiety. Nie wywieszała więc na tablicy ogłoszeń w Szkole Aktorskiej karteluszków o następującej treści: „Szukam mężczyzny, który zamieszkałby ze mną i moim dzieckiem”. Przy karteluszkach numer telefonu, dwadzieścia razy ten sam. W latach sześćdziesiątych układy były o wiele bardziej skomplikowane niż obecnie. Nie było właściwej atmosfery społecznej, w której zaakceptowano by wprowadzenie instytucji ojca do wynajęcia lub wypożyczonego taty.

Wtedy kobieta oczekiwała, tak mi przynajmniej opowiadała Greta, by mężczyzna troszczył się o nią i utrzymywał ją. Za to ona świadczyła mu najbardziej upokarzające, a rozliczne usługi rozmaitego rodzaju!

Greta nie miała ochoty zawierać tego typu umowy o pracę, i to mi się bardzo w niej podobało. Jak na tamte czasy, była bardzo postępową. Znała dwóch mężczyzn. Nie chciała mi jednak powiedzieć, jak długo i jak blisko ich znała. W każdym razie w grę wchodziło dwóch facetów. Tak, Greta była jednak bardzo nowoczesną kobietą!

Skrycie podziwiałam ją, ale ona milczała na ten temat jak

zakłeta. Tym bardziej że panowie żenić się nie mogli lub nie chcieli. A więc nie ma o czym mówić. Koniec. Ani słowa więcej na ten temat! Dość! Za żadne pieniądze! A na dodatek manto!

Jestem również zdania, że Greta postąpiła bardzo nowoczesnie nie rzucając się w cherlawe ramiona byle jakiego urzędniczyny, by dbać o jego szary, mieszczański garnitur i gotować mu codziennie do pracy jarzynkę z marchewki i groszku, którą on zabierałby ze sobą w aluminiowym pudełku z uchem. Szanowałam ją za to bardzo. Czasy wtedy były przecież całkiem inne!

Greta chciała być samodzielna. Najpierw dostała pracę w parafii. Została sekretarką w kancelarii parafialnej. Bardzo tam o nią dbano. A i ona zaangażowała się w tę pracę. Bardzo dbano też i o mnie, malucha nieślubnego, lecz uroczego. Przed oczyma mam następujący obrazek: pokój dobrodusznego pastora, staruszka palącego długie, brązowe cygara. Ja leżę na dywanie i czeszę frędzle. Robię to z przejęciem.

Czuję zapach cygar. Słyszę głos jego gospodyni, starej panny, dobrej kobiety. Stoję z nią w pralni, przy balii. Pozwala mi śpiewać: *Panie, przychodzimy tutaj obciążeni winą*. Ta pieśń była przez wiele lat moją ulubioną melodią. Znałam tylko pieśni kościelne. Ale one były naprawdę piękne i wszystkie kobiety zatrudnione w gospodarstwie pastora śpiewały je żywo, żarliwie i z przejęciem. Ciocia Feldblume, gospodyni pastora, była dla mnie czymś w rodzaju babci. Lubiła, gdy byłam przy niej, bo przecież stanowiłam pewną odmianę w ich dość monotonnym życiu.

Gdy miałam trzy latka, poszłam do przedszkola ewangelickiego. Tam było mi cudownie, jak u Pana Boga za piecem. Byłam dzieckiem całej parafii. Niczego mi nie brakowało. Byłam częścią inwentarza. Miałam przyjaciół, towarzyszy zabaw i mnóstwo społecznych kontaktów. Greta nie musiała jeździć ze mną na jakieś zajęcia dla raczkujących dzieci, na których uczą się one poznawać same siebie i inne maluchy. Nie musiała wozić mnie na lekcje śpiewu i zajęcia baletowe. Cała, bardzo bogata oferta społeczno-kulturalna, o ile wolno użyć takiego określenia, była realizowana w tym domu, w którym żyłam.

Później, gdy byłam starsza, pomagałam jej w pracach biurowych, nosiłam listy pastora na pocztę, pracowałam jako goniec. Byłam rozgarniętym, komunikatywnym i radosnym dzieckiem. Greta, niestety, straciła wiele ze swojej pierwotnej radości życia. Była sekretarką pastora, a nie aktorką, o czym zawsze marzyła. Nigdy nie wolno mi było mówić do niej per mama. Być może pociągnęłoby to za sobą zbyt wiele ciekawskich pytań ze strony różnych dewotek, które, wystrojone w charakterystyczne kapelusiki, były częstymi gośćmi w naszym domu. Wujek pastor i ciocia Feldblume, Greta i ja. Dla mnie stanowiło to najnormalniejszy układ na świecie. Dbano o nas. Byłyśmy bezpieczne.

Ale w Grecie nie wzbudzało to zachwytu. Zachwyt objawiałaby, gdyby mogła zostać aktorką. Zrozumiała była więc jej reakcja, gdy dwadzieścia pięć lat później jej ukochana i zniechęcona flejtuchowata córka, zmywając naczynia, mimochodem rzuciła, że jest w ciąży.

Nie mogłam być w ciąży. Za żadne pieniądze.

- Skąd wiesz, że jesteś w ciąży? - zapytała wreszcie.

Sunęłyśmy ostrożnie w skarpetkach przez kuchnię, uważając na kocia, które cieszyły się życiem, baraszkując po kuchni. Nie chciałyśmy na któreś nadepnąć.

- Byłam u lekarza - powiedziałam z żalem w głosie.

- Nie chcę słuchać takich głupot! - rzekła rozgniewana. Energeticznymi ruchami szorowała zlewozmywak. - Nie byłeś u lekarza.

- Byłam. Jestem w ciąży. Mam to na piśmie.

- Na piśmie? - Greta opadła na krzesło.

- Przykro mi, Greto, bardzo. Mam już książeczkę zdrowia matki i dziecka.

- Nie masz żadnej książeczki zdrowia matki i dziecka! Co za bzdury! My żadnych książeczek matki i dziecka nie miałyśmy! Ty tylko chcesz zwrócić na siebie uwagę!

Moja rezolutna Greta znowu wstała. To niemożliwe! To niedopuszczalne, żeby taka młodzianka dziewczyna - taki szczeniak! - która dopiero co skończyła studia na Wyższej Szkole Aktorskiej i nie miała cienia nadziei na jakikolwiek angaż w jakimkolwiek teatrze, najpierw przynosiła do domu książeczkę

zdrowia matki i dziecka. Na domiar złego będąc panną! I co z tego, że są lata osiemdziesiąte! Po tych wszystkich przeżyciach, przez które ona przeszła będąc młodą dziewczyną i wychowując dziecko bez ojca! Nie z nią te numery! Nie z nią, panią Gretą Pfefferkorn, panią, która udzielała się w parafii. I dlatego była w tej sytuacji całkowicie bezradna. - Wykluczony, żebyś była w ciąży! Chodź no tu, bo cię trzasnę! - Znów opadła na krzesło.

Złapałam jedno z kociąt i usiadłam z nim przy stole. Kotek dreptał niezręcznie po stole między talerzami a filiżankami, aż wreszcie sturlał się na kolana Grety. Głaskała go, ale widać było, że jest nieobecna duchem.

Słodkie, urocze, puszyste kociątko. Takie kocie dziecko. Koci maluszek. Jedno z tej piątki, która mi codziennie susia w mieszkaniu, ściąga kotary, rozrzuca wióry, nadgryza nogi stołowe, ostrzy pazury o drzwi szafy, obsrywa dywan w pokoju i rozszarpuje majtki leżące w łazience na koszu z brudną bielizną. I regularnie wchodzi na termę, do mamuśki, czyli Elizy, by tam stoczyć bitwę o najlepsze miejsce przy sutkach i tę udręczoną matkę, to biedne zwierzątko, wydoić do reszty, przepychając się przy tym straszliwie i popiskując.

I coś takiego dojrzewało we mnie. W kwiecie mojego wieku.

- Z kim jesteś w ciąży? - Usta Grety ułożyły się w prostą, wąziutką linijkę.

Postanowiłam przejść do ataku.

- Ty mi nigdy nie powiedziałaś, z kim mnie masz. A ja nigdy ciebie o to nie zapytałam.

Zapadło milczenie. Greta głaskała kocie. W jej oczach stanęły łzy. Popatrzyła na mnie.

- A więc, z kim jesteś w ciąży?

- Z Hannesem. Nie znasz.

- Z tym młokosem? Z tym, z którym byłeś we Francji?

- Tak.

- Przecież on ciebie nie utrzyma.

- No, nie. Ależ co ci przyszło do głowy? Dlaczego on ma mnie utrzymywać?

- A kto ma cię utrzymywać? Własnym uszom nie wierzę!
Że też ty mi taki robisz numer...

- Utrzymywać... - naśladowałam ją złośliwie. - Mam zawód.
Utrzymam się sama. W końcu ciebie też nikt nie utrzymywał.
I byłaś straszliwie z tego dumna.

- Ale ty nie jesteś jakąś urzędniczyną w parafii! - krzyknęła
rozjuszona. - A wujek pastor i ciocia Feldblume już dawno
odeszli z tego padołu!

- Ja bym wolała pracować w swoim zawodzie - rzuciłam
nonszalancko. - Na pewno nie jako urzędniczka w parafii!

- CIĘŻARNA aktorka! BEZ angażu! Masz wymagania!

- Tak, takie wypadki się zdarzają.

- A kto zajmie się dzieckiem? Tylko nie myśl, że JA! Ja
się dzieckiem nie zajmę! Nie licz na to! Za żadne pieniądze!

- Mimo to nie zamierzam oddać dziecka do adopcji - ry-
czałam zrozpaczona.

Ze względu na mój stan Greta nie zareagowała gniewem na
tę moją wypowiedź. Przyglądała się kotkowi, który na jej ko-
lanach zwinął się w kłębuszek. Kotek miał na imię Erwin. Po-
znawałam kocicęta po wstążkach, które nosiły na szyi. Ta była
zielona, a więc był to Erwin.

- Czy on już wie?

- Kto? Hannes? Nie, nie wie.

- I co teraz? Jak ty to sobie wyobrażasz?

- Nic mu nie powiem. Jest taki młody i niewinny...

- I ty to nazywasz niewinnością! Zapłodnił cię i jest nie-
winny! Przecież zrobił ci dziecko!

- Powiedziałam mu, że biorę tabletki antykoncepcyjne.

- No i dlaczego to się stało? Dlaczego ich nie brałaś?

- Brałam!

- Wszystko wskazuje na to, że nie brałaś!

- Brałam, prawie codziennie!

- A więc zapomniałaś! Po prostu zapomniałaś! Mając dwa-
dzieścia pięć lat zapomniałaś wziąć tabletkę! - Greta nie była
w stanie tego pojąć. - No i co będzie teraz? Kogo raczysz
poślubić?!

- Poślubić? - darłam się spanikowana. - Czego ty ode mnie oczekujesz? Dlaczego chcesz mi zrobić taką krzywdę!

- Chcę tylko, żeby tobie było w życiu lepiej niż mnie! - Tu usta Greta ułożyły się znowu w wąską linijkę.

- Przecież nie mogę poślubić kogoś przypadkowego tylko dlatego, że jestem w ciąży! - buntowałam się.

- Znajdziemy wspólnie jakieś rozwiązanie! - powiedziała nagle ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu. W jej głosie zabrzmiały spokój i ufność. - Sądzę, że jestem w stanie ci pomóc i załatwić pracę.

- Naprawdę? Pracę w charakterze urzędniczki?

- Aktorki!

- GRETO! Naprawdę możesz?

- Znam kogoś - powiedziała tajemniczo. - Ma w stosunku do mnie pewien dług wdzięczności.

- Opowiedz! Nie bądź taka tajemnicza!

- Ale TYLKO pod jednym warunkiem!

- Słucham?

- Jeszcze raz spotkasz się z tym sympatycznym Ernstbertem Schatzem.

O retę. Tego mi jeszcze brakowało. Akurat z tym!

- No, dobrze - zgodziłam się w końcu. - Ale o jakiej pracy dla mnie myślałaś?

- Chodzi tu o pewien serial telewizyjny. W przyszłym roku ma być nadawany w Niemczech. *Linie hospital* leci w Ameryce od dwudziestu pięciu lat i odnosi wielki sukces. Teraz ma powstać jego niemiecka wersja. Wiem to, bo przed dwudziestoma pięcioma laty ja miałam... No, dajmy już sobie z tym spokój! Prawa do serialu kupiła teraz prywatna stacja telewizyjna Cztery Minus.

- Znasz tam kogoś? W Cztery Minus? Greto, mówże wszystko! Kto ma w stosunku do ciebie dług wdzięczności?

- Ściśle tajne! Uwierz mi, że będzie lepiej dla ciebie, jak nie będziesz wtajemniczona w tę sprawę!

- Serial w Cztery Minus? Naprawdę? Czyżby...?

- To twoja szansa. Jedna jedyna. Ja takiej szansy wtedy nie

miałam. Uzgodnię termin, pójdziesz do agencji i zaprezentujesz tam swoje umiejętności. Tak zrobimy!

- Ale ja jestem w ciąży! Mogą zauważyć!

- Teraz jeszcze nic nie widać. Musisz tam iść najszybciej, jak to możliwe. Gdy już cię zatrudnią, nie będą mogli cię wyrzucić. A serial będzie w telewizji dopiero w przyszłym roku. Teraz szukają młodych, świeżych, nowych twarzy. To twoja szansa.

- W porządku - powiedziałam. - Jesteś naprawdę wyrozumiała!

- Damy sobie razem radę - powiedziała stanowczym tonem. - Serial ci się spodoba. A dalej zobaczymy. Lepszy wróbel w garści niż kanarek na dachu.

Amen! Greta skończyła. Zaczęła się szykować do wyjścia.

- Cześć, kochany ty mój flejtuszk!

- Uważaj!

Pod dywanikiem czołgało się jakieś stworzonko. Patrzyłyśmy na malutkiego krecika, który nie wiedział, w którym kierunku ma się poruszać, żeby wyjść. Wreszcie kucnęłam i podniosłam dywanik. Była to Margot, kocię z fioletową wstążką na szyi. Miotła się, całkiem bezradna. Na pewno zabłądziła.

- Cześć, mała! - zawołałam i podniosłam to małe coś. Szukając oparcia pazurkami wbiła się w moje ramię.

- Czy jesteś w stanie sobie wyobrazić, że wkrótce będziesz trzymała w ramionach swoje własne dziecko?

- Nie - odparłam. - A ty?

- Ja tak - odpowiedziała mi Greta. - I już się cieszę.

Padłyśmy sobie w ramiona.

Gdy wylądowaliśmy w Monachium, od razu dostrzeżliśmy kierowcę wysłanego po uczestników programu telewizyjnego. Stał z wielkim plakatem: „Rozmowa uciemienionych córek!”

- No nie, tam chyba się nie wybieramy! - powiedziała Greta, widząc napis. - Z tymi typkami nie jest nam po drodze.

Podzielałam jej opinię i też byłam zdania, że troszkę przesadzili. Młody kierowca stacji telewizyjnej mógłby przywitać nas w sposób odrobinę taktowniejszy.

- Już wiem, co zrobimy. Wyślemy chłopców, niech mu powiedzą, że go znaleźliśmy, ale podejźmy do niego tylko wtedy, gdy opuści ten cholerny transparent. Niech idzie na parking, a my pójdziemy za nim.

Najwidoczniej nie byliśmy jedynymi gośćmi programu *Wizerunki kobiet*, na których czekał kierowca na lotnisku. Podchodziły do niego z różnych kierunków lotniska kobiety z dziećmi. Niektóre z nich wyglądały bardzo pociesznie. Jednej brakowało dwóch przednich zębów. Niemal wszystkie dzieci miały włosy uczesane w kitkę.

- Ta kitka stała się już znakiem przynależności do określonej grupy społecznej, powiedziała Greta. A my przecież nie jesteśmy robo...

- ...lami! - Poczułam pewien dyskomfort psychiczny.

Trzeba było jednak zostać w domu i pójść - jak zwykle w środę - na zajęcia z panem Eberleinem. W tym momencie miałam tylko jedno życzenie: żeby tak móc wrzucić kolejną partię makulatury do jednego z tych wielkich pojemników. Nawet kosztem połamanych paznokci, jak zazwyczaj.

Stałyśmy tak - troszkę zniesmaczone - i przyglądałyśmy się gromadce kobiet i dzieci. Powiększała się coraz bardziej. W końcu wszystko wskazywało na to, że tylko nas tam brakuje. Kręciliśmy się koło planu metra, udając, że my to nie my.

- Możemy się stąd po prostu ulotnić - szepnęłam do Grety.

Ernie i Bert zaczęli biegać z zachwytem po taśmach bagażowych.

- Brak jeszcze jednej córki z matką! - darł się kierowca stacji telewizyjnej. - Gwiazda programu!

No nie, ja na to nie zasłużyłam! Za żadne pieniądze! W tym momencie Greta ruszyła przed siebie, zmierzając spokojnie, ale stanowczo, w kierunku wyjścia do metra.

Tymczasem wokół uciemionych córek i ich bezwzględnych matek zaczął się gromadzić tłum ciekawskich. Dwie uczestniczki kłóciły się zawzięcie już na lotnisku.

- Oddałaś mnie do domu dziecka!

- To nieprawda! Ja miałam na karku twego ojca, tego starego

pijaka, wiecznie nieprzytomnego dziwkarza! Chciałam się uchronić przed nim! Żeby się do ciebie nie dobierał!

- Drodzy państwo! - kierowca stacji telewizyjnej usiłował przerwać dyskusję. - Prosiłbym, aby panie powstrzymały się teraz i opowiedziały to podczas audycji!

- Czy wreszcie możemy ruszyć? - zapytała jedna z kobiet. Jej głos aż się łamał od nienawiści. - Chcę wreszcie powiedzieć mojej matce, co o niej sędzę.

- Uważaj, żebym ci nie przysoliła! - matka odszczekiwała ochrypłym głosem. Nie mogła skończyć, bo dostała ataku kaszlu od papierosów.

- Czekamy tylko na panią doktor Anitę Bach - powiedział kierowca, żując gumę. - Przyjedzie ze swoją matką.

- Ta AKTORKA? - starsza kobieta w chustce na głowie upewniła się, czy dobrze rozumiała. - Przecież ona stoi tam, przy planie metra. To ona też jest uciemioną córką? - zapytała.

- Nie, ale może jest okrutną matką! Niech pani patrzy, jak jej dzieciaki biegają po taśmach! Jakie zapuszczone! Widać, że nikt o te dzieci nie dba. Zaraz wpadną do kontenera na nie odebrane walizki. I wylądują w Bangkoku jako towar z chłodni!

- Ernie i Bert! - zawołałam, czując jak oblewa mnie zimny pot. - Proszę do mnie! Przyjechano już po nas!

- Przecież kierowca stoi tu cały czas - odparł Ernie przytomnie. - Dlaczego nas nie zabiera?

Ernie musiał dokończyć sztuczkę, którą właśnie odgrywał. Wyimaginowanym mieczem walił w bagaże, które na taśmie podjeżdżały do niego i krzyczały: „Wy nędzne dinozaury, podajcie się, jestem od was silniejszy!”

- Ernie! - wołałam zdenerwowana. - Zostaw ten bagaż! To nie nasze walizki!

Kierowca uśmiechał radośnie.

- O, jest pani! Dlaczego się pani nie pokazała? Proszę za mną!

- Czy mógłby pan zabrać ten transparent? - poprosiłam szepem i skierowałam się w stronę wejścia do metra, gdzie już się schowała Greta. - Greto! - zawołałam. - Możesz wrócić!

- Ale my nic nie powiemy na temat konfliktów między matką a córką - powiedziała Greta do kierowcy.
- Nie, nie powiemy - dodał Bert, wsiadając do autobusiku. Za żadne pieniądze.

Właśnie zbierałam rozsypane na podłodze w kuchni wióry. Robiłam to naturalnie na czworakach, bo tak jest najwygodniej. Tania wykładzina aż kleiła się od brudu. Wióry wbiły mi się w ręce i w kolana. Ponadto nagle poczułam, że zapach odchodów kocich wywołuje u mnie odruch wymiotny. A więc rzeczywiście byłam w ciąży! Przerwałam na chwilę sprzątanie, gdy usłyszałam, że wszedł mój przyjaciel Hannes.

- Charlie, mam niesamowitą wiadomość!

- Tak? Jaką? - spytałam i wyszłam spod stołu. Powoli się wyprostowałam. Troszkę kręciło mi się w głowie. To krążenie.

Hannes zdjął w korytarzu buty i przeszedł na koniuszkach palców do kuchni. W ręce trzymał butelkę szampana.

- No?! - zapytałam, wycierając dłoń o spodnie.

- Wygrałem wielki los na loterii - Hannes promieniał ze szczęścia.

- Zostaniesz ojcem - powiedziałam.

- Coś o wiele lepszego! - Hannes szalał ze szczęścia. - Starąłem się o pracę w drugim programie telewizji.

- I co?

- Zaangażowali mnie!

- Wspaniale. Do jakiej roli?

- Do głównej roli. Charlie! Zagram **GŁÓWNĄ ROLĘ!** - Chwycił mnie w pasie i obrócił jak w tańcu. Przeleciałam przez kuchnię.

- Zwariowałaś! Kocięta!

- O, przepraszam!

- A jaka jest ta główna rola?

- W *Utartej drodze*, cztery części, każda trwa sześćdziesiąt minut. Z Hildą Kreisel i Dieterem Streckem.

- Stuhlbein! - wyrwało mi się. - Zrobisz międzynarodową karierę! Obłąd!

- To ekranizacja powieści Daniela Jakiejs-tam, nie wiem, jak się nazywa.

Oczywiście. Drugi program telewizji filmuje aktualne bestsellery. Są to nie kończące się seriale, z których słynie telewizja amerykańska. Drugi program telewizji ma wysoki poziom! Hannes był stworzony do wyższych celów. Przypuszczałam, że tak będzie.

Oczywiście wiedziałam doskonale, o której powieści mówi. Była to książka Daniela Paletti, która raz po raz wypuszczała na niemiecki rynek księgarski kolejny bestseller.

Jej powieści czytały wszystkie Niemki, niezależnie od wieku. Czytały po kryjomu, pod kołdrą. Ja oczywiście też. Jej najnowsza powieść nosiła tytuł *Trzy pchły to więcej niż dość*. Takie czytało. A na okładce szczęśliwa, młoda niewiasta, głaszcząca trzy jasnowłose główki. O co w niej szło? Szalenie bogaty właściciel fabryki i dziewczyna do dzieci, Gerda, osoba bezinteresowna. Jakoś tak się staje, że się w sobie zakochują. Jakoś, bo wieczorami siedzą przy kominku i wpatrują się w ogień. Ogień trzaska, oni są zamyśleni. Nagle ona widzi, że wokół jego warg igra gorzki uśmieszek. Bo trzeba wiedzieć, że występuje tam jeszcze jego kuzynka trzeciego stopnia, osoba o orlim nosie, która usiłuje przejąć całe gospodarstwo, łącznie z dziećmi i milionerem. W tym celu fałszuje listy milionera do opiekunki dzieci. Czytając takie historie wylewałam łzy, aż poduszka była mokra. Podczas lektury zajadałam się czekoladkami, tak że podczas jednego seansu szło całe pudełko. Na szczęście ta z orlim nosem spadła z dachu stodoły podczas burzy, tak więc właściciel fabryki mógł na koniec bez większych przeszkód poślubić bezinteresowną dziewczynę do dzieci.

Wyczekiwałam z utęsknieniem na następny romans jej pióra. *Utarte drogi* - to jej nowa powieść, którą już reklamują. Widziałam plakaty we wszystkich księgarniach. A teraz MÓJ Hannes zagra w ekranizacji jej najnowszej powieści!

- Co to za historia? Opowiedz! - poprosiłam.

- Najwspanialsze w całej tej historii jest to, że akcja toczy się w Ameryce! On jest wielkim lekkoduchem, mieszka w zatoce San Diego, jeździ motocyklem i pływa łodzią wyciągową,

uprawia surfing na Pacyfiku, tak! Wyobraź sobie! Potrzebowali bardzo wysportowanego gościa! No i całkiem przypadkowo wpędza w ciężą opiekunkę swojej babci - opowiadał Hannes.

- Co za świnia! - mruknęłam pod wrażeniem jego relacji.

Akcja typowa dla wszystkich powieści Daniela Paletti. Skąd takie literatki jak ona biorą tak genialne pomysły?

Hannes chwycił mnie w ramiona.

- Cieszysz się?

- Szalenie. A ożenisz się przynajmniej z opiekunką babci?

- Jasne! Wiem przecież, co do mnie należy!

Hannesowi to było dobrze. Gładko wyszedł z całej historii. Dodać jednak należy, że ja też byłam na spotkaniu. Z tą młodą, miłą ginekolożką o podwójnym nazwisku. Z tą, która nigdy nie zakłada białego fartucha, natomiast zawsze jeździ na swoim krzeselku po wszystkich gabinetach, manipuluje tymi swoimi srebrnymi sztućcami i w okamgnieniu wyczarowuje na ekranie monitora obrazy, które zawierają w sobie bardzo istotną treść. Ja w nagrodę dostałam nie tyle rolę główną, ile rolę podwójną!

- Dwójka! - powiedziała i pogratulowała mi serdecznie. Pokazując mi na ekranie dwie ciemniejsze plamy wśród kłębiącej się szarej, chmurnastej masy: - Będzie pani miała bliźniaki! Serdeczne gratulacje! - dodała. I biorąc eleganckim łukiem zakręt wyjechała z gabinetu do następnego pomieszczenia, by zbać rytym serca następnego dziecka w łonie matki.

Wracałam śródmiejską ulicą, na której jest wielki pasaż handlowy. Po raz pierwszy wśród tłumów dostrzegłam, jak wiele matek z dziećmi krąży wśród przechodniów. Matek, które patrząc gdzieś w dal, cierpliwie czekają, aż dziecko się pohuści na koniku stojącym przed domem towarowym i kiedyś tam uradowane zejdzie z rumaka... Matek, które za kilka groszy kupują w piekarni suchą bułeczkę, by ją wecisnąć dziecku do rączki i w ten sposób zyskać dziesięć minut spokoju... Matek, które w ślimaczym tempie wloką się, bo są obwieszane torbami z zakupami. Gdzieś-jakoś trzymają wielką paczkę pampersów. Za sobą ciągną zmęczone, rozgrymaszone dziecko, a przed sobą

pchają wózek z niemowlęciem. I mają nadzieje, że jakoś ten dzień upłynie, że jakoś... Wkrótce ja też będę się tak właśnie zataczała po ulicach, skrycie zastanawiając się, jak się pozbyć siedemnastu kilogramów nadwagi.

Samotna matka nieślubnych bliźniaków. Jak już coś robię, to robię dokładnie.

Popatrzyłam na Elizę, która z przejęciem lizała futerka swoich dzieciom. Eliza też sobie poradziła bez faceta. A ona ma bądź co bądź pięcioraczki!

Szampan zrobił swoje. Postanowiłam troszkę popłakać. Używając się sama nad sobą, wtuliłam twarz w czarne i błyszczące futerko kotki.

- Elizo, no powiedz, przecież też masz dzieci, jak mam sobie poradzić z tą frustracją? - pytałam rycząc. - Przecież alkohol odpada!

Eliza mruzczała zadowolona. Już dawno jej nie głaskałam. Teraz wszyscy zajmowali się tylko jej maluchami! A przecież ona też się liczyła!

Dwa maluchy bawiły się w szufladzie ze sztuczkami. Sztuczki cichutko pobrzękiwały. Dwa inne baraszkowały pod stołem kuchennym, zabierając sobie nawzajem gumę do żucia. Piąte kocię spało na termie. Przez łzy patrzyłam na tę śliczną gromadkę, na mrużącą matkę, na ten cudowny spokój i domową, ciepłą atmosferę. Eliza nie potrzebowała ani męża, ani pracy. Potrzebowała jedynie odrobiny miłości i ciepła, domu, gniazdko i - chlup, chlup! - człowieka, do którego mogłaby się przytulić.

Wypiłam resztę szampana. Na biedne, niewinne kociątko połały się moje rześiste łzy. Eliza zeskoczyła poirytowana z moich kolan i obrażona schowała się za skrzynką z butelkami po napojach. Tam, spoglądając na mnie z wyrzutem, zaczęła lizać swoje futerko.

Nikt mnie nie kocha! Nikt! Żadna powieść Daniela Paletti nie wzruszyła mnie tak, jak mój własny, jakże tragiczny los. Z dnia na dzień wszystko się zmieniło! Wszystko!

W tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi. Stuhlbein? Wrócić! Nie pojedzie do Hollywood!

Podbiegłam do drzwi i otworzyłam je szybko.

To jednak nie był Stuhlbein. To był Ernstbert. Ten doradca podatkowy w spodniach z elanobawełny.

Pan doktor Ernstbert Schatz.

- Dzień dobry! - wyłam. - Z panem w takiej postaci dziś się nie liczyłam!

- Ja z panią też nie! W takiej postaci! - odparł.

Poszedł za mną do kuchni, gdzie zaczął się niespokojnie rozglądać.

- Jak się czują chuligani? - zapytał wesoło.

- Potrzebny im ojciec - chlifałam w chusteczkę.

- No, no, no... - pocieszał mnie Ernstbert. - Nie ma powodu do płaczu!

Chcąc mnie pocieszyć, położył mi rękę na ramieniu. Popatrzyłam na niego pytającym wzrokiem.

- Nie?!

- Na pewno znajdzie się ktoś odpowiedni.

Usiadłam przy stole, czekając na dalszy bieg wydarzeń.

- Kto weźmie matkę wieloraczków? Gdy Greta się dowie, nie pozwoli mi zagrać w *Naszym małym szpitaliku*.

A on mi na to:

- Nie powinna pani przywiązywać zbyt wielkiej wagi do opinii swojej matki. Serial w sumie nie jest ważny. A co do ojca, to ważny jest tylko charakter. Przy zgodnych charakterach matki kilkorga dzieci też mają szansę. - Tu pogłaskał Elizę po miękkim, błyszczącym futerku. - A matki kilkorga dzieci to na ogół kobiety z charakterem! Są to najczęściej najwartościowsze kobiety! Znają życie i wiedzą, co jest w nim najistotniejsze. Prawda, Elizo?

Eliza mruczała.

- Nigdy nie analizowałam tego problemu od tej strony - przyznałam.

Oboje głaskaliśmy kota. Nasze dłonie się zetknęły. Ernstbert spojrział na mnie przez szkła swoich okularów.

- Z przyjemnością spotykałbym się z panią częściej - powiedział wreszcie.

Lekuchno zezował.

- Ja również - szepnęłam.

A potem wytarł mi z twarzy łzy.

- Proszę za mną! - Energiczna niewiasta z nadajnikiem w ręce zaprowadziła nas do jasno oświetlonego studia. - Matki zostają po tej stronie estrady, tutaj, za barykadą! Córki siadają po przeciwnej stronie estrady!

Greta powiedziała:

- My nie mamy żadnych konfliktów jako matka i córka! - I dodała: - Za żadne pieniądze!

Bardzo niechętnie, z dużymi oporami pozwoliła się zaprowadzić na swoje miejsce.

- O czym mówiono podczas ostatniego programu? - zapytałam. - Może lepiej pasowałybyśmy do poprzedniego niż do dzisiejszego!

- *Mój ojciec jest pedałem* - powiedziała jedna z kobiet. Emerytka. Miała z siedemdziesiąt lat. Oczywiście w sukience w duże kwiatowe wzory. - Właściwie to już w ubiegłym tygodniu miałyśmy ochotę wziąć udział w audycji, ale nasz Hans wyjechał, bo ma jeszcze ferie. No i nasz ojciec już dawno nie żyje.

- A był pedałem? - zapytała Greta.

Zakaszlałam cichutko.

- Nie, ale w gruncie rzeczy to obojętne, na jaki temat jest program. Chciałyśmy być w telewizji - przyznała się kobieta.

Kąciki ust Greta drgnęły nieznacznie.

- A audycja przed dwoma tygodniami?

- *Nigdy jeszcze nie miałam orgazmu* - odparła emerytka w sukni w kwiaty. Była zachrypnięta. - Ale na ten program mieli już komplet.

- No tak, jasna sprawa.

Greta zakaszlała. Ja zagryzłam wargi. Znów to samo. Zawsze gdy ktoś grał na skrzypcach lub przemawiał uroczyście albo też nie miał orgazmu, nachodziła nas ochota do kpin.

- Kim był w tamtym programie sławny gość? - chciała wiedzieć Greta.

- Ktoś z Kościoła katolickiego - odparła kobieta. - Zapomniałam, jak się nazywał.

- To nie jest tak, że orgazm musi być za każdym razem! - skomentowała Greta, wpasowując się w rolę dewotki. - Mowy nie ma!

- Naturalnie, że można bez! - potwierdziła jej słowa emerytka cała w kwiatach. - Urodziłam czworo dzieci w ten sposób! Tak, nie ma się czego wstydzić! Ale teraz dziadek już nie żyje!

Madame z nadajnikiem ucieszyła się, że tak miło ze sobą gaworzymy. Wprowadziła dzieci. Wszystkie miały na sobie podkoszulki z logo stacji telewizyjnej.

- To będzie wspaniała audycja! Konflikt trzech pokoleń! Muecke wie, co kobiety lubią! - Tu zwróciła się do dzieci. - Macie siedzieć spokojnie, a jak pan Muecke się was o coś zapyta, to znaczy, że jesteście w telewizji!

Zażenowane dzieci kiwały główkami. Szczególnie Bert. Nie odpowiadało mu wcale, że naraża się na niebezpieczeństwo wystąpienia w telewizji. Ernie się nie przejmował. On przecież ciągle występował w telewizji.

Po chwili wpuszczono na salę publiczność. Składała się poważnie z rencistów.

Kilka gospodyń domowych weszło do studia z torbami pełnymi zakupów. Długowłose chłopak w skórze, odpowiedzialny za porządek w studiu, poprosił, by torebki, parasolki i zakupy położyć na podłodze. Żeby to nie wyglądało jak scenka w tramwaju! Emerycy i gospodynie domowe przytaknęły i mrużąc pod nosem, złożyli torebki, parasolki i zakupy na podłodze.

Chłopak w skórze zachęcał ich, by brali żywy udział w audycji. Prosił tylko, żeby nie opowiadali o sobie, bo na to nie pozwala zbyt krótki czas programu, lecz stawiali zwięzłe, precyzyjne pytania uczestnikom. Jasne? Emerycy i gospodynie domowe znów potaknęły głowami, co dawało sygnał, że w widzach drzemią jakieś oznaki życia.

Nagle odezwał się jakiś starszy mężczyzna.

- Mam pytanie jeszcze w sprawie orgazmu.

- Przykro mi, ale dziś omawiamy inny temat - odpowiedział

chłopak w skórze. - Dziś rozmawiamy o konfliktach, jakie mają matki i córki.

- O, to całkiem nieinteresujące! - stwierdził rencista, potrząsając z dezaprobatą głową. - W takim razie nie zostanę!

Wstał, zabrał swoją poduszkę, na której siedział, oraz popołudniową gazetę, i opuścił studio.

Z mojej prawej strony stała bardzo niska, pulchna, mniej więcej trzydziestopięcioletnia kobieta. Ubrana była w portki i koszulę flanelową. Na nogach miała czerwone, rozdeptane buty. Nie była nic a nic umalowana. I wszystko wskazywało na to, że jest zadowolona z fryzury, która zdobi jej głowę. Była ostrzyżona na zapałkę, co wyglądało trochę dziwnie, bo miała bardzo odstające uszy. Mnie sięgała do ramienia.

- Czy pani też przeżywa coś w rodzaju konfliktu między matką a córką? - nachyliłam się do niej, bo chciałam być towarzyską. Może matka nie pozwala jej na zbyt elegancki wygląd.

- Nie, skąd! - odpowiedziała ta tak bardzo niekorzystnie wyglądająca niewiasta. - Zostałam tutaj zaproszona jako ekspert psycholog.

- No, coś takiego! - wyrwało mi się. - Jakie to interesujące! A od czego pani jest ekspertem?

- Od stosunków społecznych. - odparła. - A ty? Jakie ty masz problemy?

- Nie mam żadnych. Jestem aktorką.

- To naturalnie samo dno. Jak sobie z tym radzisz? - zapytała.

- Nie rozumiem. Co znaczy, jak sobie z tym radzę?

- Chodzisz na terapię grupową lub przynajmniej na psychoanalizę?

- Nie! - odparłam przerażona. - A powinnam?

- No jasne! - odpowiedziała kobitka w portkach. - Skoro zostałam aktorką, to nie bez przyczyny. A przyczyna musiała być bardzo poważna. Jakieś kazirodcze doświadczenia w dzieciństwie albo coś w tym rodzaju.

- Rozumiem. To naprawdę fascynujące! Jaki świetny pomysł!

W tym momencie zaczęto zapowiadać program. Pan Muecke wyskoczył ze schowka, spojrzął prosto w kamerę i powiedział:

- Nazywam się Mueckc. Zajmuję się życiowymi tematami naszych widzów. Z każdej igły zrobię widły! Proszę za mną!

Emeryci bili brawa. Kilka osób przestało na chwilę jeść przyniesione ze sobą kanapki i szybko schowało je do toreb.

- Jeszcze trzy minuty! - krzyknął chłopak w skórce.

Na ekranie monitorów pojawiły się postacie z filmu ry-sunkowego - logo tej stacji telewizyjnej. Następnie reklamy. Uszczęśliwiona gospodyni domowa odtańczyła dziki taniec radości z nową szczotką do mycia podłogi. Potem obchodzono urodziny dziecka. Dzieci obrzucały się dżemem z jagód, a matmie śmiały się radośnie.

Tak, tak, te beztrioskie matki! One nie miały żadnych problemów. Tylko my tutaj miałyśmy trudności.

Animowany ludzik sam siebie wymazał z ekranu. Był to znak dla pana Mueckiego, że należy zacząć program.

- Dziś zaprosiliśmy do studia matki i córki mające problemy na tle swego pokrewieństwa. Problemy, które występują już od dawna - powiedział do kamerzysty. - Któż ich nie ma, zapytają państwo - tu emeryci pokiwali głowami - ale obecne tu panie mają szczególnie trudne problemy ze swoimi matkami czy też córkami. W ciągu następnych sześćdziesięciu minut dowiemy się o wiele więcej na ten temat. W imieniu swoim i państwa witam w studiu: Margret Jentsch z Bad Oeynhausen... z matką, Irmgard Jentsch! Obie kochają tego samego mężczyznę i każda ma z nim dziecko!

Entuzjastyczne oklaski na widowni. Matka i córka ukłoniły się głęboko. Obie ubrane były w ludowe bawarskie sukienki w kolorze wyblakłego różu. Dekolty miały przykryte identycznymi chustami ludowymi, naturalnie w wielkie kwiaty w kolorze wyblakłego granatu. Obie z tendencją do nadwagi, obie z wadą zgryzu - końską szczęką. Nic dziwnego, że facet z Bad Oeynhausen był skołowany i nie mógł się na żadną z nich zdecydować. Dwóch smyków, około jedenastoletnich, którzy byli dla siebie jednocześnie braćmi, wujkami i kuzynami, wystąpiło w audycji - zapewne za radą swoich matek, ciotek i sióstr - w strojach dżinsowych, zbyt obcisłych jak na nich. Na nogi wdziali buty kowbojskie. Siedzieli w pierwszym rzędzie z mi-

nami bardzo zuchwałymi. Ramiona skrzyżowali na piersiach i nerwowo przewracali oczami, gdy kamerę skierowano na ich twarze. No to co? - zdawali się pytać. Mamy co prawda tego samego ojca, ale też mamy babcię, która jest żoną naszego taty, i mamę, która jest naszą ciotką. No i co z tego!

- Ponadto naszymi gośćmi są dzisiaj pani Helga Muellerin z Paderborn i jej towarzysząca życia, pani Gerda Graefin, również z Paderborn. Razem mają cztery córki...

Znowu rześiste oklaski. Zaczęłam się zastanawiać. Jak to możliwe? Jak to się stało, że wyprowadzono w pole - i to czterokrotnie - naturę, która od milionów lat w sposób naprawdę już sprawdzony reguluje kwestie rozmnażania. Jak w sposób naturalny można w żeńskim związku czterokrotnie spłodzić potomstwo! I to właśnie w Paderborn! W każdym razie obie wyszykowały się bardzo starannie, pragnąc zapewne wypaść w telewizji jak najlepiej. To znaczy: chcąc wypaść naturalnie, skromnie i niepretensjonalnie, wystąpiły w luźnych swetrach własnej roboty (fason: worek), wytartych i wypchanych welwetowych spodniach oraz rozdeptanych butach kowbojskich. Ich szyje zdobiły sprane szaliczki z bawełnianej krepki. Włosy krótko obcięte, proste i siwe. Model fryzury: nożyce kuchenne. Obie robiły wszystko, aby żaden mężczyzna nie spojrział na nie, nawet niechcący, nawet mimochodem. W ten sposób problem molestowania seksualnego na zawsze miały z głowy.

Pan Muecke usiadł między potomstwem obu tych kobiet, demonstrując w ten sposób swoją bezgraniczną tolerancję oraz przywiązanie do ludu.

- Wilmo, masz osiem lat?

Wilma kiwnęła głową.

- Która z tych kobiet jest twoją matką?

- Obie - sprytnie odpowiedziała Wilma.

Mamy roześmiały się triumfalnie.

- A jak masz na nazwisko: Muellerin czy Graefin?

- Muellerin-Graefin - rzekła dziewczynka. - My, dzieci, wszystkie mamy podwójne nazwisko.

- A więc jak ty się nazywasz?

- Nazywam się Wilma Muellerin-Graefin.

Emerycy obecni na sali kiwali głowami z niedowierzaniem.

- Hanno! - Teraz pan Muecke zwrócił się do siostry Wilmy. - Którą mamę kochasz bardziej? Tę czy tę?

- Obie - odpowiedziała równie sprytnie Hanna.

Obie mamy, Helga i Gerda, cieszyły się jak nagi w pokrywach. Równouprawnienie w ich wydaniu osiągnęło stopień, którego przekroczyć już nie sposób.

- Pia! - odezwał się zrozpaczony pan Muecke do najstarszej córki z tego doprawdy dziwnego związku kobiet z chustkami na szyjach. - Jak to jest, gdy ojcem jest kobieta?

Pia wzruszyła ramionami.

- Nam tata mężczyzna jest zupełnie niepotrzebny!

Pan Muecke był jednak dociekliwy. Zapytał:

- Dlaczego nie? Ja też jestem tatą, który jest mężczyzną! Moim dzieciom to odpowiada!

- Mężczyźni to straszni głupcy! - oświadczyła Pia.

Muellerin i Graefin zaśmiały się, zachwycone odpowiedzią dziecka.

- A czy ty znasz jakiegoś mężczyznę? - zapytał pan Muecke, strzelając w dziesiątkę.

- Nie, nie znam. To jest zbędne.

- Dlaczego jest zbędne?

- Bo mężczyźni to straszliwi głupcy!

- Czy to prawda? - tu pan Muecke zwrócił się do najmłodszej dziewczynki, latorośli tak wrogo do mężczyzn nastawionej rodziny. Dziecko miało może trzy latka.

- Męscyźni som głupi - odrzekło sprytniutkie dziecko.

Publiczność szalała ze szczęścia. Jedyne kilku emerytów cokolwiek zmarkotniało. Nawet się nie uśmiechali.

Następnie pan Muecke przedstawił piękna panią Weber, która - szlochając zresztą straszliwie - opowiedziała, jakie to obrzydzenie ją ogarnia, gdy widzi swoją dwudziestoletnią córkę. Kamera objęła w tym momencie śliczną i uśmiechniętą córkę pani Weber. Emerycy pokiwali jedynie głowami.

Pan Muecke był zachwycony.

- Teraz widzą państwo, jaka to będzie ciekawa audycja! Naszym gościem jest również pani Charlotta Pfeffer, aktorka, znana

nam wszystkim jako pani doktor Anita Bach z serialu *Nasz mały szpitaliki* - Emeryci bili mi brawo. - Pani Pfeffer przywiozła dziś ze sobą swoją matkę, panią Grete Pfefferkorn. Obie - jako jedyne w tym gronie - nie mają ze sobą żadnych problemów!

Zerknęłam na monitor. Byliśmy na wizji. Teraz pojawił się Bert! Zaciśnął usta i spoglądał obrażony. Wyglądał tak samo jak pierwszego dnia w szkole. Bert nie cierpiał sytuacji, kiedy musiał stawać w świetle ramp. Kamerzysta przesunął kamerę w prawą stronę. Krzesło, na którym siedział Ernie, było puste.

- Jeden z młodzieńców jest nieuchwytny! - stwierdził pan Muecke, lekko zirytowany. - Gdzie jest twój brat? - zapytał.

- Tam! - odpowiedział Bert i skierował rękę na publiczność.

Kamera ruszyła we wskazanym przez niego kierunku. I znalazła uciekiniera. Ernie leżał na kolanach jakiegoś mocno starszej pani! Pełny plan!

- Poprosił, żeby go podrapać po plecach - powiedziała przepraszącym tonem do mikrofonu, który podetknął jej pod nos chłopak w skórce.

- Tak! - potwierdził jej słowa siedzący obok dziadek. I w pięknym dialekcie saksońskim dodał: - Przydreptał tu i powiedział, że się ciągle nudzi, że nikt nie chce się z nim bawić i żeby żona go podrapała po plecach, bo inaczej kopnie ją w dupę. Nie chciała ryzykować, więc zrobiła to, czego chciał ten młodzieniaszek, a on usadowił się jej na kolanach, nic nie mówił, a teraz jest już pogodzony ze światem, no i śpi. Widzi pan...

Ludziska zaśmiewali się do łez.

- Taki grzeczny chłopaczek! Niech sobie śpi! - dodała niewiasta.

Pan Muecke nie wiedział, co zrobić z tym fantem, więc chłopak z mikrofonem podążył dalej.

- Pani Pfefferkorn! - Pan Muecke zwrócił się teraz do Grety, mając cichą nadzieję, że jednak o jakimś konflikcie usłyszy kilka słów. - Pani ma sławną córkę.

- Taka bardzo sławna to ona wcale nie jest! - Greta była powściągliwa. - Gra w bardzo przeciętnym serialu. Nic nadzwyczajnego!

Pan Muecke zirytował się.

- Ale przecież ten serial ma dużą oglądalność. Codziennie miliony widzów śledzą losy jego bohaterów!

- Być może - odrzekła na to Greta. - Ale to na pewno nie nasz poziom. Nie jesteśmy robotami.

Kamera uciekła i zatrzymała się na grupce dzieci. Teraz również krzesło Berta było puste. Obaj spasieni jedenastoletni nicponie z Bad Oeynhausen, ci przebrani za szeryfów, właściciele końskich szczęk, uwikłani w bardzo skomplikowane układy rodzinne, machali nogami.

- Gdzie jest ten drugi? - zapytał pan Muecke.

- Pod krzesłem - odrzekł jeden z szeryfów. - Powiedział, że nie ma ochoty wysłuchiwać tego gówna.

Pomyślałam o ludziku, który sam siebie kasował na ekranie monitora. Z zazdrością uznałam, że dzieci i animowane ludziki mają nieograniczone możliwości. My, dorośli możemy się od nich wiele nauczyć.

- Dzień dobry pani!

- Dzień dobry! Czyżbym się spóźniła?

- Nie więcej niż zwykle. Widziałem panią w telewizji. To było naprawdę ciekawe!

- No, to zależy, jak do tego podejść - odpowiedziałam portierowi.

- O, chciałem pani jeszcze powiedzieć, że jest nowy...

- Jaki nowy?

- No, nowy lekarz naczelny. Już pani zapomniała?

- A, ten, który przejmuje rolę Juppa?

- Tak. Ale ten jest przystojniejszy.

- To żadna sztuka!

Jupp urodą nadmierną nie grzeszył. Był stary i tłusty i okropnie pluł, gdy mówił. Naprawdę napawał mnie obrzydzeniem. Jak śliczna córka piękną panią Weber. Co najmniej.

- Spodoba się pani. Taki przystojny mężczyzna...

- Skoro pan tak mówi... - Podreptałam w kierunku windy. Tak jest, wszystko się zgadza. Dziś pierwszy dzień nagrań

z nowym aktorem, grającym rolę lekarza naczelnego. Pan doktor Frank Bornheimer!*. Do tej pory rolę tę grał stary Jupp, ale ze roztył się straszliwie, dyszał niczym astmatyk i pokaszliwał nieustannie, co nie było zbyt apetyczne, musiał - chcąc nie chcąc - odejść. Widzowie nie chcieli oglądać na ekranie starego, tłustego, sapiącego lekarza naczelnego, który niczym jakaś tłusta flądra tkwił za wielkim biurkiem szefa szpitala, wypluwając do kamery swoje kwestie. Od około pięćdziesięciu odcinków autorzy scenariusza nie pisali scen do kręcenia z bliska. Nie było również dłuższych kwestii. Od tygodni kręciliśmy sceny przedstawiające jego powolne konanie na zawał. Teraz udało się nam już uśmiercić go całkowicie i bezpowrotnie.

Byliśmy straszliwie ciekawi, jaki jest ten nowy. W garderobie dowiedziałam się kilku szczegółów.

- Świetnie się czesze - Bettina opowiadała z zachwytem o jego włosach. - Ma naturalne loki, mocne, gęste włosy.

- A jaki niski głos! - kwękała Lora. - Męski i taki wpadający w ucho! Całkiem inny niż ten stary Jupp ze swoją astmą!

- Grał w wiedeńskim Burgtheater! - dodała Gretel Zupf. - Grał w Wiedniu i w Salzburgu. Jest Austriakiem, sądząc po akcencie.

Gretel miała szczególnie dużo powodów do radości, bo grała sekretarkę szefa. A przez to, że sam szef, czyli Jupp, schodził coraz bardziej na drugi plan, ona sama również ginęła gdzieś w tle.

- Ta stara pierdoła Gernot znowu nie zostanie lekarzem naczelnym. - Lora cieszyła się szczerze. - Życzę mu, żeby tak przez całe życie był tylko lekarzem asystentem!

- No tak, ale za to reklamuje jogurt z chrupkami - rzuciła Bettina. - Właśnie przedłużyli mu umowę.

Nasz kolega Gernot Miesmacher* i jego małżonka Elwira Merkenich-Miesmacher* byli jedynymi aktorami wśród nas, któ-

***W przybliżeniu:**

Bornheimer - kordialny pan domu.

Miesmacher - fatalista (smutas).

Merkenich-Miesmacher - nawiedzona głąda.

rym udało się zaistnieć w telewizji publicznej. Wprawdzie występowali tylko w reklamie jogurtu, ale to zawsze coś...

- Każdemu to, na co zasłużył! - odezwała się Lora Kosz-mama.

Ucieszyłam się. Rzadko kiedy byliśmy tak zgodni w ocenie pracy innych kolegów.

Nowy członek zespołu wniósł mnóstwo życia do *Naszego małego szpitalika*. Wzbudził moją ciekawość. Ponoć był szalenie przystojny. I uzdolniony na dodatek! Od kiedy rozstałam się z Hannesem Stuhlbeinem takiego mężczyzny już nie dane mi było spotkać. Na nowego kolegę natknęłam się w biurze prasowym. Właśnie dyktował naszej sekretarce Ewelinie, dziewczynie wiecznie zdenerwowanej, nerwowo palącej, o różowych paznokciach, swój adres dla fanów, którzy zapragną zdobyć jego autograf. Miał taki dziwny akcent. Straszliwie rrolował „r”.

- Podczas prrracy nad filmem, mieszkam w hotelu „Hyde” - usłyszałam, gdy zapukawszy, weszłam do sekretariatu.

A, więc to on - pomyślałam. - On naprawdę nie jest stąd. Pewnie pochodzi ze Szwajcarii, gdzieś z Alp.

- Dzień dobry! Nazywam się Charlotta Pfeffer.

Odwrocił się. Naprawdę był przystojny. Wysoki, wysportowany i szczupły. Miał czarne włosy, które sięgały mu do ramion. Były starannie ufryzowane i szesane do tyłu. Blisko osadzo-nymi, prawie czarnymi oczami spoglądał mi prosto, wręcz pro-wokująco w oczy. Miał w sobie coś z mąciela. Podobał mi się. Od pierwszego wejrzenia. Było w nim coś diabolicznego. Wreszcie inna twarz, nie taka przeciętna gęba jak u pozostałych aktorów grających w serialu.

Popatrzyłam mu w oczy. Odpowiedział na moje spojrzenie. Bez lęku. O Boże! Ratunku! Mój mąż, Ernstbert, też był po czterdziestce. Ale co za różnica! Ten tutaj to wysportowany piękniś, świetnie zrobiony, uczesany w klasyczną fryzurę, dobrze ostrzyżony, z lekko siwiejącymi skrońmi. Ernstbert był grubawy, starawy i reprezentował ten straszliwie nudny cech ekono-mistów.

- Pochwalony! - odpowiedział, tak jak jest to w zwyczaju

w Alpach. Mówił niezwykle dźwięcznym basem. - Nazywam się Justus Maria Streitacker*. - Roześmiał się głęboko.

Ton jego głosu był tak niski, że aż drgnęłam. Chciałam to usłyszeć jeszcze raz, dlatego zadałam mu następne pytanie.

- Podoba się panu tutaj, u nas, w *Naszym małym szpitaliku!* - nic bardziej oryginalnego nie przyszło mi do głowy.

- Niewiele zdążyłem zobaczyć - powiedział na to Nowy głosem o jeszcze jeden ton niższym.

Przeszedł mnie dreszcz, aż dostałam gęsiej skórki. Boże, ten facet był odlotowy!

Wszechobecna, tajemnicza, diaboliczna, tryskająca męskością potencja! W każdym jego czarnym oku i w każdej jego strunie głosowej! A ja mam grać u jego boku!

- Pani doktor Anita Bach? - zapytał.

Powiedz to jeszcze raz - pomyślałam, ulegając zmysłowemu czarowi jego głosu. - Jeśli to możliwe, to jeszcze o ton niżej!

Kiwnęłam głową w milczeniu.

- Jeśli wolno dać wiarę scenariuszowi, to łączy nas wiele wspólnych spraw... - Tu roześmiał się takim basem, że aż się oparłam plecami o ścianę. - I muszę szczerze przyznać, że bardzo mnie to cieszy! Cha, cha, cha, cha!

Szacujące spojrzenie jego czarnych oczu i donośny śmiech w najniższych rejestrach.

- Mnie również - wyjąkałam, bo ten nadmiar męskości powalił mnie całkowicie. - Cieszę się, że będziemy mogli grać razem, panie, panie... Streitacker!

- Justus - powiedział protekcyjnym tonem. - Koledzy mówią mi po imieniu.

I odwrócił się, by dokończyć dyktować Ewelinie, naszej pazurej sekretarce w biurze prasowym, adres dla fanów prosiących o autograf.

- Jak już wspomniałem, podczas pracy nad serialem mieszkam w hotelu „Hyde”. - Jego głos grzmiał donośnie w całym biurze. - Normalnie mieszkam w Tyrolu Południowym, w miejscowości Passeiertal, w pensjonacie „Christel”.

„Streitacker - w przybliżeniu: pan Czupumy.

Boże, jak on to mówił: w pensjonacie Chrrristel, w Passei-errrtal, w Tyrrrolu! Jak gdyby podczas zorzy alpejskiej staczał się z gór wielki głąz.

- Gdzie to jest? - zapytała Ewelina, zapalając następnego papierosa.

- Podałbym pani ogień, ale nie palę. Jako lekarz naczelny muszę tu przecież świecić przykładem. - Jego głęboki śmiech rozbrzmiewał w ciasnych pomieszczeniach biura prasowego.

- Jestem autentycznym, najprawdziwszym Tyrolczykiem! - wyjaśnił uprzejmie. - A z Arnoldem Kesslerem chodziłem do szkoły!

Arnold Kessler! To ten światowej sławy alpinista, który wdrapywał się na wszystkie ośmiotysięczniki! No, coś takiego! Zna tak sławnych ludzi! Na pewno wdrapał się już ze swoim przyjacielem, Arnoldem Kesslerem, na niejeden ośmiotysięcznik! O, widzę, że zapisze on niezwykle interesujący rozdział w moim życiu!

Mierzył mnie dokładnie czarnymi, głęboko osadzonymi oczami. Ja natomiast widziałam oczyma duszy, jak w białym fartuchu lekarskim, ze słuchawkami na szyi, z nienaganną fryzurą pędzi krowy na pastwisko. Co za wspaniały lekarz naczelny! Tak silnie związany z przyrodą! I ten jego wieśniaczy urok! Justus różni się całkowicie od naszego starego lekarza naczelnego, czyli Juppa, starego, grubego, sapiącego, pocącego i duszącego się przedstawiciela gatunku aktorów występujących zazwyczaj w serialach.

- Czy możecie kontynuować rozmowę na korytarzu? - zapytała Ewelina. Tu wypuściła dym nosem, okazując w ten sposób swoją dezaprobatę.

- Ależ oczywiście! - powiedziała.

- Masz, trzymaj, nie zapomnij zabrać ze sobą poczty od fanów! - Ewelina wcisnęła mi teczkę z napisem „Bach”. Wyszliśmy na korytarz.

- Dostaje pani dużo listów od wielbicieli swego talentu? - zapytał mój nowy kolega, gdy znaleźliśmy się na korytarzu. - Rozumiem, rozumiem... - Znów się roześmiał głośno, aż poszło echo po korytarzu.

- Sporo - przyznałam. - Jednak to nie jest poczta do mnie, to raczej listy skierowane do doktor Bach. Widzowie nie pojmują, że Anita Bach w ogóle nie istnieje. Dostaję wskazówki, jak mam postępować, kogo mam lepiej traktować, czy inaczej leczyć. Najczęściej widzowie piszą mi o swoich chorobach. Jest to dość uciążliwe.

Justus Streitacker roześmiał się serdecznie. Teraz śmiał się spontanicznie, ale już nie tak głośno i głęboko. Jego śmiech wydał się teraz bardziej naturalny i szczery. Wydało mi się, że śmieje się bardziej prywatnie, gdy nie jest obserwowany.

- Dokąd mamy teraz iść? - Przez moment sprawiał wrażenie osoby, która została przyłapaną na drobnym kłamstwie lub potknięciu. Naczelný lekarz, rodem prosto z Tyrolu Południowego, stał na korytarzu i nie wiedział, co dalej.

- Zaprowadzę pana! Kręcimy teraz sceny, w których pan jeszcze nie występuje, a więc my właściwie jeszcze się nie znamy - powiedziałam szybko.

- Z przyjemnością poznam panią jeszcze wiele razy! Z wielką ochotą! - powiedział Justus i roześmiał się tak głośno, że aż zadrżały szyby w oknach.

- Awaria światła! Dwie godziny przerwy obiadowej!

- Kosz-mar! - powiedziała gruba Lora. - Po co mi dwie godziny na obiad? Co ja będę przez ten czas robić? Przecież nie będę jadła przez dwie godziny!

- Mam nowe zdjęcia Adriana! - Elwira narzucała się nam swoimi zdjęciami. - Kto jeszcze nie widział?

Jeszcze tych zdjęć nie widziałam. W każdym razie ostatnich dwustu na pewno nie. Ale nie paliłam się do oglądania. Elwira Merkenich-Miesmacher była bardzo komunikatywną koleżanką, osobą odczuwającą potrzebę podzielenia się najróżniejszymi informacjami. Występowała w każdym odcinku serialu. Pani Jogurtowo-Chrupkova z telewizji publicznej u nas grała rejestratorkę. Wielokrotnie dawała nam do zrozumienia, jakie to z nas godne pożałowania oferty życiowe. Graliśmy však jedynie dla telewizji prywatnej, a nie dla pierwszego programu telewizji

publicznej. Fakt, że ja wczoraj występowałam w pierwszym programie telewizji publicznej, przyjęła do wiadomości z największą dezaprobatą.

- Wczorajsze widowisko było żenujące! - powiedziała do mnie z wyższością, gdy się przebierałyśmy do zdjęć. - Co to w ogóle miało być? Ten cały wydumany konflikt między matkami a córkami?!

W każdym razie raczyła przez kilka sekund mówić nie o sobie, lecz o kimś innym. To zdarzało się jej niezwykle rzadko. Nie czekała jednak na moją odpowiedź. Uśmiechnęłyśmy się tylko do siebie kwaśno i na tym wymiana myśli się skończyła. Już dawno przestałam odpowiadać madame Elwirze na jej retoryczne i tylko retoryczne pytania.

No tak, czy Merkenich-Miesmacherowie mieli o czwartej po południu co innego do roboty, niż oglądanie programu telewizyjnego? Chyba nie! A przecież oglądanie telewizji w biały dzień jest GRZECHEM. Tak przynajmniej mówi Greta. Należało też zadać sobie pytanie, skąd Merkenich-Miesmacherowie w ogóle wiedzieli, że wezmę udział w programie Joachima Mueckiego? Program telewizyjny studiują chyba z lupą w ręce! Jakaż miła z nich parka!

No tak, moja miła - pomyślałam sobie. - Tak, tak, Elwiro, miałabyś ochotę wystąpić w takim programie jako znakomity gość! Taki gość do chrupania jak te twoje chrupki w jogurcie! Ale CIEBIE nie zaproszono.

Elwira odpięła stanik. Starannie powiesiła majteczki i resztę bielizny - w tak zwanym kolorze cielesnym - na oparciu krzesła. Zauważyłam, że odczuwa jakąś wielką potrzebę zademonstrowania wszystkim swojego stanika na drutach - i ułożenia go, że tak powiem, wierzchem do góry - w miejscu wręcz publicznym. Tak, żeby wszyscy mogli podziwiać jej bieliznę. Dodawała do tego ostatnie dwieście zdjęć swego Adriana.

Drzwi się otworzyły.

- Czy jest tutaj coś w rodzaju stołówki dla pracowników?

Justus Streitacker zjawił się niespodziewanie. Widać było, że szuka towarzystwa i chce się do nas przyłączyć. Elwira odwró-

ciła się gwałtownie, nie ruszając jednak stanika, który nadal leżał miseczkami do góry.

- To jest garderoba damska! - krzyknęła wyraźnie oburzona Gretel Zuf.

Berthilda, nasza siostra pełniąca nocne dyżury - ta z wytapirowanymi włosami - schowała się zawstydzona w swojej szafce.

Lora Kosz-marna odezwała się w swoim osławionym dialekcie kolońskim:

- Stołówka jest na dole. Mogę panu odstąpić swoje obiady! - Jej reakcja była typowa. Niby z jednej strony wspaniałomyślna, ale jednocześnie bardzo wrogo nastawiona do obcych. Że też w ogóle raczyła z nim rozmawiać!

Elwira, już w fartuchu, ominęła go, spoglądając pogardliwie.

Jednak Justus najwyraźniej mnie wybrał na przewodnika po tym nie znanym mu gmachu.

- Czy może mi pani polecić jakąś potrawę? Coś typowego dla kuchni tego regionu? - zapytał mnie.

- Nie, niestety - odpowiedziałam. - W każdym razie nie tutaj, nie w naszej stołówce!

- Dziś jest reńska pieczeń wołowa! Taka z octu! - ucieszyła się gruba Lora. Ślina ściekała jej po brodzie na samą myśl o jedzeniu. - To jest specjalność tego regionu! No i szefa kuchni również!

Sama jesteś reńską pieczenia wołową, taką z octu! - pomyślałam.

Mieszkańcy Nadrenii dodają do tej swojej ukochanej pieczeni rodzyнки. Rodzyнки w potrawach kojarzą mi się z muchami, które kucharzowi wpadły do garnka. No i podobnie smakują. Przykro mi, ale tak to widzę, a raczej czuję.

- Czy miałyby pani ochotę spożyć razem ze mną pieczeń wołową? - zapytał Justus swoim grzmiącym basem.

- Nie, dziękuję! - odpowiedziałam uprzejmie. - Nie jadam nigdy obiadu w stołówce.

- A dokąd pani w takim razie uczęszcza? - zapytał, wyraźnie zaciekawiony.

Lora Kosz-marna prychnęła:

- Ona? Ona biega codziennie wzdłuż Renu! Tam i z powrotem!

Kto wędruje, nie grzeszy.

Na placu przed katedrą wiał jak zwykle rzeński wiaterek. Turyci z trudem mu się opierali, mocno ściskając aparaty fotograficzne.

Ciekawa byłam, co będą mieli sobie do powiedzenia Justus i Lora, czekając w kolejce po pieczeń" wołową, defilując wzdłuż kotłów z mięsem, ziemniakami i jarzynką? Bawiła mnie myśl, że Lora zmusi go do zjedzenia obrzydliwego mięsa z rodzynkami, i że na koniec, na deser, znajdzie się na jego plastikowej tacy obok kawy jeszcze sernik z rodzynkami!

Hotel przy katedrze obserwował mnie z dość aroganckim wyrazem fasady. Przed budynkiem kręcił się boy hotelowy w liberii. Wyraźnie drżał z zimna. Przed wejście zajeżdżały eleganckie limuzyny. Rzuciłam okiem na szeregi okien. Wszystkie wyglądały tak samo i wszystkie - w moich myślach - nagle się otwierały, jedno za drugim, a w każdym stała wiotka ślicznotka, która wołała zrozpaczona: „Czy ona ma coś, czego ja nie mam?! Tylko ten, kto tęsknił, wie, jak cierpieć!”

A potem wszystkie te urocze lale w powiewnych sukniach wołały jedna przez drugą: „Idiota, idiota, idiota!”

Okna zamykały się i otwierały coraz szybciej i na koniec na eleganckim balkonie z żeliwną balustradą zjawił się taki męski typ, o mięśniach jak ze stali, i spryskiwał swoją alabastrową skórę sprayem „Idiota”, tymi jakże wytwornymi perfumami dla panów. Ruchy jego były bardzo zmysłowe, a nawet obsceniczne. Doprowadzało to stojące w oknach tuziny dziewcząt do szału. Dziwne. Dziś ten facet miał twarz Justusa Streitackera.

Szybko się odwróciłam. Co za głupoty! Ruszyłam. Wokół mnie kilku chłopców jeździło na deskorolkach. Grupa japońskich turystów usiłowała sfotografować katedrę. Jakaś parka zakochanych spacerowała, trzymając się za ręce, wzdłuż bocznych portali. Menele, całkiem młodzi ludzie, rozłożyli się na legowiskach rozestanych na schodach, popijając piwo.

Między Rzymsko-Germańskim Muzeum a sklepikiem z biuletami stał - jak zwykle zresztą - niski, gruby mężczyzna. Ubrany był w brudnawy, dość podarty smoking. Grał na klarncie, a akompaniowała mu orkiestra z kasety. W zniszczonym futerale, stojącym u jego nóg, leżało kilka samotnych monet. Stanęłam i dołożyłam monetę dwumarkową. Artysta przerwał grę, wytarł sobie usta i powiedział do mnie:

- Dziękuję ślicznej pani! Życzę miłego dnia!

Znowu rozległy się dźwięki udręczonego klarnetu. Po chwili mężczyzna położył instrument na germańsko-rzymskiej kolumnie i zebrał pieniądze. Koło nas zawirował jak szalony amator deskorolek. W wejściu przepychała się cała klasa szkolna, usiłując kupić widokówki.

Wzdłuż tylnej ściany Muzeum imienia Ludwiga rozłożyli legowiska bezdomni. Promienie słoneczne oświecały krajobraz ze spiworów, nadmuchiwanym materaców, garnków do gotowania, butelek po piwie i konserw. Obwąchiwało mnie kilka, towarzyszących im, wynędzniałych kundli.

Pobiegłam w kierunku mostu Hohenzollernów. Rycerz w zbroi, siedząc na swojej szkapie, spoglądał zawiadacko przed siebie. Był gotów bronić i siebie i swojej kobyły do końca!

Nagle usłyszałam męskie kroki. Tuż za sobą! Ktoś za mną biegł!

Nie! Nie! Jestem cnotliwą i porządną niewiastą!

Jednak mój prześladowca nie dał się zgubić. Czułam sapiący oddech tuż przy uchu.

Zastanawiałam się w panice, czym mogę temu rozpustnikowi przyłożyć? Kapeluszem? Laską? Parasolką...?!

- Charlotto, niech pani poczeka!

O Boże, przecież to ten... Streitacker!

Już mnie dogonił.

- Kobieto, zaczekaj! Ależ pani goni! Maszeruje pani niczym pruski żołnierz!

O! - pomyślałam z zadowoleniem. - A więc reńska pieczeń wołowa z octu nie spodobała się! Nie zwalnając ani na sekundę tempa marszu, odezwałam się łagodnym głosem, pytając, jak mu smakowało jedzenie w stołówce.

- Stołówka mi się nie podoba! - grzmiał, idąc u mojego boku. Przekrzykując go usiłował pociąg intercity, który właśnie nadjeżdżał w naszym kierunku i wpadł z hukiem na wiadukt kolejowy.

- Koleżanka pewnie też nie? - zgadywałam.

- Skąd pani wie? - zaśmiał się basem. Zawtórowałam mu, aż most na Renie zadrżał w posadach.

- Jakoś od razu wydawało mi się, że nie jest w pana guście - zawołałam uradowana, usiłując przekrzykując dudniący pociąg.

Po Renie płynęła spokojnie holenderska barka, załadowana aż po brzegi jakimś towarem. Na pokładzie mężczyzna szorował energicznie burty, które błyszczały w słońcu. Nagle zrobiło mi się lekko na duszy!

Justus grzmiał nad moim uchem:

- Ja wiem, kto jest w moim typie! - I spróbował objąć mnie ramieniem. Gdy straciłam jego rękę, skwitował to ponownym wybuchem śmiechu.

O nie, kochaniutki! Nie tak ostro. Mam męża. A ponadto zamierzam przeciągnąć troszkę te twoje zaloty. Bo lubię. Od siedmiu lat nie przeżyłam nic takiego. Czy nie uważasz, że i ja mam prawo do przyjemności? Trzymając ręce w kieszeni kurtki biegłam lekuchno po wibrującym moście u boku najprzystojniejszego, najbardziej uroczego i najbardziej zdolnego aktora z naszego zespołu. Zdenerwowane mewy dały się nad nami. Boże, jakie życie jest piękne!

Gdy dotarliśmy na drugi brzeg Renu, Justus pokazał mi swój hotel:

- To „Hyde”. Tu mieszkam. - Nowoczesna fasada błyszczała szkłem i stałą.

- Wiem. - Bo cóż innego mogłam powiedzieć?

- Tutaj się zatrzymałam.

No, coś takiego! Nie mów! Tylko nie myśl, że zechcę teraz obejrzeć twój luksusowy apartament! O nie, co to, to nie, kochaniutki! Nic z tych rzeczy! Za żadną cenę! Idź sobie teraz na górę i utnij drzemkę popołudniową! Ja natomiast pobiegnę do mostu Muehlheim i z powrotem.

- Mam piękny widok na katedrę! - odezwał się Justus. -
Zwłaszcza wieczorem, gdy jest cała oświetlona!

- Co pan mówi! - uśmiechnęłam się krzywo.

No więc, kiedy mi zaproponujesz wizytę w pokoju, szanowny panie kolego?

- Chce pani zobaczyć?

No proszę, a więc...

- Co mam zobaczyć, nie rozumiem?

- Katedrę, oczywiście!

Katedrę czy Tyrolczyka? No?! Katedrę już znam. Tyrolczyka zachowam sobie na później.

- Nie, dziękuję, wolę pobiegać.

Nie jestem przecież taką kokoszką, która, kręcąc kuprem, od razu biegnie za kogutem! I nie mam najmniejszego zamiaru udawać, że interesuje mnie widok z jego okna, tylko po to, by mnie powalił na kanapę! A może sufit w jego pokoju jest wyłożony lustrami? A może przygotował szampana w kubełku z lodem? I świeże owoce na srebrnej paterze? I czekoladki, pomadki i inne łakocie, ułożone w kunsztowny sposób?

Czy muszę? Czy jestem zależna zawodowo? W biały dzień objadać się czekoladkami? Za żadną cenę! Mam męża...

- Wolę pobiegać.

Justus objął mnie ponownie. Zeskakiwaliśmy ze stopni, więc jego ręka zsunęła się z mojego ramienia.

Tak, mój panie!

Ale pan też wolał pobiegać. I był też w stanie dotrzymać mi kroku. Pachniał bardzo przyjemnie świeżym wiatrem znad Renu, mewami i perfumami marki „Idiota”. Biegliśmy przez park nad Renem. Boże, jaka byłam dumna. Pewnie zwykle towarzyszy Arnoldowi Kesslerowi, temu z oblodzoną brodą i rozczochranymi włosami! A dziś ja biegnę obok niego! JA! Nie zasłużyłam na to!

Słońce świeciło, dzieci biegały, śmiejąc się radośnie. Koło nas przejechała kolorowa ciuchcia, wesoło pogwizdując.

Justus, rozochocony niczym dziecko, wdrapał się na drążki do ćwiczeń gimnastycznych. Tu zademonstrował swoje alpinistyczne umiejętności. Jego wiatrówka, żółta niczym kupka nie-

mowlaka, błyszczała w jesiennym słońcu. Sweter w warkocze, robiony (czyżby własnoręcznie?) na drutach, wylazł z jego spodni, obnażając bardzo seksowny pępek. Brzuch był gładki i twardy, umięśniony i dość mocno opalony. Gdzieś w okolicy żołądka poczułam mrowienie. Przypomniałam sobie pępek mojego męża! Ernstbert miał zawsze owłosienie w pępku! Zawsze! Co wieczór wrywał sobie ten puszek! Co wieczór. Od siedmiu już lat! Było to nieapetyczne!

Justus nie miał puszkę ani włosów w pępku! Jakież on seksowny! Nagle naszła mnie ochota, by go po tym pępku pogłaskać. On tymczasem zwiślał spokojnie z drążka.

Charr-lotto! Wracaj do domu, bo dam ci w łeb!

Odwróciłam się i wbiegłam na pagórek z kamieni, z którego dzieci zjeżdżają na rowerach. Wzięłam rozbieg. Waliło mi serce. No proszę. Widok prawie taki sam jak z apartamentu Justusa. A może nawet ładniejszy. Stary Ren płynie leniwie. A po nim, czasem bardzo powoli, metr po metrze, suną szare i czarne barki, przewożące towary w kontenerach. Katedra błyszczy srebrno-matowymi odcieniami w jesiennym słońcu. Most Hohenzollernów przecina rzekę niczym wielki, żeliwny potwór. Moje ukochane miasto żyje. Bezustannie pulsuje życiem. Tak, drogi mój Justusie, tutaj zobaczyłeś nowoczesną metropolię! Prowincjusz w wielkim mieście! Nawet jeśli byłeś już w Wiedniu i Salzburgu i na wszystkich ośmiotysięcznikach świata! To jest Kolonia.

Przede mną Akademia Muzyczna, skąd dobiegają - tak mi się wydało w parkowej ciszy - dźwięki skrzypiec i głosy ludzkie. A w cieniu: nasz mały szpitalik. Cichy. Bładożółte mury. Z lewej strony okrągłe mury kościoła Świętego Kuniberta. Dalej po prawej stronie most Zoobruecke. Jak zawsze zdobią go romantyczne rusztowania, od których dochodzą odgłosy piły tarcowej i stukanie młotków. Pod mostem suną bezszelestnie gondole. Któż nimi popłynie o tej porze? Jesień, wtorkowe popołudnie! Zapewne emeryci z wnukami, którzy nie chodzą jeszcze do szkoły. Zagraniczni turyści, uzbrojeni w aparaty fotograficzne. Może jacyś zagubieni goście targowi. Menedżerowie ze swoimi długonogimi sekretarkami, by przez chwilę się odprężyć.

No i ci, którzy nie mieli odwagi iść do hotelu...

- Może popłyniemy taką gondolą? - usłyszałam nagle głos Justusa nad uchem.

Jak gdyby odgadł moje myśli. Jego wiatrówka, żółta niczym kupka niemowlaka, połykiwała w słońcu.

- O, tak, dlaczego nie! - odpowiedziałam.

I wylądowaliśmy oboje w Łódce. On miał dość długie nogi, ja również, więc musieliśmy się jakoś wraz z kończynami - w sumie czterema - pomieścić. Położył mi ręce na kolanach.

- Nie spodziewałem się, jadąc tutaj, że praca w Kolonii sprawi mi tyle przyjemności.

Odsunęłam jego ręce i założyłam nogę na nogę, choć nie bardzo było to możliwe w ciasnej łodzi.

- Pan jest zapewne przyzwyczajony do innych gondoli - powiedziałam. - To znaczy, do gondoli, z których są inne widoki.

Przepływaliliśmy właśnie pod mostem z sześciopasmową jezdnią. Z góry spoglądali na nas turyści, uzbrojeni w złowrogo rozbłyskujące aparaty fotograficzne.

- Widoki w moich stronach ojczystych są w rzeczy samej ładniejsze - powiedział Justus. - Za to widok w tej gondoli jest niepowtarzalny!

Jego słowom towarzyszył głośny wybuch śmiechu. Odgłos ten, dosłownie ogłuszający, odbijał się od burt łodzi i wydostawał na zewnątrz przez małe okienko. Tam rozpływał się w powietrzu i bezszelestnie wpadał do Renu. Co miałam odpowiedzieć, słysząc takie komplementy? Miałam zachichotać głupio lub jakoś tak historycznie? Nie miałam ochoty chichotać. Zamyśliłam się. Patrzyłam na wodę.

Chociaż było jeszcze wcześniej, ruch samochodowy na mostach nad Renem niemal zamarł. Niczym wielkie gąsienice przesuwwały się nieliczne auta po mostach, powoli, w przeciwnych kierunkach. My zaś płynęliśmy lekko po wodzie, nie spiesząc się i zapominając o stresach. Gdzieś w oddali widniał nasz mały szpitalik. Ani przez chwilę nie straciliśmy go z oczu.

- Mam dwóch synów. Bliźniaki. W tym roku po raz pierwszy poszli do szkoły - powiedziałam całkiem nieoczekiwanie.

Jakoś musimy wyjaśnić sytuację i ustalić te cholerne zasady.

Skoro nie pyta mnie o moją sytuację rodzinną, to muszę mu sama powiedzieć, jak jest naprawdę. Sprawiał wrażenie mężczyzny, który z góry zakłada, iż od początku jestem jego własnością.

- Ja mam sześcioro dzieci - odparł Justus. To, co mu powiedziałam, nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. - Też mam bliźniaki. Fritza i Franza. Też poszli w tym roku do pierwszej klasy.

- Sześcioro dzieci! Jak to pan zrobił? - zamurowało mnie.

- To dla mężczyzny nic trudnego! - zagrział Justus.

No jasne! On i Arnold to dwóch supermanów. Od głów po odmrożone palce u nóg! Zacerwieniłam się. Dziewczyny w oknach hotelu przy katedrze krzyczały rozgniewane: „Idiota, idiota, idiota!” - i zatrząskkiwały z impetem okna.

- Ale pańska żona!

- Rodzenie dzieci jest u nas zjawiskiem oczywistym - powiedział niskim głosem. - Wszystkie kobiety rodzą bez przerwy dzieci. Na okrągło. Potem dzieci pomagają w gospodarstwie.

- Jakie to praktyczne! - jęknęłam.

- Tak, Krystyna potrzebuje każdej pary rąk do pracy! Trzy najstarsze dziewczynki pracują i pomagają jej w gospodarstwie - dodał.

- Krystyna to pańska żona? - zająknęłam się cokolwiek.

- Tak, znamy się od dzieciństwa. Mieszkała po sąsiedzku. Od początku było jasne, że kiedyś się pobierzemy. Jej rodzice mieli gospodarstwo rolne, dobrze im się powodziło. Z chałupy zrobili pensjonat dla turystów, a my z Krystyną przebudowaliśmy go na hotel dla turystów przyjeżdżających w góry z rodzinami. Rodzinny. Pani też musi kiedyś do nas przyjechać!

- Chętnie! Z przyjemnością - odpowiedziałam całkiem już zmieszana.

Jak to się stało, że ten facet mając sześcioro dzieci i żonkę Krystynkę, rozrabiał tutaj jako lekarz naczelny, doktor Frank Bornheimer? W białym fartuchu, z włosami elegancko ułożonymi przez fryzjerkę szalał w *Naszym małym szpitaliku*?! Dlaczego opuścił swoją żonę? Dlaczego przy niej nie jest? Dlaczego nie bierze udziału w sianokosach? Dlaczego nie pracuje w pocie

czoła na polu? Dlaczego nie jeździ rankiem na traktorze, a wieczorem nie gotuje knedli w hotelowej kuchni? Dlaczego nie zajmuje się wychowywaniem swoich urwipołciów na porządnym tyrolskim chłopów? Dlaczego nie gra na rogu alpejskim na placyku przed kościołem, gdy nadejdzie niedziela, tak jak być powinno?!

No, jeszcze godzina - pomyślałam. - Jeszcze cała godzina, podczas której można sobie dużo opowiedzieć.

- Moi chłopcy mają na imię Ernie i Bert - zaczęłam poważnie markotnym głosem. Nie miałam czym mu zaimponować.

- Moi synowie cieszą się, gdy przyjeżdżają dzieci w ich wieku, bo mogą się razem bawić - dodał Justus. - Mamy wielki ogród z chatą, wybudowaną specjalnie dla nich! Tak, w budowaniu chat z bali jestem dobry! (Tu donośny śmiech). Są tam też konie i owce. I wielki pies, który ma na imię Herman!

- Herman. Ładne imię dla psa - pochwaliłam dobry gust.

Nasza gondola przybiła do przystani, uderzając lekko o już przycumowaną łódź.

Wstawiony bosman otworzył energicznie drzwi.

- Koniec trasy wysiadka, proszę państwa!

Rozplątaliśmy nogi i zaczęliśmy się zbierać. Bosman chwycił mnie za ramię. Owiął mnie zapach nie strawionego alkoholu. Twarz mężczyzny była obrzmiała, a skóra pomarszczona. Nochal tkwił w tej zapitej gębie niczym czerwony kartofel. Pomyślałam, że byłby wspaniałym statystą w naszym serialu. Bettina nie musiałaby go wcale charakteryzować.

- Dziękuję, dam sobie radę sama. - Jeśli już ktoś ma mi pomagać, to wolałabym, żeby to Justus chwycił mnie za biodra.

- Co teraz? Mamy jeszcze wolną godzinę przed sobą.

- Możemy troszkę pospacerować.

- W którym kierunku?

- W kierunku mostu Muehlheim. Stamtąd mamy dobry dojazd do studia - zaproponowałam.

- W porządku, w takim razie idziemy - Justus objął mnie spontanicznie gestem człowieka żadnego czynów, którego rozpięta energia.

No proszę, już jestem jego własnością. Jego drugą samiczką. Z miejsca pracy.

Tam Krystyna, tutaj Charlotta. A ta ręka na moim ramieniu wkrótce sama się obsunie - pomyślałam.

Maszerowaliśmy równym krokiem. Aż do mostu Muehlheim ręka leżała na moim ramieniu. Czy z Arnoldem Kesslerem też tak chadza?

- Cicho! Tata śpi!

Na paluszkach wychodziłam z dziećmi z domu. Właśnie było po programie telewizyjnym dla dzieci. *Kapitan Niebieski Miś* już się skończył, skończył się również *Liliowy Humorzasty Miś*. Zjedliśmy śniadanie, pobawiliśmy się razem, poczytaliśmy wspólnie książeczki, popieściliśmy się i poszeptaliśmy sobie do uszu czułe słówka. Na dworze jasno świeciło słońce. Minęła już jedenasta.

- Czy teraz możemy już wyjść?

- Nie! Przecież doskonale wiecie, że tata śpi, a okna jego pokoju wychodzą na waszą piaskownicę!

- A jak długo będzie jeszcze spać?

- Aż się obudzi.

- Ale ja się nudzę. Zawsze się nudzę! Ciągłe się nudzę! Nikt nie chce się ze mną bawić! Chcę mieć innych rodziców!

- Ciiicho!

- Chcę bawić się na dworze!

- Ernie! Jeśli nie będziesz mówił cicho, spiorę ci tyłek!

- Nie jestem twoim kumplem! - powiedział na to Ernie.

- Dlaczego tata nie śpi w nocy? - zapytał Bert.

- Nocą tata pracuje - odparłam.

- Na komputerze?

- Na komputerze.

- Czy wszyscy ojcowie pracują nocą na komputerze?

- Nie wiem. Nasz pracuje.

- A Kevin jeździ ze swoim ojcem w niedzielę rowerami na wycieczki! - dąsał się Ernie. - Robią długie wycieczki! Daleko, daleko! Co najmniej do Ameryki! Na ostatniej wycieczce napadła

ich puma. Wpiła się ojcju Kevina w szyję i tak jechała z nimi przez siedemdziesiąt pięć kilometrów, wsparta na bagażniku. Potem Kevin zastrzelił pumę! A tata musiał iść do lekarza! Takie mają fajne przygody!

- Niesamowite! - przyznałam.

- Ernie kłamie - oświadczył Bert. - Ale to prawda, że jeżdżą na rowerach.

- Macie ochotę na wycieczkę rowerową? - zapytałam. Że też moje dzieci mają tak flegmatycznego ojca! Wciąż się nudzą! A najgorsze jest to, że Ernstbert będzie chciał jechać z nami, gdy tylko się obudzi.

- Taaak!

- Ciiicho! Macie być cicho! Tata śpi.

Miałam zamiar cichutko wyjść z dziećmi, żeby Ernstbert poleżał sobie do siódmej w łóżku i wyspał swój komputerowy rausz. Ale ja go dobrze znałam: zawsze, gdy już byliśmy gotowi do drogi, budził się, wychodził goły jak święty turecki na schody i deklarował wolę towarzyszenia nam. Ale oczywiście nie zaraz, tylko za chwilę.

Najpierw udawał się do łazienki, potem do sypialni, potem jadł śniadanie, potem czytał w kiblu instrukcje obsługi, następnie przebierał się raz jeszcze, szukał butów sportowych, kurtki nieprzemakalnej, dopompowywał powietrze do opon w rowerze, przedtem szukając nowej pompki rowerowej, wreszcie wyciągał mapę i ustalał trasę. Tymczasem my głodnieliśmy, więc ja szłam do kuchni, obierałam ziemniaki, następnie jedliśmy obiad, potem ucinaliśmy sobie drzemkę poobiednią, a po kawie robiło się już ciemno i Ernstbert chciał obejrzeć dziennik telewizyjny.

Dlatego chciałam zniknąć, zanim się obudzi. Ta historia powtarzała się co niedziela. Nienawidziłam niedziel. Straszliwy stres.

Zaciągnęłam dzieci do toalety dla gości i kazałam wysiusiać się tak cicho, jak to tylko możliwe.

Ernie zaprotestował:

- Dziś jest święto i mój siusiaczek też świętuje.

Bert zakpił z brata:

- Tobie to by się przydały ze cztery siusiaki!

O czym on myślał mówiąc o kilku siusiakach? O, już wiem! Ten praktyczny młody człowiek myślał o stacji benzynowej i różnych rodzajach benzyny: o bezołowiowej, super, żółtej...

Ubrałam chłopców w wiatrówki, zapakowałam trochę owoców i ciastek do plecaka i wyszłam do garażu, błagając, by trzymali buzie zamknięte na kłódki. Akurat gdy bezszelestnie zamknęliśmy drzwi i niczym złodzieje przemykaliśmy przez ogródek, usłyszałam, jak otwiera się okno. Wpadłam w bezsilną, rozpaczliwą wściekłość.

Szary, szmatławy szlafrok (owłosiony pępek!). Białe, owłosione łydki. Łeb rozczochrany, nie ogolony, zaspany.

- Dzień dobry! - chrząknął rozmarzony Ernstbert. - Czyżbyście zamierzali spędzić niedzielę beze mnie?

- Ależ skąd! - odpowiedziałam słabym głosem. - Skąd taki pomysł?

W kościele Świętej Hildeboly dzwony biły na dwunastą.

- Zaczekajcie! Pojadę z wami! Tylko bez stresu!

Stres? Jaki stres? Kto tu kogo popędza? Nikogo nie popędzam. Jaka szkoda, że się obudziłeś! Trzeba było spać dalej!

- Teraz możecie pobawić się w piaskownicy! - powiedziałam do chłopców.

- Mamy mówić cicho? - wyszeptał Bert.

- Nie. Tata się przecież obudził.

Krzycząc z radości i z ulgi pobiegli do piaskownicy.

- Czy możemy puścić wodę?

- Nie - odezwał się Ernstbert z góry. - Nie ma chlapania się w niedzielę! Macie być czyści!

- Możecie! - zaprotestowałam. - Chłapcie, ile dusza zapraśnie. Potem się przebierzecie, jeśli to będzie konieczne.

Głęboko sfrustrowana usiadłam na schodach. Znowu go obudziliśmy! A tak się starałam! Od wpół do siódmej mówiliśmy szeptem. I wszystko na nic! A tak by było dobrze, żeby ten biedny, spracowany Ernstbert pospał sobie przez niedzielę! Całą dobę bez przerwy! Ale nigdy nam to nie wychodziło. Znów nie stanęłam na wysokości zadania. I w tym byłam kiepska! Prawdziwa ze mnie ofiara losu. Gapa, której i tym razem się nie powiodło. Greta i spółka. Ci - o tak! - ci po wojnie dawali

sobie świetnie rade. Im się wszystko udawało! Chociaż mieszkali w dwupokojowych, nędznych mieszkankach gdzieś kątem przy parafii, u surowego pastora, który nie lubił dzieci, choć te grzecznie rozczesywały frędzle dywanu, podśpiewując cichutko pod nosem!

- Mamo, pobawisz się z nami? Ty będziesz Krimihilda, a ja Hagenem!

- Nie mam ochoty! - odpowiedziałam szorstko. Byłam sfrustrowana. I to bardzo. Tak chętnie wzięłabym dzieci i po prostu zniknęła z pola widzenia mojego zaspanego małżonka. Obojętnie dokąd. Bez kompasu, mapy i planu miasta z jego komunikacją, bez komórki. Wyjść stąd. Być gdzie indziej!

Dzieci wrzuciły węża do piaskownicy. Dlatego też po kilku minutach zamiast suchego piachu w piaskownicy zrobiło się brudne żółte błoto, na którym powstały bąble powietrza. Zabawki na pewno się już potopiły. Moi chłopcy byli zachwyceni. Wpakowali się w to błotko z największą radością. Potem, szczęśliwi, usiedli na mokrych deseczkach wokół piaskownicy. W błocie odkryłam kilka misek i trzepaczki z kuchni. Pływały w mętnej brei.

- Chodź na troszkę do mnie na górę! - Ernstbert chrząkał, stojąc przy otwartym oknie. - Dzieci tak ładnie się bawią!

- Nie mam ochoty - powiedziałam cicho sama do siebie. Ale głośno zawołałam do dzieci: - Dzieciaczki, jeśli zostawicie tatę i mamę przez chwilę w spokoju, pojedziemy potem na wycieczkę rowerową.

- Sama w to nie wierzysz! - odpowiedział Bert. - Tata chce się teraz z tobą popieścić. Sama dobrze wiesz.

- Tak, tak! Ale potem pojedziemy! - próbowałam się bronić. Zdjęłam wiatrówkę i podreptałam na górę, myśląc o włosach w pępku męża. I nie mogłam zapanować nad swoim pożądaniem...

- Czy dzisiaj też pobiegamy w przerwie obiadowej?

Kurteczka, żółta niczym kupka niemowlęcia, już od wejścia ruszyła w moim kierunku.

- Dzień dobry! - Najpierw się przywitałam z zaprzyjaźnionym portierem, demonstrując całkowity luz.

- Dzień dobry pani! Dziś w samą porę!

Fritz spojrział pytającym wzrokiem na Justusa, który za szybą dla gości czekał na moją odpowiedź. Zdążyłam się już przyzwyczaić do widoku wiatrówki, żółtej niczym kupka niemowlęcia. I do zapachu, który wydzieliał. Zapachu człowieka, który żyje przygodą i którego rozpiera energia. I do brzmienia niskiego, męskiego i mocnego głosu. Szczególnie głębokiego i męskiego, kiedy się śmiał. Wydawało mi się, że znam go już od lat. I namiętnie lubiłam biegać z nim w wolne południa wzdłuż Renu. Nawet gdy straszliwie lało.

- Jeśli ma pan ochotę... - powiedziałam, przeciągając słowa.

Jego zainteresowanie pochlebiało mi bardzo, tym bardziej że Elwira, Bettina, Pia, Lora Kosz-marna i kilka innych koleżanek zerkało w naszym kierunku z kącika dla palących, nie kryjąc zawiści.

Tak, dziewczyny! Mnie wybrał. Ja jestem nie tylko najpiękniejsza w całej wsi, ale też i najbardziej interesująca. Dlatego! Intuicyjnie wyczuwa, jak wielką jestem aktorką i co sobą reprezentuję. Tak! Swój szuka swego!

Nagle poczułam się świetnie w zespole, z którym od siedmiu lat kręciłam *Nasz mały szpitalik*. Nigdy nie czułam się tutaj tak dobrze jak teraz.

Przedpołudnie minęło jak z bicia trzęsł. Nie mogłam się skupić na tekście. Kręciliśmy, gdy przed budynek zajechała taksówka, z której wysiadł Justus. Niebo było ciemne od deszczowych chmur. Justus patrzył w napięciu na front budynku, w którym my kręciliśmy kolejną scenę. Ja grałam - jak zwykle - panią doktor Anitę Bach, która wymieniała kilka mało istotnych uwag z uroczą zresztą pacjentką, cierpiącą na schorzenie woreczka żółciowego, a leżącą na oddziale trzecim, niejaką panią Schmid-Schmiedebach.

Wiedziona jakimś niejasnym uczuciem pani doktor podeszła do okna i przypadkiem ujrzała nowego, przystojnego lekarza naczelnego, który właśnie wysiadał z taksówki.

Nie miała naturalnie pojęcia, kim jest ten przystojny pan na

ulicy. Książę z bajki. Zapłacił, odebrał bagaż od taksówkarza i - co typowe dla oper mydlanych - spojrzął w górę, zamiast uciec do bramy, jako że łało jak z cebra. Spojrzął w okno na trzecim piętrze. Krople deszczu zmoczyły jego twarz o bardzo wyrazistych rysach, rujnując kunsztowną fryzurę. On jednak patrzył prosto w oczy jasnowłosej i nijakiej pani doktor Anity Bach, której leżąca na łóżku chora pani Schmid-Schmiedebach opowiadała właśnie o swych kamieniach żółciowych i związanej z tym głębokiej niechęci do tłustego, kruchego ciasta.

Wreszcie skończyliśmy kręcić. Pani Schmid-Schmiedebach była wolna i mogła iść do domu. Odebrawszy uprzednio w kasie biura honorarium za rolę.

- Dwie godziny przerwy obiadowej.

Zbiegłam do garderoby, zrzuciłam z siebie fartuch pani doktor Anity Bach, zdjęłam złotą kokardę i chwyciłam kurtkę.

- Dokąd tak ci spieszo? - pokpiwała Bettina. - Nie zmyjesz makijażu?!

- Nie trzeba! Deszcz zmyje! - odpowiedziałam i wybiegłam cała w skowronkach.

- Cooo? Znowu idziesz biegać? - zapytała kwaśno Lora Kosz-marna, na którą wpadłam na schodach.

- Bieg to zdrowie! - odpowiedziałam niczym taka mała stara.

- Ale nie przy takiej pogodzie! Kosz-marna! Zrzuńniesz sobie fryzurę!

- Bettina da sobie radę! - zawołałam radośnie. Rzadko kiedy cieszyłam się tak bardzo na samą myśl, że idę na spacer.

Jesienią dzieci rosną jak grzyby po deszczu - pomyślałam trochę bez sensu. - A ty, stara wołowino nadreńska, idź do stołówki, tam czeka na ciebie porcja podobnej tobie wołowiny! Tam twoje miejsce!

Na placu przed katedrą był już Justus. Jego wiatróweczka, żółta niczym kupka niemowlęcia, błyszczała na tle wszystkich otaczających plac szarości i sygnalizowała chęć do działania. W pobliskiej piekarni kupił bułkę z serem, którą mi zaraz podał. Przez sekundę pomyślałam o innej scenie, kiedy to we Francji Hannes podsuwał pod mój nos rogaliki. Wtedy, na dworcu, o piątej rano, wtedy, gdy zaczęło się moje życie. I odgryzając

pierwszy smakowity kęs chrupiącej bułki z serem pomyślałam sobie, że faceci zawsze mnie wabią do pułapki, podsuwając smakołyki.

Boże, jaka ona smaczna! Pycha! Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek w życiu jadła tak smaczną bułkę z serem. Justus osłaniał mnie swoim cokolwiek sfatygowanym składanym parasolem. On i Arnold na pewno wędrowali bez parasoli. No tak. Tacy mężczyźni jak on! Tylko ze względu na kunsztowne loki pani doktor Anity Bach osłaniał mnie tym żalonym paraplujem. Wszystko na próżno! Odsunęłam więc parasol na znak, że niepotrzebny.

Prawdziwi wędrowcy idą przez życie bez parasola. Ponadto, o ile wiem, na ośmiotysięcznikach na ogół nie pada deszcz.

- Możesz jeść w marszu?

Odezwał się do mnie na ty. No proszę, a więc i ta przeszkoda jest już usunięta.

- Jasne! - sapnęłam. Wtedy też biegłam za Hannesem z ustami pełnymi jedzenia. I tego samego wieczoru wylądowaliśmy w łóżku. Tak, ten Hannes... Co z ciebie wyrosło? Czy ty w ogóle wiesz, że mam z tobą syna? Syna, który jest do ciebie tak szalenie podobny? Ogarnęła mnie lekka melancholia. Stuhlbein. Czy mnie jeszcze pamiętasz?

Odpędziłam wspomnienia o nim. Ta historia jest całkiem inna. To dojrzały kolega, mądry, człowiek na poziomie, ojciec sześciorga dzieci, właściciel hotelu, osoba solidna, pierwszorzędny aktor. Ktoś, kto osłania mnie przed deszczem swoim parasolem i częstuje bułkami z serem, bo jest elegancki wobec dam, którym oferuje nie tylko bułki i parasol, ale i inne skarby, i który zabiega o to, by spędzić ze mną bezcenną przerwę obiadową.

Ramię w ramię wędrowaliśmy prężnym krokiem w kierunku mostu. Minęło nas kilka mokrych, szarych i dudniących pociągów, które pozostawiały po sobie ślady kropli i zimną parę. Pasażerowie na pewno teraz zdejmowali mokre okrycia i rozkładali gazety.

- To jest hotel „Hyde” - powiedział Justus.

- Co ty powiesz? - odpowiedziałam zadziornie.

Justus obdarzył mnie wybuchem swojego gromkiego śmiechu.

- No tak, przecież ty już wiesz, że tu mieszkam.

- Wspomniałeś o tym kiedyś mimochodem - krzyknęłam z pełnymi ustami.

Most wibrował. Kilka rozgniewanych mokrych mew schroniło się w swoich domostwach. Barki, które płynęły dziś w górę i w dół rzeki, sprawiały wrażenie, jak gdyby były w złym humorze. Nikt nie mył burt, pogwizdując wesoło.

- Chcesz popatrzeć z mostu?

- Na katedrę w deszczu? Czy na coś innego?

Justus się roześmiał. Ależ często się śmiał!

- Możemy też pobiegać, jeśli wolisz! - zagrział jego głos nad moim uchem.

- Tak! - odkrzyknęłam, usiłując przekrzyczeć hałas dudniących pociągów. - Możemy! Zawsze to powtarzam swoim chłopcom. Mamy zdrowe nogi i możemy chodźć.

Ruszyliśmy więc przed siebie.

Już dawno strąciłam z ramienia jego rękę, bo było mi za ciepło. Zwinęliśmy parasol, bo nie stanowił żadnej osłony przed deszczem, który rosił przyjemnie i chociaż był już grudzień, nie dokuczało zimno. Powietrze było świeże i rześkie. W ustach miałam smak bułki z serem, na twarzy krople deszczu. I poczucie wolności, że nikt mnie nie uwięził w swoich ramionach, by mną rządzić. W parku na brzegu Renu wszystkie urządzenia do ćwiczeń gimnastycznych były mokre, więc Justus nie miał ochoty na wyczyny sportowe. Szkoda, tak chętnie popatrzyłabym sobie na jego gładki pępek. Podniecał mnie bardzo.

Energicznym krokiem ruszyliśmy teraz w kierunku mostu Zoobruecke. Kilku robotników budowlanych, pałaszujących kaptki pod mostem, zagwizdało za nami dwuznacznie.

Justus opowiadał mi ochoczo historie ze swojego życia. Jego bas grzmiał niczym górski potok. W Bolzano chodził do szkoły. Nigdy nie chciał być chłopem jak jego przodkowie. Czuł się powołany do wyższych celów. W jego żyłach płynęła krew artysty, wiedział o tym doskonale.

- Wiesz, to było takie nawiedzenie...

Potem przez kilka lat studiował w Wyższej Szkole Aktorskiej

w Innsbrucku i Brixen. Stanał na deskach teatralnych. Osiągnął cel swych dążeń. We wszystkich większych miastach niemieckich i europejskich grywał Hamleta, Fausta, Każdego*.

- No, to dlaczego grasz teraz lekarza naczelnego w takiej operze mydlanej? - odważyłam się mu przerwać.

- Bo jestem odpowiedzialnym ojcem rodziny! - odrzekł, zrobiwszy surową minę.

- Nie rozumiem.

- Popatrz, dostawałem oferty z całego świata... - wyjaśniał, żywo gestykując.

Następnie wyliczył, jacy to wielcy reżyserzy i kierownicy artystyczni teatrów na całym świecie na próżno zabiegali o jego względy. Vanicetti, i Fettucini, i Bertolucci, i Altamonte oraz Haewelmann i Bamenohl i inni... jak im tam! On - ze swoim wyglądem, talentem i przede wszystkim dojrzałością artystyczną - zrobiłby karierę wszędzie, na całym świecie! Ale wtedy jego Krystyna pozbawiona została byka rozplodowego i nie pojawiły się następne pokolenia właścicieli hotelu. Wtedy przyjeżdżały do domu raz na kilka lat, a jego wkład ograniczałyby się do dawania forsy - i tylko forsy - na dom. Nie miałyby wpływu na rozwój rodziny i rodzinnego przedsiębiorstwa. Prawdopodobnie małżeństwo by się rozpadło. Aktorzy światowej klasy rozchodzą się - wcześniej lub później - ze swoimi chłopskimi żonami. To znane zjawisko. A więc? Nie, on, Justus Sprawiedliwy, nie mógł zrobić czegoś takiego matce swoich dzieci oraz gromadce potomstwa! Również potomstwa jeszcze nie narodzonego...

- Nieee...!

Tak więc nie odleciał ten górski orzeł. Został tu, obierając drogę gorszą, z dala od świateł ramp, przyjmując role nie odpowiadające jego artystycznym aspiracjom. Podpisał umowę z jakąś podłą, tandetną agencją artystyczną we Frankfurcie nad Me-

**Katdy* (niem. *Jedermann*) - bohater tytułowy najstłynniejszego z moralitetów wchodzącego w skład dramatu *Zwierciadło wiecznego zbawienia Elkerlyca* (1495 r.) pióra Flamanda Pietera van Diesta. Jej współczesną wersję (1911 r.) napisał Hugon von Hofmannstahl.

nem. Była to bardzo znana agencja. Każdy, najgorszy nawet artycha, bezrobotny łazęga, który mniemał, że jest artystą, mógł się za pośrednictwem tej firmy starać o pracę. Justusprostituował się więc jako artysta, prezentując swoje możliwości w agencji, i oczywiście natychmiast dostał wolne miejsce lekarza naczelnego w *Naszym małym szpitaliku*.

- Od razu zauważyli, jaki jestem utalentowany! - powiedziała zadowolony.

Ludzie kochani, czy to konieczne!? Czy ten facet musi tak się chwalić i sam sobie kadzić? Co za chwalipięta!

Jego talent artystyczny nie wykluczał rolniczych uzdolnień. Potrafił wszystko: jeździł traktorem, szlachtował świnię, urzywał kurom głowy.

- O tak, w urzynaniu głów kurom jestem dobry!

No i dopadał dziewczyny na sianie! Tu - zachwycony sam sobą - roześmiał się tak donośnie, że aż zadudniło. Wszystko to potrafił, umiał, był mistrzem we wszystkim... Samochwała w kącie stała....

Opowiadał dalej: w krwi miał spontaniczność i przywiązanie do ziemi ojczystej. Skromność i miłość do prostego ludu były jego kolejnymi wspaniałymi cechami. W których też był świetny! I gdy tylko znalazł się na swojej ojczystej ziemi, czyli w Południowym Tyrolu, wszystkie te jego wspaniałe cechy natychmiast się ujawniały. Żył nimi i je realizował. Wtedy przedstawiał być słynnym aktorem, o którego walczą światowe estrady. Robił się z niego miły chłopiec z sąsiedztwa. Wszyscy go kochali i podziwiali, gdy w gumiakach i granatowym fartuchu chłopów tyrolskich pracował w oborze, cuchnąc gnojem, gdy po pracy grał na akordeonie i niskim basem śpiewał popularne ludowe piosenki, znane wszystkim w całej dolinie. A gdy jodłował, ziomkowie mieli łzy w oczach! No i potrafił WYPIĆ! Nie wylewał na kołnier. Taki z niego twardy facet! Kosząc trawę - a był dobry w koszeniu trawy! - stawiał w każdym rogu wielkiej łąki butelkę piwa. Gdy podjeżdżał kosiarką, wypijał. Roześmiał się zachwycony sam sobą.

Co za charakter! Co za osobowość!

Wracając minęliśmy basztę.

- Napijemy się herbaty?
- Tak, skoro ty masz ochotę na herbatę, ja też mam ochotę na herbatę! Również na herbatę!

Tak więc weszliśmy do pustego lokalu, w którym powitał nas, oczekujący na koniec pracy, rozeźlony kelner.

- Dwie herbaty.
- Z cytryną?
- Dla mnie z mlekiem.
- Dla mnie też z mlekiem.

Z rozkoszą rozsiadłam się w miękkim fotelu. Znakomicie... Po tak forsownym marszu. Z okna widać było Ren, który leniwie płynął na północ. Piliśmy gorącą herbatę z mlekiem. Justus był zarumieniony od marszu. Wytarł głośno nos w wielką, kraciastą chusteczkę, jakiej zwykle używają chłopcy zażywający tabaki. Następnie wzięły moje dłonie, mówiąc:

- Spaceruj z tobą są fantastyczne! Jesteś bardzo interesującym człowiekiem!

Hm, skąd on wie, że jestem interesującym człowiekiem? Przecież ja prawie cały czas milczałam! To on tokował dwie godziny bez przerwy, niczym kogucik z czerwonym, sterczącym grzebieniem. Ja jestem tylko malutką szarą myszką, być może bardzo podobną do tej jego Krystynki. Ale umiejętność słuchania jest darem Bożym, jakby powiedziała Lora Kosz-marna. To wyróżniało wszystkie małe szare myszki - polne, płowe kwiatuszki, którymi wszystkie próżne kogutki pomiatały.

Słuchać! Kto to dziś jeszcze potrafi?! Po prostu słuchać!

- Witam cię, Ewelino! Masz dla mnie pocztę?
- Tak, cała teczka.
- Dzięki. Słuchaj, co tutaj się dzieje?
- Usiądź na chwilę. - Ewelina wskazała mi ręką krzeselko, stojące pod ścianą, na którym zwykle sadzała gości.
- Co się tutaj dzieje?? Czy może nabroiliam?
- Nie, skąd. Ale muszę ci powiedzieć coś, co dotyczy twojego przyjaciela Justusa.
- Jak wpadłaś na to, że jest moim przyjacielem?

- Droga moja, przecież to dla wszystkich jasne, że lecisza na tego dętego frajera. - Ewelina była osobą lubiącą konkrety.

- Co za bzdura! Nonsens! - broniłam się.

- A on leci na ciebie.

No proszę. Oparłam się wygodnie o krzesło. Czyżby Ewelinka była odrobinę zazdrosna? To się zdarza w najlepszych rodzinach. Również w *Naszym małym szpitaliku!* W końcu wszyscy jesteśmy tylko ludźmi.

Wydmuchiwała dym z papierosa prosto w zalane słońcem okna. Po chwili stały się matowe i szare.

- To gnojek i pętaak.

Roześmiałam się.

- Kochana, po co te nerwy, czyżbyś sama na niego leciała? Chętnie ci go odstąpię!

- Być może i tak było - powiedziała, patrząc mi głęboko w oczy. - No, wyszło szydło z worka. - Wczoraj wieczorem usiłował mnie poderwać.

Uśmiechnęłam się na sposób Ulriki z końskim ogonem, pulchnej uczennicy pielęgniarki. Odrobinę za serdecznie. Tak jakoś nieszczerze...

No to co? - Pomyślałam czując, jak ogarnia mnie zazdrość. - Trafiło się ślepej kurze ziarno. Być może wypił trochę za dużo albo zatęsknił za domem.

- Cieszę razem z tobą! To fajnie! - powiedziałam słodziutko i nagle poczułam mdły smak w ustach. - I co było dalej?

- Nie miał u mnie szans. Chwalipięta z niego i pajac. Ale nie o tym chciałam z tobą porozmawiać.

- NIE o tym? - Tu uśmiechnęłam się jeszcze serdeczniej.

- Widzę, że zrobił na tobie duże wrażenie.

- Skąd! O czym ty w ogóle mówisz!

- Charlotta! Chcę cię jedynie ostrzec!

- Miło z twojej strony! Czy to wszystko?

Chwycałam teczkę z pocztą i już chciałam wyjść.

- Mówił o tobie.

Zatrzymałam się.

- I co? - Nerwowo usiadłam znów na krzeselku przy ścianie. - No, mów wreszcie, muszę iść już do garderoby!

- Ta Charlotta Pfeffer - powiedział, głaszcząc mnie po łydkach. - Wyobraź sobie ten nietakt! Ma dość miłą buzię i zgrabną figurkę. Akurat pasuje do tej postaci, którą gra w serialu. Ale rolę dostała po protekcji, a nie dlatego, że taka zdolna.

Protekcja! Skąd on wiedział? Ktoś musiał to rozgadać! Przeknęłam ślinę. Po co mi to wszystko opowiadasz, dziewczyno?!

- No i co dalej? - zapytałam, strącając popiół z papierosa Eweliny do popielniczki, czyli do podstawki pod kwiaty, udając spokój i pracując nad sobą, by nie pokazać, że jej słowa sprawiły mi wręcz fizyczny ból.

- Ale aktorka to z niej żadna.

- Tak powiedział?!

- Przykro mi, ale tak właśnie powiedział.

- Ale przecież ja skończyłam szkołę aktorską z wyróżnieniem! Jak on śmie coś takiego twierdzić?!

Protekcja! O, gnojek z niego prawdziwy!

- Chce nam pokazać, jaki to on ważny - dodała Ewelina. - Zapomnij o nim. Dobrze mu to zrobi.

- Czy ty jesteś nim w jakiegokolwiek formie zainteresowana? - zapytałam ostrożnie. - Pytam, bo wszystko mi sama opowiedziałas.

- Mało brakowało - wyjaśniła. - Bądź co bądź wpuściłam go do swojego mieszkania. Po prostu przyszedł nieproszony. Znalazł się przed drzwiami na mojej wycieraczce tuż po dzienniku. Było to wczoraj wieczorem. Chciał porozmawiać o tobie. Po pierwszej butelce wina zaczął się do mnie dobierać. Nie miałam nic przeciwko temu, jeśli mam być szczerą, ale on chciał jedynie informacji na twój temat.

- Słuchaj, on jest żonaty!

- No to co? - Ewelina parsknęła. - Wszyscy jesteśmy w jakimś sensie żonaci czy zamężne. To nie o to chodzi. Obrzydliwy był sposób, w jaki o tobie mówił. Czy mam ci to dokładnie powtórzyć!

- Nie! - odpowiedziałam słabym głosem, bawiąc się bezradnie pudełkiem po papierosach, które wypaliła. Papierosach marki: „Chętnie zdechnę”.

- I powiedział, że niczego z ciebie laleczka - dodała.

Milcz! Wiłam się niczym robak, który został rozdeptany butem i zdycha. Justusie, Justusie, jaką mi zrobiłeś krzywdę! Dlaczego?!

Ale po chwili ożyły we mnie siły, o których dotychczas nie wiedziałam. Robaczek przeobraził się nagle w smoka, takiego plującego ogniem i dymem. Ernie byłby ze mnie dumny. No, zaczekaj, bratku. Ja ci pokażę! Odpłacę ci za wszystko, i to z nawiązką!

Przekonasz się, jak bardzo jestem utalentowana aktorsko.

Ale Ewelina jeszcze nie skończyła.

- I że za tą ładną buzią nic się nie kryje. Żadnych umiejętności aktorskich ponoć nie masz, żadnej wiedzy na temat, nic! Reżyser miał dobre oko wybierając ciebie, bo pasujesz do tej roli. No i że ktoś ci dopomógł w otrzymaniu tej roli, gdy ją dostałaś przed siedmiu laty...

On to... śmie... twierdzić... ten... cudzoziemiec... ten...

- Że nie masz żadnej przyszłości, żadnych widoków na coś lepszego. Cześć i już! Za pięć lat, gdy ci zwiotczą pośladki, a twarz pokryje się zmarszczkami, nikt nie będzie ciebie ciekaw. Nawet w *Naszym małym szpitaliku* zabraknie dla ciebie miejsca. Z dnia na dzień wymienią cię na nowszy model. On naturalnie zostanie. On będzie miał tę rolę do siedemdziesiątego roku życia, a nawet i dłużej. Do osiemdziesiątego roku życia. On będzie grał lekarza naczelnego, bo nie sposób mu się oprzeć, bo jest taki męski i gra wielkie charaktery. I ma klasę. Poza nim nikt z was nie ma tutaj klasy. Nikt. Tylko on!

- To wszystko powiedział tobie? - Usiłowałam się uśmiechnąć, ale nie bardzo mi to wychodziło.

- Dokładnie właśnie tak. On jest doświadczony i zna takich jak wy. Od wielu lat działa w tej branży. On wie, jak sobie poradzić z taką lalką jak ty.

- Dlaczego on to wszystko powiedział? PO CO?!

- Powiedział, bo jest gnojkiem - rzekła Ewelina beznamytnie. - ON jest wielką osobowością teatralną, zaraz po największych sławach teatru niemieckiego. Sam się plasuje się tuż za Gustawem Gruenkernem i Juergenem Curtzem. ON nie ma serijnej twarzy. ON nie!

Zgasiła papierosa, dusząc go brutalnie w popielniczce. Wydawać się mogło, że dusi jakąś cząstkę tego południowotyrolskiego chłopa, na przykład jego wyrostek robaczkowy. Paznokciem, pomalowanym różowym lakierem, zdusiła niedopałek, aż zatrzeszczało.

- Wiesz, dlaczego to wszystko powiedział? Bo sądził, że w ten sposób mnie zdobędzie, że mnie pozyska. Bo jest na tyle głupi, żeby uwierzyć, iż jego beznadziejne upajanie się samym sobą zrobi wrażenie na takiej nic nie znaczącej sekretarce jak ja. Ale tu się naciął. Miałam już kilku aktorów. I Moritza Schmolla i Georga Ergoetza. Znam, wiem, nie ma przede mną żadnych tajemnic. Dżentelmen rozkoszuje się i milczy. Mam ci coś powiedzieć? Skoro on mówi w ten sposób o tobie, mogę być pewna, że następnym razem będzie tak samo mówił o mnie, rozmawiając z tobą. Nie, dziękuję, nie gram dalej, pasuję! Wyrzuciłam go!

Co prawda, to prawda: ta mała myszka, nasza sekretarka o różowych paznokietkach, bo tak sama o sobie mówiła, miała klasę. Mogłyśmy się od niej uczyć.

Podniosłam się z wysiłkiem.

- Dzięki, że mi o tym opowiedziałaś.

- Nie oszczędzałam cię zbytnio, ale taka już jestem - skomentowała. - Chcę cię uchronić przed jakimś większym głupstwem. Znam cię przecież dobrze. Łatwo dajesz się oczarować. To, że ktoś ma akcent południowobawarski i śmieje się w sposób wymuszony niskim głosem, to jeszcze nie powód, by szaleć...

- Południowotyrolski akcent! - poprawiłam ją nieśmiało. - To wielka różnica.

- Dobrze wiesz, co mam na myśli. Życzę ci, żebyś się z nim zabawiła, bo potrzeba ci dobrego chłopa do łóżka, i na takiego sobie od dawna zasłużyłaś. Ta twoja blada twarz! Wiem, wiem, nie moja sprawa. Możesz mieć każdego, jeśli o mnie chodzi, ale nie tego. W każdym razie musisz wiedzieć, z kim masz do czynienia. Wtedy zrobisz, jak będziesz uważała!

- To naprawdę bardzo uczciwie z twojej strony! Dzięki ci! Nie zapomnę ci tego nigdy! - podziękowałam jej.

Podniosłam się i ruszyłam na uginających się nogach. Zga-

siłam w taki sam sposób swojego papierosa. Zdusiłam niedopałek w popielniczce, jak gdyby był to sam Justus.

Słamsiłam tego gada, zostawiając go w popiele. Justusie, zapłacisz mi za to! Przysięgam ci!

- Masz, trzymaj, poczta od twoich wielbicieli! Sami porządni hydraulicy, mechanicy samochodowi, nauczyciele jazdy samochodem, czeladnicy rzeźnicy i żołnierze powołani do wojska. Sami faceci z sercem, serdeczni! Każdy ożeniłby się z tobą natychmiast! I żaden z nich nie powiedziałby o tobie, że jesteś ładną lalczką!

Jeszcze raz odwróciłam się i wzięłam pocztę. Uśmiechnęłam się do Eweliny uśmiechem, który miał oznaczać, że nic nie bolało.

- Charlotto?!

- Tak?!

- Załatw go!

- Możesz na mnie polegać! - Uśmiechnęłam się z przymusem.

Ja, beztalencie, lalka o ładnej buzi! - mruczałam pod nosem, przemykając korytarzem. - A tak ciebie lubiłam.

W garderobie spotkałam go ponownie. Wyposażono go w okulary i inaczej ułożono włosy. Troszkę do przodu. Na intelektualistę. Boże, jakież to przystojny facet! Taki dojrzały, stateczny, męski, jurny i pełen żywotności.

Byłby świetny do reklamowania męskich, mocnych papierosów. Na przykład na koniu, z lassem w ręce, jedzie przez prerię, kiedy zachodzi słońce. A potem wyciąga z puszkii fasolkę, którą podgrzewa na ognisku, podczas gdy na sznurku do wieszania bielizny suszą się jego dziurawe buty kowbojskie. Mógłby też reklamować zupę z krabów firmy Mecki. Fiński wędkarz w butach gumowych stoi w szumiącym potoku czy też wodospadzie. Nagle jakaś ryba szarpie się na haczyku wędki. Jemu się wydaje, że jest wielkim mistrzem, więc zapiera się nogami i usiłuje rybę wyciągnąć z wody. I co widzimy w sieci? Zupę w proszku!

Taka rola byłaby dla niego idealna. Dobra rola dla ciebie,

chłopczyku, dla ciebie w sam raz! Wymarzona! Jeszcze mnie poznasz. Laleczka ci zapłaci. Laleczka jest pamiętliwa. Laleczka odparuje cios.

Bettina już na mnie czekała.

- Jak zwykle?

- Tak jest, jak zwykle!

Obie wykrzywiłyśmy twarz w grymasie, który miał oznaczać uśmiech. Pudrowała mi nos, a ja zacisnęłam wargi.

- No i co? Cieszysz się z dzisiejszej sceny?

Miała na myśli scenę z Justusem, to nie ulegało wątpliwości. Prawdopodobnie historia o laleczce już się rozeszła po całym zespole.

- Zawsze cieszę się, gdy idę do pracy! - powiedziałam przez zaciśnięte zęby. - Od siedmiu lat nie mogę się doczekać, kiedy minie niedziela i będzie poniedziałek!

Poszukałam wzrokiem oczu Justusa Marii Streitackera. Tych ciemnych, męskich, diabolicznych oczu. Niestety, między nami siedziała gruba Lora Kosz-marna. Grała starszą siostrę Elżbietę i właściwie brała udział we wszystkich scenach. Nie-za-stą-pio-na - jak sama o sobie mówiła. Kosz-marna!

Bettina wpięła mi we włosy tę okropną, nieodzowną wstążkę, to paskudztwo w złym guście, które było częścią pani doktor Anity Bach. Lekarki noszą zwykle końskie ogony, czyli włosy porządnie zaczesane do tyłu i związane. Nigdy nie mają włosów rozpuszczonych, by pukle nie spadły operowanemu do otwartej rany. Tak jest również wtedy, gdy właśnie poznają nowego lekarza naczelnego. Mają swoje zasady.

Gruba Lora występowała w czepku pielęgniarzkim, który jej właśnie nakładano na głowę. Lora zapytała mnie, posługując się dialektem używanym w przysłowiowej Koziej Wólce, czy czytałam już aktualny scenariusz. W jej głosie wyczuwałam pogardę.

Mówiąc o aktualnym scenariuszu, miała na myśli tekst pisany pod Justusa. Elmar, sympatyczny, dobroduszny grubasek z redakcji, musiał uaktualnić tekst. Należało to do jego obowiązków. A od kiedy umarł Jupp, miał bardzo dużo roboty.

- Nie, skąd! A ty?

- Coś ty! Co ci przyszło do głowy!

Lora podawała fryzjerce szpilki, które trzymała w ustach. Ta odbierała je samymi opuszkami palców.

- Musisz się zakochać w lekarzu naczelnym! - oświeciła mnie wreszcie. - Że też nie mają lepszych pomysłów! - dodała.

- Tego mi jeszcze brakowało! - powiedziałam.

Siostra praktykanta, ta z końskim ogonem, uśmiechnęła się słodko i nijako.

- Ale ty zawsze masz pecha!

W mojej głowie natychmiast dojrzał pewien plan. Wtedy, z Ernstbertem, też mi się udało. TO mi się udało. Muszę tylko bardzo intensywnie o tym pomyśleć. I upuścić jakiś przedmiot. Wyszczrzyłam zęby w kierunku Justusa, a raczej jego odbicia w lustrze.

- Loro! - powiedziałam słodziutkim głosikiem. - Czy sądzisz, że byłoby lepiej, gdyby to Elżbieta, siostra przełożona, zakochała się w naszym nowym naczelnym? W jej wieku?

- Nie! Skąd! Wszystko, tylko nie to! - Lora dzielnie się broniła. Zrobiła się purpurowa na twarzy i upiła szybko łyk zimnej kawy z fdiżanki, na której jak zwykle były ślady jej szminki.

- A więc! - powiedziałam do niej. - My, młodzi, też chcemy trochę przyjemności w tym życiu! Prawda, Loro? To sztuka, umieć nie zazdrościć innym!

Ładna laleczka znowu uśmiechnęła się w kierunku dojrzałego i statecznego pana doktora. No tak. A on zaskoczył. Roześmiał się donośnie, aż lustro zaparowało.

Tak, mili moi. Teraz upoluję dwie muchy za jednym uderzeniem. Zasłużyliście sobie na to.

- Ty też do najmłodszych już się nie zaliczasz! - odparowała złośliwie. - Tej jesieni stuknie ci trzydziesta czwarta wiosenka!

- Najlepsze lata dla kobiety! - odszczeknęłam bezczelnie. - Zna się swoją cenę! I się wie, co się ma! Pora na wiszące pośladki i zmarszczki jeszcze nadejdzie! Nieprawdaż, panie doktorze?

- Jestem zdania, że dojrzałe kobiety są bardzo atrakcyjnymi partnerkami - odezwał się Justus Maria. - Są niczym owoce

na drzewach jesienną porą w górskiej dolinie. Wędrowiec je sobie zrywa i zjada z apetytem. Zjada jedynie te, które mu smakują. Resztę wyrzuca. Rzuca je w wysoką trawę, gdzie zgniją. Wędrowiec idzie dalej i szuka nowych owoców. Jesienią tych słodkich owoców jest w nadmiarze.

- Ja cię kręcę! Gdzie on to przeczytał? - mruzczała pod nosem Pia, kłując niemiłosiernie szpilkami Lorę.

- To z *Hamleta* - powiedziałam, udając czytana. - A może z *Marii Stuart!* Albo z *Każdegol*

- Uważaj, ty niezręczna dziewucho! - Lora gderała ostrym głosem.

- Kochani, dość tych kłótni! Czy musicie wciąż się kłócić? - odezwała się Bettina. - Co sobie pomyśli o nas pan Streitacker?

- Mnie się podoba! - odezwał się Justus Maria dzwiecznym głosem. - Pochlebia mi, gdy kobiety się o mnie kłóca! To podnieca! - Tu roześmiał się tak bardzo hałaśliwie i donośnie, że Bettinie zaczęły wibrować szpilki między zębami. Przewracała oczami. Znowu popatrzyłam na Justusa w lustrze.

Pochlebia mu kłótnia kobiet? Jest podniecony? Kto tu z nas dwojga jest podniecony? Ja czy ty? Czy sądzisz, że tylko mężczyźni mają prawo być podnieceni i podnieceni? Laleczki też mają jakieś swoje życie emocjonalne, jeśli wolno zauważyć, za pozwoleniem łaskawego pana!

Brwi miał krzaczaste. Czuprynę kruczoczną. Spojrzenie diaboliczne. Nasz kolega, wzór wszelakich cnót, męski charakter i szlachetna dusza, zagłębił się pilnie w lekturze scenariusza.

Tak, chłopaczku! Podjęłam decyzję. Wtedy, z Ernsfbertem, udało się. Ciebie też dopadnę. W taki sam sposób.

Górze brała więc koncepcja układu z dwoma mężczyznami. Ponadto Ernstbert ma wciąż owłosiony pępek. Wciąż, a to takie nieapetyczne. Ponadto diabełek, a raczej diablica, szeptał mi do ucha: Ernstberta nigdy nie ma w domu! A jak już jest, to siedzi przy komputerze. A jak nie przy komputerze, to w kiblu. Czyta tam instrukcje obsługi. A gdy nie siedzi w kiblu i nie pracuje przy komputerze, to leży w łóżku i śpi.

CIĄGLE się nudzę i nikt nie chce się ze mną bawić!

Gdyby nie *Nasz mały szpitalik* byłabym gruba, sfrustrowaną

larwą, chodziłabym w sukienkach z materiałów w wielkie wzory z kwiatów, siadywałabym na piaskownicy, robiąc jakieś serwetki szydełkiem i czekając, aż nadejdzie wieczór, kiedy to w telewizji puszczą jakąś komedię, którą sobie obejrzę, opychając się czekoladkami. W laleczce coś drgnęło. O nie, wy potwory! Mężczyźni! Nie ze mną te numery! Nie ze mną, Charlottą Pfeffer! Ale czy nie straciłam zdolności czarowania? A dlaczego miałabym stracić?! Wtedy udało się niechcący. Teraz sprawię, by się udało, bo ja tego chcę.

A więc muszę intensywnie o TYM pomyśleć. Całkiem niezłe są te fantazje! I upuścić niepostrzeżenie jakiś przedmiot. Jak wtedy złote pióro Ernstberta.

Czy czar się uda, gdy będę patrzyła w lustro? Żeby ten strzał nie poszybował przez lustro gdzieś w przestrzeli, wracając do mnie! Żeby przypadkiem tak się nie stało, że to JA będę za nim szaleć!

O nie, nie! Jeszcze panuję nad swoimi zmysłami. Robię to z czystego wyrachowania. Niepostrzeżenie wzięłam jedną ze szpilek Lory. Przez chwilę się nią bawiłam. Cały czas wpatrywałam się intensywnie w lustrzane odbicie mojego szanownego kolegi.

Był zajęty. Studiował pilnie scenariusz. Głowę opuścił. Oczy mi wodził po liniijkach tekstu. Widziałam, jak przesuwa po nich wzrokiem. Uczył się do ostatniej chwili. Nawet w garderobie. Ale zaraz poniesie głowę. Zaraz. Musiał wyczuć, że mu się przyglądam. Oczywiście było mu przyjemnie, pochlebiało mu to i upajał się tym. Wiedziałam, że zaraz na mnie spojrzy, by się upewnić, czy się w niego wpatruję.

Narastało napięcie. Nigdy nie używałam lustra do czarów. Musi się udać! Teraz! Podniósł oczy. Ja odpowiedziałam mu spojrzeniem. Po prostu.

Charlotto, ty flejtuchu, niech twoje spojrzenie będzie skromne i naturalne! Patrz prosto przed siebie. Takie niewinne spojrzenie zdobi dziewczynę i dodaje jej urody! Nawet jeśli nie spuścisz wzroku, ujmy ci ono nie przyniesie.

Powoli rozczapierzyłam palce. Powoli, prowokacyjnie upuściłam szpilkę. To nie było trudne. Szpilka, która służy do za-

bawy, z łatwością wypada z ręki. Zwłaszcza gdy jest się po-
grążonym w myślach. Nic się przecież nie stało. W garderobie
takie rzeczy są na porządku dziennym. Ciągłe coś spada na
podłogę. Codziennie coś innego.

Tak, zakochany w sobie kogutku! Popatrz mi teraz w oczy,
malutki! Zobaczysz, co z tego wyniknie!

- Mamusiu, chodź szybko!

- Co się stało, kochanie?

Właśnie usadowiłam się w swoim pokoju ze scenariuszem
w dłoni i miałam jedno życzenie. Pragnęłam, żeby nikt mi nie
przeszkadzał.

- Jestem doktor Anita Bach - uczyłam się półgłosem na
pamięć tekstu. - Nie wydaje mi się, żebyśmy już kiedyś się
spotkali.

Jutro Anita po raz pierwszy zamieni kilka słów z nowym
lekarzem naczelnym. Wreszcie. Jutro dojdzie do pierwszego dia-
logu. A od tego momentu będą już razem. Przez wiele lat.
Dobrze mu tak!

Scena poznania była najważniejsza. Tę scenę muszę zagrać
bezbłędnie. To powiedział dziś nawet sam reżyser. A on nigdy
nie mówił niczego zbędnego.

Byłam aktorką, a nie laleczką! Jutro wszystkim pokaże, że
potrafię grać.

Dzieci usadowiłam przed telewizorem. Nie miałam innego
wyjścia. Ernstbert był od kilku dni nieosiągalny. Od dłuższego
czasu żył sprawami funduszu nieruchomości w byłej NRD. A ja
walczyłam z tą sceną. Na jutro musiałam umieć na blachę całą
nową wersję odcinka czterysta trzynastego.

- Mamo!

- Tak, kochanie? Już idę!

- Popatrz na te wielgachne dzikie świny! Jak walczą ze
sobą!

- Wspaniałe! - powiedziałam od rzeczy, całkiem nieobecna
duchem. - Jestem doktor Anita Bach. Pracuję tu już od kilku
lat i nie sądzę, żebyśmy się już kiedyś poznali!

- Mamo! Przestań! Nie wygłupiaj się już! Chodź tutaj! Szybko!

Zabrałam scenariusz i usiadłam z dziećmi przed telewizorem. Obaj chłopcy natychmiast wdrapali mi się na kolana. Dwa młode cielaczki na kolanach u mamuski.

- Jestem doktor Anita Bach - powiedziała mama. - Pracuję tu już od kilku lat...

- Odłóż tę głupią książkę!

Odłożyłam tę głupią książkę.

- Nie sądzę, żebyśmy się już kiedyś poznali!

- MAMO!

- Popatrzcie na te dzikie świnię! - powiedziałam do chłopców, by im udowodnić, że się nimi po matczynemu interesuję. - Nie sądzę, żebyśmy się już kiedyś poznali... Nie... Nie sądzę, żebyśmy się już kiedyś w klinice spotkali... chociaż już od lat...

Na ekranie dwa odyńce walczyły ze sobą w porze godowej. Tyłne kończyny, mocno owłosione, wbijały się w błoto. Jeden usiłował obalić drugiego.

- Nie sądzę, żebym kiedykolwiek widziała już takie tłuste dzikie świnię, chociaż pracuję tutaj już od kilku lat...

- Mamo! Masz oglądać!

- Popatrzcie! Robią to tak samo jak wy! - powiedziałam do swoich synków.

- To nieprawda! My nie walczyliśmy o maciorę, my walczyliśmy o ryceczy! - wyjaśnił Ernie.

- My nie jesteśmy w okresie godowym! - dodał Bert.

- Całe szczęście! - odpowiedziałam im. - Tego by jeszcze brakowało!

Jestem doktor Anita Bach. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek była w okresie godowym, chociaż pracuję tutaj już od kilku lat...

Z zainteresowaniem śledziłam wydarzenia na ekranie. Chciałam być gorliwym pedagogiem, więc tłumaczyłam sama sobie, że nie należy pozwalać dzieciom na oglądanie tego typu przyrodniczych filmów bez matczynej nadzoru.

O, zresztą jestem doktor Anita Bach i od lat pracuję jako lalaczka. W niepełnym wymiarze godzin.

Oba odyńce atakowały się kłami. Po chwili chudszy został

powalony przez tłustszego i legł w błocie. Potem tłustszemu udało się zmusić chudszy do ucieczki. Chwiejąc się na nogach, chudszy zbiegł ze skarpy. Potknął się i zsunął do strumienia.

Jestem doktor Anita Bach.

Spiker, który niewątpliwie miał polipy w nosie, czytał komentarz bez odrobiny poczucia humoru: „Odyniec, zmuszony do ucieczki, obrał drogę powrotną przez strumień, żeby utrudnić przeciwnikowi pościg i zatrzeć za sobą ślady”.

Cięcie. Ostre cięcie. Następne ujęcie: zwycięski odyniec kryje bez żenady lochę swoich marzeń.

Popatrzyłam z boku na dzieci cokolwiek zaniepokojona.

- Co on z nią robi? - zapytał Bert, przejęty widokiem świń.

- On ją wykańcza - wyjaśnił Ernie.

- Aha! - Bert już zrozumiał.

Nie sądzę, żebyśmy się już kiedykolwiek spotkali. Pracuję tu od lat. Jestem doktor Anita Bach.

Po chwili usatysfakcjonowany odyniec pobiegł sobie gdzieś w świat.

- Wygrał - Bert zrozumiał.

- No jasne, tak jest zawsze - uświadomiłam swoje dzieci. - Ludzie, świny i pszczołki... wszyscy zachowują się tak samo.

- Mamo, bądź cicho! - powiedział Bert. - To jest zbędne.

Na następnych zdjęciach locha tarzała się w kupie liści, pewnie wstydząc się tego, co zaszło. Ale gdy wyszła tyłem z tych liści, oczom telewidza ukazały się warchlaczkki. Pół tuzina małych warchlaczków w paseczki.

„Dziki świny mają nawet dziesięć młodych w jednym miocie - spiker czytał komentarz beznamyślnie. - Po urodzeniu ważą zaledwie pół kilograma”.

- Czy to szczury? - zapytał Bert, przerażony.

- Nie, to są jej dzieci - oświeciłam go, wczuwając się w sytuację.

Ślepe warchlaki przewracały się i walczyły o pokarm, usiłując zdobyć jeden z sutków lochy.

„Po krótkim okresie ochronnym locha wyrusza z młodymi na pierwszą wycieczkę” - kontynuował swoje wywody, straszliwie biadoląc, spiker.

Dzika świnia, w złym humorze, biegła truchtem przez las, a za nią dreptały w gromadce pasiaste świnki.

Świetnie tę lochę rozumiałam! Koniec z wolnością! Nigdy więcej luzu i swobody! I ani śladu po odyńcu! Tak samo jak i nas w domu.

„Chętnie tarza się w błocie” - poinformował nas spiker, podczas gdy dzika świnia usiłowała pozbawić siebie i swoje potomstwo życia, co się jej nie udawało. Biegła sfrustrowana przez las, a gdy ktoś z dzieci wpadało pod ryj, odrzucała je - nie patyczkując się - tymże ryjem od siebie.

- Powinnam tak postępować z wami - powiedziałam do chłopców.

Jestem doktor Anita Bach.

- Wtedy przestanę być twoim przyjacielem - odpowiedział mi Ernie.

„Warchlaki szybko dorastają - wtrącił się spiker. - I gdy rolnik nie pilnuje pola, łatwo może stracić plony”.

Na ekranie stado dzikich świń płądrowało bez jakichkolwiek zahamowań pola żyta, owsa i jęczmienia, deptając po kłosach i głośno mlaszcząc.

- Tak samo jak wy w MacDonaldzie - dodałam.

Ernie dał mi łokciem kuksańca pod brodę.

- Mamo, bądź cicho, bo nic nie słychać!

- Jestem doktor Anita Bach. Pracuję tutaj już od kilku lat i nie sądzę, żebyśmy się kiedyś poznali - zaczęłam mówić tak jak spiker z polipami w nosie.

„Dziki są wszystkożerne - spiker kontynuował swe wywody. - Nie stronią również od ziemniaków. Gdy dzik zaspokoi swój głód, wędruje dalej, pozostawiając za sobą spustoszone pola”.

- Tak samo jak Ernie i Bert. - Sama byłam zaskoczona trafnością tego porównania.

- Mamo, cicho, bo pójdziesz do swojego pokoju! - złościł się Bert.

Zaniemówiłam. No nie, do tego nie mogę dopuścić. Jestem doktor Anita Bach, a to są moje warchlaczki. Pracuję tutaj już od kilku lat i nie sądzę, żebyśmy się już kiedyś spotkali.

Dziki biegły świńskim truchtem na sąsiednie pole, tratując

wszystko, co się dało stratować, pogniotyły kartofle, niektóre nadgryzły i pozostawiły.

Następne ujęcie: na horyzoncie ambona myśliwska, a na niej waruje przedstawiciel rzeszy myśliwych. Mruży oko, składa broń i strzela. Słychać strzał, po którym jeden ze źle wychowanych samców pada.

Na chłopcach ta scena robi wielkie wrażenie.

Cięcie: żarłoczny młody dzik leży ubity. Już wzięłam do ręki pilota, by na wszelki wypadek zmienić kanał i włączyć dzieciom jakiś fdm typu rambo-żółwie-power-crash na kanale Cztery Minus. Ale z drugiej strony zadawałam sobie pytanie, czy nie powinnam jednak konfrontować dzieci z brutalną rzeczywistością? Kierując się pewnymi zasadami, pozwalałam im włączać jedynie pierwszy i drugi program telewizji. Pozostałe przy życiu świni uciekły przerażone.

„Padł młody dzik - głądził spiker. - Ponieważ dziki nie mają już naturalnych wrogów, myśliwi muszą ingerować, zmniejszając ich populację. Smakosze dziczyzny doceniają smaczne mięso z dzika”.

Dzieci wpatrywały się w ekran jak urzeczone.

- Mamo, czy on nie żyje?

- Nie żyje - odpowiedziałam. - Ale to tylko dzik.

Głęboko odczuliśmy wszyscy brzemień smutku, który nas opłonił. Zastanawiałam się, jak wyjaśnić dzieciom proces, któremu podlega cała przyroda.

„Małe warchlaki czują się tutaj zagrożone”. - Na ekranie stado dzikich świń uciekało szybko przed siebie. Pies myśliwski wyskoczył jak szalony i zaczął histerycznie obszczekiwać ustrzelone zwierzę. Wielkimi krokami zbliżał się myśliwy. Sprawiał wrażenie bardzo z siebie zadowolonego.

- Czy on ją teraz zje? - zapytał Bert z obrzydzeniem.

- Obawiam się, że tak.

Ernie się roześmiał.

- No to tamte miały szczęście!

- O, ale z ciebie głupek! - odpowiedział Bert. - Nigdy więcej nie chcę oglądać takich zaszarych filmów.

- Idźcie się troszkę pobawić - poleciłam dzieciom. - Jestem

doktor Anita Bach i pracuję tutaj już od kilku lat. O siódmej kolacja!

Ze scenariuszem pod pachą wróciłam do swojego pokoju.

- Proszę o spokój! Zaczynamy próbę!

Kierownik produkcji poprosił wszystkich gapiów i gaduły na swoje miejsca. Gruba Lora przestała mleć ozorem i zaczęła poprawiać poduszkę na łóżku starszej pacjentki, którąjescze przed chwilką całkowicie ignorowała. Lora nie rozmawiała ze statystami. Nigdy. Nie raczyła rozmawiać. Zawsze pomstowała na naszą fraternizację z tą hołotą. To nie w jej stylu. Ona raczyła rozmawiać jedynie z osobami, które były jej równe rangą. Co najmniej równe. Ja, już w białym fartuchu i ze słuchawkami, stałam po drugiej stronie łóżka i trzymając biedną statystkę za rękę, udawałam, że badam puls. Była zdenerwowana. Bądź co bądź miała za całe sto marek przeleżeć przedpołudnie w łóżku i zachowywać się tak, jak zachowują się osoby chore.

To nie jest wcale takie proste, gdy człowieka obserwuje pięć milionów widzów. Bo tyle widzów miał nasz serial. Ponad osiemdziesiąt procent oglądających *Nasz maty szpitalik* to osoby powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia. Wykazały to najnowsze badanie oglądalności naszego programu. Czas i ochotę na oglądanie *Naszego małego szpitalika* miały przede wszystkim osoby starsze, to jasne! Zawsze usiłowałam sobie wyobrazić, ile to emerytek, paląc papierosy i wygodnie rozpierając się na kanapie, wyłożonej poduszkami własnoręcznie zrobionymi szydełkiem, zalewa się łzami, śledząc losy bohaterów serialu. I jak ich łyż kapią na siedzące im na kolanach pinczerki. Kobiet w moim wieku, oglądających film, było około miliona. Głównie mamy i gospodynie domowe, które oglądały serial, prasując czy też składając skarpetki. Głęboko sfrustrowane swoim bytem domowej kuchni, na chwilę zapominały o wskaźniku inteligencji, jaki je cechował. Ale któregoś dnia wezmą się w garść i znowu zaczną żyć swoim życiem. Ja serialu naszego nie oglądałam nigdy. Nigdy. Po pierwsze, u nas w domu oglądanie programu prywatnych stacji telewizyjnych było zabronione. Po drugie,

w biały dzień nie ogląda się telewizji. To grzech. Popołudnia spędza się na spacerach. Wychodzi się po prostu na świeże powietrze. Wystarczało mi zupełnie, że miałam z tym środowiskiem do czynienia w przedpołudnie.

Czekaliśmy cierpliwie na Gustawa Grasso, naszego reżysera. Nie widzieliśmy go przez kilka dni, co w jego przypadku nie było niczym osobliwym. Mieszkał, o czym wiedziałam od Lory i innych osób dobrze poinformowanych, a żyjących życiem innych, w przyczepie kempingowej. I to już od dawna. Przed laty zmarła mu żona. I od tego czasu zszedł na psy. Serial ten reżyserował już od dwudziestu dwóch lat. Najpierw w Ameryce, gdzie odniósł wielki sukces. *Linie hospital* stał się ulubionym serialem amerykańskich gospodyń domowych, które namiętnie oglądały kolejne odcinki, jednocześnie gotując i prasując.

A od kiedy i u nas pojawiły się prywatne stacje telewizyjne, przed ekranami telewizorów zaczęły pochlipywać również gospodynie niemieckie. Te siedzą na kanapach wyłożonych poduszkami, własnoręcznie wydzierganymi szydełkiem. Gustaw kręcił więc cały ten chłam po raz drugi. Coś mu się z tego wszystkiego udzieliło, bo wyglądał staro, sprawiał wrażenie przechodzonego, zużytego, niezadowolonego i mrukliwego. Kojrzył mi się z kilkakrotnie zaparzoną torebką herbaty.

Ale ja lubię takich facetów. Lubiłam też Gustawa Grasso. Nawet bardzo. Chociaż prywatnie nigdy nie zamienił ze mną ani jednego słowa. Przez siedem lat ani razu. Jego ulubione słówko to stwierdzenie: „zbędne!” Najbardziej zbędna wydawała mu się jego obecność na planie. Dlatego też często znikał i nikt nie wiedział, gdzie go szukać. Po kilku dniach wracał. Krążyły plotki, że jest nałogowym graczem. I gdy go dopadał nałóg, ulegał mu, spędzając kilka nocy z rzędu w kasynach gry i przybytkach gier hazardowych. Aż się spłukał z forsy. Ponoć przegrał dom i cały dobytek. Ale my wszyscy potrzebowaliśmy go. Na dłuższą metę bez niego nic by się nie udało.

Dawałam mu sześćdziesiąt pięć lat. I sądzę, że jego życie nie było bytem w krainie szczęśliwości. Cechą szczególną był beret. Przebąkiwano, że ma na czole bliznę. Po jakiejś bijatyce w kasynie. Gdy nie miał czym zapłacić swoich długów.

Tak twierdziła gruba Lora.

Gustaw Grasso nigdy nic o sobie nie mówił. Był zdania, że to zbędne. Oczywiście nie rozmawiał również o innych. Nikt nie wiedział, kim jest, skąd pochodzi, dokąd zmierza. Nikt oprócz Lory. Ponoć odwiedził ją kiedyś w jej Koziej Wólce. Był w jej domku. Ponoć. Gdy jeszcze żyła jego żona. Odwiedził ją i jej Detleva. Chwaliła się z tego powodu jeszcze teraz. Niechętnie rozmawiałam z Lorą na tematy nie związane z naszą pracą, nigdy więc nie dowiedziałam się niczego ciekawego o Gustawie Grasso.

Wydawało się, że na Gustawie nic nie robi wrażenia. Zawsze był w złym humorze. Ani czaruś, ani gaduła. Nigdy nie odzywał się do kobiet per „łaskawa pani”. Nigdy nie wspominał, że dziś mamy ładną pogodę. Gdyby papież złożył mu wizytę, nie usiłowałby nawet pocałować go w rękę. Jestem pewna, że z papieżem rozmawiałby w taki sam sposób, po prostu mruklawie. Tak samo jak rozmawia ze wszystkimi innymi ludźmi. „Wszystko jest zbędne, a my nie jesteśmy tu dla zabawy” - to były jego słowa.

Byłam jednak zdania, że jako reżyser jest genialny. Próby przeprowadzone pod jego czujnym okiem były skuteczne. Nigdy nie musieliśmy powtarzać ujęć częściej niż dwa, trzy razy. Serial był kiepski, akcja też, aktorzy drugorzędni (zwłaszcza ja, lalczka!), dialogi nędzne. Aż roiło się od stereotypów. No, ale serial nie był przeznaczony dla wymagającej publiczności, o czym reżyser doskonale wiedział. Wykonywał więc sprawnie swoją pracę i nie bredził głupot o samorealizacji artystycznej. Nie wciskał nam też innych głodnych kawałków. Było to zbędne.

Dzięki jego podejściu do pracy już o trzeciej byłam na ogół w domu. W ten sposób mogłam zajmować się dziećmi. Uwielbiałam go za to, że jest taki jaki jest. Nawet jeśli przez te całe lata nigdy mnie nie dostrzegał. Byłam jedynie doktor Anita Bach. Charlottą Pfeffer nigdy. To było zbędne.

Pacjentka w łóżku podniecała się straszliwie:

- Jakie to odlotowe! Zaraz zaczniemy grać!
- Można się do wszystkiego przyzwyczaić, nawet do grania! - mruknęłam pod nosem.

- Kosz-mar! - dodała Lora.
- Cisz! - krzyknął rozzłoszczony kierownik produkcji.

Uśmiechnęłam się do pacjentki, potakując głową. Rzeczywiście, bardzo odlotowe! Można o tym napisać powieść!

Staliśmy cichutko, wypatrując reżysera. Za drzwiami naszych filmowych kulis czekał na pierwsze wejście Justus Maria. Byłam bardzo ciekawa, co będzie dalej. Zaraz tutaj wkroczy, zgrywając się na wielkiego mena, aż widzom płci żeńskiej przejdą ciarki przez skórę. Zakładałam, że będzie miał rozpięty fartuch i że bardzo energicznym krokiem podejdzie do mnie, odrzuci swe czarne loki do tyłu, by wreszcie stanąć przede mną i zapytać zdziwionym głosem:

- Czy wolno zapytać, kim siostra tutaj jest?

Siostra! W scenariuszu była „siostra”. Cha, cha, cha! Co za miły komediowy chwyt! Wziął mnie za pielęgniarkę! Przecież byłam panią doktor Anita Bach! Już się cieszyłam na widok jego zdziwionej twarzy.

Udało się? Czy się nie udało? Czy czary rzucone za pomocą lustra działają?

W myślach raz jeszcze przeanalizowałam scenę, którą mieliśmy teraz ograć.

- Jestem doktor Anita Bach. Pracuję tu już od kilku lat.

Miałam go w elegancki sposób usadzić. Przywołać do porządku w takim damulkowatym stylu, jaki preferuje Anita Bach. Ten prostak wziął mnie za pielęgniarkę! Gruba Lora była pielęgniarką. No i gruba Ulrika, ta z włosami jak u konia, ta która zawsze się tak nijako uśmiecha! Ale nie ja! Kosz-marna pomyłka! W tym momencie zrobię się jędzowata i paniusiowata, tak jak jest to w zwyczaju pani doktor Anity Bach. I wtedy odezwę się do niego w te słowa: „I nie sądzę, abyśmy się już kiedykolwiek tutaj spotkali”.

Locha zmusza odyńca do ucieczki!

Następnie on popatrzy na mnie, szacując mnie wzrokiem, i powie: „Jestem tutaj nowym lekarzem naczelnym. Nazywam się doktor Frank Bornheimer”.

W tym durnym serialu wszyscy mówili o sobie, używając tytułu doktorskiego chyba jedynie po to, by nawet najgłupszy

telewizji pojął, że aktorzy grają absolwentów szkół wyższych. Pacjentka też miała udawać osobę mile zaskoczoną i podnieść się z tego powodu na łóżku. Nie było jej jednak dane przedstawić się imieniem, nazwiskiem i tytułem naukowym. O ile takowy w ogóle miała. Była jedynie statystką i miała niemałą rolę. Grała bezimienną pacjentkę w łóżku. Następnie ja miałam popatrzeć na niego badawczo i - zgodnie z hierarchią służbową panującą w szpitalu - zarumienić się mocno. „Miło mi” - powinnam powiedzieć. I następnie, patrząc sobie w oczy, mieliśmy uściskać sobie dłonie. Pięć milionów widzów rozpartych na poduszkach, własnoręcznie zrobionych szydełkiem, powinno przy tej scenie powiedzieć sobie: „Oho, z tej mąki będzie chleb! Zobaczycie! Tych dwoje będzie parą”!

„Jaką pani postawiła diagnozę?” - miał zapytać Justus Maria, wskazując ręką na leżącą pacjentkę. Lora miała nadal poprawiać poduszkę, ponieważ dla niej w tej scenie nie było żadnego tekstu. Niestety! A przecież tak bardzo usiłowała się spodobać panu doktorowi już od pierwszego momentu! Co za kosz-mar!

„*Diabetes mellitus*, panie doktorze!” - miałam powiedzieć mądrze i uczenie. To była cała scena z moim udziałem. Przeznaczaliśmy na nią popołudnie.

„Doskonale, droga koleżanko!” - pan profesor Frank Bornheimer miał mnie pochwalić, a pani doktor Anita Bach miała zarumienić się i wytrzymać jego badawczy wzrok. W taki oto sposób miały zostać przełamane pierwsze lody. A pięć milionów widzów powinno czekać niecierpliwie na następny odcinek naszego serialu, w którym to ta przystojna para wykształconych ludzi ostatecznie się w sobie zakocha.

(„Widzisz? A nic mówiłam? Będzie z nich para. Od razu powiedziałam do Anki, Anka, zobaczysz, będzie z nich para, on ją dopadnie, zobaczysz... Od razu wiedziałam!”). O, jaki wspaniały jest ten nasz mały szpitalik! Po prostu wspaniały!

Do studia wtoczył się Gustaw Grasso. Miał spuszczonego wzrok.

- Dzień dobry! - mruknął pod nosem, rzucając w kąć rozsypujący się scenariusz. - Pierwsza scena, odcinek czterysta trzynasty.

Gustaw Grasso nigdy nie tracił czasu na zbędne pytania typu:

„Jak minęła niedziela?” albo uwagi w rodzaju: „Zbliżają się święta Bożego Narodzenia”. Nie mówiąc już o komplementach, jak na przykład: „Łaskawa pani wygląda dzisiaj czarująco!” czy innych tego typu stwierdzeniach. Nienawidził wszelkich ozdobników, zbędnych komentarzy i straty czasu. Nie uznawał również zwyczaju składania życzeń urodzinowych, gratulacji z okazji jubileuszu dwudziestolecia pracy zawodowej, czy też witania nowych kolegów.

To wszystko było zbęd-ne! Gdy tego rodzaju uroczystości dochodziło, wołał przeczekać je na zewnątrz.

- Jestem tym nowym - Justus wyszedł zza kulis i podał mu rękę. Gdyby znał bliżej reżysera, nigdy by sobie na taki gest nie pozwolił. Nikt nie śmiał podejść sobie, ot tak, do Gustawa Grasso, by podać mu rękę. Nie mówiąc już o jakichkolwiek uwagach w sprawach osobistych! To było zbędne i oznaczało jedynie stratę czasu! Gdyby tak każdy pozwalał sobie na taką poufałość!

Gustaw Grasso zignorował go całkowicie.

- Podaję hasło! - odezwał się, nie podnosząc wzroku. - „Czy wolno zapytać, kim pani jest?”

- Czy wolno zapytać, kim pani jest? - Justus powtórzył za nim głosem o dwie oktawy niższym.

Sąsiadeczko, gdzie pani buteleczka?!

Chwyciłam pacjentkę dyskretnie za ramię. Czy to aby na pewno słowa ze scenariusza?! Odyńce nie tolerują się nawzajem. Atakują się i walczą ze sobą. Walce towarzyszą gniewne gesty, mające na celu zastraszenie przeciwnika. Gustaw Grasso podniósł wzrok.

- No, proszę, pani Anita Bach! Pani kolej!

- O, wydawało mi się, że to prywatny komentarz! - odpowiedziałam szybko. Moje serce waliło jak szalone.

Udało się czy nie?

- Nie jesteśmy tutaj prywatnie! - fuknął Gustaw Grasso. - Wykonujemy pracę, następnie udajemy się do domu. I to możliwe jak najszybciej. „Czy wolno zapytać, kim pani jest?”

- Jestem doktor Anita Bach! - recytowałam w pośpiechu. - I nie sądzę, żebyśmy się już kiedykolwiek spotkali.

Gustaw Grasso pokręcił głową.

- Zagrałaś z wdziękiem działaczki Fundacji na Rzecz Matki i Dziecka. Ponadto jesteś DOKTOR Anita Bach, nie zapominaj o tym. Nie kryj się z tym! Zaistniej na scenie! Jeszcze raz! „Czy wolno zapytać, kim pani jest?”

- Czy wolno zapytać, kim pani jest? - powtórzył niczym echo Justus Maria.

- No, wreszcie bierze pan udział w grze! - skomentował to reżyser, nie podnosząc głowy.

- Jestem doktor Anita Bach! - zawołałam aroganckim tonem. - Pracuję tutaj już od kilku lat, ale nie sądzę, żebyśmy się już kiedyś spotkali!

Nagle statystka usiadła na łóżku.

- Prawda, nigdy go tutaj nie widziałyśmy! - potwierdziła moje słowa.

- Nie pani! - syknęła Lora Kosz-marna, skręcając się z zazdrości.

- O, rozumiem, przepraszam! - powiedziała cichutko i ponownie spoczęła na poduszce. Lora przestała poprawiać poduszkę, za to przewracała oczami. Ta hołota, ci okropni statyści! Jacy się zrobili bezczelni!

Justus Maria zbliżył się do mnie, wykonując kilka szybkich kroków, i wlepił we mnie wzrok. Jego czarne oczy płonęły żarem. Krzaczaste brwi były niezwykle diaboliczne. Tu, w studiu, wyglądał bardzo demonicznie. W jego spojrzeniu było coś, co mnie wytrącało z równowagi.

Zaskoczył? Czy nie?

Odyniec usiłuje zbić lochę z tropu.

- Jestem nowym lekarzem naczelnym. Nazywam się doktor Frank Bornheimer.

- Miło mi! - powiedziałam i zrobiłam się czerwona.

Dlaczego on wlepił we mnie tak swój wzrok? Tego nie ma w scenariuszu! Czyżby czar zadziałał? Rzuciłam urok czy nie! Zaszło coś między nami, czy nie zaszło?! Gustawie Grasso, ratuj!

Ręce mi drżały. Rożkiem fartucha otarłam dyskretnie pot z czoła.

- Zbyt teatralnie, pani doktor! - skrytykował mnie Gustaw Grasso.

- Jaką pani postawiła diagnozę, pani doktor? - zapytał Justus, zbliżając swoją twarz do mojej. Jego głos kojarzył mi się z czarnogranatowym aksamitem. Pachniało od niego wodospadem, jeziorem alpejskim i łąką świeżo skoszoną po burzy. Byłam pewna, że między nami jednak coś zaszło! A może tylko stwarza pozory? Zgrywa się, jaki to z niego superman, by wszystkim tutaj zaimponować? Wielki odyniec wykańcza laleczkę!

- Diab... bbee...

- Nie! Proszę przerwać! Ciężcie!

Gustaw Grasso z nieoczekiwaną zręcznością zeskoczył ze swojego stołeczka i podszedł do mnie.

- Nie bądź taka nadąsana! Nie jesteś w internacie dla dziewcząt! Jesteś pewną siebie panią doktor. Nagle zjawił się tutaj taki pajac i chce ci zaimponować! - Podniósł głowę i patrząc prosto przed siebie - co zdarzało się rzadko - powiedział: - „Pracuję tutaj już od kilku lat i nie sądzę, żebyśmy się” - co tam dalej w tekście - „już kiedyś tutaj wiedzieli, PANIE... doktorze! *Diabetes mellitus*, panie profesorze!”

- Rozumiem! Wszystko jasne! - odpowiedziałam. - *Diabetes mellitus*. Rozumiem.

Gustaw Grasso począpał znowu na swoje miejsce.

- Weź się teraz w garść, skup się! Nie masz szesnastu lat!

Moi koledzy szeptali między sobą. W ten sposób Grasso jeszcze z nikim nie rozmawiał.

- Spokój! - kierownik produkcji usiłował uciszyć bractwo.

Sekretarki planu, charakterizatorki, garderobiane i chłopcy od kabli zamilkli, chowając się po kątach. Dziś byli obecni wszyscy. Wszyscy, bo chcieli zobaczyć Nowego, jak gra. Nowy był gwóździem sezonu. Nowy i Gustaw Grasso razem - obaj niesamowici. Bardziej niesamowici niż *Zagraj mi pieśń o śmierci!* Cohena.

- Kręcimy dalej! - Gustaw znowu zabrał głos. - Przecież nie ma sensu przeciągać sztucznie w nieskończoność tak błahej sceny! Mamy przecież jeszcze inne plany na dziś!

Justus Maria rzucił mi powłóczyście spojrzenie swoich czar-

nych oczu i udał się do kąta. Czy zrozumiał ostatnie hasło, rzucone jemu i mnie?

Odyniec usiłuje oszołomić lochę.

Paskudna sprawa! Chciałam go zmieszać. Tak miało być, a nie odwrotnie! A jeśli ten numer z lustrem się nie udał? Jeśli moja strzała przeszła na wylot i zawróciła? Jeśli to ja jestem teraz zaczarowana, a nie on? Tego mi brakowało!

Jeszcze raz, dziewczyno, zrób to jeszcze raz! Diablica tkwiąca we mnie podszeptowała mi, co mam zrobić. Czar będzie lepiej działał, jeśli go powtórzysz!

Bettina osuszyła mi czoło z potu i przypudrowała nos. Ktoś poprawił mi fartuch.

Pacjentce leżącej w łóżku zwrócono uwagę, by się nie wtrącała. Ma tutaj tylko leżeć, tutaj prosto, nic więcej, powiedział jej kierownik produkcji. Zawsze powtarzał „tutaj”, czy pasowało, czy nie. Już od wielu lat „tutaj”. To jego „tutaj” było obecne na planie podobnie jak zbędny beret reżysera. Już od dawna przestaliśmy się „tutaj” z tego śmiać.

- Tak jest! - Lora odezwała się obrażona. - To jest koszt-marne! Jak ci statyści się teraz zachowują! A jacy tupeciarze! Gdy my byliśmy statystami, to siedzieliśmy niczym mysz pod miotłą! I nikt nie śmiał się odezwać! Gdyby to tak wszyscy zabierali głos! Co by się tutaj działo!

- Światło!

- Jest!

- Dźwięk!

- Tak, jest!

- Kamery!

- W porządku!

- Proszę! Zaczynamy! - odezwał się reżyser bezbarwnym głosem, siadając wygodnie na stołeczku.

Ten widok był mi tak dobrze znany! Od lat siadywał na tym swoim stołku, w berecie na głowie, i obrażony rzucał nam jedynie: „Proszę!”

- *Nasz mały szpitalik*, odcinek czterysta trzynasty, scena jedenasta, pierwsze ujęcie! - zawołał chłopiec z klapssem, zanim wciągając głowę, opuścił biegiem plan.

Klaus Overbeck, nasz bardzo sympatyczny operator, zmrzął oko i wpatrywał się w soczewkę. Zapaliło się czerwone światełko. Odwróciłam się do zastraszonej pacjentki, wzięłam ją za rękę i zaczęłam badać puls. Podała mi łapkę miękko, sprawiając wrażenie osoby, która ograniczyła „tutaj” swoją działalność do tego właśnie gestu.

Justus Maria Streitacker zbliżał się do nas energicznym krokiem. Mnie serce waliło jak oszalałe. Boże, mój strzał przeszedł na wylot i wrócił do mnie. Byłam zakochana niczym motylek cytrynek na wiosnę. To ja byłam zakochana, a nie on! Cholera jasna!

- Czy wolno zapytać, kim pani jest?

Odwróciłam się gwałtownie. Zmierzyłam go wzrokiem, jak gdybym widziała go po raz pierwszy w życiu. Zrobiło mi się słabo.

No co?! - zapyta teraz. - No co, lalczko, zaczekaj, wkrótce będzie ci wisiął brzuch i zwiędną ci poślądki, a wokół oczu będziesz miała zmarszczki, wtedy będziesz niczym dojrzwały owoc w górskiej dolinie! Przechodząc zerwę cię, odgryzę kawalek, a resztę rzucę w bujną, górską trawę!

- Pracuję tutaj już od kilku lat! Mimo to nie przypominam sobie, abyśmy się już kiedykolwiek gdzieś spotkali! - wydusiłam z siebie ochrypłym głosem.

Czy czary podziały na niego? Czy tylko na mnie? Czy zadziały tylko w jedną stronę?! Czy w obie?! Czy jak?! Czy co?!

- Jestem nowym lekarzem naczelnym, nazywam się doktor Frank Bornheimer...

- Stop, koniec! Cięcie!

Światło zgasło. Byłam spocona jak mysz. Ale sobie piwa nawarzyłam. Nie powinno się romansować z kolegami w pracy! Taka obowiązuje zasada. I nie wolno ich podrywać. Nawet dla żartu. Za żadną cenę. Dostaniesz jeszcze za to manto!

Gustaw Grasso z trudem zsunął się ze stołka i podszedł do Justusa.

- Kto panu powiedział, że ma pan mówić tak niskim głosem?

Dzięki Bogu, że to nie do mnie! Grałam kiepsko. Ale on zagrał jeszcze gorzej niż ja!

Pacjentka wysunęła swoją dłoń z mojej i ułożyła się wygodnie w łóżku, by się odprężyć. Lora dała sobie spokój z poprawianiem poduszki. Pani Zima cieszyłaby się z działalności Lory - o, te jej wieczne trzepanie poduszek! - i obdarowałyby ją na koniec tego ujęcia wielkim kawałkiem pieczeni reńskiej, takiej z octu! Z rodzynkami! Z mnóstwem rodzyneków! I te rodzynki zostałyby na zawsze w jej włosach. I od tej pory nazywano by ją Rodzynkową Marysią. Kosz-mar!

- Nie mówię niskim głosem! - zagrzemiał Justus. Jego głos przypominał ryk łosia w okresie godowym.

Tu znowu odezwała się pacjentka:

- Mówi pan. Głos ma pan niczym Iwan Rebroff.

Ewelina i Bettina zaśmiały się złośliwie za kulisami.

- Spokój tutaj! - uciszył je kierownik produkcji.

- A ty, pani doktor Anito Bach, nie stawiaj się tak. Bądź świadoma swej wartości i nie daj się od razu wyprowadzać z równowagi tylko dlatego, że odezwał się do ciebie taki przystojniak jak ten ordynator!

- Lekarz naczelny - poprawiła go statystka.

- Nie jestem przystojniakiem! - warknął adresat tej uwagi, gotów do potyczki na słowa.

- No, w rzeczy samej, nie jest! - rzuciła Rodzynkowa Marysia, zagryzając usta. - Kwestia gustu.

- To wszystko jest zbęd-ne! - Gustaw, już zdenerwowany, zaczął przewracać oczami. - Proszę! - rzucił, przerywając w ten sposób jakąkolwiek dyskusję z Lorą, statystka czy też Justusem Marią. Podreptał znowu na swoje miejsce i usiadł na stołeczku. Justus udał się do kąta.

Odyniec zaznacza swój teren, pozostawiając wydzielinę z gruczołów. Locha straciła orientację. Jest zdezorientowana!

Wróciłam do pacjentki i znów wzięłam jej omdlewającą dłoń. Zbadałam jej puls. Był jeszcze regularny, zwłaszcza gdyby go porównać z moim. Lora waliła oburącz w poduszkę. Była rozjuszona. Kosz-marna robota, ta tutaj!

Na szpitalnym korytarzu zabrzmiały energiczne kroki Justusa.

- Czy wolno zapytać, kim pani jest? - zaatakował mnie ostro.

Odniosłam wrażenie, że mówi jeszcze niższym głosem niż poprzednio. Głośniej niż wodospad. Chłopiec od mikrofonu, przerażony, szarpnął sprzęt do góry.

- Jestem doktor Anita Bach! - recytowałam ostrym głosem. - Pracuję tu już od lat, codziennie! Codziennie! A zresztą, nie sądzę, żebyśmy już kiedyś się spotkali!

W myślach dodałam: „A pan, pan jest po prostu bykiem rozplodowym rodem z Tyrolu Południowego!”

Kątem oka widziałam, że Gustaw był zadowolony. Kiwał głową, wyrażając aprobatę. Emerytka w łóżku aż usiadła z wrażenia. Lora z wściekłością tłukła w poduszkę.

- Jestem nowym lekarzem naczelnym! - huknął rozjuszony Justus Maria, podchodząc do mnie powoli ze spuszczonego wzrokiem i purpurowoczerwonym grzebieniem. - Profesor Frank Bornheimer.

No i co z tego? - chciałam zawołać. - Chcesz w ryja? Ty śmieszny pajacu! Bлагier z ciebie! I żałosny pyszałek! Pracuję tutaj już od lat! A ty jesteś nowy i masz się tutaj zachowywać zgodnie z panującymi obyczajami - kulturalnie i spokojnie! Przyzwyczajcie! A nie jak zadufany w sobie lekarz naczelny, spragniony splendorów i zachwyków!

Gustaw Grasso dobrze mnie ustawił. Byłam w szczytowej formie. „Tutaj!”

Wyniosłym gestem podaliśmy sobie ręce. Ja i Streitacker. By przywitać się z Nowym, musiałam puścić rękę pacjentki. Ona zagrała spontanicznie. Nie opuściła ręki na kołdrę, ale podrapała się w głowę. Był to bardzo twórczy pomysł. Nie było bowiem w scenariuszu uwagi, co pacjentka w tym czasie ma zrobić z ręką.

- Miło mi - odpowiedziałam chłodnym tonem, wytrzymując jego spojrzenie.

Wpatrywaliśmy się w siebie.

Teraz, Charlotta, teraz! To twoja szansa! Jeśli ponownie rzucisz czar, będzie skuteczniejszy! Daj mu szkołę! Pokaż mu! Nie daj się stłamsić!

Justus Maria wzrokiem ogarnął postać pacjentki i zapytał:

- Jaka pani postawiła diagnozę? - Jego głos osiągnął najniższy ton. Najniższy bas, jakim dysponuje głos ludzki. Deski w podłodze korytarza zadygotały od jego brzmienia.

Bawiłam się słuchawkami. Niby niechący owinęłam gumowy przewód słuchawek wokół palca. Następnie upuściłam je! Tak. To chyba wystarczy. Tak mi się przynajmniej wydaje. Czarodziejka we mnie zacierała z zadowolenia ręce. Justus schylił się i je podniósł. Jego twarz znalazła się tuż koło mojej. Popatrzyliśmy na siebie.

- *Diabetes mellitus!* - panie profesorze! - odpowiedziałam już lekko kpiącym głosem.

- Doskonale, droga koleżanko! Doskonale! - wyjąkał Justus Maria, wpatrując się w moje oczy niczym zahipnotyzowany królik.

Udało się. Jestem pewna. Będzie mi żał z ręki. Teraz i zawsze. Mam go. Dopadłam go. Wpadł w pułapkę zastawioną przez laleczkę. Uśmiechnęłam się do niego słodko, ciesząc się z jego nieszczęścia. Uśmiechałam się tak samo słodziutko jak siostra praktykantka. Serdecznie i ciepło. Ale jakże straszliwie fałszywy był ten uśmiech!

- Dziękuję! Po wszystkim! - odezwał się Gustaw Grasso, zapalając papierosa. Reflektory zgasły. - Miałaś dobry pomysł z tymi słuchawkami. To było niezłe! - pochwalił mnie Gustaw. - Czasem masz ciekawe pomysły!

- Prawda? - ucieszyłam się.

Gustaw zebrał swój rozsypujący się, zaczytany scenariusz.

- Życzę państwu miłego dnia. Jutro odcinek czterysta trzydziesty szósty, umawiamy się na godzinę dziesiątą. Do widzenia! - Gustaw podreptał przed siebie.

- Proszę tutaj sprzątać kulisy! - zawołał kierownik produkcji. - Tutaj można zacząć ustawianie dekoracji na jutro!

Ewelina, Bettina i Pia wybyły przez boczne drzwi, by sobie na korytarzu zapalić.

Justus Maria przejechał ręką po włosach.

- Czy on zawsze taki jest?

- Kto? Kierownik produkcji, czyli „Tutaj”?

- No nie, przecież nie o nim mówię! - Justus był mocno zirytowany.

- O, masz na myśli Gustawa! Tak! - odpowiedziałam uprzejmie. - On jest zawsze taki. Ale się przyzwyczaisz. To wspaniały człowiek.

- Wygląda na to, że go lubisz! Tego starucha! - skomentował kwaśno.

Popatrzyłam na niego ukradkiem z boku. Udało się! Udało się! Udało się! Czarodziejka niczym diabliska tańczyła z radości wokół ogniska, roznieconego przez czarownicę. Streitacker, wpadł w pułapkę!

Teraz nastąpi część druga dramatu: *Zemsta laleczki*, odcinki: 1-590. Ja mam czas, mnie się nie spieszy.

- Co będziesz teraz robiła? - zapytał Justus, zagradzając mi drogę. - Mamy wolne dwie godziny.

Pierwsza część zemsty laleczki.

- Jadę do domu, do moich dzieci - odparłam słodko, naj-słodziej jak tylko umiałam.

Uśmiechnęłam się jak Ulrika, czyli nieszczerze a uroczo. Byłam tak bardzo serdeczna i zarazem tak bardzo nieszczerą!

- Jak to? Oficjalnie jesteś jeszcze w pracy! Przez dwie godziny jesteśmy wszyscy jeszcze w pracy. To twoja norma! Moglibyśmy pobiec do mostu Muelbruecke i z powrotem.

- Z największą przyjemnością! - byłam obrzydliwie obłudna. - Ale ja nie zaniedbuję swoich dzieci!

Justus Maria milczał, wyraźnie dotknięty.

- Najpierw wspólnie malujemy - wyjaśniłam mu dokładnie. - Potem robimy zajęcia na Wielkanoc, następnie jedziemy na lekcję gry w hokeja i na koniec na lekcje pływania z panem Schmitzem-Nittenwirmem, gdzie bawimy się w koniki morskie w basenie dla dzieci szczególnie uzdolnionych. Tak mi przykro!

- Do diaska! - skomentował to Justus. Widać było, że wyliczanka zrobiła na nim wrażenie. - Program bardzo napięty.

- Oczywiście - odpowiedziałam. - Ale ty, jako ojciec sześciorga dzieci, doskonale znasz tego typu zajęcia!

- I to jak! - pochwalił się. - Wszystkie dzieci nauczyłem sam pływać. Bliźniaki skakały same do bajora, gdy miały trzy

lata! Tak! Z rozbiegu! Niczego się nie bały! Ja sam ich nauczyłem. I zajęczka na Wielkanoc też umiem zrobić. W robieniu zajęczków na Wielkanoc jestem dobry!

- Boże, jak on się chwali! Aż człowiekowi robi się niedobrze! - skomentowała jego słowa Lora, która właśnie wróciła z garderoby, gdzie zmyła szminkę.

- Tak bardzo wzbogacasz nas swoją obecnością! - powiedziałam serdecznie. - Możemy się tak wiele od ciebie nauczyć! Prawda, dziewczyny?!

Pia i Ewelina zaczęły przewracać oczami.

- A więc nie masz dzisiaj dla mnie czasu?- zapytał.

- Masz zamknąć dziób i płynąć! ERNIE! Nie gadaj, bo utoniesz! Zaraz zabraknie wody w basenie, bo wszystko wypijesz!! Patrz, jak ładnie pływa twój brat, jakie robi kółka! Ryby też nie gadają, prawda, brachu?

Pan Schmitz-Nittenwirm stał aż po ramiona w wodzie i swoim wyglądem przypominał morsa, który jest właśnie w kiepskim humorze. Czarne włosy przylepiły mu się do skroni, a jego okulary zaparowały tak bardzo, że aż się dziwiłam, iż odróżnia obu bliźniaków.

Wystraszona siedziałam na mokrym stołku, trzymając w pogotowiu dwa miętowozielone szlafroczyki kąpielowe frotté, kupione w sieci sklepów Tschiduscho.

Właściwie matki nie mogą obserwować przebiegu lekcji ani też uczestniczyć w zajęciach na basenie. Z przyczyn wychowawczych. Ale tym razem Ernstbert dał mi swoją kamerę wideo i w drodze wyjątku pozwolono mi nagrać film, jak pan nauczyciel wojuje z Erniem, pod warunkiem, że będę siedzieć cichutko, nie przeszkadzając nikomu. Nie mogłam się nadziwić, jak dobrze sobie dawał radę z chłopcami! Ernie pływał grzecznie po basenie, wypływał wodę i wydawał z siebie jakieś dziwne, gardłowe odgłosy. Również Bert sprawiał wrażenie, jak gdyby pływanie w basenie było jego najukochańszym zajęciem i oddałby za nie życie.

- Dzieci potrzebują silnej ręki - powiedział pan nauczyciel, odwracając się do mnie.

- Gdybym tutaj, w wodzie, zaczął dyskutować... ERNIE... masz pływać i nie tonąć!

Tę historyczną scenkę chciałam koniecznie sfilmować dla wnuków Erniego. Szybko przystawiłam kamerę do twarzy. Jednak soczewka zaparowała i nie mogłam sfilmować, jak może dzieci topią się na niby. Nie wadząc więc nikomu, cokolwiek wystraszona, grzecznie obserwowałam, jak pluskają się u moich stóp.

Właściwie to znowu byłam całkowicie zbęd-na. A przecież ten czas mogłam wykorzystać na zajęcia o wiele bardziej pożyteczne! Na coś sensowniejszego niż czekanie, aż chłopcy skończą zajęcia. Mogłam, na przykład, zanieść butelki do kontenera na szkło, a papier do pojemnika na makulaturę. Albo poszaleć po supermarketach. Albo powiesić na strychu dwa kosze bielizny do suszenia, zmienić bieliznę pościelową! Już nie mówiąc o tym, że cofałam się intelektualnie. W przedpołudnie mogłam przynajmniej pogadać i pożartować z koleżankami i kolegami. Lub - jak ostatnio - pobiegać z Justusem po mostach nad Renem. Ale popołudnia była koszmarne! Siedziałam na czterech literach, znudzona, ociężała i uziemiona.

Trwałam w bezruchu, bez możliwości rozwoju intelektualnego.

I tak było co dzień. Godzina za godziną. Bezpowrotnie stracony czas. Na dłuższą metę ani Bert, ani Ernie nie potrzebowali mnie do wycierania nosów, pup czy łez. Teraz potrafili już sami zrobić wszystko. Wszystko co było do wytarcia czy podtarcia. Obecnie robiłam więc za taksówkarza. Ale jak długo jeszcze? Kilka lat. No, najwyżej dwanaście. Przecież tak nie może być! Nie na tym polega sens mojego życia! Przecież musi się znaleźć jakieś rozwiązanie. Tak sobie myślałam, przyciskając do piersi - zamiast dzieci - dwa szlafrocзки kąpielowe w kolorze miętowozielonym. Czekając na chłopców, byłam pochłonięta myślą, co mogłabym w tym tak bezsensownie spędzonym, a raczej straconym czasie robić. Snułam domysły, co porabiają taksówkarze, gdy czekają na pasażerów.

Może robią na drutach? Setki taksówkarzy robiących na drutach. Bez przerwy. Robótki na drutach to praca twórcza, sensowna i odprężająca. Charlotte, zrób sobie na drutach coś gustownego. Jakiś ładny kostium, na przykład beżowy. „Gerda” zamieszcza takie ładne wzory. Na przykład na Wielkanoc można zrobić śliczny sweterek: na każdej piersi zwisające ucho zająca. Ładne, prawda?

W zespole realizującym nasz serial jedna z koleżanek, skądinąd sympatyczna i serdeczna, miała bardzo miły głos. Łatwo pozyskiwała słuchaczy. Szczególnie sprawnie operowała głosem, gdy była czymś przejęta. A zdarzało się jej to dość często. I to ona właśnie doskonale robiła uroczę kompleciki na drutach i szydełkiem. Być może wspomniałam już o niej kiedyś mimochodem. Nazywała się Greta Zupf.

Grała rolę sekretarki szefa. Najpierw był to Jupp Toenges. Wówczas schodziła coraz bardziej na drugi plan, co było dużą stratą dla serialu, jako że ta drobna, dzielna i bardzo życiowa kobieta tryskała energią. Teraz grała rolę sekretarki profesora Bornheima. Była niedużą, krzepką osobką, szalenie energiczną i przebojową. To ona właśnie odczuwała nieodpartą chęć i wolę robienia na drutach różnych precudnej urody garsonek według wzorów „Gerdy” i prezentowania ich na sobie w studiu. Prenumerowała wszystko: „Erikę”, „Trudę” i szereg innych czasopism, które w czasie przerw pokazywała nam wszystkim. Poza opisem wzorów do haftowania i robienia na drutach publikacje te zawierały instrukcje, jak wykonać na przykład zasłonę do prysznicza ze sztucznych pereł, z korków po winie chodniczek do łazienki przed wannę (ten pomysł skierowany był przede wszystkim do anonimowych alkoholiczek, które też można było spotkać wśród naszych fanek - jakże uroczych gospodyń domowych) oraz jak upleść różowy dywanik do WC, łatwy do utrzymania w czystości. To miało jakiś sens. To coś dawało. To było typowo damskie zajęcie!

No, dobrze - myślałam sobie - to jest jakaś możliwość. Tylko że mnie brak zapału do robótek ręcznych. Umiejętności również. Ponadto nie dostrzegam większego sensu w tego rodzaju działalności. Nawet gdy dzieci były małe, nigdy mi się nie udało

wyhaftować słodkiego ucha zajączka na sweterku w kolorze szaroniebieskim. Nigdy też nie udało mi się wykonać dzwonka wietrznego z rolek papieru toaletowego i własnoręcznie ubieranych piór łabędzich. Nie byłam zdolna i nie miałam żadnych pomysłów! Zero fantazji!

Siedziałam więc na czterech literach, grzejąc ławy dla publiczności i czekając na hasło dla mnie. Moje całe dotychczasowe życie polegało właśnie na czekaniu na hasło i siedzeniu na czterech literach. Przypomniał mi się Justus Maria.

Obwisłe piersi i zmarszczki. Zwisające pośladki! Dziś laleczka, jutro spad. Pozwolić, by tak ze mną postępowano? Dlaczego on rznął takiego macho, takiego machera, a ja byłam szarą myszką? A więc nikim!

Justusie, zobaczysz, jeszcze cię dogonię i wyprzedzę! I to z prawej strony! Ani się nie obejrzysz, jak coś wymyślę. Coś, czego ty zrobić nie jesteś w stanie. Napiszę sztukę. Sztukę teatralną dla jednej aktorki. Monodram. I sama ją wystawię. I sama ją publiczności zaprezentuję. Wystąpię w niej! To będzie dobra sztuka. Przysięgam ci, że będzie dobra. Pełen żaru tekst kobiety, którą trawi ogień. Opiszę moje reakcje na męzczyzn. Moją odpowiedź. Moją odpowiedź na samozachwyty męzczyzn. Na ich obojętność, na ich bezwzględność, na ich lenistwo i ich bierność, na ich egotyzm i chełpliwość...

Starczy tego na cały teatralny wieczór!

Sama sprawdzę, co jestem warta jako aktorka. Poddam się ocenie publiczności. Gdzie? Sama nie wiem. Ale jeszcze o mnie usłyszysz, Justusie! Stanę na deskach teatru publicznego. Przyrzekam ci.

Wy, Ernstbercie i Hannesie oraz moi nieznani ojcowie, a także moi - jakże różni - synowie! Wy wszyscy męzczyźni, których spotkałam i nie spotkałam w swoim życiu - o was napiszę sztukę! O was, którzy również w tak ciekawy i fascynujący sposób wzbogaciliście moje życie!

Co bez was bym robiła? Nudziłabym się przeraźliwie!!!

Moje monologi poruszają opinię publiczną! Wstrząsną nią! Przysięgam wam, że tak będzie. Jest bowiem wiele kobiet, które

mają takich mężczyzn. Każda z nas zna kobietę, która zna takiego mężczyznę.

Usiadłam wygodniej na krzeselku, zamyśliłam się i westchnęłam. Co za fascynująca myśl! Napisać coś, co sama mogłabym zinterpretować! Rola napisana dla mnie... Rola stworzona dla mnie...

Nie będzie to rola grzecznej, schludnej Anity Bach, która tak naprawdę jest laleczką. To musi być rola ukazująca kobietę, która stawia czoło mężczyznom. Tak jest. I która wychodzi z tej konfrontacji obronną ręką. Nie daje się złamać żadnemu. Żadnemu!

- No, Bert, ruszaj się, nabierz powietrza i zanurz się! Nurkuj między moimi nogami! No, szybko! Dostaniesz misia gumowego, jak ci się uda!

Bert nabrał powietrza i niczym wydra zanurzył się w chlorowanej brei.

- Potrafią wszystko! - Pan Schmitz-Nittenwirm mówił teraz do mnie: - Trzeba ich tylko odpowiednio ustawić!

- Wspaniale! - zachwyciłam się pod wrażeniem tych słów.

Bert wypłynął, wypluł wodę i lekko zirytowany rozejrzał się, szukając wzrokiem trenera.

- No? Jesteś dumny z siebie? - krzyczał trener. - Cieszysz się?

- Tak! - zabalgotało. Bert był szczęśliwy! - Dostanę teraz gumowego misia?

- Oczywiście! Ale najpierw zanurkuje twój brat.

Ernie chętnie schował się pod wodą.

- Szczególnie umiejętnie trzeba ustawiać tych, którzy mają bardzo dobre mniemanie o sobie! - pan nauczyciel kontynuował wywody o zasadach wychowawczych.

Jakie to proste! - pomyślałam. - On ma rację. Najlepsze są najprostsze metody! Dlaczego więc nie robisz tego, o czym on mówi, Charlotto? Dlaczego nie spiszesz tego wszystkiego? Następnym razem, gdy będę czekała na chłopców, czy to tutaj, na wilgotnym stołku, czy w barze przy kortach tenisowych, czy na skraju boiska do gry w hokeja, czy też na korytarzu szkoły muzycznej, zabiorę ze sobą ołówki i blok do pisania. I utkam sobie monodram, czyli sztukę teatralną dla jednej aktorki.

Wtedy będę miała coś swojego. Coś, co własnoręcznie stworzę. I zachowam to dla potomności.

Minęło kilka dni. Kręciliśmy właśnie scenę z ukradzionym niemowlęciem. W zespole *Naszego małego szpitalika* zapanował wreszcie dobry nastrój. Wreszcie coś się działo!

Autorzy scenariusza mieli tym razem szatański pomysł: jakaś kobieta udaje, że jest w ciąży i przy pierwszej lepszej nadarzającej się okazji kradnie z oddziału dla noworodków maluszka i zgłasza go jako swoje dziecko. Niesamowity pomysł. No i sprawa dla prokuratora. „Tutaj” - jakby powiedział kierownik produkcji.

Jednak nawet widzowie takiej stacji jak Cztery Minus byliby zgorszeni i zbulwersowani, iż lekarze i położne do samego rozwiązania nie zauważyli, że brzuch kobiety to jedynie poduszka. Postanowiono zatem, że kobieta „rodzić” będzie w innej klinice położniczej, ale oseska ukradnie u nas. No tak, ale jak ją wprowadzić do akcji filmu? I jak zapoznać widzów z jej losami? O, ci wyrafinowani i cwani autorzy scenariuszy seriali telewizyjnych! Nie ona stała się więc naszą pacjentką, lecz jej mąż, pilot, chorujący nie wiadomo na co, który leżał na jednym z naszych filmowych oddziałów szpitalika. A małżonka z poduszką zamiast brzucha przychodziła jedynie go odwiedzać. Jakże łatwo było to pojąć zarówno nam, jak i naszej pięćmilionowej rzeszy widzów! Jakież to logiczne!

Pilot, sprawiający wrażenie człowieka aroganckiego i cynicznego, o nazwisku Matthias Krause, leżał w pokoju numer dwieście trzydzieści. On to właśnie zajmował nas od tygodnia, bo z nim kręciliśmy kolejne ujęcia. W rzeczywistości nie był wcale pilotem, to jasne. Był aktorem, który trafił do nas dzięki pośrednictwu tej przedziwnej agencji we Frankfurcie, która obdarzyła nas również lekarzem naczelnym. Jego żona, Marion Krause, również wniosła trochę świeżego powiewu do naszych już lekko zakurzonych dekoracji filmowych.

Widziałam ją przez chwilkę w garderobie. Była ładna, świeża, naturalna i miała ładnie ostrzyżoną główkę a la lady Diana,

czyli fryzurkę, która Gretę wprawiłaby w zachwyt. Przywitałyśmy się tylko i uśmiechnęłyśmy do siebie. A ponieważ gruba Lora Kosz-marna zaczęła znowu pomstować i szydzić ze wszystkich, przylepiając od czasu do czasu swoje grube wargi do brzegu filiżanki z kawą, by pozostawić na niej ślady fioletowej szminki do ust, obie uznałyśmy za stosowne zagłębić się w scenariuszu.

Teraz wszyscy stali lub też leżeli na swoich miejscach.

Matthias Krause wiał się z bólu w łóżku, w którym kilka dni wcześniej pani Schmid-Schmiedebach opowiadała historię swojego woreczka żółciowego.

Lora Kosz-marna zajęła stałe miejsce przy poduszkach pacjenta, gotowa w każdej chwili walić w nie ze złością pięściami. Ja oparłam się o brzeg łóżka, trzymając pana Krausego za rękę, a Justus Maria Streitacker głowił się, co oznaczają te dziwne symptomy, z którymi mamy do czynienia w przypadku choroby tegoż właśnie pacjenta. Na zewnątrz czekała na hasło małżonka z wypchanym brzuchem.

Nie wiedzieliśmy oczywiście, że nosi pod sercem poduszkę! Nawet pięćmilionowa rzesza widzów, usadowionych wygodnie na poduszkach robionych własnoręcznie szydełkami, nie miała o tym pojęcia. Widzowie mieli to zrozumieć w trakcie odcinka czterysta siedemdziesiąt siódmego. I to było to: te pięć milionów widzów, śledzących akcję filmu ze swoich kanap, miało zrozumieć w czym rzecz wcześniej niż my, czyli zespół lekarzy i położnych. Oni zawsze pojowali wszystko szybciej niż my.

Czekaliśmy tylko jeszcze na Gustawa Grasso. Zerknęłam w stronę Justusa Marii, ale gdy zauważyłam, że wpatruje się we mnie uparcie, odwróciłam szybko wzrok i zaczęłam spoglądać w inną stronę. Tak, udało się. Był mój. Na pewno. Jak amen w pacierzu.

Gustaw wyłonił się zza kulis, rzucił rozsypujący się scenariusz gdzieś w kąt i mruknął:

- Dzień dobry. Scena czterysta siedemdziesiąt siedem.

Zaczęła się próba.

- Co panu dolega? - zapytał dźwięcznym basem łaskawy pan doktor.

- Nie wiem, co mi jest! - jękał się Matthias Krause. - Mam stany lękowe, nagle zlewa mnie pot, zawroty głowy, duszność. Najpierw nie chciałem tego w ogóle przyjąć do wiadomości, ale po niedawnym przymusowym lądowaniu gdzieś w polu, tuż pod Hawaną, Lufthansa wysłała mnie na badania lekarskie.

- Dobrze, że pan trafił do nas! - powiedziała słodkim głosem pani doktor Bach, trzymając go za rękę. - Zobacz pan, wkrótce się dowiemy, co jest przyczyną pańskich dolegliwości i niedługo znowu poleci pan na Kubę.

To było hasło dla Marion Krause. Weszła energicznym krokiem i radośnie powitała męża. W zaawansowanej ciąży, okaz zdrowia.

- Dzień dobry, kochanie! - zawołała. - Jak się czujesz?

- Przecież dobrze wiesz, że się źle czuję - odpowiedział obrażony.

- O, ale niedługo i pani zlegnie! - zauważyła Ulrika, siostra praktykantka, która wybierała się właśnie, by wylać zawartość kaczki spod sąsiedniego łóżka. - Czy rodzi pani u nas? - Tu Ulrika uśmiechnęła się obłudnie.

- Nie! - Marion Krause promieniała. - Rodzić będę w klinice uniwersyteckiej, bo tam mam kuzyna, który jest ginekologiem.

Wszyscy ucieszyli się bardzo. Co za przypadek! Kuzyn ginekolog! I to na dodatek w klinice uniwersyteckiej!

- Czy znajdziecie przyczyny tych niepokojących objawów u męża? - zapytała Marion, patrząc szeroko rozwartymi oczami na lekarza naczelnego. - Musi przecież być przy porodzie!

Matthias Krause skulił się w sobie, jakby ukąsił go groźny owad.

Doktor Anita Bach popatrzyła pytającym wzrokiem na lekarza naczelnego, profesora Franka Bornheima. Profesorze, wszyscy czekają na to, co powiesz!

- Ale z pana numer! - tu wtrąciła się starsza siostra Elżbieta. - Tacy są ci faceci! Mocni w gębie, ale jak przychodzi ci do czego i trzeba odpowiadać za to, co się nabroiło, to nie ma nikogo! Robi się taki jak kiszka!

Tego w scenariuszu nie było. Ale Lora Kosz-marna też chciała ten jeden raz zabrać głos. Do tego momentu profesor Frank Bornheimer wpatrywał się w dokumentację chorego. Dźwięcznym głosem zamruczał pod nosem:

- Wszystko wskazuje na to, że to na tle psychicznym.

Co pan powie, doktorku - pomyślała pani doktor Anita Bach.
- Te pięć milionów widzów domyśliło się od razu. („Widzisz, kochana, od razu mówiłam, ten facet to hipo... no, wiesz...”).

Profesor właśnie zwrócił się do chorego:

- Proszę pana, porozmawiajmy jak mężczyzna z mężczyzną! Czy to możliwe, że uchyla się pan od odpowiedzialności za dziecko, które ma się wkrótce urodzić?

- To zbędne! - zawałał ze swego kącika pod adresem Justusa Gustaw Grauso.

- On jest strasznie zdenerwowany i bardzo to przeżywa, to nasze pierwsze dziecko! - usiłowała pertraktować Marion Krause. Miała takie zdrowe, rumiane policzki. Wyglądała bardzo apetycznie. Ani na ciężarną, ani na cierpiącą. Tylko ten pilot w łóżku! Ten sprawiał wrażenie, jakby od kilku tygodni miał bóle porodowe!

- No to w takim razie teraz opuścimy państwa. Damy panu odpocząć. - Lekarz naczelny mówił łagodnym głosem. - A pani niech porozmawia spokojnie z mężem. Tak jak kobieta rozmawia z mężczyzną.

- Tak jest! - Lora Kosz-marna przestała trzepać poduszkę.

Puściłam dłoń pacjenta i opuściłam pokój, spoglądając na panią Krause. Uśmiechnęłam się, pragnąc dodać jej otuchy. Justus przytrzymał drzwi. Pani doktor Anita Bach lekkim krokiem przekroczyła próg. Lora Kosz-marna i Ulrika (ta od kaczki) szły za mną.

Koniec zdjęć na dzisiaj. Zwykle biegliśmy do stołówki. Szczególnie Lorze było spieszno do pieczeni wołowej i tortu z kremem. Również Gretel Zupf wykorzystywała ten moment, by zademonstrować nam najnowsze żurnale dla samiczek domowych, zawierające instrukcje, jak wykonać własnoręcznie zasłone do prysznica, która by pasowała zarówno do filiżanek na herbatę, jak i do nocnika. Uczennica pielęgniarstwa, czyli Ul-

rika, udawała się zwykle do kącika dla palaczy. Dziś jednak było inaczej.

Wszyscy chcieli zobaczyć, jak wypadną pozostałe, czyli ostatnie ujęcia tej sceny.

W ciszy zgromadziliśmy się za kulisami.

- Musisz się oswoić z myślą, że za kilka dni będziemy mieli dziecko! - Marion Krause szalała. Grała rzeczywiście świetnie.

Wychyliłam się odrobinę, by ją lepiej widzieć. Matthias Krause wyskoczył z łóżka, podbiegł do swojej żony, zamierzył się i walnął ją pięścią w brzuch.

- Nie jesteś w ciąży! - ryczał. I teraz widzieli już wszyscy. Żona miała wypchany brzuch. Była to taka poduszka, jaką Gretel robiła szydełkiem. Taka sama jak te, o które opierało się pięć milionów widzów oglądających nasz serial. Napięcie rosło z sekundy na sekundę. Nikt nic nie mówił.

Poczułam oddech Justusa na moim policzku. Tutaj było tak wspaniale ciemno! Poszukał mojej ręki.

- Od trzymania się za rączki w ciążę się nie zachodzi! - krzyczała żona. - I skoro ty nie dajesz mi dziecka, zdobęde gdzie indziej! Jestem normalną, zdrową kobietą i normalnie czuję! Mam PRAWO mieć dziecko! Słyszysz? PRAWO!

- Nie wiedziałem o tym wcześniej - odpowiedział mąż. - Od kiedy poznałem Ralfa, znam prawdę o sobie - dodał.

- Ralf, Ralf, znowu ten Ralf! Nienawidzę tego twojego Ralfa! - Marion krzyczała bardzo zdenerwowana. - On nie urodzi ci dziecka! Nawet jeśli się bardzo o to postaracie! Ale ja dziecko będę miała! Najpóźniej za tydzień będę miała dziecko! Przyśięgam ci! I biada ci, jeśli pokrzyżujesz mi plany! Oboje to wymyśliliśmy!

O, cholera! Była świetna. Prawdziwa aktorka. Nie jakaś tam laleczka dupeczka. Spojrzałam ostrożnie na Justusa. Czy znajdzie uznanie w oczach takiego światowca, jak mój kolega?

- Jak ją widzisz? - szepnęłam.

- Musi się jeszcze sporo nauczyć - zabuczał Justus. Prawdopodobnie Grasso będzie z nią pracował całe popołudnie, więc możemy spokojnie iść na spacer.

- Dziękuję! Kręcimy ujęcie! - zawołał Grasso.

- No, coś takiego! - prychnęła Gruba Lora. - Tak się zgrywać, jakbyśmy wszyscy byli tutaj jedynie statystami!

Gustaw klasnął bez zbytej energii w rękę.

- No, ruszajcie się troszkę, podpędźmy pracę, nie jesteśmy tutaj dla przyjemności.

- Pobiegamy sobie w czasie przerwy?

- Nie, dziś nie mogę. - Zemsta laleczki, część druga.

Miałam szaloną ochotę poznać bliżej tę Marion. Wydawało mi się, że jest tak bardzo inna od reszty moich bezimiennych koleżanek, przysłanych nam przez wspomnianą już agencję z Frankfurtu.

- W porządku. Muszę zresztą zrobić zakupy na Wielkanoc. Jakieś upominki dla żony i dzieci. Czekają na prezenty! Mają już naszykowane koszyczki dla zajączka wielkanocnego! - Justus Maria roześmiał się donośnie i dźwięcznie.

- W takim razie masz zajęcie na całą przerwę. - Jak to dobrze, że jego życie było wypełnione szczęściem dzieci, kobietą domową i pociągową, która czekała na prezenty wielkanocne. Co to on ostatnio powiedział? W malowaniu jajek wielkanocnych jestem dobry! No proszę, w takim razie ma zajęcie.

Widziałam go oczami duszy, jak wieczorami siedzi na skraju łóżka w tym swoim hotelu i szukając natchnienia w żurnalu dla gospodyń domowych, maluje siedem jajek wielkanocnych i robi do tego gniazdka, w których składa się prezenty. Na pewno zdążył już nawiązać luźny kontakt z Gretel Zupf. I zdobył sobie jej sympatię, chociaż była mała i jędrna, a o jej głosie można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest miły. Ujawniało się to zwłaszcza w sytuacjach, kiedy się denerwowała, na przykład z powodu atmosfery panującej w naszym studiu. Zdarzało się to dość często, bo grając rolę sekretarki szefa, nie wykorzystywała wszystkich swoich możliwości i czuła się niedowartościowana. Mój przyjaciel Justus miał w niej oddaną przyjaciółkę.

Niech im będzie. Z całego serca cieszyłam się, że się zaprzyjaźnili. Zasłużyli sobie na to. Zarówno ona, jak i on.

Marion wróciła rozcharakteryzowana z garderoby. Pozbyła się poduszki, więc była szczupła, zgrabna i elegancka.

- Cześć! Pójdiesz ze mną na kawę?

- Jasne! Jak masz na imię?

- Fanny. Fanny Laddo. - Roześmiała się. - A ty jesteś Charlotta Pfeffer. Wiele już o tobie słyszałam.

- Naprawdę? Co takiego słyszałaś już o mnie?

- Że masz dwojaczki i że od siedmiu lat należysz do zespołu I że jesteś całkiem inna niż rola, którą grasz!

- Miło mi to słyszeć! - ucieszyłam się autentycznie, słysząc te słowa.

Roześmiane, radosne wyszliśmy z budynku główną bramą szpitala. Na ulicy stał oparty o murek Justus. Niby porządkował ważne papiery. Tak ważne, że musiał to zrobić tutaj, i to natychmiast.

- Dokąd idziemy? - zapytała Fanny.

- Do kawiarni „Pod Lipą”. Mają tam ciastka i dobrą kawę, możemy przyrzyć się turystom i spokojnie pogadać - zaproponowałam.

Ruszyliśmy więc do miasta.

- Czy ten kolega też idzie z nami? - Fanny obejrzała się, nie rozumiejąc, co się właściwie dzieje.

- Nie. On musi iść teraz po zakupy. Ma zamiar kupować prezenty wielkanocne dla całej rodziny. Musisz wiedzieć, że ma sześcioro dzieci i żonę, i że wszyscy oni czekają na upominki, które przynosi im do ogródka zajęczek wielkanocny.

Fanny popatrzyła na mnie, czekając na dalsze wyjaśnienia. Wykrzywiłam twarz w grymasie, który miał oznaczać uśmiech.

- Naprawdę. Sam mi to powiedział. Możesz go spytać.

- Nie, lepiej nie. On zawsze patrzy wilkiem - odparła.

- To tylko pozory - oświeciłam ją.

Kawiarnia „Pod Lipą” znajdowała się przy tym samym placu, przy którym stoi słynna kolońska katedra. Po jego drugiej stronie. Znalazłyśmy miejsce przy oknie i zamówiłyśmy dwa dzbanuszki kawy. Fanny uśmiechnęła się do mnie uradowana.

- Uwielbiam siedzieć w kawiarni i gapić się na przechodniów!

Przez plac waliły tłumy turystów, tworząc jedną, wielką szarą masę. Większość z nich usiłowała sfotografować katedrę.

- Dobrze grasz. W twojej grze jest prawdziwe napięcie! - pochwalałam ją. - Gdzie zwykle pracujesz?

- W domu. Mam czworo dzieci.

Nie powiedziała: „W rodzeniu dzieci jestem dobra!” Doprawdy kobieta z klasą!

- Czworo dzieci! - Nie mogłam się nadziwić. - A teraz zamierzasz ukraść niemowlaka!

- O, trafiła mi się okazja, więc wzięłam tę rolę. Czy nie sądzisz, że powinniśmy zamówić sobie ciasteczko nugatowe? Jedno do spótki? - zapytała, nalewając kawę.

- Ależ oczywiście! Nawet dwa!

Podobała mi się coraz bardziej. Uosobienie ciepła, radości życia i spontaniczności! I taka urocza istota miała czworo dzieci. Wyglądała apetycznie i z apetytem oddawała się konsumpcji ciastek nugatowych!

Zawołałyśmy kelnera i zamówiłyśmy kaloryczne smakołyki.

- Życie jest krótkie - powiedziała Fanny. - Codziennie trzeba popełnić jeden grzech, żeby było się z czego spowiadać w Dniu Pokuty i Modlitwy.

- To święto ma być zniesione.

- To tak. Zresztą ciastka nugatowe to tylko grzech powszedni.

- Najważniejsze, żebyśmy kiedyś nie wyglądały tak jak Lora Kosz-marna!

- Tobie to nie grozi! - zapewniła mnie Fanny.

- Nie. Nawet jeśli codziennie będę się gimnastykowała przez trzy godziny na czerwonym wełnianym kocyku - według wskazówek z kasety wideo - obzerając się jednocześnie sałata i marchewką.

- Żeby tylko panowie byli dla nas cokolwiek łaskawsi i zadbali troszkę o siebie z myślą o nas... - Fanny zamyśliła się na chwilę.

Na placu mignęła mi wiatrówka w kolorze żółtej kupki niemowlęcia. Dojrzałam ją katem oka, niechcący, jednak odwróciłam głowę. Czyżby Justus? We własnej osobie! To był on. Bardzo zaafierowany biegł gdzieś przed siebie, by dokonać zakupów

świętecznych. Dziwnym zrządzeniem losu zerknął w okno kawiarni właśnie w tym samym momencie, kiedy ja podniosłam głowę. Jak gdyby mnie szukał. Widział nas. A nawet jeśli! Nie ma czasu i spieszy się na zakupy! Odprężyłam się i spokojnie odwróciłam głowę w stronę mojej nowej przyjaciółki.

- Masz czworo dzieci? Powiedz mi coś o nich! - poprosiłam.

- Nie mam nic do opowiadania! Urodziłam je sama! Żadnego nie ukradłam! - roześmiała się Fanny.

- I jesteś świetną aktorką! Jak sobie dajesz z tym wszystkim radę? Jak to ze sobą godzisz?

- To nie jest trudne! Jedno nie wyklucza drugiego! A ty? Jak ty sobie dajesz radę? Też jesteś świetną aktorką! A masz przecież dwojaczki.

- Jestem tylko laleczką - przerwałam jej. - Jestem laleczką, a rolę Anity Bach dostałam, bo mam ładną buzię i zgrabną figurkę. Ale jeśli będę jadła więcej ciastek nugatowych, to zrobi mi się podwójny podbródek, będę miała wiszący brzuch i zwiędłe pośladki, a wtedy wyrzucą mnie z *Naszego małego szpitalika*.

- Kto ci to powiedział? Gruba siostra praktykantka, ta z tymi sztywnymi włosami, uczesana w koriski ogon? Ta, która tak nieszczerze się uśmiecha?!

- Nie. Justus Maria Streitacker - powiedziałam, czując w sercu gniew.

- Nie tak głośno. Siedzi przy sąsiednim stoliku.

- Słucham? - Tu odwróciłam się gwałtownie.

- Dyskretniej, Charlottto! Odwróć się powoli do mnie i zjedz kawałek ciastka! Jesteś profesjonalistką!

Justus Maria Streitacker. Przy sąsiednim stoliku! Co mu strzeliło do głowy! Aż sapałam ze złości. Czy nie powinnam go wyrzucić?!

E, panie jak panu tam, co panu strzeliło do łba! To MOJA kawiarnia! Pan przecież wybierał się po zakupy. Chciał pan nabyć koszyczki na Wielkanoc! Ja tu byłam pierwsza!

„Pod Lipą” było zakładem użyteczności publicznej. Każdy mógł tu wejść i bezkarnie usiąść przy stoliku obok. Ale dlaczego ten gość musiał tu przyjść właśnie dziś? Przecież miał w planach pilne zakupy!

Obejrzałam się ostrożnie w jego kierunku. Justus Maria zagłębił się w lekturze książki, którą nabył drogą kupna chyba przed chwilą. Na okładce książki widniał jakże uroczy zajacek wielkanocny. Obok jego kurtki w kolorze gówienka niemowlęcia leżała na krześle obok zmięta torebka firmowa pobliskiej księgarni.

- Czyta - powiedziała Fanny. - Ale książkę trzyma do góry nogami. To utrudnia sam proces czytania w sposób zasadniczy. Nie powinnyśmy mu w tym przeszkadzać.

- Masz rację. Jest tak dobry w czytaniu, że może czytać nawet do góry nogami - skomentowałam. - Bo jest dobry w czytaniu do góry nogami! Na pewno! Opowiedz mi coś o sobie! Ale cichutko!

Fanny miała tendencję do mówienia głośno tonem człowieka szczęśliwego. Mówiła dobrze wyszkolonym sopranem.

- Jestem mężatką od piętnastu lat! - oświadczyła radośnie.

- Kto jest twoim mężem?

- Mój mąż!

- No nie mów!

- Naturalnie, że nie Matthias Krause! Tego poznałam dziś rano!

- No nie, przecież rozumiem. Opowiedz mi coś o swoim prawdziwym mężu. Ale nie krzycz tak!

- Wyobraź sobie, że mój mąż jest Syryjczykiem.

- Ciiiszej!

- Ma olbrzymią firmę, w której produkuje się środki biochemiczne do przyczep kempingowych.

- O! Jakie to interesujące! - westchnęłam.

Gustaw Grasso powiedziałby w tym momencie, że to zbędne. Wszystko zbędne! Chociaż sam był właścicielem przyczepy kempingowej.

- Mój Syryjczyk nazywa się Achmed!

- Co ty powiesz? - szepnęłam. - A jak się poznaliście? To znaczy, kiedy ci powiedział, że ma na imię Achmed?

- Na uniwersytecie. Przed szesnastoma latami! Kiedyś byłam na chemii i zaliczyłam kilka semestrów. Mój ojciec ma aptekę w Oberhausen i chciał, abym ją po nim przejęła. Ale wolałam zostać aktorką, a nie aptekarką w Oberhausen!

- A Achmed nie chciał przejąć tej apteki po ojcu?
 - Ojciec nie chciał Achmeda! - opowiadała uśmiechnięta. - A więc się pobraliśmy! Na przekór ojcu.
 - No to ojciec się zdziwił w tym swoim Oberhausen! - zastanawiałam się cokolwiek.
 - Od tej pory nie zamieniłam z nim ani słowa!
 - Wspaniale! - powiedziałam. Oczami duszy widziałam ojca w aptece. W swoim białym aptekarskim fartuchu sprzedawał w Oberhausen tabletki dopochwowe przeciw grzybicy i tampony, rozmyślając z gniewem o swojej ślicznej córce, która po prostu wyszła za mąż za jakiegoś arabskiego producenta środków czyszczących. W ogóle nie pytając go o zdanie.
 - A więc Achmed założył firmę. Najpierw małą, w garażu swego kumpla, potem interes zaczął prosperować. Teraz nikt już nie potrafi wyprodukować tak dobrych środków dezynfekujących do przyczep kempingowych jak on!
 - No, coś takiego!
 - Produkuje najlepsze środki dezynfekujące na świecie! Za środki usuwające pleśń i pastę do polerowania zdobył już kilka nagród. Nigdy jeszcze nie słyszałaś o konserwantach lakieru jego produkcji?
 - Nie! - rzuciłam niedbale. - Nie, nigdy, a to zapewne dlatego, że nie mamy przyczepy kempingowej.
 - No, a jego proszek do dezynfekcji przyczep! Można go używać także w normalnych toaletach. - Fanny była zachwycona swoją własną relacją. - Ten środek likwiduje nieprzyjemne zapachy i bez RESZTY rozkłada fekalia! Nadaje się szczególnie do czyszczenia wielkich pojemników i szamb w samolotach i autobusach.
 - Nie mów! - rzuciłam nieśmiało.
- Zerkano na nas z zainteresowaniem. Justus obrzucił nas spojrzeniem znad swojej książki z zajączkiem na okładce. Widać było, że jest zły. Zajączek zerkał spod wiszącego ucha. Biedak, cały czas stał na głowie.
- No i środki do impregnowania namiotów! - Fanny zapalała się coraz bardziej. - Czy spałaś już kiedyś w namiocie, w którym cuchnie zgniłymi mrówkami lub rozkładającymi się szczurami?

- Nie, nigdy!

Ileż ja straciłam w życiu!

- Środek do impregnacji nasycy powietrze i zapobiega procesom gnilnym! - Fanny opowiadała głośno i wyraźnie. - A środek do usuwania śluzu oczyszcza pomieszczenie lub pojemniki ze śluzu, mułu i glonów, na przykład w zapuszczonych akwariach lub zaniedbanych toaletach kempingowych!

- Co ty powiesz! - wtrąciłam. No jasne, jeśli ktoś całymi miesiącami nie usuwa martwych rybek z akwarium, musi u Achmeda kupić środek rozpuszczający takie rybki! Albo do końca swoich dni nosić maskę przeciwigazową. Albo nigdy więcej nie wsiąść do przyczepy kempingowej. Dla wielu sama ta myśl byłaby nie do zniesienia. Dla Gustawa na przykład. Gustaw na pewno jest stałym klientem Achmeda.

- No i spray do dezynfekcji deski klozetowej! - Fanny rozpyływała się nad produktami męża. - Ten środek dezynfekuje niezwykle szybko deskę klozetową, nie tykając tyłka!

Obejrzałam się dyskretnie. Kilka osób patrzyło na nas, wyraźnie demonstrując swoją dezaprobatę.

- Chciałaś mi powiedzieć coś o swoich dzieciach! - wtrąciłam. Może wyciągnie z torebki ze dwieście zdjęć, niczym Lora zdjęcia Adriana, i w milczeniu będziemy je razem oglądać.

- No i potem Achmed chciał mieć dzieci. - Fanny chętnie podjęła rzucone przeze mnie hasło. - Jest entuzjastką dzieci. Co rok chce mieć dziecko. W takiej sytuacji nie mogę pracować w swoim zawodzie.

- Komu to mówisz?! A jakie imiona mają twoje dzieci?

- Gleitex, Purifix, Impraegan i Schimmelex - wyliczyła z dumą. - Niestety, nie mam przy sobie żadnych zdjęć.

- Jak się nazywają twoje dzieci? - zapytałam raz jeszcze z otwartymi ze zdumienia ustami, tak że kilka okruszków ciastka upadło mi na bluzkę.

- To są stare, bardzo piękne imiona perskie!

Zrozumiałam, jak biedny jest ten aptekarz w Oberhausen i pomyślałam, że przy pierwszej nadarzającej się okazji wpadnę do niego, by mu złożyć wyrazy ubolewania.

- No, przynajmniej, że mają one jakiś związek z biochemicz-

nyimi zainteresowaniami mojego męża! - przyznała Fanny. - Ale w Niemczech nikt tego nie zauważa.

- Nie! Skąd! - Biedne te dzieci cudzoziemców. Wciąż się nudzą, nikt nie chce się z nimi bawić, a ponadto zamiast masła do chleba dają im pastę polerską i środki do usuwania mułu. A do picia płyny dezynfekujące pojemniki, zawierające substancje osuszające powietrze, które nie tylko usuwają glony, ale są też bezzapachowe.

- A poza tym? - zapytałam. - Co porabiacie w wolnym czasie?

- Achmed bawi się z dziećmi! Całymi godzinami! - Fanny podniosła głos. - CAŁYMI GODZINAMI!

- Nie, nie mów! - jęknęłam z zazdrości. - Mój Ernstbert nigdy się nie bawi z dziećmi! NIGDY!

- Czasem zostaje w domu i nie idzie do pracy! Wtedy ja muszę nadzorować produkcję preparatów biochemicznych, tych środków do klejenia, smarów i tak dalej! Pilnuję, żeby pracownicy mieli co robić.

- Macie pracowników?!

- No jasne! Achmed zatrudnia ośmiu pracowników! Mamy wielką fabrykę! W Geuel! Musicie nas odwiedzić! Koniecznie! U nas jest tak wesoło!

- Bardzo chętnie! - wydusiłam z siebie, zupełnie zdruzgotana.

- Kochany Achmed, dobry chłop z niego! Teraz, w okresie przedświątecznym, robi koszyczki dla zajączka wielkanocnego. Używa do tego naszych wyrobów - środków konserwujących do lakieru i pasty do polerowania. Ale nie na tym polega sens naszej pracy. Czasem muszę go wręcz odrywać od tego klejenia i majsterkowania, żeby wziął się za właściwą produkcję środków czyszczących i dezynfekujących przyczepy kempingowe! No i środków do impregnacji namiotów!

- Że też jest możliwe coś takiego! - westchnęłam z zazdrością. - Mój Ernstbert nigdy nie majsterkuje i nigdy nie klei koszyczków dla zajączka wielkanocnego!

Czy Justus stosuje też środki klejące, majsterkując i lepiąc koszyczki na święta, żeby zajączek miał gdzie złożyć prezenty?!

Czy kupił już ten klej bezzapachowy, tak przyjazny dla złotych rybek?!

Byłam pewna, że słyszy wszystko. Słowo w słowo. Podczas całej rozmowy ani razu nie przekartował książki. Jutro na pewno kupi klej do użytku w przyczepach kempingowych produkcji Achmeda. Mnóstwo kleju.

- Musisz nas kiedyś koniecznie odwiedzić! Z dziećmi! - zapraszała nas serdecznie. - Wprawdzie mieszkamy w okręgu przemysłowym, ale za to mamy sporo wolnego miejsca. W hali i w garażu, i na polu, i na drodze prowadzącej do autostrady. Ta droga nie jest jeszcze oddana do użytku, ponieważ Achmed zainicjował taką akcję obywatelską wśród rodziców przeciwko korzystaniu z drogi prowadzącej do autostrady. Nasze dzieci jeżdżą po niej na wrotkach, a w zimie na sankach. Och, ten Achmed! Ucieszy się bardzo, gdy mu o tobie opowiem! A gdy przyjedziesz do nas ze swoimi dziećmi, nie będzie się posiadał z radości!

- Ernstbert nigdy się nie cieszy, gdy przyjeżdżają goście z dziećmi. To mu się jeszcze nigdy nie zdarzyło! Nigdy!

- Ten twój Ernstbert to chyba niezły zartowniś!

- I mówisz, że twój Achmed nie będzie miał nam za złe, gdy przyjedziemy was odwiedzić?

- Nie! Skąd! - Fanny manifestowała głośno swoją radość. - Wprost przeciwnie! Wiesz, on miał czternaścioro rodzeństwa! On był piątasty i najmłodszy! Nie miał się z kim bawić! NIM się bawiono, ale on sam nie miał nikogo młodszego od siebie, by się pobawić. Teraz to nadrabia. Nasza czwórka wolałaby posiedzieć spokojnie przed telewizorem albo pograć w gry komputerowe, ale gdy Achmed jest w domu, muszą brać udział w wszystkich zabawach, jakie wymyśla. Zawija je w dywan, buduje im chatki, wali w nie poduszkami. Czasem dzieci to nawet denerwuje! Gleitex ma teraz dwanaście lat! Ucieka i zamyka się w swoim pokoju, gdy Achmed jest w domu.

- Bo grozi mu zawinięcie w dywan! - Nie mogłam się tym relacjom nadziwić!

- Tak! A Purifexa przerzuca przez ramię, między nogami, następnie wsadza do pralki... Takie szaleństwa...

- Ernie i Bert są pod tym względem bardzo zaniedbani - wydobyłam z siebie. - A niczego by sobie bardziej nie życzyli, niż zostać wypranymi w pralce! Ale Ernstbert nigdy by czegoś takiego nie zrobił! NIGDY!

- Przyjdźcie koniecznie! - Fanny zapraszała nas naprawdę serdecznie. - Achmed nie będzie mógł się na was doczekać!

- Słuchaj, a czy poza tym ten twój Achmed jest w porządku? - zapytałam wreszcie.

- Co masz na myśli?

- No, czy pozwala ci pracować, zostawić dom i chodzić bez chustki na głowie? - zapytałam ściszym głosem.

- Ależ naturalnie! - Fanny roześmiała się radośnie. - Co ci przyszło do głowy! On lubi, gdy jestem elegancka, bywam w towarzystwie i odnoszę sukcesy jako aktorka. A twój mąż nie?!

- Mojemu mężowi jest całkowicie obojętne, co porabiam i dokąd chadzam. Najważniejsza sprawa dla niego, to mieć spokój i nie słuchać głupot związanych z tym bzdurnym serialem 0 naszym szpitaliku. I żeby nie oczekiwała od niego jakichś wspólnych niedzielnych spacerów. - Dodałam, obgryzając paznokcie kciuka. - Ale on nigdy nie wsadzał dzieci do pralki i nigdy nie kazał mi nosić chustki na głowie.

- W takim razie jest u was dość nudno?!

- Tak! - przyznałam. - Gdy tak słucham twojej opowieści, muszę przyznać, że jest u nas nudno!

- Achmed ma szalony temperament! - zawołała Fanny.

- Więc nigdy się nie nudzisz! - powiedziałam z zazdrością. Pograżona w myślach, mieszałam łyżeczką kawę.

- Tak! To prawda! Na początku to w ogóle tego dziwnego Achmeda nie chciałam! - opowiadała Fanny. - Denerwowałam mnie. Ale on się bez przerwy za mną uganiał. - Tu zachichotała, nachylając się nad filiżanką.

Ostrożnie się obejrzałam, by zobaczyć, co robi Justus. Czytał.

- I co dalej?

- Wyszłam za niego.

- I nigdy tego kroku nie żałowałaś?

- Nie! Nigdy! Dziś też bym za niego wyszła! - Fanny krzyczała na cały lokal. - Bawi się z dziećmi. Co wieczór kładzie

je spać i godzinami opowiada im bajki, śpi z nimi, a ja mam sypialnię tylko dla siebie!

- Nie bije cię, nie gwałci i nie zamyka w pakamerze! A te maści to mieszasz sama dobrowolnie?! - wołałam zrozpaczona. - No i te środki wspomagające ślizg i zmniejszające tarcie!

- Tak, przecież ci to właśnie mówię!

- I chciałaś mieć czworo dzieci? Urodziłaś je dobrowolnie?

- Ależ naturalnie! Achmed znów chce mieć dziecko! Nie może się już doczekać!

Teraz już patrzyli na nas wszyscy goście siedzący w kawiarni przy stolikach. Justus również.

- Codziennie ciągnie mnie do łóżka! - Fanny obwieściła tę wiadomość pełnym głosem.

Żeby to tak Ernstbert miał takie potrzeby! Wreszcie by się coś działo! Ale nie, za żadne pieniądze! A na dodatek reprimenda!

- No, to przecież cię gwałci! - zawyłam.

- NIE! Achmed jest najbardziej płomiennym kochankiem świata! Nie masz pojęcia, co taki Arab wyprawia w łóżku i jakie to przyjemne!

Podeszła kelnerka i delikatnie zwróciła nam uwagę, żebyśmy rozmawiały troszkę ciszej. I zapytała:

- Jeszcze jedno ciasteczko nugatowe?

- Tak, zaszalejemy! - jęknęłam.

- No, a teraz opowiadaj ty! Co jest z tym twoim Ernstbertem?!

Więc opowiedziałam jej, jak się zaczęła cała ta historia między Ernstbertem a mną.

- Wiesz, byłam zakochana w pewnym aktorze, który miał na imię Hannes. Był ślicznym chłopcem, miał muskularne, piękne ramiona, ale to nie ma najmniejszego znaczenia dla mojej historii. Pewno nie był tak namiętny i żarliwy jak twój Achmed, ale mnie się wydawało, że bardzo. - Tu pochyliłam się nad swoją filiżanką kawy, by konspiracyjnym szeptem powiedzieć: - Miał chyba najdłuższego penisa na całym świecie!

Musiałam się czymś pochwalić. Dobre i to, skoro nic innego nie miałam do zaoferowania.

Fanny ucieszyła się:

- Miał najdłuższego penisa na świecie! No coś takiego! Musiałabyś zobaczyć, jakiego ma Achmed!

- Ciszzej! Powiedziałam przecież „chyba”!

- No to opowiadaj dalej!

- Spędziliśmy ze sobą jedno lato. W południowej Francji. Kochaliśmy się nocą w basenie i w ogrodzie pod cedrami i nawet gdzieś w dekoracjach do naszego filmu o Ludwiku XIV.

- Obłąd! - wrzasnęła Fanny. - W zakurzonych dekoracjach do filmu! - Nagle jej twarz spochmurniała. - Ale to nie był przecież Ernstbert!

- No nie, on miał na imię Hannes. Jak już ci mówiłam, Hannes Stuhlbein!

- Jakie to uroczel!

Postanowiłam historię moją co nieco rozwinąć. W końcu nie chciałam wypaść gorzej niż Fanny. Ponownie pochyliłam swój biust nad filiżanką kawy, by stworzyć nastrój intymności.

- Bo wiesz, w naszym łóżku leżał jakiś obcy Rosjanin! OBCY! Cuchnęło od niego, ponadto chrapał i gadał sam ze sobą. Naprawdę!

- OBCY! Rosjanin w łóżku! Niesamowite! - Fanny nie kryła się ze swoim entuzjazmem.

- Proszę troszkę ciszej! - rzuciła kelnerka, przechodząc obok nas.

- Ale Rosjanin chyba nie miał na imię Ernstbert! - Fanny zgadywała, pałaszując następne ciastko nugatowe.

- Nie. To doradca podatkowy miał na imię Ernstbert.

- No i co? Czy daleka była droga od Rosjanina do doradcy podatkowego?

- Nie. Doradca podatkowy zjawił się zaraz po Rosjaninie.

- No proszę. Ale on nie leżał w waszym łóżku?

- Nie. Doradca zjawił się w moim mieszkaniu kilka tygodni później. I było to takie nudne!

- Nie rozumiem.

- No, doradca zajmował się moimi podatkami i całym tym bajzłem. Godzinami wypytywał mnie o różne głupoty, czy zbieram rachunki za benzynę i tak dalej...

- Jakie to nie-erotyczne! - stęknęła udręczona. - Facet pozabawiony fantazji!

- Ja tymczasem przyglądałam się jego spodniom z elanobawełny, koszuli z materiału nie przyjmującego ani zapachów, ani smaku, czyli jakiegoś syntetycznego paskudztwa, no i jego butom wyczyszczonym jakimś środkiem chroniącym skórę... No, wiesz!

- NIE! No, ale co z nim robiłaś?

- Nic, przysięgam ci, że nic. Tylko pomyślałam... Tylko tak, dla zabawy... Żeby się nie nudzić za bardzo... bo strasznie się nudziłam, gdy tak rozmawialiśmy o tych podatkach.

- Jak to - tylko pomyślałaś? I od tego zaszłaś w ciążę?

- Ponadto coś upadło na ziemię - szeptałam konspiracyjnym głosem. - W innym wypadku się nie udaje... Musisz coś upuścić, a upuszczając to coś musisz pomyśleć o...

- To wszystko?! Muszę o tym opowiedzieć Achmedowi! Będzie zachwycony! Wypróbuje to już dziś wieczorem! Upuści cały ładunek środka mrozoodpornego do kadzi z politurą i pomyśli o tym, a ja już będę w ciąży i urodzę bliźniaki! Damy im na imię Dichtolan i Findol!

- Proszę troszkę ciszej! - Jakiś starszy pan, siedzący przy sąsiednim stoliku, zwrócił nam uwagę. - Nie jesteście panie tutaj same!

- Ja dorobiłam się z nim jednego dziecka.

- Myślałam, że masz bliźniaki!

- Mają dwóch ojców! Ten drugi bliźniak jest Hannesa, tego aktora.

- Tego z najdłuższym penisem świata?

- Ciiicho! Fanny! Powiedziałam „chyba”! To nikogo tutaj nie interesuje!

Zerknęłam w kierunku Justusa. Zajączek wielkanocny bezwładnie wisiał. Wisiał na swoich zajęczych uszach. Nikt się nim nie interesował. Nikt się z nim nie bawił. Zwierzątko strasznie się nudziło.

- Ale z tym facetem z długim penisem uprawiałaś seks? Tak naprawdę! Nie tylko w myślach?!

- Tak, naprawdę! Zaraz potem!

- Ale numer! - ucieszyła się Fanny i dłońią uderzyła w blat

stolika. - Opowiem to dziś Achmedowi! Najpierw upuści tubkę sprayu do wyszukiwania przecieków i miejsc nieszczelnych. A zaraz potem zrobimy to **NAPRAWDĘ!**

Nie byłem pewna, czy mi uwierzyła. To, co ona zamierzała zrobić, nie było w porządku. Najpierw opowiedzieć tę niewiarogodną historię o moim mężu facetowi, który dobrowolnie bawi się z dziećmi, a potem pośmiać się - „tutaj” - ze mnie! A przecież chciałam jej za wszelką cenę zaimponować!

- Mam magiczną siłę! - syknęłam między jednym kęsem a drugim, jedząc następne ciastko nugatowe. - Potrafię rzucać czar na mężczyzn. Ty tego nie potrafisz!

- Wierzę ci na słowo! - Fanny znów podniosła głos i serwetką strząsnęła mi z piersi okruszki ciastka nugatowego, które wylądowały tam podczas mojej opowieści. - Tu obok siedzi jedna z ofiar twoich czarów, nasz kolega!

Justus przypomniał sobie, że czyta książkę. Z wściekłością przeniósł wzrok na tekst.

WRESZCIE zajączek zmienił pozycję z głowy na łapki i przesta się nudzić.

- Powiem ci coś, żebyś wiedziała: rzuciłam na niego czar, bo jest straszliwym pyszałkiem! Za karę!

Fanny dopiła kawę.

- Mój Achmed będzie tobą zachwycony, bo on uwielbia historie z tysiąca i jednej nocy. Na pewno będzie chciał, żebyś go zaczarowała. Uwielbia gry towarzyskie! W każdej formie! Wrzuci cię zaraz do kadzi i będzie myślał tylko o tym!

- Czy kierownik lokalu nie może spowodować, by zapanował tutaj spokój? - Kilka panius w kapelusikach autentycznie się oburzyło.

Zjawił się gruby szef lokalu i przemówił do nas, wycierając swe umazane bitą śmietaną i truskawkami paluchy w wielki fartuch:

- A więc, moje panie, muszę was teraz poprosić o opuszczenie lokalu...

- Niech pan tylko nie upuści teraz łopatki do tortu, bo ona może pana zaczarować i będzie pan myślał, że się z nią prześpał! - zachwycona i rozentuzjasmowana Fanny nie panowała już nad swoimi emocjami.

- Jego nie zaczaruję! - syknęłam. - Ten może upuszczać, co chce! Jego na pewno nie zaczaruję!

- Dlaczego nie? To mogłoby być interesujące! Taki zaczarowany cukiernik! Umazany truskawkami i śmietaną! - Wykrzyczała na koniec i chwyciła swój plecaczek.

- Sama decyduję, na kogo rzucić czar! - wyjaśniłam lekko rozgniewana. Cały czas dręczyło mnie obrzydliwe podejrzenie, że w duchu Fanny śmieje się ze mnie.

- Ten pan w kącie zapłaci rachunek! - Fanny wesoło wskazała fundatora.

Justus Maria Streitacker podniósł głowę, jak gdyby zobaczył nas dopiero teraz.

- No jasne, że ty decydujesz, na kogo rzucasz czar - powiedziała Fanny, ciągnąc mnie za ramię. Wyszłyśmy na zewnątrz. - Ale temu Justusowi to rzeczywiście zadałaś bobu. Nie możesz cofnąć tego czaru?

- Nie! Po co? Dlaczego mam cofnąć? - zapytałam bardzo z siebie zadowolona. - Za żadne pieniądze!

- CO? Wychodzisz na lekarza naczelnego?

Greta stała w kuchni i robiła dzieciom kanapki. Nie wyjdiesz za lekarza naczelnego! Nie chcę słuchać takich bzdur. JA nie wyszłam za mąż za lekarza naczelnego.

Ernie i Bert zajadali się właśnie potrawą dla dzikich świń: była to ich ukochana breja śniadaniowa, składająca się z płatków kukurydzianych z miodem rozmoczonych w mleku. Packa była żółtawa i pełna grudek. Młaskali głośno, a packa spływała im po brodach. Nie przeszkadzało to im bawić się match-boxami, które jeździły między paczkami płatków kukurydzianych.

Widok był uroczy! Byli tacy słodcy! Najchętniej pogryzłabym te ich brzoskwiniowe policzki. Byłam jednak na diecie. Przed dwunastą nie jadłam nic konkretnego, tylko piłam. Był to długi, który spłacałam pani doktor Anicie Bach.

- Mamusiu, a ja myślałam, że ty już wyszłaś za mąż za naszego tatę? - Bert zadał to pytanie z ustami pełnymi papu.

- Ależ oczywiście! Zjedz swoją porcję, którą masz na talerzu i nie chlap tak! My nie jesteśmy robo...

- ...lami. Mamo, dlaczego wychodzisz za męża za lekarza naczelnego? - Bert nie ustępował. - Czy będziesz miała z tego jakieś korzyści podatkowe?

Greta i ja wymieniłyśmy wymowne spojrzenia. Bert był dzieckiem Ernstberta. Co do tego nie było wątpliwości.

- Ja chcę ożenić się z mamą! - Ernie miał inny pomysł.

- Ale nie z pełnymi ustami! - wtrąciła się Greta do naszej rozmowy o partnerstwie.

- Kocham mamę ponad życie! - Ernie lubił teatralne gesty. Mówiąc te słowa, wymachiwał łyżką.

- Cicho, ty idioto! Nie możesz zostać mężem mamy!

- Dlaczego nie?

- Bo nie jesteś płatnikiem podatków! Dlatego!

- Mamusiu, dlaczego nie wyjdiesz kiedyś za męża za pana Schmitza-Nittenwirma? - Ernie miał inne zmartwienie.

- Nie jest w moim typie. Jest za chudy.

Greta pokręciła z dezaprobatą głową.

- JA lubię pana Schmitza-Nittenwirma - zadeklarował Ernie, wycierając usta serwetą stołową. Podałam mu serwetkę.

- To miło z twojej strony - odparłam, głaszcząc synka po gładkim i jędrnym policzku. Nie mogłam się powstrzymać, by nie dać mu buziaka. Pachniał szczęśliwym dzieciństwem we wszystkich odcieniach różu.

- Tak, naprawdę bardzo go lubię - wyjaśniał dalej. - Wolę go od naszego taty.

- No, no, no! - Greta wyraziła raz jeszcze swoją dezaprobatę. - Takich rzeczy się nie mówi!

- Ale JA wolę tatę od pana Schmitza-Nittenwirma! - pośpieszył Bert ze swoją deklaracją. - Po pierwsze, tata zarabia o wiele więcej niż pan Schmitz-Nittenwirm, a po drugie, tata jeździ mercedesem.

- No to co, ty dupku! Za to pan Schmitz-Nittenwirm pozwala nam jeździć na swoim rowerze! Czy tata nam pozwala jeździć swoim mercedesem?

- Nie, ty głupku! Bo mercedes taty jest bardzo drogi, o wiele

droższy od roweru pana Schmitza-Nittenwirma! On nawet nie ma przerzutki dziesięciobiegowej przy tym swoim gruchocie! - Bert energicznie uzasadniał swoje zdanie.

- Ale on robi z nami latawce i puszcza je. Uczy nas pływać i buduje z nami jaskinie pirackie! Tata nic z nami nie robi!

- Tata ma za to komputer, a pan Schmitz-Nittenwirm nie!

- Zaczekajcie, aż poznacie Achmeda! - powiedziała tajemniczym głosem. - Nawet w dywan was zawinie!

Ernie i Bert przestali się na chwilę kłócić i otworzywszy szeroko usta, czekali na dalsze rewelacje.

- Ale pan Schmitz-Nittenwirm potrafi jeździć rowerem bez trzymania! Czy tata potrafi jeździć mercedesem, nie trzymając kierownicy?

- No jasne, że potrafi! Tata jeździ nie trzymając kierownicy, telefonuje i szuka w radiu komunikatów dla kierowców.

- A pan Schmitz-Nittenwirm potrafi przeskoczyć murek szkolny, jak się rozpędzi!

- A Achmed potrafi wskoczyć do kadzi z klejem do przyczep kempingowych, jak się rozpędzi!

- A tata potrafi ominąć kontrole radarowe, jak się rozpędzi, bo ma urządzenie antyradarowe, które go ostrzega!

Ernie był bliski łez:

- No to co! Ale za to nigdy się z nami nie bawi! NIGDY! I ja się ciągle nudzę!

- A Achmed zawinie was w dywan i zamknie w bębnie pralki! - usiłowała zakończyć spór.

Dzieci nie słuchały jednak, co do nich mówił.

- Bo ty jesteś dzidziuś! Możesz sam się bawić! I nie umiesz zarabiać pieniędzy! Tylko tata to potrafi!

- I mama! - Ernie dyszał. - Mama jest najlepszą aktorką na świecie!

- Powiedz to mojemu lekarzowi naczelnemu! - wtrąciłam. - Jest zdania, że jestem laleczką - powiedziałam do Greta.

- Wyglądasz okropnie! - Greta nie była zadowolona z jego wyglądu.

- A ja uważam, że mama jest śliczna! - zawołał Emie.

- Ja też! - poparł go Bert.

- Nie jesteś w formie! I tak wyglądając, chcesz się wydać za lekarza naczelnego?! To nie znajdzie uznania w oczach twoich emerytów!

- Ale tatusia wolę więcej! - wtrącił Bert chcąc mieć, jak zawsze zresztą, ostatnie słowo.

- A ja wolę więcej pana Schmitza-Nittenwirma - Ernie poszedł na całość. - Ale tylko troszkę więcej.

- Zaczekajcie, aż poznacie Achmeda. - Sprzątałam talerze i obiecywałam im spotkanie z kimś nadzwyczajnym. - On swoje dzieci zawija w dywan!

- Nie rozumiem, jak można tak o sobie nie dbać! - nie ustępowała Greta. - Zawiąz sobie na głowie jakąś chusteczkę! Przynajmniej apaszkę!

- Przecież zaraz mnie ucharakteryzują! Zdążą mnie zrobić tak, jak zechcą!

- Zrobić! Gdy słyszę to słowo, robi mi się mdło. Masz się UCZESAĆ!

Bert zapytał:

- Dlaczego tobie się podoba, gdy ojciec zawija swoje dzieci w dywan? Przecież to jest zbędne.

- Weź grzebień do ręki i uczesz włosy! Nie będziesz żałowała!

- Loki nie znoszą grzebienia. Tracą swoją elastyczność i z włosów robi się słoma.

- Ty dupku! Ja chcę, żeby mnie zawinęli w dywan!

- Żebyś ty przynajmniej miała rzeczywiście loki, mój ty flejtuszku! Ale ty masz zgniłą słomę na głowie, a nie włosy!

- Natura nie obdarza wszystkich równo! - odpowiedziałam uprzejmie.

- Niech ci ładnie obetną włosy, zrób sobie elegancką fryzurkę a la lady Diana, moje dziecko! - Greta miała bardzo twórczy pomysł. - Krótkie włosy, dobrze przycięte, zalotna fryzurka, a jednocześnie elegancka. Klasyczna, ponadczasowa, a jednocześnie bardzo twarzowa. Odpowiednia dla twojego wieku.

- Kiedy indziej.

- Zbęd-ne! - dodał Bert.

Greta energicznie pakowała dzieciom tornistry, nie zapominając oczywiście o pudełkach z kanapkami.

- No, chłopcy! Gotowi?!

Przynajmniej dzieci nie wyglądały niekorzystnie. Chłopcy byli całkiem normalnymi dziećmi. Ostrzyżeni tak, że nie trzeba było ich czesać. Włoski krótkie, dobrze obcięte, a nie jakaś tam kitka na karku. My nie jesteśmy robotami.

- Odmaszerować!

Greta ruszyła z dziećmi do szkoły, która była w pobliżu, zaraz za rogiem. Włożyła swój nieodzowny kapelusik starszej pani, coś a la Królowa Matka, by pokazać, że jest damą. A dyskretna elegancja to wartość sama w sobie.

- Mamusiu, czy dziś wieczorem pójdziemy do Achmeda?

- Jasne! Już się robi! Uroczyste słowo Indianki!

- Ale czy na pewno on nas zawinie w dywan? **OBIECAŁAŚ!** Żeby potem nie było, że to tylko obiecanki cacanki!

- No jasne! Będzie rzucał w was papierem toaletowym! Obiecuję!

- A my go wsadzimy do pralki!

- Oczywiście!

- I włączymy pralkę?

- Zobaczymy! - wyjaśniłam. - Nie mam pojęcia, jak Achmed to zwykle robi.

- Czy odwirujemy go?

- Przypuszczam, że raczej nie - powiedziałam, nie kryjąc żalu.

- Wiedziałem, od razu wiedziałem! - skomentował Bert. - Wciąż się nudzę!

Greta wyjaśniła:

- Za moich czasów nikt nie rzucał w nas papierem toaletowym i nikt nas nie wsadzał do pralki, a mimo to mieliśmy bardzo szczęśliwe dzieciństwo. Czesaliśmy frędzle dywanu i ci-chutko śpiewaliśmy pieśni.

- No jasne! - skomentowałam. - A na dodatek manto!

- Mamo!

- No?

- Mamo!

- Co?

- O ile dobrze wiem, to dziś jest niedziela.

Rzut oka na milczące tego ranka radio z budzikiem. Piąta czterdzieści pięć.

- No nie, synku, Ernie, nie teraz!

- Muszę cię o coś zapytać. Jest to BARDZO ważne!

- Co takiego?

- Mamo!

Poczułam, jak łapki dziecięce energicznie mną potrząsają.

- Czy ty wiesz, dziecko, która godzina? - mruknęłam bardzo niezadowolona.

- Niedługo dwutysięczna! - odpowiedział Ernie.

- Tak jest! Dokładnie! - zachrypiałam. - A więc wracaj do łóżka!

- Mamusiu, dlaczego mam jąderka? Co tam jest w środku?

- Zapytaj taty! - chrząknęłam. Chciałam jak najszybciej wrócić do swojego snu, który był taki piękny. Pan doktor Frank Bornheimer, nasz lekarz naczelny, i pani doktor Anita Bach uprawiali seks na wełnianym kocyku podczas zachodu słońca. Seks był gwałtowny, bez zahamowań, gdzieś w lesie, tuż przy autostradzie w okolicach Oelde. Był to najpiękniejszy odcinek serialu, jaki mi się kiedykolwiek przyśnił.

- Tatuś śpi - Ernie nie ustępował. - Ty mi powiedz.

Jak zwykle ja. Nic nowego.

- No, mów!

Usiadłam w łóżku i podniosłam kołdrę.

- Wskakuj!

Małe, cieplutkie ciało mojego synka Erniego, ciało małego człowieczka, wsunęło się pod kołdrę mamy. Miało lodowate nóżki. Mama była gorąca od gorących snów. Małe ciało ściągnęło mamę na ziemię. Mama wróciła do rzeczywistości. Do suchych faktów. Sapiąc głośno, ułożył się przybierając pozycję, która wydała mu się najwygodniejsza. Przeszła mi złość, jak ręką odjął. Nie mogłam się na niego gniewać. - No, mamusiu, mów!

- Masz jąderka w mosznej, a w niej mnóstwo tajemnic... - wyjaśniłam. - Pewnego dnia te tajemnice się ujawnią. Ale jeszcze nie teraz. Wystarczy?

- A czy ty też to masz ?
- Nie, przecież wiesz, że nie mam.
- Nie martw się, mamusiu! Możesz sobie zażyczyć na urodziny! Wtedy dostaniesz moje! Podaruję ci je, bo bardzo cię kocham.

Pracowałam nad sobą, by go nie zjeść, tego małego człowieka. By go nie schrupać z kosteczkami.

- Mamusiu, daj mi spokój, posłuchaj teraz. Powinniśmy kupić sobie maski przeciwgazowe, a jak już nadejdzie kwiecień, to my będziemy mieli szczęście, a inni będą musieli umrzeć.

- No jasne! - zgodziłam się z nim. - Jutro rano kupię maski. Dziś wszystkie sklepy są zamknięte.

- Kiedy będzie kwiecień? W przyszłym tygodniu?

- Nie, jeszcze nie. Teraz mamy marzec. Jeszcze czas.

Chwila ciszy. Mała, płowa główka myśli, aż się wszystko w niej kotłuje.

- Dlaczego teraz jest marzec, a nie kwiecień?

- Bo teraz jest marzec. W kwietniu zazielenia się drzewa. To jest tak jak z twoimi jąderkami. Kiedyś te tajemnice wyjdą na jaw i ujrzą światło dzienne. Ale jeszcze nie pora. Teraz wracaj do swojego łóżeczka, skarbie, za trzy godziny możesz wrócić!

Podrapałam go po tłuściutkim, miłym brzuszku, w który lekko wpijała się gumka spodenek od piżamy.

- Pa, kochanie, i nie zapomnij CICHUTKO zamknąć za sobą drzwi!

Chętnie zatrzymałabym go w łóżku, bo był taką słodką przytulanką, ale pragnęłam spokoju, a oboje mieliśmy bardzo rozbieżne poglądy na temat wspólnego wypoczynku.

- Podrap mnie po plecach - poprosił. - I nie szczyp po brzuchu.

- Dobrze - zgodziłam się. - Ale tylko pięć minut. Potem wracasz do siebie. Zgoda?

- Mamusiu?

- Tak, skarbie?

- Rycerze... tak?

- Tak. Rycerze.

Ten słodki, ciepły, zdrowy zapach z rozgadanych pyszczydeł

dziecięcych! Boże, jak kochałam ten zapach! Działał na mnie jak narkotyki! Uwielbiałam go!

- A dlaczego ci rycerze nie mieli karettek pogotowia? I umierali? Czy chcieli, czy nie?

- Tak, ci biedni rycerze! - potwierdziłam, nie wzruszając się zbytnio ich losem. - Ernio, wiesz co, wrócisz teraz do łóżeczka i oboje pośpimy jeszcze. Każdy będzie śnił swój sen, zgoda?

- Wczoraj Greta zabrała nas nad jezioro z kacuzkami - on na to. - Mamo, wiesz co?

- Nie, wie wiem. Wiem, że nic nie wiem.

- Ale ja wiem - Greta mu wytłumaczyła. - Te nie umalowane to siostry.

- Co ty powiesz! Siostra Berthilda też się nie maluje - mruknęłam.

- A potem byliśmy w restauracji i Greta zawołała panią starszą kelner i zamówiła rybę. Była całkiem nieżywa! No i Greta powiedziała, że ryba tylko śpi, ale ja od razu wiedziałem, że ona nie śpi, bo pani starsza kelner ją usmażyła! Usmażyła na śmierć!

Powstrzymałam śmiech, chowając głowę w poduszkę. Tak trafne sformułowania wychodziły tylko Erniemu. Niestety, rozmowa z nim wybijała mnie coraz bardziej ze snu.

- No i co? Spróbowałeś, jak smakuje taka ryba?

- Tak, ale pani starszej powiedziałem, że smakuje całkiem niesamowicie.

- No i co? Zabrała ją znowu do kuchni?

- Nie. Greta powiedziała, że to, co jest na stole, należy zjeść. A ta nieżywa ryba leżała na stole! Nawet nie mogła stać. I miała takie wielkieeeee, niesamowiteeeeee oczy!

- Biedne dziecko! - Obgryzałam temu cudownemu, małemu, ciepłemu i rozgadnemu tłumoczkowi mały paluszek.

- Nie, mamo, nie! Nie wolno ci połknąć mojego palca! W środku są ości!

- O, Ernio! - zamruczałam. - Gdzie ten guziczek, którym się ciebie wyłącza? Tutaj? - Uszczypnęłam go w pępuszek. -

No, teraz ciebie wyłączyłam. I możemy jeszcze pospać. A jak będziesz cichutko, to zostaniesz tutaj.

- W porządku.

Boże, jak ja kochałam to dziecko! Z nim nigdy się nie nudziłam. Na pięć sekund zapanowało milczenie. Już usypiałam.

- Mamcia?

- Nie.

- Czy wiesz, jaka jest różnica między odwagą a bezwładem?

- Wiem - odpowiedziałam. - Ty jesteś odważny, a ja bezwładna...

- Nie, mamusiu, to nie tak. Gdy kogoś się przejedzie, to jest się odważnym, ale jak on już leży, to jest bezwładny.

- O, rozumiem. Sama nigdy bym na to nie wpadła.

Popatrzyłam na mojego chrapiącego małżonka. Sto pięćdziesiąt żywej wagi pod kołdrą obok mnie. Był dla mnie uosobieniem bezwładności. Jego nie trzeba było przejeżdżać, i tak był bezwładny.

- Mamo, tak się nuuudzę!!!

- Jak zaśniesz i pośpisz troszkę, to nie będziesz się nudził! Może ci się coś ładnego przyśni! Opowiesz mi, co ci się przyśniło? Dobrze?

- Nie jestem stworzony do marzeń! Jestem stworzony do zabawy!

- W takim razie pobaw się! Ale cichutko!

- Mamo! Czy jest praca dla narciarzy, którzy wcale nie mają nóg?

- Nie, nic mi o tym nie wiadomo! - ziewnęłam. - Jak na to wpadłeś?

- Bo przecież są narciarze, którzy wcale nie mają nóg! - Ernie był bardzo stanowczy.

- Ciiicho! - syknęłam. - Tata śpi.

- No, więc jak? Są tacy narciarze, czy nie?

- Tak, są, są! Dziecko, uspokój się wreszcie!

Ernie obrócił się gwałtownie w moim łóżku. Odwrócił się do mnie i wziął w swoje tłuste łapki moją twarz i palcami przesunął po ciężkich powiekach.

- Mamo, otwórz oczy! Muszę ci powiedzieć coś ważnego! Udreżona otworzyła oczy.

- Są... Mamo! Nie zamykaj oczu!!! Są niewolnicy, którzy budują piramidy, a gdy piramida jest gotowa, to dostają lanie pejczem w makówkę!

- Dziś w tej postaci nie ma... - ziewnęłam. Zrozumiałam, że nie ma sensu przekonywać mego żadnego krwi syna, by wreszcie zasnął. - Ernie! - zaproponowałam wreszcie. - Wstańmy i pójdziemy do lasu.

- O, jesteś najukochańszą, najlepszą, najmilszą mamcią na całym świecie!

- Wiem - westchnęłam.

Dziesiątki wilgotnych buziaków z dziecinnego pyszczydła. Cichutko wyczołgaliśmy się spod kołdry i wyslizgnęliśmy się z pokoju, by w łazience zrobić siusiu i umyć zęby.

- No, chodź, skarbie, umyj się zimną wodą! Musisz być prawdziwym mężczyzną!

Chwycałam moją latorośl za pirze i umyłam mu mordkę zimną wodą. Gdzieś tam głęboko w sobie skrywałam wściekłość na tego małego potwora, który mnie zmusił do wstania w środku nocy.

Oburzony Ernie wyrwał się z moich szponów.

- Mamo, wstydź się! Bo nie będę twoim przyjacielem!

Nie chciałam do tego dopuścić. Za żadną cenę. Ubraliśmy się.

- Spodnie kowbojskie, mamusiu! No i mój miecz i kolt!

- Czy mogę wyjść z domu nie uzbrojona? - zapytałam na wszelki wypadek.

- No jasne! Będę cię pilnował i chronił.

Na palcach zeszliliśmy po schodach na parter. Z obu sypialni dobiegał miarowy oddech śpiących. Błogosławieni bezwładni! Bowiem ich przejeżdżać nie trzeba.

Na korytarzu szeptem zadałam sobie pytanie, które buty mam włożyć.

- Te płowe! - poradził Ernie.

Były to pantofelki na wysokich obcasach, beżowe, wyjściowe.

- O nie, one jeszcze śpią! - odpowiedziałam.

Zdecydowaliśmy, że założymy gumowce. Cicho otworzyliśmy drzwi wyjściowe. Właśnie dniało. Wspaniałe, rześkie, poranne powietrze, chłodne i czyste. Wciągnęliśmy je głęboko w płuca.

Tak się zapewne czują fińscy rybacy, gdy żądni przygód ruszają bladym świtem na połów. Opuszczają swe chatki z drewnianych bali, by w rwącym potoku górskim łowić zupki w proszku.

Poranna gazeta - „Welt am Sonntag” - wisiała na ogrodzeniu. Była już cokolwiek wilgotna. Rzuciłam w jej kierunku spojrzenie człowieka zawiedzionego. Później się spotkamy, droga przyjaciółko! Później.

- Dokąd idziemy? Co proponujesz?

- Moglibyśmy udać się na cmentarz penatów. - Była to propozycja Ernego.

Cmentarz Melaten? Był niedaleko. Gdy bliźniaki były jeszcze małe, wsadzałam je do podwójnego wózka i krążyłam alejkami cmentarnymi, studiując napisy na nagrobkach tych, którzy odeszli.

- W porządku. - Od razu zgodziłam się na wyprawę na cmentarz. - Fajnie, pójdę tam z największą ochotą.

Wyprawa na cmentarz w marcowy, wietrzny poranek o siódmej rano - to było to! A więc ruszyliśmy w drogę, trzymając się za ręce, niczym dwóch wędrowników ciekawych świata - Jaś Guzik i Łukasz Maszynista. Wszystkie domy jeszcze spały.

Wszędzie panowała głęboka cisza. Świat należał do nas. Dzięki ci, synku, że mnie obudziłeś. Świat należy do odważnych, a nie do bezwładnych.

- Popatrz mamusiu, martwy ogórek!

- Rzeczywiście! Skąd się tutaj wziął?

Kucnęliśmy nad ściekiem i przez chwilę przyglądaliśmy się zwiędniętemu i pomarszczonemu ogórkowi, który zgubiła prawdopodobnie jedna z tych niewiast, które na rowerach - uzbrojone w damulkowate kapelusiki - jeżdżą na rynek po zakupy. Zgubiła go wracając z rynku. Wypadł jej z koszyczka.

- Mamo, opowiedz mi coś o tym ogórku! Dlaczego jest martwy?

- O, synku, nic mi do głowy nie przychodzi. Wszystkie ogórki muszą kiedyś umrzeć!

- Mamo, opowiedz! Postaraj się! Wymyśl coś! Dlaczego ten ogórek jest martwy! Opowiadaj! Czekam! Już zaczynaj! Bo jak nie, to manto!

Martwy ogórek przypominał mi troszkę siostrę Berthildę, która w naszym serialu pełniła nocne dyżury.

- No, dobrze! Był sobie kiedyś samotny, stary, niesmaczny i pomarszczony ogórek, którego nikt nie chciał. Wszyscy go unikali. Nikt go nie kochał. Przez całe życie nie spotkał nikogo, kto by go chociaż troszkę pokochał. Co sobotę gospodarz zabierał ogórek ze sobą na ryneček, by go sprzedać. Na rynku gospodarz wołał: „Patrzcie ludziska, jaki delikatny, stary, pomarszczony i gorzkawy ogórek! Kto chce go schrupać? Oddam go za pół ceny! Jest wspaniały, soczysty i gorzkawy!” Ale nikt go nie chciał. Biedny, stary ogórek marszczył się coraz bardziej, a jego oblicze poorane było głębokimi bruzdami. Tak bardzo się smucił. Z czasem zrobił się całkiem chudy.

Ernie popatrzył na mnie z podziwem.

- A co było potem?

- Aż któregoś dnia na rynek przydreptała okrągłutka, krzepka, jędrna, dość tęga kobieta. Dlaczego była taka gruba?

- Bo bez przerwy objadała się ogórkami. Wpychała je sobie jeden po drugim do tej nienasyconej i wiecznie głodnej gęby.

- Nie! Spodziewała się dziecka. I nagle ogarnęła ją apetyt na tego starego, pomarszczonego, gorzkiego ogórka. Podbiegła do straganu chłopa tak szybko, jak tylko pozwalał jej wielki brzuch i zawołała: „Kupię go! Chcę go! Szybko! Daj mi go! Bo manto!” Sprzedawca ucieszył się i zapakował ogórka do torebki. „Proszę! Daję pani tego ogórka w prezencie! - powiedział. - Chcę się go pozbyć”. Ale kobieta nie chciała torebki. „Chcę go natychmiast zjeść! - zawołała. - Niech mi pan natychmiast go da!” W tym momencie stary, pomarszczony ogórek przestraszył się bardzo. Nie spodziewał się, że ktoś okaże tyle entuzjazmu na jego widok. Bo tak naprawdę to ten ogórek bał się ludzi i był bardzo nieśmiały. Bał się również ciemności. A w brzuchu ciężarnej kobiety jest ciemno! Nie miał co do tego cienia wątpliwości.

Tu na chwilę przerwałam opowieść, żeby spotęgować napięcie. Zerknęłam na synka. Z jego dziecinnej, okrągłej twarzyczki znikła rycerska odwaga i śmiałość. W oczach pojawił się lęk: Jak wyjść z opresji? Jak uniknąć śmierci?

- No i co? Mamo, co dalej?!

- Wtedy ogórek otworzył zaciśnięte powieki i rozejrzał się ostrożnie, szukając ratunku.

Mój słuchacz również otworzył oczy, które przed chwilą zamknął.

- No i co, uratował się? Co zobaczył?

- I wtedy ogórek zobaczył, że w pobliżu stoi Greta ze swoim wózcikiem. Dobra, kochana pani Pfefferkorn! Stała niedaleko, na rogu, i rozmawiała z panią Kalbrenner.

Nasz ogórek pomyślał sobie, że woli wskoczyć do wózka Grety niż być zjedzonym przez tę żarłoczną babę. Liczył na to, że nikt go nie zauważy i po chwili będzie mógł w wózku Grety uciec z rynku. Liczył też na to, że Greta ma dzieci, które będą się z nim bawiły, że go polubią, nawet jeśli jest tylko starym, gorzkim i pomarszczonym ogórkiem.

- I co dalej?

Napięcie wzrastało coraz bardziej. Ernie ścisnął mocno swoją dłoń. Na jego twarzy wypisana była wielka i głęboka miłość do starego ogórka.

- Nabrał rozpędu...

O, Ernie, gdybym cię mogła w tym momencie namalować! Otwarta buzia, oczy szeroko rozwarte ze zdziwienia, pełne policzki i szereg białych ząbków! Świeży oddech z buzi pachnący pastą do zębów na rzeńskim, porannym powietrzu.

- No i co dalej? Mamo!

- I skoczył wielkim susem... - ręką zakreśliłam tego susa - ze straganu... - dotknęłam maski stojącego na ulicy samochodu - na kapelusik naszej Grety! Moja dłoń wylądowała na główce synka.

Pełen ulgi śmiech.

- Cha, cha, Greta z ogórkiem na kapeluszu!

Również i mnie wciągnęła historyjka o ogórku.

- Pani Kalbrenner rzekła w tym momencie: „Droga pani Pfefferkorn, pani ma ogórka na kapeluszu! Czyżbym źle widziała?”

- Cha, cha, cha! - Ernie aż ochrypl ze śmiechu. Śmiał się do rozpuku, aż walił dłońmi o uda.

- Ależ droga pani, rzekła na to Greta, to pani nie wie? To ostatni krzyk mody! Wszystkie modne kobiety noszą teraz ogórki na głowie!

Ernie nie posiadał się ze swojego dzieciennego szczęścia.

- Potem Greta wróciła ze swoim wózcikiem do domu, a ogórek kurczowo trzymał się runda jej kapelusza, myśląc jedynie o tym, że jest mu niedobrze, że już cały zzieleniał i że zaraz dostanie torsji...

Emie przestał się śmiać.

- I co? Wyrzygał się na kapelusz Grety?

Do tego nie mogłam dopuścić. Moje dziecko przecież natychmiast opowie tę historię Grecie! A ona potępi mnie za opowiadanie niewychowawczych opowiadań.

- Nie! Ogórek po prostu zeskoczył na ziemię. Na jezdnię! Wolno tak? Bez namysłu? Nie patrząc ani w lewo, ani w prawo?

- Ale ten ogórek był głupi! - Emie pogardliwie wzruszył ramionami.

- W tym właśnie momencie przejeżdżało auto. Ogórek wskoczył na maskę. Ostatkiem sił wdrapał się na szybę i schwycił za wycieraczkę, żeby nie spaść na jezdnię. No, ale jak sądzisz, co zrobił kierowca? No, jak myślisz?

- Uruchomił wycieraczkę. - Emie był okrutny, tak jak tylko dzieci potrafią.

- Tak jest. Ogórek majtał się jeszcze przez chwilę, aż zapisała guma wycieraczek, a nawet puścił sok. Kilka kropli spadło na maskę. Jednak po chwili puścił wycieraczkę i zsunął się z maski na jezdnię, a potem do ścieku. Teraz leży tam i jest martwy.

- Biedny ogórek - skomentował. - Nie miał łatwego życia.

- Są takie ogórki, które mają zawsze pecha.

- Weźmiemy go na cmentarz penatów? - zapytał przejęty jego losem.

- Tak! Świetny pomysł! - pochwaliłam go.

Chwyciliśmy martwego ogórka i uroczystie zanieśliśmy go na cmentarz, by go tam pochować. Na cmentarzu było cichutko. Niesamowicie, ale tak jakoś bezpiecznie.

W listkach szumiał poranny wiatr.

W ciszy i skupieniu minęliśmy wielkie marmurowe płyty, zdobiące główną aleję cmentarną. Tu znaleźli miejsce wiecznego spoczynku biskupi i inni zwierzchnicy Kościoła. Płyty grobów ozdobiono pośmiertnymi maskami ich twarzy.

- Mamusiu, czy to są martwi pacjenci?

- Tak, to są martwi pacjenci. Spoczywają tutaj.

Milczenie pełne skupienia. W główce Erniego kotłowało się od myśli. Pogąrzył się w nich. Wręcz to czułam.

- Popatrz mamusiu, tamten aniołek potrafi fruwać. Czy ja też będę umiał kiedyś fruwać? Czy nauczymy się tego w szkole?

Przecież już potrafisz fruwać, mój mały synku - pomyślałam. - Masz skrzydła, które cię wysoko unoszą. To skrzydła twojej fantazji. Zrobię wszystko, co w mej mocy, byś je jak najdłużej zachował. Przysięgam!

- Chodź, mój skarbie - odezwałam się do synka. - Teraz go pochowamy.

Trzymając się za ręce udaliśmy się w sam róg cmentarza. Właśnie tutaj wykopano świeży grób.

- Czy tutaj niedługo będzie święto śmierci?

- Na pewno. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj jest niedziela - wyjaśniłam.

- Czy możemy to miejsce zająć dla naszego ogórka?

- Nie, kochanie, to miejsce jest już zajęte. I jest dla niego za duże, nie sądzisz?

- Wykopiemy sami miejsce dla niego. Prawdziwy grób dla ogórka - zdecydował.

Szliśmy więc dalej, matka z synem, trzymając się za ręce, by wykopać grób dla martwego ogórka.

Piękny kwietniowy dzień. Połowa miesiąca. Ernstbert, jak zwykle, leżał jeszcze w łóżku, przesypiając swoje życie. Wiem, wiem, do wpół do piątej nad ranem pracował przy komputerze. Wykonywał szalenie ważną i odpowiedzialną pracę, o której oczywiście ja nie miałam pojęcia i która - jeśli mam być szczerą - nic a nic mnie nie obchodziła. Czasem, około drugiej w nocy, przychodził do sypialni na szybki numerek w naszym mał-

żeńskim łożu, co było - przynajmy - bardzo uprzejmym gestem z jego strony. Uzgodniliśmy wspólnie, że nie musi mnie budzić, gdybym już spała. I szczerze mówiąc, stało się tak, że z czasem zawsze głęboko spałam, gdy przychodził o drugiej do sypialni.

Teraz jednak Ernstbert spał, a ja krążyłam z dziećmi po podmiejskim lesie. Trzymając jednego za prawą, a drugiego za lewą rękę prowadziłam ich po lesie i opowiadałam historyjki, które miały chłopców zachęcić do dalszej wędrówki. Te historyjki odgrywały tę samą rolę, co benzyna w aucie. Gdy tylko kończyła się jedna historyjka, uprzytomniali sobie, że są zmęczeni, strasznie głodni i wycieńczeni, padali na najbliższą ławkę, sugerując, bym wezwała helikopter, karetkę pogotowia lub taksówkę. Podpatrzyli to u Ernstberta: „To jest przeszkoda nie do wzięcia, mur, i mam niewłaściwe buty!” W każdym razie nie byli w stanie zrobić ani kroku dalej, nudzili się w tym głupim lesie straszliwie i nie czuli już nóg, no a poza tym nie było żadnej budy z frytkami czy też stacji autobusowej, postoju taksówek, i co ja sobie właściwie myślę, narażając ich na tak forsowny marsz w ulewnym deszczu lub też w okrutnej spiekocie.

Wtedy sięgałam do pudła z matczynymi pomysłami i pytałam, czy znają już historię *O psie, który jeździł koleją*, i który kiedyś niemal odgryzł mi mały palec u ręki, gdy jednocześnie szukaliśmy resztek czekolady w kieszeni płaszcza Grety.

- Nie, nie znamy! Odgryzł ci? Opowiadaj!

- No nie odgryzł tak naprawdę! Ale mało brakowało! Gdy uważnie popatrzycie, zobaczycie jeszcze bliznę po tym ugryzieniu.

Obaj spojrzeli w napięciu na małe ślad na moim małym palcu. O, to tylko nieinteresujące, nieistotne, małe zadraśnięcie! Wciąż nam tu nudno! Wciąż nudno! Nudzimy się ciągle!

- A co z psem?

- Został natychmiast rozstrzelany na podstawie wyroku sądu doraźnego.

- Na-tych-miast? W pociągu?

- Nie! Na pierwszym dworcu, do którego dotarliśmy. To było chyba w Gadderbaum. - Gadderbaum brzmiało groźnie. Koja-

rzyło się z środkami doraźnymi. - Został odprowadzony. W kajdankach...

- Bzdury! Nie ma kajdanków dla psów!

- A są!

- Kajdanki na łapy psie! Na łapy pudli! Są takie!

Bert spoglądał obrażony. Mama wciąż opowiada takie głupoty, a ja wciąż się nudzę. Ernie zainteresował się jednak moją opowieścią.

- I naprawdę go rozstrzelali? Pod drzewem w Gadderbaum?

- No, a potem podjechał zielony wóz policyjny, a w środku siedziało czterech uzbrojonych policjantów...

- Bzdury! Mamo, robisz nas w konia! - Bert nie był zainteresowany wysłuchiowaniem takich nonsensów. Ale obaj wstali. Obaj! I ruszyli przed siebie. I w taki oto sposób udało się nam przejść co najmniej siedemdziesiąt metrów.

- Mogę wam opowiedzieć jeszcze inną historię - zaproponowałam. - Na przykład historię o niedźwiedziu polarnym. Ten niedźwiedź zaatakował brata Arnolda Kesslera, gdy ten siedział w swoim igloo i z kawałków lodu gotował zupkę w proszku.

Tę historię opowiedział mi Justus. Postanowiłam przerobić ją na potrzeby moich synów i w sympatyczny sposób im ją przekazać. Była to zabawna historyjka o tym, jak Arnold boso błąka się po lodzie, nigdzie nie ma budy z frytkami, ani przystanku autobusowego, usiłuje nawiązać łączność radiową z yeti nadając mu sygnał SOS, podczas gdy jego brat Eckhard walczy w igloo z niedźwiedziem polarnym, który też ma wielki apetyt na zupkę z torebki, a następnie obaj zabijają niedźwiedzia polarnego, jego wnętrzności wrzucają do garnka z zupą z torebki, a sami otulają się futrem z ubitego misia i grzeją się przy ognisku.

Szliśmy więc tak dalej, przed siebie, trzymając się za ręce, a słońce kwietniowe przygrzewało mocno. Ptaki śpiewały, drzewa pokrywała świeża, delikatna zieleń, łabędzie sunęły majestatycznie po jeziorze, kolorowe łódki powoli przesuwały się po wodzie, a ja myślałam o Ernstbercie, który przesyiał swoje życie. Przesyiał przebudzenie wiosny i przebudzenie swoich dzieci. Od dawna już nie litowałam się nad nim, ponieważ on

niczego zmienić nie chciał. Dla Ernstberła piesze wędrówki były jedną z najbardziej zbytecznych rzeczy na świecie. Tak samo zbędną, jak oglądanie serialu *Nasz maty szpitalik*, sprzątanie ze stołu pustej filiżanki po kawie lub uzupełnienie papieru toaletowego w WC, gdy zużyło się ostatni kawałek papieru. Zbęd-ne i już!

Zawsze na horyzoncie pojawiały się jakieś przeszkody. Zawsze. Tu są przeszkody, i tam są przeszkody, mur, po prostu mur, a ja nie mam odpowiednich butów do spaceru po lesie...

To prawda. Przeszkody rzeczywiście istniały.

Dotarłam z chłopcami do starej szopy, w którym kiedyś zimowały łódki, a teraz sprzedawano kiełbaski, lody i herbatę z cytryną i gdzie można było wypożyczyć stary, rozlatujący się rower lub sprzęt wodny. Bez Arnolda i jego brata Eckharda nigdy byśmy tam nie dotarli. W myślach pozdrawiałam ich jak najserdeczniej, myśląc ciepło o igloo na biegunie północnym, gdzie obaj siedzieli z odmrożonymi nogami, grzejąc się futrem z misia i zjadając się zupką z torebki, gotowaną zresztą na wodzie z roztopionego lodu.

Właśnie wtedy, gdy usiedliśmy na zniszczonej ławce obok przystani, gdzie cumowano łódki, zaczęło padać. Wnieśliśmy ławkę pod mocno już sfatygowany daszek z blachy falistej i przytuliliśmy się do siebie. W wyobraźni przykryci byliśmy futrem z misia i obserwowaliśmy kaczki na jeziorku, które tak naprawdę były zaczarowanymi niedźwiedziami polarnymi, pływającymi sobie w wiosennym deszczu i nurkującymi na dno jeziora w poszukiwaniu torebek z zupkami w proszku. W łódkach otworzyły się parasole. To byli ludzie śniegowi w jaskiniach z okresu kamienia łupanego. Wszystko wyglądało bardzo tajemniczo i romantycznie.

Zamówiliśmy kiełbaski z musztardą i wpatrywaliśmy się w sfalowaną wodę i ludzi, którzy, chowając się pod parasolami, szukali schronienia przed deszczem. Czuliśmy się bosko.

- Dlaczego ten głupi tata nie przyszedł tutaj razem z nami? - buntował się Ernie. - Wciąż leży w łóżku i śpi.

Kilka osób, które również schroniło się pod daszkiem szopy, popatrzyło na nas z litością. Biedna kobieta, nudzi się tutaj

z dziećmi, mąż nigdy się z nimi nie bawi, a potomstwo na jej głowie!

- Ernie i Berty! - szepnęłam. - Chcę wam zdradzić pewną tajemnicę, ale nie wolno wam nikomu o tym mówić!

Bert zaczął przewracać oczami. Znów ta mama coś wymyśliła, jakieś kłamstwa, jakieś głupoty! Całkowicie zbędne. No, ale niech będzie! Ciekawość wzięła górę.

Obaj przysunęli się do mnie. Ich pyszczydła, umazane musztardą, na chwilę przestały przeżuwać kiełbaski. Oczy wielkie, żądne sensacji.

- Ten miejski las jest nasz! Tata go kupił dla nas! - szeptałam konspiracyjnym tonem. - I jezioro, i łądki, łąbędzie i kaczki...

- Wszystko, mamó? Wszystko? Nawet ludzie?

- Ciiiicho! Tego nikt nie może usłyszeć! Nie, ludzi tata nie kupił, oczywiście, że nie, ale oni wszyscy płacą tacie za wstęp do lasu miejskiego!

- Serio?!

- Tak! Tata siedzi teraz w domu, w łóżku, i kasuje od ludzi, którzy się udają do lasu miejskiego, opłaty za wstęp. Stoją w kolejce w naszym ogródku, ale o tym ani mru-mru! Nikomu! Tylko nam wolno tu wchodzić bezpłatnie, bo las jest nasz!

- Co za bzdury! - odezwał się Bert. - Las miejski jest miejscem publicznym, dostępnym dla zwiedzających. Za wejście na teren lasu nie pobiera się żadnych opłat. Las jest utrzymywany z podatków ludzi. Wiem to na pewno! - Ponownie zaczął przeżuwać kiełbasę z musztardą.

- To nieprawda! - zawołał Ernie z triumfem w głosie. - Mama ma rację! Tataś kupił dla nas miejski las.

Jacyś ludzie, którzy stali obok nas, spoglądali na nas z rozbawieniem. Bert aż wił się, tak był zażenowany z powodu naiwności brata. Wzięłam Erniego w ramiona i szepnęłam mu do ucha.

- Tata całą noc sadił tu drzewa i rośliny, kwiaty i trawę, potem pomalował łądzie, a na koniec postawił tutaj budę, żebyśmy mieli gdzie siedzieć, gdy będzie padał deszcz. Ale... cichutko! To jest tajemnica! Bo jak się wszyscy dowiedzą, że mamy las, to będą chcieli, żeby tata im też go wyczarował. A tata musi wypocząć po bardzo wyczerpującej nocy!

Ernie stał z policzka łyzy wściekłości.

- Pozwolimy wszystkim tutaj przychodzić - zdecydował szybko. - Ale tylko dzisiaj, wyjątkowo! Żeby się nie nudzili w domu.

Bert na to:

- W domu ludzie wcale nie muszą się nudzić. Bo w domu ludzie mają komputer. A w lesie nie ma komputera!

Według scenariusza pan profesor doktor Frank Bornheimer i pani doktor Anita Bach mieli się bliżej poznać podczas letnich majowych nocy. Odpowiadało nam to. Justus i ja też zbliżyliśmy się do siebie bardzo. Już się nie nudziłam.

Zemsta laleczki, część trzecia.

Justus był w gruncie rzeczy dobrym, prostym chłopcem, nieskomplikowanym człowiekiem, z którym można było konie kraść i godzinami wędrować. Miał tylko jedną paskudną cechę. Uwielbiał się chwalić i błagować. Ale moją słabością były wędrówki i długie spacerki. Z Ernstbertem nie sposób było przejść stu metrów. Rozdrażniony i zły od razu szukał taksówki w myśl zasady: tu jest przeszkoda nie do wzięcia, mur, a ja nie mam odpowiednich butów. Z Justusem sprawy się miały inaczej. Justus był gotów wędrować o każdej porze roku i przy każdej pogodzie. Jego żółta kurteczka, w kolorze kupki niemowlęcia, była odpowiednia na każdą pogodę. Justus był świetnym towarzyszem pieszych wędrówek, bo był twardym facetem, który nigdy nie musiał odpoczywać na ławce, gdyż nagle pojawiła się jakaś przeszkoda - mur, niewłaściwe buty - i nigdy nie szukał restauracji, zanim zamkną kuchnię, ponieważ poczuł się całkowicie niedocukrzony.

Ernstbert zwykł ruszać się energicznie i przyspieszać kroku, gdy gdzieś na horyzoncie wypatrzył knajpkę. Wtedy niemal wbiegał do lokalu, uprzednio przeczytawszy wystawione w witrynie menu. Cały czas zerkał na zegarek i decydował się na złożenie zamówienia w ostatnim momencie, czyli w chwili, kiedy w dobrym, mieszczkańskim lokalu gastronomicznym już zamknięto kuchnię. Na dodatek była reprimenda.

Justus nigdy nie był głodny. Na ogół w kieszeni kurtki miał bułkę z serem, którą wspólnie zjadaliśmy, spacerując wzdłuż Renu. W kieszeni swojej żółtej kurteczki, w kolorze kupki niemowlęcia, nosił wszystko, co się może przydać w drodze. Czasem wyczarowywał nawet składaną parasolkę, jeśli zachodziła taka potrzeba. Wtedy trzymał ją, by mnie osłonić przed deszczem. Chodziliśmy codziennie ramię w ramię po łąkach nad Renem i coraz bardziej się do siebie zbliżaliśmy. Nauczylismy się rozmawiać swobodnie o najbardziej prozaicznych sprawach, jak zażyła małżeńska para. I pomijając mój plan zemsty, muszę przyznać, że naprawdę go polubiłam.

Kiedyś musiałam się zaopatrzyć jeszcze przed naszą wędrowką w pewne akcesoria, które są kobiecie od czasu do czasu niezbędne. Dyskretnie zniknęłam w aptecce. Justus wszedł jednak za mną i jak prawdziwy światowiec ze spokojem przyglądał się, jak jego uwielbiana towarzyszka wędrowek kupuje wielką paczkę tamponów. Byłam bardzo zażenowana. Pani doktor Anita Bach NIGDY bowiem okresu nie miała! Nigdy! Wzrokiem błagałam aptekarza o nieprzezroczystą torebkę, ale Justus zapłacił za tampony, zabrał je i schował w swojej przepastnej kieszeni. Zażartował jeszcze, roześmiał się basem, podał mi ramię i otworzył przede mną drzwi. Ruszyliśmy więc w drogę. Tak, ten układ nie był skomplikowany. W tym momencie polubiłam go tak jak nigdy przedtem i nigdy potem.

Wieczorem, przed kamerami, byliśmy uroczą parą zakochanych, jakiej rzesza pięciu milionów emerytów, wspartych na poduszkach własnej roboty, na ekranach telewizorów jeszcze nie widziała. Ani jeden pinczerek nie był suchy, tak się lały łzy.

Ona, to znaczy błada niczym alabaster doktor Anita Bach, kobieta dobra, uczesana w ponadczasowy, klasyczny koczek, w żółtej sukieneczce bez rękawów, z odsłoniętymi ramionami, owiana delikatnym zapachem perfum Diora. On, mądry, dobry profesor, w leżącym bez zarzutu smokingu, trzymał w swoich silnych ramionach spragnioną opieki kobietkę. I tak krążyliśmy po parkiecie w rytm urokliwego walca na trzy czwarte. Przygrywała nam orkiestra rozrywkowa, aż kapało od lukru z cy-

namonem i wanilią. Justus był dobrym tancerzem. W tańcach był dobry!

Ernstbert nie tańczył nigdy. Po pierwsze, nigdy nie miał właściwych butów do tańca, po drugie, wyrastały przed nim same przeszkody, zwłaszcza mur, po trzecie, czuł się niedocukrzony, a dobre niemieckie lokale właśnie zamykano! A sam taniec? Nie ma nic bardziej zbędnego! Obok oczywiście oglądania *Naszego małego szpitalika* i chodzenia na spacer!

Ale Justus! Profesor doktor Frank Bornheimer i ja!

Na ekranie pachniało wręcz wiosną, bezchmurnym, rozgwieżdżonym niebem i subtelną miłością dwojga dojrzałych ludzi, którzy byli dla siebie przeznaczeni.

- Cudownie tańczysz! - szeptała Anita, alias Charlotta, a profesor Bornheimer, alias Justus Maria, z właściwą sobie skromnością odpowiadał:

- Wiem. Umiem dobrze tańczyć. Potrafię naprawdę dobrze tańczyć.

- Czy jest coś, czego nie potrafisz? - zapytałam go kiedyś, gdy prywatnie spędzaliśmy razem czas.

- Ależ oczywiście! Nie potrafię mnóstwa rzeczy! - odpowiedział, zachwycony sam sobą.

- Chciałam cię zapytać, jakiej zalety ci brakuje? Oprócz, oczywiście, skromności! - wyjaśniłam. - Czy jest coś w twoim życiu, czego nie potrafisz?!

Justus zastanowił się, zwlekając z odpowiedzią.

- JESTEM skromny! - rzekł wreszcie, nie wahając się. - Jestem nawet bardzo skromny. Jestem najbardziej skromnym aktorem na świecie. Czy grałbym w tym serialu, mając takie kwalifikacje, gdyby było inaczej?

- Nie, oczywiście, że nie grałbyś! - szepnęłam. - Robisz to z powodu Krystynki.

Co za dobry człowiek z niego! Mogłabym go uściskać i ucałować.

- No, widzisz, jestem skromny. Jestem nawet bardzo skromny.

- Zgadzam się z tobą w pełni, jeśli chodzi o twoją żółtą kurteczkę w kolorze kupki niemowlęcia! - zakpiłam sobie z nie-

go. - Kurteczka robi skromne wrażenie. Czy nie zamierzasz kupić sobie czegoś nowego?

- Nie! - padła zdecydowana odpowiedź. - Jestem światowcem i nie muszę aż tak dobrze prezentować się na zewnątrz! Wiem, jak działam na ludzi.

Westchnęłam zrezygnowana i zamilkłam. Justusie, dlaczego jesteś tak bardzo zapatrzony w siebie i zachwycony sobą?! Kto sprawił, że jesteś tak zadurzony w sobie?! Lubię cię bardzo, bo wyczuwam w tobie dobrego człowieka! Ja to czuję! Jesteś czasem tak wzruszający, bo tak łatwo cię zranić i tak łatwo cię przejrzeć! Masz się za wielkiego aktora. Ale nim nie jesteś! Ani przed kamerami, ani w życiu! Nikogo nie jesteś w stanie omamić swoim blagierstwem! Nikt się nie da zwieść! Nawet statysci! Oni zachwyceni są tobą co najwyżej pół dnia, potem czar mija! Ludzie się z ciebie za twoimi plecami podśmiewują. Nazywają cię Justus Maria Wspaniały. Streitacker Chwalipięta mówią na ciebie! Po co ci to wszystko? Naprawdę jesteś przystojnym facetem. Fajny z ciebie kumpel, przyjaciel i kolega. Z tobą nigdy się nie nudzę. Poza momentami, kiedy się chwalisz. Wtedy ziewać mi się chce! Tak bardzo ziewać mi się chce, że grozi mi chroniczne zapalenie podniebienia miękkiego. Wtedy mam ochotę nakleić ci na kurteczkę twoją żółtą, w kolorze kupki niemowlęcia, naklejkę z hasłem: „Lubię blagować!”

A więc pytam raz jeszcze. Dlaczego jesteś takim fanfaronem? Komu chcesz - oprócz siebie samego - zaimponować? Czy mama popełniła jakiś błąd wychowawczy, zabierając ci za wcześniej nocnik? A może tata ci powiedział, że jesteś fujarą prawdziwym? A może w wieku lat czternastu wjechałeś traktorem do dołu z gnojówką? Albo zrywając jabłka, spadłeś z drabiny? A może, paląc po kryjomu papierosy, podpaliłeś stodołę? Jakaż to tajemnica z twego dzieciństwa kryje się za tym, że musisz się wiecznie chwalić? No, przyznaj się! Co to było, powiedz, Justusie!

Wszystko na nic. Justus Maria Streitacker miał właśnie taki - a nie inny - defekt. Nie było na to rady. Ale poza tym był w porządku. Pod prawie każdym względem.

Postanowiłam zmienić temat.

- W niedzielę sama zbudowałam nową piaskownicę dla dzieci! Kupiłam ją w elementach w Ikea - zakomunikowałam mu z dumą. - Sama. Prawie sama.

No, widzisz. A więc i ja mogę czymś zaimponować mojemu towarzyszkowi pieszych wycieczek. Sama własnoręcznie zbudowałam piaskownicę. Własnymi rękoma! Z moim wskaźnikiem inteligencji, jakże nie wykorzystanej i stłamszonej! Ernstbert, stojąc w oknie, prawił mi od czasu do czasu kazanie, udzielając praktycznych wskazówek. A to, że ja, osoba wyemancypowana, bez trudu złożę taką piaskownicę, więc nie powinnam się bać tej roboty! Instrukcja montażu jest skierowana do osób przeciętnie inteligentnych, twierdził. A potem, stojąc nadal w oknie sypialni, czytał mi ją na głos. No i w rzeczy samej udało mi się ją złożyć. Była to jedna z najszczęśliwszych niedziel mego życia. Z radości najchętniej przytuliłabym do piersi kolejno dzieci, Ernstberta, piaskownicę oraz instrukcję montażu!

Czy postąpiłam słusznie opowiadając przyjacielowi, towarzyszkowi pieszych wędrówek, o swoim sukcesie? Czy mogłam liczyć na jego poparcie i entuzjazm? JEDEN, JEDYNY RAZ!

Co mi odpowiedział?

- Ja też kiedyś zbudowałem sam piaskownicę dla dzieci! Nie taką małą, z gotowych elementów i z instrukcją obsługi! Lecz taką z prawdziwego drewna... z drzew, które sam ściałem w lesie! (Tu śmiech z zachwytem nad samym sobą!) Po prostu zbudowałem z głowy! I używając do tego mięśni, oczywiście! Cały dzień rąbałem drzewa! Siekierą! Potem popiłowałem je na deski, a następnie z desek zrobiłem piaskownicę! Miała sześć metrów kwadratowych! Półtorej tony piasku przywiozłem wywrotką! Wszyscy moi kumple z doliny pomagali mi przy tym! A potem wypiliśmy razem trzy skrzynki piwa!

Przełknęłam tę kluskę, która mi utkwiała w gardle, i przez moment wyglądałam jak siostra Berthilda, ta od nocnych dyżurów, kiedy znowu boi się ciemności.

Justus uzupełniał swoją relację, śmiejąc się donośnie, aż mnie rozbolał żołądek. Napiłam się gorzkiej wódki żołądkówki. Od tej pory przestałam lubić moją nijaką piaskownicę, złożoną z gotowych elementów kupionych w Ikea. Była to zwyczajna, brzyd-

ka piaskownica, jaką mają wszyscy, a dzieci siedziały na ławeczce i dalej się nudziły. Prawdziwa ofiara losu ze mnie. Nic nie umiałam. Laleczka, tylko laleczka.

Po krótkiej, a twórczej przerwie odczekałam skromnie, a potem powiedziałam coś, co wydawało mi się nie do przebicia:

- W sobotę byłam z dziećmi u Fanny!

Nic. Cisza. Chwalipięta milczy.

- Ma szalonego męża, który jest Syryjczykiem i ma na imię Achmed.

Chwalipięta nadal milczy.

- Całe popołudnie bawił się z dziećmi jak szalony! Godzi-nami! Zawinał je w dywan, potem wsadził do pralki, rzucał w nie papierem toaletowym... Robił to wszystko naprawdę z za-pałem! Widać było, że to lubi!

Najpóźniej w tym momencie powinien załapać się na hasło: „Ja też zawijam swoje dzieci w dywan! Ja też rzucam w nie papierem toaletowym i sianem, i knedlami z wątróbką! Nie tylko w moje dzieci! We wszystkie dzieci z całej wioski! W ich mamusie również!”

Jednak Justus nadal milczał. Co się stało?

- Wypiłyśmy razem spokojnie herbatę, a żadne z sześciorga dzieci nam w tym nie przeszkodziło. Ani razu! Słuchaj, co z tobą? Czy ty w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię?

Wreszcie padło hasło. Pyszałek zaatakował. Bez pardonu.

- Oczywiście, że słucham! Jestem świetnym słuchaczem! Jestem fantastycznym słuchaczem! Jestem najlepszym słuchaczem pod słońcem! Słuchanie jest bowiem sztuką! Tak, ja potrafię słuchać. Dziś nie ma już tak dobrych słuchaczy. Ja jednak potrafię słuchać. Powinienem zostać księdzem. Wszyscy mieszkańcy naszej doliny błagali mnie, bym został księdzem! Zawsze zwierzali mi się ze swoich grzechów, bo potrafię tak wspaniale słuchać. W konfesjonale potrafię słuchać najlepiej.

Aż się zatrzymałam. Chwalipięto! Dostaniesz zaraz w łeb! I kopa w tyłek! Z rozbiegu!

- Cholera! - wrzasnęłam. - Przestań się wreszcie ciągle chwalić! Przestań błagować! Nie mogę już tego słuchać! Nudzę się nieprzytomnie, słuchając tych bajek!

Blagier zatrzymał się, wielce zdziwiony. Bezradnie opuścił rękę. Kapłon opuścił skrzydła. Takie żółte, w kolorze kupki niemowlęcia.

- Co zrobiłem nie tak? O co ci chodzi?!

- Posłuchaj uważnie, Justusie! - powiedziałam i wzięłam go za rękę. - Chcę z tobą zawrzeć umowę. W moim towarzystwie nie musisz błagować. Lubię cię i bez tego!

Oczekiwałam, iż zastosuje jakiś unik, mówiąc na przykład, że nigdy nie blaguje.

Ale Justus popatrzył na mnie niczym wierny pies na swego pana i rzeki:

- Błagowałem? Naprawdę? Nie chciałem! Przepraszam cię!

Jak to zabrzmiało! Wzruszająco i tak niewinnie! Boże, jakiz on słodki! A ten jego południowotyrolski akcent! No i te niewinne, pełne naiwności spojrzenie! Nie grał. Był sobą. Wreszcie był sobą. I mówił swoim naturalnym głosem! A nie tym sztucznym basem! Nie roześmiał się donośnie! Był po prostu sobą. Lubiłam go, do diaska, lubiłam go bardzo. Bo właśnie był taki, a nie inny. Lubiłam go wraz z tym nałogiem. Lubiłam go za ten nałóg. Bo zawsze współczułam upośledzonym. Dlatego byłam wiarygodna, grając rolę doktor Anity Bach.

- Chwalisz się i blagujesz bez umiaru! Jak dziecko jakieś! Aż wstyd! Opanuj się! - powiedziałam rozgniewana. - Daj sobie z tym spokój. Przecież naprawdę nie potrzebujesz mydlić ludziom oczu!

- To się już nie powtórzy! - obiecał, a w jego głosie dało się wyczuć skruchę.

- A jeśli się powtórzy?

- Możesz mi dać kopniaka w tyłek!

- Słowo! - odparłam.

- Dobrze, kopnij mnie, zasłużyłem sobie na to!

- Chciałbyś! O nie, mój drogi! Zostaniesz ukarany następnym razem!

- Gniewasz się na mnie?

- Niestety, nie gniewam się!

Jak mogłam się gniewać na tego biednego Justusa Marię Streitackera w żółtej kurteczce w kolorze kupki niemowlęcia,

okazującego skruczę? Przecież w gruncie rzeczy porządny i dobry chłop z niego! Prawdziwe dziecko natury!

- Zawsze jesteś taka wesoła! - powiedział. - Dziś cię widziałem po raz pierwszy rozgniewaną.

- W porządeczku! Mama już się nie gniewa! - odpowiedziałam.

Nie przerwaliśmy naszej wędrowki. Teraz on uśmiechnął się do mnie. Nareszcie szczerze. A ja uśmiechnęłam się do niego. Nie mogłam się długo gniewać na Justusa Marię Streitackera! Za żadne pieniądze!

No, weź się w garść i raduj się życiem, dobry człowiecze! - pomyślałam, starając się o pojednanie z nim i z resztą świata. - Nazrywajmy kwiatów przydrożnych i ułożmy z nich bukiety! - Tak też zrobiliśmy.

Mój pomysł związany z monodramem powoli nabierał wyraźnych kształtów. Siedząc na skraju kortu tenisowego, na boisku do gry w hokeja, w poczekalni pływalni, spacerując wokół szkoły muzycznej, czy też wysiadując przed drzwiami szkoły baletowej, wymyślałam coraz to nowe sceny do mojej sztuki. Sceny, które chciałam sama zagrać.

Czarny i biały pieprz - tak brzmiał jej tytuł.

Monolog skierowany do mojego syna Erniego był już gotowy. Ta część miała otwierać mój występ. Napisałam mowę dziękczynną matki skierowaną do sześciolatniego synka, który wyruszy z nią w świat, by na skrzydłach fantazji wynieść ją ponad chmury, a więc tam, gdzie wolność panuje bezgraniczna.

Monolog udał mi się bardzo. Jak dotąd byłam zadowolona ze swojej pracy.

Następną mowę, utrzymaną w całkiem innym tonie, skierowałam do Ernstberta.

Był to monolog kobiety radosnej, kochającej barwne życie, skierowany do męża, człowieka poważnego, odbierającego świat w barwach czarno-białych, nie spełniającego jej emocjonalnych oczekiwań.

Dlaczego żyjesz obok? Dlaczego nie żyjesz ze mną? Wtedy,

gdy się poznaliśmy, powiedziałeś mi, że chcesz ze mną spędzić życie. Uwierzyłam ci. Wysłałam za ciebie za męż. Teraz jednak żyjesz gdzieś obok. Żyjesz wśród komputerów, drukarek, dyktafonów, swego wypucowanego na glans mercedesa z bezszelestnie otwierającymi się szybami, wśród pilotów i instrukcji obsługi, które rozkładasz wokół toalety, gdy szukasz odprężenia... Nie żyjesz ze mną. Nie żyjesz również swoim życiem. Kim w ogóle jesteś? Pilotem do włączania i wyłączania sprzętu elektronicznego? Instruktorem obsługi? Programistą, planistą, osobnikiem wypełniającym rubryki w kalendarzu i terminarzu? Ale czy ty żyjesz?! Czy wiesz, jaką mamy teraz porę roku? Czy wiesz, w co się bawią twoje dzieci? Znasz ich przyjaciół? Kiedy ostatnio wdrapałeś się z nimi w poszukiwaniu chrabąszczy na drzewo? Jeszcze nigdy! Jeszcze nigdy w życiu! One nie znają swojego ojca! Oceniają cię według tego, ile zarabiasz pieniędzy, jakim jeździsz samochodem, jakie im przywozisz prezenty i ile mamy aparatów telefonicznych w domu! Jedenaście aparatów telefonicznych! Siedem telewizorów! Osiem magnetowidów! Dwa faksy! Pięć komputerów! Dwie drukarki laserowe! Jeden domofon z dziewięcioma z przyłączami! Automat do otwierania drzwi! Ale brak TATY! Otwierasz im drzwi, kiedy wracając z placu zabaw, naciskając na guzik. I nawet nie musisz podnieść się ze skórzanego, drogiego fotela. A co z czasem? Swego czasu nigdy im nie dałeś w prezencie! Czy kiedykolwiek usiadłeś z nimi, nie czytając prasy fachowej? Czy kiedykolwiek wsłuchałeś się w ich słowa? Czy kiedykolwiek wolno im było wejść do twojego gabinetu, by nie usłyszeć twego okrzyku: "Ratunku!" Czy wsunąłeś im kiedykolwiek do komputera dyskietkę z grammi komputerowymi? Czy puszczałeś z nimi latawce albo zbudowałeś chatkę z gałęzi? Czy biegałeś obok rowerka, gdy uczyły się jeździć? Czy kiedykolwiek wyszedłeś z nimi na świeże powietrze? Ty z nimi! Beze mnie? Jeszcze nigdy! W ciągu tych sześciu lat ani razu! Same przeszkody... - mur, „a zresztą nie mam odpowiednich butów”!!! Czy kiedykolwiek namalowałeś z nimi cokolwiek? Czy kiedykolwiek urządziłeś z nimi pogrzeb martwemu ogórkowi? Dlaczego nie? To, co odczuwają wraz ze swoją mamą, to nie dająca się w żaden spo-

sób opanować potrzeba przebywania w towarzystwie innych mężczyzn.

To bardzo bolesna wyrwa w życiu, droga głowo rodziny!

Czy kiedykolwiek opowiedziałeś im coś o swoim dzieciństwie, gdy już tak się zdarzyło, że byłeś z nimi sam. Przez przeoczenie. Gdy w pobliżu nie było ani Grety, ani mnie. Czy kiedykolwiek zamilkł wtedy telewizor? Do wszystkiego służy ci pilot. Na każdą okazję, na każde pół godziny znajdzie się kasetka wideo. Twój sposób na uporanie się i z nimi i z czasem. Dajesz im gry komputerowe i zdalnie sterowane auta, żeby cię tylko zostawili w spokoju. Za pomocą pilota sterujesz całym światem wokół siebie. I pozwalasz, żeby tobą sterowała siła, z którą ja nie chcę mieć nic wspólnego. Siła, która nie pozwala ci żyć. Czym jest dla ciebie życie? Terminami, pieniędzmi, techniką, sukcesem. Wieloma guzikami, które możesz wcisnąć. Jakże się mylisz! Życie jest o wiele bogatsze.

Czy wiesz, czy rozumiesz, ile przez ciebie tracą dzieci? Czy masz świadomość, ile sam tracisz? Drobne wydarzenia życia codziennego są czasem tak wzruszające. Martwe ogórki stają się czymś porywającym! Na przykład!

Czy wybrałeś się kiedyś na spacer w deszczu? Czy brodziłeś kiedyś w kaloszach po kałużach, wdychając ostre powietrze? Nie! Jeśli już się zdarzy, że staniesz w strugach deszczu, co zrobisz? Wezwiesz taksówkę! Z komórki! Zawsze masz ją przy sobie. W kieszeni. Mężczyźni tacy jak ty nie stoją na deszczu. Mężczyźni tacy jak ty sami decydują o pogodzie. Mężczyźni tacy jak ty nie uznają pogody. Mężczyźni tacy jak ty są niezależni od pogody. Mężczyźni tacy jak ty znieśli pogodę.

A przecież deszcz jest czymś tak cudownym!

Czy ty w ogóle chadzasz pieszo? Nie! Zresztą, kto jeszcze chadza pieszo? Zaniedbujesz się! Zaniedbujesz swoje życie! Pewnego dnia umrzesz. Będziesz trupem. Z przesytu. Umrzesz przez obojętność. Umrzesz przez nadużywanie pilota.

Stanę wtedy nad twoim grobem. A wieko od trumny pozostanie zamknięte.

Bo nie będę umiała się nim posługiwać!

- Mamusiu, zobacz, co znaleźliśmy!

Dwie tłuste łapki otwierały plecaczek, niecierpliwie szarpiąc zamek. Gwałtowne wywalanie wszystkiego. Na pierwszy ogień idzie ekologiczny pojemniczek na kanapki. Dalej nadgryziony chleb z serem, ogryzek, żółta folia po jajku z niespodzianką.

- Patrz! Zasuszona myszka!

Ernie trzyma zasuszoną myszkę za ogon i majta nią przed moim nosem.

- Czy to było w jajku z niespodzianką?

- NIE! Cha, cha, cha! Martwa myszka w jajku z niespodzianką! - Obaj pękają ze śmiechu. Że też ta mama jest taka głupiutka! Bawią się bosko. Chrząknęłam zażenowana.

- To jest tampon. Gdzie go znaleźliście?

- W lasku miejskim. W krzakach. Co to jest tampon?

- Kobiety używają czasem tamponów, kiedy mają okres.

- Ja też mam okres! - zatriumfował Ernie.

Natychmiast usłyszałam chwającego się Justusa: „Ja też mam okres. W tym jestem dobry! Gdy mam swój okres, a jestem w domu, u siebie, w swojej dolinie tyrolskiej, cała gmina obchodzi załobę!”

Zachichotałam.

- Ale tamponów nigdy nie potrzebuję! - dodał Ernie szybko.

- Kobiety muszą przecież mieć coś, co należy wyłącznie do nich - powiedziałam.

- Że też kobiety muszą mieć wszystko! - mruknął niezadowolony Bert. - Okres! Też mi coś! Co za okres!? Co mam na to powiedzieć? Mnie się też nie zawsze chce chodzić do szkoły!

Pogłaskałam go czule po jego zjeżonej, miękkiej czuprynie.

- Czy to jest aż tak okropne?

- Masz zadzwonić do pana Schmitza-Nittenwirma! Kazał!

Aha, a więc o to chodzi! W każdym razie uwolniło to mnie od dalszego komentowania znaleziska, jakim była martwa myszka w jajku z niespodzianką.

- Co przeskrobaliście?

- W szkole był dentysta. Dlatego.

- No, dobrze, zadzwonię. Wyrzucie martwą myszkę do kubła

na odpadki, umyjecie ręce i włóźcie pudełka na kanapki do zlewozmywaka, potem je umyję.

- A ja myślałem, że to nie martwa myszka, a tampon! - krzyknął Bert już w bardzo złym nastroju.

- Słuchaj, Bert, nie wyrzucajmy myszki, bo nie zobaczy jej Greta - wtrącił się Ernie ze swoją propozycją.

- Przypuszczam, że Greta nie będzie zainteresowana oglądaniem martwej myszki. - Chciałam dać chłopcom to do przemyślenia.

- TAMPONU! - wrzasnął Bert. - Greta nie będzie zainteresowana oglądaniem TAMPONU! Dlaczego nie? Bo sama ma całe pudło takich tamponów! W szafie, w łazience! Tysiące sztuk!

- Ale zapakowane! Bez ogonka! To się nie liczy.

- W takim razie pokażemy ją panu nauczycielowi! On nie ma czegoś takiego! Ani jednej sztuki!

- Uspokójcie się! - wtrąciłam. - Są rzeczy, które mają jedynie kobiety. Musicie się z tym pogodzić. Wiem, że to dla was okropne.

- Możecie sobie zatrzymać te idiotyczne martwe myszy! - orzekł Ernie. - Co jest dzisiaj na obiad?

- Szpinak gotowany przez Gretę.

- Tego brakowało! - Bert dęsał się. - W tym domu nigdy nie ma nic do jedzenia!! Wciąż SZPINAK! I SZPINAK!

- W tym domu kiedyś umrzemy z głodu - dodał Ernie.

- NIGDY nie ma nic do jedzenia! - Bert nie ustępował. - Tylko szpinak i ryba! Jak w więzieniu!

- Nikt tutaj nie zmusza nikogo do jedzenia! - wyjaśniłam.

- W takim razie idziemy się pobawić.

- Ale nie martwą myszką!

- Nie! To tylko dla dziewczyn!

Drzwi zamknęły się za nimi, a ja ponownie pomyślałam, że kocham ich bardzo. Zwłaszcza gdy śpią.

- Halo? Pan Schmitz-Nittenwirm? Pfeffer przy telefonie. Miałam do pana zadzwonić?

- Dzieci dobry! Dobrze, że zadzwoniła pani od razu. Jest pewna sprawa, którą chciałbym z panią omówić...

- Ta sprawa z martwą myszką, to tylko żart, proszę pana, dzieci nie mają pojęcia, co to takiego, do czego służy taki tampon i jakie ma znaczenie w polityce światowej... gdy tak myślę o księciu Walii, Karolu.... i o jego ukochanej, tej babie grającej w polo...

- Co za tampon?

- Martwa myszka! W jajku z niespodzianką!

- Nie o to chodzi! W szkole przeprowadzono rutynowe, kontrolne badania stanu uzębienia u dzieci. Obaj mają dziurki spowodowane próchnicą.

Roześmiałam się z ulgą!

- O, to przez te gumowe misie, którymi pan ich karmi na basenie!

Pan nauczyciel milczał, wyraźnie poirytowany. O rety, strześliłam gafę.

- Proszę pana, pan jest wspaniałym nauczycielem i pedagogiem. Od dawna chciałam to panu powiedzieć. Niestety, nigdy nie było ku temu okazji. Wszystko, co pan robi dla dzieci, jest bez zarzutu. Chłopcy są wychowywani bez ojca i bardzo potrzebują męskiej ręki, nawet jeśli karmi ich ona gumowymi misiami. Oczywiście, że pójdę z nimi do dentysty! - Wszystko to powiedziałam bardzo uprzejmie, by go udobruchać.

- Znam doskonałego dentystę, mogę go pani polecić. Moja matka chadza do niego regularnie i jest bardzo zadowolona. Gabinet ma w Suelz.

Gabinet figur woskowych w Suelz - pomyślałam. Cha, cha, cha! - to tylko taki żart. Justus roześmiałby się głośno, gdybym w jego towarzystwie odezwała się w ten sposób.

- Jak się nazywa?

- Geldmacher", Arwed. Podać pani telefon?

- Poproszę! Chwileczkę, muszę wziąć coś do pisania.

Pan Schmitz-Nittenwirm podyktował mi numer.

Geldmacher - dusigrosz (groszorób).

- Dziękuję. Doktor Arwed Geldmacher. Dobre nazwisko jak na dentystę, nie uważa pan?

- Nikt sobie nie wybiera swojego nazwiska! - skomentował moje słowa.

Drgnąłam.

- Przepraszam - wyjąkałam. - Nikogo nie zamierzałam urazić.

- W porządku - odpowiedział. - Czy pani wie, jak ja mam na imię?

- Nie mam pojęcia! - szepnęłam resztkami sił.

- Lutz - usłyszałam. - Lutz Schmitz-Nittenwirm.

- O! - wyrwało mi się.

- Dawniej nazywałem się Lutz Schmitz, ale gdy mnie zaadoptował drugi mąż mojej matki, czyli mój ojczym, dał mi swoje nazwisko. Od tej pory nazywam się Lutz Schmitz-Nittenwirm.

- Panie... jak tam panu, o przepraszam Nittenwirm-Schmitz... - rzuciłam szybko, popełniając kolejną gafę. Poczułam, jak oblewa mnie zimny pot. Gafa, raz jeszcze gafa! Teraz to już koniec! - Dzieciom to obojętne, jak ktoś się nazywa - jąkałam, wachlując się, by ochłodzić rozpaloną twarz. - Niech mi pan wierzy, dla dzieci najważniejsze jest to, kto z nimi puszcza latawca. A pan właśnie to robi!

- Nie ma sprawy! - pan nauczyciel zakończył temat i zadał mi pytanie, najpierw zresztą poprosiwszy o pozwolenie, bo było ono natury prywatnej.

- Tak! Słucham! Niech pan pyta!

- A więc, w ostatnim odcinku *Naszego małego szpitalika*, no więc, tak, pani pocałowała, tak pocałowała pani, tego nowego lekarza naczelnego!

- Proszę pana! - zawołałam bardzo ucieszona. - Pan ogląda nasz serial?

- No jasne! - odpowiedział pan nauczyciel. - Uwielbiam seriale telewizyjne! Jestem fanem seriali. Już w dzieciństwie oglądałem serial o Lassie. Potem był delfin Flipper, potem *Bonanza*. I tak dalej. Teraz nie opuszczam żadnego odcinka serialu *Nasz mały szpitalik*. Tym bardziej że poznałem panią osobiście.

- Jakie to miłe z pana strony! - powiedziałam najserdeczniej, jak umiałam.

Wszystko wskazywało na to, że sytuacja została uratowana. Uch! Opadłam na półeczkę, na której leżały książki telefoniczne.

- Czy pozwoli pani, że zapytam o coś jeszcze?

- Oczywiście! Niech pan pyta! Proszę! Chce pan zwiedzić studio i przyjrzeć się, jak kręcimy kolejne odcinki? Nie ma sprawy! A może chce pan rolę statysty!? Może pan zostać śmiało pacjentem w Izbie Przyjęć! Umazanym keczupem! Statysty to lubią! Albo też ubrany w zielone ubranko może pan podawać podczas operacji nożyczki, albo zagrać pacjenta w wózku, wyjeżdżającego właśnie z windy...

- Nie, nie, nie oto chodzi...

- A może chce pan zostać członkiem klubu fanów naszego serialu? Mamy podkoszulki z naszym logo, naklejki samochodowe, chorągiewki, filmy wideo i płyty! Studio można zwiedzić z przewodnikiem! W każdą niedzielę o jedenastej! Zwiedzanie całego terenu! Można poleżeć na próbę w łóżku dla pacjentów! Goście często korzystają z tej możliwości!

- Nie, nie... - pan nauczyciel przerwał mi. - Wiem przecież, że to tylko film. Kulisy nie zrobią na mnie żadnego wrażenia!

- W takim razie w porządku! - odezwałam się z ulgą w głosie.

- Chodzi mi o coś innego, a mianowicie: mnie się nie podoba lekarz naczelny!

- Kto?

- Ten profesor Frank Bornheimer, który gra w serialu od odcinka czterysta szesnastego, nie podoba mi się! Co pani w nim widzi? Dlaczego go pani pocałowała?

- Ależ on mnie się też wcale nie podoba! Przecież to tylko film! - zawołałam wesoło.

- Bert powiedział mi, że pani zamierza za niego wyjść za mąż! Błagam panią, niech pani tego nie robi! - dąsał się nauczyciel.

- Ale przecież pan sam przed chwilką powiedział, że to tylko film i że nie robi to na panu większego wrażenia!

- Moja matka też go nie cierpi! Powiedziała, że szkoda by było pani dla niego! - nauczyciel kontynuował swoje wywody.

- Pańska matka?

- Tak. Razem oglądamy serial codziennie o szesnastej. Za-
wożę jej bieliznę, popijamy kawę, a potem oglądamy serial.
No, oczywiście, z wyjątkiem sobót i niedziel. Niestety!

- W soboty i niedziele nie ma nas na antenie. Bardzo mi
przykro z tego powodu. - Tu zastanowiłam się, co porabia ten
nieszczęśnik w wolne dni o czwartej popołudniu? Gdy super-
markety są już zamknięte, a naszego serialu nie nadają. Jakie
pełne wyrzeczeń życie wiódł ten młody nauczyciel! Chrząknęłam
znacząco.

- A chorągiewek i naklejek nie chce pan?

- Nie, dziękuję!

- I nie chce pan poleżeć na próbie w łóżku naszej kliniki?

- Nie!

- I nie chce pan ze swoją matką zwiedzić w niedzielę o je-
denastej naszego studia?

- Nie!

- O czym to właśnie mówiliśmy? - zapytałam słabnącym
już głosem.

- O dentyście.

- O tak, doktor Geldmacher.

- Ma pani jego telefon?

- Tak. A jak się sprawują moi chłopcy?

- Świetnie! Wszystko w porządku! - odpowiedział. O zde-
chłym tamponie już nie mówiliśmy.

- No proszę! W takim razie wszystko gra!

Z ulgą odłożyłam słuchawkę na widełki.

Lutz Schmitz. Co za uroczy młodzieniec. Martwi się o to,
co odczuwam i co ze mną będzie - pomyślałam naprawdę wzru-
szona. - Zastanawia się, za kogo wyjdę za męża, popijając kawę
u matki. Dyskutuje nad tym, podczas gdy w ogródku mamusi-
nym suszą się na wietrze jego flanelowe, brudnaworóżowe ko-
szule i sztruksowe spodnie.

Uśmiechnęłam się blado. Jak to dobrze, że rozmawialiśmy
przez telefon, bo inaczej mogłabym go troszkę zaczarować! Po
prostu zaczarować. On się przecież też ciągle nudzi i nikt nie

chce się z nim bawić. W jego życiu wciąż pada deszcz, a na obiad ciągle jest ryba.

No, ale przez telefon takie sztuczki nie wychodzą.

- Czy tu jest ktoś? Halo! Dlaczego tutaj tak ciemno!

- Dzień dobry, kochanie! Już wróciłaś? - Z narożnika wypoczynkowego dobiegł mnie zaspany głos męża.

- O, to ty! Ja też mogłabym zapytać, dlaczego jesteś tak wcześniej w domu!

Mój małżonek leżał wyciągnięty niczym wielkie psisko przed telewizorem. Obudził się niechętnie i dopiero wtedy, gdy wtargnęłam do komnaty. Dla przyzwoitości podniósł się troszkę i musnął mój policzek swoją nie ogoloną brodą, kiedy się ku niemu nachyliłam. Pachniał rybą smażoną na oleju. Mój małżonek, cierpiący wyraźnie na światłowstręt, spuścił wszystkie rolety, co spowodowało, że w domu było ciemno niczym w piwnicy. Wpół do trzeciej. O tej porze zwykle przyjeżdżam do domu. Ale skąd on może o tym wiedzieć, ten mój pan mąż?

- Wróciłeś na drzemkę popołudniową do domu. Przecież nigdy tego nie robisz!

- Myją okna w biurze! Nie mogłem pracować w swoim pokoju.

- O ty mój biedaku! Istniało wszak niebezpieczeństwo, że do pokoju wtargnie świeże powietrze! A w stołówce była dziś ryba na obiad?

Ernstbert obrzucił mnie rozgniewanym spojrzeniem.

- Nie masz pojęcia, co się dzieje w gospodarce wolnorynkowej! My nie mamy stołówki! Naszej pracy nie da się porównać z waszym przedszkolem, gdzie wszyscy się tylko kręcicie, nic nie robicie i popijacie kawę.

- My pracujemy! - odparłam. - I to ciężko!

- No, dobrze. Niech ci będzie, że pracujecie. Nieważne jest określenie tego, co robicie. W każdym razie ja MUSZĘ się skupić, rozumiesz, muszę być produktywny i twórczy w swojej pracy. Samodzielny. Takie utrudnienie warunków pracy, jak otwarcie okna, uniemożliwia mi to, rozumiesz? Jest niedopuszczalne!

- Gdzie są dzieci? - zapytałam, wieszając żakiet do szafy.
- Wysłałem je z powrotem do Grety. Chciałem mieć odrobinę spokoju.

Na stoliku w pokoju stały dwie butelki po piwie, filiżanka kawy, popielniczka pełna petów. Ponadto walały się stopy akt, segregatory, papiery, telefony komórkowe i instrukcje obsługi. Między tymi szpargałami nieśmiało chowało się kilka ludzików playmobil. Pozostałych plastikowych towarzyszy zabaw Ernstbert zwałił ze stołu na ziemię jednym energicznym ruchem stopy odzianej w skarpetkę. Obok kanapy stał talerz z resztkami jedzenia: kilka zimnych smażonych ziemniaków, stary tłuszcz, obgryzione ości, resztki fioletowego sosu na brzegu talerza.

Ernstbert ściągnął koszulę. Do gołego ciała przytuliły i przykleiły się dzisiejsze gazety oraz program telewizyjny.

Co za apetyczny widok - pomyślałam.

- Jak długo już jesteś?

- Pół godziny - odpowiedział.

Zdążył nieźle naświnić jak na te pół godziny. Nagle wpadła mi w oko konserwa rybna, otwarta już, umieszczona malowniczo na tych stronach gazety, na których jest mowa o nieruchomościach. Pikling w auszpiku. Marynowany śledź z cebulą i musztardą.

W telewizorze młoda blondynka właśnie wygrywała lodówkę.

Ernstbert kaprysił:

- W tak utrudnionych warunkach lokalowych nie mogłem pracować.

W takiej sytuacji był zmuszony - rzecz jasna - włączyć teleturniej na kanale Cztery Minus. Jasne. Biedny, nieszczęśliwy facet!

- A dlaczego nie poszedłeś z dziećmi na spacer? Na świeże powietrze? Dobrze by ci to zrobiło!

Machinalnie chwyciłam tłusty talerz i konserwę rybną. Samiczka domowa może przecież posprzątać, a jakże!

- No, zostaw to! Nawet nie mogę w spokoju zjeść!

- O, to ty jeszcze nie skończyłeś?

- Zaraz, może potem. Teraz nie będę jadł.

Ernstbert zapalił następnego papierosa. Śliczne i zadbane

wnętrze naszego pokoju utonęło w chmurze dymu. Przepiękna, nastrojowa martwa natura w niebieskawym świetle...

Zapach ryby zmieszał się z odorem dymu z papierosa. Uwielbiałam ten smród.

- Na dworze świeci słońce... - zaczęłam ponownie.

- Moja droga, potrafisz być bardzo uparta. No, chodź do mnie! Przytul się na chwilkę! Wolną ręką poklepał siedzenie kanapy. Usiadłam, aczkolwiek niechętnie, na jego koszuli i nieruchomościach. Puskę po rybie odstawiłam ostrożnie na bok. - Wyglądasz apetycznie, kochanie. Czy nadal uprawiasz „fit-for-coś-tam”?

- *Fit for life* - wyjaśniłam. - Warzywa, owoce i dużo ruchu. Gdy trzydziestka przed kilkoma laty już stuknęła...

- O, rozumiem! - Ziewnął. - Ja też powinienem wziąć się w garść i poćwiczyć, no i przejść na dietę. Ale przy stresie, jaki wciąż przeżywam, przy napięciu, które nieodłącznie towarzyszy mojej pracy zawodowej...

W telewizorze rozległ się krzyk radości. Wprawdzie nikt nie znalazł wymarzonego partnera, za to ktoś wygrał ekspres do kawy.

- Hm, pachniesz tak podniecająco. Czy to nowe perfumy? - zapytał, zbliżając usta do mojego ucha.

Były to perfumy, które dostałam od Justusa. „Deszczowa Piosenka” Priscilli Pressluft. Z perfumerii firmy 4711 tuż przy katedrze chętnie odwiedzanej przez turystów. Nazwa perfum nawiązywała do naszych częstych spacerów w deszczu. Postanowiłam używać tych perfum bardzo powściągliwie i tylko od wielkiego dzwonu... Na Ernstberta podziały jednak bardzo pobudzająco. Odsunął talerz z ościami i na liliowym szkielecie piklinga zgasił papierosa.

- Mnie ten zapach bardzo podnieca - powiedział zdecydowanie uradowany.

- A ja uważam, że tu czuć wędzonego piklinga - odparłam. Może by przewietrzyć?

- Nie. Pachnie zabójczo. Bardzo wyzywająco. Jak się toto nazywa?

- „Deszczowa Piosenka” Priscilli Pressluft.

Ernstbert nachylił się do mnie znowu.

- Od kogo dostałaś?

- Od jednego z kolegów w pracy. Od tego, z którym wciąż chadzam na spacer i spędzam wolny czas w bardzo urozmaicony sposób. Czyżym ci o nim jeszcze nie mówiła?

Tak, teraz pewnie wstanie gwałtownie, rzuci konserwą o stół, ryknie na mnie, że nie życzy sobie, aby jego domowa samiczka była obdarowywana przez jakichś przybłędów - i to perfumami! - i by w ogóle poza pracą konwersowała z kimkolwiek obcym. On niezwłocznie porozmawia z tym panem!

Ale nie. Ernstbert nie był zazdrosny. Po co?! Przecież to tylko wysiłek! To męczy. Trzeba by wstać, pokrzyczeć, zrobić jakąś głupią scenę i niepotrzebnie się zdenerwować. To mu nie odpowiadało. Mojemu mężowi było absolutnie obojętne, z kim spędzam czas. Najważniejsze, abym była radosna, zrównoważona, żebym podśpiewywała, szczebiotała i nie czepiła się niczego. I żebym nie miała skrzywionej twarzy, która przypomina o zbliżającym się klimakterium.

- Kochasz mnie? - zapytał podniecony.

- Jakoś cię kocham - odparłam, co było zgodne z prawdą.

Ale on był facetem na co dzień. Faceta na niedzielę musiałam znaleźć gdzie indziej. Tak jest. Sam jesteś sobie winien. Gdybyś choć odrobinę był zazdrosny! Choć za dwa grosiki!

- Jestem rad, że mogę pobyć z tobą sam na sam i że nikt nam nie przeszkadza. Stęskniłem się za tobą - zwierzył się. - Stanowczo zbyt mało przebywamy razem.

Zadzwoił telefon.

- Odbierz! Mogą dzwonić z firmy!

Podniosłam słuchawkę. Dzwonili z firmy.

- Okna są już umyte i zamknięte. Czy pan doktor Schatz jest gdzieś w pobliżu.

- Tak, proszę, już go daję - odparłam. - Pan doktor Schatz jest w zasięgu ręki.

Firma otrzymała ważny faks z Koziej Wólki. Czy pan doktor Schatz może podejść do telefonu? Pan doktor Schatz mógł podejść do telefonu. Ten faks z Koziej Wólki zainteresował go bardzo. W jednej chwili zmienił pozycję. Już siedział prosto.

Wstałam, zabrałam talerz i inne naczynia. Zniosłam je do kuchni. Potem podniosłam rolety, otworzyłam okna i sięgnęłam po pilota. Prowadzący teleturniej krzyczał właśnie: „Aniu, wybieraj, ekspres do kawy czy mężczyzna twoich marzeń? Zastanów się dobrze! Ekspres możesz wymienić na inny! Mężczyzny nie!”

Ania stała za przepierzeniem i się zastanawiała.

Chudy chłopina w kolorowej, jaskrawożółtej koszuli i złotym łańcuszku uśmiechnął się do kamery, prezentując złote zęby. Głowę jego zdobiła okropna, sztuczna fryzura z kaczym dziobem. Boże, dziewczyno! Wybierz ekspres do kawy! Ania wybrała faceta. Publiczność gwizdała i wyła. Przepierzenie odsunęło się, Ania rozwarła ramiona i rzuciła się Kaczemu Dziobowi na szyję. Czy z radości czy ze złości, nie wiem. Na pierwszy rzut oka nie dało się nic na ten temat powiedzieć. Może miała już ekspres do kawy.

Pomyślałam, że ja właściwie świetnie trafiłam. Miałam ekspres do kawy i mężczyznę swoich marzeń!

Uruchomiłam pilota. Grupka szczęśliwców rozplynęła się na ekranie. Pudło stało ciemne i milczące. Za godzinę zaczyna się nasz serial. Tak naprawdę to za godzinę będę z dziećmi w lesie łapać kaczory. Za pomocą sznura do bielizny. Naturalnie, tak na niby. Ale samo to uczucie, że zmusiło się do ucieczki kilka tuzinów panicznie kwaczących kaczych dziobów! To poczucie władzy! W tym okresie był to ulubiony sport moich pociech.

- Muszę jechać do biura - powiedział Ernstbert. Poszedł na górę po świeżą koszulę. Tam była szafa. - Być może wrócę późno. Nie czekaj na mnie!

- Nie, nie będę czekała - odparłam.

Złożyłam wełniany pled i gazety. Pomyślałam, że mężczyźni nie potrafią wykonywać takich czynności. Złożyć gazetę. To by ich wykończyło. Albo złożyć pled! Pled rozpadłby się na tysiąc drobnych strzępów, gdyby mężczyzna spróbował go złożyć! Nieruchomości zalatywały rybą. Na górze Ernstbert grzebał w szafie z bielizną. Dobiegł mnie szum wody spuszczonej w toalecie. Potem warkot aparatu do golenia.

Zniosłam konserwę i butelki po piwie do kuchni. Zastano-

wiło mnie, że Ernstbert nie wynalazł do tej pory pilota obsługującego kuchnię. Ale w końcu miał mnie, to po co pilot? JA byłam jego zdalnie kierowanym kuchcikiem czy też robotem kuchennym. Do tej pory radziłam sobie ze wszystkim śpiewając. Byłam jego radosną samiczką domową. Czasem gdzieś tam w głębi buntowały się małe hormonki przekory, dąsały się, stawiały opór i wysuwały dolną, ładną i małą wargę na znak niezadowolenia. Czy rzeczywiście kobiety muszą wykonywać tego typu prace? Greta albo ja? Po prostu dlatego, że jesteśmy przedstawicielkami płci żeńskiej. Dlatego, że nie wyposażono nas w ten zasadniczy detal! Okaleczone ofiary losu. Jakże nam brak tego klejnotu, który sprawia, że zostajemy kuchcikami. Od urodzenia kuchcikami. Wyposażone we wrodzony popęd gotowania, sprzątania, prania, mycia, troszczenia się o innych i dbania o bliźnich. Właścicielowi penisa taki popęd jest obcy. Sprzątnąć talerze, resztki żarcia wyrzucić do kubła na odpadki, wstawić talerze do zmywarki, wyjąć je ze zmywarki, ustawić je w szafce, wyjąć je z szafki, ustawić na stole, sprzątnąć ze stołu, znowu nakryć do stołu, sprzątnąć i znowu nakryć... To babskie prace. To ich domena. To należy do kobiet.

Mężczyźni nie potrafią wykonywać takich prac. Talerze rozpadają się w tysiące kawałków, gdy jakiś mężczyzna ośmiela się ich dotknąć. A gdzie leżą małe łyżeczki. Godzinami przeszukują szuflady wszystkich szafek, by przez przypadek trafić na jedną z nich. A przecież w tym czasie mogliby przegrać na twardy dysk jakieś bardzo ważne dane. Co ja mówię? Na trzy twarde dyski! A zresztą, czy zmywarka by nie eksplodowała, gdyby mężczyzna ją otworzył? Na pewno! Dlatego rasowy mężczyzna nie dotyka takich urządzeń! Dlatego muszą to robić kobiety. A wynoszenie śmieci? To też babskie zajęcie. Mężczyzna z kubłem w ręce?! Natychmiast urwałoby się ucho. Na pewno! A śmieci rozsypałyby się w korytarzu lub na schodach! Albo w ogródku! A co potem? Trzeba wytrzeć schody!? Kto? Kobieta! Toteż jedynie słuszne jest, by kobieta od razu zrobiła to sama. Wtedy wiadomo, na czym się stoi. Miłego wieczoru życzę państwu!

Mężczyźni w końcu nie muszą wiedzieć, gdzie stoją poje-

mniki na śmieci. I w ten oto sposób może się zdarzyć, że śmieci wylądują w pojemniku sąsiadów! Jakież to nie na miejscu! I jakie nieprzyjemności mogą z tego wyniknąć! No albo taka deska klozetowa. Deska pęka natychmiast, gdy mężczyzna ją zamyka. Już nie mówiąc o tym, co się dzieje, gdy mężczyzna usiłuje posprzątać po sobie, zmywając szczotką klozetową ślady po swojej działalności w kiblu. Takie poniżenie! To dopiero! Szczotka klozetowa łamie się natychmiast, ręka mężczyzny też i to wszystko wpada do miski klozetowej. Co za paskudztwo! Co za paskudna historia! No, a wymiana papieru toaletowego, gdy się skończy rolka! Czy męskie ręce powinny wykonywać taką pracę? A zresztą, gdzie właściwie leży papier toaletowy!? W szafie? Gdzie? W której szafie? Co zrobić z tym, co zostało? Wyrzucić? Dokąd? Do miski klozetowej? Nie, nie, bo się zapcha. No nie, kobiety po prostu robią to lepiej. Mają ku temu zdolności. To należy do zakresu ich prac. Od tysięcy lat! A opróżnianie popielniczek, a wnoszenie pustych butelek po piwie?! Mój Boże, jakież straszne rzeczy mogą się wydarzyć, gdy mężczyzna wnosi butelki po piwie! Nie do pomyślenia! Przecież taka butelka może się stłuc! I wtedy całymi tygodniami chodzi się z kawałkami szkła w palcach u nóg! A niedopałek papierosa może przecież oparzyć! Dokąd się wnosi tak zdradliwe przedmioty? Co się z nimi robi? Tak, proszę państwa, z tak niebezpiecznymi przedmiotami i trudnymi problemami radzą sobie tylko kobiety.

Uklękłam przed magnetowidem. On jeden w tym domu był mi posłuszny. Pozostały sprzęt odmawiał mi praw do posługiwania się sobą. Pozostały sprzęt rozmawiał jedynie ze swoim władcą. No cóż, ten jeden wystarczy!

Dziś był odcinek czterysta trzynasty. Historia Fanny i skradzionego niemowlaka. Koniecznie chciałam to nagrać.

- Gdy pojawi się ten facet z elektrowni, powiedz mu, że uważam za rzecz niesłychaną, żeby nam wyłączać prąd. Ostatnio wyłączyli nam prąd na pół minuty! - Ernstbert właśnie schodził na dół. - I zapytaj go jeszcze, czy on sobie zdaje sprawę, co to znaczy dla urządzeń elektronicznych w takim domu jak nasz!

Ernstbert wepchnął koszulę w spodnie i założył buty. Pachniał jakąś bardzo dobrą wodą toaletową.

- Zapytam - obiecałam.

Jednocześnie wydawałam magnetowidowi krótkie polecenia.

Magnetowid - jedyny służący w naszym domu - był cudzoziemcem, ale rozumiał nieco po niemiecku. Ernstbert nauczył go kilku niezbędnych a podstawowych zwrotów, co trwało długo i było mozolną dźbaniną. Ale Ernstbert był cierpliwy, spokojny i poświęcił mu wiele godzin. Z czasem zrozumiałam, że do rozmowy ze służącymi jest potrzebny specjalny język. Ani słowa za dużo, krótko i wężłowato, uprzejmie, ale stanowczo:

„Ty zjeść mały szpitalik, jasne? I za godzinę masz się zamknąć. Gdy mama wróci do domu, ty wypluć mały szpitalik. Aż nam się zrobi niedobrze. Zrozumiałeś?!”

- Wyobraź sobie, że ty ustawiasz sobie nagranie *Naszego małego szpitalika*, a ten idiota wyłącza ci nagle prąd!

- Brak mi po prostu słów! - powiedziałam i podniosłam się z miejsca.

Magnetowid - jedyny posłuszny mi służący - odezwał się: okay, okay, okay! Głupi, ale posłuszny, zawsze coś! Migotał bez przerwy. Znowu był podłączony. Dzisiejszą całą noc Ernstbert spędził, ustawiając cały nasz domowy sprzęt elektroniczny, a było tego może pięćdziesiąt, a może siedemdziesiąt urządzeń. Ustawił je na dzisiejszą datę i odpowiednią godzinę. Wszystkie migotały wesoło, chętne do współpracy. Machając ogonkami czekały na nowe polecenia.

Zamknij się, kochany - pomyślałam i nastawiłam zegar. Posłusznie przestał migotać.

Podałam marynarkę Ernstbertowi.

- Niech się przygotuje, że złożę skargę u jego przełożonego - powiedziałam, wciskając swój terminarz do aktówki.

- No jasne, powiem mu.

Ernstbert otworzył drzwi wyjściowe. Przed ogrodem, na ulicy stały nasze dwa auta.

Jego błyszczało w słońcu elegancko i wytwornie. Moje, brudne i matowe, stało w cieniu.

Złota Marysia i Brudna Marysia!

- Zaprowadź swój kontener na śmieci do myjni! Wymień opony na zimowe! I kup komplet felg! Jak to wygląda!

- Tak, dobrze - odpowiedziałam posłusznie. Kobieta bez felg jest jak ryba bez roweru.

- I każ umocować oderwaną gwiazdę mercedesa. Jest w przegródce obok kierownicy.

- Tak, oczywiście! „Pi, pi, pi!”

- Weź też odkurzacz i sprzątnij go wewnątrz! W środku wolisz pół lasku miejskiego! Ja mam zawsze czysto w aucie!

Przypomniałam sobie o kupce kaczej za siedzeniem kierowcy i kiwnęłam głową. Skąd w moim aucie wzięła się kupka kacza? Naprawdę nie miałam pojęcia!

- Dzieci mogą ci pomóc! Przecież chętnie pomagają!

Skąd ty wiesz, co twoje dzieci robią chętnie? - zbuntowałam się. One lubią dusić kaczory, ale sprzątać kup po kaczorach nie cierpią! W tej kwestii mały mężczyzna od początku jest sobą!

- Przecież to wstyd, takie brudne auto przed naszym domem! - dodał. - Zwłaszcza teraz, gdy świeci słońce!

- Tak, masz rację! Świeci słońce. „Okay, okay, okay!”

- Pa, pa, mój flejtuszu! Ucałuj dzieciaczki!

- Dzieci? Jakie dzieci? „Error, error, error!”

- Słucham? Co? Tupeciara z ciebie! - Przelotny pocałunek ust pachnących miętową pastą. - Kocham cię.

„Okay, okay, okay!” - Gładki policzek. Mój małżonek świeży i pachnący!

- Ja ciebie też. Przecież dobrze o tym wiesz. „Pi, pi, pi!”

Ernstbert wsunął swe cielsko do mercedesa. Antena włączyła się automatycznie, dach otworzył się sam, okna tudzież. Wszystko bezszelestnie i elegancko.

- I nigdy nie kupuj już tych konserw rybnych! - Ernstbert zawołał z otwartego okna samochodu. Z radia stereo dobiegała muzyka Vivaldiego. *Cztery pory roku. Lato.* - Jak często mam ci to powtarzać! To świństwo jest bardzo szkodliwe dla zdrowia! Nie kupuj konserw Fadlera!

„Pi, pi, pi! Okay, okay, okay! Fadler zdechł”.

Lśniąca limuzyna męża odjechała. Blacha jego luksusowej bryczki pobłyskiwała w słońcu, odbijając promienie słoneczne.

Można było się w niej przeglądać. Główna wygrana - pomyślałam, machając mu jego spoconą koszulą. - Mąż i mercedes. Dwoje dzieci i praca. Za żadne pieniądze nie zamieniłabym się z Anią. Nie było na to ceny.

Już na klatce schodowej pachniało dentystą. Coś okropnego! Że też nie ma na to jakiegoś sposobu!

Przecież jest do kupienia tyle różnych przepięknych zapachów w sprayu - powiedziałyby Gretel Zupf.

Dzielna i czysta gospodyni domowa używa chętnie i często sprayu do firanek, które zżółkły lub zszarzały, do deski klozetowej w toalecie dla gości, do piecyka gazowego po upieczeniu gęsi na Świętego Marcina i do lewej strony materaca wujka Teodora w domu starców w Wiiterschlick. A więc dlaczego nikt nie stosuje lawendy lub na przykład jaśminu i wanilii z cynamonem w takim właśnie eleganckim gabinecie dentystycznym, gdzie wszystko błyszczy chromowaną stalą i białymi kafelkami, jak ten tutaj w kolońskiej dzielnicy Suelz? Mogłyby to być również perfumy Prinscilli lub „Idiota”!

- Tutaj śmierdzi! - oświadczył Bert i zawrócił ku wyjściu.

- Nie będę chodził do dentysty, u którego śmierdzi! - stwierdził Ernie.

- Dentyści mają swój specyficzny zapach - wyjaśniłam. - Ten pan tutaj nazywa się Geldmacher i bardzo lubi dzieci. Tak powiedział wasz pan nauczyciel. Koniec dyskusji.

- Ja nie chcę do doktora, który ma nazwisko Geldmacher i lubi dzieci! - powiedział Ernie. - Chodź, mamusiu, wracamy do domu! - Wylękniony szarpał mnie za rękę.

- Wasze dziury w zębach będą coraz większe, jeśli nie będą leczone! Pan doktor Geldmacher musi zobaczyć, co się z nimi dzieje! - upierałam się. - Pan doktor tylko zobaczy! A zrobi to, używając takiego malutkiego lustreczka, które trochę przypomina lusterko przy twoim rowerku górskim! - powiedziałam, zwracając się do Berta.

- Nie chcę wstecznego lusterka w buzi! - Bert był nieprzejednany. - A mój rower górski jest głupi.

- Teraz najpierw wejdziemy do poczekalni i pooglądamy książeczki dla dzieci. To takie publikacje szczególnie wartościowe pod względem wychowawczym. - Wabiłam, jak umiałam. - Na pewno ma też drewnianą kolejkę z części, których nie połknie nawet najbardziej żarłoczny maluch! I na pewno ma małą przytulankę, takiego goryla z nietoksycznego materiału.

- A może ma kilka fajnych gier komputerowych w poczekalni? - zapytał Bert. - Batman jest fajny!

- Greta powiedziała, że nie powinniśmy zadawać się z nieznajomymi ba tm änam i! - zastrzegłam.

- Może jest Rambo i power-crash! - dodał Ernie.

- Najpierw trzeba się zgłosić w rejestracji! - zachęciłam ich do wejścia. - W końcu nie jesteśmy tutaj dla zabawy!

Ernie i Bert dreptali posłusznie za mną. Panie w rejestracji zwykle są miłe i trzymają dla dzieci lizaki i gumowe misie. I zazwyczaj pytają, czy dzieci są bliźniakami, co się wydaje najpóźniej w momencie wypełniania formularza zgłoszeniowego. Ja sama czułam się tutaj kiepsko. Chociaż nigdy nie jadłam gumowych misiów i innej żywności mającej opinię niezdrowej i nie sprzedawanej w sklepach ze zdrową żywnością. Panie doktorze, moje zęby są zdrowe!

W rejestracji siedziała młoda blondynka o zaciśniętych wargach, włosach w strąkach i okularkach bez oprawek. Spoglądała na nas chłodnym okiem zza szyby, za którą leżały próbki różnych past do zębów i lekarskiej gумы do życia.

- Słucham? - zapytała nas.

- Nazywam się Pfeffer - odezwałam się. - Jesteśmy umówieni na wizytę. To jest Bert, a to Ernie.

- Są niepodobni do siebie - powiedziała dama o strąkowatych, bardzo cienkich włosach. Była z czegoś bardzo niezadowolona.

- Przykro mi, ale są bliźniakami dwujajowymi.

- No cóż! - powiedziała, jakby raczyła zaakceptować taki stan rzeczy. Potem popatrzyła na mnie. - Czy to pani jest tą doktor Anitą Bach? - W jej głosie zabrzmiała niechęć. - Moja teściowa ogląda ten serial codziennie. No, ale ona nie ma nic lepszego do roboty.

Ty wstrętna, stara kwoko z pierzem na łbie! Nie zaprzyjaźni-
my się. To pewne. Musisz tutaj grzecznie obsługiwać pacjentów
i pewnie nudzisz się straszliwie. A ja stoję przed kamerami tylko
kilka godzin. A potem żyję własnym życiem, tak jak mi się
podoba. Zażywam wolności, widzisz, wstręciuchu.

- Ja sama takich głupot nie oglądam. - Uśmiechnęła się do
mnie, zaciskając usta jeszcze bardziej.

- To świadczy o pani aspiracjach intelektualnych - powie-
działam, siłąc się na grzeczność.

- No tak, aktorzy grają role, jakie im zaproponują. - Blon-
dynka kartkowała swój kalendarz. Czerwonymi szponami prze-
rzucała strony, starannie zapisane nazwiskami pacjentów.

- Mąż ma opóźnienie - powiedziała takim tonem, jakby mó-
wiła o pociągu intercity. - To może jeszcze chwilkę potrwać.

- W takim razie idziemy! Nic się wielkiego nie stało! -
zawołał Ernie.

Blondyna uśmiechnęła się lodowato.

- Młody człowieku, proszę zaczekać! Stąd nie ma odwrotu!

Za nami weszło kilku następnych pacjentów. Wszystko wska-
zywało na to, że doktor Geldmacher ma duże wzięcie. Wszyscy
pragnęli mu dopomóc w osiągnięciu dobrobytu i szczęścia.
A cóż dopiero jego jakże uroczej małżonce!

- Nic nie szkodzi! - odparłam. - Mamy mnóstwo czasu.
Naprawdę. Nie spieszy się nam!

Przenikliwy zapach gabinetu dentystycznego dotarł do mojej
przysadki mózgowej, rozpanoszył się tam i od razu zasygnali-
zował, że boli mnie górna lewa czwórka. Najpierw usiłowałam
zignorować ten ból w przekonaniu, że uległam sugestii. Wmó-
wiłam sobie, tylko wmówiłam, powtarzałam. Mam zdrowe zęby!
Ja i próchnica? Skąd?! Ja, która niczym kózka jem jedynie zie-
leninę? I jestem taka grzeczna!

Ernie zaciągnął mnie do poczekalni.

- No, mamciu, obiecałaś, że nam poczytasz!

Weszłam do poczekalni. Podłoga była zawalona klockami,
między którymi raczkowały maluchy.

- Dzień dobry państwu!

- Dzień dobry! - Nikt się na nasz widok specjalnie nie ucieszył. I nikt nie chciał ode mnie autografu!

No, nieźle się zaczyna - pomyślałam.

- Daniel, rusz się, ustąp pani! - Wszyscy byli w złych humorach.

- Dziękuję! Zmieszczę się!

Ernie wcisnął mi książeczkę do ręki. Na okładce widniał obrazek przedstawiający rodzinę przy śniadaniu. Książeczkę zatytułowano w bardzo oryginalny sposób: *Mam zdrowe zęby*\ No nie mów - pomyślałam. Tylko dlaczego ta górna lewa czwórka nie daje mi spokoju? Ernie i Bert wdrapali mi się na kolana. Każdy zajął jedno. Czułam się jak matka żyrafa karmiąca młode.

- No, czytamy - zaczęłam. - „Mam zdrowe zęby!”

Zmieszana popatrzyłam na czekających.

- Ja to znam! - zawołał Daniel i wyszczerzył w zwycięskim uśmiechu swoje perełki, czyli trzy brązowozgnięte opieńki, które mu zostały z mleczaków, czyli z okresu, kiedy jeszcze nie chodził do szkoły. Otworzyłam wystrzępioną książeczkę.

Ośmioletnie, blade chłopię o imieniu Ruediger pomagało ojcu, który miał na imię Detlev i był podobny do pana Schmitza-Nittenwirma, tyle że w nudniejszym wydaniu.

Sprzątali ze stołu po śniadaniu. Razowy chleb, twaróg, rzodkiewki i marchewka - to było to, co rodzina Ruedigera lubiła jadać na śniadanie. Ani śladu nutelli, płatków czekoladowych i kukurydzianych z miodem, ani śladu naklejek z Królem Lwów - mleka, które przeobraża się w kakao. Siostrzyczka Irenka i młoda, dynamiczna mamusia w plisowanej spódnicy, zakrywającej kolana, stały przed lustrem i z zapałem szorowały sobie zęby. Mamusia, już w płaszczu, buzię miała umazaną pianą po paście do zębów.

- „Dziś tatuś idzie z nami do pani dentystki! A ja mu pomagam sprzątnąć ze stołu, żeby nie tracił czasu. Mama spieszy się do biura. Irenka sama już myje zęby i robi to w prawidłowy sposób: zawsze z góry na dół, żeby w szczelinach między zębami nie zostały resztki jedzenia. Te resztki jedzenia łączą się ze śliną i powodują, że zęby stają się miękkie i zaczynają się psuć” - czytałam na głos, usiłując powstrzymać odruch wy-

miotny, bo po prostu zrobiło mi się niedobrze. Tymczasem Daniel-Zgniły-Ząb przysuwał się do nas coraz bliżej.

Ernie i Bert uśmiechali się. Siedzieli całkiem już uspokojeni na moich kolanach, wymachując nogami. Czułam, że te zdrowe dwa cielska za chwilę mnie całkowicie rozgniotą. Również Daniel miał zamiar wdrapać się na moje kolana. Swoim brudnym paluchem, którym przed chwilką grzebał w nosie, wodził po kartkach tekturowej książeczki.

- U nich matka pracuje - stwierdził.

- Daniel, bądź cicho! - odezwała się jego matka, oblizując paluch, by łatwiej kartkować jakiś tygodnik, w którym zamieszczono reportaż o szczęśliwej, królewskiej rodzinie, bogato obdarzonej dziećmi i innymi błogosławieństwami.

- Nie przeszkadza! - powiedziałam uprzejmie.

- Przeszkadza! - zaprzeczył Bert.

- Zjeżdżaj, ty dupku! - dodał Ernie. - Czuł się bardzo bezpiecznie na kolanach matki i dodał: - No już, spadaj, bo dostaniesz kopa w dupę.

Zareagowałam na to w stylu doktor Anity Bach i pouczyłam swoich synów, że książeczki są dla wszystkich, chociaż widok Daniela nie zachwycał mnie szczególnie. Szybko przerzuciłam stronę.

Tymczasem chłopię Ruediger i jego blady ojciec Detlev zajęli już miejsca w tramwaju, obaj radośnie się uśmiechając, byli bowiem w drodze do jakże sympatycznej pani doktor! Czekają ich coś bardzo pięknego, z czego obaj się cieszyli. Mała Irenka, z pociesznie opadającymi pończoszками i zajączkiem przytulanką na kolanach, wyglądała przez okno tramwaju i rączką pokazywała na panią w dżersejowej garsonce, prowadzącą jamnika. Co za rozgarnięte dziecko, widać to było od razu! Daniel skomentował obrazek:

- Teraz jadą do dentysty.

- Teraz jedziemy do dentystki - przeczytałam tekst pod obrazkiem.

- Widzisz, od razu wiedziałem! - wrzasnął Daniel w triumfem w głosie. - Znam tę książkę!

- Daniel! - odezwała się mamuśka.

- Zamknij pysk, ty dupku! - Bert był już rozżłoszczony.
- Zaraz dostaniesz kopa w zwis! - dodał Ernie.
- No, ale słownictwo to ta dzisiejsza młodzież ma okropne! - odezwał się jakiś starszy pan, który siedział przy drzwiach.
- On ma na myśli fryzurę! - wyjaśniłam szybko.

Sądziłam, że najlepiej będzie, jeśli zignoruję Daniela. Czy ta jego matka idiotka nie mogła go po prostu zabrać i poczytać mu tygodnika, który właśnie kartkowała? Czegoś o wielodzietnej rodzinie królewskiej, na przykład? W ogóle się nim nie interesowała! Co za matka! Sam widok tego dzieciaka mówił sam za siebie: byle jakie włosiny zaczesane w kitkę na karku, trzy zepsute zęby w jamie ustnej...

Co by na to powiedziała Greta? My przecież nie jesteśmy robo... lami!

Teraz Daniel zaczął nerwowo obgryzać resztki swej kitki.

- No, czytaj dalej! - powiedział do mnie, przepychając się coraz bliżej do moich kolan.

Charlotte, to dziecko niczemu nie jest winne - mówiła łagodnym głosem doktor Anita Bach. - Weź to chłopię w swe ramiona, wytrzyj mu zasmarkany nos i pozwól mu przeżywać z wami radość, jaką odczuwają maluchy, gdy im się czyta książeczki!

Dziecko jest zaniedbane pod względem emocjonalnym. Potrzebuje miłości i troski matczynej. Tak, tak. A na dodatek reprimendy! Tymczasem matka skupiła się nad jakimś wielce interesującym reportażem o trzyletnim wiejskim chłopcu, który nieumyślnie najechał traktorem na swoją rodzinę. *Jak mogło do tego dojść, panie kanclerzu?* - tytuł zdobił reportaż tłustym drukiem. Mnie to też bardzo zainteresowało. Ale ona nie pozwoliła nam poczytać. Po kryjomu podałam chłopcu chusteczkę do nosa. Wziął ją, wytarł nią całą twarz i rzucił na tygodnik z reportażem i pytaniem pod adresem kanclerza.

- Masz!

- Daniel!

- „Tata oddaje książeczki zdrowia, moją i Irenki - czytałam dalej. - Ja pójdę już do poczekalni”. Chłopię Ruediger zaciągnęło do poczekalni bezwładnego zajączka przytulankę Irenki, a na-

stępnie przyniosło stos książeczek dla dzieci, podczas gdy miżerny tata z Irenką na ręku informował panienkę okularnicę, osobę z kiepsko zrobioną trwałą na głowie, o swoim członkostwie w Kasie Chorych. Wyniki znajdowały się w koszulce foliowej i naturalnie nie miały oślich uszu. Boże, oni byli uosobieniem wszelkich cnót! Poczułam się nieswojo. Moja górna lewa czwórka zaczęła naprawdę szaleć.

Ogarniał mnie coraz większy niepokój i niezadowolenie. Powodował to widok przepełnionej poczekalni nie tylko tutaj, ale i w książeczce. Ten okropny zapach gabinetu dentystycznego i odgłos wciągane go nosem kataru przez Daniela-Z-Robolowatą-Kitką.

- „Pokażę chłopcu mój ruszający się ząb! - czytałam dalej. - Popatrz, jak się rusza. Ledwo wisi na krwawej nitce! Mama wieczorem przy kolacji zrobi wielkie oczy, kiedy położę jej na talerzu ząb!”

- Dentystka zaraz go wyrwie! - skomentował Daniel z typowym dla dzieci okrucieństwem.

- Mamo, niech on sobie stąd pójdzie! - powiedział Bert.

- Daniel, nie mów, co będzie dalej! - odezwała się mamuśka, przerzucając stronę z kanclerzem w tytule.

- „Jeden pan ma spuchnięty policzek - czytałam dalej. - Na pewno ma ropę pod zębem, który już się psuje i śmierdzi. Ten pan nie chodził regularnie do pani dentystki. Teraz ma nieprzyjemny zapach z ust i boli go ząb”. A na dodatek będzie reprimenda!

- Sam sobie winien! - skomentował Daniel, wyciągając rękę, by między nogami moich cielaczeków przerzucić kartkę.

- Daniel! - powiedziała mamuśka, zanim pogrzyżyła się w pasjonującej lekturze historii jamnika szorstkowłosego, który spadł z balkonu.

- „Teraz jesteśmy już w gabinecie - przeczytałam mocno uradowana. - Ja pierwszy wdrapuję się na fotel dentystyczny”. Pomyślałam, że to pewnie tak samo odlotowe uczucie jak na zjeżdżalni. Chłopcy będą się spierać o pierwszeństwo. Powstanie problem z ustaleniem kolejności, tak będą napaleni, by wdrapać się na fotel dentystyczny!

Dentystka, ładna, młoda dziewczyna, rozmiar konfekcji trzydzieści osiem, w bieli od stóp do głów, przywitała się wylewnie z młodzieńcem Ruedigerem, podając mu rękę. Młodzieniec Ruediger podał jej miękko swoją dłoń. Mizerny ojciec i Irenka z zajączkiem przytulanką potulnie zajęli miejsca przy spluwacze. „Pomoc dentystyczna zawiązuje mi serwetę na szyi - czytałam dalej - żeby zakrwawiona ślina nie zabrudziła mi mojego ślicznego nowego sweterka. Tatuś sam mi go zrobił na drutach. Byłoby mu przykro, gdyby plamy z krwi zostały na stałe na tkaninie”.

- U nich pierze ojciec - odezwał się Daniel i pociągnął nosem.

- To się chwali! - skomentowałam, starając się o uprzejmy ton. U Daniela w domu chyba nikt nie pierze.

- U nas w domu też pierze tata! - odezwał się nagle Ernie.

- Ma trzy pralki i dwie suszarki! Z pilotem!

- Tak jest! - potwierdził Bert, zadowolony z siebie. - Co najmniej trzy. Zdalnie kierowanie i skomputeryzowane. Tata programuje je, siedząc w aucie.

Matka Daniela podniosła wzrok znad upadłego jamnika szorstkowłosego.

- A żelazko ma skrzydła! - Ernie fantazjował na całego. - Żelazko wlatuje z wyprasowaną bielizną do szafy!

- A tata naciska tylko guziki w pilocie! - dodał Bert. - A wtedy szafy zamykają się automatycznie i same chowają się w ścianie.

- Czy to prawda? - zapytał Daniel cokolwiek zasmucony, nadal obgryzając swoją nędzną kitkę.

- Jasne! - potwierdziłam słowa swoich chłopców. Co za nieapetyczne dziecko! Jakie nachalne i brudne! Zasłużył na to, by go nabrać. Potem czytałam dalej: „Za pomocą specjalnego narzędzia pani doktor sprawdza, czy mój chwiejący się i krwawiący ząb ma miękkie miejsca. Jednym szarpnięciem go wyrywa. Ząb wisi na krwawej nitce. - Masz, trzymaj! Pokażesz go mamie. - A to się mama zdziwi! - ucieszyłem się i pokazałem go tacie. Tata też się ucieszył. - Dlaczego rodzice się cieszą, gdy ich dzieciom wypadają zęby?”

- Bo wtedy wyrosną im nowe! - wyjaśniłam z radością.
- Ale jemu to nie urosną! - powiedział Bert, wskazując ręką na robotowate dziecko.

Daniel zagryzł wargi i zawstydzony schował się gdzieś w kącie.

- Wreszcie się zmył - skomentował Ernie.
- „Teraz na fotelu siedzi tatuś. Pomoc dentystyczna podaje mu szklanekę z wodą, by wypłukał usta z resztek jedzenia i śliny”. Mizerny ojciec pluł ile sił w płucach, aż zrobiła się z tego cała fontanna, prosto do spluwaczki, tuż koło białego fartucha pomocy dentystycznej. Pomoc dentystyczna skwitowała to z uśmiechem, który miał wyrażać wdzięczność.

- „Gdzie pana boli? - zapytała miła dentystka. - Gdy piję coś twardego, zawsze tutaj pulsuje - wyjaśnił tata”.

Mizerny tata przestaje się nareszcie uśmiechać.

- „W rzeczy samej! Tu jest dziura! - mówi dentystka. Pomoc dentystyczna zakłada ojcu odsysacz, by się nie ślinił i nie zakrztusił resztkami jedzenia. Lekarka sprawdza, czy dziurka jest już czysta i czy nie ma w niej resztek jedzenia, a potem wkłada do dziurki wypełnienie”.

Kilka osób w poczekalni wyraźnie się skrzywiło. Matka Daniela z wyrazem obrzydzenia na twarzy zamknęła tygodnik. Z dezaprobatą przyglądała się instrukcji, jak domowym sposobem wykonać zasłonę do prysznicza z korków po winie. Po chwili spoważniała i zaczęła czytać rubrykę *Kawały na weekend*.

W tym samym czasie chłopię Ruediger i Irenka z zajączkiem przytulanką z zainteresowaniem i całkiem bez lęku patrzyli na kolekcję wiertel i innych szpikulców do usuwania kamienia, które leżały na stoliku. Ojciec już dogorywał. Pomoc dentystyczna zdjęła mu okulary i serwetką, zawiązaną wokół szyi, wycierała pot z czoła.

Na chwilkę zamknęłam książkę. Moja górna lewa czwórka zawyła. Ogarnęła ją panika. Wiertło! Odsysacz! Sonda! Szpikuliec do usuwania kamienia zębego! Na pomoc! Bo zginę tu marnie!

- Dlaczego przestałaś czytać?
- O, już mam dosyć. Weź inną książeczkę z obrazkami. Popatrz, Daniel ma książeczkę o Beniaminku Kwiatuśku.

- Znam! - odezwał się Daniel. - *Beniamin Kwiatuśzek u dentysty*.

- O nie! - szepnęłam wyczerpana.

Drzwi się otworzyły i jakiś zmaltretowany pan o bardzo podejrzanym wyrazie twarzy wyłowił swój płaszcz ze sterty okryć wierzchnich.

- Do widzenia! - zaseplenił i całkowicie nieobecny duchem, zataczając się, opuścił ten przybytek.

- Pani Duennbier i Daniel! Gabinet numer jeden! - zakomunikowała wiadomość lodowatym głosem przez mikrofon strąkowata małżonka dentysty.

Matka rzuciła żurnal dla gospodyń domowych na stos podobnych publikacji, zaczytanych i zniszczonych częstą lekturą, i bez słowa opuściła poczekalnię w towarzystwie Daniela.

- Cześć! - powiedział za nimi zadowolony Bert.

- Teraz możesz czytać dalej - odezwał się Ernie. - Ten głupek sobie poszedł.

Resztką sił otworzyłam ostatnią stronę jakże wychowawczej książeczki o odsysaniu śliny i wydłubywaniu resztek żarcia.

Nasza wzorowa rodzinka właśnie wróciła do domu. Tatuś stał już przy kuchni, był jeszcze odrobinę blady, ale dziarsko wymachiwał garnkiem z zupą, świadom swoich obowiązków. Irenka z zapałem czyściła ząbki swemu zajączkowi brudaskowi, przytulance najukochańszej, aż pasta do zębów kapała z jego wąsów na krzesło. Młodzian Ruediger stał niczym prawdziwy lizus u drzwi i machając ogonem, nasłuchiwał, kiedy wróci mamusia, by jej wreszcie pokazać zakrwawiony ząb i zebrać kilka punktów za pilność.

- „Mama wraca z biura do domu - przeczytałam, aż dygocząc z obrzydzenia. - Tatę już nie boli ząb. Przez trzy godziny nie wolno mu nic jeść. Mimo to chętnie gotuje dla całej naszej rodziny. Tata dba o to, byśmy się zdrowo odżywiali. Marchew jemy surową, twardą, żeby nasze zęby miały co gryźć i żeby ważnych witamin było jak najwięcej. Nasze zęby są przecież zdrowe! Pokażę mamie swój ząb. Mama ucieszy się bardzo. To był bardzo piękny dzień”. Z ulgą zamknęłam książkę.

Rzadko kiedy z taką niechęcią czytałam książkę. Musiałam

się przemóc do lektury. Zerkałam w kierunku stosu z żurnalami dla gospodyń domowych, tych z oślimi uszami, które akurat zostały osierocone przez panią Duennbier. Pismo leżące na wierzchu znałam, ponieważ kupowała je i przynosiła do pracy Gretel Zupf, by w przerwie obiadowej pokazać koleżankom.

Właściwie nigdy nie ciągnęło mnie do lektury tego rodzaju pism. Teraz miałam ochotę przeczytać tygodnik od pierwszej do ostatniej strony. Tak, przeczytałabym nawet instrukcję, jak wykonać zasłonę z korków po winie, gdyby mi tylko pozwolili.

- A teraz Beniamin dentysta - oświadczył Bert.

- Pani Pfeffer z synami, Erniem i Bertem! Gabinet numer jeden!

- No proszę, wcale to długo nie trwało! - powiedziałam. Straciłam swoje cielątka z kolan i uradowana ruszyłam korytarzem, wdychając dentystyczny zapasek. - No, chodźcie bohaterowie! Nasza kolej!

Jednak moje cielątka zaczęły się opierać. Ich nóżki nie chciały ruszyć z miejsca.

- Możesz iść przodem! - zaproponował Emie. - Ja właśnie czytam.

- No, chodź, my oboje na pierwszy ogień! - zawołałam mocnym głosem.

Obok nas przepłynęła biała chmura i zniknęła za drzwiami, które za sobą zatrzasnęła.

- No, co boli? - zapytał nas doktor Geldmacher aksamitnym głosem, gdy drzwi znowu się otworzyły. - Brigitto! Dlaczego nikogo tu nie ma?

- Już idę!

W poczuciu obowiązku, jaki powinnam spełnić jako matka, truchtem pobiegłam do gabinetu, przekonana, że zawsze muszę świecić przykładem.

- Przepraszam, ale moi synowie właśnie są zajęci lekturą. - Przeprosiłam pomoc dentystyczną i sama wdrapałam się na fotel. - Czytają o Beniaminku Kwiatuśku u dentysty. Bardzo ciekawa rozprawka.

Doktor Geldmacher kręcił się koło umywalki. Brigitta zbliżyła się od tyłu.

- Tak być nie może! Opóźnicie całą pracę w gabinecie!
Pomoc podała mi serwetę. Jednym energicznym ruchem wyrwałam ją z jej rąk i wsadziłam za kołnierz.

- Zupa i danie główne, a potem deser! - zażartowałam.
Jednak tutaj nikomu nie było do śmiechu.

- Masz dwie godziny spóźnienia, Arwedzie! - zakomunikowała mężowi.

Wycierając ręce w ręcznik zapytał:

- Kto jest najpierw, Ernie czy Bert?

- To tylko ja, zielony Potwór Ciasteczkowy z *Ulicy Sezamkowej!* - odezwałam się.

Pomoc zachichotała.

- To matka chłopców - wyjaśniła Brigitta. - Nie była zapisana.

Pan doktor Geldmacher zauważył mnie dopiero teraz.

- No, co boli, gdzie boli?

- Tutaj! - powiedziałam i szeroko otworzyłam usta. No bo gdzie indziej, ty dupku! Przecież nie kolano!

Brigitta nalała wody do szklanki i walnęła nią o umywalkę.

- Niech pani idzie tam, a ja tu zostanę - zaczęła komendować pomocą. - I niech pani dopilnuje, by dzieciaki nie narzabiały!

O rety! Teraz byłam zdana na łaskę i niełaskę małżeństwa Geldmacherów. Ta myśl nie była miła. Pan doktor z zacięciem oglądał moją jamę ustną. Za pomocą małego lustreczka i haczyka obstukiwał każdy ząb. Tak samo jak tatusiowi z książeczki, której wychowawcze walory właśnie poznaliśmy. Tyle że w tej chwili działo się to naprawdę. Leżałam w fotelu błada i bezwolna. W pewnym momencie ukradkiem chwyciłam rękoma poręczę fotela.

Mnie to mało wzrusza - myślałam i przyglądałam się swemu odbiciu, które, zniekształcone niczym w krzywym zwierciadle, widniało nade mną na pobłyskującej chromem lampie. - Moje zęby są zdrowe.

- Ooo! - zawołał pan doktor, gdy już skończył obstukiwać i skrobać.

Co znaczy to „ooo”? Czyżby z moim śnieżnobiałym, tele-

wizyjno-serialowym uzębieniem było coś nie tak? Pani doktor Anita Bach nie ma paradentozy ani kamienia, ani nic się jej w ustach nie psuje, nie ma też w jamie ustnej żadnych ropnych krost. Pięć milionów emerytów może o tym zaświadczyć! Tylko lewa górna czwórka troszkę dokucza! Pan doktor Geldmacher na chwilkę odszedł ode mnie.

- *Karies profunda* - rzucił swojej żonie.

- Tego nam jeszcze brakowało! - odparła rozdrażniona małżonka. - Nie była w ogóle zapisana! Poza kolejnością!

- No, no! - pomyślałam. - Takim tonem się z własnym mężem nie rozmawia! Poza kolejnością? To się przecież zdarza! Ponadto ożywia to małżeństwo.

- Stan zapalny, ósemka! - powiedział doktor. - Nie wolno zaniedbać.

Ci dwoje to zgrana para. Żadnych zbędnych słów. Gustaw byłby zachwycony.

- Naprawdę mi się nie chce! - powiedziała żonka.

- Zero żywotności! - z żalem w głosie odpowiedział mąż.

- Bardzo mi przykro! - sepleniłam, by się włączyć do tej jakże ożywionej rozmowy.

- Obawiam się, że nie da się jej uratować. Trzeba ją wyrwać! - mruczał pod wąsem doktor. Wreszcie wyjął lustreczko z jamy ustnej.

- Nic nie szkodzi! - powiedziałam, siląc się na uprzejmość.

Znowu ja, dzielna i gotowa do kooperacji jak zwykle, aż do bólu dzielna...

- Proszę za mną! - poleciła Brigitta. Następnie zaprowadziła mnie do ciemnej komory. Tam mnie zamknęła. Szłam za nią posłusznie, z tą nieszczęsną serwetą na piersi. - Czy jest pani w ciąży? - zapytała dość obcesowo, zanim wsadziła mi coś w rodzaju biletu do ust.

- Nie! - wrzasnęłam, zanim zatrzasnęła za mną ciężkie stalowe drzwi.

Bilet kłuł mnie w podniebienie miękkie. Miałam nadzieje, że Brigitta nie każe mi trwać w tej pozycji zbyt długo. Po chwili energicznym ruchem szeroko otworzyła drzwi.

- Proszę za mną! - Oddałam jej rozmiękczonego bilet. Wróciłyśmy do gabinetu.

Po drodze zwracałam do poczekalni. Wszystko było w porządku. Bert i Ernie siedzieli zgodnie na podłodze, co było prawie podejrzane, i przeglądali wspaniałe żurnale dla gospodyń domowych. Od czasu do czasu wyrwali jakąś kartkę, którą starannie odkładali na osobną kupkę.

- To mama nam przeczyta i to... i to... to o traktorze, i to o kanclerzu, a ja popatrzę teraz na obrazki...

Doktor Geldmacher zdążył tymczasem obejrzeć moje zdjęcie rentgenowskie.

- Widzi pani, tutaj! - powiedział, pokazując palcem miejsce na zdjęciu. Był to obrzydliwy korzeń. - Tutaj widać zmiany wywołane paradentozą, a tu wgłębienia kostne z przebicciem w koronie zęba.

- Co pan powie! - zauważyłam, okazując zainteresowanie i niepostrzeżenie serwetą wytarłam pot z czoła.

- Ponadto ma pani cysty na dwójce i trójce - dodał doktor Geldmacher i autentycznie się zmartwił. - Czy ma pani czas?

- Arwedzie! - warknęła żona.

Zamknij mordę, stara kłepo - pomyślałam. - Taki sympatyczny i uprzejmy mężczyzna! Tak bym chciała, żeby mój mąż był tak elastycznym i chętnym do działania mężczyzną. A teraz ci pokażę, jak należy rozmawiać z Geldmacherem. Uprzejmie! I grzecznie!

- Ależ naturalnie, drogi panie doktorze! - odparłam uprzejmie. - Mam czas, bez ograniczeń! - W myślach pokazałam język nudnej i skwaszonej żonce. Dostaniesz kopa w tyłek za to, że jesteś taka upierdliwa.

- W takim razie niech pani siada! - Jej słowa zabrzmiały raczej kwaśno, ale przypuszczam, że już taka była. Ja chciałam się leczyć. Pragnęłam uleczyć wszystko, łącznie z dziurawymi korzeniami. Zawdzięczałam to książeczce. Mizerny tata utkwiał mi w pamięci. W porównaniu ze mną był mięczakiem. Wdrapałam się więc ponownie na dentystyczne rusztowanie, gotowa do kooperacji z doktorem, a Brigitta obniżyła i wyprostowała fotel. Mogłam wygodnie leżeć. Nagle ogarnęło mnie przerażenie,

że głową zsunę się do spluwaczki. Pan doktor Geldmacher wyszukał wśród swoich narzędzi tortur najładniejsze wiertło.

- Proszę szeroko otworzyć usta! Teraz będzie trochę bolało.

- Ależ proszę bardzo! Cierpienie sprawia mi przyjemność - zagruchałam.

Szkoda, że nie widzą mnie teraz chłopcy. Zobaczyliby, jaką dzielną mają matkę.

Otworzyłam szeroko usta, aż podniebienie miękkie załopotało na wietrze. Poddałam się swojemu losowi. Nie było sensu szukać rączki wąskoustnej żonki doktora.

Wiertło było jednym z tych dramatycznych sopranów, rozkrzyczanych bardzo, do których mam wielką słabość. Postanowiłam myśleć o rzeczach przyjemnych. To mi zawsze pomaga, gdy sytuacja staje się przykra. Zamknęłam oczy. Jaki jest ten doktor Geldmacher? Ma taką sympatyczną fryzurę. Jego dobrze ostrzyżony jeż eksponował wyraźnie mocno odstające uszy. Na pewno można się było ich wygodnie chwycić.

Histeryczne wiertło uderzyło w najwyższe tony. Zaraz osiągnie wysokie „c”. Głęboko oddychałam. Aż do przepony. Szczęśliwie wiertło borowało błyskawicznie. Stres łagodził strumyczek chłodnej wody, który towarzyszył pracy wiertła i uniemożliwiał odpryskom cementu lądowanie w żrenicy doktora.

- Proszę wypłukać usta. - Mistrz na chwilę przerwał borowanie i uśmiechnął się do mnie.

- Z przyjemnością, panie doktorze. - Odwzajemniłam jego uśmiech.

Brigitta podeszła, już wściekła, aby zmienić położenie fotela. Jednym ruchem ręki spowodowała, że fotel się wyprostował. Przejęta, zaczęłam płuć do spluwaczki. Fontanna wody z krwią i śliną chlusnęła w niebezpiecznej bliskości jej fartucha. Wszystko to znikło w bulgocącej czeluści spluwaczki. Hura! Czyż nie był to śliczny przyczynek do naszej nieapetycznej książeczki?! Tak sobie myślałam, podczas gdy strąkowata żonka dentysty ponownie uruchomiła fotel. Znowu leżałam jak długa.

- Jeszcze raz proszę szeroko otworzyć usta!

Starszy brat mojego histerycznie pracującego wiertła miał

inny charakter. Gdy doktor Geldmacher je włączył, rozległ się baryton. Beniamin Kwiatuszek jako dentysta.

Nie, proszę, nie, dosyć! Beniaminku, wyjmij trąbę z mojej jamy ustnej! To wcale nie jest dowcipne. Dziękuję, mam dosyć, chcę stąd wyjść.

- Proszę nie zamykać! - pan doktor usiłował przekrzyczeć hałasujący młot pneumatyczny.

Pomyśl o czymś przyjemnym, Charlotto - szeptała Anita Bach. - Pomyśl o Bożym Narodzeniu, o Wielkanocy, o Świętym Mikołaju. Pomyśl o swoich dzieciach i o tym, jak bardzo je kochasz. Nie! - Odezwała się we mnie diablica. - Pomyśl o czymś diabelskim! O czymś zdrożnym! O seksie z doktorem! O tym, jak lubieżnym ruchem wrywasz mu wiertło z dłoni, rzucasz się na niego i cała złana potem, szalona z pożądania, chwytasz go za uszy, podczas gdy on, zmagając się z tobą, usiłuje wsadzić ci wiertło całkiem gdzie indziej...

Moja niewinna rozrywka była bardzo przyjemna. Fantazja to coś najcenniejszego co człowiek ma, oprócz zdrowia i bliskich oczywiście. Przez moment nie myślałam o bólu. Znalazłam się w zupełnie innym, bardzo przyjemnym świecie.

Otworzyłam oczy i popatrzyłam na brwi Arnweda. Jego twarz była blisko mojej, tak blisko, że aż zaczęłam się obawiać, iż wraz ze swoim wiertłem wpadnie do mojej przepastnej paszczy, by na zawsze zniknąć w otchłani mego paskudnego charakteru. Być może nie miałyby nic przeciw temu. Gdy się zastanowić, przestaje to wydawać się takie dziwne. Mając taką nijaką i rozgrymaszoną żonę... Na pewno odmłodziłoby go to o całe lata. Niepostrzeżenie wbiłam paznokcie w przeguby rąk pana doktora, co na chwilę uniemożliwiło mu pracę.

- Odsysacz! - zawołał do Brigitty, nie przerywając rozpruwania moich nerwów za pomocą wiertarki śpiewającej barytonem. Brigitta podała taki sam ślinociąg, jaki z pokorą trzymał w ustach błądy tatuś, o którym była mowa w książeczce. To, jakże ciekawe urządzenie, Arwed lewą ręką usiłował mi powiesić na dolnej wardze. Aż bulgotało z radości, że może mi się przysłużyć. Jednak nagle gumowy wąż, całkiem śliski i miękki, zsunął mi się z dolnej, już mocno zaślinionej wargi na brodę, by

w końcu wylądować na moich kolanach. Gdyby tak sfilmować kamerą wideo to, co się właśnie działo, powstałby świetny film, który nadawałby się do przedstawienia w telewizyjnym konkursie najśmieszniejszych scen nakręconych przez amatorów. Widzowie pękaliby ze śmiechu. Taki gumowy, wilgotny wąż ześlizgujący się z wargi i wijący się na łonie pacjentki, ukrytym pod śliniaczkiem. Co za niegrzeczny chłopczyk z niego!

Pan doktor Geldmacher wyłączył barytonowe wiertło. Benjamin Wiertło zamilkł obrażony.

- Przepraszam! - powiedziała zmieszany doktor i zażenowany sięgnął tam, gdzie niegrzeczny wąż wił się niczym padalec. - Pozwoli pani?

Zagruchałam przyzwalająco. Pan doktor przez chwilę szukał wijącego się brzydkiego malucha. Uśmiechnął się do mnie przepraszająco. Wydawało mi się, że chce wydusić z siebie jakieś słowa przeprosin, ale nie jest w stanie wydobyć ze swej doktorskiej piersi ani słowa. Patrzył na mnie w osłupieniu. Halo, doktorku, czy wszystko w porządku? No, ruszaj się, z życiem! Już kipie! Wsadzaj go z powrotem! Doktorku, co z tobą? Doktorku, halo! Czy pan słyszy? Czy pan dobrze się czuje?

Powachlować? Czyżbym rzuciła czar? Czyżby?

Myślałam o tym - to prawda.

I coś spadło - nie da się ukryć.

I popatrzyliśmy sobie głęboko w oczy.

Boże! Ja wcale tego nie chciałam! Wszystko, na czym ci najmniej zależy...

To przekroczyło moje najgorsze zamiary.

Przełknęłam ślinę.

Akurat ten! Zbijający forszę facet o odstających uszach i szczecinowatych włosach! Co mam z nim teraz zrobić? Po co mi on? Będzie mnie teraz prześladował...

Brigitta energicznie podłączyła węża.

- Co się z tobą dzieje? Cheesz stracić jeszcze więcej czasu? Bądź tak uprzejmy i pracuj dalej!

Doktorek odłożył bartynową wiertarkę, swoją przyjaciółkę, i całkiem wytrącony z równowagi zaczął coś jąkać:

- Przygotuj hawarda.

Brigitta udała się na zaplecze, gdzie uruchomiła warcząca maszynkę.

- Mam nadzieję, że teraz będziemy się spotykali częściej! - powiedział, kładąc swoją dłoń na mojej. - Proszę, niech pani sama to potrzyma! - dodał i wsunął mi do ręki coś twardego.

Posłusznie wzięłam odsysacz i założyłam na wargę. Aparacik połykał głośno ślinę, jakby był świadom swej winy.

Ty kretyński aparaciku - pomyślałam wściekła. - Tobie to zawdzięczam! To tyś mi tego piwa nawarzył! Ja tego doktorka nie chcę! Za żadne pieniądze!

W czerwcu skończyłam pracę nad swoją sztuką.

Wiele godzin spędziłam na kortach, siedząc na ławkach dla publiczności w szkole szermierki i w szkole baletowej. Teraz sztuka była już gotowa. Zatytułowałam ją: *Czarny i biały pieprz*.

Pod tym tytułem sztuka miała zostać zaprezentowana publiczności. Był świetny. Pasował i do mnie i do sztuki. Odpowiadał mojemu charakterowi. Monodram dojrzały, ale nie nudny, miał bawić publiczność. I to wybraną publiczność. Na pewno nie nadawał się dla takich osób jak Berthilda, siostra z nocnej zmiany, która bała się ciemności.

Przepisałam sztukę na komputerze i wydrukowałam w trzech egzemplarzach. Na wypadek, gdyby ktoś zechciał ją przeczytać. Chciałam ją zagrać. I to jak najszybciej. Wreszcie chciałam być sobą. Tylko ja, Charlotta Pfeffer. Bez tego cholernego białego fartucha, bez tej kretyńskiej kokardy we włosach, już nie tak idiotycznie dobra i naiwna, porządna i nudna jak flaki z olejem. O nie, dosyć! Tym razem coś całkiem innego!

Marzyły mi się sceny studenckie, eksperymentujące - mały teatr idący własną drogą. Marzyły mi się warsztaty literackie dla kobiet i inne tego rodzaju postępowe imprezy.

Czy zbyt śmiało mierzyłam? Dlaczego miałabym nie spróbować? Zrobić coś, co chciałam zrobić! Przestać wykonywać to, co mi wciąż narzucano, przeżuwać wszystko za mnie. Dlaczego miałam być zawsze taka grzeczna i bezkonfliktowa?! Hulaj dusza...

Złożę tekst gdzieś w jakiejś agencji, może ktoś się nim zainteresuje. Najwyżej odrzuca. Niczego więcej zrobić mi nie mogą. Ale w której?

Pewnego pięknego letniego dnia odwiedziliśmy ponownie szczęśliwą rodzinę producenta środków biochemicznych do przyczep kempingowych. Pojechaliśmy do nich na działkę, do domu stojącego tuż obok zamkniętej trasy dojazdowej do autostrady.

W torbie miałam ze sobą egzemplarz mojego monodramu. Na wszelki wypadek. Mógł się przydać.

„Produkcja środków biochemicznych - dr Laddo” . Taki wielki napis z daleka widniał na różowym kontenerze. Pola rzepakowe kwitły, maki polne tudzież, a kontener zawierający środki klejące lśnił w słońcu.

- Achmed zrobił dzieciom klatkę dla królików! - Fanny krzyknęła z radości, kiedy podjechaliśmy autem na podwórko przyfabryczne wysypane żwirem.

- A macie króliki? - Wsiadłam z auta i wzięłam Fanny w ramiona. Jak zawsze cudownie pachniała kwiatowymi perfumami i wyglądała jak z pudełeczka. Jej usta zawsze były świeżo pociągnięte szminką! ZAWSZE! Za każdym razem, gdy ją odwiedzałam, była bardzo starannie umalowana. Jak ona to robi?!

- Tak! Achmed przywiózł wczoraj ze swojej ostatniej podróży służbowej dwa takie wielkie wałki!

Tu pokazała, jak wielkie są te wały. Od razu w myślach zobaczyłam Justusa, który zadowolony sam z siebie pokazuje swojego wałka: śmieje się gromko i teatralnym gestem demonstruje jego wielkość. W budowaniu klatek dla królików był naprawdę dobry!!!

- Czy Achmed przywiózł króliki swoim nowym BMW? Naprawdę?! - Ernstbert swoim BMW nie wzięby nawet autostopowicza, a co dopiero dwa króliki! - Czy przynajmniej były grzeczne?

Od razu wyobraziłam sobie, jak dwa tłuste króliki robią to po króliczemu na tylnym siedzeniu samochodu, stanowiącego

własność firmy Achmeda, gdy on sam obserwuje to zerkając w lusterko, co nie pozostaje bez wpływu na jego samopoczucie.

- O, były bardzo grzeczne! Achmed przypiął je pasami w fotelikach dla dzieci.

- Miał dobry pomysł!- pochwaliłam męża Fanny za jego zmysł praktyczny.

Ernie i Bert wygramolili się z auta. Fanny przywitała się z nimi serdecznie, tuląc do siebie.

- Witam was, dzieciaczki! Co dobrego u was słychać?

- Wszystko dobrze! - Bert był zmieszany. Jak na jego możliwości, odpowiedź była bardzo wyczerpująca.

- Ja też chcę królika! - zaczął niecierpliwie grymasić Ernie.

- Ależ oczywiście! Na pewno dostaniesz królika w prezencie! - Fanny roześmiała się. - Bert też dostanie królika! Ona wkrótce się okoci!

Boże, jakaż ta Fanny jest spontaniczna!

- Kiedy? Czy wkrótce? - zawołał Ernie, nie panując nad swoimi emocjami. - Nie mogę tak długo czekać!

- Stul pysk, ty dupku! - odezwał się Bert.

- A jak się króliki czują teraz? - Usiłowałam odwrócić ich uwagę. - Czy są bardzo przerażone zmianą otoczenia?

- Są troszkę wystraszone - Fanny znów się roześmiała. - Były tak przerażone, że grzecznie siedziały! Nawet nie nasiusiały ani nic w tym rodzaju! Achmed świetnie sobie radzi z królikami!

Znów przypomniał mi się Justus.

Ja potrafię przypiąć króliki! O tak! W przypinaniu królików pasami jestem dobry! Kiedyś przypiąłem dzikie świnię! I jelenie! A kiedyś nawet łosia! Ale kiedy przypinałem słonia, pękł pas! Cha, cha, cha!

Myśl o Justusie szybko od siebie odgoniłam. Fanny go zresztą nie cierpiała. Zawsze powtarzała, że to chwalipięta i bufon. Jak ona na to wpadła?!

- No i co dalej?

- Teraz siedzą w klatkach specjalnie dla nich zrobionych i dochodzą do siebie! A Achmed i dzieci krokiem nie ruszają się od klatek i czekają, kiedy zaczną się rozmnażać.

- Ja też chcę zobaczyć, jak się rozmnażają! - Bert zaczął

się entuzjazmować, co mnie mocno zdziwiło, bo była to nowa dla mnie cecha, której do tej pory u mojego pierwotnego nie zaobserwowałam.

Dzieci ruszyły biegiem do budynku fabrycznego, w którym produkowano środki biochemiczne do dezynfekcji i uszczelniania przyczep kempingowych. Budynek błyszczał w słońcu. Był, jak już wspomniałam, jasnoróżowy. Dochodził stamtąd radosny gwizd robotników. Wokół placu rozciągały się łąki i pola pełne maków, ziół, zielska i słoneczników. I chociaż działka leżała w pobliżu autostrady, skąd ciągle dochodził szum samochodów, czułam się tutaj bezpieczna i spokojna. Takich uczuć wcześniej nigdzie indziej nie doznałam. Co bowiem dają eleganckie krzesła dębowe czy komplet kuchenny w kolorze wiśni, jeśli ludzie, którzy tam mieszkają, nie są radośni?

- O Fanny! - odezwała się cała rozmarzona. - U ciebie zawsze świeci słońce! Objęła mnie ramieniem.

- Kochanie, czuję to samo, gdy widzę ciebie. Jesteś tak cudownie inna niż ta głupia i nudna doktor Anita Bach!

Padło zatem odpowiednie hasło.

- Fanny! Muszę ci o czymś powiedzieć!

- Jesteś w ciąży! - Fanny uśmiechnęła się ciepłutko.

- Nie, na miłość boską, nie! A zresztą z kim miałabym być w ciąży?

- W takim razie o czym mi powiesz? Jesteś taka tajemnicza, jak gdybyś coś przeszkrobała. Czy znowu zaczarowałaś jakiegoś faceta?

- Tak, też, dentystę. Niechący - przyznałam się nieśmiało. Fanny się uśmiechnęła.

- No i co? Jesteś pewna, że nie zaszłaś z nim w ciążę?

- Nie, jak to tej pory, nie zaszłam.

- A więc o co biega?

- Napisałam sztukę teatralną. Ale zachowaj tę wiadomość dla siebie.

- Napisałaś sztukę?!

- Tak! - Miałam nadzieję, że nie wyśmiej mnie teraz.

- Wspaniale! Opowiadaj! Sztukę dla kogo?

- Dla siebie - odpowiedziałam skromnie. - Ale czy to cię naprawdę interesuje? A może uważasz, że jestem zarozumiała?

- Ależ skąd! Opowiedz mi o tej sztuce! - Chwyliła moje ramię i potrząsnęła mną, bardzo przejęta.

- Chodź! - zaproponowałam. - Chodźmy na mały spacer!

W siostrzanej zgodzie obeszliśmy halę fabryczną, znaną już nam jako miejsce produkcji środków biochemicznych do dezynfekcji i czyszczenia wnętrz przyczep kempingowych, następnie pole słoneczników i zamkniętą trasę dojazdową do autostrady, na której Achmed zbudował dla swoich dzieci drabinki i huśtawki z pustych puszek po chemikaliach. Nad drabinkami, kładkami i wieżami z pustych puszek kołysał się balon, poruszany lekkim letnim wiatrem, a nad nim widniał następujący napis: „Odświeżacz powietrza doktora Laddo usuwa skutecznie nieprzyjemne zapachy w WC tudzież pleśń i zgniliznę w pomieszczeniach, w których panuje wilgoć”.

- A więc, moja sztuka nosi tytuł *Czarny i biały pieprz* - odezwałam się wreszcie.

- Fajnie! - Pochwaliła mnie. - Brzmi naprawdę ciekawie.

- Czy to aby nie za wiele dobrego?

- Nie! Skąd! Trzeba umieć się sprzedać! No, opowiadaj! - zachęcała.

Boże, jakie to cudowne, że ona po prostu tylko słucha. Bez reakcji typu: „Czyś ty oszalała, odbiło ci, rozum ci odebrało!” Ani też, że powinnam dostać na dodatek reprimendę. Ani tym bardziej komentarza: „Ja też potrafię napisać monodram”.

Stanęłam przed Fanny pośrodku jezdni prowadzącej do autostrady i zaprezentowałam jej tekst poświęcony Ernstbertowi. Z początku byłam strasznie zdenerwowana, ale potem nerwy ustąpiły i się uspokoiłam. Przecież nie muszę mieć tremy przed Fanny! Więc walnęłam mowę. Świetnie poszło, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Zdołałam nawet przekrzyczeć szum aut, dobiegający z autostrady.

- Świetne! - Fanny była zachwycona. - Ale mu przyłożyłaś! A co on na to?

- Kto?

- No, Ernstbert!

- Jesteś pierwszą osobą, która to usłyszała.
Fanny się roześmiała.
 - Przyjedź kiedyś do nas z tym swoim Ernstbertem!
 - Nie przyjedzie.
 - Achmed natychmiast by przyjechał i na dodatek przywiozłby swoją czterdziestoosobową rodzinę, gdyby dotyczył jej monodram.
 - Ale ja przecież jeszcze nie występuję. To tylko pierwsze podejścia, takie próby. Chcesz jeszcze posłuchać?
 - No jasne! Co masz jeszcze i komu do powiedzenia? Mam nadzieję, że powiesz kilka słów do słuchu Streitackerowi!
 - Oczywiście! - Tu wykrzywiłam twarz w grymasie, który miał oznaczać uśmiech.
 - Takich mężczyzn jak on jest mnóstwo! - Fanny zerwała jakąś trawę i w skupieniu zaczęła ją gryźć. - Twoja publiczność będzie miała się z czego pośmiać.
 - Chętnie najpierw zagrałabym ci monolog adresowany do Grety.
 - Jasne! - Fanny usiadła na odbojnicy i oddała się konsumpcji łożyczki. - Słucham.
- Kulisy z pustych puszek, stanowiących drabinki dla dzieci, były niepowtarzalne. Oparłam się o wielki, kolorowy kocioł do magazynowania masy lepiącej. Napis na nim brzmiał: „Płyn dezynfekujący, aktywny biologicznie, do toalet - rozkłada fekalia w toaletach samolotowych i w przyczepach kempingowych”. I w takim to otoczeniu, na pustej szosie, wykrzyczałam swój konflikt z matką.
- Niezły początek! - Fanny starannie położyła rozgryzioną łożyczkę na balustradzie i dodała: - Dołożyłaś jej niezłe. Powiedz bez ogródek, co myślisz o tym wszystkim. Podobne doświadczenia mają tysiące młodych kobiet, a ty mówisz w ich imieniu. To zresztą jest temat w ogóle do tej pory nie poruszany. Wskakujesz w pewną lukę rynkową. Ale cała rzecz koniecznie musi mieć *happy end*. Na koniec musisz wziąć matkę w ramiona, przynajmniej werbalnie. To jest bardzo ważne!
 - Przecież to zrobiłam!
 - Ale za mało! Uważaj, nie popadaj w łzawe uzalanie się

nad sobą! - doradzała mi życzliwie. - Masz trzydzieści kilka lat. Po trzydziestce nikt nie może za nic winić swoich rodziców. Ja tego też nie robię, a przecież pomyśl o moim ojcu, tym z Oberhausen! Musisz się zdecydować! Jesteś wolnym i świadomym swoich celów człowiekiem! I tak właśnie musisz się zaprezentować swojej publiczności. Przecież nie jesteś okaleczona psychicznie! Podobasz się sama sobie w roli istoty tak ułomnej? Jeśli tak, to udaj się na terapię, rzygaj i krzycz, ale nie pisz monodramów! Biadolenie o nieudanym dzieciństwie i braku pełnej rodziny nikogo nie zainteresuje. To już minęło! Jesteś przecież silną kobietą! Z dialogu z matką wychodzisz zwycięsko. Twoja publiczność musi się identyfikować z tobą! A więc zakończ sprawę pozytywnie! Daj jej dobre zakończenie. Niech się wszystko dobrze skończy!

- Dziewczyno, kochana ty moja, masz rację!

- A teraz tekst pod adresem pana Chwalipięty! - zaproponowała, bo była go bardzo ciekawa. - No, zaczynaj, chcę się trochę pośmiać! Mam nadzieję, że mu nieźle dołożyłaś! Czy on wie, że napisałaś monodram?

- Nic mu nie mówiłam!

- W takim razie milcz dalej! Niech się dowie z gazet!

- W przypinaniu pasami królików jestem dobry! - zawołałam teatralnym głosem.

- Przypinałem pasami już łosie i robiłem piaskownice z drzew, które sam zrąbałem! A mój niegrzeczny maluch jest odporny na alkohol i nigdy nie opada! Jest niezniszczalny i zby-tecz-ny!

Zaśmiewaliśmy się obie jak norki. To było cudowne! Wygłupiałyśmy się jak oszalałe. Nagle obie miałyśmy po szesnaście lat! Kierowcy na autostradzie popatrywali na nas ze swoich aut, niektórzy trąbili, a grzmiało to jak fanfary na naszą cześć. Niestety, nie wolno im było się zatrzymywać.

Nagle Fanny schyliła się i podniosła z ziemi jajko. Całkiem normalne kurze jajko.

- To ta Berta Meier! - zawołała. - Wbrew zakazom kręci się po tej drodze!

- Kim jest ta Berta Meier?

- Kura, rzecz jasna, a to jest kurze jajko.
- Co ty powiesz! Macie również kury?
- Oczywiście! Achmed chce, by nasze dzieci wychowywały się w możliwie naturalnych warunkach. Rankiem, jeszcze w koszuli nocnej, pędzi do kurnika i szuka tam jajek. Ale Berta Meier nie zaakceptowała naszego regulaminu domowego i znosi je obok autostrady. Chciałabym wiedzieć, co ona właściwie sobie myśli - dodała.

- Kury nie myślą - wyjaśniłam.

- Berta Meier myśli - Fanny była pewna swoich racji. - Jest to najbardziej nieposłuszna kura, jaką kiedykolwiek mieliśmy.

- Podarujesz mi jajko Berty? - zapytałam, poruszona jej słowami.

- Oczywiście! Na pewno chętnie zawrze z tobą bliższą znajomość, jestem tego 'pewna!

- A to niby dlaczego? Czyżby oglądała nasz serial?

- Regularnie! - Fanny była śmiertelnie poważna.

- Twoje kury oglądają takie bzdury? Pozwalasz im na to? - zapytałam, udając wielkie oburzenie. - Czy oglądanie naszego serialu nie odbija się na jakości znoszonych jaj? Teraz już rozumiem, dlaczego Berta niesie się w pobliżu autostrady! To jest nieme wołanie o pomoc, moja droga! - dodałam.

Fanny mi przerwała:

- Powinnaś przedstawić swój tekst Niedrichowi!

- Niedrichowi? Czy to nie ten facet z agencji we Frankfurcie, skąd bierzemy zawsze aktorów do *Naszego małego szpitalika!*

- Jedź do Frankfurtu! - powiedziała. - Zgłoś się tam ze swoją sztuką!

Jak już wspomniałam, agent nazywał się Niedrich. Obrzydliwy karzeł, z obrzydliwym fioletowym ropnym wrzodem na wardze.

Boże - pomyślałam - że też jeden facet może mieć tyle obrzydliwych cech naraz!

- Pani doktor Anita Bach! - powiedział, jakby szydził ze mnie, gdy sekretarka otworzyła drzwi do jego gabinetu. - W taki

oto sposób mam okazję poznać panią! Co panią do mnie sprowadza, śliczna pani?!

- Charlotta Pfeffer! - odpowiedziałam. - Nazywam się Charlotta Pfeffer. Na to jego „śliczna pani” chętnie bym odpowiedziała, mówiąc: „obrzydliwy facecie”, ale po prostu zabrakło mi odwagi.

Dziecko, idi doliną, a nie górą, patrz skromnie przed siebie, odzywaj się tylko wtedy, gdy cię o coś zapytają, uśmiechaj się miło i sprawiaj wrażenie osoby dobrze wychowanej. To dodaje uroku.

Podał mi dłoń usianą brodawkami, którą nieśmiało uściśnięłam.

Świetny facet do pracy w takiej agencji artystycznej - pomysślałam. - Kto sobie z nim poradzi, ten poradzi sobie w życiu z każdym problemem i nic nie będzie w stanie zwalić go z nóg.

- Dzień dobry! - brnęłam dzielnie. - Chciałabym coś panu zaprezentować.

- Czy będę jeszcze potrzebna? - zapytała sekretarka przez uchylone drzwi.

Pan Niedrich dał znak wolną rękę, że nie. Sekretarka zamknęła za sobą drzwi. Niestety.

- A co chciałaby pani mi zaprezentować?

Krasnal Nochal nie puszczał mojej dłoni. Na pewno zaraz wetknie ją w jakiś pień, zaklinuje i roześmieje się złośliwie. A wtedy z sąsiedniego pokoju wyjdzie kudłaty niedźwiedź i powali go jednym uderzeniem łapy. A ja wyjdę za mąż za tego kudłatego niedźwiedzia i wszystko dobrze się skończy.

- Sztuka teatralna dla jednej aktorki! - odpowiedziałam mocnym głosem.

- Kto jest autorem tego monodramu? - zapytał, puszczać wreszcie moją dłoń.

- Ja - odpowiedziałam. Widzisz, dupku!

- O, śliczna pani doktor wiersze pisze?...

Gnom cofnął się kilka kroków i oparł o rampę. Była to mała estrada, na której aktorzy prezentowali swoje umiejętności. Za-uważyłam, że musi sobie najpierw poradzić z ciosem w okolicę swego męskiego żołądka, jaki mu zadałam.

- Nie mam tytułu doktorskiego! - powiedziałam rzeczowym tonem, o co się bardzo starałam. - Wszyscy to mylą!

Widzisz, krasnalu, w taki oto sposób porównałam twój poziom intelektualny z poziomem pięciu milionów emerytów oglądających serial. I wszyscy znaleźliście się pod kreską.

Pan Niedrich zachował pokerową twarz. Jego ropna krosta na wardze błyszczała apetycznie w świetle reflektorów.

- W takim razie niech pani zaczyna! - westchnął protekcyjnie. Usiadł na estradzie, nóżki spuścił, tak że dyndały aż miło, i zza okularów wpatrywał się we mnie swoimi rybimi oczkami.

Ponieważ siedział na brzegu sceny, a ja nie chciałam, żeby gapił się na moje nogi, pozostałam na dole, na widowni. Pomyślałam sobie o Fanny. To mi dodało otuchy. Po trzech monologach jeszcze nie zasnął i nie spadł ze sceny, więc zerknęłam - wyczerpana już troszkę - na swego krytycznego mistrza. Twarz jego była spokojna, a mina niczego nie zdradzała. Obgryzał tylko oprawkę swoich okularów.

Dlaczego nie zawołał jeszcze: „Dziękuję, już mamy pewien obraz!” - i nie wypchnął mnie do sekretarki?

- Już pani skończyła? - zapytał wreszcie.

- Na razie tak! - odpowiedziałam.

Gnom intelektualista kiwnął głową z zadowoleniem, nawiasem mówiąc dość już łysawą. Przestał obgryzać oprawkę. Przemówił do mnie bardzo uroczyście:

- O, wie pani, ta cała pani doktor Anita Bach to bardzo interesujące zjawisko. To fenomen naszych czasów. Pisarka amatorka, która otwarcie przyznaje się do swego nowicjuszostwa. Co więcej, robi z tego coś, co sprawia jej dziką radość. Robi to z tupetem i dość arogancko. I to jest jej znak rozpoznawczy, jej logo. Na domiar wszystkiego zdaje się, że osobie tej może się udać wpłynąć na procesy, jakie zachodzą w kulturze i że za jej sprawą szereg negatywnych opinii o rozwoju literatury niemieckiej trzeba będzie zrewidować.

Kopa! Kopa! Kopa! Kopa w tyłek - pomyślałam. - Nie ma co kopać z przodu.

Ale on przestał mówić, jak gdyby odgadł moje myśli. Zakaszłał sztucznie i zapytał, czy nadażam za nim.

- Z łatwością - odpowiedziałam. Dziecinko, bądź skromna, patrz prosto przed siebie i zachowuj się naturalnie.

- Miliony ludzi zaczyna - ot tak, ni z tego, ni z owego - pisać, jak gdyby goniły ich Erynie, boginki kary i zemsty. - Pan Niedrich, wielce zadowolony z siebie, wykładał tonem profesorskim.

Erynie, chyba nie miałam tego w szkole, albo - co jest bardziej prawdopodobne - przespałam je. Gdy wrócę do domu, od razu sprawdzę w słowniku wyrazów obcych, co to słowo właściwie znaczy. Na pewno nic tam nie ma o boginkach, natomiast jest na przykład coś w rodzaju: „Erynie - grecko-prawosławne ropiejące sinoniebieskie wrzody. Występują najczęściej na górnej wardze, rzadziej na piętach”. Cha, cha, cha!

- Co pan powie! - rzuciłam, udając zainteresowanie tematem. Mój iloraz inteligencji - 70-90 IQ w stanie śmierci pozornej! - oraz twarzowa sukieneczka sprawiły, że mogłam ogarnąć cały problem: ten pan zainteresował się monodramem i okazuje mi swoją zyczliwość.

„Tik, tik, tik!”

- Nagle za pisanie wzięli się jacyś nie-profesjoniści! To teraz nagminne zjawisko! - zawołał impresario, a w jego głosie zabrzmiała nutka zawiści. - Piszą muzycy, modelki, prostytutki. O, co ja mówię - gwiazdy pomo! Czyli osoby, którym dawniej ryzyko sięgnięcia po pióro nie przychodziło tak łatwo, a tym bardziej złożenie wizyty agentowi z klasą (mówiąc to, ten stary złośliwiec miał siebie na myśli!).

Zmienił nóżki: ta, którą uprzednio przełożył przez kolano, służyła teraz za podpórkę. I spojrzął na mnie z triumfem znad swoich obgryzionych okularów.

- Odważnym szczęście sprzyja! - odezwałam się śmiało. - Trzeba czasem zaryzykować!

Charlotto! Czy nie za dużo sobie pozwalasz? To nie jest odpowiedni ton! Za dużo poufałości, a za mało znajomości! Przeprós natychmiast! Twoje uwagi są w złym tonie!

- Czy wraz z tą nową falą domorosłych pismaków i innych

pseudoliteratów pojawi się - że tak powiem znikąd - także nowy rodzaj publiczności teatralnej i literackiej? Czy ci nowi pseudoczytelnicy, pseudoliteraci, dyslektycy - łącznie z komputerowcami i pasjonatami telewizji, telemaniakami, którzy z natury rzeczy są wrogami słowa pisanego i mówionego - czy oni czytują to, co pisują literaci amatorzy, ci niby-pisarze? Czy raczej są to rzesze jeszcze-gospodyń domowych lub już-nie-gospodyń domowych, które dążąc usilnie do emancypacji, nagle tworzą nowy front czytelników i widzów teatralnych, czerpiąc chochłą z kultury, zamiast tę chochłę szorować w kuchni?

- Może to dlatego, że istnieją już zmywarki do naczyń - przerwałam mu jego wywody. - Taka gospodyni domowa, która ma dysleksję, a czuje się nie doceniona i nie spełniona, sama z siebie sięga po książkę, bo się nudzi.

Pan Niedrich udał, że nie słyszy.

- No, a wymagania, jakie się stawia poetom?! Co z nimi!? Nagle się je gdzieś chowa, skrywa bezwstydnie i bez skrupułów w najciemniejszym kącie piwnicy! Jak gdyby były czymś zbędnym, już nikomu niepotrzebnym, takim obitym wiadrem! Być może już sam gest odrzucania, negacji, sprawia czytelnikom i widzom teatralnym sporo radości? - popisywał się dalej swoimi pseudomądrościami.

- Być może! - wtrąciłam. - Czy w tym kontekście mogę się spodziewać stanowiska pana w sprawie mojej gotowości pośredniczenia między tymi grupami?

Powoli ogarniał mnie zły humor. Jak śmiał ten gnom Nosal wygadywać te nic nie mówiące, puste frazesy!

Splawiony krytyk staje się sfrustrowany i odczuwa potrzebę satysfakcji, a nawet pała żądzą zemsty, co jest zresztą zrozumiałe. O, gdyby mógł wystawić autorce świadectwo jej grafo-manstwa! Ale nie! Anita Bach nie jest beztalenciem! Nie jest kobietą niewykształconą, pochodzi bowiem z dobrego, mieszczkańskiego domu. Ma umiejętności, i to spore, jej retoryka jest zręczna, ma też towarzyska ogładę. A ponadto ma coś, czego nauczyć się nie sposób: poczucie humoru! Czuję komizm!

Ponadto ładne nogi, ty dupku - pomyślałam. - Jesteś po prostu zazdrosny, ty stary złośliwce.

- Kompozycja całości jest jednak bardzo słaba. Choć przyznać należy, że autorka bez trudu składa krótsze sceny i czasem udaje jej się napisać krotchwilny dialog.

Dwa plus, siadaj! - pomyślałam.

- Czasem ujawnia się jej oryginalna fantazja. Gdyby trochę nad tym popracować mielibyśmy do czynienia z groteską - i to całkiem niezłą!

- Trochę popracować... - powtórzyłam z żalem w głosie.

- Co o niczym nie świadczy! - odpowiedział pan Niedrich i czujnie zeskoczył ze sceny. - Co o niczym nie świadczy!

Zerwał okulary z nosa i ponownie zaczął je obgryzać.

- Jak już powiedziałem: poziom intelektualny tego nowego rodzaju widzów odpowiada poziomowi pani sztuki!

- Jeśli chodzi o *Nasz maty szpitalik*, to ma pan rację! - przyznałam.

- Dotyczy to również *Czarnego i białego pieprzu* - wpadł mi w słowo. - Epatuje pani półinteligentów i ich zwabi pani do teatru!

- A trzyćwierciowychinteligentów? Ich również? - zapytałam, żywiąc nadzieję.

- Być może! - odpowiedział. - Niektórych. Ze względu na swój wygląd i temperament. Dowcip, seks i tupet. Ma pani wszystko. To się podoba.

Wziął mnie pod rękę i skierował ku drzwiom.

Puść mnie, obrzydliwe - pomyślałam. - Sama wiem, gdzie są drzwi.

- Proszę się teraz udać do mojej sekretarki, by zwróciła pani poniesione koszty. Odezwę się wkrótce.

Deszczowa niedziela w maju. Dzieci znów zignorowały moją słodziutką prośbę, bym mogła pospać przynajmniej do ósmej godziny.

Zaspana schodziłam dość chwiejnym krokiem po schodach na parter. Wczoraj bardzo późno położyłam się spać. Kręciliśmy do późna, do drugiej. To było takie ROMANTYCZNE! Justus i ja całowaliśmy się! Godzinami! Przed kamerą! Akurat śnił

mi się ciągnę dalszy. Nie budziłam męża. Niech się wyśpi! Jak zwykle.

- Co robimy? Mamo!

- Disneyland. Mamo, jedziemy do Disneylandu.

- Ale Disneyland jest na Florydzie.

- No to co? NIGDY nie jeździsz z nami tam, dokąd chcemy!

Zawsze tylko do tego głupiego lasu albo nudnego ogrodu zoologicznego! I nudzimy się w domu!

Ernie rzucił się na dywan i zaczął głośno płakać. Jak prawdziwy aktor. Bert siedział nadąsany w kącie. Nawet jego głupi komputer dzisiaj go nie interesował. Moje biedne, zaniedbane dzieci! Ja - zła matka. Stałam w płaszczu kąpielowym, pytając je, czego właściwie chcą. Najpierw pytam, a potem nawet nie spełniam ich życzeń! A ojciec? Co ze złym ojcem? Trzecia faza snu, jeśli w ogóle!

- Chcę mieć innych rodziców! - dąsał się Bert.

- Ja też! - darł się Ernie. - Właśnie całowałam twój obraz, ale teraz, mamo, już nigdy tego nie powtórzę!

- Całowałeś moje zdjęcie?

- Tak, tutaj! W tej głupiej gazecie telewizyjnej! Przecież to ty, prawda? Całowałam! Możesz zapytać Berta!

- Całował! - potwierdził Bert, który, zażenowany, siedział w swoim kąciku przy komputerze. W rzeczy samej. Zdjęcie przedstawiające doktor Anitę Bach umazane było płatkami owsianymi. Moje kochane dziecko! Pogłaskałam go po potarganych włosach. Ernie jednak nie reagował.

- Jeśli nie pojedziesz z nami do Disneylandu, nigdy więcej nie pocałuję twój zdjęcie!

- Kiedy skończycie siedem lat?

- Trzeciego sierpnia! Przecież dobrze wiesz!

- W porządku! Trzeciego sierpnia pojedziemy do Disneylandu, do Bruehl. Czy to wystarczy?

- To nastąpi dopiero za sto lat! - Bert był nadal obrażony.

- Albo dopiero za tysiąc! - Ernie, zrozpaczony, rzucił się na kanapę. - Nikt nie chce się z nami bawić. Nikt! Głodujemy tutaj! Umrzemy wkrótce!

Rozgrywająca się scenka była tego rodzaju, że postanowiłam

ją jak najszybciej zgłosić jako świetny pomysł literacki w agencji artystycznej pana Niedricha. Potem zaklaskałam w dłonie, tak jak to mają w zwyczaju robić dzielne mamy.

- Dziś będzie coś wspaniałego! Mam pomysł!

Dwie buźki, zalane łzami, odwróciły się do mnie. Bert znalazł za komputerem swoje cukierki lukrecyjne, których od dawna już szukał i teraz je żuł, czekając na dalszy przebieg wydarzeń.

- Dziś pojedziemy popływać!

Zero reakcji. Nikt nie zawołał „hurrra!”, nikt nie pobiegł po kaczuszki, nikt nie zatańczył z radości, nikt nie zaczął nadmuchiwać zielonego krokodyla. Nikt. Zasłużyłam na to. Ja będąc dzieckiem... ja skakałabym z radości pod sufit, tańczyłabym ze szczęścia po naszym małym dwupokojowym mieszkanku, zapomniiałabym o czesaniu frędzli i cieszyłabym się! Krzyczałabym z szczęścia!

- Czy przynajmniej do aqualandu? - zapytał wreszcie Bert, gotów pertraktować.

Dlaczego koniecznie aqualand? - pomyślałam. Że też zawsze musi to być jakiś land: aqua-land, disney-land... Za moich czasów była to po prostu pływalnia, kryty basen! I już. Właściwie miałam na myśli naszą starą, dobrą pływalnię miejską. Tam chciałam z nimi pójść. W tej właśnie pływalni przed dwudziestoma sześcioma laty pan trener Wodogłowy nauczył mnie pływać. Tam zrobiłam kartę pływacką. To była taka pływalnia, gdzie obowiązywały czepki kąpielowe, a ściany i podłoga basenu wyłożone były ciemnozielonymi kafelkami. Znajdując się tam, umierałam z dziecinnego szczęścia. Zwłaszcza gdy Greta naszyła mi na kostium kąpielowy jasnoniebieską, wyblakłą odznakę z jedną falą. Ale jakie znaczenie mają dziś wyblakłe odznaki!

- W aqualandzie są superzjeżdżalnie z przygodami!

- I gąsienice giganty!

- I ślimaki zakrętasy!

- I podwodna restauracja! - dodał Bert. - Dają tam frytki, hamburgery, pizzę i lody.

- Pod wodą? - zdziwiłam się.

- Nie, mamo, posłuchaj, ja ci wytłumaczę. To jest tak. Sie-

dzisz w kąpielówkach pod taką kopułą szklaną, a wokół ciebie wszyscy pływają, i widzisz brzuchy, nogi, a ty sama możesz sobie spokojnie przy tym jeść. - Raczył mnie oświecić mój zazwyczaj lakoniczny pierworodny i uczynił to z jakimś entuzjazmem. Ku mojemu zdziwieniu zresztą.

- To jest odlotowe! - skomentował Ernie, a oczy mu błyszczały z zachwytu.

Zapomniał już o łzach, które przelał przed chwilą, a które miały świadczyć o jego frustracji. Wytarł je w rękaw piżamy, ot i wszystko. Nie paliłam się do takiego spędu w olbrzymiej krytej pływalni, która była zarazem centrum rozrywki. Tego typu przybytki charakteryzują się tym, że wszędzie zalegają pozostawione przez gości kłaki i rozmiękłe plastry przeciw odciskom, mażą się resztki szamponów, siusiu i brud nie domytych ciał, walają się wkładki do majtek, rozdeptane ciastka i inne słodycze. Nie mówiąc już o tym, że nie ma ani jednego wolnego leżaka, w którym można by poleżeć i marznąć, popatrzeć na tę hałasującą tłuszcę, dostającą małego rozumu. Nie pociągał mnie też przy jedzeniu widok ani ciał, ani rozmiękłych stóp w chlorowanej wodzie. I nie sądzę, żeby mi smakowała letnia pizza - sporządzona według receptury tegoż przybytku - podana przez spoconego halowego, biegającego w nieodczownych plastikowych klapkach, który, w złym humorze, występował tam również w roli kelnera. Sama myśl o tym (byliśmy jeszcze przed naszym śniadaniem) wywoływała u mnie odruch wymiotny.

Odczuwam niechęć to tego rodzaju zakładów rozrywkowych, w których nie można spokojnie i systematycznie odpracować tych dwóch tysięcy metrów, pływając tam i z powrotem, gdzie nie można przepłynąć iluś tam basenów, by ćwiczyć silną wolę, bo właśnie jakiś dziadek w czepku z makulatury, z wnuczkiem i gumowym zwierzakiem, płynie w poprzek, a breja - aż ciepła od moczu i pływających w niej ciał - napawa mnie najgłębszym obrzydzeniem. Równie nieapetycznie wyglądają styropianowe deski do pływania, którymi się posługują i starzy i młodzi - nadłamane, nadgryzione, rozmiękłe i pokryte śluzem. Na nich to wszyscy, kto żyw, położywszy się, unosi się na falach i odpręża, co widać po minach. Na nich robi się dyskretnie niejedno

siusiu. Pływać w takiej kupie śmieci i brudu nie chciałam. Za żadne pieniądze!

- Dzieci... nie, proszę! - zaczęłam. - Myślałam właściwie o naszej pływalni tutaj...

- NIGDY nie spełniasz naszych próśb! ZAWSZE musimy chodzić z tobą do tej głupiej pływalni bez zjeżdżalni i bez gigantów ślimaków! Do tego głupiego Fischénich! - Ernie zaczął znowu wyć. - Tam nie ma frytek!

Postanowiłam na razie zakończyć dyskusję na temat spędzania wolnego czasu w niedzielę i udałam się do kuchni, by wstawić wodę na jajka. Jajko Berty też tam było. Gdy kroiłam kiełbasę, reklamowaną uparcie za pomocą hasła: „Ta kiełbasa jest dobra dla mnie”, i ubierałam ją starannie posiekaną zieloną pietruszką, w drzwiach kuchni stanął Ernstbert. Miał na sobie szlafrok, który się rozchyłał na brzuchu, ukazując owłosiony pępek. Jego mały przyjaciel spał jeszcze ukryty w fałdach szlafroka frottó. Ernstbert obdarzył mnie pocałunkiem na dzień dobry, mało apetycznym, nieświeżym, pachnącym wczorajszym dniem, i podrapał mnie nie ogoloną brodą.

- Dzień dobry, kochanie, już wstałaś?

- Musiałam - odpowiedziałam lakonicznie. - Dzieci chcą jechać na pływalnię.

Jaka ja jestem biedna! To ja zawsze muszę jeździć na pływalnię. Czy chcę, czy nie!

- Ależ znowu hałasowaliście! - Ernstbert zganił nas. - Nie można spać w takim hałasie!

- Jak to miło z twojej strony, że jednak przebywasz wśród nas! - odpowiedziałam łagodnie. Wyciągnęłam camembert z pudełka i podetknęłam mu pod nos. - Przyjemny zapach?

- Hm, pobudzający! - odpowiedział i zaczął rozwiązywać pasek u mojego szlafroka.

- Nie tutaj! - syknęłam. - Dzieci!

- A teraz pójdą na górę, a nam włożą kasetę do magnetowidu! - Bert zaczął już narzekać. - WCIAŻ musimy oglądać filmy!

- NIGDY więcej nie pocałuję twojego wizerunku! - Ernie sapnął ze złości, siedząc nad miską z płatkami kukurydzianymi.

Popijał kakao przez rurkę, głośno chlipiąc i siorbiąc. - NIGDY WIĘCEJ!

- *Catuję pani dłoń, madame!* - zachrypiał Ernstbert. W tym momencie olśniło mnie: był w dobrym humorze! I w nastroju do różnych haniebnych postępków.

- No, co jest?! - zawołałam radośnie. - Tata pojedzie z wami na pływalnię! No co, uda się nam go namówić?

Dzieci zamilkły porażone moimi słowami. Tego jeszcze nie było! Tata z nimi gdziekolwiek? A co dopiero na pływalnię! Taką rozrywkową!

- Tylko bez takich podchodów! - powiedział Ernstbert poważnie. - Nie pójdę na pewno do takiego przybytku, gdzie jeden delikwent siedzi na drugim. Mógłbym spotkać swoich partnerów i innych klientów.

- Miałam na myśli pływalnię w Fischenich - zaczęłam tłumaczyć. - Tam będzie dziś pusto! Woda jest chłodna, a kafelki są takie zielone! Można by znowu popływać, zrobić ze dwa tysiące metrów... A potem moglibyśmy pójść na spacer wokół jeziora i wypić gdzieś dobrą kawę...

Pamiętaj dziewczyno, by zawsze chodzić doliną i być skromną. Proponować taktyczne kompromisy, delikatnie i dyplomatycznie. Mądra kobietka-kurka domowa potrafi to doskonale, wie, jak radzić sobie z kaprysami i grymasami pana i władcy. Bez trudu nim manipuluje tak, by kaprys zaowocował czymś, co ma jakiś sens w procesie wychowania dzieci i odpowiada interesom rodziny.

Dzieci były bliskie samobójstwa. TO GŁUPIE jezioro Bleibtreusee! Głupia pływalnia! Głupie życie! Innych rodziców chcemy mieć! Wciąż jesteśmy głodni, wciąż oglądamy kasety i nudzimy się straszliwie, w lesie miejskim wciąż pada deszcz, a na obiad jest znowu ryba!

- Niedawno współfinansowaliśmy hotel w Eifel. Przy hotelu jest basen solankowy - powiedział tata.

- Co takiego?

Dzieci podniosły pyszczydła, na których znów pojawił się cień nadziei.

- Basen solankowy. Woda morska o wysokiej zawartości soli.

Dobre na astmę i choroby nerek, wszelakie choroby skórne. Ponadto jest tam sauna i grotą z ciepłą wodą. I ławki do opalania i pomieszczenie do inhalacji oraz strefa dla nudystów - na świeżym powietrzu! Ponadto można się poleczyć metodami księdza Kneippa, pochodzić boso po zimnych kamieniach i tak dalej. No i mają tam dobre żarcie.

- Czy to taki rozrywkowy przybytek?

- Co najmniej rozrywkowy! - odparł i był uprzejmy wsunąć rękę pod mój szlafrok, co rokowało dość dobrze. - Woda tam jest tak mętna, że można się świetnie zabawić.

- Nie chcę chodzić boso po zimnych kamieniach! - rozryczał się Ernie. - ZAWSZE muszę chodzić boso po zimnych kamieniach! Tata robi nas w konia! Zaraz będziemy musieli oglądać kasetę i nudzić się przy tym okropnie!

- Ja chcę pojeżdżać! - Bert był innego zdania. - Chcę pojeżdżać i nic ponadto. Czy oczekuję zbyt wiele?! - Obrażony wioskował łyżką, pochłaniając płatki czekoladowe z witaminami i wapniem na mleku, te często reklamowane w telewizji, kiedy to mleko przeobraża się w kakao.

Wiedziałam, że Ernstbert nie ma zamiaru sobie pojeżdżać. Nigdy nie zjeżdżał. Taki mężczyzna jak on nie zjeżdża.

- Pojeżdżać możesz sobie na każdym placu zabaw! - odpowiedział. - Ale w basenie z wodą solankową jeszcze nie byłeś. To wyjątkowa woda. Jest tak słona, że nie możesz się w niej utopić! *Leżąc* w wodzie można czytać gazetę!

- Ernie, to przecież coś dla ciebie! - zachęcałam. - Nie możesz utonąć, nawet gdybyś przy tym czytał gazetę! Spróbuj chłopcze, tylko spróbuj!

Ernie wysmarkał nos w swoją serwetkę. Jakiś promyk nadziei. Chyba się udało! Przekonałam go. Już nikt nie ryczał i nie wył. Nikt już nie chciał innych rodziców. Zerknęłam, cała w nerwach, w kierunku gotujących się jajek. Jajko Berty głośno lamentowało: „Dziewczynko, wyciągnij nas! Już dawno się ugotowałyśmy!”

Odsunęłam od siebie Ernstberta ruchem grzecznym, lecz stanowczym, i ostudziłam jajka. Lodowato zimne jajko Berty w skorupce - twarde jak kamień! No, czyż nie jest to dobry

początek niedzieli spędzonej na imprezach rozrywkowo-zabawowych w rodzinnym gronie!

- No? Na co czekamy w takim razie?

Hotel w Eifel wybudowano nad sztucznym jeziorem, w którym spiętrzone wodę. Po dwugodzinnej podróży autem w deszczu i niedzielnym ruchu dojechalśmy szczęśliwie na miejsce. Nie skłamię, jeśli powiem, że wyprzedziłam ośmiu kapitanów sterujących oplami w towarzystwie ukapeluszonych małżonek, pięć traktorów wracających po sumie do wioski, dwanaście innych samochodów osobowych, które na pewno nie miały czwartego biegu i w których na tylnej półce tkwiła dumnie rolka papieru toaletowego w nieodzownej koszulce zrobionej szydełkiem przez mamuszkę. Co drugi samochód osobowy w Eifel miał naklejkę informującą o tym, że kierowca chętnie hamuje przed zwierzętami, a reszta jechała w myśl zasady, że cały urok jazdy samochodem tkwi w hamowaniu! Po półtoragodzinnej jeździe dzieciom już się znudziły ciągłe pytania: „Kiedy wreszcie dojedziemy?” Obaj zasnęli mocno.

Wreszcie dojechalśmy. Zaparkowaliśmy koło jakiegoś płotu ze sztachet, niedaleko budynku, z którego wydobywały się kłęby gorącej, wilgotnej pary. Wyglądało to ciekawie. Cicho, żadnych wrzasków, gwizdów, żadnych przepychanek. Nie słyhać tupotu bosych stóp dziecięcych, ani widu bud z frytkami i kiełbaskami. Pusto i cicho. Cudowna cisza w niedzielne przedpołudnie, kiedy to rozpadało się na dobre. Jest maj! Las. Jakiś kos pogwizduje na płocie, ćwicząc wytrwale tercję, a krople deszczu spływają mu po dziobku.

Ernstbert odpiął pasy.

- No i co teraz?

- Śpią! - odpowiedziałam.

- No to ich obudź! - Ernstbert na to. - Nie po to jechałem dwie godziny w deszczu, i to w wolną niedzielę, by teraz siedzieć pod płotem. Czy ty wiesz w ogóle, ile mam pracy w domu?

- Halo, myszki moje! Jesteśmy na miejscu! - zakwiliłam.

Ostrożnie otworzyłam tylne drzwi. Świeże powietrze na pewno orzeźwi dzieci i postawi je na nogi. Główki leżały przechylone, policzki zaróżowione - jaki uroczy widok! Uosobienie niewinności i szczęścia dziecinnego. Nie sprawiały wrażenia, że w tym momencie chciałyby mieć innych rodziców. Kwiatuszki moje kochane, jak słodko śpią!

- Nie mogę ich obudzić - powiedziałam. - Skoro są tak zadowolone i tak dobrze im się śpi!

- No tak, czyli zostawimy ich tutaj? - zapytał. - Proszę bardzo, jeśli o mnie chodzi...

Wstał i wygrzebał swoje przybory z kufra. Torba ze świńskiej skóry aż zatrzeszczała. Nie zamykała się, tak była załadowana. Na samej górze leżały instrukcje obsługi i czasopisma gospodarce. Było ich mnóstwo. Torba się ugiwała. Nie zabrakło też telefonu komórkowego wraz z zapasowym akumulatorkiem, pękatego terminarza - ciężkiego jak diabli - i brzuchatego, rocznego abonamentu miesięcznika „Nowa Niemiecka Lokata Kapitału”, walkmana ze słuchawkami i kasety z odprężającą muzyką na fletni. To wszystko znajdowało się w torbie z przyborami niezbędnymi do spędzania wolnego czasu! Ernstbert spragniony przyjemności i zabawy! Nie sposób było nie dostrzec tego!

- Idź przodem! - powiedziałam stłamszona. - Nadejdę z nimi, jak tylko się obudzą!

Ernstbert gwałtownie zaprotestował.

- To typowe dla ciebie! Zawsze musi być tak, jak ty chcesz. Jeśli ci to odpowiada, możemy niedzielę spędzać osobno! Proszę bardzo! Kiedy już się zbiorę, żeby spędzić jeden wolny dzień z rodziną - bo przecież to ty chciałaś na pływalnię, a nie ja! TY, chociaż ja naprawdę mam mnóstwo PRACY - i kiedy jedziemy dwie godziny w deszczu i ty ustawiasz się gdzieś pod płótem, a dzieci śpią, po prostu śpią, to ja wychodzę na idiotę. Czy ty naprawdę sądzisz, że mnie się chce moczyć w jakiejś słonej zupie? Samemu? Czy naprawdę tak musi być? Czy na tym polega sens naszego małżeństwa?

- Zaraz dojdę! - usiłowałam go przekonać. - Daj im troszkę pospać. Wstały dziś bardzo wcześnie, a wczoraj poszły spać dopiero o dziesiątej!

Wczoraj, w sobotni wieczór musiały koniecznie obejrzeć *Widowisko za sto tysięcy marek*, bo mnie nie było w domu. Ten niby-rodzinny teleturniej wciągnął ich tak, że siedzieli z zaciśniętymi pięściami i zaczerwieniem, niczym upiory Luwru, przed telewizorami, podczas gdy Ernstbert zasnął na kanapie, czytając czasopismo „Nowa Niemiecka Lokata Kapitału”.

Chłopcy przynieśli sobie materace z piwnicy, zsunęli trzy miękkie fotele do oglądania telewizji wokół stolika koktajlowego, z dwóch pledów zrobili jaskinię i siedząc w niej, ciężko zresztą przerażeni, zajadali się minijogurtami, popijając je sokami owocowymi. Trzy pary uczestniczące w teleturnieju usiłowały wyliczyć pięć stolic europejskich, co niemal przepłaciły udarem serca. Złani potem, w słuchawkach na głowie musieli odpowiedzieć na to pytanie bezpośrednio po przydźwignięciu z pobliskiej zwirowni do studia tuzina palących się worków, które ułożyli na stosie. Potem musieli się na nie wdrapać, choć sami zaczęli się już palić, a przed zejściem z tego padołu też musieli jeszcze głośno wykrzyknąć nazwisko znanego piosenkarza i wsadzić niewłaściwy klucz do nie tego auta, by wreszcie pokazać kamerze tabliczkę na napisem: NIE!

Ernie i Bert zerkali na przebieg wydarzeń podczas teleturnieju tylko jednym okiem, całkowicie schowani pod pledem. Byli tak przejęci i przerażeni, że tylko w czasie wstawek na reklamę - kiedy to Kaśka piecze ciasto na margarynie - odważyli się wyjść na siusiu.

Sprawa była jasna: członkowie naszej rodziny byli dzisiaj wyczerpani i strudzeni.

Ernstbert ruszył w kierunku recepcji hotelowej, trzymając krzepko w dłoni torbę z przyborami i kręcąc głową z dezaprobatą. Wiedziałam, że go rozniewałam. Teraz nie da się szybko namówić na ponowną wspólną wycieczkę niedzielą. Prawdopodobnie nigdy więcej. Z nami ZAWSZE mu nudno.

Dziewczyno, znowu zawiodłaś. Zawaliłaś sprawę, twoja wina! Wszystkie starania na darmo. Teraz możesz odnieść z powrotem palące się worki. Dostałabyś nagrodę, gdybyś się spisała. Byłabyś w basenie solankowym ze szczęśliwą rodziną. Tata, mama i dwoje dzieci. Podniosłam tabliczkę z napisem: NIE! i z wy-

muszonym uśmiechem na ustach przyjęłam nagrodę pocieszenia. Na głowę naciągnęłam kaptur i zaczęłam spacerować po parkingu tam i z powrotem. Deszcz lał, a ja krążyłam wzdłuż płotu. Kręciłam się bez celu, a towarzyszył mi jedynie monotony a wytrwały gwizd kosa, któremu krople deszczu spływały po dziobku. Wsunęłam ręce do kieszeni żółtego płaszcza przeciwdeszczowego - mojej ukochanej peleryny - i zaczęłam się zastanawiać nad sobą.

Dziewczyno, ty flejtuchu, znów wszystko zrobiłaś na opak. NIGDY jeszcze nie udało ci się usatysfakcjonować dzieci i męża. Za żadną cenę! Wszyscy są nadszani i niezadowoleni. Obrażeni i znudzeni. Jeden chce jeść, drugi oglądać telewizję, trzeci chce spać. Nie ma widoków na wyjazd do Disneylandu czy nowoczesnego, krytego basenu, na dworze pada deszcz, a na obiad codziennie ryba! A przecież Ernstbert nie ma zbyt dużo wolnego czasu! I nagle naszła mnie pewna myśl. Była to niedobra, niewdzięczna myśl, że życie BEZ Ernstberta byłoby - być może - mniej wyczerpujące. Nie miałam najmniejszej ochoty na wizytę w tym drogim i sterylnym basenie. Tak naprawdę nie pragnęłam tego. Gdzieś w głębi duszy czułam, że robię to wbrew sobie. I gdyby nie Ernstbert, który siedział już wewnątrz, obrażony, urażony, zerkający na swój wodoszczelny zegarek dla nurków, tobym najchętniej przejęła ster, ustanowiła własne kryteria i sama podjęła decyzję. No bo przecież taki basen z solanką to niewłaściwe miejsce dla dzieci! O wiele chętniej wybrałabym się z nimi do lasu, na spacer w deszczu. Szukalibyśmy razem chrabąszczy, mieszkających gdzieś pod korą starych drzew, łazilibyśmy po kałużach i śpiewali na całe gardło *Kamień na kamieniu...*

Ernstbert nie dostrzegął jakiegokolwiek sensu w tego typu działaniach. Ernstbert planował wszystko - od A do Z. Dokładnie. No i zdarzało się, że reagował bardzo nieprzyjemnie, gdy nie realizowano jego planu precyzyjnie, co do joty! Ja natomiast wolałam improwizować. Bez planu ruszyć przed siebie i zobaczyć, co życie przyniesie. W ten sposób zdarzały się niespodzianki! I to jakie!

Chętnie wędrowałabym z chłopcami po lesie, rysując tajemne

znaki na mokrej glebie, prowadzące do szałasów z wilgotnych liści, w których szukalibyśmy schronienia i opowiadalibyśmy sobie straszne historie. Kos mógłby być naszym zaczarowanym chłopcem z chóru, którego za karę zamieniono w ptaszka ćwierkającego na płocie, ponieważ nie umiał zaśpiewać tercji. Moglibyśmy sobie wyobrazić, że kiedyś był on wiecznie niezadowolonym chłopcem, który chciał mieć innych rodziców i cały czas spędzać w basenie ze zjeżdżalnią. No cóż, Ernstbert był zdania, że tego typu rozrywki są nudne. Ernstbert spieszył się do dobrej restauracji, zanim zamkną kuchnię.

A my, zamiast wizyty w dobrej restauracji, wolelibyśmy - gdy już naprawdę jest się głodnym - kiełbaski z musztardą z jakiejś obskurnej budy, do tego lemoniadę z puszki, by na koniec zagrać nią w nogę. Następnie bawilibyśmy się w chowanego na parkingu między autami, którymi przyjechali wszyscy ci kąpiący się w łaźni emeryci, wołalibyśmy: „Złap mnie, ty dupku żółędny!” - i liczylibyśmy rolki papieru toaletowego, w sukienkach zrobionych szydełkiem, a wyłożone na tylnej półce samochodu. Pod koniec dnia wrócilibyśmy do domu zmęczeni, ale szczęśliwi. Tak, tak byśmy robili i tak żyli. Gdyby nie Ernstbert.

Czy istniał gdzieś na świecie mężczyzna, który chciałby brać udział w tak chaotycznym życiu, w równie spontanicznych zabawach i głupotach? I to w niedzielę, która jest świętym dniem jego wypoczynku? Chociaż też nie miałyby zbyt dużo wolnego czasu? Nie, takiego mężczyzny na pewno nie było.

Dzieci obudziły się. Było wpół do trzeciej. Kuchnie już zamknięto i nigdzie już nie wydawano mieszczańskich obiadów. Ernstbert na pewno umierał z głodu albo dostawał skrótu kiszek.

Siedział w holu, w eleganckim fotelu leniwcu, pod rogami jelenia i wypchaną kaczką, czytając instrukcje obsługi. Przemoczone nogi trzymał w butach - tych nie nadających się do chodzenia po deszczu - na dywaniku z szpecinowatej skóry dzika. Dzik spoglądał na niego podejrzliwie, a po jego uśmiechu widać było, że cieszy się z nieszczęścia Ernstberta. Tak samo jak siostra praktykanta Ulrika w naszym serialu.

A ja byłam na bardzo fajnym spacerze. Łaziłam w kalo-

szach - swoich gumowcach na każdą pogodę - po parkingu, wzdłuż płotu, tam i z powrotem. Przemokłam, ale byłam bardzo zadowolona. Kos opanował już tercję, a dzieci się wyspały. A więc opłacało się tutaj przyjechać.

W przemoczonych butach weszliśmy do łaźni. Jakaś mamuśka w białym fartuchu i białym czepku siedziała przy kasie. Spojrzała na nas surowo i ręką wskazała napis, który umieszczony był nad jej szklaną budką. Po pierwsze buty, po drugie reprimenda...

Dorośli płacą za wstęp dwadzieścia osiem marek, osoby, które są kuracjuszami i mogą to udowodnić odpowiednim zaświadczeniem, połowę tej ceny. Dzieci i psy zignorowano.

- Ile płacę? - zapytał Ernstbert.

- Sto dwanaście marek - odparła dama w akwarium.

- Słucham, ile?

- Sto dwanaście marek.

- Nie mamy zamiaru tutaj nocować i nie będziemy nic jeść - powiedziała damulkowatym tonem, którego nauczyłam się od Greta. Za żadne pieniądze! - Tylko wizyta w łaźni. Mamy swoje ręczniki. - Używać właściwych słów. To robi dobre wrażenie. Zachowywać się naturalnie i patrzeć skromnie przed siebie.

- Czy mają państwo czepki?

- Nie, nie mamy.

- Nie jesteśmy czepami! - Ernie użył swojego argumentu. Bert milczał zdegustowany.

- W takim razie płacą państwo sto trzydzieści dwie marki!

- Cooo...?

- Pięć marek kosztuje wypożyczenie czepka! - Pogrzebała w jakimś pudle, stojącym obok szafki z kluczami, i wyciągnęła cztery kolorowe gumowe czepki. Były różowe w uroczy wzorek - wypukłe lotosy. Bojowym gestem podała je nam przez otwór w szybie. Następnie szurnęła kluczami do czterech kabin. Klucze umocowane były na wyblakłym szpagacie.

- Sto trzydzieści dwie marki.

- Nie ubiorę tej cholernej czapki! - Bert był zniesmaczony.

Ja też nie - pomyślałam. - Za żadne pieniądze.

- Chodźmy raczej na spacer - zaproponowałam, zwracając się do Ernstberta.

- Nie mam odpowiednich butów na taką pogodę, jest mokro! - odpowiedział. - Tam zaraz jest las! Ponadto nie po to jechaliśmy dwie godziny autem z Kolonii, żeby teraz iść na spacer. Postanowiliśmy jednogłośnie, że jedziemy popływać. W basenie z solanką. I pójdziemy popływać. Nie przyjechałem tu po to, by łązić po bagnach i przedzierać się przez krzaki. To można robić bliżej domu!

- Sto trzydzieści dwie marki! - Mamuśce za szybą obce było uczucie litości.

- Ja chcę na pływalnię ze zjeżdżalnią! - wrzasnął Ernie i zaczął podskakiwać.

Bert tulił do siebie swoje gumowe zwierzę do pływania:

- Nigdy nie robicie tego, co ja chcę! Zawsze muszę wkładać takie głupie czepki kąpielowe!

- No, kochani, wchodzimy! - powiedziałam na to.

Ernstbert zapłacił, madame nacisnęła łaskawie na guziczek, zabręczało, bramka się otworzyła, a my gęsiego przecisnęliśmy się przez wąskie przejście, taskając багаż i gumowe zwierzątka.

Nagle poczuliśmy wilgotne, gorące powietrze. Pachniało siarką, solą i chlorem. No i środkami bakteriobójczymi, przeciwpachowymi, przeciwgrzybicznymi i dezynfekującymi produkcji naszego arabskiego przyjaciela. Zapachniało powagą.

Zapachniało emerytami spragnionymi ciszy i spokoju.

„Przejście tylko bez obuwia!” - to pierwsze, co ujrzeliśmy na jednej z mosiężnych tabliczek, kiedy nasz wzrok przyzwyczaił się do pary.

Ściągnęliśmy więc buty i zostawiliśmy je na półce, zgodnie z instrukcją. Potem, już w skarpetkach, podreptaliśmy przed siebie. Dzieci ciągnęły za sobą gumowe zwierzątka.

Starałam się nie myśleć o tym, kto oprócz nas chadza tutaj w samych skarpetkach.

Dalej, czystymi korytarzami, prowadził nas ciemnozielony chodnik. Ściany zdobiły delfiny, harpuny, muszle i sieci, delikatnie podświetlone. W sumie ślicznie.

Nagle drzwi i tabliczka: „Przebieralnia”. I jeszcze jedna tabliczka: „Proszę zachować ciszę przez wzgląd na innych!”

- Ciicho! - syknęłam. Z opuszczonymi głowami, bezszelestnie weszliśmy do przebieralni.

Panowała tutaj pełna skupienia cisza. Przed szeregiem szafek siedział sobie na ręczniku tylko jakiś pensjonariusz, goły niczym święty turecki. Jedyne na jego głowie sterczał czepek w wypukły wzorek. Starannie obcinał paznokcie u nóg. Obcięte paznokcie pieczołowicie odkładał na gazetę. Była to strona poświęcona kulturze w „Frankfurter Allgemeine”. Od czasu do czasu brał do ręki szkło powiększające. Gdy weszliśmy, na chwilę podniósł głowę, by zaraz wrócić do swojej jakże apetycznej czynności. Z jednej z kabin wyszła jego małżonka, odziana w szlafrok frotte, z zielonkawą maseczką twarożkowo-ogórkową na twarzy. Włosy jej, niczym u stracha na wróble, nakręcone były na drewniane wałki. Ponieważ miała świeżo wymalowane paznokcie u rąk, rozcapierzyła palce, odsuwając je od siebie. „Uwaga, świeżo malowane!” - chciałoby się powiedzieć.

- Dzień dobry! - szepnęłam uprzejmie i popchnęłam moich głupio gapiących się synów w drugi kąt przebieralni.

Dama z maseczką z plasterów ogórka patrzyła na nas równie zirytowana, jak moi synowie, którzy zza swoich zwierzątek nie mogli oderwać od niej wzroku. Dwoje prawdziwych dzieci, doprawdy! Czegoś takiego tutaj jeszcze nie widziała. Ernstbert walnął swoją torbą o ławkę, ściągnął kurtkę i zerwał koszulę. Jak zawsze z pępka sterczały mu włosy. Twarogowa madame wycofała się szybko do swojej kabiny.

- Mamo?

- Ciicho!

- Co to straszycło miało na twarzy?

- Zamknij dziób, dupku!

- Ciicho! Potem wam powiem! Twaróg albo coś w tym rodzaju!

- Po co ona ma twaróg na twarzy?

- Dla urody!

- Uważam, że wygląda straszliwie!

- Ciiicho! Nie tutaj!

- Mamo? Czy ona tak pójdzie do domu?
- Nie, skąd, głuptasku, ona to sobie zetrze rącznikiem!

Bezszelestnie i szybko rozebrałam swoją bandę. Wprawdzie zwykle robili to sami, ale w tej przedziwnej sytuacji stali niczym porażeni.

- Co robi ten facet?
- Obcina sobie paznokcie!
- Dlaczego?
- Ernie, trzymaj! To twoje spodenki! Ubierz je, proszę, sam!

Nie jesteś już dzidziusiem!

- Chce mi się kupkę!
- O cholera, tego brakowało!

Emeryt popatrzył na nas znad swoich stóp.

- Pierwsze drzwi po lewej stronie!

Kiwnęłam głową, dziękując za pomoc. Co za miły staruszek.

Nadal w skarpetkach, ubrana jak zwykle, ruszyłam ze swoim golutkim niczym święty turecki synkiem w kierunku toalety. Tam podniosłam go i usadziłam na desce klozetowej. Natychmiast zaczął puszczać bączki. I nie tylko. Obląłam mnie pot. Chciałam dyskretnie wyjść.

- Mamo, zostań tutaj!
- Będę na zewnątrz!
- Boję się, że to zombie z twarogiem tu wejdzie!
- Nie wejdzie! Ja pilnuję, żeby nikt tu nie wszedł! Pośpiesz się!

Zestresowany Ernie parł więc, aż jego drobne ciało drżało. Smród się rozszedł straszliwy. Ależ ci chłopcy dobrze trawia! Do pozadzroszczenia!

- Drzwi!!! - zdenerwował się emeryt.
- Ale ty stój na straży! Nie odchodź! - prosił przerażony Ernie.

- Ciicho! - Szybko zamknęłam drzwi.

- Przepraszamy! - zawołałam pod adresem dziadka, który teraz pilniczkiem do paznokci nadawał właściwy kształt rozmiękłym szponom.

Bert w kalesonkach przyglądał się jakiejś pulchnej damie, na oko pięćdziesięcioletniej, która po ekscesach w łaźni sma-

rowała nawilżającym lotionem, starannie i z namaszczeniem, swój obfity biust, opalony w solarium.

- No co, młody człowieku? Jest na co popatrzeć, prawda? -
Jędrna Cycata ucieszyła się, nie przerywając smarowania.

- Bert! Ruszaj się! Z życiem!

Patrz zawsze skromnie, prosto przed siebie i zachowuj się naturalnie! To robi dobre wrażenie.

- Ja już idę! - Ernstbert ze słuchawkami na uszach, w szlafroku kąpielowym, ruszył do walki z żywiołem. Wyglądał tak samo jak dziś rano, gdy stał obok zegara do gotowania jaj. Tyle że nie był już w tak dobrym nastroju.

- Ciicho!

Maseczka ogórkowa znów wyszła ze swojej kabiny.

- Tu nie wolno włączać jakiegokolwiek sprzętu muzycznego! Przecież tam, na drzwiach, wisi tabliczka!

- Skończyłem! - Ernie krzyknął zza drzwi do kibla. - Mamo, wytrzymaj mnie!

- Drzwi! - Dziadek od paznokci znów nas upomniął.

Ogarniało mnie niejasne uczucie, że wizyta w tym przybytku jednak koliduje z moim poczuciem humoru.

Po wytarciu pupy Erniemu, zmusiłam jeszcze Berta do zrobienia siusiu.

- Nie chce mi się.

- Zrób siusiu!

- Nie! Nie chce mi się! Sam wiem, kiedy mi się chce siusiu!

- Synku, prawie cztery godziny siedziałeś bez przerwy w aucie, a na śniadanie wypijeś pół litra kakao! Zrób siusiu!

- Nie!

- A jeśli nasiusiasz do basenu... Bert!

- O! - Pan na ręczniku zdenerwował się. - Co to w ogóle za dyskusje! Do czego to podobne? Kto dyskutuje z dzieckiem na ten temat! To całkowicie zbęd-ne! O!

- No, widzisz! - syknęłam. - Teraz zrobisz siusiu! PROSZĘ!

Spojrzenie, które mu posłałam, było jednym z tych najgorszych, jakich nauczyłam się od Grety. Zapowiadało manto.

- Zawsze musi mi się chcieć siusiu, kiedy TY chcesz! -
Obrażony Bert podreptał do kibla. - Uff, jak tu śmierdzi!

- Cicho! Zamknij drzwi! Stul dziób! Bo będzie manto! - Skoczyłam za nim i zatrzasnęłam drzwi. - Pośpiesz się, bądź cicho, i nie zapomnij spuścić wodę!

Całkiem już mokra wróciłam do swojego kącika i szybko się rozebrałam. Emeryt, kręcąc głowa z dezaprobatą, zajął się znów swoimi pazurami. Dama z biustem zaczęła smarować swe jędrne pośladki. Ernie wpatrywał się w nią, całkowicie zafascynowany tym widokiem. Wyjątkowo powstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy. Starałam się sprężyć, jak tylko mogłam. Zignorowałam żeliwne wieszaki z siatką na skarpetki i bieliznę. Szybko upchnęłam wszystkie nasze ciuszki w wąskich szafkach i zatrzasnęłam drzwiczki.

- O! Nie tak głośno! Ciszej! O pół tonu ciszej! - zawołał emeryt z nożyczkami do paznokci. Już skończył. Teraz z blaszanego pojemniczka wziął dużą garść talku i zaczął pudrować nim palce. Na pewno zaraz namaści żółtawe opuszki swoich stóp złotem, kadzidłem i mirrą.

Ernstbert ze słuchawkami na uszach jest już zapewne w wodzie. Jak ja jemu zazdrościłam! Nigdy nie wpadał na pomysł, by mi pomóc. Chociaż odrobinę. Zresztą dlaczego miałyby mi pomagać? Przecież za wszystko zapłacili! Reszta należy do kobiet. Macho nie rozbiera dzieci. A już na pewno nie podciera im tyłka. NIGDY.

Bert wrócił z toalety.

- Kiedy wreszcie pójdziemy na pływalnię?

Emeryt z lubością naciągał na swe stopy parę świeżych, czarnych skarpetek. Wygładził je ręką i doceniając perfekcję, poprawił na piętach. Wreszcie wsunął stopy w filcowe szarobrązowe kaptcie, które wyciągnął najpierw z kolorowego woreczka frottó, a potem z torebki celofanowej. Starannie zwinął serwetkę z obciętymi paznokciami i schował przezornie w neseserku. Następnie wyciągnął z torebki pomarszczone jabłko, wytarł ręką i ugryzł.

Nie mogliśmy oderwać od niego wzroku. Podniósł się, popapując z zadowoleniem. Tak, tak to się właśnie robi, nie inaczej! Na tym polega przyjemność przebywania w łaźni! Na chudziutkich nóżkach, z powoli kołyszącymi się genitaliami, ruszył

w tych swoich szarobrazowych kapciach w kierunku pokoju odpoczynkowego. W ręce trzymał nadgryzione jabłko i zwiniętą gazetę. Facet uporządkował swoje interesy. Dosłownie i w przenośni. Na koniec oczom naszym ukazał się jego pomarszczony, chudy, biały tyłek.

„Cisza! Proszę zachować ciszę ze względu na innych!” - Taki sam napis widniał również na drzwiach prowadzących do pokoju odpoczynkowego. Przysięgłam sobie, że nigdy nie przekroczę progu tego pokoju, nawet przez pomyłkę!

- No! Ciicho! Teraz idziemy pobawić się w basenie! Ale ci-chutko! - Popchnęłam chłopców w kierunku prysznic dla pań.

- Mamo, ja tutaj nie wejść. Ja chcę do łazienki dla panów!

- Wejdiesz! - Powoli traciłam cierpliwość, poczucie humoru i potrzebę wychowawczego oddziaływania na dzieci.

- Nie! Tam znowu będą jakieś gołe baby i będą sobie smarować piersi!

- Masz wziąć prysznic!

- Ale w męskiej!

- W porządku! Ale biada ci, jeśli będzie to kocie mycie!

- Przecież ja wcale nie jestem brudny! Mamo!

- Koniec! Dość tych dyskusji! Za pięć minut bawimy się w basenie!

- Bawimy! Dobre sobie! - Bert miał już dość wszystkiego. - Bawimy! Tutaj nawet śmiać się nie wolno! - Obrażony znikł za drzwiami prowadzącymi do natrysków dla panów. Oczywiście ze swoim gumowym zwierzęciem. Ernie poszedł na nim, równie przejęty.

- Chcę innych rodziców! - Były to ostatnie słowa, które usłyszałam.

Stanęłam więc pod prysznicem masującym i zaczęłam się odprężyć. Byłam udręczona, a moje ciało spięte. Nie zawiodłaś, nie zawiodłaś, nie zawiodłaś. Jesteś konsekwentną, sprawiedliwą, dobrą i zawsze skłoną do żartów matką. W każdym razie starasz się ze wszystkich sił. Charlotta Pfeffer zawsze się bardzo stara. Jakaś naga kobietka, w gumowym czepku w kwiatuszki na głowie, posłała mi protekcyjny uśmiech. Nieprawdaż, my, kobiety dbające o swoje zdrowie! Kąpiel w solance nam służy!

Basen z solanką składał się z jednego wielkiego, zielonkawatego, zamglonego krajobrazu ze skałami, breją i pnącymi się roślinami. Przez dłuższą chwilę niczego nie odróżniałam, potem wzrok się przyzwyczaił do tego specyficznego światła. Od czasu do czasu o marmurowe płyty odbijała się głucho pluskająca woda. Przyjrzawszy się uważnie, doliczyłam się tuzina ciemnoniebieskich czepków kąpielowych poruszających się powoli i bez celu w ciemnej brei.

Zbiory lotosowych czepków, które tu i ówdzie wyłaniały się z oparów, bułgocząc, i znów znikwały, to byli też pływający kuracjusze, szukający w tej oazie spokoju i odpoczynku. Pośrodku jeziora zainstalowano źródło młodości. Tu zebrało się wiele czepków niebieskich i lotosowych, spragnionych masażu silnym biczem wodnym.

To hartuje i wzmacnia organizm - pomyślałam. - I bardzo odmładza. Ten dziadek od paznokci na pewno tutaj spędził przedpołudnie.

Wodziłam wzrokiem po sali, szukając najbliższych. Przy kolumnach, na skałach stały nagie postacie, gipsowe figury, wzorowane na sztuce grecko-rzymsko-ortodoksyjnej. Ich martwe oczy skierowane były ku sufitowi. Jedna trzymała węży, inna delfina, jeszcze inna walczyła z wydrą. Były to jedyne postacie bez czepków kąpielowych. Pozostałe powoli przesuwały się w mętnej, słonej brei lub - gdy już miały dość kąpeli - prze-walały się na brzegu basenu.

Wszędzie dźwiękiem wykuto ostrzegające napisy: „Cisza! Cisza ze względu na pozostałych kuracjuszy!” „Nie wolno skakać do basenu! Zakaz skakania pod groźbą natychmiastowego wydalenia z basenu!” „Czepki kąpielowe należy nosić ze względów higienicznych!” „Minister zdrowia ostrzega: kąpiel w solance nie powinna trwać dłużej niż dwadzieścia minut!” „Zbyt częste kąpiele w solance grożą zaburzeniami rytmu serca, astmą i wypryskami na skórze!”

Ernstbert nie kąpał się w solance! Usadowił się wygodnie w miękkim i ładnym leżaku obok pnącej się roślinki. Słuchawki nałożył na kwiecisty czepkę kąpielowy. Przy jego lączkach kąpielowych leżały magazyny dla panów. Tematyka: kapitał i tak

dalej... W rękach trzymał czasopismo pod tytułem „Szczuła Sylwetka Dzięki Kąpielom w Szlamie”. Okładkę zdobiła dziewczyna, chyba szcuzuła, dynamiczna i młoda, aż po szyję tkwiąca w szlamie lub innym mule. Z turbanem na głowie. Rozejrzałam się, szukając wzrokiem swoich pociech.

Ponieważ jeszcze nie potrafiły czytać (poza zdaniem typu: „Ala ma kota, kot ma Alę”) właśnie skakały do basenu.

- Czy tak można? - zapytała jedna ze starszych pań, która - podkasawszy szlafrok z frotté - właśnie człapała niczym bocian po zimnych kamieniach zgodnie z zaleceniami księdza Kneippa. - Nie, na pewno nie można! Idę to zgłosić! - I żądna wrażeń wyczołgała się w wody. Wreszcie coś się działo!

Pospiesznie zawołałam swoje pociechy.

- Chodźcie! Tam są natryski pod ciśnieniem!

- Wau! Fajnie! - Bert był zadowolony.

- Możemy poszaleć! - wrzasnął Emie.

- Ciicho! - wołałam, biegnąc za nimi.

W osobnej kadzi zaległy postaci niczym stare marabuty, jedna obok drugiej, ramię przy ramieniu, nieruchawe, też w czepkach kołyszących się w takt uderzeń biczów wodnych. Ochoczo poddawały się torturze z przymkniętymi oczami, by uniknąć kontaktu ze słońcą wodą.

- Mam sól w oku! - Emie już się skarżył. - Przecież nie jestem jajkiem na śniadanie!

- Za to jesteś dupkiem żółtym! - Bert właśnie chciał się rozpędzić i wskoczyć do kadzi.

Ledwie zdołałam go powstrzymać.

- Ciicho! Tylko popatrz!

- Mamo! W ogrodzie zoologicznym w Kolonii też nam wolno tylko patrzeć! A ty przecież powiedziałaś, że możemy się tutaj pobawić! - To były słowa Erniego.

- ZAWSZE musimy tylko przyglądać się! Nigdy nie możemy się pobawić! - dodał Bert.

- Ja chcę mieć innych rodziców!

- Ja też chcę mieć innych rodziców!

Boso, za to obrażeni, podreptali moi synkowie po marmurowej posadzce. Ich łebki w kolorowych czepkach kiwały się niczym

kwiatki na cienkich łożyzkach. Dwóch biednych, białych, chudych chłopczków. Zaniedbanych i pozostawionych samych sobie.

Charlotte, przecież bardzo się starałaś!

Zanurzyłam się w ciepłej brei i zyskałam coś dla siebie. Poddałam się mocnemu strumieniowi wody. Czułam go na łopatkach i było mi dobrze.

Hura! - pomyślałam, co za niezapomniana majowa niedziela w rodzinnym gronie! Dzieci chcą innych rodziców, zero przyjemności, Ernstbert nadal śpi, nudy na pudy - i to wszystko za sto trzydzieści dwie marki. A na dworze pada, a na obiad codziennie smażona ryba. I na dodatek reprimenda!

- Halo?

- To ja! Niech pani słucha. Ma pani coś do pisania?

- Nie, proszę chwilę zaczekać!

Szybko chwyciłam tępy ołówek, którym Bert właśnie unicestwiał gumkę. Właściwie to powinien obliczyć, ile to jest siedemnaście mniej cztery. Któż to taki przedstawił się mówiąc: „To ja!”?

- Tak? Słucham? O co chodzi? - zapytałam.

Bert popatrzył na mnie obrażony, bo zabrałam mu z rączek jego broń. Zerknęłam ku niemu, uśmiechając się ciepło.

- No, policz w myślach. Siedem mniej cztery? I dodaj dziesięć!

- Niech pani weźmie intercity Haemischer Bergfriede 0 czwartej trzydzieści z Kolonii. Do Flensburga. W Hamburgu-Harburg niech się pani przesiądzie, dziewiętnasta dwadzieścia trzy w Flensburgu, tam o dwudziestej w Teatrze Atelier. Drugiego czerwca jedzie pani o dziesiątej trzynastie do Osnabrueck, tam Alternatywny Teatr Kobiet, tu może pani jechać pociągiem podmiejskim przez Kilonię, połączenie zawsze co godzinę 1 czterdzieści sześć minut, następnie czwartego jest pani w Detmold, pociąg podmiejski, tylko druga klasa, bez wagonu restauracyjnego...

- Nie potrzebuję wagonu restauracyjnego... - zaczęłam mówić - śniadanie zawsze jadam w domu i robię sobie kanapki...

- O jedenastej trzy odjazd, przez Altenbeken, w Bad Uersfeld, w Teatrze Leśnym Burgruine...

- Teatr Leśny? Nie, dziękuję, właśnie niedawno mieliśmy już coś w tym rodzaju... Halo... myślę, że pan... czy myśmy się umawiali... Siedemnaście mniej cztery! No, z życiem!

- Tam musi się pani przesiąść, ale to jeszcze pani podam. Dwudziestego czerwca jest pani w Wiesbaden, autobusy do Giessen odjeżdżają co godzinę, tam pani prześlę wycinki prasowe z recenzjami - znam kogoś z drugiego programu telewizji publicznej - a ósmego czerwca jest pani w Wormacji, stamtąd ma pani bezpośrednie połączenie z Moguncją, co godzina odjeżdża pociąg. Tam może pani przenocować u mojej szwagierki, ma pensjonat, bardzo cichy i przyjemny. Jeśli mi się uda, to tam dojadę.

- Pańska szwagierka na pewno się ucieszy...

- Dwunastego czerwca ma pani wolne, wtedy może pani zwiedzić katedrę w Spirze...

- Proszę posłuchać, ja nie zamierzam zwiedzać katedry w Spirze... Nie, nie dwanaście. Siedemnaście mniej cztery! Nie dwanaście! Policz raz jeszcze...

- No, to pójdzie pani do fryzjera albo po zakupy! Czyli spędzi pani czas, jak pani lubi, bo kobiety mają swoje ulubione sposoby na spędzanie wolnego czasu. Piętnastego będzie ciężko: O jedenastej przedpołudniem gra pani w Karlsruhe, w Remizie, to jest przebudowana stajnia, ale wieczorem jest pani w Heilbronn. W gmachu gminy Wartenburg.

- Przepraszam! - powiedziałam wreszcie. - Ernie, przestań strzelać! Bert, wyjmij gumkę z sałatki ziemniaczanej i zamknij drzwi do kuchni albo wyłącz suszarkę! I policz raz jeszcze: siedemnaście mniej cztery! No, z życiem! Nie słyszę własnego głosu!

Chrapliwy głos w słuchawce umilkł.

Ernie wszedł do toalety dla gości, zabierając ze sobą swoją pukawkę. Bert wyjął z lodówki zestaw małych jogurcików, trzasnął drzwiami do pralni i obrażony usiadł przed telewizorem.

- Czy ja się dodzwoniłem pod właściwy numer? Pani Pfef-

fer? - mężczyzna dzwoniący do mnie z biura podróży do uprzejmych nie należał. Skąd ja znałam ten głos?

- Tak, to ja! Ale ja nie wybieram się ani do Altenbeken, ani do Heilbronn! Dziękuję panu za informacje, ale... Bert, weź książkę do matematyki i licz raz jeszcze: siedemnaście mniej cztery... - I kiedy chciałam już odłożyć słuchawkę, zrozumiałam, z kim rozmawiam i zrobiło mi się gorąco. Niedrich! Przecież to Niedrich! Ten gnom, ten sfrustrowany krasnal! Impresario! Facet, któremu niedawno we Frankfurcie zaprezentowałam swój monodram.

Co on powiedział? Że się odezwie. No więc odezwał się. Dotrzymał słowa. Ale nie powiedział, po co się odezwie. Nie spodziewałam się, że odezwie się, by odczytać mi przez telefon rozkład jazdy kolei państwowej.

- Ile dzieci ma pani? - zapytał zde gustowany.

- Tylko dwoje - odparłam szybko. - Ernle, szybko policz, ile jest siedemnaście mniej cztery. No?

- Trzyznaście! - odparł pan Niedrich. - A co pani z nimi zrobi, gdy uda się pani na tournée? - Zdziwiło mnie, że w ogóle to go interesuje. Erstbert nigdy by o to nie zapytał.

- Nie rozumiem. O jakim tournée pan mówi?

- Co? Pani nie chce? To trzeba mi było to powiedzieć przed miesiącem! Teraz ja już wszystko załatwiłem! Mam umowy!

- Co pan załatwił? Jak? Umowy?!

- Oczywiście, że zawarłem umowy. Czyżby pani sądziła, że ja tylko tak się kręcę? I robię dobre wrażenie? Co kupię, tym handluję. Powinna pani o tym wiedzieć, szanowna pani Bach!

- Pfeffer.

- Słucham?

- Pfeffer. Nie Bach. Siedemnaście mniej cztery? No?!

- Trzyznaście. Wszystkie umowy są podpisane. Pierwszego czerwca zaczyna się pani tournée po całym kraju. Bilety na *Czarny i biały pieprz* są już prawie wszystkie wyprzedane.

Przełknęłam ślinę. Cztery tygodnie! Całe Niemcy! Wyprzedane bilety! Drugi program telewizji publicznej! Co z dziećmi?!

- A co z moim... honorarium... jak pan to... widzi... eee?

- Pięć tysięcy - odpowiedział pan Niedrich. - Od tej sumy odchodzi moja prowizja i piętnaście procent VAT.

- Aha, rozumiem. - Nie rozumiałam. Usiłowałam mówić rzeczowo i okazać obojętność. Co on miał na myśli? Pięć tysięcy za wieczór, czy za całe cztery tygodnie? - A ile wynosi pańska prowizja?

- Czternaście procent. To taka przeciętna stawka.

- Oczywiście - potwierdziłam. - Czternaście procent. Nie, nie czternaście, Ernie! Trzynaście!

Zaczęłam szybko liczyć w myślach. Za marnych siedemset marek ten obleśny gnóm nie ruszyłby palcem w bucie, a co dopiero nauczył się całego rozkładu jazdy kolei niemieckich! A więc pięć tysięcy za wieczór! To brzmiało zachęcająco!

- Siedemnaście mniej cztery!

Nie było się nad czym zastanawiać! Musiałam ruszyć w drogę! Nie było odwrotu. Ale w czerwcu miałam przecież nagrania w studiu telewizyjnym! Serial *Nasz mały szpitaliki* Przerwa była zaplanowana dopiero na lipiec. W czerwcu miałam wyjść za mąż za Franka Bornheimera. Gustaw Grasso nie zgodzi się na jakiegokolwiek zmiany w scenariuszu. Chwalięta Streitacker nie zechce ożenić się z pulchną pielęgniarką praktykantką Ulriką tylko po to, by mi zrobić grzeczność czy koleżeńską przysługę. Za żadną cenę. Byłam niezastąpiona. Cholera jasna, raz w życiu trafiła mi się taka szansa! Raz w życiu! A ja nie mogę jej wykorzystać. Małe dzieci i mały szpitalik... ZAWSZE muszą stanąć jakieś przeszkody na mojej drodze... Gadaniem nic się tutaj nie osiągnie. *Czarny i biały pieprz*. Akurat w czerwcu.

- Słucham! Co pani teraz liczy? Liczy pani nadal, ile jest siedemnaście mniej cztery, czy się pani zastanawia, czy też obiera ziemniaki, czy też może co innego?

- Zastanawiam się. Chociaż kobiety, jak pan wie, zazwyczaj nie myślą, gdy obierają ziemniaki.

- Ja też się zastanawiam. - Ernie nadąsał się.

Wszystko już ustalone. A może będę musiała zapłacić karę, gdy teraz się wycofam? Zastępstwo nie wchodzi w grę. Byłam niezastąpiona. W sumie całkiem miłe uczucie. Poziom adrenaliny we krwi znacznie mi się podniósł.

Jak powiem to moim dzieciom, mojemu Impresanowi, małżonkowi, reżyserowi, kolegom?!

- Siedemnaście mniej cztery?

- Siedemnaście mniej cztery jest trzynaście! - Ernie był zadowolony z siebie. Kiwnęłam głową z aprobatą.

Z drugiej strony: to wyzwanie! Przecież czekałam na tę szansę! Nadeszła. Taka szansa trafia się jeden raz. I nigdy więcej.

- A więc? - pan Niedrich zaczął się niecierpliwic.

- No, jeszcze się zastanawiam - odparłam.

- Przecież ja powiedziałem, że trzynaście! - rozgniewał się Ernie.

- Tu nie ma się nad czym zastanawiać, miła pani! Zgłosiła się pani do mnie. Kupiłem panią i jako pani impresario odsprzedałem panią. I to za spore pieniądze. Pięć tysięcy marek za jeden wieczór! A to dlatego, że pani twarz jest znana z serialu. Prasa i telewizja są ustawione i zainteresują się panią w odpowiednim momencie. Jeśli już się czegoś podejmuję, to robię to z przekonaniem. To samo obowiązuje panią!

- Tak, tak, podejmuję się! - jąkałam. - Kwestia tylko, jak sobie poradzę!

Wszystko wskazywało na to, że Niedrich nie ma ochoty podejmować dyskusji, czy się zdecydowałam. Została jeszcze jedna sprawa: JAK ja mam to sobie zorganizować?!

- No, widzi pani, ale przecież ja jeszcze z panią nie skończyłem - powiedział pan Niedrich.

Oczywiście! Dołóż coś jeszcze!

- Z Heilbronn pojedzie pani do Noerdlingen, Norymbergi i Weiden w Górnym Palatynacie. Zapisza pani?

Człowieku, opanuj się i nie denerwuj mnie. Albo zacznę płakać, albo żebrać o łaskę. Więc daj spokój! Zawsze chciałam pojechać do Weiden w Górnym Palatynacie.

- Czy ma pani faks? - Pan Niedrich nie wiedział, co to litość i zmiłowanie.

Niczym katarynka wyrecytowałam numer naszego faksu. Jasne, facet, że mamy faks. Kto zarabia w jeden wieczór pięć tysięcy marek, ten ma faks. Za kogo ty mnie masz?!

- Dobrze! W takim razie sekretarka przefaksuje pani umowy

i program tournée. Proszę o zwrot podpisanych! Na wczoraj! - Odłożył słuchawkę.

- Ty gnojku, dupku jeden! - pomstowałam półgłosem, by po chwili wybuchnąć śmiechem i dziką radością.

Czarny i biały pieprz! Tournée po całych Niemczech! Od Flensburga na północy kraju aż po Weiden w Górnym Palatynacie! Udało się! Mnie się udało! Nagle mi się udało! Ze ścierką w ręce tańczyłam po kuchni niczym samiczka domowa, która właśnie wyszorowała ze szlamu i śluzu toaletę w przyczepie kempingowej!

- Kto to taki, ten dupek i gnojek? - zapytał Bert, wyrzucając do pojemnika na odpadki, stojącego pod zlewozmywakiem, prawie nie naruszony jogurt truskawkowy.

- Nie znasz! - odpowiedziałam, usiłując opanować swoje emocje. - Ile jest siedemnaście dodać cztery?!

- Siedemnaście MNIEJ cztery! - poprawił mnie Bert.

Czarny i biały pieprz! Tournée po Niemczech! Udało się!

- Czy ty to wyrzucasz?

- Przecież jest pusty! - odparł Bert. - Cieszysz się z powodu tego gnojka i dupka?

Wyciągnęłam utyłany jogurt z kubła.

- Cieszę się Z POWODU tego gnojka i dupka! A ty teraz zjesz ten minijogurt! Zrozumiałeś? Popatrz, ile tu witamin i innych minerałów! Wapń i żelazo! - Z radości nie mogłam się opanować. Pięć tysięcy talarów!

- Nie mogę sam. Możesz mnie nakarmić? - poprosił Bert.

- No jasne, mój panie, niech pan raczy tu spocząć!

Chwyciłam to moje umorusane wapniem cielątko i posadziłam na kolanach, by wsunąć mu w zrujnowaną paszczę resztkę jogurtu. Był w wieku, kiedy mleczaki wypadają, a stałe zęby zaczynają rosnąć, więc jego uzębienie wyglądało jak jeden wielki plac budowy. Pięć tysięcy talarów! Za jeden wieczór! Nawet ci najbardziej uprzywilejowani nie dostają takiego honorarium! W każdym razie nie ci bez matury! O Justusie! Moja godzina jeszcze nie wybiła! Ale wkrótce to nastąpi! Laleczka-pupeczka udowodni ci to!

- Siedemnaście mniej cztery jest trzynaście! - Bert mówił z pełnymi ustami. - Już dawno napisałem to w zeszycie!

W tym momencie ktoś przekręcił klucz w drzwiach wejściowych. Czyżby Ernstbert!? Muszę mu to natychmiast opowiedzieć. Po raz pierwszy w życiu oczekiwałam niecierpliwie spotkania z nim. Nie, to nie on. To Greta z wózcikiem na zakupy. W swoim nieodłącznym kapelusiku.

- Czyżbyś karmiła tak dużego chłopca? - Zdjęła płaszcz, powiesiła go na wieszaku i kręcąc głową, przysiadła się do nas do stołu. - Chłopak jest już duży. Za moich czasów czegoś takiego nie było! Gdy miałaś sześć lat, jadłaś sama!

- Wiem! - westchnęłam. - Dlatego też jestem emocjonalnie tak bardzo okaleczona.

- Czego chciał od ciebie ten gnojek i dupek? - Bert pytał, podkreślając, że nie czuje się niczym skępowany. Dlatego też szeroko otworzył dziób.

Karmiłam go czule, niczym samiczka-ptasia mama. Masz, moje pisklątko, kukułcze dziecko, masz tu jeszcze jednego robaczka. Siedemnaście mniej cztery jest trzynaście. Kocham cię bardzo. Ernie wrócił z toalety dla gości i przytknął swoją pukawkę Grecie do skroni.

- Ile jest siedemnaście mniej cztery?

- Chłopak taki jak on musi to obliczyć sam! - Greta mówiła do mnie.

- Oskalpuję cię!

Greta zdjęła kapelusik i podała Erniemu.

Chyba była właśnie u fryzjera. A zresztą w ogóle świetnie wyglądała. O wiele lepiej niż zwykle. Od pewnego czasu zaczęła bardzo o siebie dbać.

- Czy dziecko MUSI bawić się pistoletem, odrabiając prace domowe z matematyki?

- To nie pistolet! - odpowiedział Ernie. - To należy do mojego stroju myśliwskiego!

Masz rację, mój mały spryciarzu - pomyślałam. - Broń się. Siedemnaście mniej cztery jest trzynaście. Kocham cię bardzo.

- O, rozumiem - odparła Greta. - O kim mówi Bert?

- O tym dupku i gnojku! - powiedział zadowolony z siebie. - Mama cieszy się strasznie, bo z nim rozmawiała...

Łyzeczką wyskrobałam resztkę jogurtu z pojemniczka i wsadziłam mu do mordki. Greta urwała kawałek ręcznika papierowego i wytarła umazaną buzię.

- Dziecko będzie miało krzywe zęby! - Greta ostrzegała. - Musi gryźć twarde rzeczy, marchewkę... - Dwoma palcami rozsunęła mu wargi, tak jak się robi z przysłowiowym koniem, któremu się w zasadzie w zęby się nie zagląda, jeśli jest podarowany. - Popatrz! Czy ty tego nie widzisz? Stale zęby już widać, a mleczaki jeszcze siedzą. Dentysta musi je koniecznie wyrwać. I to jak najszybciej!

Pomyślałam o panu doktorze Geldmacherze i ucieszyłam się, bo kilkakrotnie monitował już, prosząc o wizytę i kontynuację leczenia.

- Nie! Bo będzie leciała krew! - Bert nie był zachwycony.

- Nie rozpieszczaj chłopca! Skończ z tym! - Greta była surowa. Również Erniemu usiłowała zajrzeć w zęby.

- Puść mnie natychmiast! - obrażony kowboj zaprotestował, trzymając w ręce skalp.

- Tak! To samo! Gdybym nie zwróciła uwagi, mieliby całym krzywe zęby! A wtedy czekałoby cię kilka lat wizyt u ortodonty. A im chodzenie przez kilka lat z aparacikiem!

O nie - pomyślałam. - Przez kilka lat do doktora Geldmachera... Co to, to nie! Mowy nie ma. Mógłby to opatrzenie zrozumieć! W swoim ostatnim liściku do mnie, zresztą odręcznie napisanym, nadmienił, że pragnąłby mnie ponownie ujrzeć.

- Nie! - Emie kochał teatralne gesty. - Nie chcę do dentysty! Nie chcę aparaciku korekcyjnego!

- Taki aparacik ma ta głupia Chantal! My nie chcemy tak wyglądać. - Bert się rozgniewał.

- JA umiałam postawić na swoim! Ty przez kilka lat nosiłaś aparacik! - Greta była stanowcza.

O tak - pomyślałam - nosiłam aparacik na zębach i na duszy! Moja młoda dusza, dusza młodej dziewczyny, ulegała korekturze. Trwało to latami. I co tydzień przykręcano śrubę. Robiono to czujnie.

- Mama rozmawiała przez telefon z tym dupkiem i gnojkiem! - Bert starał się zmienić temat i nawiązać do sprawy zasadniczej.

Skoro Bert po raz trzeci użył w rozmowie tych niecenzuralnych słów, Greta nie mogła tego dłużej ignorować. Zwykle ignorowała lub udawała, że nie słyszy rzeczy dla niej nieprzyjemnych. Po prostu nie przyjmowała ich do wiadomości.

- O kim on mówi? - zapytała surowym tonem.

Zebrałam się na odwagę, by jej powiedzieć prawdę.

- Czy znasz niejakiego Niedricha, impresaria z Frankfurtu? Greta zamarła.

- Dlaczego pytasz?

- Bo zgłosiłam się do niego. Jest właścicielem agencji w Frankfurtu - zaczęłam wyjaśniać.

- Kiedy? - Wieść ta spadła na nią jak grom z jasnego nieba.

- Miesiąc temu - wyjąkałam. - Czy zrobiłam coś nie tak?

- Dlaczego nic o tym nie wiem?

- Czy miałam cię prosić o pozwolenie? Chłopcy byli u Fanny i Achmeda, który uwielbia dzieci, przepada za nimi. To jest ten, który maluchy zawija w dywan! A ja pojechałam do Frankfurtu. Co w tym złego?

- W jakim on jest wieku?

- Kto? Achmed? Trudno powiedzieć, ten arabski temperament... No, około czterdziestki...

- Impresario!

- Dlaczego pytasz... starszy... mógłby być moim oj...

Greta poderwała się z miejsca.

- Takich głupot nie mam zamiaru słuchać! Nie rozmawiałaś z żadnym impresariem!

No tak. Koniec pieśni, a na dodatek manto!

Pobiegła do przedpokoju, zerwała swój płaszcz z wieszaka i opuściła dom. Siedziałam oniemiała przy stole ze swoimi cielátkami. Ernie nadal wymachiwał swoim skalpem, który stanowił kapelusik Greta.

- Teraz Greta jest wściekła! - Bert był zadowolony z tego stanu rzeczy. - Bo powiedziałaś dupেক i gnojek.

- Co się jej stało? Coś się stało, ale nie wiem co! - mruknęłam.

- To ty, Ernstbercie?
- Tak, to ja. - Z łazienki dobiegło mnie chrząkanie Ernstberta. I szelest. - Nie wchodź, jestem zajęty!
- Podrapałam w drzwi do łazienki.
- Czy to długo potrwa?
- Dlaczego pytasz? Czy nawet wieczorem nie można mieć trochę spokoju? Cały dzień pracowałem! Teraz chcę przez chwilę odpocząć!
- Przepraszam! - szepnęłam. - Chciałam z tobą coś omówić.
- Znowu coś zaszeleściło. Potem zaszumiała woda w toalecie. Klucz w zamku przekreślił się gwałtownie. Drzwi się otworzyły.
- Wejść!
- Dobry wieczór! Nie widzieliśmy się jeszcze. - Zrobiłam wielki krok, by nie nadepnąć na instrukcje obsługi, które mój małżonek rozłożył w swojej świątyni dumania, i pocałowałam go w czółko.
- Jeszcze nie skończyłem! - Ernstbert był najwyraźniej obrażony.
- Odrpeż się, nie wolno tak mocno napinać mięśni! - Przysiadłam na brzegu wanny. - Jak minął ci dzień?
- Bardzo się zmęczyłem! - narzekał. - Planujemy wielką inwestycję w Witzelroda. Pięć wieżowców z centrum handlowym i dwupiętrowym parkingiem. Ale najważniejsze to kasyno gier hazardowych. Jeśli się pospieszymy, dostaniemy to zlecenie!
- Cieszę się! - Byłam uprzejma dla męża.
- No więc, o co chodzi? - Ernstbert uśmiechnął się udręczony.
- Dostałam propozycję występów. Superzlecenie! - Mówiąc te słowa, starałam się uśmiechać tajemniczo.
- A mianowicie? - Ernstbert nie przepadał za sztucznie wywoływanym napięciem.
- Napisałam monodram i mogę z nim ruszyć na tournée! - Postanowiłam dawać lakoniczne odpowiedzi.
- Wspaniale! - Ernstbert był również lakoniczny. - Cieszę się! Czy to wszystko, co miałaś mi do powiedzenia? - Napięcie opadło i wiedziałam, że za chwilę przestanie się sprawą interesować.
- No nie całkiem - rzuciłam szybko. - Tournée będzie trwało

cztery tygodnie. Zaczyna się pierwszego czerwca. Co wieczór w innym teatrze.

- No proszę! - tak brzmiał komentarz Ernstberta. - To co innego niż to dno, ten twój szpitalik! - Odetchnął głęboko i popatrzył na mnie czekając, co nastąpi dalej. - Czy masz coś jeszcze? - zapytał wreszcie.

- Pięć tysięcy marek za wieczór.

- No proszę - powiedział. - Za darmo nie pracujesz... Skoro sprawia ci to satysfakcję...

Ponownie sięgnął po instrukcję obsługi i usiadł na desce kłozetowej.

- Słuchaj, czy możesz się jeszcze na chwilę powstrzymać...

- Bardzo niechętnie... - powiedział. - O co chodzi?

- Dzieci! - Dałam do zrozumienia, że trzeba się zastanowić, co zrobić z dziećmi. - Mamy dwoje dzieci. Nazywają się Ernie i Bert.

- No i co z tego?!

- Jak już wspomniałam, wieczorami byłabym nieobecna.

- Czyżby Greta była chora? - zapytał i zaczął z zainteresowaniem przerzucać jakiś materiał informacyjny o komputerach. Na stronie, którą właśnie otworzył, przeczytałam *PC w każdym tonie...* i *Windowsy wszechstronne jak nigdy dotąd!*

Długonoga dziewczyna w szpilkach tańczyła na klawiaturze jakiejś maszyny do pisania, szczerząc zęby w niby-triumfalnym uśmiechu. Tak, moja droga, nie ma wątpliwości co do tego, kogo woli twój mąż oglądać podczas takich czynności, jak wypróżnianie się. Mnie, nie ciebie! Dlaczego nie masz zielonego pojęcia o komputerach? Sama jesteś sobie winna!

- Greta właśnie tak dziwnie zareagowała na tę wiadomość. Muszę się liczyć z tym, że nie będzie wsparcia z jej strony, jeśli chodzi o ten właśnie projekt.

Niedowierzając moim słowom, Ernstbert oderwał oczy od komputerowej ślicznotki i spojrzał na mnie.

- Dlaczego miałyby mieć coś przeciw temu? Co to znowu ma znaczyć? Przecież wam powiedziałem, żebyście mi oszczędziły tych wszystkich błażostek! Ja was nie obarczam swoimi sprawami!

Tu puścił potężnego bąka, który miał chyba oznaczać, że

rozmowę na ten temat uważa już za zakończoną. Po chwili wstał i uporządkował swoją garderobę.

- Co powiedziała Greta? - zapytał jednak po chwili.

- Powiedziała, że nie rozmawiałam z żadnym impresariem - wyjaśniłam. - Ale ja przecież rozmawiałam!

- Rozmawiałaś z impresariem? Ale po co? Myślałem, że masz zajęcie jako pani jak-jej-tam w tej całej małej klinice...

- Chciałabym rozwijać się zawodowo - wyjaśniałam, dalej opierając się o drzwi łazienki. Nie zamierzałam tak łatwo ustąpić.

- Czy to oznacza, że rezygnujesz z małego szpitalika?

- Nie! Skąd! Lubię pracę nad tym serialem! Kocham nasz mały szpitalik! Ale to dodatkowa szansa i chcę ją wykorzystać!

Ernstbert umył sobie ręce. Robiąc to, intensywnie oglądał w lustrze swoje siwiejące skronie.

- Czy nie uważasz, że zaczynają mi wypadać włosy? Chyba mi się przeredziły? - Stracił łupież z włosów.

- ERNSTBERCIE! Mam wielką szansę, niepowtarzalną wręcz! Napisałam sztukę dla jednej aktorki! Ważny impresario ją kupił! Zorganizował dla mnie tournée! Co wieczór w innym mieście! Powiadomił drugi program telewizji i prasę! Przez pewien czas nie będzie mnie w domu!

- No to co? W czym problem? - Ernstbert sięgnął po ręcznik i wytarł sobie ręce.

- Mamy dwoje dzieci! - odparłam słabym głosem. - Już ci o tym mówiłam...

- No! - powiedział na to. - Dlaczego zatem nie zapytasz Grety? Dlaczego nie pozwalasz mi się spokojnie załatwić? Czy to tak ładnie?

- Obawiam się, że Greta nie zgodzi się zostać z dziećmi - szepnęłam bliska płaczu. - Coś tak czuję...

- A co ona ma do roboty? W jej wieku? Co ona robi ze swoim wolnym czasem?

- Podróżuję! - odparła Greta, gdy ją o to właśnie zapytaliśmy. Energicznie poruszała się po kuchni i wstawiała talerze do szafki.

- Akurat teraz? Kiedy najbardziej jesteś potrzebna?!

- Teraz moja kolej - wyjaśniła. - Całe życie tylko rezygnowałam. Wciąż z czegoś rezygnowałam. - Zatrzasnęła drzwi szafki i popatrzyła na nas gotowa przyjąć" wyzwanie.

- Gdy mała Charlotta przyszła na świat, musiałam z czegoś zrezygnować, gdy poszła do szkoły, musiałam z czegoś zrezygnować, gdy skończyła swoją szkołę aktorską, musiałam z czegoś zrezygnować! Gdy urodziła bliźniaki, musiałam z czegoś zrezygnować i gdy dostała rolę w serialu telewizyjnym, też musiałam z czegoś zrezygnować. A teraz moja córka umawia się z jakimś impresariem, jakimś Niedrichem i KTO ma znów z czegoś zrezygnować? Nie, moi drodzy, nie ja! Nie ze mną te numery!

- W takim razie zrezygnuj tylko na cztery tygodnie! - zaproponował Ernstbert. - A potem nigdy więcej.

- Po tych czterech tygodniach przyjdą następne cztery tygodnie, a potem następne... i tak dookoła Wojtek... - odpowiedziała. Walnęła ściereczką do zmywania naczyń o zlewozmywak. - Przecież ja was dobrze znam. Nie. Koniec. Kiedyś to musiało nastąpić. Skoro moja córka nie uważa za stosowne poinformować mnie o spotkaniu z impresariem...

- Ależ Greto - język mi się płatał. - Nie wiedziałam, że pan Niedrich tak szybko zacznie działać.

- O, on szybko działa, uwierz mi na słowo!

Greta roześmiała się szyderczo, a jej gorzki śmiech dotyczył przemiłej osoby pana Niedricha. Oparła się o lodówkę, skrzyżowała ramiona na piersiach i oświadczyła:

- Wyjeżdżam. I to wkrótce. Możecie stanąć na głowie i tak to nic nie da.

Ernstbert i ja spojrzeliśmy na siebie wymownie.

- A jeśli bardzo, bardzo gorąco cię poprosimy, żebyś została? - Ernstbert mówił dźwięcznym, miłym głosem. - Twoja córka zarobi tyle pieniędzy, że będzie mogła ci zafundować podróż dookoła świata.

Kopnęłam go pod stołem, żeby dał wreszcie spokój z tym tematem.

- A z kim wybierasz się w tę podróż? - zapytałam ostroż-

nie. - To znaczy, czy znamy tę osobę, ją czy jego... no i czy macie już jakiś program?

- Kochani, jak to miło z waszej strony, że wreszcie pytacie o MNIE! - W jej głosie zabrzmiał triumf. - Nie wszystko kręci się wokół was!

Nie, na pewno nie. Akurat dziś świat przestał się kręcić wokół nas. Z tym stanem rzeczy musieliśmy się najpierw oswoić.

- Ja też się liczę i mnie się też należy coś od życia! A tak! - Greta nie ustępowała.

I myślę, że nie ustąpiłaby za żadne pieniądze.

Czyżby w jej głosie pobrzmiwała nutka szczęścia? Zaczynałam rozumieć. Czyżby Greta kogoś poznała? Jakiegoś mężczyznę? Chyba tak! Wszystko na to wskazuje. I z nim pragnęła wyjechać. W podróż. Natychmiast. Wreszcie jakaś spontaniczna reakcja! Cudownie! Boże, jak się ucieszyłam!

- Greto, powiedz mi, jak ma na imię.

Greta wzięła ściereczkę do zmywania, rozłożyła ją, by ją następnie równie starannie złożyć. Bardzo, bardzo starannie. Jej gesty zawierały całe tomy nie napisanej powieści.

- Bodo - powiedziała wreszcie spokojnie. - Doktor Bodo Berleburg.

No, udało mi się strzelić w dziesiątkę.

- Kto to jest ten Bodo Berleburg? - zapytał Ernstbert, przeczucując gazetę z programem telewizyjnym.

- DOKTOR Bodo Berleburg! - poprawiła go Greta z dumą w głosie.

- To znajomy Grety - powiedziałam, uśmiechając się serdecznie.

- Aha, rozumiem, ale co on ma z nami wspólnego? - zapytał.

- Wiele! - powiedziałyśmy niemal jednocześnie.

- Kochanie, przynieś butelkę szampana! - poprosiłam Ernstberta.

Ernstbert patrzył na nas, najpierw na mnie, potem na Gretę, niczego z tego wszystkiego nie rozumiejąc.

- Dlaczego? A więc Greta zostaje z nami? Czy mogę wrócić do mojego komputera? Gdybyście wiedziały, ile mam pracy!

- Nie, Greta nie zostaje.

Wzruszając ramionami, podniósł się ze swojego ukochanego miejsca i rzucił program telewizyjny na podłogę.

- Kto jest w stanie zrozumieć kobiety?! - zamamrotał i udał się do spiżarki, by przynieść butelkę szampana.

- Kochana, jak się cieszę! Od kiedy? - zapytałam Gretę, oblekając twarz w radosny uśmiech.

- O, to już dłuższa sprawa... - odpowiedziała, niczego nie precyzując.

- Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

- TY mi też nigdy nic nie mówiłaś! - odparła. - Zawsze stawiałaś mnie przed faktami dokonanymi.

- Żałuję, że było ci przykro - odpowiedziałam na to zdruzgotana. - Greto, powiedz mi, co z tym Niedrichem? Dlaczego byłaś taka zła i niezadowolona, kiedy się dowiedziałas, że byłam w jego agencji?

- Kiedyś, jeden jedyny raz, poprosiłam go o rolę dla ciebie. To było przed siedmioma laty. Teraz nie chcę mieć z nim nic wspólnego!

- Rozumiem, to naprawdę obleśny wstręciuch - powiedziałam, starając się głosem wyrazić swoje poparcie. - Czy widziałaś tę ropną krostę na jego wardze? - Roześmiałam się głośno. WRESZCIE wróciłyśmy do naszego starego zwyczaju - złośliwego obmawiania wszystkiego i wszystkich. - Żebyś wiedziała, jak kwasił! Ile patosu! Erynie goniły mnie u niego! I tego typu bzdury. Dupek z niego straszliwy!

- CHARRR-LOTTO! - Ściereczka do zmywania naczyń wyładowała znowu w zlewozmywaku. - Ani słowa więcej! Dość! Czy rozumiałaś?!

- Nie... to znaczy... oczywiście... - Przełknęłam ślinę. Coś ten gnóm z wrzodem na wardze działał na Gretę niczym czerwona płachtą na byka. Albo gniazdo os.

Musiałam to przełknąć. Szkoda. A tak chętnie pogrzebałabym sobie jeszcze w tym starym, brodawkowatym gnieździe os! Greta popatrzyła na mnie z boku. Była wściekła.

- Nie chcę o nim nic wiedzieć! I proszę nie wymieniaj jego nazwiska w mojej obecności! Czy ZROZUMIAŁAŚ?! - zapytała rozjuszona.

Ernstbert zjawił się z szampanem. Postawiłam na stole trzy kieliszki, jeszcze z zasobów Greta, zmaltretowane myciem w automacie do zmywania naczyń.

- Przydałyby się jakieś nowe kieliszki do szampana! - Greta była cokolwiek szorstka. Ściereczka do zmywania naczyń leżała starannie złożona. Stuknęliśmy się kieliszkami.

- Za co właściwie pijemy? - zapytał Ernstbert.

- Za nasze życie! - powiedziałam.

- Za nasze życie! - powtórzyła za mną Greta i się uśmiechnęła.

- No dobrze, ale czy możecie mi wreszcie powiedzieć, z jakiego powodu jesteśmy wszyscy tacy szczęśliwi? - zapytał Ernstbert.

- Cieszymy się, że spędzisz cztery tygodnie ze swoimi dziećmi! - odpowiedziała Greta mocno, jednoznacznie trącając mnie nogą pod stołem.

Popatrzyłam na nią z boku. Greto, nie poznaję cię! Nic spodziewałam się tego po tobie! Jeszcze nigdy w życiu nie trzymałaś mojej strony, kiedy jakaś osoba trzecia była przy tym obecna! Co się z tobą stało?

Ernstbert odstawił kieliszek.

- Nie wiem, co panie wymyśliły i jaki plan uknuły, ale oświadczam, że JA w czerwcu muszę być w Witzelroda (znowu ta Kozia Wólka), gdzie budują supermarket, parking piętrowy i kasyno gry.

Popatrzyłyśmy na siebie. Przez dłuższą chwilę milczałyśmy. W ciszy, jaka zapanowała, popijałyśmy szampana.

- Więc jak?! - zapytał wreszcie niezadowolony, sięgając ponownie po program telewizyjny Greta. - Czy ktoś ma jakiś pomysł?

- Halo! Ja w sprawie ogłoszenia!

Głos na pewno należał do przedstawiciela rodu męskiego. Młody, sympatyczny, mocny i miły, ale na pewno męski.

- Jakiego ogłoszenia? - nie skojarzyłam.

- Tego, które ukazało się w sobotnim wydaniu „Koclnier

Stadtanzeiger"! - wyjaśnił głos. - Państwo szukają opiekunki do dziecka.

- No, nie całkiem, szukamy kobiety, która zajęłaby się naszymi sześciioletnimi bliźniakami, Ernstem i Bertem. Na okres od pierwszego czerwca do pierwszego lipca. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, ponieważ rodzice będą nieobecni. Mile widziana jest umiejętność gotowania oraz gotowość wykonywania lekkich prac domowych. Wszystko to jest w ogłoszeniu.

- Tak, rozumiem, potrafię czytać - męski głos kontynuował. - Tu jest też coś o wysokim honorarium.

Wyczułam, że męczyczna uśmiecha się z zadowoleniem.

- No tak! - odparłam głosem wyrażającym żal. - Dziękujemy uprzejmie za telefon! - Chciałam odłożyć słuchawkę. Tego mi jeszcze brakowało. Jakiś zasmarkany chłystek, jakiś pętał, który chce tylko dobrze zarobić. Nie, nie, muszę znaleźć kogoś, kto będzie dzieci kochał, lubił i je rozpieszczał, skoro rodzona matka i rodzony ojciec są egoistami i żyją swoim życiem.

Był to pomysł Ernstberta. Zaproponował, by dać ogłoszenie. A ja ze swojej strony złożyłam uroczystą obietnicę, że udam się na tournée tylko wtedy, gdy znajdzie się optymalne rozwiązanie i będziemy mieli stuprocentową pewność, że wszystko jest w porządku i że mamy kogoś zaufanego do dzieci. W myślach widziałam jakąś starszą ciocię, kochaną i dobrą, która robiłaby moim cielątkom rano smaczne kakao, na obiad gotowałaby jarzynkę z kalarepki i marchewki i karmiła nią głodne moje pisklęta. A wieczorem, w okularach w niklowej oprawce, grubych wełnianych pończochach, marszczonej i sięgającej aż do kostek spódnicy oraz różowym fartuchu, czytałaby im opowiadania na dobranoc. A potem brałaby je w ramiona, pieściła i tarnosiła, tak jak im się to zresztą słusznie należy. I nie miałabym nic przeciw temu, by jednocześnie troszkę sprzątnąć, pozmywać, załatać spodnie do zjeżdżania na sankach, zawekować śliwki i odgracić strych. Dlatego też napisaliśmy, że za bardzo dobrą pracę bardzo dobrze zapłacimy.

- Chwileczkę! - młody człowiek po drugiej stronie linii telefonicznej nie pozwolił mi odłożyć słuchawki. - Jestem zainteresowany tą ofertą!

- A ile ma pan lat?
- Dwadzieścia i pół.
- A co pan robi?
- Studiuję.
- A co pan studiuje?

Może studiuje medycynę, prawo lub ekonomikę przedsiębiorstwa, czy coś w tym rodzaju? Jakiś kierunek, który jest tak popularny wśród młodych ludzi, że przestają rozbijać się golfami.

- Życie!

- Aha, rozumiem. - Jakiś gamoń i nicpoń. Jakiś cwaniak, którego utrzymują rodzice. Jakiś nowobogacki gnojek, który ma chęć zabierać mi mój cenny czas. Ciebie do domu nie wpuszczę! Tak sobie pomyślałam. Za żadne pieniądze, raczej sama zostanę w domu. Trzeba czasem z czegoś zrezygnować. No i na dodatek reprimenda...

- Pedagogikę i nauki o prowadzeniu gospodarstwa domowego, jeśli chodzi o dokładność. W końcu kiedyś się przecież ożenię - wyjaśnił młodzieniec.

Te słowa zrobiły na mnie bardzo dobre wrażenie. Czyżby solidny facet?

- A czym pan się będzie zajmował po skończeniu studiów?
- Będę prowadził swoje gospodarstwo domowe.
- Świetne zajęcie dla młodego mężczyzny!
- Też tak uważam. Marzy mi się prowadzenie domu!

Nawet jeśli chciał tylko przedłużyć rozmowę, nie miałam nic przeciw temu, bo rozmowa zaczęła mnie wciągać.

- Aha, rozumiem, więc pan pragnie być gospodynią domową! Niech mi pan powie, jak pan na to wpadł! - poprosiłam chłodno.

- Zawsze chciałem mieć dom, przytulny, śliczny domek i kochaną żonę, kobietę silną, którą się zaopiekuję. I oczywiście kilkoro dzieci.

- Czy ma pan już jakieś doświadczenia z dziećmi? - zapytałam głosem jeszcze chłodniejszym.

- Tak, mam młodsze rodzeństwo! Troje ich jest!

- Czy potrafi pan gotować? To znaczy trochę więcej niż otwierać puszki?

- Oczywiście! Przecież to jest minimum, kiedy ktoś stara

się o miejsce. Ja gotuję zdrowo, tylko z pełnowartościowych produktów. Właśnie zaliczyłem dwa semestry racjonalnego odżywiania! Z wyróżnieniem!

- No, coś takiego! - powiedziałam i zapytałam, co jeszcze potrafi.

- Robić na drutach, prać i prasować, pielić zielsko, słać łóżka, co pani sobie życzy! Już w liceum byłem w klasie z programem obejmującym gospodarstwo domowe. Kurs maturalny!

Uśmiechnęłam się. Dowcipniś z niego. Może ta rozmowa nagrywana jest do telewizyjnego programu z ukrytą kamerą? A może wyśle tę rozmowę do stacji telewizyjnej Cztery Minus? Jak nabiera się znane osoby?! Jeśli o mnie chodzi, proszę bardzo, biorę udział w zabawie! Kupuję!

- Czy potrafi pan sprzątać? - zapytałam ze śmiertelną powagą.

- Sprzątać? Ależ oczywiście! My to nazywamy sprzątałnictwem. Już w liceum wybrałem ten przedmiot jako fakultatywny i uczęszczałem na obowiązkowe zajęcia w klasie maturalnej, by zrobić maturę z dobrą przeciętną. Byłem na wszystkich możliwych kursach poświęconych tego rodzaju usługom. Maturę zdałem na cztery plus.

- Cztery plus, no proszę, brzmi to całkiem, całkiem... - pochwalałam go.

- Obieranie ziemniaków zarzuciłem w dwunastej klasie - powiedział, jakby chciał się usprawiedliwić. - Na dłuższą metę wydało mi się to nudne i mało twórcze. Ale za sprzątałnictwo mam na świadectwie maturalnym piętnaście punktów, co bardzo poprawiło moją przeciętną.

Kiwnęłam głową z aprobatą. Co za miły młody człowiek! No, ale za chwilę skończy się nasza miła pogawędka. Jak długo można żartować - i to z klasą! - przez telefon z osobą płci męskiej na takie tematy, będąc samiczką domową?

- Mam za sobą służbę zastępczą, którą odbyłem w przedszkolu. Jestem dyplomowanym wychowawcą i zrobiłem z tego zakresu specjalizację - powiedział jeszcze.

- W takim razie jest pan zbyt wykwalifikowany jak na nasze potrzeby. Niestety, to praca nie dla pana.

- Nie! Na pewno! Niech mi pani pozwoli przynajmniej wpaść i przedstawić się państwu!

- Czy to znaczy, że jest pan w stanie poradzić sobie z dwoma całkiem normalnymi sześciolatkami?

- No jasne! A ponadto, jak już powiedziałem, studiuję życie! A więc kiedy mógłbym wpaść?

- Teraz! - odpowiedziałam. - Jeśli ma pan czas, oczywiście!

- Oczywiście, że mam! - odpowiedział. - Mam wolny czas na uczelni i nie wiem, co ze sobą zrobić. Wszystko zdałem, zaliczyłem i nudzę się straszliwie.

- I ponieważ pan się nudzi, czyta pan ogłoszenia i przypadkiem trafił pan na nasze!

- Dokładnie! - potwierdził. - Chciałem trochę popracować, ale pod warunkiem, że będę to robił z przyjemnością!

- A jak pan się właściwie nazywa?

- Beniamin.

- Kwiatuszek?

- Krug.

A więc nie Kwiatuszek, a Dzbanuszek!

- W takim razie zaraz będę u państwa. Tylko przypnę wrotki i już ruszam. Gdzie państwo mieszkają?

Podąłem mu nasz adres.

- Świetnie, to dziesięć minut stąd. Cieszę się bardzo! - powiedział.

- **Ja** też! - odpowiedziałam słabym głosem. Odłożyłam słuchawkę i pobiegłam do schodów prowadzących do pokoiw dziecinnych.

- Dzieciaczki? Wyjdźcie przed drzwi, dobrze? A jak przyjedzie wielki i grubaśny słoń na wrotkach, zawołajcie mnie!

Beniamin był drobnym, szczupłym chłopaczkiem o jasnych włosach. Spontanicznym i żywym. Rzeczywiście przyjechał na wrotkach. Wiatr rozwiął mu włosy. Jego brązowe, lśniące oczy odrobinę zezowały. Czy już wspominałam o tym, że taki mały zez u mężczyzn działa na mnie bardzo stymulująco, a nawet podniecająco?!

Beniamin Dzbanuszek. Jeden z pierwszych Beniaminków tej generacji. Większość Beniaminków siedziała jeszcze w piaskownicy i obrzucała się piaskiem. Jeśli w ogóle...

Miał dwadzieścia dwa lata i pół roku. Jasnowłosa, pachnący świeżym powietrzem, w uchu mały złoty kolczyk, rozwiany włos. Słodki! Chciałoby się go zjeść!

Spodobał mi się od razu. Byłam nim zachwycona. Dzieci również.

- Proszę pana, ja do końca sądziłam, że to tylko żart! - przyznałam się. - I że w końcu ktoś mi powie: „Prima aprilis”!

- Ale teraz mamy maj! W maju żarty są nie na miejscu! - Tu puścił oko do chłopców.

- A co pan sądzi o tygodniowym okresie próbnym?

- Wspaniale!

Kolana się pode mną ugięły, bo młodzieniec był naprawdę uroczy. No i ten zez! Oj, do czasu dzbanuszek wodę nosi...

- Dobrze, proszę pana, jutro o wpół do ósmej rano zaprowadzi pan dzieci do szkoły, następnie zajmie się pan domem, przy czym ja wtrącać się nie będę. Mam zdjęcia i jestem zajęta przed południem. Byłabym usatysfakcjonowana, gdyby możliwy był wspólny obiad o wpół do trzeciej. Po obiedzie weźmie pan moje auto i zawiezie dzieci na hokeja, tenisa, lekcję śpiewu, na pływalnię, majsterkowanie i zajęcia plastyczne. Kalendarz zajęć leży na stole. Po zajęciach musi ich pan przypilnować przy odrabianiu lekcji. Proszę nie pomagać, jedynie popilnować. Ponieważ teraz jest jeszcze widno, może pan z nimi wyjść na spacer. O ósmej muszą być w łóżkach. W sobotę mogą położyć się później spać. Niech pan nie da się im wpuszczać w maliny. Nie wolno im pić coli ani oglądać filmów kryminalnych nocą. Nie wolno im zabierać pistoletów do szkoły. Za tydzień wspólnie rozstrzygniemy, czy jest to właściwe zajęcie dla pana, panie Beniaminie! Zgoda?

- Zgoda! - odparł Beniamin.

Ernie i Bert byli w siódmym niebie.

Beniamin odpiął wrotki i w skarpetkach udał się do łazienki, by umyć ręce. Skarpetki zrobił sam na drutach. Trzymaście punk-

tów, przedmiot maturalny - domyśliłam się sama. Potem usiadł z chłopcami na podłodze.

- Co robicie, kiedy praca domowa jest już odrobiona?

- Nic! - Bert był pierwszy. - Nikt się z nami nie bawi, nudzimy się straszliwie!

- Ale wolno nam oglądać telewizję, ile chcemy! - dodał szybko Ernie. - *Power Rangers* i takie...

- Ale przecież to jest gówno! - odpowiedział im Benjamin. Miałam ochotę go za to ucisnąć.

- Mamy strzelby! - Ernie chciał zaimponować. - Z nabojami gumowymi i łuki ze strzałami! I strzelamy do kaczek!

- To również głupie! - powtórzył Benjamin.

- A co możemy robić? - grymasił Bert. - Tata mi kupi nowy komputer, gdy skończę siedem lat!

- A potraficie jeździć na wrotkach?

- Wrotki są do dupy! - Bert nie był zadowolony z propozycji.

- Ale nie wtedy, gdy trzeba pojechać do jaskini piratów na moim tajemniczym pagórku! - Były to ostatnie słowa, jakie mnie dobiegły, gdy szłam do swojego gabinetu. Byłam oszołomiona i nadal nie rozumiałam, co się właściwie wydarzyło. Czyżby samiczka domowa, szara gąska, jednak miała wyfrunąć z gniazduka? Sama? Samiutka?! Tak bezkarnie?! I bez reprimendy?!

Ostatnie tygodnie w pracy podczas kręcenia zdjęć do serialu były pracowite. Zbliżała się przerwa letnia, ale jeszcze przedtem doktor Anita Bach miała poślubić profesora Bornheimera. Ciągnęło się to całymi dniami.

Codziennie rano o dziesiątej wkładałam na siebie cytrynowy fartuch i świadoma swoich obowiązków rażno udawałam się do garderoby. Nakładanie szminki i cała charakteryzacja to dość czasochłonne zabieg!

Bettina musiała mi co dzień wpleść we włosy świeże polne kwiaty, paznokcie malowała mi codziennie na nowo na kolor różowoperłowy, skubała brwi i pudrowała dekolt, by skóra miała odcień mlecznobiały. Mój narzeczony wyglądał odłotowo. Szary smoking i ciemnoczerwona mucha! Wyglądał świetnie!

Mieliśmy, oczywiście, wielką świtę. Z jednej strony byli to członkowie zespołu kręcącego serial, którzy przed letnią przerwą zbrali się przed kamerami, by tę część pracy zakończyć tak zwanym wielkim finałem. Czyli raz jeszcze spotkali się wszyscy panowie doktorzy należący do zespołu lekarskiego, wszystkie starsze siostry, siostry praktykantki, lekarki asystentki, pielęgniarze, sanitariusze i cały personel administracyjny szpitala. Za młodą parą stali w pierwszym szeregu oczywiście weterani i osoby występujące stale w serialu. Za nimi statyści.

Starsza siostra Lora Kosz-marna miała na sobie garsonkę typu: „Moja teściowa jest sową”, rozmiar czterdzieści osiem z katalogu domu wysyłkowego Trulla Poepken. A na głowie kapelusz w stylu Królowej Matki, ozdobiony kwiatuśkami. Jej pierś zdobiła wielka kokarda, która miała maskować, wyszczuplać, wyciągać i podnieść talię.

Gretel Zupf, osobista sekretarka szefa, zjawiła się, oczywiście, w kostiumiku, który zrobiła sama szydełkiem. Kostiumik był w kolorze pomarańczowym, składał się z samych dziur i dziurek, co też miało wyszczuplać i maskować wałeczki tłuszczu. Wprawdzie góra mocno opinała obfity biust naszej dziarskiej koleżanki, ale w sumie widok był przedni. Obok niej stała para małżeńska, a mianowicie doktor asystent Gernot Miesmacher ze małżonką, osobą bardzo skupioną na sobie, czyli Elwirą Merkenich-Miesmacher, starszą siostrą w naszym szpitaliku.

Elwira była jedną z tych niewielu koleżanek, które potrafiły być czasem bardzo uciążliwe. Być może związane to było z jej silną, wręcz chorobliwą potrzebą dzielenia się ze wszystkimi swoją wiedzą i zdobytymi informacjami. Nie umiałam rozmawiać z nią swobodnie, ponieważ zawsze krążyła wokół własnych spraw, swojej osoby, męża i syna Adriana. Wpadał jak śliwka w kompot ten, kto zapytał, jak się jej wiedzie. Tego błędu już nikt nie powtarzał, bo dobrze zapamiętywał jego skutki. Kiedy jednak ktoś nieopatrznie zbliżył się do niej - ja z biegiem lat nauczyłam się unikać tej niepożądanego i uciążliwej bliskości - w okamgnieniu był wciągany w wir jej słów, którymi oplątywała niczym mackami ośmiornicy. Złapany miotał się jak już wspomniana, wyłowiona w sieci, zupka w proszku. Uciec przed

nią można było jedynie kłamać lub stosując jakieś uniki, wybiegi lub oszustwa, na przykład powołując się na konieczność udania się do WC. Nie było to ani łatwe, ani przyjemne i na ogół kończyło się rzeczywiście wizytą w WC, gdzie osoba poszkodowana siedziała na desce klozetowej, z purpurową twarzą, wyduszając z siebie kilka kropli siusiu, wściekła jak cholera, a z sąsiedniej kabiny nadal atakował ją słowotok Elwiry. Nie koniec na tym. Elwira czekała już na delikwentkę przed drzwiami prowadzącymi do WC, gestykułując, z nabrzmiałymi żyłami na szyi, a kiedy już ponownie dopadła swoją ofiarę, nie ustąpiła, dopóki nie pokazała dwustu zdjęć Adriana. Ratunkiem stawała się jedynie jakaś inna ofiara, która właśnie zjawiła się na horyzoncie. Gdy rankiem dostrzegałam ją w bufecie zakładowym, siedzącą i gestykułującą swoimi sztywnymi rękami, wolałam pospacerować wokół kontenera na makulaturę, który stał gdzieś tam w podwórku naszej kliniki, niż wpaść w jej sieć.

Właściwie to ciągle czekałam na moment, kiedy ktoś zbierze się na odwagę i powie: „Nudzisz mnie!”, wstanie i odejdzie od stołu. Ale nikt nie śmiał tego uczynić. Również jej małżonek, pan doktor asystent Gernot Miesmacher, nie śmiał tak zareagować. Być może był to jeden z powodów, dla których ten biedak do końca życia miał zostać tylko lekarzem asystentem. Kto wie.

Elwira wystąpiła na dzisiejszej uroczystości w kostiumiku à la panusia. Różowym, w drobny wzorek kwiatowy. Do kostiumu miała torebkę w odcieniu pastelowym, oczywiście też różowym. Jej własny ślub z doktorem Gernotem Miesmacherem nastąpił przed wieloma laty, co jej nie przeszkadzało opowiadać o nim bez przerwy. Jednocześnie wyciągała niczym magik ze swej różowej torebki setki zdjęć, choć nikt jej o to nie prosił.

Za nimi kuśtykał głupkowaty Adolf, młodszy sanitariusz, który wciąż wymyślał jakieś wygłupy. Jednak nikt oprócz niego samego ich nie lubił i nikogo oprócz niego one nie bawiły.

Obok stał grzecznie, świadom swoim obowiązków, doktor Christof Gernhaber, zainfekowany wirusem HIV lekarz asystent. Towarzyszyła mu anestezjolożka samarytanka, pani doktor Mechthilda Goch. Tuż koło niej nasza turecka koleżanka Merdał

Gyllhyll, oczywiście w czarnej chustce na głowie. Dalej doktor Jean Marie Wagner, niski, o byczym karku, podły cwaniak o przenikliwym spojrzeniu, który znany był z tego, że wciąż zdradza swoją żonę i robi lewe interesy z zakładem pogrzebowym. Następnie jego kolega, doktor Neidhard Hammel, pod każdym względem zbyt poprawny i w ogóle bez poczucia humoru. Jego ojciec miał firmę farmaceutyczną, a on sam bawił się w pracę naukową. Krążyły pogłoski, że tytuł doktorski kupił w Ameryce Południowej, co zawdzięczał jedynie podejrzanym interesom preparatami pochodzącymi z zakładów ojca. Po drugiej stronie korytarza stała Pia, dziewczyna pracująca w recepcji, osóbką o zaciśniętych ustach, ciągle skwaszona, właścicielka dupci przypominającej kurzy kuper. Dalej Ulrika, pielęgniarka praktykanta, o końskich włosach, która dziś wystąpiła w aksamitnej sukieneczce na ramiączkach (Trulla Poepken - sukienki wizytowe!) oraz jej ciągle cierpiąca przyjaciółka Berthilda, pielęgniarka pełniąca nocne dyżury, która jak wszystkim wiadomo, bała się ciemności. Wszyscy oni przybyli na uroczystość zaślubin bardzo elegancko ubrani.

Urzędnik stanu cywilnego był autentyczny. Władze miejskie pozwoliły na kręcenie tych zdjęć w auli ratusza pod warunkiem, że w uroczystości weźmie udział pracownik urzędu miejskiego. Urzędnik przemawiał uroczyście i bardzo poważnie.

Gustaw Grasso był zdania, że jest to zbędne. Nasz reżyser siedział na swoim stołku, jak zwykle z zachmurzoną twarzą, całkowicie nieodpowiednio ubrany jak na taką okazję, w berecie na głowie, we flanelowej koszuli, w nie wyprasowanych spodniach i pepegach ze sterczącymi językami.

- No, ruszajcie się, z życiem, kochani, nie jesteśmy tutaj dla zabawy. - Mrucząc te słowa, rzucił zmaltretowany scenariusz w ką. - Teraz wszystko po kolei! Całość!

Z tyłu pchali się statyści. Ci przybyli tutaj przede wszystkim dla zabawy.

Klaus Overbeck, nasz sympatyczny operator, przejechał kamerą wzdłuż świątecznie ubranego tłumu gości weselnych. Kierownik produkcji dbał o spokój.

- Zrób kilka ujęć z góry, całość. Wtedy będą mogli sobie

pójść, a my popracujemy w spokoju. - Gustaw Grasso wydał polecenie przez tubę.

- Tak jest! - jęknęła Lora Kosz-marna. - Co za koszmar z tymi ludźmi! Nic nie robią cały dzień i jeszcze dostają za to kupę szmalu!

Tak samo jak ty - pomyślałam złośliwie, chowając twarz w cytrynowy kołnierzyk sukienki. - Ty także nic nie robisz cały dzień i dostajesz za to forszę. No i co? Czy jesteś szczęśliwa, zrównoważona i radosna? Za żadne pieniądze! Kosz-marna jesteś. I zasłużyłaś na manto.

Po tym tak mało przyjemnym dniu pracy miałam tylko jedno pragnienie: wrócić do domu! Ale to nie było takie proste. Skutki działania aktu zemsty laleczki były bardziej długotrwałe niż przypuszczałam. W zasadzie miałam już dość. Justus i ja bawiliśmy się razem cudownie, a ja już się na niego nie gniewałam. Jednak zupka w proszku miotała się w sieci, choć ja bardzo się starałam, by ją z tej sieci uwolnić.

No, zupko, możesz sobie odpłynąć! Gdzieś w siną dal! Nie trzymam cię już! Jesteś wolna! Mamusia już się na ciebie nie gniewa. A te słowa o laleczce jakoś tam cofnąłeś tymczasem sam. Bo przecież poznałeś moje dowcipy i żarty. Cały repertuar! Już nie chwalisz się ciągle. Zostańmy przyjaciółmi. Dobrze? No, więc już dosyć, wracaj teraz do domu! Ale z nim było trochę jak z Elwirą. Gdy się raz wpadło w te szpony, nie było ucieczki. Justus stał więc na schodach wiodących do ratusza i ani myślał wracać do domu. Skupiony kartkował kalendarz. Że go jeszcze nie zjadł! Niestety, nie znałam bocznych czy ukrytych wyjść w z ratusza tak, jak w gmachu naszego szpitalika. Chcąc nie chcąc musiałam przejść obok niego.

- Pa, pa, Justusie, życzę ci miłego dnia! - Uśmiechnęłam się miło.

Justus zareagował ze złością:

- Obowiązują cię jeszcze dwie godziny pracy! Oficjalnie! Jednak laleczka wyrwała się z jego szpon.

- Jak mam to rozumieć? - zapytałam. - Czy przebywanie z tobą należy do moich obowiązków służbowych?

- Do widzenia! Miłego dnia życzymy wszystkim! - Lora i Gretel żegnały się z zespołem, bo, już po wyjściu z garderoby, opuszczały ratusz. Ja sama nie spieszyłam się. A one przecież poszły do garderoby zmyć twarze i przebrać się po mnie! Też nie wiedziały, co zrobić z tak miło rozpoczętym dniem.

- Nawzajem! - zawołałam za nimi.

- No więc? - Justus czekał niecierpliwie.

- Mam mnóstwo roboty w domu - powiedziałam. Monodram, przygotowania do podróży, zakupy z Beniaminem, wyjazd Greta, lotnisko... Ale o tym wszystkim nie zamierzałam, oczywiście, rozmawiać z Justusem.

- Ja też mam mnóstwo roboty w domu! - zaatakował Justus. - Muszę wypełnić formularz podatkowy, zanieść do reperacji golarkę, żonie kupić sukienkę na dzień matki i odpisać dzieciom na sześć listów z okazji dnia ojca. Tak sobie zażyczyły.

Tu roześmiał się donośnie. Jego śmiech odbił się od schodów ratusza, ale nikt go nie podchwycił.

- No więc? - zapytałam. - Na co czekasz? Czyżbyś czekał na mnie?

- Chciałem tylko zobaczyć, dokąd idziesz - odparł.

- Do auta! - powiedziałam. - A dokąd to mogę iść, jeśli nie do auta?

Staliśmy niezdecydowani na schodach. Kilka osób minęło nas, schodząc po schodach. Ulrika uśmiechnęła się szczególnie łagodnie, ciepło i obłudnie.

- Miłego dnia!

- Nawzajem! Do jutra!

Energicznym krokiem ruszyłam w kierunku auta. Justus nie odstępował mnie na krok.

- A więc nie chcesz! - stwierdził.

Zatrzymałam się na chwilę. Staliśmy na schodach, świeżo poślubieni, młodzi i szczęśliwi i sfrustrowani świadomością, że coś musimy... Jutro kręcimy sceny sypania kwiatów, rzucania wianka ślubnego, też w pełnej gali, radując się jak ludzie, którym niczego do szczęścia nie brakuje. Młodzi, piękni, szczęśliwi...

Gustaw Grasso mruknie w takiej chwili: „To zbędne!”, a kierownik produkcji zawoła: „Proszę tutaj!”, a sześćdziesięciu statystów będzie grać gości weselnych, robiąc tłum i przepychając się, by być jak najbliżej kamery. Teraz staliśmy razem, a ja nie miałam najmniejszej ochoty na mojego narzeczonego. Ani na spacer wzdłuż Renu, ani na inne przyjemności, czego by można się było właściwie spodziewać po świeżo poślubionej małżonce.

- Więc nie chcesz? - powtórzył. - Czy mam się uciec do gwałtu, skoro jesteś niechętna?

- Co to znaczy, że ja nie chcę? - zapaliłam się. - Na dziś skończyliśmy, nasze pensum odrobiliśmy, teraz wracam do domu. Założywszy, że raczysz się zgodzić.

- Ale ja tylko chciałem być z tobą!

Zauważyłam, że w kącikach ust zbiera mi się ślina. Nie rozumiałam. Przecież przed chwilą wyliczył, ileż to ważnych spraw musi pilnie załatwić.

- Słuchaj, ja dziś nie mogę. - Mówiąc to, położyłam mu rękę na ramieniu. Ubrany był jak zwykle w swoją wiatróweczkę w kolorze kupki niemowlęcia. - Dziś naprawdę nie mam czasu na spacer. Nie gniewaj się na mnie.

- Zamiast spaceru możemy zająć się czymś innym. I to natychmiast - odparł.

- Słucham? - Pomyślałam o czekających mnie dużych zakupach i samolocie Grety, który wylatywał o wpół do trzeciej.

- Gdybyś wiedziała, jak on już dojrzał...

- Kto?

Po schodach schodziła właśnie markotna para małżeńska: Elwira Merkenich i Gernot Miesmacher.

- Jak to kto? - odpowiedział. - Niegrzeczny wacuś, ten fiut brzydał. - Padły słowa, jakich raczej używają drwale. W niektórych sytuacjach podobały mi się, ale teraz wydawały się całkiem nie na miejscu.

- Ciiicho! - powiedziałam ostrożnie.

- Ten niegrzeczny wacuś już nie może wytrzymać! Tak jest napalony!

- Zamknij się! - syknęłam.

Sympatyczna para małżeńska mijała nas. Gernot zamierzał przejść obok, nie żegnając się. Uśmiechał się cynicznie, prezentując co najmniej trzydzieści źle zrobionych koron. Robił to często i chętnie. To mi się w nim podobało. Zamierzał iść dalej, nie zatrzymując się. Natomiast Elwira wrodzonej ciekawości przewyciężyć nie mogła. Przystanęła. Jeszcze nigdy bowiem nie udało się jej z taktem kogoś wyminąć. Z typowym dla siebie wścibstwem zapytała, o czym rozmawiamy.

- Zastanawiamy się właśnie, czy pójdziemy do niego, czy do mnie! - odparłam bardzo uprzejmie. - On właśnie mówi, że jego wacuś jest niegrzecznym chłopcem i że już nie może wytrzymać, tak go przyparło.

Elwira obrzuciła nas pogardliwym spojrzeniem. Jej mąż wykrzywił twarz w uśmiechu, ponownie demonstrując swoje niezliczone koronki. Justus zareagował tak jak zwykle. Roześmiał się donośnie. Tym razem z zażenowania. Było mu głupio.

- No, w takim razie! - przeszedł na dialekt tyrolski, tak bardzo wyprowadziłam go z równowagi.

Co za radocha! Jego najlepszy przyjaciel zacerwienił się ze wstydu i zwinął w czeluściach spodni, ponieważ nagle przeszła mu ochota!

Gernot uśmiechał się złośliwie i patrzył gdzieś przed siebie. Trzydzieści koronek pobłyskiwało w słońcu. Był naturalnie świetnie poinformowany zarówno o kondycji niegrzecznego kumpla swojego kolegi, jak i o jego pilnych potrzebach seksualnych.

Nie byłam wtajemniczona w ich sprawy osobiste, mogłam jednak niemal z pewnością założyć, że tego typu przyjemności od lat już nie należały do repertuaru małżeńskiego pożycia Elwiry i Gernota Merkenichów.

Elwira, przez cały dzień nadmiernie pobudzona i ciągle żądna rozmów z koleżankami, wieczorem padała wyczerpana do łóżka, uprzednio nałożywszy na twarz grubą warstwę tłustego kremu, zalecanego samiczkom domowym przez czasopisma. Gernot cisnął się przez pół nocy po swoim małżeńskim łóżku obok narzeczce milczącej małżonki, przełączając programy i oglądając jakieś głupie rozmowy, wywiady, konkursy, czy teleturnieje. Za-

stanawiał się, dlaczego on, wieczny lekarz asystent, jest takim nieudacznikiem. Nie zapraszano go jako gościa do telewizji, uczestnika jakiejś nocnej rozmowy. Nie umiała mu smutnej egzystencji żadna zakazana miłośćka. Nikt go nie chciał na przewodniczącego klubu weteranów grających w golfa w takiej na przykład miejscowości jak Dolna lub Górna Kozia Wólka, czy też klubu golfowego okręgu Sauerland, gdzie jak ogólnie było wiadomo utrzymywał wspólnie z małżonką domek letniskowy. W jego życiu nic się nie działo. Dosłownie nic. Wieczny lekarz asystent, w ostatnim szeregu. Wieczny widz. Zrobiło mi się go żal.

- No, w takim razie zastanawiajcie się dalej! - odpowiedziała Elwira i zwróciła się do męża: - Chodź, idziemy! - Dumnym gestem odrzuciła blond loki, ułożone kunsztownie przez fryzjerkę za pomocą papilotów, i oddaliła się pewnym siebie krokiem. Gernot wykrzywił twarz w grymasie, który miał oznaczać uśmiech. Miła para zniknęła w szarym oplu asconie. Powróciliśmy do naszej rozmowy.

- Odnoszę wrażenie, że mnie unikasz - powiedział.

- Co za bzdury! - odparłam. - Co ci przyszło do głowy!?

- Widziałem, komu się przyglądasz!

- Komu?

- Gustawowi Grasso! Cały czas ślesz spojrzenia w jego kierunku!

- Gustawowi Grasso? Oszalałeś! - rozgniewałam się.

- Ja takie rzeczy świetnie wyczuwam - pochwalił się. - Od razu zauważyłem.

No tak, rzeczywiście zapomniałam, jak w gruncie rzeczy wyjątkowo wrażliwy był ten wiejski chłopiec z Tyrolu Południowego.

- Chyba mi wolno spoglądać na reżysera, gdy daje mi wskazówki! - wściekałam się.

- To są specjalne spojrzenia! - odparł. - Do tej pory zarezerwowane tylko dla mnie!

Zarezerwowane? Czyżbym się przestyszała? Miałam sobie przykleić kartkę na czole z napisem: „Zarezerwowane dla odtwórcy głównej roli!”

Zaczęło mnie to wszystko złościć. Co go tak naprawdę obchodziło, na kogo patrzę, w jaki sposób i dlaczego?! Co to wszystko ma znaczyć! W ładnej główce laleczki zawrzało. Gniew i złość. Przecież chyba mi wolno patrzeć, na kogo chcę! Na reżysera też! Jeszcze nie wprowadzono przymusu spuszczenia wzroku w naszym kraju! Tym bardziej że ty, drogi Justusie, jesteś jedynie moim kolegą, a nie małżonkiem czy kimś równie ważnym w drobnomieszczańskim środowisku! Gdyby Ernstbert zabronił mi patrzenia w określonym kierunku, dostałby pater-noster. Ale Ernstbert nigdy by na taki pomysł nie wpadł. Jemu było doskonale obojętne, gdzie i na kogo patrzę, najważniejsze, by wieczorem było piwo w lodówce, a deska klozetowa nie zajęta.

- Nie rozumiem, co ty w tym starym, obrzydliwym facecie widzisz!

- Jest genialnym reżyserem! - zebrałam się na odwagę, by mu stawić czoło, chociaż nie miałam najmniejszego pojęcia o sprawach, o których mówiłam. Innego reżysera nie znałam. Tylko Gustawa! Justus miał zupełnie inny system odniesienia i mógł porównywać.

- Jest hazardzistą i przegranym człowiekiem.

- Hazardzistą!?

- Tak, hazardzistą! Kręci się po kasynach gry i tam traci wszystko, co zarobi. A w weekendy jeździ do Bad Muenste-reifel, też do kasyna.

- Skąd wiesz?

- Wszyscy wiedzą!

- Ja nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Co za bzdurne ploty! Ponadto do kasyna nie wpuszczają bez krawata. A Gustaw nigdy nie nosi krawatów. Nigdy. To dowód. Reszta to jedynie plotka.

Zdecydowanym krokiem ruszyłam schodami w dół. Moje auto stało tuż za rogiem, zaraz przy zakazie parkowania. O ile tam jeszcze stało.

Justus ruszył za mną.

- Charlotte!

- Pa, pa! Do jutra! Do widzenia!

Nie miałam ochoty z nim dyskutować. Ani na temat mojego

wolnego czasu dziś popołudniu ani na temat Gustawa. Miał rację mówiąc, że go lubię. Ten stary uparciuch, zawsze w złym humorze, ten żelazny gość fascynował mnie. Być może dlatego, że w ogóle nie zabiegał o niczyje względy. Reagował zupełnie inaczej niż inni ludzie. Łącznie ze mną.

O cholera, gdzie moje mlecznoszare kombi, ten stary grat?! Przecież tutaj go odstawiłam, na pewno! Tutaj, przed knajpą o sympatycznej nazwie „Brudna Szmata”. Knajpą typową dla Kolonii. Taką prawdziwą tutejszą speluną, gdzie piwo leje się strumieniami. Wieczorem kręcą się tu turyści zwiedzający stare miasto. Czasem panuje taki tłok, że część gości stoi - hałasując niemiłosiernie - na chodniku przed knajpą. Ale teraz, w samo południe, było pusto. Dopiero co otworzyli... Ani śladu po aucie. Nic. Nawet śladów hamowania... Odwróciłam się, lustrując wzrokiem okolicę. Poza Justusem chowającym się za latarnią - żółta kurteczka w kolorze kupki niemowlęcia błyszczała wyraźnie - było pusto.

Nie, na pewno się nie pomyliłam. Ściągnęli mi auto. Straż miejska. Za parkowanie w niedozwolonym miejscu!

Masz pecha, siostró, niech to szlag! Zabulisz! Taka przyjemność kosztuje! W dodatku tracisz czas!

A przecież obiecałam Grecie, że odwiozę ją i jej ukochanego na lotnisko! Przedtem chciałam pojechać z moim brudaskiem do myjni. No i do fryzjera! No i to kacze gówno na tylnym siedzeniu! Oblał mnie pot. Zdeterminowana weszłam do „Brdnej Szmaty”. Krzesła stały jeszcze na stołach. Za barem kręcił się młody mężczyzna, zajęty swoimi sprawami.

- Czy mogę zadzwonić?

Młody człowiek bez słowa postawił telefon na barze. Ktoś za mną grał na automacie, usłyszałam jedynie brzęk wypadających monet. Było tak ciemno, że niczego nie widziałam.

- Czy ma pan książkę telefoniczną?

- Proszę! Czy ma pani jeszcze jakieś życzenia? - Gruba, rozlatująca się książka telefoniczna wylądowała obok aparatu telefonicznego.

- Piwo! Tylko proszę nie rzucać!

Zaczęłam wertować grubą, brudną, zdartą książkę. „Autoho-

lowanie" - nie. Przecież nie zamierzałam tym przesympatycznym firmom czegokolwiek zlecać. Policja. Gliny na pewno wiedzą, gdzie jest mój pechowy brudasek. Zadzwoiłam na posterunek przy ulicy Pocztowej. Za mną znów zabrzączały monety. Ktoś miał szczęśliwą rękę do automatów.

- Piwo dla pani.

Wzięłam do ręki długą, wąską szklanicę i powoli zaczęłam pić.

- Halo, czy to posterunek policji? Dzień dobry. Czy ścignęliście moje auto? Taki szary brudasek.

- Chwileczkę, już panią łączę.

Coś zaszumiało w słuchawce. Wypiłam piwo.

- Policja drogowa, pierwszy komisariat.

- Dzień dobry. Czy ścignęliście moje auto?

- Dzisiaj, proszę pani, ścignęliśmy ponad dziewięćdziesiąt aut. - W głosie policjanta przebijała duma.

- Czy moje również? - Podałam mu numer rejestracyjny.

- Tak, zgadza się - ucieszył się policjant.

- Stało przed „Brudną Szmata”! - poinformowałam go, by uzupełnić dane.

- Takie stare, brudne kombi?

- Tak, nazywam go brudasek.

- A w środku rupiecie? Dużo rupiecie? Między innymi dwa stare krzeselka samochodowe dla dzieci. Te krzeselka nie mają atestu policji drogowej! Wszystko poplamione twaróżkiem? I puste opakowania po małych jogurtach na półce z tyłu!

- I kaczę gównem na siedzeniu za kierowcą! Tak! To moje auto! Oddawajcie je!

- I zimowe opony bez zabezpieczenia?

- Tak! Zimowe opony! - ucieszyłam się. - Skąd tak od razu wszystko wiecie?

- Oklejone mnóstwem naklejek stacji telewizyjnej Cztery Minus?

- Tak! Jak się czuje mój pupil?

- Stał w zasadzie na chodniku. - Policjant był teraz już tylko surowy. - Utrudniał przejście przechodniom, a to jest wykroczenie w świetle przepisów drogowych.

- Tak mi przykro! - byłam zdruzgotana. - Zasłużyłam na karę. Macie racje, żeście mnie ściągnęli. Macie całkowitą rację. Zasłużyłam na reprimendę! Zaczęłam szukać chusteczki. Młody chłopak przy barze postawił przy telefonie jeszcze jedno piwo.

- Na koszt firmy! - powiedział.

- W takim razie niech je pani odbierze. I niech pani przygotuje sto sześćdziesiąt marek. - Urzędnik nie dał się wzruszyć. - Nie podamy panią na kolegium, bo okazuje pani skruchę.

- To bardzo uprzejmie z pana strony! - podziękowałam serdecznie. - Ryczę ze skruchy! Nigdy więcej tego nie zrobię!

Podyktował mi adres, a ja nabazgrałam go na wilgotnej podstawce pod piwo.

- Kupił bajeczkę. Podziałało, nie podadzą mnie na kolegium - poinformowałam chłopaka za barem.

Zamówiłam taksówkę. Kotońskim dialektem rzuciłam:

- „Brudna Szmata” - raz! Pasażerka czeka przy barze!

Położyłam markę i pięćdziesiąt fenigów obok podstawki.

- Reszta na koszt firmy?

- Na rachunek tego pana!

Rozejrzałam się po lokalu. Moje oczy już oswoiły się z ciemnością panującą w knajpie. Ktoś stał przy automacie do gry. Jakiś krępy mężczyzna w berecie opierał się o pudło.

- Dziękuję! - powiedziałam i wyciągnęłam szklanke w jego kierunku.

- Zagrałaś dobrze, niestety! - Usłyszałam głos Gustawa Grasso. - Czasem wydaje mi się, że naprawdę masz talent.

- To zbędne! - powiedziałam i poczułam się bardzo dowartościowana. Odstawiłam gwałtownie szklanke na barek i wybiegłam z lokalu.

Justus stał za latarnią i kamienował mnie spojrzzeniami. A więc to tak! W jego przekonaniu potajemnie spotykałam się z Gustawem po knajpach. On przecież wiedział, że tak jest! A ja udawałam, że mam pilne sprawy do załatwienia i spieszę się do domu. Jemu oczu nie zamydę. Jemu nie, on jest w końcu światowcem! Nie da się go nabrać jak niedojrzałego głuptaska.

Niestety, to wydarzenie miało przykre konsekwencje.

Trzydziestego pierwszego maja, dzień upalny, prawdziwe lato. Cudowne popołudnie. Jak z jakieś opowieści. Tak, jestem pewna, że chłopcy długo będą pamiętać to letnie popołudnie.

Dzieci biegały na golasa po ogrodzie, bawiły się z Beniaminem, obrzucając się gliną i waląc się nawzajem mokrymi ręcznikami po nogach. Od czasu do czasu cała trójka wpadała - piszcząc i rżąc przeraźliwie - do gumowego basenika, w którym już niewiele wody zostało. W brązowawej brei pływały foremki do piasku, gumowe zwierzątka, trawa, koniczyna, miski z kuchni i jakiś osierocony kalosz. Wreszcie kąpiel na wesoło! Na to czekali!

Śmiechom i radości nie było końca. Chłopcy rechotali. Ich dziecinnym piskiem towarzyszył mocny głos młodego mężczyzny. Słyszałam ich w sypialni, gdzie stałam przed szafą i zastanawiałam się, co zabrać w podróż. Przytulałam do policzka ciuszki wyprane i wypłukane w zmiękczającym płynie pachnącym wiosną. A więc nadeszła pora wyjazdu. Jutro pierwsze przedstawienie, jutro zaczynam wielkie tournée po Niemczech.

Beniamin okazał się świetnym opiekunem. Lepszego nie mogłam sobie wymarzyć. Ernie i Bert szaleli za nim. Bawił się z nimi, śmiał, wygłupiał i w ogóle zachowywał się niczym rozhasany żrebak. Buszowali po domu i po ogrodzie. Uroczy chłopak. Z kolczykiem w uchu.

Greta wyjechała z tym swoim tajemniczym doktorem Bodo Berleburgiem. Udali się w podróż statkiem. Jej dom stał pusty i cichy.

Ernstbert był już od dwóch tygodni w Witzelroda, gdzie sprzedawał nieruchomości: parkingi, budynki mieszkalne i kasyna gry. Urzędował tam w biurze specjalnie dla niego urządzonym i starał się pozyskać poważnych kupców, zajmując się również doradztwem. I czynił to z wielkim zapałem. Byłam pewna, że nie wychodzi na świeże powietrze, że nie ma pojęcia, czy jest lato czy zima, nie wie, że jego służbowe auto stoi tuż przed biurem i że w miejscowości tej nie dostrzega niczego poza restauracją i swoim hotelem. Czasem dochodziłam do wniosku, że dla jego krążenia byłoby lepiej, gdyby miał kochankę, byłam jednak pewna, że na taki pomysł po prostu by

nie wpadł. Po pierwsze, to zbyt wyczerpujące, a po drugie - jak mawiał Gustaw Grasso - całkiem zbędne. Przecież miał mnie, swoją samiczkę domową, zawsze chętną i zawsze radosną.

Nawet gdy wyjechał, nie odczuwałam jego braku. Między nami nie było żadnej emocjonalnej więzi. Rozmawiając po raz ostatni z Ernstbertem przez telefon, składałam starannie swoją nową lub odświeżoną garderobę i pakowałam ją do walizki. Wysłuchiwałam ostatnich poleceń męża.

- Czy przeczytałaś uważnie instrukcję obsługi walizki? Walizkę można ciągnąć na kółkach, ale musisz wiedzieć, jak to uruchomić! Ma jeszcze dwa lata gwarancji, więc jej nie popsuj! Jeśli źle będziesz ją ciągnęła, popsujesz! Jest to bardzo inteligenta walizka, bardzo delikatna! (Wszystkie przedmioty, które Ernstbert kupował dla domu i które służyły nam niczym niewolnicy, były wysoce inteligentne. Począwszy ode mnie!). Specjalnie dla dam! Była bardzo droga, słyszysz! Kluczyk do skrytki schowaj w kieszeni wewnątrz walizki! Nie zgub kluczyka, bo przypadnie gwarancja. Nikt nie zwróci ci pieniędzy za walizkę, jeśli zgubisz kluczyk! Zrozumiałaś?! Kwotę za walizki możesz potrącić od podatku, jeśli przedłożysz oryginalny rachunek! Nie wyrzucaj więc rachunku i włóż go do właściwej teczki!

- Tak. rozumiem. Takim cię poznałam i takim pokochałam. Gromadzenie rachunków, zbieranie ich we właściwych teczkach i wpinanie do segregatorów to namiętność twoja, która nas zbliżyła, pamiętasz? Przed ośmioma laty? Nie. Tak. Dziękuję. - Klik, klik, klik. Odłóż teraz. - Tak, ja ciebie też kocham! Przecież wiesz!

Uradowana stwierdziłam, że moja letnia garderoba leży na mnie świetnie, bo po pierwsze dobrze mi zrobiły dni, kiedy jadłam tylko owoce, a po drugie moje ciuchy zostały świetnie wyprasowane. Benjamin skończył wprawdzie w szkole tylko kurs prasowania dla początkujących, bo na kursie dla zaawansowanych nie było już miejsca dla chłopców, jako że tam obowiązywał limit dla płci męskiej, ale za to na Uniwersytecie Ludowym przebrnął przez pięcioletni kurs prasowania, nieobowiązkowy, jedynie dla mężczyzn, co zwalniało go częściowo ze służby wojskowej. Gdyby to tak było na całym świecie! Nie

byłoby wojen! Mażeńskich również! Gdyby tak mężczyźni tylko prasowali, a nie strzelali!

Właśnie zanurzyłam się niemal cała w szafie z bielizną, kiedy zadzwonił nieoczekiwanie dzwonek u drzwi.

- Ernie? Bert? Beniamin? Niech ktoś otworzy, jestem zajęta!!!

Warchlaczki tarzały się właśnie w swoim korytku i obrzucały się błotem. Pisk był niemiłosierny. Nikt naturalnie nie usłyszał dzwonka, nikt też nie udał się do drzwi, by - goły i obciekający błotem - zobaczyć, kto też stoi na progu i czego chce.

Pani domu musiała więc sama udać się na dół. Na jej ramieniu wisiało z pół tuzina biustonoszy o różnym stopniu sprania.

Przez matową szybę w drzwiach wejściowych zamigotało coś żółtego w odcieniu kupki niemowlęcia. Zauważyłam to kątem oka, ale sedno sprawy w zasadzie nie dotarło to do mnie, jako że zaabsorbowana byłam całkowicie kolekcją biustonoszy na moim ramieniu i innymi istotnymi sprawami, zwłaszcza dotyczącymi kwestii zachowania pokoju światowego.

Wolną ręką otworzyłam drzwi.

- Justusie!

- Byłem akurat w pobliżu...

- Jest upał, ze trzydzieści stopni w cieniu, dlaczego nie ściągniesz tego kaftana?

- Właśnie omawiałem pewne sprawy z moim doradcą podatkowym....

- Co ty powiesz...

- No i skończyliśmy wcześniej niż myślałem...

- Wejź!

- Chętnie. Jeśli nie przeszkadzam! - Tu roześmiał się głośno i jowialnie, zadowolony z siebie. Rozejrzał się po domu, jakby czegoś lub kogoś szukał. - Nie ma tu Gustawa?

- GUSTAWA?! On tu jeszcze nigdy nie był! Jak mam to rozumieć?

- To był tylko żart. Cha, cha, cha!

- Przecież dobrze wiesz, że w ogóle nie mam poczucia humoru. A więc daj sobie spokój z takimi żartami!

Jakoś było tak, że ten temat bardzo mnie irytował. Tak samo

reagowałam, jak Greta na Niedricha. Odsunęłam się i wpuściłam Justusa do domu. Jego kurteczka błyszczała w ciemnym korytarzu.

- Chcesz się napić czegoś zimnego?

- Tak, chętnie! - Po raz ostatni rozeźmiał się zażenowany, a jego głośny śmiech odbił się echem od ścian.

Pani domu kroczyła przodem, starając się odzyskać kontenans. Za nią kroczył niespodziewany gość. Oboje szli w kierunku kuchni. Tam gospodyni gościnnym gestem otworzyła lodówkę. Staniki na ramieniu leniwie się kołysały.

- Woda, lemoniada, cola, piwo, herbata mrożona?

- Herbata mrożona!

- A więc herbata mrożona!

Pani domu własnoręcznie podała herbatę w salonie, jako że nie miała gosposi, a gospoś pluskał się właśnie z golutkami warchlaczkami w baseniku.

- Siadaj!

- A gdzie twój mąż?

- Wyjechał. Już dwa tygodnie go nie ma.

- Już... dwa... tygodnie?

- Tak! Czy coś się stało?

- Nie! Ale przecież mogłaś powiedzieć!

- Co mogłam powiedzieć?

- No, że wyjechał i że masz wolne mieszkanie...

No nie, a to niby dlaczego? Z jakiej racji? Stojący za kotarą Gustaw tłumił ogarniający go śmiech.

Justus postawił fdiżankę na stoliku i chwycił mnie za ramię.

- Słuchaj, przez te dwa tygodnie mogliśmy nieźle się zawiązać!

Teraz wolno panu pocałować narzeczoną... O, co za namiętność! Co za szal! Ten temperament południowotyrolski, chłopski, prząsny, te kobyle zaloty! Co za potencja! Jaka groźna i nieobliczalna! Nagle znalazłam się na stole między szklankami z mrożoną herbatą. Otaczało nas wojsko składające się z rycerzy playmobil z łukami i bagnietami. Dwóch rycerzy na plastikowych koniach spadło na podłogę. Na dworze kwiczały warchlaki.

- Charlotte, ty boska kobieto, szalona, ty diabolic, ty, ty,

ty... doprowadzasz mnie do szału. Im bardziej mnie unikasz, tym bardziej cię pragnę!

Zapewne to biustonosze sprawiły, że ogarnął go taki szal. A może plastikowi rycerze lub piraci... Uporał się ze mną szybciej, niżbym się sama tego po sobie spodziewała.

Właściwie to ja już na niego nie miałam ochoty. Ale jednak może jeszcze miałam. Nagle wydało mi się, że nadal mam ochotę. Ten jeden, ten ostatni raz. I to natychmiast.

Żółta kurteczka pofrunęła w kąt. Sztruksowe spodnie również. Do sześciu staniczków dołączył siódmy. Przez sekundę pomyślałam o mojej przyjaciółce Elwirze, która swoje staniczki kładła zawsze miseczkami do góry i zostawiała w publicznych miejscach. Ale tylko przez sekundę. Po chwili rozptynęła się w powietrzu i wyleciała - całkowicie bezszelestnie - przez okno.

- Justusie, dzieci są na dworze...

- Dzieci są zajęte... - Namiętne pocałunki wilgotnych męskich warg. Cudowny smak! Dzikie, męskie, namiętne, szalone, gorące, zaborcze! O, brakowało mi ich, tych szalonych pocałunków namiętnego mężczyzny! Był to szalony seks, krótki i bez opamiętania. Wspaniały! Po czterdziestu sekundach oboje krzyliśmy jednocześnie z ulgi i ze szczęścia.

- O Boże, było cudownie! Niestety! - Podniosłam się.

- Najwyższa pora! O rany! - Justus chwycił swoją szklankę.

- O tak, brakowało mi tego. - Wzięłam jego szklankę i piłam chciwie. Boskie uczucie!

- Ty bez wiatróweczki... Nie sądziłam, że cię kiedyś bez niej zobaczę... Już straciłam nadzieję, że...

Jowialny, gwałtowny, niepowstrzymany śmiech. *What a mani* Justus był zadowolony z siebie. Spojrzał po sobie.

- Masz na myśli jego? - ON, niegrzeczny wacusz, sprawiał wrażenie wyjątkowo wyczerpanego.

Gorączkowo zebrałam swoje fatałaszkę. Ledwie zdążyłam wcisnąć podkoszulek w spodnie, a już tłusta łapka, utytłana w glinie, zaczęła przekręcać zamek w drzwiach od strony ogrodu. Umorusany nos przylgnął do szyby, po chwili - na tej samej wysokości - do pierwszego noska dołączył drugi nosek.

Za szybą zarysowały się dwa tłuste brzuszki i dwa słodkie, małe, umazane w glinie siusiaczki. Po szybie drzwi prowadzących na taras spływały smugi mokrego piachu, które wyglądały niczym tłuste dżdżownice.

- Mamo! Otwórz! Potrzebujemy wody! Nie mamy już wody!

Otworzyłam drzwi. Justus siedział goły niczym święty turecki na stole w salonie. Jego wacuś leżał wyczerpany i medytował na wilgotnym terenie południowotyrolskim. Jak po burzy z piorunami. Bezruch.

What a man.

- Proszę nie wchodzić z zabłoconymi nóżkami!

- Kto to jest?

Ernie wytarł sobie błoto z policzka i zmarszczył nos.

- To jest Justus Streitacker, kolega z pracy!

- Czy to ten, za którego wysłaś w ubiegłym tygodniu za mąż?

- Tak, ten sam.

Aha! Dzieci nie zdziwiły się, bo zresztą z jakiego powodu miałyby się zdziwić. Nadszedł również Benjamin. Uzbrojony w trzy puste wiadra. Dla przyzwoitości biodra owinał sobie mokrym ręcznikiem. Miał piękny tors. Wysportowany chłopak. Te świetną formę zdobył zapewne, ucząc się szorować schody lub coś w tym rodzaju.

- Proszę wytrzeć nogi!

Benjamin starannie wytarł mokre nogi o gumową wycieraczkę w duże kwadraty. Gdy wycierał nogi, ręcznik zsunął mu się z bioder.

- Benjaminie! Rozwiązał ci się but! - zażartował Ernie z gosposia.

Benjamin spuścił głowę, by spojrzeć na swoje stopy, niczego zresztą nie rozumiejąc. But? Jaki but? Przecież był boso!

- Dzięki za ukłon! - Ernie i Bert zaśmiewali się ze szczęścia. Ale wpadł! O, te niewinne dziecięce radości!

Benjamin spojrział na Justusa i jednym gestem rzucił swój ręcznik na podłogę, by wytrzeć o niego nogi. Skłonił się uprzejmie i pomaszerował w kierunku toalety dla gości, by tam nabrać w kubły wody.

- Dlaczego nie weźmiecie węża gumowego? - zawołałam za nimi.

- O tak, wąż! Wąż gumowy! Gdzie jest wąż?

- W garażu!

Beniamin wrócił i podał Justusowi rękę.

- Nie przywitaliśmy się jeszcze.

- To mój kolega z pracy, pan Justus Streitacker, a to Beniamin, mój chłopiec do dzieci.

- Miło mi.

Ja też byłam zdania, że jest miło, naprawdę miło, bo w moim salonie znalazło się naraz dwóch bardzo przystojnych golasów.

- Mamo, czy on będzie się z nami bawił?

- Na pewno! - zapewniłam chłopców.

- Tak, z największą przyjemnością! - odezwał się głośno Justus swoim dźwięcznym głosem. - My w Tyrolu Południowym też szalejemy w błotku. Kąpiemy się w bajorkach, w których są żaby i ropuchy! Ja zawsze kąpię się z dziećmi! Tak, mówię wam! W szaleństwach jestem dobry!

- Wspaniale! - Beniamin znalazł się pod urokiem Justusa.

- Gdy was ujrzał, natychmiast się rozebrał i chciał koniecznie bawić się razem z wami! Nie mogłam go powstrzymać...

Beniamin był zachwycony.

- On strącił moich plastikowych rycerzy! - rozgniewał się Ernie.

Justus poderwał się jak oparzony. Również Beniamin zaczął pomagać przy zbieraniu małych oszczepów i włóczni. Starannie układali je na stole.

- My w Tyrolu Południowym też mamy rycerzy! Ale takich prawdziwych. I zamki i pałace! Musicie koniecznie kiedyś nas odwiedzić!

- Mamo, ja chcę tam pojechać, gdzie on mieszka!

Ale Bert zapytał nieufnie:

- Czy tam, gdzie on mieszka, jest jedzenie kolońskie czy południowotyrolskie?

- Południowotyrolskie. Ale jest pyszne! Ja potrafię gotować! W gotowaniu jestem...

- ...dobry! - dokończyłam za Justusa, zwracając się do Beniamina.

- No, coś takiego! - Beniamin puścił do mnie oko.

- Czy macie tam pływalnie z rozrywkami?

- Ależ oczywiście!

- I power-rangersów?

- Mam czterech chłopców! - Justus triumfował.

No tak - pomyślałam - grając w skata, już by wygrał.

- Moi chłopcy też bawią się w rycerzy. A ja z nimi! Tak, mówię wam! W grach rycerskich jestem dobry!

- To mogę potwierdzić! - powiedziałam uprzejmie.

- Czy jest pan też dobry w trzymaniu gumowego węża? - zapytał go Beniamin. - Jeśli tak, to może pan mi pomóc!

- Oczywiście, że umiem również trzymać węża!

- Ale tylko krótko! - mruknęłam.

- Wystarczająco długo! - fuknął niezadowolony.

Beniamin poszedł do garażu, a ja zebrałam biustonosze.

- No, to bawcie się dobrze! Jeśli będą jakieś sprawy, jestem na górze i pakuję walizki. W pakowaniu walizek jestem dobra! - mruknęłam zadowolona, idąc schodami na górę i wymachując biustonoszami.

Właściwie chciałam spędzić ten ostatni wieczór z dziećmi. Spokojnie i w skupieniu. Ale tego dnia nie było mi dane zaznać spokoju. Ledwo wróciłam do bieliźniarki, a już zadzwonił telefon. Podeszłam do naszego pachotka telefonicznego stojącego w sypialni, przy łóżku Ernstberta.

- Halo! - Słynni ludzie i osoby publiczne zgłaszają się przy telefonie mówiąc tylko „halo!” Przecież zadzwonić może każdy! I gdyby, na przykład, taki pan kanclerz federalny Kohl odbierając telefon, zawsze podawał swoje nazwisko, wciąż by go opieprzano.

- Schmitz-Nittenwirm przy telefonie. Czy rozmawiam z panią Pfeffer?

- Tak, słucham, jestem przy telefonie. Jak to miło z pana strony, że się pan odzywa. Jak się czuje pańska mamusia?

- Dowiedziałem się, że pani wyjeżdża!
- Skąd pan wie, że wyjeżdżam?
- Powiedział mi ten młody człowiek, który odbiera chłopców ze szkoły. Czy to pani brat?

- Nie, to jest mój chłopiec do dzieci.

- Aha, rozumiem. - Chwila ciszy.

- Proszę pana? - Odłożyłam szpilki i zaczęłam wciskać gdzieś w róg walizki kosmetyczkę. Rozpięłam suwak kosmetyczki i wyjęłam buteleczkę z nawilżającą emulsją do ciała. Trzymając ją pod światło zastanawiałam się, czy jest już pusta. - Halo, czy pan tam jeszcze jest? - Wszystko wskazywało na to, że buteleczka z pianką do włosów jest wypełniona tylko do połowy. Potrząsnęłam nią.

- Proszę pani, chciałbym z panią porozmawiać jeszcze przed pani wyjazdem!

- Czy coś się stało? - Na pewno znów jakiś dentysta albo zdechła mysz. Na pewno coś bardzo ważnego! Spryskałam troszkę włosy, by zobaczyć, ile pianki jeszcze pozostało. W porządku, starczy na pewno.

- Chciałbym pani wręczyć nowe książki do matematyki dla dzieci. Są tak pomyślane, że dzieci jednocześnie się uczą i bawią. Same dobrowolnie pracują.

- Dobrowolnie? To brzmi zachęcająco!

- Książki te zawierają specjalny, dodatkowy program, opracowany latem przez zespół nauczycieli i rodziców. Cały materiał ubiegłego roku powtarza się w specjalny sposób. Dziecko, bawiąc się, staje się kreatywne. Poprzez zabawę rozwija swoje intelektualne możliwości.

No nie, jaki ten pan Schmitz-Nittenwirm jest pracowity! I ile sobie trudu zadaje!

Ja też nagle stałam się kreatywna. Zaczęłam się bawić, smarując obrazki pianką na lustrze w sypialni. Obrazki zsuwały się powoli po tafli lustrzanej ku podłodze. Obserwowałam je. Co za kleksy!

- Chętnie wyjaśniłbym pani zasadę, jaką się kierowali autorzy podręcznika - kontynuował.

Pasta do zębów w mojej podróźnej kosmetyczce wyschła całkowie.

- O, proszę! Słucham!

Jaki ma smak?

- To nie jest rozmowa na telefon! Tak jak już wspomniałem, mógłbym pani teraz ten materiał podrzucić. Rowerem będę u pani za trzy minuty!

- Czy nie możemy się spotkać troszkę później? - pytałam, trzymając w ustach pastę do zębów. Fu! Nagle zabołała dolna lewa czwórka!

- Ależ oczywiście, nie mam żadnych planów, więc mogę wpaść później!

- Tak około szóstej?

Chętnie bym tę pastę wypluła, ale gdzie? No chyba nie na dywan, nie mogę przecież zamęczać tego biednego Beniamina, przynajmniej na początku!

- W porządku! W takim razie będę o szóstej!

- W takim razie, na razie!

Odłożyłam słuchawkę i pobiegłam do łazienki, gdzie dokładnie wypłukałam usta. Cholera, co za obrzydliwy smak! I do tego ten strasznie bolący ząb.

Co ja, biedna, zrobię podczas tego tournée? Nie mogę teraz pozwolić sobie na ból zęba! Za żadne pieniądze! - Zamyślona wróciłam do sypialni. - O cholera! - Ząb bolał, jakby w dziąśle tkwił hak. Ból był tak przejmujący, że załamana padłam na łóżko.

Co teraz? Chciałam się podnieść, ale ból zęba znowu powalił mnie na poduszkę. Jeden rzut oka na zegarek. Czy gabinet dentystyczny doktora Geldmachera jest otwarty? Środa, godzina piąta po południu?!

Na dworze lali wodę do basenika. Justus śmiał się głośno, moi synowie wrzeszczeli jak opętani. Byli zachwyceni i nie posiadali się ze szczęścia. Obaj panowie zabiegali o względy moich synów. Żeby to Ernstbert chociaż jeden raz ruszył tyłek, zdeformowany od wieloletniego siedzenia w fotelu biurowym, i dla dobra dzieci wyszedł z nimi jeden jedyny raz na świeże powietrze! Jeden jedyny raz!

Podniosłam się z trudem i podeszłam do okna. Pan aktor renomowanych scen, takich jak wiedeński Burgtheater, szalał w gatkach bokserkach z materiału w malutkie kwiatuszki. Chłapał się z dziećmi w błotku, podczas gdy Beniamin wodą z węża spłukiwał krzesła ogrodowe. Na ogrodowym stole stała plastikowa butelka z jakimś płynem do mycia, ludwikiem czy też innym antkiem. Napis na butelce zapewniał, że płyn jest idealny dla często sprzątającego mężczyzny. Beniamin dysponował własnym asortymentem tego rodzaju środków czystości, który stosował już od czasu, kiedy był w ostatniej klasie szkoły średniej. Sięgnęłam po słuchawkę. Może jest jakieś pogotowie dentystyczne?

Oczekując na skwaszony głosik mówiącej przez nos małżonki doktora lub nagranie na automatycznej sekretarce, nabrałam głęboko powietrza. W najlepszym razie powie mi, gdzie szukać pomocy i poda telefon pogotowia dentystycznego.

Ból zęba rozsadał mi czaszkę. Telefon zakwilił. Coś trzasnęło w słuchawce.

- Geldmacher.

- Panie doktorze!? To pan, naprawdę?

- Tak, a z kim rozmawiam... Charlotta! Co za niespodzianka! Właśnie o pani myślałem!

- Jak to miło z pana strony! - powiedziałam i dodałam: - Ja o panu również.

- A konkretnie, w jakim kontekście?

- W kontekście mojej dolnej lewej czwórki! - wyjaśniłam. - Szaleje. Jak ona śmie!

- Nie powinna! Moja ostatnia plomba była bez zarzutu!

- Właśnie wzięłam do ust trochę pasty do zębów i wtedy zabołało. I nie przestaje.

- A jaka to była pasta?

Pogrzebałam w walizce.

- „Purifix” - odczytałam. - Zapobiega powstawaniu osadu, oczyszcza ze szlamu. Pasta do polerowania doktora Laddo. Usuwa plamy po pleśni, śluz, glony i związane z tym powstające zapachy. Usuwa pleśń w wilgotnych pomieszczeniach, na nagrobkach oraz w toaletach przyczep kempingowych. Nie za-

graża zdrowiu, zapobiega procesom gnilnym. Informacje o ryzyku i skutkach ubocznych otrzymają państwo... i tak dalej, i tak dalej...

- Przecież ten preparat jest z dentystycznego punktu widzenia nie do przyjęcia! - pan doktor Geldmacher zaniepokoił się. - Skąd pani ma tę pastę?

- Od przyjaciela. - Było mi głupio. - Czyżby się nie nadała? Podarował mi cały kubeł tej pasty.

Wszędzie w naszym domu stały pojemniki z pastą do polewania i pastą szlifierską. Już naprawdę nie wiedziałam, kogo jeszcze tym obdarować.

- Przecież to się nie nadaje do użycia jako pasta do zębów. Taki środek niszczy tylko szkliwo! Teraz rozumiem, dlaczego boli panią ząb.

- Jest jednak pewien problem. Jutro rano wyjeżdżam - wyjaśniłam. - A co by mi pan polecił?

- „Sensodent”! Dostanie pani tylko w aptece.

- Czy ta pasta zawiera środek do zmiękczenia? Z takimi owieczkami na opakowaniu?

- Nie! Na opakowaniu nie ma żadnych rysuneków. Zwykła, czarna, bez smaku, bez zapachu.

- Nie znam - powiedziałam beznamiętnym głosem.

- Smakiem przypomina smołę - wyjaśnił pan doktor Geldmacher. - Bo zawiera niewielką ilość substancji ścierających.

- No, coś takiego! Fascynujące! - odparłam.

- Pasta zawiera chlorek sodowy, sól kuchenną, czyli coś, co pomoże pani bardzo skutecznie uporać się z tym problemem.

- Dziękuję za dobrą radę, panie doktorze, jutro ją na pewno kupię. - Chciałam już odłożyć słuchawkę.

- No i ważny jest sprzęt. Jakiej pani używa szczoteczki?

- Zielonej - odrzekłam.

- Jak twardy jest włos? Czy zna pani szczoteczki doktora Pesta?

- Czy to ten starszawy gość, który w telewizji szczoteczką myje pomidory?

- Tak, ten sam.

- Jaki on nieapetyczny! - ja na to.

Stary, cwany dziad, oczęta rozbiegane, szoruje szczoteczką do zębów dojrzałe pomidory i demonstruje z triumfem, jak zgina się uchwyt szczoteczki. Na jego widok zawsze robiło mi się niedobrze, a w gardle stawało mi to, co siedząc przed telewizorem, akurat chrupałam.

- Niech pani nie ogląda tego chłamu telewizyjnego, tych kretyńskich reklam! To wszystko nie ma najmniejszej wartości!

- W porządku!

- Najlepsze są naturalnie szczoteczki elektryczne. To są bardzo sprytnie urządzenia!

- Tak, tak, rozumiem! - przerwałam mu, bo nie miałam ochoty wysłuchiwać tekstu z rodzaju tych, jakie znałam w wykonaniu Ernstberta. Szczoteczka do zębów, zdalnie sterowana, taka, która budzi właściciela o siódmej rano, merdając przy tym ogonem, bo Ernstbert nastawił ją na program radiowy o siódmej - na temat: *Poranne melodie ze Ślina i Ślinka!* - nie interesowała mnie teraz nic a nic, bo kryzys nadal trwał.

- Jest też zestaw szczoteczek do zębów szczególnie wrażliwych! - doktor Geldmacher kontynuował swoje wywody. - Dziesięć kępek szczeciny pracuje z szybkością czterech tysięcy dwustu obrotów na minutę, obracając się wokół własnej osi i to w dwóch kierunkach!

- Co pan powie! - wtrąciłam.

Ernstbert zainteresowałby się tym na pewno, i to bardzo. Szkoda, że obaj panowie nie poznali się jeszcze.

- Po półtora obrotu zmienia się kierunek, czterdzieści sześć razy w ciągu sekundy! W ten sposób zabieg czyszczenia zębów przebiega niezwykle skutecznie. A ponadto niemal całkowicie usuwa osady, zwłaszcza między zębami i pod dziąsłami.

- Wspaniale! - powiedziałam i w myślach ujrzałam obrazek znany mi z zatłuszczonej książeczki o rodzinie dbającej o zęby, a mianowicie tatusia, tego wymoczek i pantoflarza. On to na pewno szorował sobie dziąsła czterdzieści sześć razy na sekundę. Taki spryciarz jak on!

- To jest coś, co pomogłoby pani rozwiązać problem dolnej lewej czwórki! - doktor Geldmacher zasugerował pewne rozwiązanie.

- Jutro rano kupię ją od razu w drogerii na dworcu! Na pewno!

- Na pewno pani nie kupi, bo to jest sprzęt, który prowadzą tylko wyspecjalizowane punkty sprzedaży!

- W takim razie jutro popołudniu poszukam jej we Flensburgu! Pojadę do supermarketu lub do sklepu z materiałami budowlanymi!

- W handlu są też szczoteczki podróżne! - dodał doktor. - Można je wyjąć z obsadki, do tego służy specjalny przycisk, a ponieważ mają ładowarkę na baterie, nadają się do zabrania w podróż. Ponadto w specjalny sposób zwija się i chowa kabelek. To przenośne urządzenie. Najważniejsze to zwilżyć szczoteczkę, zawsze, niezależnie od tego, gdzie jej pani używa!

- Zwilżę szczoteczkę! Obiecuję! Słowo honoru! - odpowiedziałam dość niedbale.

- Zasada obowiązuje zawsze ta sama: niech pani zaczyna myć zęby zawsze od strony zewnętrznej, następnie strona wewnętrzna, a na koniec powierzchnia, którą żujemy!

- Tak, rozumiem - jęknęłam. - Tak będę robić!

Cholera jasna, czy ta nieszczęsna rozmowa telefoniczna będzie trwała wiecznie? Kiedy on wreszcie skończy!

- Szorując zęby niech pani nie naciska i nie wykonuje żadnych ruchów, jak przy myciu normalną szczoteczką! - uświadamiał mnie doktor.

- Ani-ani! - powiedziałam tylko. - Obiecuję!

Odpowiednimi ruchami przy szorowaniu i myciu zajmował się przecież teraz Beniamin.

- Po każdym myciu należy szczoteczkę umyć, to znaczy przez minutę płukać pod bieżącą letnią wodą! - mówił dalej.

- Jasne! Płukać! - potakiwałam. - Dzięki, panie doktorze, serdecznie dziękuję i życzę panu i pańskiej małżonce miłego weekendu!

- Czy pani wybiera się do Flensburga?

- Tak, wybieram się w podróż po Niemczech! Z moją sztuką na tournée!

- Już jutro? To może ja pani tę szczoteczkę teraz podrzucę?

- Słucham?

- Sprzęt!
- O nie, dziękuję uprzejmie, nie mogę tego od pana wymagać!
- Mam też dodatkową instrukcję obsługi...

Słyszałam, jak pan doktor grzebie w swojej szufladzie. Boże! Tego jeszcze brakowało! Na pewno ten biedak powinien teraz wracać do domu, do swojej uroczej żonki. Ponadto dom był pełen gości. Zerknęłam na zegarek. Za chwilę przyjedzie pan nauczyciel z nowymi ćwiczeniami z matematyki. Na pewno już siedzi na schodkach prowadzących do piwnicy i spina sobie klamerkami spodnie, by zaraz wskoczyć na rower i o szóstej zapoznać mnie z nowymi twórczymi propozycjami pracy z dziećmi.

- Miałbym też uchwyty, by całe urządzenie przymocować do ściany, a także baterie niklowo-kadmowe! - mówił zdławionym głosem. Prawdopodobnie grzebał na czworakach w jakiejś dolnej szufladzie swojego biurka. - No i dwie pętelki w kształcie literki „u” zamiast plastikowej cewki z miedzianym drucikami. - Jego głos dochodził z bardzo daleka. Teraz chyba już podniósł się, bo wyraźnie usłyszałam: - Wszystko już mam! Był wielce zadowolony z siebie. Sapiąc do słuchawki, nie krył swej radości: - Dla moich sympatii, ulubionych pacjentów, serwis trwa przez całą dobę! Również w niedzielę i święta!

- No to w takim razie - zaczęłam mówić - jest to serwis, który doceniam! - Ernstbert na pewno ucieszy się z nowej instrukcji obsługi w naszym domu!

- Czy odpowiada pani, bym wpadł teraz? - Mój dentysta zadał to pytanie z nadzieją w głosie. - I tak jadę w pani kierunku!

- Może troszkę później. O wpół do siódmej? Co pan na to?

Do wpół do siódmej zarezerwowałam czas dla pana nauczyciela, któremu powinno chyba trzydzieści minut wystarczyć, by zapoznać mnie z nowymi propozycjami metodycznymi. Miałam też nadzieję, że w ciągu pół godziny ulotni się Justus. A mnie się może w tym czasie uda zamknąć tę nadzwyczaj inteligentną walizkę. Nie psując jej, ani nie gubiąc gdzieś kluczyka!

- Wpół do siódmej! Cudownie! - ucieszył się dentysta. - Czy ma pani wytrawne białe wino w domu?

- Beniaminie! Czy mamy białe wytrawne wino w domu? - krzyknęłam przez okno.

Beniamin na chwilę przestał czyścić krzesła ogrodowe, wytarł ręce w szmatkę i powiedział:

- Muszę sprawdzić! A ile potrzebujemy?

Potrzebujemy. Aha. Skoro tak, to kilka butelek.

- Kilka butelek! Proszę dobrze schłodzić! Spodziewam się wizyty dwóch panów!

- Jakich panów?

- Nauczyciel i dentysta! Panowie z klasą!

Włączył się Justus:

- Moglibyśmy rzucić coś na grill! - Stał w baseniku na swych owłosionych nogach zdrożonego wędrownika i nadmuchiwał piłkę.

Dzieci siedziały w piaskownicy niczym panierowane prosiaczki w grillu, bardzo zajęte budowaniem zamków z piasku. Zaciekawione spojrzały w górę, w kierunku okna.

- Tak, tak, mamusiu, chodź, zróbmy coś na grillu! Już tak dawno nie piekliśmy nic na grillu!

Również i mnie ten pomysł przypadł do gustu, ponieważ był to nasz ostatni wieczór. Dzień będzie długi, do późnego wieczoru będzie widno. Ciepło i widno. A potem pełnia księżyca...

- No tak, ale nie mamy nic w domu, co by się nadawało...

- W takim razie skoczę szybko do sklepu! - Justus wyszedł z basenika, a obrażona piłka gumowa popłynęła gdzieś w ką. Po chwili utonęła gdzieś w brązowej brei, bo uciekło z niej powietrze.

- Czy macie gdzieś tu w okolicy dobrego rzeźnika? Bo u nas, w Tyrolu Południowym, mamy świetnych rzeźników, no, mówię wam! Ja sam jestem rzeźnikiem. W tym jestem naprawdę dobry! Kiedyś zarzynałem kilka świstaków i własnoręcznie ściągnąłem skórę. Przez uszy! - Justus roześmiał się donośnie.

Dzieci patrzyły na niego jak zauroczone. Buzie ich, umorusane piaskiem, wyrażały podziw i zachwyt. Beniamin zaczął przewracać oczami.

- Tak, mamy tu rzeźnika. Dwie ulice dalej. Gdy się pospieszycie, zdążycie, bo jest jeszcze otwarte. Już schodzę!

Justus wytarł swoje owłosione łydki i włożył ciuchy. Postanowił pójść do rzeźnika. To mi się w nim podobało. Sympatyczna cecha! Był człowiekiem czynu! Również czynu.

Beniamin przyniósł z piwnicy pięć butelek białego wina i włożył je do zamrażalnika.

- Grill jest w garażu - wyjaśniłam. - I cała reszta!
- Czy kolega idzie do rzeźnika?
- Tak, właśnie wybiera się do rzeźnika!
- W takim razie niech kupi po drodze paprykę i pomidory. No i ogórki, a także peperoni. I świeży czosnek. Zrobię cadziki.
- Potrafisz?
- No jasne! - Beniamin dodał jeszcze: - Jestem dobry w robieniu cadzików. Grecka kuchnia to moja trzecia obca kuchnia.

Był to wspaniały wieczór. O ósmej wszystko już było gotowe. Mięso w grillu pachniało i skwierczało, wszędzie unosił się zapach dobrych przypraw, który mieszał się z wonią świeżo skoszonej trawy i zapachem ciepłego letniego wieczoru. Przemieszane zapachy unosiły się nad całą okolicą. Justus Maria Streitacker stał z miechem i pilnował ognia (Jestem dobry w dmuchaniu!), który tlił się pod kiełbaskami. Beniamin ślicznie nakrył stół. Kwiaty, stroiki z serwetek, chińskie wężę z bibułki (ubieranie stołu było drugim przedmiotem fakultatywnym do małej matury - przedmiot nosił nazwę: „Dekoracja stołu na każdą okazję!"). Podał nam bardzo apetycznie wyglądającą grecką potrawę cadziki, pieczoną w naczyniu glinianym.

- O, mógłbym cały się w tym zanurzyć! - Justus śmiał się radośnie, ale z nagłą zamilkł, gdy dzieci poprosiły go, by rzeczywiście to zrobił.

Pan doktor Gelmacher otworzył pierwszą butelkę schłodzonego zimnego wina, nalał sobie odrobinę, kieliszek z płynem przez chwilę trzymał pod światło i wpatrywał się w napój. Zachodzące słońce połyskiwało czerwonym, urokliwym światłem. Jego promienie przenikały wino. Pan doktor upił łyżeczek. Zrobił to głośno, bo napój wciągnął w oskrzela, więc wypłukał gardło

starannie, jak się tego należało zresztą spodziewać po dentyście. Płukał gardło długo, przewracając przy tym oczami.

Byłam pewna, że za chwileczkę wypluje wszystko gdzieś na nasze bratki, jako że nie było pod ręką żadnej dentystrycznej spluwaczki, ale nie, w końcu przełknął wszystko gładko. Zamlaskał kilka razy i po chwili powiedział:

- Dobry trunek! - Był więc kontent.

Justus nie wytrzymał i dodał:

- My, w Tyrolu Południowym, też mamy dobre trunki! A ja potrafię pić! Za kołnierzy nie wylewam! W picciu wina jestem naprawdę dobry! - i wesoło się roześmiał.

Następnie znakomitym trunkiem wypełniono wszystkie kieliszki.

Pan Schmitz-Nittenwirm siedział z butelką piwa kolońskiego na świeżo wyszorowanej kozetce i przyglądał się nam z dala. Nie był bardzo rozmowny. To mi się w nim podobało. Butelkę piwa obejmował palcami, długimi i delikatnymi. Popijał trunek powoli, małymi łykami. Był szczupłym, nawet chudym chłopcem, które swe życie poświęcił dzieciom. Dzieciom obcych ludzi, należałoby dodać. Był nauczycielem z powołania, ciałem i duszą oddanym dzieciom. Po wręczeniu mi nowych ćwiczeń dla dzieci, by chętnie stały się kreatywne, do czego potrzebowały dodatkowych bodźców, i wyjaśnieniu, o co w tych ćwiczeniach chodzi, usiadł spokojnie na kozetce. Siedział cicho, nie wadząc nikomu.

Czekał spokojnie, acz nieśmiało, na dalsze wydarzenia tego wieczoru. Wdzięczny za przyjęcie, siedział, trzymając kurczowo butelkę piwa kolońskiego. Miał na sobie ciemnobrązowe, sztruksowe spodnie oraz koszulę w kolorze przytłumionego różu z guzikami na zaciski. To był róż dla panów. Na pewno koszulę kupiła mu matka. W supermarkecie Weiden. Jego strój wieńczyły brązowe buty.

Ernst i Bert zajęli miejsca obok mnie, jeden z lewej, drugi z prawej strony, na drewnianej ławce stojącej pod oknem naszej sypialni. Wymachiwali nogami i ze smakiem pałaszowali kiełbaski z musztardą.

Justus podał steki. Były w sam raz - wierzchnia warstwa mięsa soczysta i spieczona, a środek delikatny i różowy.

- Hm, ale pycha! - Justus śmiał się głośno i serdecznie. - Tak, w pieczeniu mięsa na grillu jestem dobry! Wiesz, Charlotto, my w Tyrolu Południowym mamy gospodę, gdzie latem na tarasie robi się różne potrawy w grillu. Czasem robimy kolacje na czterdzieści osób! Nauczyłem się dobrze grillować!

- On potrafi wszystko! - Beniamin oświecił pana nauczyciela.

- O, rozumiem! - pan nauczyciel, lekko zażenowany, mocniej objął swoją butelkę piwa.

Justus roześmiał się głośno.

- Prawie wszystko! - dodał skromnie.

Roześmieliśmy się wszyscy wesoło. Ach, ten Justus, dobry chłop z niego, taki prawdziwy swój chłop! Zapanował świetny nastrój. Było wesoło i sympatycznie.

Beniamin podał sałatkę. Była równie smakowita i apetyczna jak kucharz, który ją przygotował.

- Świetna sałatka! - powiedziałam, zajadając się kawałkami papryki i twarogu z ziołami.

- W robieniu sałatek jestem dobry! - zażartował sobie Beniamin i puścił do mnie oko.

Popatrzyłam na niego uważniej. A więc poczucie humoru też miał! Podstawiłam swój talerz, a Beniamin nałożył sałatkę z drewnianej michy.

- Oliwkę?

- Tak! - odpowiedziałam, nie spuszczać z niego wzroku.

Tak w ogóle to ten cały Beniamin podobał mi się bardzo. Teraz dopiero dotarło do mnie, że jest świetnie wychowany, młody, apetyczny, utalentowany kucharz z niego, chętny, pracowity - chłopak z fantazją! No i z poczuciem humoru! Kto by pomyślał! Pomijając już tę jego zgrabną sylwetkę, która radowała mój wzrok już całe dzisiejsze popołudnie!

Beniamin łowił oliwki w drewnianej misce.

- Zieloną czy czarną?

- Jedną zieloną i jedną czarną! - odparłam. Patrzyłam na niego uporcezywie, nie spuszczać wzroku.

Chłopcze, zawstydz się i spuść oczy - tak sobie myślałam. -

Zachowuj się odpowiednio do swojego wieku i stanu! Bo ja nie jestem dobra w spuszczeniu oczu. Nigdy nie byłam dobra. Mimo reprimendy! Nie spodziewaj się, że to ja spuszcze oczy! Ja tu jestem panią domu. A ponadto mogłabym być twoją matką. Dość tego!

Beniamin wyłowił mi jedną zieloną i jedną czarną oliwkę. I ani myślał spuścić oczu.

Dziewczyno, kochana, proszę ciebie! Nie rób tego temu chłopcowi! Za żadne pieniądze! Przecież to jeszcze dziecko!

Czarna oliwka spadła na mój talerz.

No, dosyć, dziewczyno, daj spokój! Słyszysz?

- A teraz jeszcze zieloną! - powiedziałam nienasycona.

Beniamin znów zaczął łowić.

Popatrz gdzieś indziej! Chłopie, nie patrz, spuść oczy! Nie należy łowić ryb w mętnej wodzie! Bo skończy się wszystko źle i chaos może powstać okropny! Posłuchaj doświadczonej, dojrzałej kobiety!

Oliwka leżała na drewnianej łyżce, którą trzymał w ręce. Leżała okrągła i malutka, zielona i niewinna. Pikantna.

No, teraz musisz ją położyć na moim talerzu, mój chłopaczku!

- Czy jest zielona? - zapytałam.

- Tak, zielona. - Beniamin był najwyraźniej mocno zmieszany.

On też jeszcze jest zielony - pomyślałam.

To był odpowiedni moment, by odwrócić wzrok. To był odpowiedni moment, by przerwać tę niedobłą zabawę. Przecież doskonale wiedziałam, dokąd to prowadzi.

Chwyciłam go za przedramię, by pokierować ręką, w której trzymał drewnianą łyżkę. Aż drgnął. Oliwka turlała się po dnie drewnianej łyżki. Potem po prostu wypadła.

- Co to było? - Beniamin był zaskoczony i zmieszany.

- O! - powiedziałam, czując coś wilgotnego, zimnego i oślizgłego na mojej bosej stopie. Oliwka bowiem spadła i zatrzymała między trzecim a czwartym palcem u nogi łaskawej pani. Dodać należy, że paznokcie były świeżo polakierowane. Justus zanurkował (w nurkowaniu jestem dobry!), podniósł dowód przestępstwa i wsadził sobie do ust, by go zjeść.

- Hm! - powiedział. - Pikantna!

Beniamin nie mógł oderwać ode mnie wzroku. Ja też patrzyłam na niego.

- Przepraszam - powiedziałam cicho.

- Nie musi mnie pani przepraszać. To była moja wina - odparł.

- Nie, moja! - upierałam się.

- U nas w Tyrolu Południowym też jest oliwek. Smaczne takie, że nie wiem! - dodał Justus.

- To ciekawe! - rzucił ze swej leżanki pan nauczyciel.

- Dlaczego on mówi „jest oliwek”? - zapytał dociekliwy Bert. - Przecież tak się nie mówi. Mówi się, że są oliwki...

- To po tyrolsku, głupku! - pouczył go Ernie.

- Oliwki są niezdrowe na zęby! - Głos zabrał teraz pan doktor Geldmacher. - Pozostawiają tłusty osad i wywołują próchnicę! Są w najwyższym stopniu szkodliwe! - Upił wina ze swojego kieliszka, w którym już odbijała się poświata księżycowa i znowu zaczął mlaskać. Robił to w wielkim skupieniu.

Miejmy nadzieję, że smakowanie wina nie wywołuje próchnicy. No bo co się stanie, gdy resztki alkoholu osadzą się gdzieś w kieszonkach dziąsłowych przy szyjkach zębów?! Wtedy znów trzeba będzie uruchomić maszynę o obrotach sześćdziesięciu pięciu tysięcy na minutę!

- Czy zje pan oliwkę? - zapytałam uprzejmie pana nauczyciela.

- Nie, dziękuję!

Pan nauczyciel nie miał apetytu. Siedział w kącie i nadal trzymał mocno swoją butelkę z piwem koloriskim.

- Panie Schmitz-Nittenwirm! Obiecałeś, że po kolacji wdramiemy się na garaż! - Ernie i Bert nagle przestali być głodni.

- No tak, a więc... - pan nauczyciel uśmiechnął się cokolwiek zażenowany. - Dzieci chciały koniecznie zobaczyć, co jest w rynnie deszczowej.

- Myślę, że są tam robaki, pająki i nietoperze! - odpowiedziałam, rozkoszując się lśniącą od tłuszczu czarną oliwką. - To naprawdę mało ciekawe!

- Mamo, przecież to bardzo ciekawe! Proszę, pozwól nam wejść na dach garażu!

- U nas w Tyrolu Południowym jest też nietoperzy! - dodał Justus. - Wiszą głowami w dół. W katedrach. - I gromko się roześmiał.

- Cha, cha! One wiszą w karetach! Głowami w dół w karetach! - Ernie zaśmiewał się, aż widać było ostatnią kiełbasę, którą zjadł przed chwilą.

- Nie w karetach, ty dupku, a w kaledrach!

- Co to jest kaledra?

- Nie kaledra, a katedra! To taki stary kościół! Musicie nas kiedyś odwiedzić! W Brixen są piękne kościoły. No i w Bolzano! A w Lanie jest złoty ołtarz. Bardzo drogocenny!

- Czy możemy iść teraz po drabinę?

- No, dobrze, skoro pan Schmitz-Nittenwirm wam obiecał...

Natychmiast poderwali się z miejsca i pobiegli po drabinę. Hałasując co niemiara najpierw wdrapał się Beniamin, potem Ernie i Bert, a na koniec pan nauczyciel, który przedtem przytrzymywał drabinę.

Justus nie wytrzymał.

- Jestem dobry we wspinaniu. U nas w Tyrolu Południowym mamy szlaki do wspinaczek górskich. Czasem łączę tam z Arnoldem Kesslerem, moim przyjacielem...

- Czy to ten, któremu zgniły nogi? - zapytał Bert. I już go nie było. Znikł gdzieś na tle czarnego, gwiaździstego nieba.

Pan doktor Geldmacher siorbał wino.

- Kim jest ten niesympatyczny facet? Wciąż się chwali, coś okropnego! Co za pozer! - powiedziała z wyraźną niechęcią i dołał mi wina.

- Tak naprawdę, to on taki wcale nie jest! Nie należy tego brać dosłownie! - wyjaśniłam, patrząc zamyślona w szkło.

- Czy on chce pani zaimponować? Czy co?

- Właściwie powinien już dawno zauważyć, że zachowując się w ten sposób wywołuje u mnie reakcję odwrotną - mędrkowałam. - Ma się za kogoś niezwykle ważnego i wydaje mu się, że sprawia tak imponujące wrażenie jak pokryte śniegiem słynne Alpy. - Zachichotałam.

- Imponujące - to właściwe słowo - pan doktor kontynuował temat. - Czy wie pani, co tak dokładnie znaczy słowo „imponujący”? Imponujący - w tyłku kamienie, w dupie skała! - Pan doktor wykrzyczał to z siebie, zachichotał frywolnie i zatrząsał się cały, aż z jego kieliszka wino się wylało.

- Panie doktorze! - zawołałam. - Gdzie się pan tego nauczył? - Roześmiałam się.

Co za żarcik. Ordynarny! Pasuje do dentysty!

- Mamo! Panie doktorze! Stąd jest piękny widok!

- Naprawdę? Czy widać gwiazdy na niebie?

- Tak! Liście i błoto w rynn timer!

- A tu jaskółka ma gniazdo! - Justus zahuczał gdzieś z drugiego końca dachu garażu. - My w Tyrolu Południowym też mamy jaskółcze gniazda! - Roześmiał się głośno.

- Tak, wiemy, wiemy! - odezwał się zniecierpliwiony Bert.

- A tu jest też mój stary dysk do rzucania! - krzyknął Ernie. - I zgniła piłka do badmintona. Popatrz!

Zgniła piłka wylądowała obok kiełbaski w grillu. Cicho zaszczęła w ogniu i się spaliła.

- Ostrożnie, niczego nie zrzucajcie!

- Tutaj jest zielona piłka, której tak długo szukaliśmy!

- I moje kółko do pływania! Skąd się tutaj wzięło?

Nie do wiary, co moi synowie wrzucili w ciągu tych kilku lat na dach garażu! Przedmioty, jeden po drugim, spadały teraz na taras. Między innymi sito do odcedzania klusek i drugi kalosz z kolekcji „wdów i sierot”.

- Mamo, chodź do nas! Wejdz tutaj! Jaki piękny widok! - Ernie skakał z zachwytu po kałużach.

Beniamin zeskoczył z dachu, przęcając swoje wysportowane ciało, i pobiegł po łopate.

- Rynna jest zapchana. Nic dziwnego, że woda nie spływa z płaskiego dachu!

- Skąd pani wytrzasnęła takiego udanego chłopaka? - zapytał pan doktor, nie kryjąc swego uznania. - Żeby to tak moje pomoce dentystyczne w gabinecie były równie przezorne! Żadna z nich nie wdrapała się jeszcze na dach. Żadna nie wpadnie sama na taki pomysł. To szczawiki! Ledwo zaczną pracę, a już piją kawę.

Po czterech godzinach! Jak gdyby można było sobie na to pozwolić! Jakbyśmy mieli za dużo pieniędzy! - Schował twarz w kieliszku, wyraźnie zdegustowany.

- Tak, tak! - w moim głosie zabrzmiał triumf. - Powinien pan spróbować zatrudnić takiego właśnie chłopaczka. Są świetnie wyszkoleni i przygotowani do wykonywania zawodu. Gotuje świetnie, kuchnia zdrowa, lekkostrawna i pełna inwencji. Finansowo każdy to wytrzyma! Ponadto ci młodzi chłopcy świetnie sprzątają, są czysti, potrafią bawić dzieci, robią zakupy i tak dalej... Widział pan jego muskuły? Codziennie składam sobie gratulacje, że go odkryłam i zatrudniłam. - Wielce zadowolona upiłam wina. - A jak ładnie zmywa kieliszki i szkło! Dobra niemiecka robota! Wszystko ręcznie! - Zatriumfowałam raz jeszcze. - On nie wsadza mojej starej weimarskiej porcelany do maszyny! I nie wyrzuca potajemnie skorup do kibla! On tak nie postępuje!

- Mamo, masz tu przyjść!

- Pójdziemy? - zapytałam pana doktora, mojego dentystę. - Ma pan ochotę wdrapać się na dach?

Pan doktor miał ochotę. Wielką. Uczyniliśmy to wspólnie. Przytrzymał mnie za nogi w kostkach, co mi troszkę przeszkadzało we wspinaczce na dach garażu.

- Jak tu wspaniale! - wyrwało mi się.

- Powietrze jak szampan! - dodał pan doktor.

Upajaliśmy się wysokością. Siedem metrów nad poziomem morza! A może nawet więcej! Widok na sąsiednie ogrody i drogi dojazdowe do garaży!

- U nas w Tyrolu Południowym powietrze jest w górach jak francuski szampan! W nocy, na szczytach górskich - Justus musiał się pochwalić - gdy jestem tam z moim przyjacielem Arnoldem Kesslerem i z gitarą...

Reszty już nie usłyszeliśmy, bo hałas zrobił się straszliwy.

- Bawimy się, że uprowadzamy mamę! - darł się w niebogłosy Ernie, a Bert schwycił moją nogę, usiłując mnie wepchnąć przez otwarte okno do sypialni.

- O, dzieci, dajcie spokój, nie lubię łaskotek!

Beniamin również pomagał im w walce ze mną. Włączył się

i pan doktor Geldmacher. Tak że po chwili znalazłam się nagle w swojej sypialni, obok łóżka, na niebieskim dywanie, tuż przy stoliku nocnym, na którym leżały powieści Daniela Paletti i niezbędne przy ich lekturze chusteczki higieniczne - no bo i po coś innego potrzebne są niemieckiej kobiecie chusteczki higieniczne przy łóżku! - Wszyscy obecni tu piraci i rycerze, zalutujący mocno czosnkiem, rzucili się i zaatakowali mnie poduszkami, rycząc przy tym straszliwie. Otrzymałam mnóstwo ciosów w głowę poduszką swoją i Ernstberta.

Krzyczałam ze śmiechu, a gdy już straciłam oddech, pomyślałam nagle o pociągu, którym jutro rano o siódmej piętnaście miałam się udać w podróż. No i o Ernstbercie: co też by powiedział, gdyby wiedział, jak traktujemy jego poduszkę.

Piraci zaciągnęli mnie do łazienki - zataczałam się ze śmiechu - zawinęli mnie w dywanik - kto by pomyślał, że na to wpadną - który zwykle leży wokół miski klozetowej.

Te nauki pobrane u Achmeda.

Justus odkręcił kurek prysznic, gdy ja zastanawiałam się, czy nie pora poczęstować ich orzechami laskowymi w karmelu. Beniamin rzucił się na Justusa, wyrwał mu z ręki łapkę od prysznic - czy wspominałam już o tym, że miał bardzo muskularne ramiona? - i łazienka po chwili znalazła się pod wodą. No, ale to już nie był mój problem, lecz Beniamina. Doktor Geldmacher śmiejąc się złośliwie, zgasił światło. Ernie i Bert się przerazili. Podobnie jak pielęgniarka pełniąca nocne dyżury w naszym serialu bali się ciemności. Uciekli więc do pokojów, by po chwili zabarykadować łazienkę materacami i poduszkami. Chcąc pokonać tę przeszkodę, musiałam położyć się na brzuchu i przeczłogać się pod barykadą. Następnie zajęłam pozycję obronną w sypialni i w pierwszego intruza, który wtargnął, rzuciłam przeciwrumatyczną poduszką Ernstberta. Był to pan nauczyciel. Z nosa straciłam mu okulary, po czym piszcząc, schowałam się w szafie na ubrania. Tymczasem dzieci przytoczyły ciężki fotel z gabinetu Ernstberta i przez oparcie skakały na głowę, a następnie robiąc fikołki zawijały się w mokry dywanik z WC.

- O tak! - Justus wrzeszczał zachwycony. - W fikołkach jestem dobry!

Ustawiliśmy się na korytarzu w jednym szeregu - pan nauczyciel wycierał w tym czasie swoje okulary - i zaczęliśmy robić fikołki, skacząc przez stary fotel Ernstberta. Ładowaliśmy na mokrym dywaniku z WC. Ernie rzucał rolkami papieru toaletowego, a Bert okładał wszystkich szczotką klozetową. Pisk był niemiłosierny, wszyscy krzyczeli jak obłąkani, a nastrój był bombowy.

- Zaśpiewajmy coś! - Ta niespodziewana propozycja pana nauczyciela zaskoczyła wszystkich. - Przywiozłem gitarę.

- Co? Przyjechał pan z gitarą?

- Tak, na dole, na rowerze mam gitarę! Za chwilę wrócę!

- O tak, zaśpiewajmy razem! Tę piosenkę o bucie w Kalucie!

Wyszliśmy więc przez okno sypialni i spuściliśmy się na dach garażu.

Justus nie ustępował:

- Ja też potrafię grać na gitarze. W grze na gitarze jestem dobry!

A ja już się spodziewałam, że powie coś o butach w Kalucie.

- U nas w Tyrolu Południowym też czasem muszę grać na gitarze przy kominku dla naszych gości.

- Już jestem! - zakomunikował wesoło i głośno pan Schmitz-Nittenwirm. Ostrożnie wdrapał się po drabinie na dach garażu.

- *Kalkutę! Kalkutę!* - Moi synowie skakali z radości.

- Pieśń o... tego... no... przy świetle księżycy... - zaproponował pan doktor Geldmacher, spragniony muzycznych wrażeń. Jednocześnie balansując swoim kieliszkiem, stanął w oknie. Usiłował zachować równowagę. Znajdująca się na parapecie butelka z winem o dziwo nie spadła mimo straszliwej przepychanki. Mój dentysta był w szampańskim humorze. A przecież chciał wpaść tylko po to, by podać mi szczoteczkę do mycia zębów oraz komplet składający się z pięćdziesięciu czterech części. Tak było przed czterema godzinami. Co sobie teraz myślała Brigitta, jego żonka, o mężu nie wracającym tak długo do domu?

- Już księżyc zeszedł, psy się uśpiły... - Justus zahuczał jako pierwszy.

- *Gwiazdy na niebie...* - Doktor Geldmacher miał inną propozycję.

- *Yesterday!* Kto chce *Yesterday!* - Benjamin podniósł swe muskularne ramię.

- Dajcie spokój! Zapomnijmy o wczoraj, żyjemy terazniejszością! - Doktorek był w bojowym nastroju, bo wypił za dużo wina. Widać było, że w domu przy żonce nie ma lekko.

Wtrąciłam się i by załagodzić konflikt powiedziałam:

- No więc zaśpiewamy *Kalkutę!* Kto poda ton?

Pan Schmitz-Nittenwirm postawił swoją nóżkę, odzianą w sztruksowe spodnie, z wdziękiem na rynnę, radośnie uderzył w struny gitary i zaśpiewał:

- *Mam ciotkę w Kalkucie, co chodzi w jednym bucie, mam ciotkę w Kalkucie, co trzyma koguta w bucie, hej ha, hej ha! Mam ciotkę w Kalkucie hej ha! Hej ha!*

Pioseneczka była więcej niż prosta i po chwili wszyscy śpiewali z panem nauczycielem. Justus nie mógł się powstrzymać, by nie śpiewać o oktawę niżej niż wszyscy. W ten sposób chciał udowodnić, jak bardzo jest muzykalny! Pod koniec każdej zwrotki huczał basem. Jego głos grzmiał w nocnej ciszy. Było to niesamowite. *Ciotka w Kalkucie* w tak niskiej tonacji!

Pan doktor Geldmacher nie należał natomiast do wybrańców bogów, nie miał talentu muzycznego i śpiew nie był jego mocną stroną. Nauczyciele muzyki uznawali go między sobą, niemal poufnie, za człowieka niemuzycznego, chociaż takich ludzi naturalnie nie ma. Nie istnieją tacy! Nie ma antytalentów, którym słoń nadepnął na ucho! Wszyscy potrafią śpiewać. Wszyscy! Biedny Arwed stał się jedynie ofiarą swoich wiertel. Praca z takimi urządzeniami przytępia słuch, co powoduje, że z czasem wrodzony talent muzyczny obumiera. No i na dodatek to nieudane małżeństwo z Brigittą! Zabrałam jego kieliszek i napiłam się dla kurażu. To będzie długa noc!

Ostatnia noc z moją rodziną! Szkoda, że nie było z nami Ernstberta. Chociaż on nigdy w życiu nie wdrapałby się na

dach garażu. Co najwyżej wyciągnąłby swoją kamerę wideo, by z okna sypialni nas sfilmować. Co najwyżej! Jeśli w ogóle!

Beniamin lekko zeskoczył na taras i - jako że nikt nie miał ochoty śpiewać *Yesterday* - pobiegł do garażu, skąd po chwili wrócił z naszymi starymi sankami. Trzymając je zręcznie jedną ręką, wszedł sprężystym krokiem na dach. Jego umięśnione ramiona były naprawdę wspaniałe. Usadowiliśmy się uradowani na sankach i przytulając się do siebie, zaśpiewaliśmy jeszcze raz piosenkę o ciotce w Kalkucie. Beniamin pobiegł więc po drugie sanki, a potem jeszcze po dwie świece i resztę wina. Boże, jak ja tego chłopaka lubiłam! My tymczasem doszliśmy już do piosenek biesiadnych. *Przepijemy domek babci...* i inne tego typu utwory zdominowały wyraźnie nasz repertuar. Dostaliśmy małego rozumu. Absolutny szal na dachu garażu!

Justus poprosił mnie do tańca. Więc pani domu zatańczyła rocka, skacząc jak oszalała w ramionach kolegi z pracy. Na dachu garażu! Pan doktor Geldmacher klaskał w dłonie, odstawiając przytomnie kieliszek na sanki. Justus preferował tańce ludowe, południowotyrolskie, takie z obrotem w prawo i mocnymi uderzeniami dłońmi w uda. Beniamin stał na sankach i wołał od czasu do czasu „je, je!”, a pan nauczyciel - opierając jedną nogę o rynnę - uderzał niezmordowanie w struny swojej harcerskiej gitary. Dzieci skakały po sankach, wino kołysało się w kieliszkach...

Widok był bajeczny. Śpiewaliśmy wszystko, co się dało przy akompaniamencie gitary pana nauczyciela. A więc kolędy, telewizyjne piosenki dla dzieci oraz inne znane melodie. Przy *Zielony, zielony ogórek, zielony, zielony ogórek ma na głowie zielony kapturek...* towarzystwo zachwiało się mocno. Padliśmy wyczerpani na sanki.

- A teraz śpiewamy *Już księżyc zeszedł, psy się uspiły!* - pan doktor Geldmacher nie ustępował.

Dzieci przytuliły się do mnie. Były naprawdę zmęczone. Beniamin po raz dziesiąty zeskoczył z dachu, tym razem po wewnętrzny plec. Zaśpiewaliśmy więc *Już księżyc zeszedł, psy się uspiły...* Justus znowu śpiewał o ton niżej niż reszta, pan nauczyciel lekko seplenił swym cienkim głosem. Usiłowałam śpie-

wać pod pana doktora, ale nie było to takie proste, jako że śpiewał z przejęciem, głośno, fałszując niemiłosiernie. Nietoperze spiesznie opuszczały swe kryjówki w rynnach. Wreszcie doszło do mnie, że skoro nietoperze nie wytrzymują, to zapewne sąsiedzi też mają już dosyć...

Zaśpiewaliśmy jeszcze *Yesterday, Go down, Moses* i nasza nas ochota na pieśni sakralne - nigdy nic nie wiadomo! - no i na specjalne życzenie Justusa na jeszcze jedną ludową piosenkę, rodem z Tyrolu. Ale nikt już nie był wesół. Wszyscy padali ze zmęczenia. Towarzystwo zamilkło i zatęskniło za bardziej spokojnym zakończeniem dnia.

Dzieci w moich ramionach zrobiły się już bardzo ciężkie. W końcu zasnęły. Już dawno się tak nie zmęczyły. Beniamin podłożył im pod plecy poduszki. Ich główki opadły na moje ramiona. Moje kwiatuszki! Śpią tak słodko! Wreszcie nie chcą innych rodziców! Czym ja sobie na to zasłużyłam?

- Jak tu u pani uroczło!- westchnął pan doktor Geldmacher. - Mnie nie było dane mieć dzieci.

Podał mi swój kieliszek. Wypiłam. Trzeba trenować. Trening to podstawa! Bez ćwiczenia i treningu nic nie osiągniesz - pomyślałam. - Może jego żonka o usteczkach w linijkę nie chciała mieć dzieci?

Świerszcze cykały.

- Ja też mam dzieci! - przyznał się Justus, tym razem zachowując umiar.

- U pani naprawdę jest przytulnie! Jak w schronisku młodzieżowym! - pochwalił mnie pan Schmitz-Nittenwirm. Zrozumiałam, że w jego ustach to wielki komplement. Doceniłam jego słowa i poczułam się bardzo dowartościowana.

Wypiliśmy resztę wina. Księżyc znikł za dachem sąsiadów, płomienie świec drżały na wietrze, a ja opowiedziałam im o moim tournée, o moim monodramie, a że byłam wstawiona - zaprezentowałam im urywek. Był to monolog poświęcony Hannesowi, chaotycznemu fantaście, zaginionemu ojcu jednego z moich bliźniaków.

Panowie - nadal siedząc na sankach - mocno się zdziwili poznawszy prawdę.

- Ale *tabula rasa* to pani nie jest! - odezwał się pan doktor Geldmacher.

- Nie, na pewno nie! - Justus roześmiał się dwuznacznie.

Pan nauczyciel zerkał ciekawie, a pan doktor zaczął opowiadać dykteryjki na temat swojej praktyki dentystycznej, te o najgorszych pacjentach i najbardziej cuchnących ustach. Justus się wtrącił zauważając, że u nich, w Tyrolu Południowym, też trafiają się czasem nieprzyjemni goście, no i zdarza się, również u nich w wiosce, że komuś cuchnie z ust, a pan nauczyciel szybko schował w futerałe swoją gitarę i przepłukał usta resztką już zwietrzałego piwa.

Wspólnie zanieśliśmy chłopców do łóżeczek. Ostrożnie weszliśmy przez okno do sypialni, starając się ich nie obudzić. Dokonawszy tego dzieła, wspólnymi siłami sprzątnęliśmy dach i doprowadziliśmy do porządku taras i basenik. Justus z dużą wprawą spuścił błoto z basenika. Ciemna breja, pieniać się trochę, rozlała się po ogrodzie. Resztę zawartości wylał do skrzynki z pelargoniami, a sam basenik powiesił na żywopłocie sąsiadów, by wysychł do następnej kąpieli. Beniamin sprzątnął naczynia, zabrał zimne kiełbaski i spaloną piłkę tenisową. Pan doktor zaniósł sanki do garażu, a liście z rynny i resztki jedzenia z naszych talerzy wyrzucił do kontenera na śmieci. Każdy przykładał się solidnie do pracy, której się podjął. Pracowano z poświęceniem, z oddaniem, fachowo i skutecznie. Wydawało mi się, że każdy z obecnych panów liczy na to, że tego wieczoru przeczeka wszystkich innych gości. Każdy z nich chciał więc udowodnić, jakim to jest dobrym i przykładowym panem domu i gospodarzem. Udało mi się przecież zaczarować całą trójkę... Wszystkich - oprócz pana nauczyciela. Ten siedział z boku, przyglądając się temu, co się dzieje. NIE CHCIAŁAM go zaczarować. Za żadne pieniądze!

Najpierw był Justus. Zemsta za laleczkę. Za pomocą szpilki. Strzał niestety przeszedł obok, zastosowałam więc sztuczkę raz jeszcze, tym razem ze słuchawkami. Potem ta wpadka z doktorem Geldmacherem i gumowym szlauchem. Nie było zamierzona, ale jednak wniosła trochę kolorytu w moje życie. Przecież wciąż się nudziłam, nikt się ze mną nie bawił, wciąż padał

deszcz i na obiad codziennie była ryba! Dziś wieczorem zaczarowałam Beniamina. Za pomocą oliwki. Zrobiłam to z premedytacją. A więc na dodatek reprimenda! Byłam ciekawa, co nastąpi teraz.

No, fajnie! - pomyślałam i czekałam na dalszy rozwój wypadków. - Tylko ładnie posprzątajcie! Dokładnie! Jak należy! Zatrzeć wszystkie ślady! Właściwie szkoda, że nie było z nami Ernstberta. Może wreszcie dałoby mu to do myślenia!

Jego godzina jeszcze nie wybiła. Jeszcze nie. Nie wiedziałam wówczas, że godzina ta właśnie się zbliża.

Na palcach zbliżyłam się do śpiących dzieci, spojrzałam na nie po raz ostatni i przytuliłam twarz do ich policzków, okrągłych i ciepłych. Poczułam zapach zdrowych pyszczydeł, zapach, którego nie sposób pomylić z jakimkolwiek innym. Słyszałam, jak spokojnie oddychają przez sen. Wspaniałe uczucie szczęścia! Zachwyt nad ich niewinnością: słodkie usta, które jeszcze nigdy nie zakłęły, nigdy nie zaznały alkoholu czy tytoniu. Spali słodko, posapując lekko. Co najwyżej padało czasem: „ty dupku!” Nigdy nic brutalnego.

- Dobranoc, moje kochane nietoperzyki, kocham was! - szeptałam nad ich łóżeczkami.

- My ciebie też! - szepnął Bert przez sen. Jego tłuste łapki chwyciły mnie za szyję.

Nie miałam najmniejszej ochoty ich wypuścić. O, gdybym mogła zabrać je ze sobą w podróż! Zawiesić sobie na szyi jedną tłustą łapkę w stylu dam noszących martwe lisy.

- I nie chcesz innych rodziców? - zapytałam, spodziewając się dobrej dla mnie odpowiedzi. - Nie, tylko ciebie, przecież ty jesteś moją mamą.

Czy przyjdzie kiedyś taki czas, że Bert jako siedemnasto-, osiemnastoletni oschły wyrostek w okresie dojrzewania zarzuci mi na szyję swoje owłosione kończyny dzikiej świnki, czy przytuli swoją drapiącą, pryszczatą i nie ogoloną brodę do mojego policzka i szepnie mi, że mnie kocha?

- Śpij słodko, mój kochany jeżozwierz. Mama wróci niedługo.

Cichutko wyszłam z pokoju. Na korytarzu zderzyłam się z Beniaminem. Właśnie wycierał podłogę w łazience.

- Gdzie pozostali?

- Poszli sobie! - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Wszyscy!? Nie żegnając się?

- No jasne! Powiedziałem im, że koniec zabawy, więc się zmyli. - Tu wykonał ruch ręką, jakby chciał pokazać, jak się zmywali. - Pa, pa!

- No. bardzo ładnie to załatwiłeś! - powiedziałam i popatrzyłam na jego umięśnione ramiona. Nieowłosione. Ani śladu dzikiej świnki. Jaki apetyczny chłopaczek.

- Jak jest właściwie z tym okresem próbnym? - zapytał, odkładając szmatę do podłogi.

Lekko zezował. Miał cudownego, uroczego lekkiego zeza! Bardzo podniecającego! Przypominał Hannesa. Hannesa Stuhlbeina.

- Czy zdałem?

- W zasadzie tak.

We Flensburgu było zimno, padał deszcz i na obiad była ryba. Nikt się ze mną nie bawił, a ja się nudziłam. Jakże różnił się ten dzień od poprzedniego. Nie mówiąc już o nocy! Straszliwie zmęczona włóczyłam się po mieście. Tęskniłam za dziećmi i w ogóle było mi źle. Tęskniłam za swoim życiem w domu, za domkiem i Beniaminem! O, Beniaminie! Boże, że dane mi było przeżyć coś takiego na starość!

Tęskniłam za ogródkiem, za dachem na garażu, sankami, basenikiem, błotkiem i kaloszem, moim miejscem przy piaskownicy w świetle zachodzącego słońca, za moimi gołymi bobaškami i ich utyłtanymi piaskiem tyłeczczkami, za wszystkimi miłymi ludźmi, którzy u nas bywali!

Boże, jak mi ich brakowało! Nagle to wszystko pozostało za mną! Czułam się bardzo samotna.

Jak w ogóle można było wpaść na pomysł tego wyjazdu?

Czy tak naprawdę ktoś zechce obejrzeć tę twoją, głupią i nudną sztukę dla jednej aktorki? Charlottto! No kto, powiedz, kto?

Fryzjczycy, mieszkańcy tej krainy, mają na dziś inne plany. Popatrz, jak się kręcą po mieście! Schowani pod parasolami, są obojętni na sprawy innych! Wszystko ocieka wodą! Nikt nie spogląda na twoje plakaty. Nikt. Chociaż uśmiechasz się miło.

Nikt nawet nie obejrzałby się za tobą, gdybyś teraz padła tu trupem. Wszyscy przeszliby obojętnie. I co najwyżej stawialiby wielkie kroki w swoich kaloszkach, by ominąć twoje ciało. No i może ktoś by powiedział: „Popatrzcie ludziska, tu ktoś przecie leży! Weźta jo trochi na bok, bo można sie potknąć!”

Przełknęłam ślinę. W gardle utkwiała mi wielka klucha. Wszędzie matki z dziećmi, małymi Fryzjczykątka, w kolorowych kaloszkach i żółtych pelerynkach. Pod olbrzymimi parasolami. Jak brodzą przez kałuże! Jak huśtają się na konikach na biegunach! Jak denerwują swe matki, które targają torby pełne zakupów! Jacy oni wszyscy szczęśliwi! Cieszą się życiem! I wszyscy mają dom. Po zakupach wszyscy gdzieś pójda, gdzieś, gdzie jest ich dom, przytulisko, gdzie jest ciepło i miło, gdzie napiją się gorącej herbaty z pękatych dzbanków, słodząc ją kawałkami brązowego, kandyzowanego cukru. A do tego spałaszują ciasteczka domowej roboty z płatków owsianych. Na nogi wdziewają ciepłe kapcie wełniane, które przedtem grzały się przy piecu kaflowym. Mamy poczytają dzieciom opowiadania z książek z obrazkami, a o szóstej obejrzą audycję z myszką.

A wieczorem na kolację będzie ryba, a potem dzieci pójda spać do łóżeczek, do własnych łóżeczek! I wszyscy się pokochają! A jutro znów będzie padać! A one znów będą chodzić po mieście w kolorowych kaloszkach i żółtych pelerynkach.

A ja? Nawet nie miałam hotelu, w którym bym mogła spocząć, kładąc zmęczoną, skołataną głowę na hotelowej poduszce. Przecież ja nie wyrzucam pieniędzy w błoto. Za żadne pieniądze! Przecież ja mam pociąg o dwudziestej trzeciej piętnaście! Muszę wrócić tej nocy. To jest jedyny pociąg, którym mogę stać, z tego pustkowia na północy kraju, wrócić z powrotem w ojczyste strony. Żeby zdążyć na dziesiątą, na zdjęcia do naszego serialu o małym szpitaliku. Jutro rano muszę grać, być szczęśliwą, wypoczętą świeżo poślubioną małżonką lekarza naczelnego szpitala. Wyspaną, oczywiście, i bardzo apetyczną!

O tym pan Niedrich, naturalnie, pojęcia mieć nie mógł.

Stary sęp wyszukał mi takie pociągi, jak gdybym NIE musiała stanąć o dziesiątej przed kamerami w Kolonii. Zakładał, że wezmę hotel, taki, który ma okna z grubego, ołowianego szkła i chłopską świetlicę w staroniemieckim stylu.

No i że po dziesiątej zjem na śniadanie śledzia po fryzyjsku. Z cebulą i tłustą, wędzoną kiełbasą. Duma nie pozwalała mi skarżyć się, więc zataiłam przed nim, jakim kosztem odbywać się będzie moje tournée. Cóż by na to odpowiedział? „No, w takim razie, moja pani, to pani problem, nie mój. Ja panią kupiłem, a teraz proszę dostarczyć towar. Gdzie i kiedy będzie pani spała, to pani sprawa. Mnie to nie interesuje! Najważniejsze, by wieczorem stała pani na deskach, które dla pani wynająłem. I robiła dobre wrażenie!”

Koledzy w pracy również nie mieli pojęcia o moich planach na czerwcowe wieczory. Bo komuż mogłam opowiedzieć o moim monodramie? Czy Elwirze, która nie słyszała, co się do niej mówi, bo sama bez przerwy gdakała? Czy oziębłemu panu doktorowi Gernotowi Miesmacherowi? Czy pełnej zawiści, pulchnej siostrze praktykantce? A może Lorze Kosz-marnej czy też Gretel Zupf? Nie! O nie! Nikt nie zainteresowałby się moją sztuką! Nikt z całego zespołu pracującego nad serialem! Naprawdę nikt.

Szłam wzdłuż wybrzeża. Przede mną wyrosła ściana, mur, a ja - niczym Ernstbert - nie miałam odpowiednich butów. Na kotwicy stał czerwony okręt. Ernie i Bert byliby zachwycony! „O, popatrzcie, prawdziwy statek piracki! Naprawdę! Mówię wam!”

„Restauracja Rybna” - napis taki widniał na statku, a pod spodem mały afisz: „Dziś zamknięte - z powodu strajku pracowników przemysłu spożywczego!”

Strajk pracowników przemysłu spożywczego! Jakże to pomysły mają tutaj na północy kraju! U nas byłoby to niemożliwe! Proszę umyć ręce, siadać, pomodlić się, a potem jeść! A na dodatek reprimenda!

Szłam więc dalej, wzdłuż portu. Morskie powietrze było rześkie. Auta ochlapwały mnie wodą z kałuż. Kroczyłam niby ma-

rabut, któremu zwisają żałośnie skrzydła. Jeszcze pięć godzin do mojego żałobnego występu. Jakos muszę te godziny przetrwać!

Gdybym chociaż miała ze sobą swoje słynne kalosze. Kalosze na każdą okazję: na sanki, na spacer po lesie. Ale nie! Oczywiście w drogę wzięłam swoje eleganckie sznurowane, sięgające do kostek bulki na obcasach, bo w nich zamierzałam dziś wieczorem wystąpić.

No i legginsy! Eleganckie, w śmiały deseń. Te, na których widok siostra praktykanta Ulrika zawsze uśmiechała się tak jakoś dziwnie. No cóż, w zwykłym domu wysyłkowym takich nie było. Za żadne pieniądze!

Szkoda, że nie wzięłam ze sobą czegoś na zmianę! Czegoś suchego na wypadek deszczu. Ale nie chciało mi się brać ze sobą kuferka. No i co miałabym z nim zrobić, czekając na przedstawienie? Wsunęłam ręce do kieszeni jedwabnego, cienkiego blezeru i maszerowałam dalej.

Gdy tylko przystawałam, zaczynało mi się robić chłodno. Paznokcie pod lakierem całkiem zsiniały mi już z zimna. Miałam ochotę na saunę i kąpiel solankową. Ale nikt mnie nie pytał o zdanie. Nie miałam przecież ze sobą ręcznika. Niczego nie miałam ze sobą. Brak profesjonalizmu!

W porcie spelunka obok spelunki, a na drzwiach każdej z nich kartka z napisem: „Zamknięte z powodu strajku pracowników przemysłu spożywczego!”

W myślach zaczęłam pisać pocztówkę - taką z widokiem latarni morskiej - do moich synków: „Kochane dzieci! Tutaj wciąż pada. A na obiad tylko ryba! A dziś nawet ryby nie ma. Dziś jest wszystko zamknięte. Nudzę się bardzo, nikt się ze mną nie bawi, chcę innych rodziców! Wasza mama!”

W żołądku burczało mi z głodu. Już dawno minęła pora obiadowa. Naprawdę chciało mi się jeść. Przecież na pewno jest gdzieś tutaj jakiś otwarty lokal, jakaś knajpka, w której stać będzie przy barku kilku wstawionych marynarzy! To niemożliwe, by wszędzie wisiały kartki zawiadamiające o strajku w całym Szlezwiku-Holsztynie!

Miałam apetyt na grzane wino i kieliszek czystej wódki. Chętnie

nie też posłuchałabym *Lilii Marleen* w wykonaniu chóru męskiego o dobrze naoliwionych gardłach. Tęskniłam za ciepłym kaloryferem, przy którym ogrzałabym sobie zziębnięte ręce. I za wielkim śledziem, który zerkałby na mnie z talerza swoimi martwymi oczami, prezentując się dumnie między ziemniakami z wody a zieloną pietruszką. Chętnie ściągnęłabym z niego usmażoną na maśle, brązową skórę i wsadziłabym ją sobie do zgłodniałego pyska. Pochłonęłabym wszystko, zostawiwszy jedynie ości, łeb z martwymi oczami i wysmażony na wiór ogon. Zjadłabym również plasterek pomarańczy i tę łyżeczkę borówek, którymi zwykle kucharz ozdabia posiłek na talerzu w tak zwanej mieszczańskiej kuchni. A na deser zamówiłabym wielką michę kisielu z kaszką manną i sosem waniliowym. A do tego kawę z mlekiem, pianką i kandyzowanym cukrem. O tak! Przecież zwykle sobie nie dogadzam! W każdym razie na ogół nie jadłam się czymś, od czego się tyje.

W porcie jednak wszystko było zamknięte. Okropność! Skierowałam się więc do centrum miasta. Moje sznurowane buciki, jakie zwykle noszą diwy, przemokły całkowicie. Byłam mokra aż po kolana. Po mojej kunsztownej fryzurze, utrzymanej w stylu: „Jestem kobietą, która wie, czego chce!” - nie było już śladu. A przecież pierwszą rzeczą, którą zrobiłam, przybywszy do Flensburga, była wizyta u dworcowego fryzjera. Po długiej nocy i długiej podróży pociągiem taka wizyta wydała mi się konieczna. Cały czas słyszałam gdzieś za plecami głos Grety, bez przerwy skrzeczącej mi do ucha: „Charlotto, ty niedbała dziewczyno, żebyś ty się chociaż raz dokładnie obejrzała! Zrób sobie elegancką fryzurkę a la lady Diana!”

Co za beznadziejny dzień! Deszcz lał się strumieniami, zmokłam jak kura, z włosów kapała woda. Z dzieła dzielnego północnoniemieckiego fryzjera, zresztą dość małomównego, zostało na mojej głowie coś, co wyglądało jak kupka kwaszonej kapusty.

Kwaszona kapusta! Z kiełbaską i kawałkami wędzonego boczką! Obsmażona dobrze na patelni, a do tego smażone kartofle, podane na podgrzewanej świeczką podstawce. No, chyba gdzieś musi być coś otwarte!

W centrum miasta również strajkowano, zmuszając bliźnich do strajku głodowego. Nigdzie nie było otwartej restauracji! W takim razie pójdę do Doc Fishmaca! - postanowiłam wbrew swoim zasadom. Przybytki tej firmy, wyłożone kafelkami, gdzie na stojąco można pochłonać kilka rolmopsów, były przecież wszędzie. Na pewno są i tutaj! Lub jakaś inna restauracja tego typu! Co prawda bałam się widoku tłumu fryzyskich dzieci, bo wywołałyby to u mnie łyzy tęsknoty za moimi. Jednak wszystkie lokale - nawet te najbardziej nietypowe dla branży - były dziś zamknięte. „Z powodu strajku pracowników przemysłu spożywczego!” Zwariowali ci Fryzycjcy! Jak sobie pomóc w takiej sytuacji?!

Autorka *Czarnego i białego pieprzu* była już nie tylko mokra i zziębnięta, ale również zła i głodna. Jeśli nie zjem zaraz czegoś sensownego, sama zastrajkuje! Stanę na scenie milcząc, woda będzie ciekła za mnie ciurkiem, a ja nie ruszę się z miejsca. Przez dwie godziny. Za żadne pieniądze nie powiem ani słowa, nie będę przemawiać porywająco, z zapałem! Fryzycjcy sami muszą zrozumieć, co stracili! Sami będą sobie winni!

Do tego cholernego przedstawienia w teatrze Atelier miałam jeszcze trzy godziny. Co począć z wolnym czasem? Do wieczora chyba padnę z głodu. Zawsze muszę głodować, nikt nie chce się ze mną bawić, zawsze muszę się nudzić! Chcę innych rodziców!

Wróciłam na dworzec. Może w tej powojennej knajpie dworcowej dostanę jakiegoś zimnego kotleta mielonego. Przecież w tego typu przybytkach przebywają nie tylko mieszkańcy Szlezwika-Holsztynu. A więc całkiem normalni ludzie. To niemożliwe, by wszystkich chciano ukarać stosując zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Może będzie w bufecie dworcowym letnia zupa ogonowa. A może podają tam w popękanej filiżance bulion z twardego, starego koguta i szarawy, paćkowany kalafior? A na nie dopranym, szarawym obrusie stoi zachlapana butelka maggi i zestaw przypraw?

Usiądę więc gdzieś przy takim stole, w towarzystwie bezdomnych typów, zdejmę ze ściany wiszącą tam na drewnianej

rażące, utyłaną już mocno gazetę i będę czytać nekrologi, popijając wodą i zagryzając suchym chlebem.

Tak się właśnie czułam. Nigdy więcej żadnego tourné. Nigdy więcej podróży do Szlezwika-Holsztynu. Nigdy więcej głodu! Nigdy więcej nie spróbuję ucieczek z naszego małego szpitalika! Siedź na czterech literach w domu! Nie ruszaj się! Patrz skromnie prosto przed siebie, poruszaj się naturalnie, trzymaj się prosto! Tak jak wszyscy! Wtedy unikniesz kłopotów!

W stołówce naszego małego szpitalika był dziś ryż po hindusku. Oczami duszy widziałam Lorę Kosz-marną, jak rozwała swoją grubą dupę na ławce w stołówce, a swój monstrualny biust upycha nad kopiastym talerzem ryżu po hindusku. I Gretel Zupf, jak kartkuje czasopisma dla samiczek domowych, szukając przepisów dla osób odchudzających się i jak rozkłada wkładki dla majsterkowiczów. Siedzi nad ciastkiem z kremem. A Elwira Merkenich nad różowym jogurtem z chrupkami i setkami nowych zdjęć Adrianka na lotnisku, które nagle wyczarowywała ze swej torebki. Teraz wszystko byłam w stanie znieść! Naprawdę! Nawet letnie kotlety mielone z dworcowej stołówki!

Jednak marny mój los. Nawet dworcowa knajpa, przypominająca przybytki tego typu z lat powojennych, została zamknięta, oczywiście z powodu strajku pracowników przemysłu spożywczego w Szlezwiku-Holsztynie. Spuszczone brązowe rolety miały działać na intruzów odpychająco.

Dla Ernstberta byłby to kryzys wręcz życiowy. On zawołałby zawiadowcę stacji - I TO NATYCHMIAST! - i zagroziłby mu złożeniem doniesienia do prokuratora z powodu odmowy wykonywania poleceń służbowych, jeśli ten nie podniósłby natychmiast rolet i własnoręcznie nie usmażył mu ryby!

Ale ja? Ja, wychowana w duchu pokory i ku pokorze, nie śmiałam pociągnąć kogokolwiek do odpowiedzialności!

A więc ruszyłam przed siebie, zachowując się jak zwykle skromnie i naturalnie, aż zbliżyłam się do brudnawej, obskurnej budy. Nie bałam się śmierci! Buda stała na placu przed dworcem. Widniał na niej napis: „Pijalnia”. Wyglądała bardzo interesująco. Kupię sobie jakieś ciastka. Mogą być stare, twarde, kruszące się, mogą zapachem przypominać starą walizkę! Pod kioskiem

stało kilku podejrzanych typów. Popijali piwo z puszek. Ręce mieli czerwone od mrozu. Czerwone były również ich twarze. Rozmowy, które wiedli, trudno było zrozumieć. Przeważała w nich ton głupkowato-napastliwy:

- Lalunia, daj przejść laluni, lalunia pragnie przejść! Ale pończoszki! Zmokłaś trochę, co, lalka? Lalunia, pada dziś trochę, klamoty masz mokre!

Zignorowałam ich za zasadzie: „Proszę ustąpić, idzie światowa dama!” - by przez okienko kupić coś do jedzenia. W środku paliła się świeczka, taka do podgrzewania herbaty. W półcieniu sprzedawczynie czytała jakąś groszową powieść. Palce miała sztywne z zimna.

Kumple spod budki obserwowali mnie bacznie, najwięcej uwagi poświęcając moim pośladowcom:

- Nie znam tej dupci, ona nietutejsza!

- Czy ma pani coś do jedzenia? - zapytałam sprzedawczynię, która wyraźnie się ociągając, odłożyła brukową powieść.

- Nie! - odpowiedziała. - Nie wolno nam niczego sprzedawać. Strajk przemysłu spożywczego.

- Niech mi pani sprzeda chociaż kiełbaskę! - zebrałam. - Jedną kiełbaskę! Tylko jedną! Albo kotleta mielonego!

- Mowy ni ma! - odparła sprzedawczynie. - Nie mogę robić wyjątków, bo jak kto przyjdzie i zobaczy, to będzie draka.

- W porządku! W takim razie poproszę o te ciastka tam na górze! Brochlsena! Duże! Z pełnego ziarna!

- Mowy ni ma! - odparła niewiasta.

- Ale przecież one tam leżą! Na półce! Pani tylko sięgnie! Zapłacę gotówką!

- Nie mogę przyjąć pieniędzy, bo na kwitku będzie stało, że sprzedałam ciastka. Nie da rady.

- A misie gumowe? Cukierki lukrecjowe? Słone ciasteczka?

- Nie da rady! - powiedziała i sięgnęła po romans. - Może pani coś wypić, zapalić sobie albo poczytać! Ale dziś pani nic nie kupi do jedzenia w całym mieście!

- No dobrze, w takim razie niech mi pani da dwa jajka z niespodzianką! Dla moich dzieci! Zawiozę im w prezencie!

Ha, ha! - pomyślałam sobie. - Baba dała się oszukać! Jak tylko mi je poda, wsadzę je sobie do gęby!

- Ale czekoladę pani mi odda! - ostrzegła mnie sprzedawczyni. - Odliczę ją pani, a niespodziankę może pani sobie zabrać!

W tym momencie zaczęła odwijać folię z jajka.

- Zwariowali ci Fryzjczycy! - mruknęłam i zataczając się z głodu i zimna, wróciłam do śródmieścia.

Teatr Atelier był jeszcze pusty, zimny i martwy. Jednak niewiasta w szatni wpuściła mnie do środka. Zawsze coś. Wytłumaczyłam jej, kim jestem. Z początku mi nie wierzyła, ponieważ w niczym nie przypominałam roześmianej diwy z plakatów. Kobiety zadbanej, dobrze odżywionej, uczesanej przez mistrza fryzjerskiego, pana Lauro. Wspomniałam mimochodem, że od rana chodzę głodna po mieście, że od kilku godzin moknę, że miasto nie należy do gościnnych i że chce mi się po prostu płakać. Wtedy zrobiła mi filiżankę herbaty. Wyrwałam cukiernicę z jej ręki i wsadziłam sobie do ust kilka kawałków kandyzowanego cukru.

- Jeśli chce pani więcej herbaty, to proszę bardzo! Ile dusza zapagnie! Ale, niestety, nie mogę pani niczym poczęstować!

- W porządku! - odparłam. - Wiem!

- Dziś bilety wyprzedane! - Kasjerka cieszyła się. - Pani patrzy, wszystko zarezerwowane! No bo wszystkie knajpy zamknięte! Machnęła plikiem kopert.

- Wspaniale - jęknęłam bez zachwytu.

W taki oto sposób los stanął po mojej stronie! W cyniczny i okrutny sposób igrał ze mną, a jednak... Los wyobrażałam sobie jako uśmiechający się złowrogo szkielec. Siedział na grzejniku, jego kości stukotały, i grał walca!

- Czy chce się pani odświeżyć? - zapytała kasjerka, chcąc mi jakoś dopomóc.

- Oczywiście! - odparłam. - Strasznie się spociłam.

Garderoba wyglądała jak cela w słynnym więzieniu dla młodocianych w Brunsbuettel. Dokładna kopia! Nieapetyczna leżanka, dwa haki imitujące wieszaki na ubrania, muszla kloze-

towa, na wypadek gdyby zaszła pilna potrzeba w chwili stresu... W drzwiach szpara. Dla wartownika lub strażnika. Lustro nad stolikiem pęknięte.

- No, ładnie tu! - rzekłam nonszalanckim tonem. Rzuciłam plecaczek na półkę przed lustrem i osunęłam się na taboret. - Fajnie, Charlottto, przyjmij moje gratulacje! - powiedziałam do swojego odbicia w lustrze. Na głowie miałam kupkę kiszzonej kapusty. Po makijażu ani śladu. - Jesteś śliczna, kobieca, dowcipna i wzbudzasz pożądanie! Masz poczucie humoru, seks i smarki! Niedrich wie, czego chcą kobiety. Wszyscy cię kochają. Wszyscy. Mężczyźni i kobiety, dzieci i zwierzątka, wszyscy kochają cię tak samo.

Zdjęłam sznurowane buty diwy i wylałam z nich wodę.

- Za każdym razem, gdy upuszczasz jakiś przedmiot, uzależniasz kogoś od siebie - powiedziałam do wypłocha w lustrze. - Mężczyzna poddany twoim czarom, zakochuje się po uszy. Nieważne kim jest - dentystą, nauczycielem, doradcą podatkowym czy gosposiem...

Wyuzdanym ruchem rzuciłam but na ziemię. Uderzając o podłogę stuknął dość głośno. Kobieta na korytarzu zapytała:

- Czy pani mnie wołała?

- Nie, nie! - odpowiedziałam. - To tylko takie ćwiczenie!

- W takim razie nie przeszkadzam. - Kobieta zatrzasnęła drzwi.

Spojrzałam na zegarek. Jeszcze półtorej godziny. Położyłam głowę na stoliku i starałam się nie myśleć o tym, że tak będzie przez następne cztery tygodnie. Za żadne pieniądze!

Samo przedstawienie pamiętam słabo. Było ciemno, duszno i gorąco. Stałam w ostrym świetle reflektorów, bezlitosnym i oślepiającym. Publiczności nie widziałam, ale to nie było istotne. Miałam świadomość, że na sali siedzi ponad trzysta osób. Czułam to wszystkimi zmysłami.

Jakoś tam zagrałam. Publiczność biła brawo, śmiała się we właściwym miejscach, a mnie robiło się niedobrze, bo opiłam się herbatą. Krople potu na mokrej skórze zamarzały, ubranie

nadal było wilgotne. Wyrecytowałam tekst, wręcz wyplułam go z siebie, jakbym go przedtem pochłonęła. Nie bałam się. Cały czas myślałam tylko o tym, że o 23.15 odjeżdża mój pociąg do Kolonii. I o tym, że jutro o dziewiątej znajdę się w swoim ukochanym mieście. Wyobraziłam sobie, jak to będzie, kiedy wysiądę o dziewiątej z pociągu i w wilgotnych jeszcze ciuchach pomaszuję na plac przed katedrą i pozdrowię jej wieże, lśniące w promieniach porannego słońca. Wyobraziłam sobie, jak stoję w stołówce naszego studia i nalewam sobie wielki kubek gorącej kawy z automatu. A do tego kupuję ciepły rogalik oraz bułeczkę z serem. A potem dosiadam się do pani Merkenich-Miesmacher i dobrowolnie oglądam trzysta zdjęć Adriana. I polubię to, jak nigdy przedtem.

Myślałam więc o pociągu o 23.15, o tym, że będę siedziała w ciepłym przedziale, że może będzie wagon restauracyjny, o ile Fryzjczycy nie odczepili go - po ciemku i w tajemnicy - radując się złośliwie z powodu strajku głodowego! A może na korytarzu pociągu pojawi się kelner, pchając przed sobą wózek z napojami i kiełbaskami? Wtedy zacząję się na niego, zaatakuję od tyłu i porwę wszystkie kiełbaski, które natychmiast pochłonę! Potem wleję w siebie dwie puszkę piwa i jeden do trzech kieliszków czystej wódki (co najmniej jeden!), a potem, bekając z zadowolenia, wyciągnę siedzenie, zwinę się na czerwonym, sztruksowym obiciu w kłębuszek i będę spać, spać, spać... O tym wszystkim myślałam, przemawiając żarliwie do publiczności. Wreszcie monodram skończył się, zakurzona kurtyna opadła, a ja spojrzałam na zegarek. Była dziesiąta. Jeszcze cała godzina.

Kurtyna znowu się podniosła, ja, zmęczona, ukłoniłam się raz jeszcze. Tak, tak, kochani, w porządku, idźcie już do domu, pora spać! Może w domu w lodówce macie mały jogurcik? Lub piwo? Żeby się tylko nie zepsuło!

Publiczność nadał klaskała.

Pomyślałam o tych pięciu tysiącach marek, które wręczył mi dyskretnie dyrektor teatru. W kopercie. Wykrzywiłam twarz w uśmiechu radości. Właściwie to szkoda, że pieniędzy nie można jeść. Kurtyna opadła.

No - pomyślałam sobie. - Teraz już macie dość", wracajcie grzecznie do domu. Jak wam mamusia mówiła? Koniec zabawy! Pora wracać do domu. Nadeszła odpowiednia pora!

Kurtyna znowu podniosła się, a ja się ucieszyłam, że aplauz nadal trwa. Na sali siedziało bądź co bądź od trzystu do czterystu najedzonych Fryzyczyków. Ależ byli wytrwali! Że też siedzenia ich nie zabolowały!

Na widowni zapaliły się światła. Uśmiechnęłam się do swojej publiczności. No proszę, moi kochani, chętnie dla was grałam, naprawdę! Flensburg jest uroczy! Wrócę tu na pewno, obiecuję wam! Tak jest!

Sami młodzi ludzie na widowni. Przede wszystkim kobiety, kilku towarzyszących mężów. Panowie sprawiający wrażenie przepuszczonych przez maszynkę do mielenia mięsa. Ale tak miało być. Wszystko gra. Niech trochę się zastanowią, dobrze im to zrobi. Uśmiechnęłam się z wdzięcznością. Widownia odpowiedziała uśmiechem.

Kochani, gdybyście wiedzieli, jaka ja jestem głodna! Jak wilk! Nie będzie dokładki. Bo padnę.

Popatrzyłam po rzędach. Przerzedziło się już troszkę. Publiczność bijąca brawa ruszyła teraz w kierunku szatni.

No - pomyślałam - ruszajcie się żwawiej! Z życiem! Przedstawienie już się skończyło. Spieszę się na pociąg do Kolonii. Jutro wieczorem muszę być w Osnabrueck. Ludzie, ludziska - przecież to wszystko jest zbędne! Przecież nie jesteśmy tutaj dla zabawy.

Ukłoniłam się po raz ostatni.

A teraz zejść ze sceny. Wracam do mojej celi więziennej. Potem - nie zapominając o swoim plecaczku - dyskretnie opuścić ten przybytek tylnym wyjściem.

Nagle wzrok mój zatrzymał się na jednym z widzów. Własnym oczom nie wierzyłam. Zatrzymałam się w połowie kroku. Ten mężczyzna w ostatnim rzędzie.

Nadal siedzi.

Mam halucynacje - pomyślałam, uśmiechając się nadal do publiczności. - Kochani, wracajcie wreszcie do domu! Mamusia ma migrenę.

Nie odrywałam wzroku od tego kogoś siedzącego w ostatnim rzędzie. Mężczyzny, który na pozór niczym się nie interesował i beznamiętnie kartkował program teatralny. Program teatralny był zwinięty w rolkę, pognieciony, bo właściciel cały wieczór trzymał go w dłoni.

To nie był żaden obcy mi Fryzyczyk. Ten przybył tutaj w takiej dziwnej marynarce. Zielonej w jodełkę. Znałam go doskonale. Sposób, w jaki siedział, pozornie nie zainteresowany, a jednak bardzo uważnie się przysłuchujący. Tak, znałam to bardzo dobrze. Był mi bardzo bliski. Tak bliski, że do oczu zaczęły mi napływać łzy. Nawet bez beretu był mi bliski.

Zeskoczyłam ze sceny i w swoim wilgotnym stroju i równie wilgotnych pantoflach ruszyłam środkowym przejściem w jego kierunku. Podniósł na chwilę głowę. Nie był zdziwiony. Kucnęłam obok niego.

- Gustawie! - zachrypiałam, tłumiąc kaszel, który mógł oznaczać płacz lub kichanie. - Gustawie! Co ty tu robisz?

- O, z czym masz kanapki? Z pasztetową? Daj! Naprawdę mogę? A ty? Będziesz głodny!

Wyrwałam mu z ręki kanapkę, a raczej pajdę chleba, zapakowaną w gruby papier, taki do pakowania paczek, i odwinęłam ją pożądlivym gestem głodnego jak wilk człowieka. Pękaty termos pamiętający jeszcze czasy przedwojenne, a zawierający gorącą herbatę z rumem, przytuliłam do piersi. Trzymałam go, jak gdybym już nigdy nie miała go wypuścić. Daj, daj wszystko, co masz. Umierałam z głodu. Głód skręca mi kiszki. Czułam się jak taki stary wilk morski, który został wyciągnięty z fal oceanu.

- To wędzona pasztetowa, od wiejskiego rzeźnika, lubisz taką?

- Właściwie to nie bardzo. Nie cierpię tłustej kiełbasy. Ale dzisiaj! - Westchnęłam głęboko i lubieżnie. - Gustawie! Jak to dobrze, że istniejesz! Że nie jesteś fatamorganą!

- Istnieję już od sześćdziesięciu lat! - odpowiedział. - Jak twoje nogi?

- Już lepiej!

Buty i pończochy leżały pod ławką. Siedzieliśmy w starej, rozklekotanej przyczepie kempingowej Gustawa. Otulona w grubym wełnianym pledzie z frędzlami, powoli dochodziłam do siebie. Gustaw położył moje owinięte w pled nogi na kolanach i masował je, jakby to było integralną częścią naszej codziennej pracy. I nikt nie wspominał, że coś jest zbędne.

Było to niepojęte. To było po prostu niepojęte. Że ten uparciuch, ten milczek, ten wiecznie niezadowolony, humorzystyczny staruch tu przyjechał! Ni z tego, ni z owego, po prostu tutaj przyjechał! Spadł mi z nieba.

- Co tutaj robisz? Skąd się tu wzięłeś? - To pytanie zadałam mu kilkakrotnie. - No, powiedz wreszcie!

- Obejrzałam pewną dziwną sztukę dla jednej aktorki. Siedem żalonych monologów. Każdy skierowany do innego człowieka. Napisanych przez radosną kobietę.

- Żarliwe monologi radosnej kobiety! Żarliwe, nie żalodne! I z tego powodu przyjechałeś tutaj? Z Kolonii?

- Tak. Czy masz coś przeciw temu?

- A skąd wiedziałeś?

- Że tutaj cudzołożysz?

- Eee... jutro jestem o dziesiątej w studiu!

- Ja również. Więc o co chodzi? W czym problem?

Potem chwycił mnie mocno za ramię i zaprowadził do przyczepy kempingowej.

Teraz siedziałam w ciepłym pomieszczeniu, głamałam ze smakiem, on masował mi nogi, a ja czułam, jak ogarnia mnie fala ciepła. Było dobrze i przytulnie. Czułam się bezpieczna. Uczucia tego nie sposób opisać. Stary zegar nad płytką kuchenną tykał spokojnie, wskazując jedenastą.

- Boże, mam pociąg o dwudziestą trzecią piętnaście! - Podniosłam się przerażona.

- Leż! Zawiozę cię do domu.

- Do domu?

- Przypuszczam, że chcesz się przebrać.

Popatrzyłam na niego w osłupieniu.

- Od kiedy dbasz o dobre samopoczucie swej żalony? Co? Od kiedy to?!

Gustaw masował mi właśnie wielki palec stopy.

- Wszystko wskazuje na to, że dziś nikt nie zadbał o ciebie!

- O, to boli!

- Ma boleć.

Gustaw puścił nagle moją stopę i wstał.

- No, a więc ruszamy.

Przemieściłam się z pledem i termosem na siedzenie obok kierowcy. Zażenowana nadal gryzłam chleb. To wszystko było bardzo dziwne. Tym bardziej że Gustaw do gadatliwych nie należał. Zanim się czegoś dowiem, muszę się uzbroić w cierpliwość.

Gościnne miasto Flensburg układało się już do snu. To tutaj krążyłam w deszczu, a kiszki grały mi marsza! Teraz było mi ciepło i dobrze. Minęliśmy dworzec. Ciemny, martwy, opuszczony. Jeszcze raz rzuciłam okiem na budę, gdzie kupowałam jajka z niespodzianką. Tym razem uśmiechnęłam się z wyższością. Menele schowali się gdzieś w melinach. Jutro rano znów staną koło budki, trzymając puszkę piwa w rękach.

Gustaw jechał spokojnie w kierunku zjazdu na autostradę. Świetnie orientował się w okolicy. Przyczepa huštała się jak kołyska. Stary silnik mruzczał zadowolony. Ogarnęło mnie cudowne zmęczenie. Mogłam wreszcie zasnąć, byłam bezpieczna.

- Nie chcesz położyć się z tyłu?

- Nie, wolę siedzieć obok ciebie.

- Ciepłe nogi? - Gustaw jakby się uśmiechnął.

- Tak, szefie, nogi ciepłe, serce gorące, brzuch najedzony, sumienie czyste. Amen.

Popatrzyłam na niego z boku. Nadal się uśmiechał. Było to rzadkie zjawisko. Miałam ochotę z takim uśmiechem go namalować.

Herbata z rumem rozgrzała mnie i odczuwałam miłe ciepło aż po koniuszki palców. Nagle uświadomiłam sobie, jak bardzo lubię tego żelaznego Gustawa. Że zawsze go lubiłam. I to nie od dziś.

- Gustawie?!

- Tak?! - Gustaw był zajęty. Właśnie skręcał i włączył kierunkowskaz. Byliśmy już na autostradzie. Toczyliśmy się powoli

prawym pasem. Przed nami terkotała ciężarówka. Wycieraczki śpiewały smutną piosenkę. Wciąż tę samą. Piosenkę o samotnej ciężarówce. Czułam, że zaraz zasnę.

- Powiedz mi tylko, DLACZEGO, z jakiego POWODU przyjechałeś do Flensburga. I skąd dowiedziałeś się o moim występie.

- Dowiedziałem się od Niedricha - odpowiedział.

- Od Niedricha?

- To Niedrich mi powiedział: „Obejrzyj tę Małą!”

- No i obejrzałeś! - Aż wyprostowałam się w fotelu. - Po prostu!

- Przedtem przysłał mi sztukę. *Czarny i biały pieprz*.

- Przeczytałeś ją?

Siedziałam sztywno wyprostowana. GUSTAW przeczytał MOJĄ sztukę! Ten stary, humorzasty, zbędny, wiecznie niezadowolony Gustaw, który przez siedem lat nie raczył na mnie spojrzeć!

- Tak. Czy masz coś przeciw temu?

- W rzeczy samej! To jest MOJA sztuka, ja to sobie wszystko wymyśliłam! A ten głupi Niedrich nie może jej tak po prostu komuś pokazywać!

- A to niby dlaczego nie może? Tajne akta czy co?...

- No, tajne akta to nie, ale to jest w pewnym sensie moja prywatna sprawa! - Byłam okropnie zmieszana.

- Ale z ciebie gadułka! - W jego ustach zabrzmiało to niemal czule. - To nie jest twoja prywatna sprawa! Przecież trąbisz o niej na całe Niemcy! A ja jako twój reżyser mam prawo wiedzieć, co się dzieje!

Gustaw popatrzył w tylne lusterko i zaczął wyprzedzać. Spojrzałam na niego z boku. Wycieraczki zawodziły niezadowolanie.

- Bardzo jesteś miły! - powiedziałam obrażona. - Ja trąbię o tym na całe Niemcy! Dobre sobie! Bardzo jesteś miły! - Schowałam się w pledzie. Najchętniej naciągnęłabym go sobie na głowę, tak bardzo było mi wstyd.

- Tak, a bo co? - Gustaw uśmiechnął się do mnie czule i złośliwie.

- No dobrze, przyznaję - odparłam cichutko.

Gustaw miał zawsze rację. Cokolwiek powiedział, było zawsze słuszne. Tylko sposób, w jaki to mówił, nie zawsze był elegancki. Ale tę jego cechę dobrze już poznałam.

Wszystko jest zbędne, z życiem, ruszajcie się, nie jesteśmy tutaj dla zabawy.

A więc przyjechał tutaj wiedziony swoimi profesjonalnymi zainteresowaniami. Oczywiście! Gadułko, co ty sobie w ogóle wyobrażasz? Że cię kocha albo coś w tym rodzaju?! Nie on! On nie z tych! Wszyscy mężczyźni z twego otoczenia są w tobie zadrženi. Ale nie on!

W jego obecności niczego bym nie upuściła. Ani przez nieuwagę, ani z premedytacją! Nie zrobiłabym tego! Przysięgam! Za bardzo byłoby mi szkoda tego żółwia, który zamknął się w swojej twardej, tysiącletniej skorupie. Był taki delikatny! W tym przypadku nici z czarów! Byłam pewna, że tak. Zbędne!

- Ale dlaczego właśnie do Flensburga? - zaatakowałam raz jeszcze. - Przecież to kawał drogi! Występować będę w miejscowościach, które są o wiele bliżej. Już w przyszłym tygodniu!

- Po pierwsze, był to twój pierwszy występ. W ten sposób mogę ci pomóc w uchronieniu się przed żenującymi błędami.

Żenujące błędy, rozumiem.

- Dziś nie byłam w formie! - broniłam się. - Zimne nogi i pusty żołądek. Kac moralny i samotność, okropna samotność, ponadto zmęczenie...

- Gadułka z ciebie! - powtórzył.

- A po drugie? - zapytałam słabnącym głosem.

- A po drugie, mogłem niemal ze stuprocentową pewnością założyć, że twój niezmordowany strażnik dziś śledzić cię nie będzie.

- O kim mówisz? - zapytałam, udając naiwną.

- Nawet teraz grasz całkiem niezłe - powiedział.

- Czy byłam tak bardzo beznadziejna? - Miałam ochotę go uściskać. Że też był tak bardzo nieprzystępny.

- Niejedno możesz poprawić! - Gustaw był surowym sędzią.

- Wszystko zbędne? - zapytałam cichutko.

Miał na myśli teatr czy moje życie? Prawdopodobnie jedno

i drugie. Boże, jak ja tego człowieka lubiłam! Tak chętnie wzięłabym go w ramiona i uściskała. Ale zabrakło mi odwagi.

- Nie wszystko. Ale sporo.

Gustaw wyłączył wycieraczki. Woda z kałuży zalała nam szybę. Zmrużył oczy i wlepił wzrok w mleczną breję, która zalewała nam szybę.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? - zapytałam nagle.

Może był głodny lub chciało mu się pić? A może powinnam go zastąpić w prowadzeniu auta? Lub coś w tym rodzaju.

- Na pięć minut daj sobie spokój z tym całym Streitackerem. Zrób to dla mnie - powiedział. Ponownie uruchomił wycieraczki. Podjęły znów pracę, piszcząc z wysiłku.

I pisk-i pisk-i pisk-i pisk! Musimy ciężko pracować, wciąż pada deszcz, a na obiad znowu ryba, nikt nas tak naprawdę nie kocha, oleju nie ma, a my się okropnie nudzimy i chcemy innych piór...

- Chwileczkę! - ja na to. - Co ma do tej całej sprawy kolega Streitacker?

- O wiele za dużo! - odparł Gustaw. - O wiele za dużo!

I pisk-i pisk-i pisk-i pisk....

No i co z tego? - Buntowałam się w myślach. - Co ciebie to obchodzi? Jesteśmy przyjaciółmi, a on jest jedyną osobą w całym zespole, z którą mogę sobie spokojnie porozmawiać. Uwielbia mnie, jest we mnie nieprzytomnie zakochany, kocha się we mnie i jest dobry w łóżku. Panie w moim wieku potrzebują tego. A mój mążzonek zaniedbuje mnie karygodnie... Uczucio-wo... A ja jestem kobietą z krwi i kości.

Milczenie jest złotem.

- Zjesz może kanapkę? - zapytałam. - A może napijesz się herbaty? A może cię zmienić?

- W skrytce są papierosy - odparł na to. - Zapal mi jednego!

Po chwili grzebania w straszliwym bałaganie skrytki, znalazłam jedynie kilka pustych pudełek po papierosach i krawat. Samotny krawat, zielono-szary. Czyżby miało to jakiś związek z kasynem gry? No i zwinięty w rulonik scenariusz naszego serialu. Odcinek pięćset pierwszy. I zaczytany egzemplarz *Czarnego i białego pieprzu*.

Wzięłam tekst do ręki i zajrzałam do skrytki. Światło w samochodzie było słabe. Zauważyłam jednak, że manuskrypt jest zabazgrany. Notatki ołówkiem, na marginesie, spinacze... Wszędzie notatki... Zdołałam przeczytać: „Mało skuteczne!”, „Niejasne!”, „Dlaczego?”, „Puenta na końcu!” „Brak dynamiki!”, „Nie rozumiem cię, Charlottto!” Na każdej stronie notatki. Mnóstwo uwag. Prawie przy każdej linijce. Nagle poczułam ciepło wokół serca.

- Gustawie... - odezwałam się.
- Znalazłaś papierosy?
- Co? O, papierosy! Tak, tak!

Znalazłam papierosy, wyjęłam jednego. A teraz? Co z nim zrobić? Drżały mi ręce.

Przeczytał całą sztukę. I nie tylko. Poznał moje myśli. Poznał moje uczucia. A nikt się przecież tym nigdy nie zainteresował. Ani Ernstbert, ani Justus, ani Beniamin, ani doktor Geldmacher, ani pan nauczyciel, ani Greta, ani dzieci, ani Elwira Merkenich-Miesmacher, ani Gernot Miesmacher, ani Greta Zupf. Nikt. Nawet pies z kulawą nogą nie interesował się tym, co czuję i myślę.

Jedynie Gustaw. „Charlottto!”, a nie „Anito!”

Zapalił swoją samochodową, przedpotopową zapalniczkę i posunął mi ją, rozżarzoną, pod nos. Zapaliłam kruszącego się papierosa i zaciągnęłam się nim. Obrzydlistwo! Zakasłałam. No, ale papieros palił się.

- Nawet palić nie potrafisz! - powiedziała i wyjął mi papierosa z ust.

- Może ubrudziłam go szminką! - bredziłam, by w ogóle coś powiedzieć.

Wszystko zbędne! - pomyślałam. - Przecież nie jesteśmy tu dla zabawy. Milczenie jest złotem.

- Nie, szminką nie, ale pasztetową! - powiedziała.

Zachichotałam. Po chwili zapadła cisza. Póki co powiedzieliśmy wszystko, co było do powiedzenia.

W pewnym momencie musiałam zasnąć, nawet nie wiem kiedy. Śnił mi się Justus, który - w swojej kurteczce w kolorze kupki niemowlęcia - biegł za przyczepą, trzymając się linki do

wieszania bielizny. Ernst i Bert siedzieli na tylnym siedzeniu i trzymali za jej drugi koniec. Okrzykami dodawali mu otuchy.

- W trzymaniu linki jestem dobry! - Justus sapał, a dzieci wymachiwały lassem i wrzeszczały, ile tchu w piersiach:

- Zaraz złapiemy kaczo!a!

Gustaw siedział obok mnie i palił pasztetową, a obrażone wycieraczki piszczały.

Gdy się obudziłam, było już jasno. Księżyc był cieniutkim sierpem. Wisiał nad mostem prowadzącym do ogrodu zoologicznego. Dokładnie między dwoma wieżami katedry mojego ukochanego miasta - Kolonii.

- Słuchaj, czy to możliwe, żeby Gustaw odwiedził cię w Detmold?

- Kto? Oszalałaś?

- Gustaw! - Justus kroczył obok mnie. Szliśmy w kierunku ołtarza. Właśnie trwały zdjęcia scen ślubu kościelnego. Wszyscy goście już przybyli. Same znakomitości. Cały zespół pracujący nad serialem. Dosłownie cały. No i prawdziwy pastor z Witterschlick.

- Jak na to wpadłeś? - syknęłam niczym bardzo obrażona narzeczona.

Za sobą ciągnęłam długi welon.

- Gernot cię widział z Gustawem w Detmold. W jego przyczepie kempingowej!

Gernot miał syna, którego regularnie odwiedzał w Detmold. Syn miał na imię Jens Aleksander i był rozwiedziony. A więc mógł tam być! Jak to miło z jego strony, że od razu opowiedział o tym Justusowi! To było do niego podobne.

- Co za bajki! Gernot ma jogurt na ślepiach i niczego nie widzi.

Rzecz w tym, że NIE byłam w Detmold z Gustawem. A nawet jeśli, to ty byś się o tym nigdy nie dowiedziała, do cholery jasnej! Za żadne pieniądze! Co za idiota z tego Gernota Miesmachera. Milcz dupku, nikt cię przecież o nic nie pyta. I tak przecież z nami nie rozmawiasz. Serce mi waliło. Czułam je

aż w gardle. Wisiorek w kształcie serduszka, a właściwie bardzo nobliwy medalion, aż podskakiwał mi na białym, tak byłam skonfundowana. No widzisz, droga moja, w ten oto sposób wszyscy się o wszystkim dowiedzą. Grzeczne dziewczynki trafiają do nieba, niegrzeczne tam, gdzie chcą.

Właściwie to Klaus Overbeck, nasz sympatyczny operator, powinien zauważyć, że jestem w opresji. Ale, niestety, nikt nie zawołał: „Uwaga, narzeczona ma czerwone plamy na szyi! Stop!” Kroczyliśmy więc dalej, a ja uśmiechałam się łaskawie. W końcu grałam panią doktor Anitę Bach, zakochaną narzeczoną pana profesora Franka Bornheimera. Grałam osobą dobrą, istotą jak najbardziej monogamiczną, a przy ołtarzu czekał już na nas pastor z Witterschlick, by nam udzielić błogosławieństwa. A z tyłu na swoim krzeselku przycupnął Gustaw, oczywiście w berecie na głowie. Gustaw.

Już cztery razy towarzyszył mi w tournée. No i w ogóle. Dziś nie wróciliśmy z Detmold. To było wczoraj. Dziś rano wróciliśmy z Bad Hersfeld, gdzie występowałam na tle ruin zamku. Tam odbywał się teraz letni festiwal teatralny, w padającym bez przerwy deszczu. Już od dawna staliśmy się zgranym zespołem: Gustaw, ja i przyczepa kempingowa.

A moje przedstawienie było coraz lepsze. Gustaw udzielił mi mnóstwa doskonałych rad. Teraz sztuka stała się naprawdę dobra. Tego samego zdania byli widzowie. Po przedstawieniu owacje na stojąco. Oklaski bez końca. Kilka zakonnice (przyjechały autobusem z pobliskiego klasztoru specjalnie na to przedstawienie) płacząc ze śmiechu słało mi całusy. Tak jest. Greto! Zakonnice!

Recenzje, jakie się ukazywały w prasie, były entuzjastyczne. Dwa razy telewizje lokalne robiły reportaże o moim przedstawieniu. A ja udzielałam wywiadów. Tym razem już nie jako Anita Bach, lecz jako Charlotta Pfeffer. To był mój największy sukces. A Gustaw siedział, nie zmieniając swojej pozy, obok operatora. Tym razem nie mruzczał już pod nosem, że wszystko jest zbędne, lecz dodawał mi otuchy. A potem objął mnie ramieniem i zaprowadził do przyczepy. Staliśmy się parą i było to całkiem oczywiste. Zachowywaliśmy się oboje tak, jakbyśmy

przez całe życie nic innego nie robili, tylko wspólnie podróżowali po małych niemieckich miasteczkach. Czułam się wyśmienicie. Było mi dobrze. Czułam się bezpieczna.

On również rozkwitł. Nigdy jeszcze nie widziałam go tak radośnie i beztrzesko roześmianego. I tak rozgadanego. Żadna z głupich plotek o Gustawie nie znajdowała potwierdzenia. Żadna! Gustaw był całkiem inny. Ale o tym wiedziałam tylko ja. Od dawna już rozgościłam się w jego mieszkaniu na kółkach, w którym zresztą panował niesamowity bałagan. W czasie jazdy gadaliśmy. Godzinami gadaliśmy o wszystkim. Ja opowiadałam mu o Ernstbercie i o Grecie. Był świetnym słuchaczem. Potrafił słuchać jak nikt na świecie. Ja natomiast słuchałam tego, co on mówił do mnie.

Gdy nie mieliśmy ochoty na rozmowę, Gustaw wsuwał kasetę z muzyką. Uwielbiał Yvesa Montanda. W te letnie noce, podczas gdy samochód wiozł nas do domu, godzinami słuchaliśmy muzyki.

W taki oto sposób regularnie mogłam jeść śniadania z dziećmi. Czyli zaszło coś, czego uprzednio nie przewidywałam! Dzieci w ogóle nie zauważyły, że nocują poza domem. Niczego im więc nie brakowało. Mama była w domu, a na śniadanie była nutella, a nie ryba, i dzieci nie chciały innych rodziców, i już nie padało bez przerwy.

Miałam ochotę uściskać cały świat. Rozpierało mnie szczęście. Dziś po raz pierwszy zabrałam Gustawa do siebie. I nagle okazało się, że natychmiast stał się częścią mojego domu. Wspólnie z Beniaminem i dziećmi zjedliśmy w ogrodzie śniadanie. Poranne słońce świeciło mile, a my siedzieliśmy pod markizą z materiału w żółte paski, z której jeszcze kapały krople porannej rosy. Nasz ogródek wyglądał jak świeżo umyty. Beniamin podał kawę, kakao, chrupiące bułeczki, nutellę i jajka na miękko. Potem Gustaw usiadł w fotelu Ernstberta, zapalił papierosa i obserwował nasze życie rodzinne. Beniamin zaprowadził dzieci do szkoły, oczywiście na wrotkach, a Gustaw czytał prasę. Ja wzięłam prysznic, przejrzałam pocztę i faksy, następnie przebrałam się. Potem przeczytałam Gustawowi recenzje teatralne

poświęcone mojej sztuce. Szczerze się cieszył. I NIE powiedział, że to zbędne.

Artykuły w prasie pełne były życzliwych słów. Pisano o tym, że aktorka, do tej pory występująca w operze mydlanej, usamodzielniła się i odważyła na skok w głęboką wodę: „W pani Pfeffer tkwi coś więcej niż Anita Bach. Ta pełna temperamentu kobieta poddała prawdziwemu sprawdzianowi swój talent aktorski. Nawet zakonnice były obecne na przedstawieniu pani Pfeffer w ruinach zamku w Bad Hersfeld. Pani Pfeffer doprowadziła kilkusetosobową publiczność do łez i do śmiechu. A para starszków, siedzących pod wspólnym parasolem w pierwszym rzędzie, nie dała się wypłoszyć deszczowej pogodzie”. Tu zdjęcie starszków...

Zbierałam recenzje i wpinałam do wielkiego segregatora. Codziennie przychodziły też listy od widzów. Najpiękniejsze było to uczucie, że nareszcie sama coś wprawiłam w ruch, że sama coś zmieniałam. No, nie całkiem sama, przyznaję. Wiedziałam dobrze, że sukces swój zawdzięczam - przynajmniej częściowo - Gustawowi Grasso. Być może bez jego krytycznego osądu przewróciłoby mi się w głowie. Albo poleciałabym na łatwiznę, na łatwe efekty, grając pod publiczność. Ale Gustaw zwalczał bezlitośnie przejawy tego stylu. Żadnej tandety! Gustaw spadł mi z nieba!

No i w ten oto sposób dziś rano podjechaliśmy wspólnie pod studio. Jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem. Jakbyśmy codziennie tak podjeżdżali... Nawet nie zadaliśmy sobie trudu, by samochód zaparkować gdzieś w bocznej uliczce. Niby po co. Nie mieliśmy nic do ukrycia.

- Usiłowałam się dodzwonić do Gustawa w weekend! - sycał Justus. - Nie było go w domu.

- No i co z tego? - odsyknęłam. - A to niby dlaczego ma siedzieć w domu?!

Najchętniej bym powiedziała: „No i co z tego, dupku! Nie wiesz za dużo, bo mnie to doprowadza do szału. Kiepskim jesteś detektywem. A zazdrość to grób każdej przyjaźni. Sądziłam, że jesteś światowcem! Bywalcem! A więc weź się w garść i trzymaj się z dala od nas. Jak na eleganckiego mężczyznę przystało”.

- Po co do niego dzwoniłeś? Przecież nigdy nie dzwonisz do niego! - syczałam dalej.

- Chciałem go o coś zapytać. Chciałem się dowiedzieć, jak długo będziemy dziś pracować.

- Do czwartej, jak zwykle, gdy nie kręcimy w studio! Dlaczego pytasz?

- Bo chciałem pojechać z wami! Gdzieś występujesz, masz wieczór jednej aktorki, chciałbym to zobaczyć. Pojadę z tobą, może potrzeba ci kilku dobrych rad... W końcu pracuję dłużej w tym fachu niż ty i mam więcej doświadczenia zawodowego! - Tu powstrzymał się od tubalnego śmiechu.

Wszystko, tylko nie to! Dziękuję! Obejdzie się! To całkiem zbędna propozycja!

- Anito Bach, czy chcesz poślubić obecnego tu Franka Bornheimera, być mu wierna, szanować go i kochać, i pozostać z nim na dobre i na złe, aż was śmierć nie rozłączy? - Pastor zadawał mi decydujące pytanie.

Nie, nie mam ochoty, za nic, a już na pewno nie dziś!

- Tak! - odpowiedziałam może troszkę zbyt emfaticznie.

Pastor ucieszył się, rzadko kiedy bowiem odpowiedzi, jakie otrzymywał od młodożeńców, były tak wyraźne i głośne. No i ta ekspresja artystyczna!

- Franku Bomheimer, czy chcesz poślubić obecną tu Anitę Bach i być jej wierny? Być z nią na dobre i na złe?

Justus odpowiedział tubalnym głosem:

- Tak! - I dodał: - Oczywiście! Chętnie!

Aż dziw brał, że nie zakończył tego oświadczenia donośnym śmiechem. Kościół miał świetną akustykę. Taki śmiech zrobiłby wrażenie. Nie dodał również, że w zawieraniu związków małżeńskich jest dobry.

Pastor z Witterschlick zerkał zadowolony do brewiarza z modlitwami na tę okazję. Kamera filmowała w bliskim planie świadków, czyli Ulrikę, siostrę praktykanfkę, tę, która uśmiecha się tak nieszczerze, małżeństwo doktorostwo Merkenich-Miesmacherów - ona z kwaśną miną, on z pobłyskującymi koronami w zębach - oraz Gretel Zupf, która jak zwykle patrzyła przed siebie z miną osoby ważnej i niezastąpionej. Za nimi stała sio-

stra dyżurantka, czyli Berthilda, wytworna i skupiona. Dalej doktor Mechthilda Goch, anestezjolożka i altruistka, która zajmowała miejsce między naszą turecką koleżanką, doktor Merdał Gyllhyll i doktorem Christofem Gernhaberem, lekarzem, młodszym asystentem, zainfekowanym wirusem HIV, któremu zostało jeszcze tylko kilka tygodni życia. Gdzieś w tle stał nasz głupkowaty sanitariusz Adolf oraz doktor Jean Marie Wagner, ordynator, człowiek niesympatyczny, małego wzrostu, o byczym karku, znany z tego, że ciągle zdradza swoją żonę i kręci jakieś lewe interesy z zakładem pogrzebowym. Za nimi Lora Kosz-mama, cała w kolorze lila. Oraz doktor Neidhard Hammel, chirurg, pedant i ponurak. Obok Pia, ta z recepcji, kurza dupka. Za nimi nasza piechota.

Wymieniliśmy obrączki. Organy zaczęły uroczyście zawodzić. Popatrzyliśmy na siebie. Kamera filmowała nas w bliskim planie. Teraz nie wolno mrugnąć nawet powieką, nie mówiąc już o mięśniach twarzy. No, ale MY przecież jesteśmy zawodowcami! Tak, moja droga Charlotto! Widzisz, co z tego masz. Patrz prosto przed siebie, skromnie, zachowuj się naturalnie! Nagle przypomniał mi się Gustaw. Zapewne siedzi gdzieś w kącie na tym swoim stołku, a na ziemi leży scenariusz, zacytany jak zwykle. Zaraz jedziemy razem do Wiesbaden. Życie czasem jest piękne. O, gdybyście znali prawdę, uśmiechalibyście się jeszcze bardziej kwaśno niż teraz.

Miła sopranistka, z kokardą we włosach, śpiewała niczym słowik na galerii nad nawą. Przypominała mi kosa, który urządził koncert na płocie przy lasku w Eifel. Tego, któremu z dzióbka kapały krople deszczu. Jedno było jasne: przeszła mi ochota na pana Chwalipiętę. Za żadne pieniądze! Ochotę miałam wyłącznie na wojaże z Gustawem. W jego przyczepie kempingowej. Po całym kraju.

Sytuacja zaczęła się robić uciążliwa. No proszę, Charlotto! W zaistniałej sytuacji schowałam się za parawanem sporządzonym z najpaskudniejszych cech swojego charakteru. Wreszcie coś się działo w twoim życiu! Wreszcie przestała to być ta głupia klinika, złota kokarda we włosach, trzy przeżute zdanka, kosz-marne rozmówki w stołówce, dwieście zdjęć Adrianka, bia-

ły, sztywny od krochmalu fartuch, komentarze: „Ruszajcie się z życiem, przecież to wszystko jest zbędne!” Już się nie nudzisz! Wreszcie nic nie jest zbędne! Wszystko stało się fascynujące! Już nie pada deszcz, a na obiad nie dają ryby, a ty nie chcesz innych rodziców! Hurra! I spotkało cię to dobrze po trzydziestce! A gdyby każdy chciał tak żyć? Czy mu wolno?! Wolno! Tak jest! I nie ma za to reprimendy! Amen.

Wyszliśmy z kościoła. Za nami podążali wszyscy aktorzy grający w serialu. Wszyscy w dobrym humorze, uśmiechnięci. Jak gdyby domyślali się niecnym myśli krążących po ustrojonej w welon, ślicznej główce panny młodej. Zemsta laleczki, część osiemdziesiąta siódma.

Gdy kamera wreszcie odjechała, by sfilmować orszak weselny, Justus ucieszył się i powiedział:

- Chyba się udało! Zaraz możemy jechać! Wacuś myśli tylko o tym jednym!

O, ty Justusie niedobry! *What a mani*

Justus, stojąc na stopniach prowadzących do kościoła, roześmiał się głośno.

- Dziś nie! - powiedziałam rażnym głosem, zwracając się do narzeczonego i jego najlepszego przyjaciela. - Dziś mam okazję, by się z kimś zabrać! Może kiedy indziej!

He, he, he! Laleczka czarownica odtńczyła dziki, szalony taniec wokół ogniska.

Tak, szanowny panie, prześwietny aktorze słynnego Burgtheater! Bez obrazy! Być może wyciągnie pan z tego wnioski i czegoś się przy tym nauczy!

Jestem dobry w wyciąganiu wniosków i uczeniu się na błędach!

Gdy chwilę później ruszaliśmy samochodem Gustawa w kierunku Wiesbaden, Justus w wiatrówce koloru kupki niemowlaka stał za słupem latarnianym.

Jestem szczególnie dobry w dyskretnym śledzeniu!

- Jak ten facet mnie denerwuje! - Gustaw był w złym humorze. - Nawet nie umiem ci powiedzieć, jak on mi działa na nerwy.

- W takim razie nie mów! - odpowiedziałam. Otworzyłam skrytkę i przypaliłam mu papierosa.

Do Wiesbaden przybyliśmy, gdy dzwony były na szóstą. Dziś występowałam w Galerii Teatralnej. O dziewiątej. Mieliśmy jeszcze mnóstwo czasu. Agent organizujący mój występ nazywał się Rehlein i był bardzo czarującym panem. W hotelu „Pod Niedźwiedziem” zostawił dla mnie czekoladki, kwiaty oraz liścik na złotym papierze, w którym napisał, że pragnie mnie zaprosić przed przedstawieniem na kolację, o ile moja talia osy - znana jemu i jego małżonce z wywiadów telewizyjnych - zezwala na takie wybryki. No i toaleta jest też, gdyby w razie czego zaistniała potrzeba skorzystania z niej! Ludzie, ludziska, jaki czarujący facet!

- Ale czaruś z niego! - powiedziałam do Gustawa, który usiadł na brzegu mojego łóżka. - Widzisz, ucz się od takich jak on! Talia osy! On wie, jak rozmawiać z paniami w wieku balzakowskim, takimi przed klimakterium, które wiecznie walczą z wałeczkami tłuszczu.

- Gadułko, ty gadułko! O czym ty mówisz? Ty i klimakterium?! Gdzie twoje wałeczki tłuszczu?

- Nie powiem! A masz system odniesienia?

- Nie, nie mam, od dawna jestem sam.

- W takim razie nie możesz zabierać głosu w tej sprawie.

- Wcale nie chcę zabierać głosu. - Gustaw nadal siedział na brzegu łóżka. Po chwili wyciągnął słodycze.

- Zjesz coś?

- Nie, od tego się tyje.

- Gadułko, ty gadułko! - mówiąc to, wsadził sobie do ust dużego misia czekoladowego. Miał uduchowiony wyraz twarzy. Wyglądał jak mały chłopiec. Nagle zapragnęłam zobaczyć jego zdjęcia z okresu dzieciństwa. Takie czarno-białe fotografie, późółkłe i pogniecione... A oglądając je, zadawać pytania: Kim jest ta kobieta? To twoja matka? A to ty tuż po wojnie? Gdzie mieszkaliście wtedy? Kogo kochałeś? Oprócz mnie, oczywiście!

Najchętniej pogłaskałabym go po główce, ale nie starczało mi odwagi. To co nas łączyło, było dla mnie zbyt ważne. Nie odważyłabym się na taki gest.

- Pójdiesz ze mną? Na spotkanie z uroczym dyrektorem teatru? Możesz dużo się od niego nauczyć!

- Nie. Bo znów zobaczy mnie niejaki Gernot i wypaple temu twojemu Justusowi.

- Nic mi o tym nie wiadomo, by Gernot miał syna również w Wiesbaden - odpowiedziałam wesoło.

- Taki jak on ma wszędzie synów! - Gustaw ęsał się.

Gustaw lubił mieć rację. Ostatnie słowo również. Zawsze i wszędzie był tym, który miał rację. Wiedziałam o tym doskonale, dlatego dałam sobie spokój z dyskusją na ten temat.

- Czy to znaczy, że zaczekasz w hotelu? Cały wieczór przesiadysz tutaj?

- Na przedstawienie przyjdę! Ale dopiero na dziewiątą, ani minuty wcześniej. Zarezerwuj dla mnie miejsce w czwartym rzędzie.

- Oczywiście.

- Czy nie miałabyś nic przeciw temu, bym - tak na próbę - poleżał w twoim łóżku? Nie posprzątałem w przyczepie.

Tak rzeczywiście było. Bo zdążyłam się już na dobre rozgościć w przyczepie. Chomikowałam w niej większe ilości suchej bielizny, ciepłych skarpet, buty na zmianę, kosmetyki do makijażu, termofor, elektryczny pled, jabłka i duże opakowanie kruchych ciasteczek. W ten sposób realizowałam swoje credo: „Nigdy więcej nie chcę być głodna!” Jak on, biedak, miał się ułożyć do spania między moimi bambetlami?

- Nie! Oczywiście, że nic nie mam przeciw temu! Od pięciu nocy wozisz przemęczoną diwę po Niemczech. Musisz być zmęczony! Wyśpij się tutaj! I nie musisz wcale przychodzić na przedstawienie! Dam sobie radę bez ciebie! Będę grała tak, jak gdybyś był na sali. Słowo honoru.

- Przyjdę! Na pewno. Czy sądzisz, że jestem tutaj dla zabawy? - odparł.

Mrukliwy niedźwiedź uderzył kilkakrotnie łapą w poduszkę. Ale tak jakoś bez przekonania. Na poduszce wyhaftowany był znak hotelu: kudłaty niedźwiedź. Ta scena skojarzyła mi się z Lorą Kosz-marną. Ona też waliła ręką w poduszki.

- Połóż się na trochę, ale wygodnie! - powiedziałam. - I śpij słodko! Zobaczymy się po przedstawieniu.

Na dole czekał na mnie uroczy dyrektor teatru, pan Rehlein.

Siedział w pluszowym fotelu, a przed sobą trzymał parasol. Gdy mnie ujrzał, szybko wstał i zapiął marynarkę.

To są faceci - pomyślałam, podając mu dłoń. Pochylił się nad nią markując pocałunek. Nawet nie musiał się mocno nachylać.

- Pani Pfeffer! W rzeczywistości jest pani jeszcze ładniejsza niż na ekranie!

O, mój słodki! Uważaj, bo cię ugryzę w ucho. Ty słodka świnko marcepanowa! Im dłużej przebywałam z Gustawem, tym bardziej spragniona byłam komplementów. Niczym kania dżdżu. Chociaż zdziwiłabym się bardzo, gdyby Gustaw nagle postął w moją stronę tekst: „Szanowna pani wygląda dziś uroczonie!” Byłabym bardzo zawiedziona.

Z panem Rehleinem sprawy miały się całkiem inaczej. Tu ten sposób zaistnienia był wręcz na miejscu.

Pan Rehlein rozpiął parasol i zaferował mi swe ramię. Pragnął mnie poprowadzić pod rękę.

- Czy dojechała pani bez problemów?

Nie, nadal jeżdżę z planem miasta na kolanach, klnąc niczym szewc, kochaniu!ki!

- Oczywiście! Dziękuję za zainteresowanie! - odpowiedziałam, grając światową damę.

Pan Rehlein był o dwie głowy ode mnie niższy i szło się nam razem nieszczególnie. Każde z nas truchtało swoim tempem. Wyciągnął w górę rękę z parasolem. Na ile tylko mógł. Musiałam bardzo uważać, by mi nie wyjął oka drutem parasola. Byłam skromna i naturalna.

- Czy miała pani dobrą podróż? - zapytał mój kawaler.

- Bardzo dobrą! - odpowiedziałam i uśmiechnęłam się radośnie.

Co cię obchodzi, mój drogi, że siedziałam boso w zdezelowanej przyczepie kempingowej Gustawa i opatulona kocem z frędzlami - słuchając Schubertowskiej *Podróży zimowej* - zjadałam się fistaszkami. Bardzo stare nagranie, kaseta mocno zniszczona i wycieraczki piszczące monotonna.

Gustaw woził ze sobą prawdziwe rarytasy. Trzymał je w skrytce. Na fortepianie grała Friedegott Niederbruchbuden-

hausen. Bas też był świetnie obsadzony: Hermann Tischbein-Fischmaul. Prawdziwa gratka dla koneserów. W czasie podróży w zasadzie nie rozmawialiśmy. Po co? Wszystko zbędne. Muzykując, Hermann i Friedegott mówili za nas wszystko, co było do powiedzenia.

Teraz jednak przebywałam w towarzystwie pana Rehleina. Jakże inny repertuar! Po prostu odmienny!

- Czy możemy uprowadzić panią do francuskiej restauracji? Pozwoliliśmy sobie zamówić stolik na dziewiętnastą, licząc na pani zgodę. Kuchnię mają tam bardzo lekką, no i świetne wina!

- Świetne wina, znakomicie! - odpowiedziałam radośnie. - Przy takiej pogodzie!

(Zawsze pada deszcz, codziennie jest ryba na obiad, nikt się ze mną nie bawi, a ja zawsze się nudzę!)

- A kto idzie z nami?

- Moja małżonka, wszyscy nasi współpracownicy i współpracownicy, no i mała ekipa filmowa, jeśli nie ma pani nic przeciw temu. Także trzech panów z tygodnika „Der Spiegel”. To wszystko zorganizował pani impresario. Cieszymy się, że jest pani naszym gościem! Czy zadowolona jest pani z hotelu?

- No jasne! - odparłam. - Wszystko w porządku. Na poduszce leży niedźwiedź i się nudzi!

- Słucham? Nie rozumiem!

- Czekoladowy niedźwiedź w łóżku!

Charlotto! Uspokój się! Bez tych dwuznaczości!

- Bilety są już od dwóch tygodni wyprzedane. Moglibyśmy sprzedać drugie pięćset!

Zatrzymałam się. Pan Rehlein musiał się cofnąć, by móc mi nadal towarzyszyć. Wciąż trzymał parasol nad moimi lokami w stylu Anity Bach, a ja musiałam uważać, by drut parasola, tym razem obciekający deszczem, nie wbił mi się w któreś oko.

- Czy na wszystko zyskaliśmy pani zgodę?

- Czy dobrze usłyszałam? Powiedział pan „Der Spiegel”!

- Tak, „Der Spiegel”!

- Czy tak nazywa się knajpa, do której idziemy?

- Ależ skąd! „Der Spiegel”! Tygodnik! Na pewno pani zna! Ukazuje się w poniedziałki!

- A ci filmowcy? Z drugiego programu telewizji? - Kpiłam sobie na całego.

- Tak jest! Oczywiście. Przecież to tutaj, w Wiesbaden, jest siedziba stacji! Rozumie się samo przez się!

- Tak! Rozumie się samo przez się! - odparłam w popłochu.

Drugi program telewizji! No i „Der Spiegel”! Z powodu mojego występu! Sąsiadeczko, pani buteleccka! No tak, oczywiście! Przecież Niedrich mnie uprzedził.

Nie brałam jego słów na serio, co okazało się błędem. Tę starą, obrzydliwą i ropiejącą krostę należało brać poważnie! A więc miałam „Spiegla” na karku! No i drugi program telewizji. To już nie była stacja typu Cztery Minus, czy jakiś tygodnik w rodzaju „Świat w Złotych Odcieniach”. Z wywiadem z Lorą Kosz-marną na przedostatniej stronie. O tym, jak dorobiła się następnych trzech kilogramów i dlaczego jej jamnik jest uczulony na spray do włosów.

Należało natychmiast wrócić do hotelu, pobiec do Gustawa i obudzić go, wołając: „Hej, wstawaj, panika na Titanicu!” Diwa jest przerażona! Potrzebne są posiłki. Widzę ścianę, mur nie do pokonania, nie poradzę sobie, mam nieodpowiednie buty! Jesteś mi potrzebny, twój termos, twoje pajdy chleba z pasztetową, twoja obecność i twoje ciepło! Twoja odwaga! Przytrzymaj mnie za rączkę! Drugi program telewizji! No i „Der Spiegel”! Wujku Gustawie, jestem taka bezradna!

Ale Gustaw pewnie właśnie zasnął. Po raz pierwszy w tym tygodniu. I nie wolno go budzić. Dziewczyno, musisz dać sobie radę sama!

Pan Rehlein dreptał obok mnie, żądny wrażeń. Wreszcie dotarliśmy do lokalu.

„Chez Alfred”. *Entree.*

Pan Rehlein otworzył grzecznie drzwi i puścił mnie przodem.

Czekał na mnie już starszy kelner, wyfraczony, a jakże! Odebrał mój żakiet i powiesił w przeszklonej szafie ściennej.

- Czy podać pani aperitif?

- Tak, poproszę!

Zespół kręcący reportaż dla telewizji już czekał. Reflektory ustawione. Małżonka pana dyrektora, współpracownicy i współ-

pracownicy siedzieli na krzeselkach i wypatrywali nas w radosnym napięciu.

- Pani Pfeffer, moja żona, moi współpracownicy i współpracownicy!

- Tak, już wiem, miło mi! - Obląłam się potem.

- Może zrobimy ujęcie, jak pani wchodzi do lokalu? - zapytał jeden z filmowców.

- Oczywiście, proszę bardzo! - odparłam.

Oddałam kelnerowi kieliszek z aperitifem, on podał mój żakiet. Pan Rehlein i ja wyszliśmy ponownie na ulicę, gdzie lało jak z cebra.

Boże - pomyślałam. - Ściana, mur, ani rusz dalej, mam nieodpowiednie buty...

- Wszystko w porządku? - Pan Rehlein pragnął być uprzejmy.

- Oczywiście! - odpowiedziałam z prawdziwą gorliwością.

O Gustawie, dlaczego jesteś teraz w łóżku, a nie przy mnie? Gdybyś siedział gdzieś tutaj w kąciku, powiedziałbyś przynajmniej, że to wszystko jest całkiem zbędne.

Małżonka zastukała w okno. Pan Rehlein wbiegł do restauracji. Ja stałam w strumieniach deszczu i dzwoniłam zębami.

- Mamy wejść. - Pan Rehlein wrócił.

- A więc wchodzimy! - Uśmiechnęłam się, gotowa do walki z żywiołem.

Starszy kelner podbiegł do mnie, wziął żakiet, powiesił w przeszklonej szafie. Teraz żakiet był już bardzo mokry. Wyrywałam z jego ręki mój kieliszek i przymrużyłam powieki, bo światło reflektorów mnie oślepiało. Podążyłam w kierunku stolika.

- Moja żona, moi współpracownicy, moje współpracownicy! - Pan Rehlein dokonał ponownie aktu prezentacji.

- Miło mi - odparłam. - Bardzo mi miło, naprawdę.

- Bardzo się cieszymy z pani wizyty! - Pani Rehlein była nad wyraz serdeczna. Długo i energicznie ścisnęła moją dłoń.

- Ja też się bardzo cieszę - zapewniałam.

Usiedliśmy, to znaczy małżonka dyrektora i ja, a ona nadal potrzasała moją dłoń.

- Co zamawiamy dla pani?
- Cokolwiek! - Jej pytanie zirykowało mnie troszkę.
- Stop! Pani musi powiedzieć, co pani chce zjeść! - Gość w skórzanej kurtce wyjrzał zza reflektora.

Starszy kelner podbiegł i podetknął mi pod nos jadłospis. Nazwy wszystkich potraw, jakie wymieniono w karcie, wykaligrafowane zresztą odręcznie w bardzo wymyślny sposób, podano w języku francuskim. Nie podano natomiast cen potraw.

- Drugie od góry! - powiedziałam.
- Stop! Chwileczkę, to nakręcimy!
- No, więc jak? Mogę teraz zamawiać? Drugie od góry!
- Stop! Pani Pfeffer ma jadłospis na wysokości twarzy.

Tę twórczą przerwę wykorzystałam, by odcyfrować francuską nazwę potrawy, którą zamówiłam.

- *Pomm de pan!* - Odezwałam się uprzejmie do kamery. - *An legim frise*, w kremie krewetkowym *de mer*. - Brzmiało to nieźle. Oddałam kelnerowi jadłospis.

Następne pytanie dotyczyło trunków.

- Mam ochotę na dobre, smaczne wino! - odparłam grzecznie.

Kelner chrząknął. Dobrego, smacznego winka naturalnie tutaj nie ma. To elegancki lokal. Pan Rehlein pospieszył mi na odsiecz.

- Opowiadałem pani Pfeffer o świetnych winach podawanych w „*Chez Alfred*”! Czy pozwoli pani, że polecę lekkie, wytrawne wino? - Pan Rehlein ratował sytuację.

Przypomniałam sobie, jak pan doktor Geldmacher popijał lekkie, wytrawne wino, siedząc na dachu naszego garażu i jak płukał nim gardło, siorbiąc straszliwie i narażając nasze bratki na niebezpieczeństwo.

- No jasne! - odparłam.

Pan Rehlein powiedział coś po francusku do kamery i zdecydowanym ruchem zamknął kartę win.

Po chwili przyniesiono wytrawne wino, a kamerzysta oświetlił mocno moje usta. Miałam nadzieję, że na moich policzkach nie pozostały okruszki ciastek lub ślady szminki na zębach ani

że nie zwisa mi z nosa - nie daj Boże! - lekka, wytrawna kropelka kataru czy deszczu.

Kochani, nie uwierzycie mi, gdy to wszystko opowiem wam w naszym klubie. Ale członkowie klubu, czyli zespołu realizującego serial o małym szpitaliku, tego typu relacjami nie byli zainteresowani. Szkoda. Moje opowieści byłyby ciekawsze niż wywody pani Merkenich-Miesmacher. Choć tak naprawdę, nie miałam najmniejszej ochoty ekscytować kolegów własnymi przeżyciami. Teraz kto inny słuchał tego, co miałam do powiedzenia. Tych słuchaczy było mnóstwo. I robili to dobrowolnie. I w dodatku płacono mi za to!

A więc milcz, Charlotta, gdy się pojawisz w *Naszym małym szpitaliku* Morda w kubeł! Patrz zawsze przed siebie, trzymaj się prosto i zachowuj się naturalnie! To dodaje wdzięku!

Piliśmy więc to szlachetne, cokolwiek kwaskowate wino, które podano w wielkich brzuchatych pucharach. Po chwili czterech kelnerów, utrzymując równy rytm, podało cztery wielkie srebrne półmiski z monstrualnymi pokrywami w kształcie półkuli. Podnieśli te pokrywy, a na talerzach dostrzegliśmy mikroskopijne porcyjki czegoś, co rzeczywiście bardzo apetycznie pachniało. Zrozumiałam. Tak, to jest ta mała przekąska przed przedstawieniem. Filmowcy nie przestawali nas filmować, ja gaworzyłam z mamuškami i myślałam o Gustawowych pajdach chleba z pasztetową, nieustannie wycierając sobie kąciki ust adamaszkową serwetą, uśmiechając się mile do wszystkich i mając cały czas nadzieję, że nie będę musiała wyjmować z ust jakichś ości lub łusek.

Niestety, stało się. Dość szybko się wstawiłam. W trosce o poziom przedstawienia, zamówiłam butelkę wody. Obsłizgły kelner podał nijaką butelkę wody bez gazu, która wprawdzie miała francuską nazwę, ale swoim smakiem przypominała, niestety, solankę, w której moczył nogi dobroduszny dziadek, tak dbający o swoje paznokcie w przebieralni basenu. Nie pozostawało nic innego, jak rozcieńczyć tą wodą wino. Dziewczyno, tego nie się nie robi! Pan Rehlein, dobra dusza, był zbulwersowany.

- Rozcieńcza dobrą wodę kiepskim winem! - zażartował, a wszyscy wybuchnęli śmiechem. Wysłałam na kogoś z nizin

społecznych, na kogoś w rodzaju robota. Zasłużyłam na reprimendę!

Zawstydziłam się odrobinę. Pan Rehlein wydawał mi się coraz bardziej miły. Byłam już tak bardzo wstawiona, że redaktorka „Spiegla” zaproponowała, że przyjdzie przeprowadzić ze mną wywiad jutro rano w pokoju hotelowym. Sugerowała, że nikt nam nie będzie wówczas przeszkadzał. Natychmiast zaakceptowałam takie rozwiązanie.

- Niech pani przyjdzie jutro, napijemy się razem czegoś! - Pomachałam jej wesoło ręką, gdy pan Rehlein wyprowadzał mnie z lokalu, trzymając mocno pod rękę.

Pani Rehlein dyskretnie uiściła należność za kolację, a filmowcy z telewizji zebrali swe manatki, by już w teatrze kontynuować filmowanie pijanej diwy. Wszystko, co się działo wokół mnie, odpowiadało mi bardzo. Jak oni zabiegali o moje względy! Ile sobie zadawali trudu! I jaki uroczy jest ten świat skąpany w kroplach deszczu! Taki różowy, miękki jak puszek!

Cieszyłam się na dzisiejszy wieczór. Po pierwsze, cieszyłam się, że zagram swój monodram. Po drugie cieszyłam się - i to w bliżej nie sprecyzowany sposób, jak dziecko, tak na różowo i wiosennie - że gdy skończy się przedstawienie, będę sam na sam z Gustawem. Cieszyłam się na termos z herbatą i kanapki z wiejską pasztetową, na koc z frędzlami i starą kasetę z klasyczną muzyką. No i że wreszcie, ewentualnie, będę mogła mu dziś powiedzieć, iż poradziłam sobie ze sztuką całkiem, całkiem... Jak na początek, nieźle!

W garderobie czekały na mnie bukiety, szlafrok, czekoladki, kartki z życzeniami i wielki pluszowy miś od małżeństwa Rehleinów.

Tego nie dało się porównać z całą więzienną w Brunsbuettel, gdzie wciąż padało, a ja się straszliwie nudziłam, gdzie nie dostałam nawet kawałka ryby, no i gdzie chciałam mieć innych rodziców. W oczach stanęły mi łzy. Tournée to cudowna rzecz. Jaś Wędrowniczek zawołał, że chce więcej takich doznań, a staruszek księżyc ma wciąż świecić jasno! I staruszek księżyc świecił jasno! Wszystkie bilety zostały wyprzedane. Teatr był wypełniony do ostatniego miejsca. Z okna garderoby widziałam,

jak tłumy wałą na przedstawienie. Uszczypnęłam się w ramię. A może to wszystko tylko dwoi i troi mi się w oczach? Czy rzeczywiście przyszło aż tylu widzów?! Wszyscy na mój monodram?! Na moją sztukę?! Pan Niedrich miał rację. Wszłam w nie zajętą przez nikogo lukę. Znalazłam temat, którym nikt się jeszcze nie zajął. Na rynku mentalnopsychicznym istniało zapotrzebowanie na ten sposób myślenia i odczuwania. Tego sobie do tej pory nie uświadamiałam. Sztukę napisałam dla SIEBIE! A Gustaw ją oszlifował. A teraz interes już się rozkręcił. Chodził jak naoliwiony. Gustawie, gdzie jesteś, przybądź! No, gdzie jesteś, stary? Bez ciebie nie zacznę. Raz po raz podchodziłam do okna, by sprawdzić, czy jest. Kiedyż wreszcie ujrę go zbliżającego się ciężkim krokiem, w nieodzownym berecie na głowie? Niestety, nie było go widać.

Pan Rehlein, cały złany potem, wbiegł drobnym kroczeniem do garderoby, by zapytać, czy łaskawa pani jest gotowa. Sala jest tak pełna, że aż pęka w szwach. Takiego oblężenia nie przeżył od wieczoru, kiedy występował tu słynny Gottlieb Gruenkern. Łaskawa pani była gotowa.

Wysłałam na scenę i zagrałam. Zagrałam z największą satysfakcją. Czy to sprawiła dobrze rozcieńczona woda o smaku wymoczonych nóg, czy też moje przeczucie, które na pewno mnie nie zawiodło, że gdzieś w tylnym rzędzie siedzi mój ukochany, stary, złośliwy i niedźwiedziowaty Gustaw!

A może pewność, że gdzieś z tyłu filmują mnie ludzie z drugiego programu telewizji i że oglądać mnie będzie nie tylko te czterysta osób dziś wieczór, że w jutrzejszym magazynie telewizyjnym *Wczoraj-dziś-jutro* obejrzy mnie może czterysta tysięcy widzów? Nie, co ja mówię?! Jakie czterysta tysięcy! Kilka MILIONÓW widzów! Kilka milionów wysłucha moich płomiennych monologów! MOICH własnych! A nie letniej, wielokrotnie już przeżutej i nijakiej paplaniny Anity Bach, tekstów na poziomie kanału Cztery Minus!

Nie wiem. Wiedziałam tylko, że jestem bez reszty szczęśliwa. Któż potrafi dziś być szczęśliwy? To pytanie zadałam sobie, patrząc w oślepiające światła reflektorów. Grałam i dawałam z siebie wszystko.

„Hotel pod Niedźwiedziem”. Było ciemno, cicho i spokojnie. Diwa się zataczała, wspierając się na pomocnym ramieniu pana Rehleina.

- Dzięki, dam sobie sama radę.

Klucz do hotelu był złośliwy i za nic nie chciał trafić do dziurki. Zachowywał się naprawdę nie na miejscu, stukał i hałasował, uderzając o drzwi z dębiny. Wreszcie mój uroczy kawaler pomógł mi, znajdując bez trudu właściwe miejsce w drzwiach.

- Ale ciężko coś znaleźć, gdy tak ciemno! Da radę otworzyć?

No jasne, człowieku! Jestem trzeźwa jak biała. W każdym razie prawie trzeźwa.

- Dzięki! Niech pan nie robi sobie żadnego kłopotu!

- Czy pani pamięta numer pokoju?

- Jest przecież na kluczu!

Pan Rehlein zapalił zapalniczkę i odczytał:

- Trzynaście. Pokój numer trzynaście. Zapamięta pani?

- Co pan mówi! Panie dyrektorku, słodki, uroczy dyrektorku, kochaniutki, miłutki dyrektorku! - Nachyliłam się i pocałowałam go w dyrektorską gębusię, pachnącą winem i emanującą ochotą do działania.

Boże-drogi-żeby-tylko-nie-upuścić-teraz-klucza! - modliłam się, by znowu jakiś nieszczęśnik płci męskiej nie wpadł w moje sidła. Moment był bardzo niebezpieczny, więc z całych sił przyciskałam klucz do piersi. Trzymałam go mocno. Tylko nie upuścić! Bo mamusia się rozgniewa!

Ale szczęśliwie klucz nie upadł. Pan Rehlein zapewnił mnie raz jeszcze, że wieczór był uroczy i że jutro zadzwoni, by zapytać o moje samopoczucie. Przekazałam pozdrowienia dla małżonki i współpracowników. Pan dyrektor podreptał posłusznie w kierunku domu. Jakiż uroczy człowiek!

Zataczając się - przyznaję, nieelegancko! - na korytarzu, szukałam włącznika, by zapalić światło i wpadłam do windy, która czekała na mnie z otwartą paszczą. W windzie popatrzyłam na siebie w lustrze. Łaskawa pani wyglądała dziś dość kiepsko.

Za dużo ciepławej wody? Co?! Dlaczego? Rany, Gustaw nie

przyszedł na przedstawienie. To było to. Zwaliło mnie z nóg. Skutecznie. Przecież to nic nie znaczy, tłumaczyłam sobie. Gustaw nienawidzi zbiegowisk, sądów i wszelakiego rodzaju kamer.

A może był i po prostu poszedł sobie. Eee... leży już sobie w swojej przyczepie kempingowej i pochrapuje głośno.

Przez korytarz, w którym zalatywało stęchlizną, szłam po omacku. Po chwili znalazłam drzwi z numerem trzynastym. Nie trafiłam do celu. Cierpliwie eksperymentowałam przez chwilkę. No, wreszcie! Klucz zachrobotał głośno i nieprzyjemnie. Przecież ja mam mocną głowę! No, jest! Udało się! Znalazłam dziurkę od klucza! W otwieraniu drzwi jestem dobra! W pokoju pachniało człowiekiem. Czyżby Gustaw?

Zaczęłam nasłuchiwać. Tak. Ta góra pod kołdrą - to Gustaw. Jak cudownie!

Spał słodko błogosławionym, głębokim snem niedźwiedzia. Opadłam miękko na brzeg łóżka i popatrzyłam na spokojnie śpiącą i chrapiącą górę poduszek.

Co teraz? Obudzić go? Hej, Gustawie! Wstawaj! Diwa jest w szczytowej formie. W ogóle nie jest zmęczona! Wszyscy bili brawa, wszystkim przedstawienie się bardzo podobało i wszyscy całowali diwę po rękach! Diwa chce teraz się bawić! Szaleć!

Gustaw spał. Nic nie robiło na nim wrażenia. Ani myślał wstawać, sumitować się i pytać łaskawą panią o zdrówko. Ani myślał z barku wyciągnąć szampana i nie robił żadnych niby-dowcipnych uwag na temat talii a la osa. Chrapał, po prostu, najzwyczajniej w świecie chrapał! Co za robol z niego! Siedziałam na brzegu łóżka i zastanawiałam się, co dalej.

Elegancka dama przeszukałaby kieszenie Gustawa, znalazłaby klucze do przyczepy kempingowej i na resztę nocy znikłaby dyskretnie na parkingu. Ale czy ja kiedykolwiek byłam elegancką damą? Nie! Nigdy nią nie byłam! I dlatego ta historia stała się tak interesująca. Zdjęłam więc swój wytworny kostium i szpilki, poszłam do łazienki, a potem, nie zastanawiając się długo, wślizgnęłam się pod kołdrę, pod którą spał już Gustaw. W końcu było to MOJE łóżko! I jeśli nawet dopadnie go myśl, że moje zachowanie jest niewłaściwe - zbędne! - to będzie mógł mi to jutro powiedzieć.

Cieplutki i mięciutki. Duży ładunek cielesnej przytulności. Wsłuchiwałam się w jego regularny oddech. Człowiek! Człowiek z krwi i kości. Śpi, a ja czuję się dobrze w jego obecności.

Nie mogłam zasnąć. Gonitwa myśli. Udane przedstawienie, aplauz na stojąco, kwiaty, płaszcz kąpielowy, pan Rehlein i jego uroczą małżonka. Równie uroczą jak jej mąż. Grupka filmowców, pani redaktor okularnica ze „Spiegla”. Obły kelner z letnią, zasoloną wodą mineralną, deszcz i przyczepa kempingowa. Wycieraczki. Podróż zimowa. Justus. Mój ślub z nim. Moje dzieci. Dziś rano jadłam z nimi śniadanie. I Ernstbert. Na pewno sprzedał już wszystkie nieruchomości w całej Koziej Wólce, a ja leżę w łóżku hotelowym w Wiesbaden. Z jakimś mężczyzną.

Dokąd to prowadzi? Spróbowałam spojrzeć na wszystko z dystansu.

Charlotte Pfeffer w swojej ukochanej podwójnej roli. Tutaj szpitalik, tam czarny i biały pieprz. W domu od czasu do czasu matka dwojga bliźniaków. I te czarodziejskie sztuczki! Gwoli rozrywki jakiś mężczyzna od czasu do czasu. Na ilu z nich rzuciłam urok?! Dziewczyno, czego ty właściwie chcesz? Zastanów się nad sensem życia! To, co robisz, jest zbęd-ne!

Leżałam wsparta na ramieniu Gustawa i się zastanawiałam. Co dalej?

Dopóty dzwon wodę nosi, dopóty się ucho nie urwie... Kiedyś i mnie dopadnie... Sprawiedliwości stanie się zadość! Zasłużyłam na reprimendę. Co pozostawię za sobą oprócz zgliszcz? Podążałam kilkoma drogami w różnych kierunkach. Rozbiegały się w tym chaosie. W budce kolejowej zabrakło dróżnika. Nikt nie przestawiał zwrotnic. Dawniej życie było nudne, ale uporządkowane. Wszystkie drogi szły w jednym, tym samym kierunku. Wszystko było na swoim miejscu i wszędzie panował ład. A dziś?

Nie było mnie w domu, Ernstberta też, Grcta wyjechała. Dryfowaliśmy w różnych kierunkach. Jak gdyby każde z nas czegoś szukało. Czego? Czy powrócę tak naprawdę do domu pewnego dnia? Czy wypłynę z tej brei? Czy wynurzę się z fal lejącej solanki, w której utknęłam? Czy wrócę do uporządkowanego, uregulowanego dnia powszedniego? A może to, co przeżywa-

lam, to tylko sen. Wytwór wybujałej fantazji! Magiczna realizacja spóźnionych młodzieńczych pragnień. Eksperyment, którego końca przewidzieć nie sposób. Dziewczyno zawróć! Ale jak?! - Rozsądek to lodowaty prysznic! - Przestań igrać z ogniem! Dość tego!

Po takim zimnym prysznicu wszystko ulega zmianie. Jeszcze tylko chwilkę. Kilka tygodni lub miesięcy. Jeszcze jedno lato. Jesienią lub zimą skończę z tym!

Gustaw odwrócił się. Jego ramię wylądowało na moich włosach. Ostrożnie je odsunęłam.

Bardzo długo nie mogłam zasnąć. Ten mały zielonooki czort, nie pozwalając mi zapaść w sen, usadowił się na kupce żaru. W łapskach dzierżył widły i łypał na mnie swym czarcim okiem. Słyszałam jego upiorny śmiech. A może to obłudny śmiech Ulriki? Nie, to raczej wymuszony śmiech Elwiry Merkenich. A teraz surowa mina Grety. Ironiczny uśmiech Berthildy, naszej siostry pełniącej nocne dyżury. Kpiący śmiech naszego młodszego asystenta - doktora Gernota Miesmachera. Błysk koron w uzębieniu, no i ta radość - co za radość! - z cudzego nieszczęścia. Gromki, donośny śmiech Justusa. Do wszystkich diabłów, dajcie mi zasnąć! Błagam!

W niebie będziesz się nudzić - podpowiadał czort. - Nikogo tam nie będziesz znała.

- Masz rację - mruknęłam, przejęta skruchą.

Marsz do piekła! Kto urok rzuca, praktyki magiczne uprawia, ten idzie do piekła. To dla niego odpowiednie miejsce. A na dodatek reprimenda!

Minęło kilka godzin. Za oknem hotelowego okna kos gwizdał swoją poranną pieśń.

- Kosie, ty cholery ptaku, zamknij dziób! - bełkotałam nieprzytomnie. - Właśnie zasnęłam.

Gustaw usiadł na łóżku. A może mi się to tylko śniło? A może mi się jedynie wydawało, że wsparty na ramieniu, przyglądał mi się, jak śpię? Tylko dlaczego nie byłam w stanie otworzyć oczu? Pragnęłam, by mnie wziął w ramiona. Ale nie, on tego nie uczynił.

Następnego ranka kac mnie męczył straszliwy. Już dawno nie czułam się tak kiepsko. Przypuszczam, że zaszkodziła mi ta letnia woda o smaku paznokci. Czułam się staro, byle jak, podle, słabo i w ogóle do niczego. Pierwszą rzeczą, którą spostrzegłam, była pusta poduszka obok mnie. Podziałało to na mnie bardzo przygnębiająco. Bez sił opadłam znów na łóżko. Diwa ma mi-grenę. Ani śladu po Gustawie. Tak przypuszczałam. Diabełek w widłami śmiał się chrapliwie.

Przynajmniej karteczkę mógł mi zostawić! - myślałam, szykując się na śniadanie. Musiałam nieźle wyglądać, gdy kłóciłam się ze sroką! Na pewno czarująco! Ten facet nie ma manier. Pan Rehlein zachowałby się bez zarzutu. Siedziałyby teraz w sali śniadaniowej, świeżo ogolony i pachnący, i czekając na mnie, zamówiłby jajka na miękko, a smarując bułeczkę masłem i konfiturą, zastanawiałby się, czy kawę piję z mlekiem czy bez.

WSZYSCY zaczarowani mężczyźni tak właśnie się zachowują. Ale nie Gustaw.

Była niedziela, nie spieszyłam się więc na kolejny odcinek *Naszego małego szpitalika*. Cały weekend mieliśmy dla siebie. Tylko dla siebie.

Gustawa oczywiście nigdzie nie było. Po prostu wybył. Jedno spojrzenie przez poźółkłe firanki upewniło mnie: na parkingu nie było jego starego gruchota, tej okropnej przyczepy kempingowej z piszczącymi wycieraczkami.

Na śniadanie zjadłam tylko kiwi i jabłko. Życie przestało mnie cieszyć. Żeby nie odjechać zbyt wcześnie i nie minąć się ewentualnie z Gustawem, poszłam popływać w hotelowym basenie. Odprężyłam się bardzo.

Akurat gdy postanowiłam, że jednak przepłynę dwa tysiące metrów - za karę, no i celem oczyszczenia moralnego - podszedł do mnie tutejszy kąpielowy. Na nogach miał klapki, w ręce telefon. Odnalazł mnie wściekle sapiącą pośród fal.

- Pani Pfeffer?
- Tak, to ja!
- Telefon do pani!

Gustaw. Nareszcie, najwyższa pora. W końcu nie spałam od dwóch i pół godziny. Nudziłam się bardzo.

Oznajmię mu, że diwa źle się czuje, bo, po pierwsze, nie pokazał się wczoraj na przedstawieniu, a po drugie, chrapał w nocy.

- Niech pan da! - Wyciągnęłam mokrą rękę i przycisnęłam słuchawkę do ucha.

- Pani Pfeffer?

O, to nie Gustaw. Głoś jakiejś kobiety.

- Byłyśmy umówione na jedenastą. Eckenfelder przy telefonie. - Sapałam bezradna do słuchawki. Eckenfelder? Nie znam! - „Der Spiegel”! Przypomina sobie pani?

- Z trudem!

- No więc, co z nami? Siedzę w holu i czekam na panią!

Byłam w bardzo kiepskim humorze, a jej słowa sprawiły, że mój nastrój pogorszył się jeszcze bardziej.

- Droga pani Eckenfelder! - powiedziałam. - Niech pani przyjdzie na basen, razem popływamy! No i wywiad się uda!

Pani Eckenfelder wyraziła swój żal z powodu braku kostiumu kąpielowego. Poradziłam jej, by go pożyczyła od kąpielowego. Bo ja właśnie weszłam do wody i nie jestem skłonna przerwać ćwiczeń tylko po to, by udzielić jakiegoś tam wywiadu dla „Spiegla”.

No, zobaczymy - pomyślałam, kontynuując pływanie. Dziennikarka przełknęła wszystko, i to natychmiast. Świadczyło to dobrze o mojej niesamowitej karierze. Dla Anity Bach dziennikarka „Spiegla” nigdy w życiu nie weszłaby do solankowej zupki i nigdy w życiu nie zabiegałaby o wywiad. Za żadne pieniądze! Prułam fale i myślałam o Gustawie. Po chwili ukazała się pani ze „Spiegla”. Zanurzyła się w wodzie. Popływałyśmy przez chwilę. Pani dziennikarka upięła włosy na czubku głowy, a okulary przypięła klamerkami. Nad tym wszystkim sterczał niebieski czepek kąpielowy. Zrobiło mi się jej żal.

Na pływalni przypominam wieloryba. Pruję fale i ani przez chwilę nie jestem damą. No i nie miewam ochoty na pogaduszki, bo na ogół jestem pod wodą. Skupiam się na liczeniu, ile rundek przepłynęłam i ile jeszcze mi zostało do końca. W pływaniu to ja jestem dobra!

Pani ze „Spiegla” wołała do mnie od czasu do czasu, chcąc

mi uświadomić, że w ten sposób to raczej nie porozmawiamy i czy nie mogłybyśmy na chwilę skorzystać z leżaków, jako że zamówiła już u kąpielowego cappuccino dla nas.

Nie miałam ochoty na leniuchowanie. Coraz bardziej byłam rozindyczona.

Dlaczego nie ma Gustawa? Dlaczego się nie odzywa? No dobrze, najpierw musi pewnie zjeść kilka pajd chleba z pasztetową, siedząc w tym swoim aucie, potem musi zapalić, a potem musi pojeździć trochę samochodem, by nie stracić kondycji. No, ale potem musi się zjawić! A może wsiąkł w jakimś kasynie gier? Czy mu wolno?! Nie, nie wolno! Mamuśka przecież nic pozwoliła! Cały czas wlepiąłem wzrok w zamknięte drzwi. Powinien wreszcie wejść tutaj w gumowych, nie rysujących kafeleków klapkach, popatrzeć, jak świetnie pływam delfinem, a potem krzyknąć na cały basen - tak by głos odbił się od wody - że pływając, wyglądam czarująco. Gdzie się podziewa ten nieokrzesany cham!? Przecież tak nie można! Najpierw nocuje u damy, a potem bez śladu znika.

Pan Rehlein tak by nie postąpił. Pan Rehlein wiedziałby, jak się zachować w takich okolicznościach. Pan Rehlein wiedziałby, co powiedzieć: „Łaskawa pani była urocza, krzycząc na srokę, a teraz wygląda pani olśniewająco, prując fale w basenie z wodą solankową. Olśniewająco, doprawdy olśniewająco! Nad wyraz uroczo!”

Pani ze „Spicgla” zaczęła się niepokoić. Jej samolot do Hamburga odlatywał o czwartej. Wyszłam w wody. No i co? Tylko sześćset metrów.

Zrobiło mi się niedobrze od nadmiaru wypitej wody mineralnej. Nie miałam apetytu na cappuccino. Za żadne pieniądze. Pani ze „Spiegla” przykucnęła na kanapce i popijała malutkimi łyżkami czarny wywar. Miała ze sobą magnetofon kasetowy i notes. Ułożone na ręczniku. Paznokcie u nóg polakierowane na perłowy róż. Przypomni mi się dziadek z kąpieliska solankowego i znowu zrobiło mi się niedobrze. Zadałam więc podstępne pytanie, czy nie miałyby ochoty na saunę.

- Proszę, dlaczego nie!

Reportarka była w każdym calu profesjonalistką. Żadna droga

nie była zbyt trudna, by przeprowadzić wywiad. I nie liczyły się żadne konwencje.

Gdy goła niczym święty turecki leżałam w saunie na polce, nadal dając się na cały świat, drzwi się otworzyły i do łaźni wkroczyła pani Eckenfelder. Miała ze sobą okulary, torebkę z makulatury na klamerki do włosów, notatnik, oraz pożyczony od kąpielowego kostium z twardymi miseczkami, w stylu: „Lora Kosz-marna raczy zamoczyć biust”. Mało seksowny kostium opinał jej dość krągłe biodra. Byłam pewna, że nago wyglądałaby o wiele lepiej. Goły łysoń, który siedział na najwyższej półce, zirytowany puścił do nas oko. Reporterka usiadła półdupkiem na swoim ręczniku i włączyła magnetofon.

- Pani Pfeffer - zaczęła rozmowę - kariera, jaką pani zrobiła błyskawicznie w tym miesiącu, to pierwsza kwestia, o której chciałam porozmawiać. Od pani udziału w operze mydlanej, której można dać - no, powiedzmy, cztery minus - do przedstawienia, które zajmuje pierwsze miejsce w rankingu wtajemniczonych koneserów. Jeden odważny krok! Niczym rakieta wystartowała pani w górę. Jak się to pani udało?

- Pomógł mi mój reżyser.

Patrzę na drzwi - i czekam na Gustawa! No, wejź! Szybko! Siadaj! Spoc się! I odpokutuj! No i na dodatek reprimenda!

Łysoń z górnej półki zerknął ku nam z zaciekawieniem. Z jego czoła spływała zupka. Jedna kropla złośliwie zwisała mu z czubka nosa i ani myślała spaść. Gdy spadła, pojawiała się następna. Po chwili u jego nóg zebrała się cała, dość pokaźna kałuża. Wydawało mi się, że już ma dosyć. Ale rozmowa zaciekawiła go. Chciał usłyszeć wszystko. W końcu takie wywiady nie odbywały się na co dzień w saunie hotelu „Pod Niedźwiedziem” w Wiesbaden.

- Pani reżyser? Czyżby ten, który reżyseruje serial *Nasz mały szpitaliki*

- O, niech pani to skasuje!

- Wkrótce pani monodram ukaże się nakładem wydawnictwa „Zajrzyj!” W twardej obwolucie! - torebka z odzysku mówiła do parującego mikrofonu. Magnetofon pracował dość opornie.

Że też musi pracować w temperaturze 95 stopni! I tak strasznie się przy tym nudzić!

Nie wiedziałam, że moja sztuka dla jednej aktorki ma się ukazać w wydawnictwie „Zajrzyj!”

- Ma się ukazać? W wydawnictwie „Zajrzyj!”? Kiedy?

- Nic pani o tym nie wie?

- Nie! - To typowe! Typowe dla Niedricha. Sprzedawał mnie bez zahamowań. Nie pytając o moje zdanie.

- Czy książka ma charakter autobiograficzny? - Pani Eckenfelder zadawała dodatkowe pytania, patrząc na mnie zza zapoconych szkieł. Mikrofon odłożyła, bo parzył. Teraz usiłowała coś zapisać w mętym świetle kaganków, choć opary były straszliwe.

Notatnik wygiął się pod wpływem wilgoci niczym plasterek żółtego sera w słońcu, a pocący się długopis nie chciał pisać w takich warunkach. Pani Spiegel pociała się wytwornie. Pot spływał jej strumieniami po twarzy. Obserwowałam ją z rozbawieniem. Wyglądało na to, że nigdy nie chodziła do sauny. Bo inaczej wiedziałaby, że wszelakie okulary, czepki, notatniki, magnetofony, kostiumy kąpielowe, kolczyki i długopisy powinna zostawić na zewnątrz. Z przyczyn czysto praktycznych.

- Autobiograficzny? - zapytałam obłudnie. - Jak pani na to wpadła?

- No - pani Spiegel sapała, a tętnica szyjna aż wibrowała pod naszyjnikiem, który parzył jej skórę. - To, co pani napisała, jest takie prawdziwe i bliskie rzeczywistości... czy w pani życiu rzeczywiście istnieje Ernstbert?

- Ależ skąd! - odparłam uprzejmie.

- Ale pani jest zamężna? - W jej głosie przebrzmiewała nadzieja.

Górna ławka zaskrzypiała. Zainteresowany przyjaciel z góry wychylił się, by lepiej słyszeć moją odpowiedź.

- No, oczywiście, a pani nie!?

- Jestem rozwiedziona! - zauważyła reporterka zza drżących miseczek kostiumu kąpielowego.

Wyraziłam swój płynący z głębi serca żal i zaproponowałam,

by zdjęta kostium, który jej tylko przeszkadza. Plastikowe mi-
seczki zaczęły już zmieniać zapach.

Pani Spiegel z wdzięcznością posłuchała mojej rady, zeszała
z ławki i oddaliła się.

- Proszę zamknąć drzwi! - zawołał za nią entuzjasta sauny,
bo reporterka zostawiła otwarte na oścież drzwi, by trochę prze-
wietrzyć budę.

- Ona jest nowa - wyjaśniłam. - Nie lubi sauny.

- To widać - dąsał się spocony kluch. - Czego ona od pani
chce?

- Wywiadu! - odparłam uprzejmie.

Kluch się rozpływał. Piasek w jego klepsydrze już dawno
się przesaczył. On jednak nie odchodził, jak gdyby jego nagi
tyłek przyrósł do ręcznika z wizerunkiem niedźwiedzia.

Pani Spiegel wróciła wkrótce, tym razem golotka, pominą-
wszy torebkę na głowie i notatnik. Zaparowane okulary ostrożnie
położyła na listewce obok paleniska. Następnie wyniosła mag-
netofon kasetowy, trzymając go koniuszkami palców. Miejmy
nadzieję, że nie wsadziła go pod prysznic z zimnej wody. Mag-
netofony nie przepadają za takimi pieszczotami.

- Drzwi!!! - entuzjasta sauny był już rozeźlony.

- Tak, już! - pani Spiegel zamknęła, acz niechętnie, drzwi,
usiadła i zaczęła wszystko od początku:

- Co pani myśli o wolności w małżeństwie?

- Jestem za! - odparłam uprzejmie i uśmiechnęłam się krzy-
wo, zadowolona sama z siebie.

Przyjaciel z górnej półki znów zmienił pozycję, bo deski
zatrzeszczały.

- I rzeczywiście ma pani dzieci?

- No jasne! Bliźniaki! Mają dwóch ojców!

W tym momencie przyjaciel z góry niemal spadł z półki.
Pani reporterka, siedząc na rąbku ręcznika, usiłowała zapisać tę
rewelację w swoim notatniku, który miał już ośle uszy. Długopis,
gorący niczym gotowana kiełbaska, odmówił posłuszeństwa.

- Niech pani chuchnie! - poradziłam i obdarzyłam ją ory-
ginalnym uśmiechem Ulriki, siostry praktykantki. Czyli odpo-
wiednio obłudnie.

- Ach, zapamięłam to i lak - skomentowała reporterka słabnym głosem.

Zapytałam, czy dobrze się czuje.

- Tak, wszystko w najlepszym porządku - odpowiedziała.

- Jak to dobrze, że nie przywiozła pani ze sobą aparatu fotograficznego! - pochwaliłam ją za rozagę. - I reflektora! Przyjaciół z górnej półki zakasłał.

- Zdjęcie zrobili wczoraj koledzy - szepnęła resztkami sił.

- W takim razie zagadnienie wolności w małżeństwie...

Podjęta wątek omdlewającym już głosem. - A więc pani popiera...

- Oczywiście! - odparłam. - A pani nie?

- A co pani mąż na to?

- Też chciałabym wiedzieć - odparłam. - Podsunęła mi pani pewną myśl... Zapytam, gdy tylko kiedyś go spotkam!

Przyjaciół z górnej ławki stoczył się z góry i niczym wystrzelony z procy wyleciał z sauny, ramieniem otwierając drzwi. Pani Spiegel rzuciła się za nim. Drzwi zatrzasnęły się same, głucho uderzając o futrynę. Na zewnątrz uruchomiono wszystkie krany z zimną wodą. Jednocześnie. Położyłam się spokojnie na ręczniku i przestawiłam klepsydrę. Pomyślałam, że to naprawdę ciekawe pytanie. Co na ten temat sądzi Ernstbert?

W Wormacji grałam kiepsko. Wszędzie wypatrywałam Gustawa. Przecież nic mógł tak z nagłą zniknąć! Nie pytając mnie o zdanie! Przecież tak się nie robi! Ale to było typowe dla niego! I to właśnie tak mnie w nim fascynowało. Po prostu zawsze wypadał z ram. Był nieobliczalny. W ogóle nie zamierzał się komukolwiek podobać. Akurat w Wormacji zjawił się na przedstawieniu Niedrich, ten stary satyr. Tego mi jeszcze brakowało! Zachował się jednak fair, bo przed przedstawieniem zjawił się w garderobie. Najpierw rzuciła mi się w oczy wielka brodawka o sinoniebieskim odcieniu na górnej wardze. Podał mi rękę dość protekcyjnym gestem, mówiąc, że zawsze miał nosa do dobrych sztuk, do aktualnie panującej mody w literaturze i do ludzi sukcesu. Również i tym razem intuicja go nie

zawiodła, tak że on i jego żona zafundowali sobie za prowizję od mojej sztuki prawdziwy, dość kosztowny urlop na Wyspach Kanaryjskich. Po czym rzucił mi na stół książkę. Na okładce tytuł *Czarny i biały pieprz*. I dalej: *Siedem żarliwych monologów kobiety o radosnym sercu*, Wydawnictwo „Zajrzyj!”, Frankfurt.

- A więc jednak pan to rzeczywiście wydał! - zdziwiłam się mocno. - Dlaczego nic mi pan o tym nie wspomniał?

- Małe niespodzianki wprowadzają trochę życia do nudnych interesów! - Pan Niedrich wykrzywił twarz w grymasie, który miał być uśmiechem. Jego wrzód lśnił, radując się z cudzego pecha. - Niech się pani cieszy, że trafiła na mnie, a nie na jakiegoś partacza z tej branży. Pani już odniosła sukces. Fakt dokonany. Teraz może pani tak często spędzać wakacje na Kanarach, jak się pani żywnie podoba. Ja też. No, czy to mało?!

Ostatkiem sił powstrzymałam się, by nie rzucić mu się w ramiona i zalewając się łzami wdzięczności, całować po rękach.

Pan Niedrich uściśnął mi dłoń, poprosił, żebym pozdrowiła swoją matkę i pana - jak mu tam - Grasso. Przełknęłam ślinę. Skąd te skojarzenia? Co on właściwie wiedział, ten cały Niedrich?! I kogo jeszcze znał?!

Potem usiadł niczym wielki pan protektor na widowni. Ja dawałam z siebie wszystko. Na próżno. Grałam kiepsko.

Ty ofiaro losu - pomyślałam sobie. - Kopa w tyłek! I jeszcze raz kopa! I jeszcze raz! Z rozbiegu! I na dodatek reprimenda!

Na szczęście pan Niedrich po przedstawieniu się zmył. Nie miałam ochoty na fety, rozmowy z obcymi mi ludźmi, rozmówki na bzdurne tematy i na głupie uśmiechy.

Wsiadłam do taksówki i kazałam się zawieźć na dworzec. Miałam pociąg, ostatni, osobowy, który zatrzymywał się na każdym przystanku.

Kobieta sukcesu siedziała ze swoim bestsellerem w ręce, sama w nocnym pociągu regionalnym, i tępym wzrokiem patrzyła w okno.

Gustawie, gdzie jesteś? Dlaczego wycofałeś się z mojego życia? Tak bez słowa? Bez znaku życia. Co ci zrobiłam? Moja sympatia do ciebie ciąży mi teraz! Żałuję, że cię spotkałam. Lepiej by było, gdyby to się nie wydarzyło. Jesteś jedynym

mężczyzną, z którym nie chciałam igrać. I nie igrałam. Naprawdę. A co ty zrobiłeś? Ty grasz ze mną. Po prostu mnie zczarowałeś! I uciekłeś. Bez słowa uciekłeś. To nie jest fair, ty stary, mrukliwy niedźwiedziu! Wszystko minie, marmur, żelazo i kamienie popękają, tylko to nie przeminie... Wróć więc do swojego kącika reżysera, do kasyna gry, wsiądź do rozklekotanej przyczepy i wyjedź dokąd chcesz, ale daj mi spokój, oszczędź mnie! Sam rozumiesz, dokąd to prowadzi. Nie jesteśmy tutaj dla zabawy. Po mojej twarzy spłynęło kilka niekontrolowanych łez.

To zbęd-ne! - pomyślałam, zanim głośno wytarłam nos. Ja nigdy nie ryczę. Nawet z powodu faceta. Za żadne pieniądze.

W poniedziałek rano, przed dziesiątą, przekroczyłam próg studia, w którym kręciliśmy *Nasz mały szpitalik*. Kolana mi drżały. Niech sobie nie myśli, że zaszczycę go choć jednym spojrzeniem. Choć jednym! Elwira Merkenich-Miesmacher siedziała w stołówce w gronie swoich wielbicielek. Gestykułując sztywną ręką oraz śmiejąc się sztucznie z własnych słów, pokazywała im kolejne dwieście zdjęć Adriana. Nie miałam ochoty ich oglądać. Za wcześnie na takie przeżycia. Poszłam prosto do garderoby.

- Dzień dobry państwu!

- Czego ty tu szukasz? - Lora Kosz-marna odstawiła swoją filiżankę ze świeżym śladem szminki.

- Co to znaczy, że ja tu czegoś szukam? Pracuję tutaj od siedmiu lat i nie sądzę, byśmy się już kiedyś spotkali! Jestem doktor Anita Bach!

- Masz dziś wolne!

- Naprawdę?!

Szukając ratunku spojrzałam na Bettinę, która skubała właśnie włosy Gretel Zupf. Bettina ściągnęła świeżo zmieniony plan zdjęć ze ściany i podetknęła mi go pod nos.

- Masz trzy dni wolnego. Potem jest Boże Ciało, a w piątek nie pracujemy. Odpocznij sobie przez tydzień!

- Czyja to dyspozycja?

- No czyja? Jak myślisz? - W głosie Lory przebrzmiewał cynizm. - Nasz pan i władca tak kazał! Mistrz nasz! Miał pewnie ku temu swoje powody!

Zamurowało mnie. Wzięłam zakiet i udałam się w kierunku drzwi.

- Jakoś to przeżyje! Pa, pa! Trzymajcie się zdrowo! - Nikt z obecnych mi nie odpowiedział. Czułam, że są nastawieni nieprzyjaźnie. Wszyscy milczeli za moimi plecami.

Pograżona w myślach schodziłam po schodach ku wyjściu. Koleżanki, które spotykałam po drodze, nie dostrzegały mnie. Nie istniałam. No cóż, wszystkie były pod urokiem Elwiry. Być może to bez znaczenia, że nikt nie raczył na mnie spojrzeć. Czułam chłód, jakim emanowały. Tego jeszcze nigdy nie znałam.

Co się stało? Czyżby pan Gernot Miesmacher znów mnie widział z Gustawem? I nie omieszkał wszystkim „po koleżeńsku” o tym opowiedzieć? Przy recepcji dla gości mignęło mi coś w kolorze kupki niemowlęcia. Stał tam Justus i uważnie studiował ogłoszenie dotyczące prac remontowych w okresie przerwy letniej. Gdy go mijałam, odwrócił się do mnie plecami. No jasne, mam u niego przefajdane!

Zniknęłam dyskretnie w łazience dla pań. Co dalej robić z tak miło rozpoczętym przedpołudniem? Może pojechać do domu? Dzieci poszły do szkoły, a Beniamin był zajęty pracami domowymi. Nagle miałam za dużo czasu. Pociąg do Karlsruhe odjeżdżał wprawdzie dopiero o drugiej, ale mogłam jechać wcześniej! No, ale co z tego? Będę się tam kręciła sama po mieście... Bez sensu. I bez przerwy będę myślała o naszym małym szpitaliku. Wolę to wyjaśnić od razu.

W toalecie dla pań przy umywalce stała właśnie pani doktor Mechthilda Goch, nasza anestezjolożka, osoba znana ze swojego miłosierdzia. Była miła i zawsze szczerą. Otwarta i uczciwa. Subtelny i prawy człowiek. Więc ucieszyłam się, że tutaj się na nią natknęłam. Na pewno od niej się dowiem, co się dzieje w firmie!

- Cześć! - powiedziałam, udając wesołość. - Właśnie się dowiedziałam, że mam tydzień wolnego!

- No tak! - pani doktor Mechthilda Goch dodała jeszcze: -
Fajnie ci!

Szukała czegoś w swojej torebce i udawała osobę bardzo zajętą.

- Mechthildo! Czy tutaj coś się wydarzyło, o czym wiedzieć
powinnam?

- Nic! A co się miało wydarzyć?

Mechthilda znalazła wreszcie szczotkę do włosów i zrobiła
z niej użytek.

A więc nic. Charlotta, masz halucynacje! Coś sobie uroiłaś!
Przecież czasem się zdarza, że ktoś ma kilka dni wolnego, bo
akurat nie jest potrzebny. Ciesz się! A Mechthilda jest jedną
z tych koleżanek, które nie są zawistne!

- Czy opowiadałam ci już o moim tournée!

- Nie, nie opowiadałaś!

Czyżby była obrażona? Nie zainteresowana? Zacisnęła wargi!
Czesała się energicznie. Oczywiście powinnam jej opowiedzieć
o wszystkim! W sposób naturalny, jasno i spontanicznie! Skąd
ma wiedzieć, co porabiam wieczorami! No więc, na co czekasz?
Mechthilda nic jest ani zawistna, ani obłudna. To na wskroś
dobry człowiek.

- Dziś występuję w Karlsruhe, a jutro w Heildbronn. Słuchaj,
odniosłam sukces, sztuka się podoba! W Wiesbaden była
ekipa z drugiego programu telewizji, no i redaktorka ze „Spie-
gla” też już rozmawiała ze mną!

- Wspaniale! - skomentowała pani doktor Goch.

Bredziłam dalej:

- Nie jestem zachwycona tym, że codziennie muszę wracać
do Kolonii... Brak mi snu. To duży stres, gdy noc spędza się
w pociągu. Ale śniadania jem z moimi synkami!

- Wspaniała matka z ciebie! - dodała pani doktor.

- Wstydziłabym się postępować inaczej.

Mechthilda nie miała dzieci. Nie chciała. *Nasz mały szpitalik*
i dzieci - to za wiele. Jej zdaniem nie dałoby się tego pogodzić
z własnym sumieniem.

- Słucham? - Pani doktor Goch nie odwróciła się. Patrzyła
skupiona w lustro i depilowała brwi. - Wynajmij sobie samo-

lot! - rzuciła wreszcie. Włożyła kosmetyki do torebki i spojrzała na mnie przelotnie. - Zarabiasz teraz wystarczająco dużo! - Wyszła z łazienki, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Powiało chłodem.

Gdy opuściłam łazienkę, Justusa nie było już przy recepcji. Ze spuszczoną głową ruszyłam w kierunku dworca.

Coś tutaj straszliwie śmierdziało. Ale co?

Gdy stałam przy kasie, by kupić bilet na pociąg, za słupem mignęła mi kurteczka w kolorze kupki niemowlaka. Nie popatrzyłam w tamtym kierunku, czułam się podłe.

W Karlsruhe teatr był nabity. Zachwyceni studenci stukali w pulpity ławek. Nikt z nich nie oglądał seriali typu *Nas: mały szpitalik*. Wszyscy z pokaźnym ilorazem inteligencji.

Przenocowałam w zapyziałym hoteliku na trzecim piętrze, gdzie zatrzymywali się również komiwojażerowie, którzy, siedząc na łóżku w bieliźnie i paląc papierosa za papierosem, oglądali - za ekstraopłatą - filmy wideo, masturbując się przy tym.

Chciało mi się wyc. Nudziłam się straszliwie. Zasłużyłam na reprimendę.

Cały czas zastanawiałam się, co znaczyło zachowanie doktor Goch i Justusa. dlaczego koleżanki w garderobie miały takie kwaśne miny i dlaczego Gustaw znikł bez śladu? Skąd tyle wrogości ze strony osób, wśród których do tej pory czułam się znośnie i którzy dotąd zachowywali się dość przyjaźnie?

A zaczęło się tak niewinnie. Jeden z naszych starszych kolegów, którego nikt z nas nie znał bliżej, odchodził na emeryturę i zaprosił nas z tej okazji na kieliszek szampana. Poszliśmy wszyscy na to pożegnanie. Staliśmy sobie z kieliszkami w rękach w foyer i słuchaliśmy mowy redaktora naczelnego. Nagle ktoś mnie szturchnął w plecy i popchnął do przodu. Szampan z kieliszka wylał się.

- Skoro jesteś takim obdartusem, to niech cię wszyscy obejrzą!

Ulrika, gruba uczennica fachu pielęgniarstwa, ta w włosami jak u konia, w jakimś koszmarnym ciuchu z wysyłkowego domu towarowego, rozmiar pięćdziesiąt dwa, uśmiechała się nie-

szczerze i podstępnie. Wydawało mi się jednak, że jest to jeden z jej mniej udanych żartów, więc szybko się wycofałam, ustawiając się gdzieś pod ścianą. Ulrika była dwie głowy mniejsza ode mnie, grubsza niż wysoka, i chciała koniecznie stać w pierwszym szeregu. Ale okazało się, że koleżanka raczyła podejść do sprawy poważnie:

- Skoro tak dobrze zarabiasz, mogłabyś sobie kupić jakiś porządny kostium!

Jad z jej ust płynął bez przerwy, podczas gdy ona zajadała się łososiem. Nie powiedziałam ani słowa. Oczywiście, że stać mnie było na dobry kostium, nawet dwa lub pięć, ale nie widziałam sensu rozmowy na ten temat z moją zapasioną koleżanką. Byłam zdania, że jest to - w dosłownym znaczeniu tego słowa - zbędne! Nie zniżę się do jej poziomu. Pominąwszy już fakt, że ja wyglądam lepiej od niej nawet wówczas, gdy mam na sobie tylko przeceniony fartuch w kwiatki od Woolwortha, a ona aksamitną sukieneczkę na ramiączkach, taką elegancką, do kolan. Co spowodowało, że zachowała się tak niepoważnie?

Z czasem zapomniałam o tym głupim wydarzeniu. Ale teraz, siedząc w tym obrzydliwym łóżku dla komiwojażerów, przypomniałam sobie ten incydent.

Ciężko wzdychając, odwróciłam się do ściany i zaczęłam liczyć kwiatki na brudnawej tapecie.

W Noerdlingen spotkała mnie dziwna niespodzianka. Na parkingu hotelowym stało wielkie BMW, srebrny metalik. Na rejestracji Bergheim. No proszę! Trochę radości po tylu smutkach! Dość melancholii! Przecież to samochodzik mojego szanownego i czcigodnego pana doktora Geldmachera! Na pewno przywiózł mi cicho pracującą szczoteczkę do mycia zębów! Najnowszy model obrotowych szczoteczek! Do szlifowania szkliwa i usuwania resztek pokarmu z torebek dziaśłowych. Ponadto ćwierć kilograma nitki do czyszczenia przestrzeni między zębami w modnym kolorze niebieskim.

Żwawym krokiem weszłam do holu hotelowego. Siedział! Siedział w holu z wielkim bukietem i czekał na mnie! Jak przy-

stoi! Jesteśmy młodzi, a życie jest krótkie! Po co rzuciłam czar na pół tuzina mężczyzn? Po to, by za diwą jeździli! Nabrałam ochoty do życia. Zaczęłam oddychać pełną piersią. Opanowała mnie żądza życia.

- Arwed! Pan tutaj?! - zawołałam i z radością rzuciłam mu się w ramiona. Ucieszyłam się bardzo. Taka dobra dusza, kochana i zainteresowana moimi sprawami. Mało brakowało, a ze wzruszenia bym się popłakała.

Pana doktora Geldmachera przyjemnie to zaskoczyło.

- Charlotta! Pani się naprawdę ucieszyła!

- Oczywiście! - zaczęłam szlochać. - I to jak! Skąd się pan tutaj wziął? Skąd pan wiedział, że jestem tutaj?

- Pochodzę stąd. Moja matka przeczytała w gazecie, że pani dziś występuje w Noerdlingen - wyjaśnił. - Natychmiast wyruszyłem. Ponadto chciałem się dowiedzieć, co z pani bolącym zębem?

Ząb mnie już nie bolał. Bolała mnie jedynie dusza. Ale gdy go ujrzałam i ten ból minął, jak ręką odjął. Pan doktor Goldmacher poinformował mnie, że w swoim bagażu podróжным ma bardzo dobrą szczoteczkę do zębów, elektryczną i jeśli mam dokuczliwy ból zęba, to on służy mi swoją pomocą.

- Nie boli mnie już! - wyjaśniłam pospiesznie. Miałam na razie dość wszelakich bólów, stresów i nieprzyjemności. - A co z pańskim gabinetem? - zapytałam, by zmienić temat. - Dziś jest przecież czwartek!

- Dziś gabinet jest zamknięty! - Pan doktor ucieszył się na samą myśl o tym. - Od nagłych przypadków jest Brigitta. Siedzi w recepcji!

Nie zapytałam, czy jego małżonka wie, gdzie jest teraz i dlaczego tutaj przybył, zaproponowałam natomiast, by mi - jako że stąd pochodzi - pokazał miasto. Wreszcie ktoś oprowadzi mnie po jakimś mieście! I zaprosi na kieliszek szampana! Hurra! Napijmy się za ten cudowny letni dzień!

Ramię w ramię wędrowaliśmy więc po średniowiecznym mieście, łaskawe słońeczko świeciło jasno, a pan doktor Geldmacher, który z okazji dzisiejszej uroczystości ubrał się w czarną, skórzaną kurtkę, silnie zalatującą zapachem martwej świni, opo-

wiadat mi dokładnie i z pietyzmem o kulisach różnych wydarzeń historycznych związanych z jego ojczystym miastem. Na jednej z wież siedzi ponoć jeszcze dziś stróż nocny, który co godzinę woła: „Ty gałganie!”.

Doktor przystanął, by mi zademonstrować, jak stróż nocny ze swej wieży krzyczy co godzinę. Nigdy nie zapomnę jego skrzeczącego głosu, któremu usiłowałam nadać miłe brzmienie, tercji, w jakiej wydawał z siebie te straszliwie odgłosy. Kos na płocie w Eifel to sama słodycz w porównaniu z produkcją pana doktora.

- Dlaczego on woła: „Ty gałganie!”? - zapytałam. - Dlaczego nie woła na przykład: „Jest ósma, pora umyć ręczki, zrobić siusiu i iść spać?!” - Nagle przyłapałam siebie na tym, że oglądam się za przyczepą kempingową, która właśnie skręcała za róg. Miała holenderską rejestrację.

Pan doktor Geldmacher opowiedział mi z młodzieńczą werwą, trzymając mnie przy tym pod rękę (przy każdym, najmniejszym nawet ruchu, świńska skóra skrzypiała niemiłosiernie), że kiedyś, w średniowieczu z miasta uciekła świnia. A ówczesny stróż miejski - chodziło oczywiście o przedstawiciela generacji żyjącej przed wiekami - sądził po pijanemu, iż widzi jakiegoś uciekającego niegodziwca. No i z radości, że jest tak czujny, zawołał: „Ty gałganie!” - do świni, która w panice truchtem biegła przed siebie.

- Złapał tę świnię?

- Nie! Oczywiście, że nie! Zanim zbiegł z wieży, świnia dała nogę.

- Szkoda! - powiedziałam, wyraźnie zawiedziona. Przecież następnego ranka świnię można by było postawić pod pręgierzem i wykrzyknąć w jej ryj różne sprośności. Może stąd pochodziło powiedzenie: „Ty świnio!” - Czy to wszystko?

- Tak! - potwierdził pan doktor z polotem. - To wszystko! Mała rzecz, a cieszy!

- I dlatego musicie od prawie tysiąca lat co godzinę słuchać okrzyku: „Ty gałganie!”?

- Tak! Czyż nie jest to piękny zwyczaj?

Pomyślałam, że choć wskazuje to, iż mieszkańcy Noerdlingen

powariowali, to jednak nie jest aż tak groźne jak pomysł mieszkańców Schlewika-Holsztynu, by za karę na tysiąc lat zamknąć wszystkie restauracje.

Potem poszliśmy na obiad. Pierogi z mięsem, polewane to pioną słoninką, do tego niesamowicie tłusta sałatka z kartofli z chrupiącymi skwarkami oraz sałata z octem i oliwą. Po posiłku pan doktor znikł dyskretnie w toalecie męskiej, unosząc ze sobą jedwabną nitkę do czyszczenia zębów. Ja siedziałam w knajpce i zamyślona patrzyłam przez okno z wypukłymi szybami oprawionymi w ołów, rozmyślając o dziwnych przyzwyczajeniach ludzi.

Tak, ludzie są dziwni - pomyślałam. Wszyscy mniej lub bardziej stuknięci. A do historii przechodzą zawsze zarówno wielkie, jak i drobne słabostki ludzkie. Różnymi krętymi drogami, ale przechodzą.

- Proszę ze mną! - Pan doktor Geldmacher wrócił z łazienki, wyczyściwszy kieszonki dziaśłowe. - Mam dla pani małą niespodziankę!

Poprowadził mnie pod rękę. I znowu załatywało od niego skórą świńską, przy każdym ruchu miło skrzypiącą. Szliśmy wyboistymi uliczkami, aż dotarliśmy do rozpadającego się budynku, przed którym się zatrzymaliśmy. Z dumą wskazał ręką na krzywy napis „Geldmacher 1641”, który wykonano starą niemiecką odmianą gotyku na belce - rok wybudowania budynku.

Boże - pomyślałam - żeby tylko nie wpadł na pomysł przedstawienia mnie swojej matce, które na pewno mówi szwabskim dialektem, jest głucha jak pień i będzie chciała mnie poczęstować ciastkami lub moszczem domowej roboty, krzycząc przy tym bardzo głośno. Ale pan doktor Geldmacher nie przedstawił mnie swojej matce. Przedstawił mnie swemu bratu.

Był to prawdopodobnie jedyny jeszcze żyjący mistrz starej sztuki drukarskiej. Z czią, odpowiednią dla tego szacownego miejsca, szłam w towarzystwie doktora po skrzypiących drewnianych podłogach starego budynku, w którym na górnym piętrze brat, lustrzane odbicie mojego dentysty, uprawiał swoją magiczną, czarną sztukę. Miał granatowoczarne palce i sprawił

wrażenie człowieka podupadłego, a aparatura, na której pracował, przypominała swoim wyglądem narzędzie tortur. Prawdziwy Quasimodo z jednym brązowoczarным pieńkiem zęba w ustach... Zapewne nie używał jedwabnej nitki do czyszczenia przestrzeni między zębami. Protekcyjnym gestem podał nam swoją umazaną czernidłem drukarskim łapę. Swego brata objął ramieniem, aż skóra zaskrzypiała! Brat Quasimodo pachniał cudownie wódką i tytoniem, skórą, lochami i spelunką, w jakiej bywa szemrane towarzystwo z półświatka.

Czułam się wspaniale, byłam w świetnym nastroju, przestałam się smucić i nie czułam się już samotna. Nieważne, co mówił, uprzejmie i bez fałszu. Opowiadał o swoich czcionkach drukarskich, pokazywał mi je, malutkie, czarne, zimne, klejąc się od czernidła, podtykał mi je pod nos, przez cały czas posługując się szwabskim dialektem.

Ja odzywałam się jedynie zdawkowo: „O, jakie to interesujące, no nie, jakie to oryginalne”, a **potem** pomyślałam o Ernstbercie. Co też on by powiedział na widok **tej przedpotopowej techniki drukowania?!** Ani śladu laserów, **Windows for beginners** czy innych instrukcji obsługi, które by mógł mi przeczytać na głos. Średniowieczny drukarz umiał wszystko na pamięć. I nie zamierzał zmieniać czegokolwiek w swej pracy. Było w tym coś fascynującego. Poczęstowali mnie bardzo wytrawną wódką - swojsko pędzonym bimbrem - zaśmiewając się przy tym straszliwie ze słodkiej, naiwnej kobitki, która zanosiła się od kaszlu, pijąc trunek. W dodatku nie rozumiała szwabskiego dialektu i nie miała najmniejszej ochoty, by potrzymać w dłoniach brudne drukarskie czcionki.

No nie, jacyż oni czarujący ci bracia Geldmacherowie!

Potem razem poszliśmy do teatru. To znaczy, ja i dentysta. Brat drukarz życzył nam udanego wieczoru, uśmiechał się krzywo, demonstrując pieńek w ustach. Obiecał nam, że odbierze nas o jedenastej przy wyjściu dla aktorów, żebym nie przegapiła jedyne go w swoim rodzaju przedstawienia - okrzyku stróża z wieży: „Ty gałganie!”

Cały wieczór cieszyłam się na to jak dziecko na pokaz ogni sztucznych.

Co za kochane stworzenia! Znalazłam się wśród naprawdę przemyślanych ludzi! Szczerzy przyjaciele, którzy chętnie oprowadzili mnie po swoim mieście. Nie wsadzali kaśliwych szpil, nie udawali miłych i dobrze wychowanych kolegów. Przy nich odpoczywałam.

Wreszcie stałam na jezdni z kocich łbów, w towarzystwie rycerzy w skórze. Od jednego zalatywało alkoholem, od drugiego pastą do zębów. I patrzyłam w zachmurzone niebo i księżyc. Wybiła jedenasta. I nagle wyraźnie usłyszałam, jak ktoś woła z wysokiej wieży: „Ty gałganie!”, a następnie zatraskują się okiennice. To stróż powrócił do łóżka, nastawiwszy budzik na dwunastą.

- No i co? Podobało się? - Bracia, obaj w skrzypiących i intensywnie pachnących skórach, jeden z lewej strony, drugiej z prawej strony, pytali jednocześnie, a w ich głosie brzmiał triumf.

- Wspaniale! - wydusiłam z siebie oszołomiona.

Odprowadzili mnie do hotelu. Jeden z lewej strony, drugi z prawej strony. Jak gdybym nie umiała iść o własnych siłach. Przy drzwiach się pożegnali. Każdy dał mi buziaka w policzek. Raz pasta. Raz wódka. Nie zasłużyłam na coś takiego!

Następnego ranka czułam się wyśmienicie. Powoli ruszyłam z moją walizką w kierunku dworca. By uczcić ten dzień kupiłam sobie w bardzo wytwornym butik body, bardzo eleganckie i bardzo drogie, z głębokim dekoltem. Do tego minispódniczkę. Mogłam sobie na to pozwolić. Pod każdym względem. I już cieszyłam się na następne przedstawienie.

O szóstej miałam wystąpić w charakterze znakomitego gościa w programie telewizyjnym. Zaproszono mnie do udziału w talk-show. Tym razem miałam wystąpić nie jako uciemężona córka Anita Bach, lecz kobieta sukcesu, Charlotta Pfeffer. Znowu dumnie podniosłam czoło.

Gdy pociąg wjechał na dworzec w Norymberdze, rozejrzałam się, szukając Gustawa. Gustawa proszącego o łaskę i przebaczenie i gotowego do odprawienia pokuty. Gustawa z pajdami

chleba z pasztetową i termosem z herbatą. Gustawa, który znalazłby tysiące powodów, wyjaśniających, dlaczego zachował się tak niewłaściwie, znikając bez słowa. Był przecież piątek. Miał już wolne. Przez okno wagonu przyglądałam się ludziom, podczas gdy pociąg wtaczał się na dworzec. Dwa razy wydawało mi się, że go widzę.

No, czekaj, ja ci pokażę! Po prostu cię zignoruję! Żadnej łaski. Będę udawała, że cię nie znam. I gdy rzucisz za mną swoimi pajdami chleba z pasztetową, nawet się nie odwrócę. Już nigdy!

Ciągnąc za sobą swoją walizeczkę ze świńskiej skóry, która toczyła się za mną jak piesek - do nogi, Reks, do nogi, patrz przed siebie i zachowuj się naturalnie i skromnie! - dreptałam z dumnie podniesioną głową w kierunku wyjścia. Na sobie miałam bardzo obcisłe body, minispódniczkę i wytworny żakiet do mu mody Snoop.

Norymberga! O, jakże kocham to miasto!

Pominąwszy wspomniane już talk-show w telewizji pod tytułem: *Pragnę wszystkiego - wzbudzać pożądanie, odnosić sukcesy i mieć dzieci - kobieta po trzydziestce*, które zaplanowane było na osiemnastą, nie miałam nic do roboty. Mogłam cieszyć się miastem, kupić sobie obwarzanka i pospacerować w pobliżu zamczyska. Było ciepło, słonecznie i cudownie.

Samotność mi nie przeszkadzała, nic a nic. Nawet ją lubiłam.

Jestem jedną z tych niewielu osób - myślałam zadowolona z siebie - z którymi się nie nudzę. No dobrze, z Gustawem też się nie nudzę, ale on może mnie pocałować w nos. Sama sobie wystarczę. - Dumnie podniosłam czoło.

Nagle usłyszałam męski głos: „Charlotte!” I szybkie kroki.

Gustaw? No, teraz to mu powiem! Kim w ogóle jestem? O co tu chodzi? Czy stosunek służbowy zmusza mnie do znośzenia takiego zachowania? No, nie myśl bracie, że ja... No i na dodatek reprimenda!

Odwróciłam się.

Gustaw? Kochany, stary, tak mi bliski, żelazny Gustaw!

Nie, to nie był Gustaw. Nie on.

Więc kto? Pan Schmitz-Nittenwirm.

Z czasem przestało mnie cokolwiek dziwić. Przedwczoraj pan Niedrich, wczoraj pan doktor Geldmacher, dziś pan Schmitz-Nittenwirm. Oczywiście, przyjeżdżacie panowie, diwa nie znosi pustki, bo wtedy myśli za dużo i popada w smutek. Ale proszę pojedynczo!

- Witam! - odezwała się uprzejmie. - Witam pana, panie Schmitz-Nittenwirm! Czyż pogoda nie jest piękna?

- Chciałem zwiedzić Norymbergę! - Pan nauczyciel ubrany był w twarzową kurteczkę ze sztruksu.

- Co za przypadek! - wyrwało mi się. - I zaczął pan od dworca?

- Przyjechałem dziś rano. - Pan nauczyciel był troszkę zmieszany. - Bo ja mam bilet za czterdzieści dziewięć marek. Za połowę ceny. Jeśli podróżuje się nocą, drugą klasą.

Nocą. Drugą klasą. I to wszystko z mojego powodu. Byłam wzruszona. Tylko nie bardzo kojarzyłam, kiedy go zaczarowałam. Przecież niczego nie upuściłam. A przez telefon takie sztuczki na pewno nie działają. Nie ma kontaktu wzrokowego!

- Dlaczego nie jest pan w szkole? - Uprzytomniłam sobie, że coś jest nie tak! - Gdzie są dzieci?

- Dziś jest wolny piątek. Mamy wolne! - wyjaśnił pan nauczyciel. - Wczoraj było Boże Ciało.

No tak, prawda! Dlatego doktor Geldmacher mógł zamknąć swój gabinet.

Uśmiechnęłam się zachęcająco do pana nauczyciela.

- W takim razie, co robimy?

Pan nauczyciel miał ze sobą plecaczek z jasnobrązowego sztruksu. Bardzo męski i seksowny. Zostawiliśmy go w boksie na bagaż. Razem z moją walizeczką.

Wrzuciliśmy monetę dwumarkową, ja wsunęłam swoją luksusową skórzaną walizeczkę z bardzo inteligentnym zamkiem i tajną przegródką zamykaną na klucz. Postawiłam ją tuż obok szmaccanego plecaczka, kupionego w sklepie z towarami z Trzeciego Świata. Zamknęliśmy te torby razem i ruszyliśmy przed siebie.

Pan nauczyciel czekał na mnie od rana, zakładając, że przyjadę którymś pociągiem z Noerdlingen.

- Ale w Noerdlingen pan nie był? - zapytałam rozzuchwalona, gdy tak razem maszerowaliśmy w kierunku Starego Miasta.

- Byłem! - usłyszałam w odpowiedzi. - Byłem na przedstawieniu, ale potem przy wyjściu dla artystów stało dwóch takich podejrzanych typów w skórzanych kurtkach, więc wolałem nie przeszkadzać.

- Był pan w Noerdlingen? - Aż stanęłam z wrażenia.

- Tak, byłem. - Pan nauczyciel wyjaśnił: - Już wczoraj mieliśmy wolne. Pani występ zrobił na mnie wielkie wrażenie.

Jak na pana nauczyciela, było to bardzo mocno powiedziane. Bardzo mocno. Czekałam, czy jeszcze czegoś nie doda. Ale on zaczął znowu opowiadać o swoim bilecie za czterdzieści dziewięć marek. W jego życiu były sprawy o wiele ważniejsze niż moja sztuka dla jednej aktorki. Tanie bilety, na przykład. Bo do Noerdlingen przyjechał już w środę w nocy. Za czterdzieści dziewięć marek. To się opłacało! Dostał wejściówkę na przedstawienie, która go kosztowała siedem marek. Bo miał jeszcze ważną legitymację studencką.

- I nie podszedł pan do mnie?!

- Nie, bo tych dwóch typków wyglądało dość podejrzanie i widać było, że nie znają się na żartach. Szczególnie jeden z nich wzbudzał respekt. Jakby miał ze sobą maczugę. Nie chciałem ryzykować. A potem już nie mogłem czekać, bo schronisko młodzieżowe jest otwarte tylko do dziesiątej.

No tak, słusznie. Pan nauczyciel zwykł nocować w schroniskach młodzieżowych. Robił to z największą przyjemnością.

- Ale to był tylko pan doktor Geldmacher. I jego brat! - zawołałam wesoło. - Przecież pan zna pana doktora! Niedawno szalał z nami na dachu garażu. On jest zupełnie nieszkodliwy!

Pan nauczyciel chwilę pomilczał i z nagłą odezwał się do mnie w te słowa:

- Czy nie mogłaby pani mówić do mnie po imieniu? Tak po prostu: Lutz!

- Oczywiście! Ale nie w obecności dzieci! - odparłam.

- Nie, skąd! Tylko dziś!

- No jasne! - odpowiedziałam. - Nie widzę problemu!

Laziliśmy po cudownym, kolorowym Starym Mieście, ską-

panym w letnim powietrzu. W ogródkach, w których podają piwo, siedziało mnóstwo ludzi, chociaż było dopiero przedpołudnie. Popijali piwo i zagryzali precelkami. Na rynku aż roiło się od kupujących. Na straganach olbrzymie ilości szparagów i truskawek. Kupiłam koszyczek czerwonych soczystych truskawek. Zajadaliśmy się nimi, wędrując po mieście. Szypułki wypluwaliśmy na chodnik, oboje rozbrykani, pan Schmitz-Nittenwirm i ja.

- W telewizji muszę być dopiero o szóstej, bo wtedy zaczyna się talk-show.- wyjaśniłam. - Do szóstej mam więc czas. Gdzie się pan zatrzymał?

- W schronisku młodzieżowym - odparł. - Przy zamku.

- Rozumiem - pospieszyłam z odpowiedzią.

Ależ jestem głupia. Gdzież indziej mógł się zatrzymać? Lutz tłumaczył się gęsto:

- Mam legitymację uprawniającą do nocowania w schroniskach młodzieżowych. Ponadto uprawnienia kierownika grup wycieczkowych. To się opłaca.

- No i bilet za czterdzieści dziewięć marek na podróż drugą klasą! - przypomniałam.

- Tak jest! - Lutz potwierdził to z wigorem i uśmiechnął się do mnie chytrze. - Nadal mam legitymację studencką. - Tu pogrzebał w swoim ekologicznym woreczku, jakie młodzi ludzie noszą na piersiach, by po chwili podetknąć mi pod nos lekko sfatygowaną legitymację studenta wyższej szkoły pedagogicznej, na której widniały dwadzieścia cztery stemple. Jeden stempel oznaczał jeden semestr. Zdjęcie już wyblakło. Poznać można było jedynie pożółkły wizerunek młodzieńca z odstającymi uszami i wystającą grdyką nad czarno-białym, hakowatym kołnierzykiem.

- Świetnie! - pochwaliłam wyrażając swe uznanie. - Światowiec z pana! (Cha, cha, cha!)

Zwiedziliśmy kościoły Św. Wawrzyńca i Św. Sebaldusa. Ponieważ Lutz naczytał się o Norymberdze w swoim przewodniku - czyżby kupił go z drugiej ręki? - opowiadał mi ciągle różne ciekawostki o tym mieście. Ja tymczasem zastanawiałam się dyskretnie, gdzie i kiedy mogłam go zaczarować. Niczego

jednak sobie nie przypominałam. A może zjawił się tutaj do-
browolnie?

Potem wolnym krokiem poszliśmy w kierunku warownego
zamku. Było gorąco. Powietrze aż drżało od upału. Na placyku
przed schroniskiem młodzieżowym siedzieli na ziemi młodzi
ludzie. Akompaniując sobie na gitarach, śpiewali *Penny Lane*
i popijali piwo. Odziani byli przeważnie w dżinsy dzwony, tak
modne w latach siedemdziesiątych. Nagle ujrzałam siebie i Han-
nesa. Tak właśnie siedzieliśmy w grupce rówieśników wtedy,
podczas pobytu w południowej Francji, kiedy oboje byliśmy
jedyne statystami, graliśmy niewielkie role i żyliśmy z dnia
na dzień, jakby życie usiane było różami i składało się z samych
przyjemności.

Lutz ściągnął sweter, zrobiony własnoręcznie na drutach. Nie
dodało mu to, niestety, uroku. Koszula w kolorze wyblakłego
różu sprawiała, że jego cera wydawała się jeszcze bledsza. Swo-
im wyglądem przypominał niemieckie parówki, sprzedawane
w szklanych słoikach.

Pan nauczyciel zwykł zawsze nosić swetry, robione na dru-
tach, zawsze w kolorze wyblakłego różu. Do tego koszule ze
sflaczałymi kołnierzykami, które od potu ulegały na słońcu de-
formacji. Do tego welwetowe spodnie koloru karmelkowego,
skarpetki szarobrązowe i brązowe półbuty. Trzymał się prosto
i zachowywał naturalnie. Po prostu rozbijając. I coś w tym
było. Sprawiał wrażenie osoby schludnej i prowadzącej się bez
zarzutu. Jakże był inny niż Justus - dumny, żądny uznania
i podziwu! I nie był tak przeraźliwie nudny jak tamten gość,
nieustannie chwalcący się swoimi sukcesami!

No i moje dzieci uwielbiały go. I to chyba najistotniejsze
w całej tej historii. Lubiłam tego miłego chłopaka w różach,
którego nie umyte, zawsze tłustawe loki zawsze zwisały na
wymięty kołnierzyk koszuli. Byłam mu szczerze i bardzo głą-
boko wdzięczna. Nawet w tych lokach było coś wzruszającego.
Upychał właśnie swój sweter w szarozielonym worku z ekolo-
gicznej juty, który nosił na ramieniu, a który - jak nie omieszkał
mnie poinformować - nabył w jednym z tych sklepów w to-

warami z krajów Trzeciego Świata. Nie kosztował nawet czterech marek.

Zarzuciłam sobie na ramiona jedwabny żakiet z domu mody Snoop, nie wspominając nawet słówkiem o tym, ile kosztował. Dreptałam obok niego w swoim body z ekskluzywnego butik i minispódniczce. Prawdopodobnie brano mnie za jego matkę. Dziecko, umyj się porządnie, ogól się starannie i zadbaj odrobinę o siebie. Popatrz, taka ładna pogoda!

Usiedliśmy na murku i wyciągnęliśmy nogi, ja uczyniłam to szczególnie chętnie. Rozkoszowaliśmy się widokiem Norymbergi i cieszyliśmy się życiem. Nauczycielatko i ja. Zmuszałam się do ignorowania wszystkich przyczep kempingowych, kręcących się na dole po jezdni z kocich łbów. Rozochocony pan nauczyciel zapytał mnie, czy znam historię o panu Epplein.

- Oczywiście, że nie znam! - odparłam. - A któż to taki?

Historia o panu Epplein przypominała troszkę opowiadkę o świni, którą usłyszałam w Noerdlingen. Ucieszyłam się, że mój cicerone jest osobą komunikatywną i że - nieproszony - przekaże mi całą swoją wiedzę, chociaż nie wrzuciłam do automatu monety pięciomarkowej, uruchamiającej magnetofon z nagraniem opisu miasta. Te pięć marek przepijemy potem razem. Tak mi się wydawało.

- A więc - zaczął pan nauczyciel. - Niejaki pan Epplein, potomek znakomitego rodu rycerskiego, z nie wyjaśnionych powodów uciekł na koniu z lochów zamczyska, gdzie zamierzano go ze względu na zaistniałe okoliczności powiesić. Gdy na swej szkapie galopem pokonywał mur, zawołał w triumfie w głosie: „Norymberczycy nikogo już nie powieszają, chyba że go złapią!”

- Aha! - zauważyłam - To on powiedział...

- Tak! - ucieszył się Lutz. - Tak powiedział. Przeczytałem o tym w przewodniku. W pociągu...

No jasne! Pan Schmitz-Nittenwirm dokształcał się w pociągu, gdy podróżował nocą za całe czterdzieści dziewięć marek siedząc na siedzeniu obitym czerwoną dermą. ON nie tracił czasu, nudząc się w pociągu restauracyjnym, nie popijał szampana, podawanego w małych buteleczkach, i nie flirtował z podróżującymi paniami. On nie z tych!

- No i co dalej? Czy teraz co godzinę ktoś wykrzykuje te słowa z wieży? Albo czy zamyka się na całe wieki restauracje?

- Co? Jak?

- Już nie! - odparłam. - Wszystko w porządku! - Tutaj Lutz odważył się na rzecz niesłychaną. Opanowało go coś w rodzaju pogardy dla śmierci - uczucie znane rycerzom - i pogłaskał mnie po prawej rzeponce. Myślę, że stało się to pod wpływem historii o panu Epplein. Cóż za śmiały gest!

- Pani ma świetne nogi! - powiedział.

O, Lutz, daj spokój! No proszę - pomyślałam wielce usatyfakcjonowana. - Wreszcie ktoś to zauważył. „Tutaj”.

- Pan również! - powiedziałam. No bo co innego miałam powiedzieć?

Potem włączyliśmy się - na naszych świętych nogach! - po mieście, które leżało w dole. Sklepikarze właśnie demontowali swoje budy, a handlarze owoców krzyczeli, że słodkie jak miód winogronka kosztują teraz tylko połowę.

- Czy nie sądzi pan, że mimo wszystko możemy napić się piwa w jednej z tych piwiarni pod gołym niebem? Czy raczej powinniśmy zadowolić się winogronami, lekko już zużytymi i za pół ceny? Ze sklepu z towarami pochodzącymi z krajów Trzeciego Świata?

- Nie, nie! Jedno piwo możemy wypić! - Lutz podjął decyzję. Pogrzebał w woreczku wiszącym na piersi i policzył pieniądze. Dziecko, ja stawiam! Tak by powiedziała matka! Ale instynktownie czułam, że Lutz nie CHCIAŁ, bym go zaprosiła na piwo. W tych kwestiach był uparty.

Usiedliśmy pod piękną, rozłożystą lipą, zieloną i pachnącą. W jej koronie kłóciły się drozdy. Obok płynęła rzeczka Pegnitz. Ponoć tutaj nie przychodzą turyści. Sami tubylcy. Tak twierdził mój przewodnik. Wyczytał to w bedekerze. Kochałam w tym momencie tego chłopca, jak nigdy przedtem. Rozochociona i rozbawiona kiwnęłam ręką na brzuchatego kelnera i zamówiłam dwa litrowe dzbanki piwa Lederer, czyli skórzanego. Kelner też wyglądał tak, jakby nazywał się Skórzaný. Kochałam ich wszystkich.

Stawałam się coraz bardziej rozkoszna. Ogarniająca mnie ero-

tyczna radość życia sprawiła, że zamówiłam porcję smacznych szparagów polanych topionym masłem. Pan Schmitz-Nittenwirm nie zamówił nic, czego zresztą należało się spodziewać. Właśnie niedawno na dworcu zjadł pizzę i był syty, nawet bardzo syty. Dostał pizzę wczorajszą, za pół ceny, jak wyjaśnił z dumą. Tak, tak, trzeba umieć korzystać z życia. Lutz Schmitz był lekko-duchem. Zawsze tak myślałam. Jedząc cudowne, malutkie, białutkie, niewinne czubki szparagów, przypominające swoim widokiem siusiaczki, i rozgniatając okrągłe, gładkie młode kartofelki, przypominające swoim wyglądem jąderka, zastanawiałam się, GDZIE i KIEDY niechcący zaczarowałam Lutza.

Niczego nie mogłam sobie przypomnieć. Zawsze zachowywałam się przyzwoicie i poprawnie, nawet tej nocy na dachu garażu, przynajmniej w stosunku do niego, nauczyciela w sztruksach, pobrządkującego na gitarze. Nie mówię tu o Beniaminie.

Ale ten dzban już do studni zaniósłam. I to bez przymusu, naprawdę.

Lubiłam pana nauczyciela, o tak, lubiłam go coraz bardziej, jedząc szparagi, które wkładałam sobie powoli do ust. Rozpierała mnie radość życia, wzrastająca z każdym następnym łykiem piwa z wielkiego i pękatego litrowego kufła. Nauczyciel wydawał mi się coraz bardziej pociągający, męski i atrakcyjny.

Pod koniec biesiady już wiedziałam, że mężczyzna, z którym siedzę w piwiarni pod lipą, jest jedynym atrakcyjnym facetem w całym mieście.

What a man! - myślałam zachwycona i gapiłam się - rozmarzona i wstawiona - na rzeczkę. Ludzie, ludziska, jakie życie jest piękne!

Inni nudzą się w stołówce, powtarzają, że wszystko jest koszmarnie, i oglądają kolejne zdjęcia Adrianka. I złością się z mojego powodu.

A ja? Mnie jest dobrze! Siedzę sobie nad rzeką, zajadam się przepyszными szparagami, które rozpływają się w ustach, pijam chłodne, frankońskie piwo i raduję się towarzystwem najlepiej ubranego i najbardziej pociągającego młodzieńca, który ma wysoki iloraz inteligencji, wyższy od przeciętnej, i zniewa-

łającą wiedzę ogólną. I mówi mi, że mam ładne nogi. Stać go na śmiałe żarty.

Czas się zatrzymał. Nad nami szumiała lipa, a w jej konarach świergotały drozdy. Budowały sobie gniazda albo składały jajka, a może już karmiły pisklęta, no, w zasadzie wszystko jedno...

Było mi cudownie, ach jak cudownie...

Lutz opowiadał przeróżne ciekawostki, które wyczytał w be-dekerze, a ja właśnie lubieżnym gestem rozgniatałam ostatnie już szparagi w maśle, gdy nagle z góry coś spadło na talerz. Bezczelny drozd! Bezczelny drozd spuścił łajno na mój talerz...

Popatrzyłam na pana Nittenwirma. ON popatrzył na mnie. No i stało się.

Za sprawą ptasiego gówienka...

Popatrzyliśmy na siebie. Milcząc. Napięcie erotyczne między nami wzrastało do granic wytrzymałości, a gówienko drozda połykiwało w słońcu. Popatrzyłam w górę. W liściach coś zaszleściło. No, poczekaj, ty wstrętne ptaszysko! Niech ja cię dorwę! Ukręcę ci łeb, każę cię wypchać i powieszę na ścianie! W toalecie dla gości! „Ty nicponiu!” - będzie ktoś przez tysiąc lat wykrzykiwał z jakiejś wieży!

Odsunęłam talerz.

- Już się najadłam - powiedziałam słabnącym głosem.

Pan nauczyciel, milcząc, wodził wzrokiem po stole. By prze-rwać tę nieznośną ciszę, zapytałam, która godzina.

- Dochodzi szósta - wydusił z siebie Lutz. - Dlaczego?

Poderwałam się z miejsca, i to tak gwałtownie, że ciemno-zielone krzeselko z listewek przewróciło się na ziemię wysypaną żwirem.

- Jak ja wyglądam? Boże, jak ja wyglądam!

Na pewno mam znowu te straszliwe czerwone plamy na twarzy, na szyi i na dekolcie - no i w ogóle - bo tak jest zawsze, gdy popadam w histerię.

- Trochę jest pani blada! - Lutz przyznał mi rację.

- O szóstej mam występ w telewizji! Biorę udział w talk-show! - krzyczałam spanikowana. - Kobieta w najlepszych latach swego życia! Matka dzieciom, pociągająca, godna pożądania, odnosząca sukcesy i nowobogacka! Lutz, zapłać!

Jednym szybkim ruchem wyrwałam portfel ze swojego wygodnego plecaczka i rzuciłam obok podstawki pod kufel. Pobiegłam do toalety dla pań. Moje odbicie w lustrze wyglądało nieciekawie. W mętym świetle żarówki w toalecie wyglądałam jakoś głupio, byłam blada, na twarzy miałam plamy. Jednym słowem - wyglądałam bardzo niekorzystnie. Ty szalona dziewczyno, zobacz jak wyglądasz! Odbicie atakowało mnie z wściekłością: Rzuciłaś na niego czar! Dziewczyno, czy to było konieczne? Czy nie możesz się choć raz opanować? JEDEN JEDYNY RAZ! Co zawinił ci ten człowiek?

Cicho - syknęłam - to był drozd! Nie słowik czy skowronek albo też sroka, czy jakiś inny ptak. Jestem absolutnie niewinna. Jak zwykle, zresztą. Szybko wyciągnęłam kosmetyczkę z plecaczka i wzięłam się za tuszowanie czerwonych plam. Energicznie wymachiwałam złotym, grubym pędzlem. Zaczęłam przypominać pijanego stracha na wróble. Może troszkę różu? Sąsiadeczko, pani buteleczka! Gdzie jest róż?... Ręce mi się trzęsły. Nie byłam w stanie otworzyć słoiczka.

Nagle za mną otworzyły się powoli drzwi.

- Proszę, niech pani wchodzi, pani sąsiadko, niech mi pani da różu, może mi pani pomoże, nie wiem, co dalej...

To był jednak Lutz. Z moim portfelem. W damskiej toalecie. To na pewno była miłość.

- Wszystko w porządku? - zapytał z troską w głosie.

- Za dziesięć minut muszę być w studiu - jękałam, straszliwie zdenerwowana. - Idź i sprowadź taksówkę, dobrze?

- Taksówka już czeka przed drzwiami - odpowiedział.

Rozgarnięty z niego chłopak - pomyślałam - doprawdy... I jakie ma praktyczne podejście do wszystkich istotnych spraw... Któraż istota płci męskiej może to o sobie powiedzieć?

Stanął obok mnie i krytycznie przyjrzał się moim próbom nałożenia makijażu. Popatrzył i zapytał:

- Można?

Wyjął mi pędzel z ręki i zaczął nanosić puder na policzki. Wykonując tę czynność, wskazującym palcem przytrzymywał mi brodę. Cały czas krytycznie przyglądał się efektom swej pracy. Ani śladu tego: patrzę-ci-w-oczy-maleństwo. A jednak.

- Daj róż!

Podaliśmy pojemniczek. Mrużąc oczy, zaczął malować mi policzki. Niezadowolony, poślinił palec i poprawiał. Prawdopodobnie tak robiła jego matka. Widział to często i wszystko było dla niego oczywiste.

„Chłopcze, synku, umyj się wreszcie, coś masz tutaj, daj, ja to zrobię, jak ty znowu wyglądasz...” - Boże, jaki on był wzruszający.

- No! - rzekł wreszcie usatysfakcjonowany. - Teraz możesz się pokazać ludziom. Wsadził portfel i kosmetyczkę do mego wytwornego plecaczka, podczas gdy ja, ogarnięta paniką, wpadłam do WC i nerwowo szeleściłam papierem toaletowym tułejszej produkcji.

Dwadzieścia sekund później siedzieliśmy ramię przy ramieniu w taksówce, a jego seksowny worek z juty stał obok mojego wytwornego plecaczka. Siedem minut później zasiadłam, założywszy nogę na nogę, wyluzowana i elegancka niczym prawdziwa dama, spokojna i uśmiechnięta, w studiu telewizyjnym. W gronie innych sześciu matek w najlepszych latach. I żadna z nich nie była tak godną pożądaną, seksowną, odnoszącą sukcesy, bogatą w dzieci i nowobogacką jak ja kobieta. Żadna.

Lutz stał za szybą z napisem: „Uwaga, nagranie!”, trzymając torbę z juty na jednym i mój drogi plecak ze skóry na drugim ramieniu. W jednej ręce trzymał mój wytworny żakiet Snoopa, a w drugiej swój gruby, różowawy, staroświecki sweter. Po chwili znalazło się i dla niego miejsce wśród publiczności obecnej już w studiu. Facet w skórze, ten od nadajnika, odebrał mu bagaż. Lutz, całkiem na luzie, pomachał w moją stronę. Kciukiem pokazał, że wszystko będzie okay!

Nagle nabrałam pewności, że Bert i Ernie wyrosną na prawdziwych mężczyzn.

Talk-show prowadził Franz Drossier, dziennikarz, który na kanale Cztery Plus, naszej największej konkurencji, codziennie prowadził ten program. Nigdy jeszcze nie widziałam tego talk-show, ponieważ zaczynał się zawsze o czwartej popołudniu,

kiedy nadawano *Nasz mały szpitalik*. Ten facet prowokował nas więc straszliwie. Wiedziałam jedynie, że zwykle zaprasza do studia pół tuzina gości, którzy wypowiadają się na jeden konkretny temat, czyli koncepcja jego programu nie odbiegała od audycji Jochena Mueckego w pierwszym programie telewizyj publicznej.

Poruszane problemy były zwykle trochę naciągane. Skąd w końcu brać codziennie nowy temat do rozmowy? Dziś mieliśmy rozmawiać o kobiecie w kwiecie wieku. A więc do dzieła. Franz Drossler, pan również w kwiecie wieku, okularnik o szpakowatych skroniach, odwalał dziś już swoją trzecią audycję i w zasadzie nic mu się nie chciało. Siedem zdenerwowanych mamus koło czterdziestki siedziało, drżąc z podniecenia. Usadowione w półkołu, każda z apaszką na ramionach, dygotały w oczekiwaniu na jego dość bezczelne pytania. Publiczność składała się - jak zwykle zresztą - z kilkudziesięciu emerytów, których zwieziono tu autokarami z całej pięknej krainy Franków. Moje spojrzenie spoczęło z przyjemnością na trzech paniach, niewiastach o grubych łydkach, wystrojonych w suknie w wielkie kwiatowe wzory. Zajmowały pierwszy rząd, trochę rozsunięte grube nogi. Czekwały na początek programu. Wśród publiczności znalazła się cała klasa szkolna, członkowie jakiegoś klubu kręglarskiego, zdobywcy nagrody pocieszenia jakiejś organizacji i członkowie zrzeszenia na rzecz krzewienia radości życia wśród czterdziestolatków. W ostatnim rządzie dostrzegłam pana Schmitza-Nittenwirma. Pomachałam mu dyskretnie. Był bardziej zdenerwowany niż ja. W końcu jeszcze nigdy nie brał udziału w jakimkolwiek programie telewizyjnym!

Pan Drossler zwrócił się najpierw do jednej z frankońskich gospodyń domowych, która przyznała, że ma czterdzieści dwa lata. Teraz, kiedy odchowała już dzieci, trzech chłopaków (to pan Drossler odczytał z kartki) pojawia się pytanie, co będzie dalej robiła w życiu, znajdując się jeszcze w kwiecie wieku.

Brak jakiegokolwiek zainteresowania odpowiedzią. Spojrzanie zza szkieł nie odbijających światła. Frankońska gospodyni domowa już zaczęła opowiadać, jak to wychowywała swych trzech chłopców, jak uczęszczała razem w nimi na wszystkie

kursy organizowane przez fundację na rzecz kształcenia rodziców, jak utrzymywała ożywione kontakty towarzyskie z innymi matkami, mieszkającymi w sąsiedztwie. Emerytów ten temat bardzo zainteresował. Mnie też. Mało brakowało, a skreśliłabym sobie szyję, tak ją wyciągałam, przysłuchując się wywodom gospodyni. Lutz też słuchał w napięciu. Boże, jakie to było interesujące!

Potem starała się o pracę u swojego dawnego pracodawcy, opowiadała dalej rozwlekłe frankońska mamuśka, ale ten już jej nie przyjął. Wtedy zaczęła pracować honorowo w fundacji na rzecz kształcenia rodziców, o której już wspomniała. Prowadziła kurs na temat: *W kwiecie wieku zaczynam życie od nowa.*

- O! - stwierdził pan Drossler krótko. - No i co, zaczęła pani życie od nowa?

Byliśmy tak ciekawi jej odpowiedzi, że ledwo panowaliśmy nad nerwami. Jakież niezwykle koleje życia!

- Tak, chwileczkę, tutaj muszę się troszkę cofnąć... - powiedziała frankońska gospodyni i wspomniała o jeszcze jednym miejscu pracy, o które się na próżno starała. Więc znowu poprowadziła kurs w fundacji na rzecz kształcenia rodziców, tym razem na temat: *Chłopcy zaczynają swoje życie, a mama zaczyna wszystko od początku!* Publiczność biła brawo. Co za niewiasta! Jaka aktywna!

Pan Drossler przeszedł do następnej kandydatki. Ta również, już koło czterdziestki, zaczęła wszystko od nowa. Miała trzydzieści osiem lat i tak całkiem po prostu usamodzielniała się, otwierając własną firmę. Świadczy usługi na rzecz biur. W jej wieku! Kto by pomyślał! Fakt ten dał panu Drosslerowi okazję do zadania kilku aroganckich pytań.

- Pani Pagendoerfer-Goldlocke! A więc pani zaczęła wszystko od początku, będąc już pod czterdziestkę! Pani powiedziała sobie - ot tak, po prostu, ni z tego, ni z owego - założę firmę świadczącą usługi na rzecz biur. Po prostu! Bez jakiegokolwiek zabezpieczenia! Rzykując wszystkim! Czy nie był to akt wielkiej odwagi z pani strony?

Pani Pagendoerfer-Goldlocke, która siedziała obok mnie,

stwierdziła, że po pierwsze, czuje się jeszcze młodo, bo w końcu codziennie uprawia gimnastykę i odżywia się racjonalnie. Wszyscy pokiwali głowami, wyrażając swoją aprobatę. Że też znalazł się ktoś na tyle odważny, by publicznie przyznać się do takiego trybu życia! Pani Pagendoerfer-Goldlocke PRACOWAŁA nad sobą! Codziennie, wytrwale, zawzięcie! Gruba Ulrika z włosami jak u konia, która - miejmy nadzieję - siedziała zauroczona przed telewizorem, gapiąc się w ekran, powinna wziąć z niej przykład, zanim znowu zacznie wtykać nos w nie swoje sprawy. Przypuszczam, że i pani Merkenich-Miesmacher wysiaduje przed swoim pudłem, w domowych pieleszach w Quadrath-Ichendorf. Ogląda bowiem wszystko, jak leci, od siódmej rano. Na pewno zaraz zadzwoni do Lory Kosz-mamej w Knappsack, no i oczywiście również do Gretel Zupf i Mechthildy Goch. Będą wreszcie miały o czym pogadać w stołówce naszego studia filmowego. Nareszcie jakiś wspólny temat, a nie po raz setny zdjęcia Adriana i ta nuda straszliwa...

No, popatrzcie sobie - pomyślałam - jeszcze sporo możecie się nauczyć. Tak, od takiej dojrzałej kobiety! No bo w końcu wszystkie jesteście w tym samym okresie życia. No i jak? Wesoło nam?

- A co pani mąż na to? - pan Drossel zapytał surowym tonem panią od firmy biurowej.

- Nie jestem żoną swojego męża. Ja to ja. Usamodzielniłam się w chwili, gdy uznałam, że nadeszła odpowiednia pora - odcięła się ostro pani Pagendoerfer-Goldlocke. Ta kobieta była odważna! Gdybyż tak wszystkie kobiety reagowały w ten sposób! Usamodzielnić się! W TYM wieku! Na pewno miała mnóstwo nieprzyjemności! I reprimendy na dodatek! Kivnęłam w jej kierunku głową, pragnąc wyrazić swoją aprobatę. Tak jest! Dołóż mu! Powiedz mu to prosto w twarz! Jesteś odważna!

Trzecia uczestniczka rozmowy również miała coś niesamowitego do zaferowania. Ta, mając już czterdzieści lat, urodziła dziecko! Tak PO PROSTU! Choć była nauczycielką! Czyż to nie jest wystarczający powód, by zaciągnąć babę do studia? Niemowlak spał sobie słodko w foteliku samochodowym, który stał u jej stóp. Pokazano jej małżonka. Z protekcyjną miną

siedział wśród zaproszonej publiczności. Ona, nie najmłodsza mama - szyja cała w czerwonych plamach - zapewniała, że mąż zareagował zadziwiająco tolerancyjnie. Czasem nawet zajmuje się niemowlęciem, by mogła uczyć się na regenerującą gimnastykę i spotkać się z kobietami w podobnej sytuacji. Kiwalimy głowami, przejęci relacją matki. Jakaż miłość łączy tę parę! Jakież więzy małżeńskie! To dopiero były małżeństwa!

Pomyślałam, że pan Drossler mógłby kiedyś zaprosić samych panów na rozmowę na ten temat. Niezły pomysł, prawda? Sami faceci pod czterdziestkę, którzy PO PROSTU się usamodzielnili! Lub nawet zostali ojcami! Jakież byłoby to budujące! I dawaliby PRZYKŁAD milionom innych mężczyzn, znajdujących się w tym wieku. W roli znanego gościa mógłby wystąpić ten wzbudzający sensację facet, który pod czterdziestkę zrobił niesamowitą karierę, pisząc odlotowy bestseller pod tytułem *Koci kibel*. Co za ODWAGA! W tym wieku odważyć się na zmiany! Usiłować nadać życiu jakiś sens! Wszak tylko nieliczni panowie pod czterdziestką nie leżeli jeszcze w ciemnej sypialni, by nudząc się lub szlochając straszliwie, walczyć z depresją. Ich właśnie pan Drossler powinien przedstawić w swoim telewizyjnym programie! Jako bardzo rzadkie okazy! Niczym rajskie ptaki! Tak być powinno! My, kobiety, nie chcemy przywilejów!

- Panie Fischer! Co pańska żona na to, że został pan ojcem, mając prawie trzydzieści dziewięć lat?

- Pomaga mi ze wszystkich sił! - powiedziałyby pan Fischer odważnie, drżąc na całym ciele, co widać by było wyraźnie pod apaszką okrywającą mu ramiona. - Jest osobą nadzwyczaj wyrozumiałą... Gdy wieczorem wraca do domu, bywa, że zajmie się maleństwem... A ja wtedy idę na zajęcia gimnastyczne dla ojców, gdzie spotykam innych mężczyzn w podobnej sytuacji, z którymi rozmawiam o swoich problemach.

- No tak! I z tego powodu zrezygnował pan ze swojej pracy? Przecież miał pan taką dobrą pracę w przedszkolu! Jako wychowawca!

- Tak! Przynajmniej raz w życiu chciałem mieć uczucie, że robię coś wyjątkowego! Nawet gdybym miał nigdy więcej nie

dostać stanowiska wychowawcy przedszkolnego! Ale WARTO było! Mam teraz coś, co jest wyłącznie moje.

Wtedy pan Drossler przedstawiłby następnego kandydata.

- Pan Hebamme-Schneiderin w wieku trzydziestu ośmiu lat zakasał rękawy i odważnie zabrał się do egzaminu na kartę łowiecką. Co pariska żona na to? Czy nie jest to szalenie odważne przedsięwzięcie? Tak sam, w lesie?! Pan nie jest już najmłodszy, nawet jeśli wyszykował się pan ślicznie na dzisiejsze spotkanie! A może wdrapuje się pan - w tym wieku! - na ambonę łowiecką?

- O wdrapywaniu się na ambonę decyduję ja sam! - Przechodzony już trochę facet zareagowałby przekornie i w sposób bardzo zaangażowany. - Nie jestem mężem swojej żony. Ja to ja. I moja wola życia, uczucie, które we mnie nie obumarło, spowodowało, że powiedziałem sobie - Herbert, masz już wszystko za sobą, na co składa się życie mężczyzny, teraz możesz wreszcie wsłuchać się w siebie samego, zastanowić się nad sensem życia. A potem mój wewnętrzny głos zabrzmiął przedziwnie młodo, kiedy przypomniał mi, że już jako chłopiec chciałem mieć kartę łowiecką. Moi rodzice nie wyrazili wtedy zgody, chcieli, bym się ożenił i miał dzieci, ale teraz dzieci są już duże, moja żona wyszła za mąż za swojego sekretarza, bo był ode mnie młodszy i przystojniejszy. A ja ZDAŁEM egzamin na kartę łowiecką! Teraz mam coś, co jest tylko moje!

- Ale czy nie było to dla pana niesamowicie trudne? Zdanie egzaminu na kartę łowiecką wymaga pracy, nauki, przyswajania sobie materiału, żywej inteligencji... była przecież konkurencja, w o wiele młodszym wieku...

- No tak! - Pan Hebamme-Schneiderlein przyznałby mu rację, ociągając się cokolwiek. - Dziewczyny na kursie wszystkie były młodsze, ale wykazały olbrzymią tolerancję, gdy zrozumiały, jak bardzo się staram. Trzy razy co prawda oblałem egzamin, ale pani nauczycielka chwaliła mnie i powtarzała, bym nie rezygnował, bo kiedyś na pewno zdam. No i dodała, że wszyscy są pełni uznania dla mojej odwagi. No bo który mężczyzna w moim wieku odważyłby się w ogóle opuścić pielesze domowe?

Na koniec pan Drossler zwróciłby się do gościa, uczestnika rozmowy, pana w bardzo już podeszłym wieku, który niedawno obchodził swoje czterdzieste drugie urodziny.

- Panie Oetzi, dziś pan jest naszym najstarszym gościem. I zaskakuje nas swoją witalnością i wolą życia. Gdy dzieci rozpoczęły swoje dorosłe życie, pan nie tylko skończył kurs poświęcony edukacji dorosłych, związany z problemami pańskiej grupy wiekowej i dotyczący także osób w sytuacji podobnej do tej, w jakiej pan się znalazł. Pan ... - proszę posłuchać, drogie emerytki i emeryci, wszyscy telewidzowie przed ekranami - pan mając czterdzieści dwa lata skończył kurs... czyżbym dobrze widział, co tu napisane... kurs dla modeli! Jak pan wpadł na tak niezwykły pomysł?

Gość odpowiedziałby w sposób bardzo dystyngowany:

- Kiedyś dowiedziałem się w klubie seniora, że istnieje instytut modnego pana po trzydziestce. Poszedłem tam, puszczone mnie na wybieg, tak na próbę, zrobiono zdjęcia mojej twarzy, w dużym zbliżeniu. Nawet sobie państwo nie wyobrażają, jak byłem zażenowany! Ale pan Altentreiber powiedział mi: „Kochany, pan ma gust, talent, wyrazistą twarz! Pan potrafi się poruszać! W sumie to jest to, co chce oglądać konsument po trzydziestce! Pan jest wiarygodny, pan ma odwagę stanąć w świetle reflektorów, przed kamerami fotografów!” I w taki oto sposób odzyskałem poczucie własnej wartości, pewność siebie. Od tej pory mam odwagę spoglądać w lustro.

- To widać, drogi panie Oetzi! Wygląda pan czarująco! A co pańska żona na to?

- O, to bardzo tolerancyjna osoba! Gdy dzieci wyszły z domu, ogarnęła mnie głęboka depresja. Któregoś dnia sprzątając, zerknąłem w lustro i odkryłem pierwsze zmarszczki wokół oczu! A szyja nagle okazała się taka wiotka! To było okropne! W dniu moich trzydziestych urodzin nie wstałem z łóżka i cały dzień przeryczałem!

- Prosimy w kilku słowach...

- Każdego wieczoru siedziałem przed telewizorem, z robótką w ręce i obżerałem się czekoladkami, czekając na powrót żony. Byłem tak sfrustrowany, że zacząłem szykanować kolegę w pra-

cy, Rolanda, bo był młodszy, lepiej zbudowany i cieszył się większą sympatią szefowych. Powiedziałem mu nawet, że powinien sprawić sobie wreszcie nowy garnitur. Po prostu zazdrościłem mu jego długich, szczupłych nóg i krótkich spodenek, które nosił w pracy!

- Tak, i co dalej? Może zostawmy te uwagi o brzydkich stronach pańskiego charakteru i przejdźmy do naszego tematu!

- No tak, i któregoś wieczoru czekałem znowu na żonę, ugotowałem coś pysznego, ładnie nakryłem stół, ale żona, gdy przyszła do domu, nie zwróciła na to uwagi. Ufarbowałem sobie włosy, wydepilowałem nogi, kupiłem strasznie drogie gatki, ale ona w ogóle niczego nie dostrzegała. Wtedy pomyślałem sobie: „Gerhardzie, jeśli nie zaczniesz teraz życia od nowa, będziesz sam sobie winien!”

- I wtedy zaczął pan, będąc już pod czterdziestkę, wszystko od nowa?

- Tak! To jeszcze nie wszystko! Nauczyłem się identyfikować ze swoim wyglądem! Dziś prezentuję garnitury - duże rozmiary, przede wszystkim modę ludową oczywiście, pozuję do zdjęć mebli ogrodowych i reklam odkurzaczy! Moje poczucie własnej wartości jest równie solidne jak obwód mojej łydki! Dzieci mówią do mnie: „Tato, gdy przyjeżdżamy do domu, nie musisz prac i reperować naszej bielizny, my ciebie podziwiamy i wszyscy jesteśmy zdania, że twoje życie nabrało teraz sensu i że nie zmarnowałeś go!”

Takie i podobne myśli chodziły mi po głowie, podczas gdy siedem mamusiek po trzydziestce udowadniało, że tkwi w nich wola życia.

Gdy przyszła moja kolej, zachichotałam, nie panując nad sobą.

- A ile lat ma pan, panie Drossler? - zapytałam dziennikarza.

- Czterdzieści osiem! - odpowiedział z dumą w głosie.

- Dobre lata dla mężczyzny! - ja na to. - A co pańska żona sądzi o tym, że w tym wieku nadal prowadzi pan wywiady w telewizji?

Wieczorem, po przedstawieniu, Lutz nie dał się spławić. Agencją, która zorganizowała mój występ w tym mieście, okazała się, niestety, osoba całkowicie pozbawiona fantazji i biustu. Nie wiasta pod czterdziestkę, w luźnej bluzce z wymiętym kołnierzykiem i apasce typu: „Ponadczasowa”. W knajpie „Alex” zamówiła dla nas stolik. Szkoda. Wolałabym wrócić nad rzeczkę, do gospody pod lipą i srających drożdów, gdzie znów ochoczo wcinałabym - według sprawdzonego systemu - przysmak dojrzewający wczesnym latem, czyli szparagi-małe peniski z młodymi, białymi ziemniaczkami-jąderkami, polane gorącym masłem.

Ale nikt nie zapytał mnie o zdanie. Tutaj wszystko było z góry zorganizowane.

Pani Jammer-Schade, urzędniczka odpowiedzialna za sprawy kultury w krainie Franków, przezornie zauważyła, że można by coś zjeść, jeśliby to wszystkim odpowiadało. No i że w „Alex” mają dobre wina. Wtedy przypomniał mi się pan Rehlein, który nie mógł pogodzić się z tym, że dobrą wodę mineralną popsułam tanim winem. Wtedy nabrałam ochoty na piwo, dużo piwa, w litrowych dzbankach, i bez umiaru, bo w takim byłam właśnie nastroju.

Dzień był bardzo udany. Najpierw to uroczę popołudnie z Lutzem nad rzeką Pegnitz. Potem zabawny - pod każdym względem zabawny! - występ w telewizji. No i o dwudziestą przedstawienie przed pełną widownią. Po przedstawieniu wywiady dla „Styling”, „Leute” i „Schickera”. Wszystkie trzy czasopisma ukazywały się na błyszczącym papierze. W nich to, w rubrykach: *Kobiety nowoczesne* i *Kobiety silne nadają ton*, ukazać się miały moje portrety. Zatytułowane: *Anita Bach emancypuje się* i *Przecacna pani doktor się wyłamała*.

Było oczywiście i radio (audycja pod tytułem: *Głos przy ognisku domowym*), które następnego dnia zamierzało między dziesiątą a jedenastą nadać dziewięćdziesięciminutową audycję 0 przedstawieniu oraz nagranie, dokonane na żywo, mojego występu. Byłam bezgranicznie szczęśliwa. Prawie bezgranicznie. Brakowało mi jedynie Gustawa. Ale to uczucie dusiłam w sobie i nie chciałam się do niego przyznać.

Sunęliśmy więc gęsiego, ja, Lutz oraz kilka urzędniczek, peł-

nomocniczek do spraw równouprawnienia kobiet. Wszystkie w podobnych bluzkach, luźnych i ponadczasowych. Dotarliśmy do sterylnego pomieszczenia, wymalowanego na biało, bez jakiegokolwiek dekoracji, gdzie usiedliśmy przy stołach nakrytych białymi obrusami.

Zgodnie z zasadą, że po pracy w teatrze najlepsze jest pierwsze piwo po występie, usiadłam na stołku i zaczęłam niecierpliwie stukać palcami w stół. Panienko, chce mi się pić! Kellnerka nauczyła mnie jednak, że jest kolejka, która obowiązuje wszystkich, nieprawdaż? Dziewczyna miała na sobie dżinsy i buty kowbojskie, a przepasana była białym fartuchem, sięgającym aż do ziemi. Od razu widać było, że lokal przywiązywał wagę do swoistej ekstrawagancji.

Naprzeciw nas siedziała Margareta, kobieta o trochę smutnym spojrzeniu, ale dość elegancka. Przyszła na moja sztukę dla jednej aktorki, ponieważ rozstała się właśnie ze swoim wieloletnim przyjacielem, mężczyzną, który uczeplił się jej mocno. Potrzebowała kilku słów pociechy i pomysłu, jak wieść życie bez doczepionego na siłę mężczyzny. Przyszła razem z nami, bo chciała zadać mi kilka pytań. Przyjęłam to do wiadomości raczej niechętnie. Po przedstawieniu jestem osobą prywatną, a więc chcę bez zahamowań chwycić zębami szparagi, wlewać w siebie piwo. Chcę sobie tylko posiedzieć, nie odzywając się. Rozmowa z jakąś Margareta (spojrzenie smutnego spaniela) o wyczerpujących ją układach?! Nie, to za wiele! Tu jestem uparta.

Lutz siedział obok i czekał. Żądny dalszych rozrywek. Za te czterdzieści dziewięć marek, które zapłacił, jadąc tutaj.

Wyczytaliśmy w jadłospisie, który pani Fartuszek podała nam po upływie dobrego kwadransa, że podają tu mozzarelle z bizonem, pieczone w tłącym się popiele. Spojrzałam z niejaką obawą na Lutza, który ponownie zapewnił, że jest syty, wręcz nażarty, bo ta dworcowa pizza była bardzo, ale to bardzo sycąca. Chcąc go zachęcić, zaproponowałam:

- A może deserek!? Ja też nie mam apetytu na bizona pieczonego w popiele! O tak późnej porze!

Pani Fartuszek podała nam tymczasem w nijakich kubkach

do mycia zębów zwietrzałe piwo bez pianki, które łąpczywie wyżłopaliśmy.

Tak więc czują się słynne gwiazdy, gdy zejda ze sceny - pomyślałam. - Pustka, czerń i biel, milczenie! Za żadne pieniądze! Proszę, zostawcie mnie w spokoju, mama ma migrenę, dosyć już, jutro spotkamy się znowu! I właściwie dlaczego nie dzwoni ten jeden jedyny człowiek, na którym mi naprawdę zależy, którego mi tak bardzo brak?! Dlaczego - dla przyzwoitości przynajmniej! - nie pokaże się tutaj?! Tak by wypadało!

Uprzejmie kiwałam głową. Na nic więcej się nie zdobyłam.

Rozmowa się nie kleiła. Gdy po jakiejś godzinie pojawiła się arogancka kelnerka, wykorzystałam okazję i zamówiłam dla siebie i Lutz'a talerz z serami, jako że Lutz ze swojej strony nie wyartykułował żadnego innego życzenia. Miałam nadzieję, że zamawiając talerz z serami nie popełniłam żadnego błędu.

Taka mlekodajna owca nie jest w stanie rozjuszyć człowieka tak jak bizon z popiołu - pomyślałam.

- Czy ma pani taki układ z mężczyzną, który uczepił się pani? - Margareta skierowała to pytanie do mnie, kładąc jednocześnie biust na serwetę.

Nagle wstąpiło we mnie życie!

- Skądże znowu! - zawołałam z triumfem w głosie. - Mój małżonek się mnie nie uczepił! Za żadne pieniądze nie zrobiłby tego! Handluje nieruchomościami w całej byłej NRD! Czy pani sądzi, że miałby jeszcze czas, by się mnie czepiać?

- Czy nie jest pani bardzo sfrustrowana? Czy nie czuje się pani zaniedbywana i samotna? Co robi pani w wolnym czasie?

- W wolnym czasie rzucam czary na mężczyzn. Nigdy się wtedy nie nudzę.

- Pani rzuca czary na mężczyzn?

- Oczywiście! Nieprawdaż, Lutz!

Lutz uczepił się swojego kufła i nie odezwał się ani słowem.

- Pani ma dwojaczki?

- Tak. Z dwóch różnych ojców. To ma pewien związek z moimi czarami.

Margareta jeszcze bardziej nachyliła się do nas. Jej biust zaparkował dość niezręcznie między dwoma kieliszkami wi-

na, w miejscu, gdzie obowiązywał absolutny zakaz zatrzymywania się.

- Jeden z nich to Bert. Jest starszy. Jego ojcem jest na pewno mój mąż.

- A ten drugi?

- Tego drugiego mam z pewnym aktorem.

- No i co? Kim jest ten aktor?

- Znikł! Nie ma go! Jakby go ziemia pochłonięła!

- Ale czy nigdy nie chciała pani się z nim spotkać?

- W pewnym momencie trzeba sobie dać spokój. Niech pani pomyśli o swoim czepiającym się Haraldzie!

- Ale w wieku lat osiemnastu pani syn będzie miał PRAWO dowiedzieć się, kim jest jego ojciec. Zamierza pani to przemilczeć?

- O, wie pani, ja w wieku lat osiemnastu też takie prawo miałam. Ale ja nie CHCIAŁAM wiedzieć, kim jest mój ojciec, ponieważ moja matka sama nie była pewna, po kim ją odziedziczyłam te wszystkie okropne cechy. W każdym razie nie po niej. Ani jednej!

- SŁUCHAM? Czyżby pani również była takim dwojaczkiem o dwóch ojcach?

- Jestem jednoraczką dwóch ojców. Tacy są najgorsi. - Zachichotałam.

Lutz uczeplił się swojego kubka do mycia zębów, jakby szukał w nim wsparcia. Zerknęłam dyskretnie w jego kierunku. Czy nie wymagam od niego zbyt wiele. Ale przecież coś mu się należało za te czterdzieści dziewięć marek, które zapłacił, jadąc tutaj.

Wreszcie, po czterdziestu minutach, Fartuszek przyniósł talerz z serami. Na nim, czyli na talerzu, leżała odrobinka spleśniałego sera, przybrana artystycznie czterema malutkimi winogronami, kunsztownie ze sobą splecionymi, jakby zawstydzonymi swoją obecnością na talerzu.

- Proszę, częstuj się, ile dusza zapragnie, tylko się nie przejedz! - krzyknęłam. Teraz już nie byłam w stanie zapanować nad wesołością, która mnie ponownie ogarnęła.

Lutz sięgnął nieśmiało po winogronko i wsunął je sobie do

ust. Co za erotyka w tym geście! Zgodnie z hasłem, że tę rezsztkę, której nie zjemy, po prostu wypijemy, opróżniliśmy kolejne kubki do mycia zębów. Osiągnęliśmy stan błogości. Zwłaszcza ja. W nosie miałam Gustawa. Tylko by tu przeszkadzał.

Luźne bluzki zapłaciły rachunek.

- Gdybyśmy wiedzieli o tym wcześniej, to zamówilibyśmy wielkiego bizona z popiołu, prawda, Lutz? - zawołałam wielce uradowana.

Lutz uśmiechnął się trochę niepewnie. Pożegnaliśmy się z pełnomocniczkami do spraw uprawniania kobiet i z Margareta, po czym ruszyliśmy w kierunku zamku. Noc była ciepła, a my wstawieni. On szedł do swojego schroniska, a ja do romantycznego hotelu „Duerer”, w którego holu wisiał obraz Chrystusa.

Na wybrukowanym dziedzińcu przed zamkiem siedzieli młodzi ludzie, brzdąkali na gitarach, popijali piwo z puszek, palili kruszące się papierosy, które sami kręcili, i śpiewali piosenki, które my też kiedyś śpiewaliśmy. No i te dżinsy rozkloszowane u dołu. Gdzieś między nimi widziałam siebie i Hannesa. Śpiewaliśmy, liczyliśmy gwiazdy, całowaliśmy się jak szaleni i wreszcie zniknęliśmy pod ciemnoczerwoną, lekko zakurzoną narzutą naszego francuskiego łóża. Tak było wtedy. Gdy zaczęło się moje życie.

Zamknęłam oczy i wsłuchiwałam się w odgłosy, wczuwałam w atmosferę i wdychałam zapachy, które niosło ze sobą łagodne, letnie powietrze.

- No, czy tak właśnie wyobrażałeś sobie ten dzień w Norymberdze? - zapytałam Lutza.

- Nie! W najśmielszych snach nie wyobrażałem sobie czegoś takiego! - odparł.

- W takim razie śpij słodko - odpowiedziałam i delikatnie wyzwoiliłam się z jego ramion. - I niech ci się przyśni jakaś śmiała wyprawa.

W swoich pantoflach na wysokich obcasach podreptałam po wybrukowanym placu do hotelu „Duerer” z obrazem Jezusa w holu. Chrystus spoglądał na mnie miłosiernie i uważnie.

- Tak jest, w porządku, szefie - mruknęłam. - Przecież nie

rozrabiam. Kto śpi, nie grzeszy. Czy ty to powiedziałaś? - Zamknęłam za sobą drzwi.

Ostatnią miejscowością i zarazem punktem kulminacyjnym mojego tournée był występ w Weiden w Górny Palatynacie. Lutz Schmitz-Nittenwirm wyjechał. Ja natomiast ze swoją przyjaciółką, walizeczką Hasso, krążyłam po śródmieściu, szukając hotelu „Przy Wieży”.

Ostatnia noc poza domem. Ostatnia samotna noc. Jeszcze tylko jedno przedstawienie. Jeszcze raz tłok na widowni, radio „Głos Górnego Palatynatu” przed przedstawieniem, wywiad dla tygodnika „Światowa Kobieta w Bawarii i Frankonii”. Jutro już będę w domu, z rodziną. Ze swoimi. Z Erniem i Bertem, Beniaminem, Ernstbertem i Gretą. Wszystko wróci do normy. Szczególnie cieszyłam się na ponowne spotkanie z moimi przyjaciółmi z planu filmowego *Naszego małego szpitalika*. Postanowiłam, że będę szczególnie miła dla siostry Ulriki. No bo przecież te jej złośliwe uwagi są jedynie, skrzytnie ukrywanym, jednym wielkim wołaniem o pomoc, próbą zwrócenia na siebie uwagi, odreagowywaniem słabości i kompleksów, próbą emocjonalnego uporania się z własną niedoskonałością. Tego, jak mu tam, tego naszego reżysera też wkrótce zobaczę. Któregoś dnia, niedługo. Znowu wcielę się w rolę Anity Bach i przestanę być Charlottą Pfeffer. To ponownie stworzy dystans między nami. Dystans, który panował uprzednio. Z mojej piersi nie wyrwie się ani jedno słówko na tematy prywatne. Będziemy znowu klepać te kretyńskie dialogi, kręcić zdjęcia z podróży poślubnej, która odbędzie się gdzieś w okolicach Alp albo gdzieś w podobnym guście, a w przerwie między zdjęciami zasiądziemy w stołówce, by obejrzeć zdjęcia Adriana w szkole jeździeckiej. Lora Kosz-marna będzie powtarzać do upadłego, że to wszystko jest okropne, Gretel Zupf, wystrojona w sweterek z wiszącymi uszami zajączka, który zrobiła sobie oczywiście własnoręcznie na drutach, znowu będzie spóźniać się na próby, a jej wejściom towarzyszyć będzie szum. I znowu nie omieszką przynieść do studia w swojej torbie na zakupy kolejnych magazynów dla

samiczek domowych. Justus znów będzie czatował za latarnią, a jego kurteczka w kolorze kupki niemowlaka zamigota w tle. Gernot Miesmacher będzie szczyrzył ironicznie zęby, prezentując swoje złote koronki, czasem wyrazi swoje niezadowolenie z powodu naszego zbyt dużego nakładu pracy, a Ulrika powie mi, żebym podczas kręcenia zdjęć nie zakładała nogi na nogę, bo to wpływa niekorzystnie na ogólny poziom programów naszej stacji telewizyjnej.

Za tydzień zaczyna się letnia przerwa. Czas zrobi swoje, bo po przerwie nikt nie będzie pamiętał tego, co minęło.

W domu będzie jak było. Wszystko wróci do normy. Ernstbert schowa się w kiblu, by czytać instrukcje obsługi, ja będę chodzić z dziećmi do lasu podmiejskiego, by łapać kaczki, będę wozić je na hokej, balet wodny i kreatywną grę na harfie, a jeśli utrzyma się ładna pogoda, pojedziemy na kilka dni na urlop. Być może!

Straszliwie się cieszyłam, że wracam do domu. Jeszcze tylko jeden dzień poza domem! Gdy skręcałam w kierunku podjazdu do hotelu, ujrzałam przyczepę kempingową. Na kolońskiej rejestracji.

- Hasso, do nogi! - warknęłam, jednocześnie usiłując zapamiętać nad poziomem adrenaliny we krwi. - NIE podejźmy do przyczepy i NTE zajrzemy przez okno do środka, gniotąc sobie biust o przednią szybę, by upewnić się, czy w środku leży na kanapce Gustaw. ZIGNORUJEMY ten pojazd i wejdziemy do hotelu. Z klasą, słyszysz? Trzymaj fason! Czy ja muszę? No, powiedz! Za żadne pieniądze!

W recepcji było ciemno, nic nie było widać, więc najpierw drżącymi palcami stuknęłam w dzwonek. Po chwili przydreptał ze swojego schowka jakiś emeryt w kapciach i podsunął mi pod biust wymięty formularz meldunkowy. Błyskawicznie wpiisałam nazwisko. Ręce mi się trzęsły straszliwie. W każdej chwili spodziewałam się, że położy mi rękę na ramieniu, że usłyszę JEGO głos nad uchem, że wokół siebie poczuję JEGO fluidy.

- Charlotte! - Gustawie! - Nie mogłem... - W porządku, nic nie mów... - Jestem ci winien kilka słów wyjaśnienia... -

Nie, skąd! Przecież jesteś! - To tylko dlatego, że cię tak bardzo kocham! - Wiem. Ja ciebie też kocham.

- Czy coś jeszcze? - Staruch zaskrzeczał, rzucając klucze do pokoju hotelowego na ladę.

- Czy jest może jakaś wiadomość dla mnie? - zaszeptałam ochrypłym głosem.

- Słucham? - zapytał dziadek.

- Nic, nic. - Ruszyłam ciemnym korytarzem, ciągnąc za sobą swoją Hasso.

W drzwiach nie ma żadnej kartki. Na mojej poduszce nie leży Gustaw. Ciasteczka też nie.

Pokój hotelowy, ciemny, ponury, nudny, straszliwie mieszczański, w oknach okiennice ciemnozielone, dwuskrzydłowe, ruchome. Pod jedną ścianą wąskie łóżko, przy drugiej biurko. W nogach łóżka mały telewizorek. Na nocnym stoliku Biblia. Po lewej stronie w kącie mała łazienka. Mikroskopijne ilości mydła na umywalce. Zapasowa rolka papieru toaletowego na grzejniku. Nudy na pudy.

Postawiłam walizczkę w kącie.

- Siedź tu teraz. Ja pójdę zobaczyć, jak wygląda sytuacja.

Nie, to nie do pomyślenia, by ostatni wieczór obył się bez dobrej zabawy. Ani mi się śniło nudzić się w ostatni dzień mojego tournée.

Na ryneczku życie wrzało. Wszędzie wisiały plakaty z moją podobizną: „Charlotta Pfeffer w *Czarnym i białym pieprzu* - DZIŚ”! A na tym naklejono: „Wszystkie bilety WYPRZEDANE!”

No proszę - pomyślałam - możesz się przekonać, Gustawie! Jestem wyprzedana! Do mnie dziś wieczorem już się nie dochniesz. Możesz wracać do domu.

Niedrich przysłał do hotelu „Duerer” w Norymberdze faks, w którym mi napisał, że czeka na następny monodram i że zakłada, znając dobrze moją fantazję i intelekt, że może się spodziewać - będąc już w Gran Canaria na urlopie - następnych moich pomysłów, o których go zawiadomię. No i że zaplanował kolejne tournée na jesień, tym razem też w Austrii i Szwajcarii.

Tą małą formą sztuki teatralnej zainteresowała się też brazylijska filia Instytutu Goethego, a także filia amerykańska, ponieważ Niemcy mieszkają na całym świecie. Bada grunt wszędzie, gdzie może. No i chce się ze mną koniecznie spotkać przed przerwą letnią, ponadto życzy mi dalszych sukcesów podczas ostatniego etapu tournée.

NAWET Niedrich zmienił ton, zwracając się do mnie. NAWET on.

Tylko nie sądz, że poświęcam ci nadmierną uwagę - mówiłam w myślach do Gustawa - drepcząc w nowych, kremowych szpi-kach po kocich łbach. - Kiedyś jeszcze trafię do Hollywood. Weźniej czy później. Nie do wiary!

Włóczyłam się wiec po mieście, gapiąc się na śliczne sukieneczki ludowe, płaszcze z lodenu i ubranka ludowe dla dzieci, wystawione w witrynach sklepowych. Gretel Zupf byłaby zachwycona: "Jakie to słodkie, urocze, ach, no nie, jakie to twarzowe, popatrz, ta ponadczasowa, taka klasyczna chusteczka do butonierki! W kacuszki! A tu wzory robótek! Do szydełkowania! Jak to wyszczupła, pozwolę sobie na ten luksus, jestem przecież wytworną damą!" Ale w odbiciu każdej witryny szukałam jedynie jego postaci, postaci żelaznego Gustawa, wychodzącego z nagła zza węgła, który - czułam to wyraźnie - musiał być gdzieś blisko! Szedł moimi śladami! A może jednak nie? Może ta przyczepa na dziedzińcu hotelowym to nie był wcale jego samochód? W takim razie czyj? No powiedz, czyj!

W porządku - pomyślałam. - Nie masz odwagi podejść. Tak jest rzeczywiście lepiej. Diwa jest urażona. Nawet bardzo. Nawet gdybyś obrzucił mnie kanapkami z pasztetową! Ani słówka. Nigdy już! Za żadne pieniądze!

Skierowałam się w kierunku rynku. Tu zajęłam miejsce przy wolnym stoliku przed ratuszem, obwieszonym flagami. Wszędzie siedzieli świątecznie ubrani ludzie, rozmawiali, śmiali się, jedli lody i pili piwo. Mój występ pomyślany był jako uwieńczenie jakiegoś tam tygodnia kultury kobiet - bo tego typu imprezy poświęcone kulturze feministycznej organizowane są obecnie bardzo często i - począwszy od burmistrza w lodenowej kurtce ze srebrnymi guzikami, aż po pełnomocniczkę do spraw upraw-

nień kobiet w ludowej sukience ze srebrnymi guzikami - wszyscy byli w stanie gotowości bojowej. Wszyscy na nogach! Dla dzieci karuzela i budy, w których sprzedawano kiełbaski z musztardą. No i balony, rzucanie puszką do celu, skakanie w worku i rzucanie jajkami.

Zatęskniłam za Erniem i Bertem. Już jutro. Jeszcze tylko jedna noc. I potem już nigdy więcej bez nich... Jaka tam z ciebie matka... No, przyznaj sama!

- Co podać?

- Duża kawa z mlekiem i świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy!

- Świeżo wyciśniętego soku, niestety, nie mamy!

- W takim razie niech pan powie w kuchni, żeby wycisnęli!

- Nie rozumiem!

- W porządku! Niech mi pan przyniesie cokolwiek. Coś co jest zdrowe i nie zawiera alkoholu!

- Oczywiście, łaskawa pani! - Mówiąc to, kelner odfrunął.

Obserwowałam emeryta, który siedział w lodenowym płaszczu. Chociaż świeciło słońce, uzbrojony był w kapelusz z piórkami i parasol. Siedział nad pucharkiem lodów i bez przerwy głośno i gwałtownie kaszłał. Chr, chr, chr, chr, chr! - krzyczał. A potem: ho, ho, ho, ho! Br, br, br, br! Po czym podnosił do ust łyżeczkę lodów, by dodać: rododendron, rododendron!

Mam tego dosyć - pomyślałam! - Tak być nie może! Do czego to podobne! Gdyby tak każdy się zachowywał...

Wyjęłam z mojego wytwornego plecaczka okulary słoneczne i je założyłam. Optycznie emeryt ściemniał, ale akustycznie nic się nie zmieniło.

Harrusza! Hasz! Hesz! - szczeakał na cały rynek.

Co za stary piernik - pomyślałam, mocna rozeźlona. - Za chwilę przejdzie mi apetyt na kawę z mlekiem.

Goście siedzący obok mnie, jakby nie dostrzegali starucha. Wyglądało na to, że Wolnym Państwie Bawarskim publiczne odkasływanie i ostentacyjne czyszczenie nosa nie jest niczym nadzwyczajnym, a może nawet zjawiskiem mile widzianym.

Kelner nadfrunął przynosząc mi jakąś odrobinę mętnej kawy (harrusza, koch, kich, kich!) i jakiś zielonkawy soczek (hebesz,

hebesz, roch). Zamówienie wylądowało przed moim nosem. Uprzejmie podziękowałam.

No tak, jeszcze cztery godziny. Co począć z wolnym czasem?

Hrresza, hsza, hsza! - Staruch kasłał bez przerwy. Bardzo zabawne. - Hor, hor, hor, horror! Rochus! - dodał jeszcze coś do znanego mi już repertuaru facet w kapelusiku.

Usiłowałam patrzeć na kolorowe parasole i cieszyć się ich widokiem. Także widokiem kwiatów w skrzynkach wokół nas! Ile kolorowych bratków!

Hrsza, hesz, hesz!

O, motylek! O, popatrz! Fruwa oszołomiony latem, z kwiatka na kwiatek.

Ha, hasz, asz! Hrro-horro-hro!

O - pomyślałam - zdławił w sobie, no, spróbuj raz jeszcze, tym razem z rozbiegu. Spluń do torebki!

Lodenowy płaszcz przerwy w kaszlu wykorzystywał na pochłanianie żółtych lodów z żółtym kremem. Na żółtym kremie widniały brązowe plamy. Być może były to wiórki czekoladowe. A może nie?

Nie patrz w tamtą stronę! Charlotto! Odwróć wzrok! Popatrz na te kolorowe bawarskie dziewoje! Jakie mają chusty! Jakie frędzle! No i ten apetyczny dekolt pod białą, mocno wykrochmaloną koronką. W kolorowych, wesołych strojach lud...

Trach, trach, trach! Barach, barach! - No coś takiego! - Hlisz, hlisz!

Mam tego dosyć. Idę stąd. Nie wytrzymam, nie wytrzymam. Za żadne pieniądze nie zostanę tu dłużej.

- Panie starszy, rachunek! - Szukałam portfela w plecaku. Dziesięć marek - to chyba starczy jak na taką przyjemność? Wsunęłam banknot pod filiżankę, by go nie uniósł wiatr. Kelnera nie było widać, widocznie fruwał gdzieś indziej.

W momencie, gdy chciałam się podnieść, poczułam, że ktoś idzie w moim kierunku. Zbliża się do mnie. Czułam, że się zbliża.

Nie patrz, jesteś obrażona, nikogo się nie spodziewasz, a już na pewno nie Gustawa!

Dziadek odkasływał.

Postanowiłam wstać i odejść. Nie ze mną takie numery. A może jednak zerknąć? Zaryzykować? Nie. Zachowuj się z klasą! Trzymaj fason do końca! Opadłam z powrotem na krzeselko.

Ktoś położył rękę na moim ramieniu. Muskularne przedramię. Podniosłam głowę. Patrzyłam pod światło. Coś błyszczało i oślepiało mnie. Czyżby koleczyk?

- Beniamin?! - Mój chłopiec do dzieci! Mój chłopaczek domowy! - Gdzie są dzieci?

- Mają świetną opiekę! - odpowiedział Beniamin i opadł na sąsiednie krzeselko.

Teraz słońce mnie już nie oślepiało. Beniamin wyglądał fantastycznie. Młody, apetyczny, już opalony, roześmiany, rozbrykany, żądny czynów... Muskularne ramiona, lekki zez. Bardzo przypominał Hannesa.

Hrosz! Hsz, hsz! - kaszlący dziadek w płaszczu z lodenu komentował wydarzenie na swój sposób. - Hrsz, harrasz!

- Jaką opiekę? Z kim są dzieci? Kto ci pozwolił opuścić miejsce pracy...?

- Twój mąż!

- Kto?

- No, twój mąż! Twój poślubiony! - Beniamin usiłował przekrzywić mokry, szczekający kaszel dziadka i odgłosy, jakie wydawał z siebie wyrzucając flegmę z ust. - Miły z niego gość! Lubię go!

- Ernstberta?! - odkrzyknęłam. Wszyscy spojrzeli w naszym kierunku, bo dziadek właśnie nie kasłał, a ja się przeliczyłam, podnosząc głos.

- Dzień dobry! Jeszcze się nie przywitaliśmy! - Beniamin chwycił moją dłoń i serdecznie nią potrząsnął.

- Nie spodziewałam się ciebie! - wyduśiłam.

Nie ciebie, kochany, nie ciebie! Ale skąd możesz o tym wiedzieć?

- No cóż! - Beniamin wyciągnął swoje długie nogi w dżinsach. Chwycił szklanekę z zielonkawym sokiem i wypił go jednym haustem. - Po pierwsze, zawsze jest inaczej, po drugie, zawsze inaczej niż się myśli! Właściwie to moja praca miała się skończyć w przyszłym tygodniu.

- Nie rozumiem. Kto cię zwolnił?
Hrsch, hrch, hrrer, psik! - Nasz sąsiad odezwał się ponownie.
- Twój mąż! Przecież już ci powiedziałem!
- Ale dlaczego? Źle się sprawowałeś? Byłeś niegrzeczny? Oponowałeś? A może źle wytarłeś schody? No, mówże wreszcie!

- Nie, nie, nic z tych rzeczy. - Beniamin dodał: - Niepotrzebnie się niepokoisz. Teraz sięgnął po moją kawę z białawą pianą i brązowymi plamkami.

Hrch, harch, harch.

Biedaczysko musiał być wygłodzony.

- A może zjesz coś?

- O, chętnie! Co tu dają?

Hrsch, harsch, harsch-harch-harch-harch!

- Zamów sobie coś! Opowiadaj, co w domu!

Kiwnęłam na fruwającego kelnera. Podczas kolejnego jego przelotu udało mi się krzyknąć, żeby przyniósł jadłospis.

I SZKLANKĘ WODY!

Harrach!

- No więc twój mąż zjawił się przed dwoma tygodniami...

- Słucham? Przed dwoma tygodniami?

- ...i powiedział, że teraz on będzie zajmował się dziećmi.

- Nie.

- A jednak! Skoro ci mówię...

- Mój mąż jest w byłej NRD, czyli nowych bundeslandach, siedzi tam w jakimś biurze bez okien i robi w nieruchomościach - powiedziałam. - Urządza jakieś kasyno gry czy inny supermarket.

- Nie, nie! Teraz już nie. Zmienił to i owo w domu, wypytał mnie, jak gotuję, co dodaję do pizzy, którą szmatę biorę do mycia schodów i jakiego środka używam do zmiękczenia kolorowej bielizny.

- **ROBISZ MNIE W KONIA!** - Byłam zachwycona żartem chłopca. - Chłopie! Mało brakowało, a bym ci uwierzyła!

Hrrrsz! Hrrsz! Hrsz! Harras, herkules!

Poderwałam się z miejsca i rzuciłam na szyję temu urocemu żartownisiowi. Ucałowałam jego miękkie policzki. No nie, co

za pomysł! Jaki oryginalny żart! Zażartować sobie tak ze starszej pani i sprawić jej tyle przyjemności! Prima aprilis! Chociaż mamy już lipiec!

Dziadek w płaszczu lodenowym kręcił głową - w kapelusiku z piórkiem - na znak dezaprobaty. Co za zachowanie! W miejscu publicznym! Gdyby tak każdy się zachowywał! Tak po prostu poderwać się z miejsca i na głos powiedzieć, że ktoś robi kogoś w konia! Głośno! Żeby wszyscy usłyszeli!

Harsz harsz! - Siadaj. - Chrl, chrl...

Beniamin odsunął mnie delikatnie od siebie.

- Nie, serio! Nie zalewam. Tak było, mówię prawdę.

- Stop, pomyłka. Pomyliłeś go z kimś. Mówisz o moim mężu. Czy mówił z akcentem!? Południowotyrolskim? Czy mówił na przykład, że w przyprawianiu pizzy jest dobry? Albo: „U nas w Tyrolu też zawsze szoruję kibel”? Czy to był on?

- Nie! Nie aktor wiedeńskiego Burgtheater, pan Chwalipięta Maria Bornheimer. On zresztą kilka razy dzwonił, ale o tym później. Nie, twój małżonek. Przecież ci mówię!

- Taki gruby? W okularach? W garniturze?

Hsz-hsz-hsz! Esz-esz-esz! - Kurtka z lodenu cała w smarkach...

- Nie jest gruby. I nie widziałem go w garniturze. Zawsze w dżinsach, podkoszulkach i sportowym obuwiu. Wygląda interesująco.

- W takim razie to nie on. - Kto to mógł być? - Beniaminie! Przez KOGO dałeś się zwolnić i wypłoszyć z MOJEGO domu? Kto jest z MOIMI dziećmi?

- Ojciec dzieci! Przecież mówię!

- Hannes?! Czy miał czarne loki i lekkiego zeza?

- Jaki znów Hannes! ERNSTBERT! Tak przecież ma na imię twój mąż. No, czy ty w ogóle wiesz, czyją żoną jesteś?

- Ostatnio coraz mniej się orientuję! - Przyznałam mu rację.

Dziadek w lodenie podniósł się. Pokaszując na pożegnanie - hrrsz, hrrsz hrrsz - pokuśtykał przed siebie. Widziałam to tylko kątem oka.

- Ernstbert Schatz! - Beniamin dodał: - To gość naprawdę w porządku. I świetny kumpel! Świetny ojciec. Facet ma duże

poczucie humoru! Naprawdę w porządku! Można ci go tylko pogratulować!

Obejrzałam się, szukając wzrokiem kaszłającego dziadka. Brakowało mi go. Nagle zrobiło się bardzo cicho. Nadfrunął latający kelner. Beniamin zamówił pieczeń wieprzową, knedle i kapustę. No i litrowy dzbanek piwa. Kelner miał piwo i walnął dzbanem przed Beniaminem.

- Na zdrowie!

Beniamin podniósł wiaderko do ust. Pod skórą jego mięśnie igrały z wdziękiem. Pił niczym spragniony wielbłąd. Gdy odstawił wiaderko, do połowy było puste.

Patrzyłam na niego w osłupieniu.

- Co ci jest? Mam nos w pianie?

- Nie! - jękałam się. - Ale to, co opowiadasz o moim mężu! Tego nie rozumiem. Ernstbert troszczący się o dzieci? Tu coś nie gra. Czuję to całą sobą.

- Masz, napij się. - Beniamin podsunął mi piwo.

Podniosłam wiaderko do ust i opróżniłam jednym haustem.

Potem poszliśmy na krótki spacer. Szliśmy przez jakiś park, zieleńiec miejski, przy szkole, gdzie było boisko, jakieś kontenery na makulaturę, jakieś wiejskie dzieci na rolkach. I jakaś rzeczka, która wpadała do bajorka.

Nie byłam w stanie ogarnąć tego wszystkiego. Ernstbert wrócił do domu. Zainteresował się dziećmi. I domem. Schudł i nosił dzinsy.

- Ale dlaczego? Skąd ta zmiana?...

- No, niestety byłem zmuszony powiedzieć mu o naszej wspólnej nocy. - Zmieszany bardzo Beniamin wsunął ręce do kieszeni spodni.

- Oszalałeś? - Wrzasnęłam na niego. - Takich rzeczy się nie robi! Dżentelmen ma swoją przyjemność i milczy! Chłopcze, musisz jeszcze się wiele nauczyć! Dziecko, dziecko, dziecko! Kręciłam głową.

Cierpliwości! Cierpliwości! Charlotte - ostrzegałam sama siebie. - Chłopiec właśnie skończył dwadzieścia lat.

- A więc jeszcze raz wszystko od początku... - powiedziałam po raz dwudziesty. - Stał nagle w drzwiach i powiedział...

- Stał w drzwiach i powiedział: „Cześć, mam na imię Ernstbert, Charlotta dużo mi o tobie opowiadała, masz na imię Benjamin. Cieszę się, że mogę cię poznać”.

- I ty go tak po prostu wpuściłeś? Przecież to mógł być jakiś oszust czy złodziej...

- Miał mi pokazać dowód? Dzieci go poznały!

- Tak? A jak zareagowały?

- Niemrawo. Najpierw powiedziały: „Cześć, tato!”, potem poszły do siebie i puściły kasety.

- W takim razie to on. I co dalej? Opowiadaj! Czy muszę wszystko z ciebie wyciągać?

- Potem wszedł do środka, a ja go poczęstowałam kawą i ciasteczkami własnej roboty. Wtedy podziękował i dodał, że jest na diecie, ale kawy to się chętnie napije. Potem zapytał, w co się bawimy.

- W co się BAWICIE? Naprawdę tak zapytał? - Nadal nie byłam pewna, czy mówiliśmy o moim mężu. - Dalej! Chłopcze, mów, nie ociągaj się!

Za nami zaszczekał sła biutko jakiś stary szpic. Zasłoń usta ręką. Jeśli zaczniesz kaszleć, piesku, dostaniesz manto!

- Właśnie budowaliśmy zamek rycerski z klocków playmobil, które przywiozłem dzieciom. Gdy to zobaczył, uklęknął i zaczął bawić się razem z nami.

- Nie!

- A jednak!

- A ja myślałam, że dzieci włączyły kasetę.

- Wieżę wybudowaliśmy sami. Ernstbert i ja. Wiesz, jakie to fajne? Ten Ernstbert to taki niezgrabiasz...

- Oooo!

- I dlatego dość długo się guzdraliśmy. Ale udało się.

- Aha. - Wykrzywiłam twarz w uśmiechu.

- Ernstbert i ja prowadziliśmy bitwy, na przykład piraci przeciw rycerzom! Zapomnieliśmy, która godzina! Gdy dzieci wróciły od siebie, zaczęły się bawić razem z nami. Fajnie było, naprawdę! Ten twój Ernstbert to naprawdę morowy chłop!

- Już mówiłeś.
 - Potem położyliśmy dzieci spać, a ja posprzątałem...
 - ON kładł dzieci spać?
 - Tak. On. I przeczytał im na dobranoc.
- Szpic zakaszłał. Chciałam go kopnąć.
- Potem usiedliśmy na tarasie i wypiliśmy po piwie. Pytał mnie, co porabiam. Ja mu wyjaśniłem, że jestem gosposiem, wtedy on mi na to, że jego też to interesuje - jako pole działania... I czy jestem w stanie mu pomóc. Jasne, ja mu na to, chętnie. I wtedy ja go spytałem, co on robi.
 - I co? Co ci powiedział?
 - Powiedział, że układa sobie życie od nowa.
 - No coś takiego! W jaki sensie?
 - Gdzieś ciebie widział, powiedział...
 - Co? Co to znaczy, że gdzieś mnie widział?
 - Zaczekaj, mówił mi, zaraz sobie przypomnę. Powiedział, że widział twoje przedstawienie w Bad Hersfeld, czy gdzieś tam, gdzieś pod byłą granicą z NRD. W każdym razie przemawiałaś do niego. Czy coś w tym rodzaju.
 - Czy coś w tym rodzaju - powtórzyłam słabym głosem.
- Szliśmy przed siebie.
- Powiedział, że ma czterdzieści pięć lat, życie jego poszło w takim kierunku, że jest teraz zdania, że to przechłapane życie.
 - Nie, tego NIE powiedział.
 - Powiedział. Dokładnie tak. No i że ty odsuwasz się od niego coraz bardziej, żyjesz własnym życiem i masz swoje sprawy, a teraz ten dziwny monodram otworzył mu oczy. Cały czas poświęcał nieruchomościom, a to nic nie daje, bo życie szybko mija. Teraz porządkuje swoje życie... Układa je od nowa...
 - Ach tak. Porządkuje. Układa je w segregatorach! Wpina je! A może wyrzucił wszystkie instrukcje obsługi?!
 - Zaczął od dzieci. Kupił starą przyczepę kempingową i jeździ z nimi...
 - Aha, przyczepa kempingowa - mruknęłam bezbarwnym głosem. Przyczepa kempingowa na kolońskiej rejestracji. Na dziedzińcu hotelowym. A myślałam, że to Gustaw.
- To sen. Zaraz obudzę się i znajdę się w jednym z tych ho-

telowych łóżek, o których nigdy nie wiedziałam, w jakim stoja mieście i czy wyjście jest po lewej czy po prawej stronie. Potem zataczając się, podrepczę do łazienki, wezmę prysznic z lodowatej wody, wsadzę łeb pod wodę, by dojść do siebie i nabrać rozumu.

Szpic, który cały czas czaił się za nami, wyginając grzbiet niczym kocur i trzymając pysk nisko przy ziemi, rzucał od czasu do czasu jakąś uwagę pod adresem moich łydek.

Hesz! Wau! Wau!

- Potem dziwnie często rozmawiał przez telefon z jakimś facetem, który zawsze wiedział, gdzie jesteś. Jakoś był wciągnięty w twoją podróż. Organizacyjnie czy jakoś tak... - wyjaśniał Beniamin.

- Niedrich - mruknęłam. - Czy miał ropną krostę na twarzy?

- Taki starszy gość - Beniamin kontynuował. - Nie wiem, jak wyglądał. Z nim spotkał się na pewno kilka razy. On dał mu też książkę z twoją sztuką, a wtedy Ernstbert przeczytał tekst. Stary chyba wyjaśnił mu to i owo, w każdym razie Ernstbert był pod silnym wrażeniem tekstu i twoich sukcesów. I kiedyś - razem ze Starym - był raz jeszcze na przedstawieniu.

- Z jakim znowu Starym?

- Nie duś mnie teraz. Mówili o twojej przyszłości, a Ernstbert powiedział, że nie stanie ci na drodze, że masz przed sobą wielką karierę, że nigdy ciebie jako aktorki nie brał poważnie i że teraz jest mu cholernie przykro. Że sam zawinił i spowodował, że tak się wszystko potoczyło i że - od zaraz! - odciąży ciebie, zarówno w obowiązkach przy dzieciach, jak i w domu. I że w tobie tkwią wielkie możliwości, że możesz dać z siebie o wiele więcej niż w tej tandecie, w tym idiotycznym serialu, w którym grasz panią doktor Lukier, gdzie się nie rozwijasz, i że to nie jest praca, lecz przedszkole, powiedział.

- W takim razie to on.

Wrrr, wrr, **WIT** - sapanie u mojej nogi - wrr. - Szpic znalazł się tak blisko, że na wysokości kostki czułam jego mokry nos. - Won, ty bestio! Nie wtrącaj się!

Znowu jakiś upierdliwy Harald. Czyżbym zaccarowała psa?

- No to w takim razie dlaczego nie przyjechał? Dlaczego przyjechałeś TY?

- Był zdania, że musisz wszystko przemyśleć, zastanowić się, co dalej. Nie tylko on musi wszystko przeanalizować, ty również. Masz do tego pełne prawo.

Wreszcie skomentowałam to wszystko z dużą dozą sceptycyzmu:

- Kto wie, na jak długo starczy mu dobrych chęci! Na jak długo?! Kiedyś znowu trzeba będzie się zająć kolejną sprzedażą nieruchomości!

Psisko wykrztusiło z siebie kilka żdźbeł trawy na dróżkę.

- On to też powiedział - poinformował mnie Beniamin. - Z jednej strony pragnie cię jak najszybciej zobaczyć. I zacząć z tobą nowe życie.

Zaraz się rozpłaczę. Kundel zaczął się dławić.

- Ale z drugiej strony chce ci dać trochę czasu. Ja naprawdę jestem pełen uznania dla tego twojego Ernstberta! To gość w porządku!

- I dlatego, że jesteś tak nim zachwycony, opowiedziałeś mu o naszej wspólnej nocy?

- Tak, coś w tym rodzaju. On, ten twój mąż, wiedział przecież, że masz kilku - no, mówiąc ogólnie - wielbicieli.

- Wielbicieli. Jak to ładnie zabrzmiało. - Wykrzywiłam twarz we frywolnym uśmiechu.

Szpic ruszył w kierunku najbliższej ławki ogrodowej, obsiadał ją kilkoma żałosnymi kropelkami, po czym z teatralnym gestem łapy przysypał je ziemią.

Pyszałek - pomyślałam. - Taki Chwalipięta z Dolnej Bawarii.

Psisko zakasało z zadowoleniem, ot tak, ciesząc się z wyrażonej komuś szkody, by po chwili wrócić do natrętnego obwąchiwania moich łydek.

Beniamin zatrzymał się na chwilę.

- Tego wieczoru, u was w domu, podczas tej fety w ogrodzie, gdy jedliśmy sałatkę, wtedy coś upadło na ziemię, widelec chyba...

- Oliwka! - poprawiłam go, usiłując nogą przegonić psa.

- Tak, właśnie w tym momencie zakochałem się w tobie. Doskonale tę chwilę pamiętam.

Może i kundel się we mnie zakochał?

- Tak to się po prostu stało! Ale ja naprawdę nie chciałem się w tobie zakochać! Nie jesteś kobietą dla mnie.

- O, Beniaminie! - odparłam na to. - Mogłabym być twoją matką!

- No i co z tego! - stwierdził. - Gdy człowiek się zakocha, wiek nie gra żadnej roli.

- Skoro tak sądzisz! - westchnęłam.

- A czy wiesz, co powiedział twój mąż, gdy mu opowiedziałem o tym, jak spadł widelec?

- Oliwka! - poprawiłam go.

Szpic ziewnął, aż mu w oczach stanęły łzy. Widziałam jego zwinięty języczek i żółte, ostre zęby drapieżnika oraz miękkie, ciemnoróżowe podniebienie, do którego przylepiło się źdźbło trawy i nadal tam tkwiło.

- Powiedział mi, że z nim było dokładnie TAK SAMO! Był u ciebie w mieszkaniu, siedzieliście razem, a on porządkował dokumenty dla urzędu podatkowego. Pamiętasz, jak to było?

- Doskonale! - odparłam.

- I wtedy coś upadło na podłogę, długopis czy coś innego...

- Złote pióro - wyjaśniłam.

- Wtedy nagle zakochał się w tobie. Bardzo. Nie było odwrotu.

Psisko oddaliło się na chwilę, by przekopać grządkę bratków. Z dala słyszałam, jak pokąstuje.

- No i wtedy Ernstbert powiedział, że jesteście parą, a on będzie o ciebie walczył.

- To miłe z jego strony! - Chciało mi się serdecznie śmiać.

Nadbiegł rozgniewany szpic. Dogonił nas. Czyżby to był zaczarowany Justus? Kolor jego sierści coś mi przypominał...

- No, a dentysta? - Beniamin kontynuował temat. - Jego też dopadło. A co upadło przy nim?

- Ślinociąg!

- Ślinociąg? - Beniamin aż krzyknął z podniecenia. - Super! I co dalej? Jakiego wyczynu dokonał on?

- Pokazał mi stróża nocnego w Noerdlingen. To wszystko.
- Pokazał stróża! - Beniamin potrząsnął głową. - Te dziadki mają takie dziwne pomysły...

Psik, psik! - Szpic kichnął. - Psik, psik!

- A jak to było z nauczycielem? - Beniamin pytał bardzo przytomnie. - Ta cielęcina na sankach... Jego też dopadło!

- Tak! - potwierdziłam. - Ptasie gówienko! Był tu wczoraj.

- Ptasie gówienko! - Beniamin nie posiadał się z radości. - Powinnaś napisać o tym powieść!

- Zrobi się! - powiedziałam, błędząc myślami już gdzie indziej.

- W każdym razie zebrałaś ich wszystkich razem...

- Prawie wszystkich - mruknęłam cichutko.

Brakowało mi Gustawa. Ale jego przecież nie zaczarowałam. A może on jest tym szpicem, który mi właśnie obwąchuje kostki u nóg? Może popełniłam jakiś błąd? Przecież nie przeczytałam nigdy instrukcji obsługi! I tak naprawdę to nie wiem, jak działają czary.

- Gustawie? - odezwałam się dyskretnie do psa. Szpic podniósł łeb i spojrzał na mnie mętными oczami, jakby na coś czekał. - Czy to ty?

Wrr! - usłyszałam w odpowiedzi. Potem znów zaczął obwąchiwać drogę.

O, Gustawie! Nie zachowuj się tak! Nie udawaj! Jeśli to jesteś ty, to możesz się spokojnie to tego przyznać.

Beniamin uśmiechnął się, chcąc mi dodać odwagi.

- Tak, teraz już wiem wszystko. Cieszę się, że przyjechałem tutaj, do Weiden w Górnym Palatynacie!

- Ja też. Chodź no tutaj! - Padliśmy sobie w ramiona. - Ale pozostaniemy przyjaciółmi?

- Jasne! Bardzo cię o to proszę!

- Wiesz co? Jak na swój wiek, jesteś bardzo rozsądny! Życzyłabym sobie, by wszyscy mężczyźni na całym świecie byli w stanie zdobyć się na taki dystans!

- Dziękuję! - Beniamin promieniał szczęściem. - Takie słowa! Z twoich ust!

Objęliśmy się raz jeszcze.

- Strasznie cię lubię!
- Ja ciebie też! - Rozejrzałam się wokół. - Gdzie jest ten szpic?
- Jaki znowu szpic?
- No, to psisko, które cały czas mnie obwąchiwało.
- Nie widziałem żadnego psa!
- Nie? Czy chcesz przez to powiedzieć, że go sobie jedynie uroiłam?!

- No, masz bardzo bujną fantazję! - potwierdził Beniamin.
Gdy pod wieczór wróciłam do hotelu „Przy Wieży”, przychepy na kolońskiej rejestracji już nie było.

- Dzieci! Koźłeta! Gdzie jesteście? Wasza mamusia, pani koza, wróciła do domu! I każdemu coś przywiozła!

Położyłam białe kopytko na parapiecie. Cisza. Nikt nie biegnie do drzwi, więc szukam klucza w torbie. Alarm włączony. Wyłączyłam go i przeszłam się po pokojach. Sprzątnięte. Aż błyszczą, tak czysto. W zegarze koźlatek nie ma.

Na kuchennym stole wielkie czekoladowe ciasto, ozdobione gumowymi misiami, groszkami, pastylkami i czerwonym sercem z lukru. Napis na kartonie stojącym obok ciasta: „Witamy kochaną mamę!” Charakter pisma Ernstberta!

SAM napisał! WŁASNORECZNIE! Odręcznie! Nie na komputerze! Drżącymi rękoma trzymałam kartonik. Cud. Ernstbert napisał coś dla mnie. I nie była to instrukcja obsługi. Ciepłe słowa powitania. Pozdrowienia serdeczne. Czerwoną kredką woskową!

Dzieci też zostawiły kartkę z pozdrowieniami. Namalowały obrazek, wzruszające bazgroły. Gdy przyjrzałam się rysunkowi dokładniej, ujrzałam przyczepę kempingową, a w niej Ernstberta i chłopców. Przyczepa jechała przez zielone pola w kierunku modrej wody.

Wyjechali! Wyjechali razem na urlop! Ernstbert i chłopcy! Beze mnie!

Niespokojnie kręciłam się po pustym domu. Przemierzałam wszystkie pomieszczenia. Łazienka pachniała świeżością. Wszy-

stko błyszczało. Na lustrze koś namalował wielkie serce. Moja stara pomadką!

Pokój do pracy Ernstberta też wysprzątnięty, jak nigdy! Widać było podłogę! Na komputerze pokrowiec. Drukarka, faks i tuzin innych urządzeń - wyłączone! Martwe, milczące, jak gdyby nigdy nie zabierały nam części naszego życia rodzinnego, jak gdyby nigdy nie miały destruktywnego wpływu na nasze życie. Pościel w łóżeczkach dzieci świeżo powleczone. Moja również. Odrzuciłam kołdrę. Śnieżnobiała poduszka. A na niej list. Pisany odręcznie. List od Ernstberta.

Skarbie Nasz Najdroższy! - czytałam - Witamy Cię serdecznie w domu! Ernstbert wypisał to własnoręcznie wielkimi, pochylonymi literami. Czarnym atramentem. My, Twoi mężczyźni, wyjechaliśmy w podróż w nieznane, żebyś sobie mogła odpocząć po tournée. Odpoczywaj! Odpręż i zrelaksuj się! Greta wróciła w poniedziałek. Odwiedź ją! Mnóstwo nowinek! Przez tydzień pracujesz jeszcze na planie. (Dzwoniła Bettina: kręcicie podróż ślubną, zdjęcia w plenerze). Może jednak znajdziesz - mimo wszystko - chwilkę, by się zastanowić...

Tu rysunek: przyczepa kempingowa pruje przez most, który kołysze się nad przepaścią.

Kochający Cię Twój Ernstbert, Ernie i Bert.

Imiona całej trójki wplecione w trzy połączone ze sobą koła. W oczach stanęły mi łzy. Otarłam je ręką przescieradła.

Ernstbert zadał sobie tyle trudu!

Trzymałam kartkę w dłoni... aż zza łez przestałam dostrzegać litery.

Greta prezentowała się wyśmienicie! Opalona, roześmiana, ubrana na sportowo. Odmłodniała. Ani śladu kapelusika pokornej paniusi i szarej garsonki ze spódnicą do pół łydki z gatunku: „To maskuje figurę, moje dziecko!” Miała na sobie w dres do biegania. I sportowe obuwie. I niebieską chusteczkę na głowie. Chusteczka powiewała przekornie na wietrze. Włosy krótko obcięte, pasemka popielatoblond. Wreszcie jej wymarzona fryzurka a la lady Diana. Elegancka i sportowa. No i twarzowa.

- Wejdz, moja ty bałaganiaro! - Skąd ja znam te teksty?

Na tarasie siedział jej Bodo, wymuskany, w koszulce polo, popijając mrożoną kawę. Bardzo zadbany pan, rasowy, siwe włosy, już chyba dobrze po sześćdziesiątce. Taki, co to w reklamach wozi łodzią wnuki, śmieje się zadowolony sam z siebie i powtarza: „Tak, to jest siła dwóch serc!” - i wiosłuje dalej, bo go rozpiera energia.

Podniósł się z krzeselka ogrodowego, by po kawalersku ucałować moją dłoń.

- To jest pan doktor Berleburg! - Greta z dumą przedstawiła mi przyjaciela. - Jeszcze się nie znacie!

- Znamy! - Znałam tego pana przecież dobrze! Był to urolog, który przyjmował w gabinecie nad „Apteką pod Sową”. Że też Grecie udało się go poderwać!

- Pani jest bardzo znaną osobą! - Emerytowany urolog był bardzo szarmancki.

- Naprawdę?

- Naprawdę! W „Spieglu” i w „Sternie” zamieścili artykuły o pani, a matka też naturalnie wciąż o pani opowiada. Wydaje mi się, że znamy się już od dawna. Czy można poczęstować panią mrożoną kawą?

Usiadłam na ogrodowej huśtawce, na której zwykle szalały dzieci.

DLACZEGO jakiś obcy urolog proponował mi w NASZYM ogrodzie mrożoną kawę? Co się stało? Niczego nie rozumiem! Czułam się tak bezradna, że zachciało mi się płakać.

- Tak wiele się ostatnio wydarzyło! - Greta przysiadła się do nas ze szklanką mrożonej herbaty. - Córka moja, flejtuszkę ty mój, nie płacz! Jesteśmy przy tobie!

Wtedy rozryczałam się na dobre. Bodo podał mi chusteczkę z własnej kolekcji, jedną z tych, którą wystarczy coś przetrzeć i to coś znika.

Greta, w dresie do biegania, założyła nogę na nogę. Huśtała stopą odzianą w białe sportowe obuwie z białymi sznurówkami. Opaloną rękę położyła na ramieniu swojego Bodo. Na palcu serdecznym lśnił przepiękny pierścionek z malutkim czerwonym kamyczkiem.

- Byliśmy w podróży. Statkiem.
- Karaiby - dodał Bodo.
- Bodo był lekarzem okrętowym - wyjaśniła Greta.
- Jasne! - skomentowałam. Gdzie tu dyskretnie wypłuć kawę?
LEKARZ OKRĘTOWY! DOKTOR BODO BERLEBURG!
Niczym z jakiegoś romansu Daniela Paletti! Ratunku! Na pomoc!
- Czy już jesteście po ślubie? - zapytałam nieśmiało.
Oboje spojrzeli na mnie zdziwieni. Potem wybuchnęli śmiechem.

- Ależ kochanie! Kto teraz bierze ślub!
- Tak wyglądacie! - W moim głosie zabrzmiała przekora.
- Skoro tak - powiedział urolog i podniósł się z krzesła. - Mam na imię Bodo!

- Ja nazywam się Charlotta! Kłocia! - Straciłam całkowicie głowę i bredziłam coś bez sensu. Potem też wstałam, objęliśmy się nieśmiało i ucałowaliśmy w policzki. Bodo bardziej całował mnie niż ją jego. Nie cuchnął moczem. Pachniał „Idiotą” o cytrynowomiętowej nucie.

Usiedliśmy. Greta z profesorem Bornheimerem, seniorem! Nasz mały szpitalik, odcinek 6910. Wytorny starszy pan, w koszulce polo, siwe włosy na piersi, zjawia się w życiu Anity Bach. Po ojcowsku mówi jej prawdę w oczy, podaje, gdy trzeba, chusteczkę i sprawia, że ta wraca na drogę cnoty.

Czy scenariusze już nigdy nie będą lepsze? Gustaw zsunąłby się teraz ze swojego stołka, klasnął w dłonie, mruknął, że wszystko jest zbędne, po czym obrażony opuściłby lokal. Kiepscy aktorze, kiepskie dialogi. Chała, chała, nędzna chała, na bardzo niskim poziomie. I to: proszę państwa - teraz!

Greta obrzuciła mnie kpiącym spojrzeniem.

- Wszystko w porządku, kochanie?

Nie, NIC NIE jest w porządku. Mój gosoś odszedł, moich dzieci też nie ma, wszyscy, których kocham, są nieobecni. Wszystko odpłynęło, po prostu zniknęło. W ogrodzie, w baseniku nie pływa już samotny, stary kalosz, Ernstbert nie przesiaduje w kiblu z instrukcjami obsługi. Greta przestała przychodzić do nas, ciągnąc z rynku zakupy w jakże mało seksownej torbie na kółeczkach, nie przynosi nam już zdrowych witaminek i ja-

kichś tam magazynów, wydawanych przez zrzeczenie aptekarzy, w których publikuje się wielce interesujące artykuły, na przykład o skutkach nałogu oglądania telewizji w dzieciństwie. Nikt już mnie nie poucza i nikt mi nie dogaduje, że wreszcie powinnam pójść do fryzjera, obciąć włosy, zrobić sobie taką elegancką, sportową fryzurkę à la lady Diana, nikt nie usiłuje mi wyjaśnić, jak funkcjonuje komputer i co da się na nim zrobić, gdy się wykona „klik-klik” myszką. Jeśli ma się, oczywiście, odrobinę dobrej woli. Dzieci już nie szarpiają mnie za nogę, nie wołają, że życie jest nudne, że nikt się z nimi nie chce bawić i że chcą innych rodziców.

WSZYSTKO się rozpadło. WSZYSTKO było inaczej.

Skończyło się również moje tournée. Nikt nie przyjechał tutaj za mną, nikt nie drapał w drzwi, zapewniając, jaka jestem czarująca, nikt nie chciał mi pokazać miasta i strażników nocnych, nie było tłumów przed bramą prowadzącą do ogrodu, nikt nie chciał autografu, nikt nie pisał, że moje teksty bawią go jeszcze wtedy, gdy leży na stole operacyjnym. Żadna ciotka ze „Spiegła” nie wciskała się golotka do sauny, by dowiedzieć się, co sądzę o wolności w małżeństwie, żadna Ulrika nie mówi, że nie powinnam w miejscach publicznych zakładać nogi na nogę. Żeby chociaż jakiś szpic obślinił mi nogi! Nie mogłam tego wszystkiego znieść!

A tutaj siedzą zakochani, oboje dobrze po sześćdziesiątce, całkiem mi obcy ludzie, w sportowych dresach, trzymają się za rączki i należą do siebie, nie do mnie.

I wciąż pada, a na obiad jest znowu ryba. Nudzę się i chcę innych rodziców.

- Ernstbert był tutaj - Greta rzuciła te słowa mimochodem.

- Co ty powiesz! - odparłam, po czym znowu straszliwie się rozryczałam. A tak się cieszyłam, że zobaczę Erniego i Bertę! I w jakimś też sensie Ernstberta! Tak bardzo chciałam zobaczyć, jak prezentuje się w dżinsach.

- Wygląda świetnie! - Greta kontynuowała, kładąc mi niby mimochodem nową chusteczkę obok filiżanki z mrożoną kawą. - Bardzo zeszczupłał, prawda, Bodo?

Bodo kiwnął głową.

- Nigdy go grubym nie widziałem. Nigdy w moim gabinecie nie był.

- Dawniej był dość otyły - wyjaśniła Greta. - Przecież widziałeś zdjęcia!

- Tak, tak! - potwierdził Bodo. - Opowiedz, że widzieliśmy jej sztukę w telewizji!

- O tak, rzeczywiście! Na statku! Niemiecka Fala transmitowała twoją sztukę! Te twoje siedem żarliwych monologów!

- Zrobiły wielkie wrażenie! - dodał Bodo. - Ile dowcipu i temperamentu!

- No i swojej matce też nieźle dołożyłaś! - Greta dodała jednak: - Ale podchodzę do tego z humorem!

- To było dobre! - pochwalił mnie Bodo. - Bardzo celne sformułowania! - Wziął rękę Greta i pieścił ją delikatnie. Ona poklepała go po policzku. - Pokaż jej książkę! - powiedział.

Greta podniosła się ze swojego miejsca i po chwili wróciła z egzemplarzem mojej książki, w sztywnej obwolucie. Wydawnictwo „Zajrzyj!” Szyty egzemplarz, sto trzydzieści siedem stron. Dwadzieścia osiem marek. Okładkę zaprojektował Nikolaus Blech, Kolonia.

- Tu, proszę, czekamy na dedykację!

- Potem! - odpowiedziałam, całkiem przygaszona. - Teraz nie mam żadnego pomysłu.

- Bodo podarował mi tę książkę - wyjaśniła. - Kupił ją na lotnisku we Frankfurcie. Leżała na samym wierzchu.

- W księgarni na lotnisku - poprawił ją Bodo.

- No coś takiego! - mruknęłam.

- W „Spieglu” też jesteś na liście bestsellerów.

- Pokaż ten numer! Chyba go nie wyrzuciłeś?

- Mam go! - Bodo podniósł się i ruszył na poszukiwanie „Spiegla”.

Greta uśmiechnęła się do mnie, była rozpromieniona.

- No i jak ci się podoba?

- Wspaniały! - powiedziałam bez zachwytu.

Cięcie, klaps, koniec, jutro godzina dziesiąta, miłego dnia życzę, proszę szybko opuścić studio! Do widzenia państwu!

- Ernstbert jest bardzo dumny z ciebie! - dodała. - My również, nieprawdaż? - Tu zwróciła się do Bodo.

- Oczywiście! - mówiąc to, Bodo podsunął mi pod nos otwarty numer „Spiegla”. Przyjęłam do wiadomości: *Czarny i biały pieprz* - miejsce ósme. - No, uruchomiłaś niezłą lawinę!

- Wszyscy się zmieniliśmy! - dodała Greta z dumą w głosie.

- No, ale chyba nie za moją sprawą! - rzuciłam, pełna przekory.

- Ależ oczywiście, że za twoją sprawą! No bo za czyją?

- Ja przeczytałam twoje monologi już w maju - Greta wyjaśniała sytuację. - Niedrich mi je przysłał.

- Niedrich? Ten stary obrzydliwiec z ropną krostą?

Bodo się roześmiał.

- No, do urodziwych to on rzeczywiście nie należy!

- No nie! - Greta roześmiała się również.

Oboje popatrzyli sobie głęboko w oczy.

- Greto - odezwałam się resztkami sił - czy mogę porozmawiać z tobą na osobności? Tylko chwilkę!

- Bodo i ja nie mamy żadnych tajemnic przed sobą! - Uśmiechnęła się ciepło.

Bodo natychmiast wstał, mówiąc, że i tak zamierzał na chwilę wyjść. Urolodzy zawsze gdzieś się spieszą. Cha, cha, cha!

Wszedł do domu. Greta wstała, ja też.

- Greto, czy Niedrich jest moim ojcem? - zapytałam.

Greta zerwała kilka pączków z róży rosnącej wokół altany. Czynność ta pochłonęła ją bez reszty. Nagle odwróciła się.

- Czasem sama się boję, że rzeczywiście tak jest. - Powiedziała, gniotąc palcami róże. - Po MNIE tego nie masz.

- Czego nie mam?

- Tego i owego.

- Co masz na myśli, mówiąc „tego i owego”?

Bodo wrócił, zrobiwszy siusiu. Był niewątpliwie za szybki. O wiele za szybki.

- Charakterek! - To powiedziawszy, Greta wcisnęła mi do ręki kolczaste róże. Masz, trzymaj, to dla ciebie, włóż je do miseczki, na pewno jeszcze pięknie się rozwiną!

- No to ja teraz już pójdę! - powiedziałam, całkiem nie-zdecydowana.

- No dobrze, idź już! - Greta sprawiała wrażenie, jakby na to czekała.

- Czy mogę zabrać" tego „Spiegła”?

- Oczywiście! - Bodo podał mi tygodnik. Odrobinę za gwałtownie.

Objęłam Gretę, potem Bodo. Pachniał „Idiotą”, cytryną i mię-tą. I czułam, że o wszystkim wie. Jakie to podłe!

Wychodząc, odwróciłam się raz jeszcze. Ramię przy ramieniu. Jak gdyby byli razem już od czterdziestu lat. Uśmiechali się.

Pierwszą rzeczą, która mi wpadła w oko, gdy następnego ranka parkowałam samochód, była odbijająca się w tylnym lusterku kurteczka w kolorze kupki niemowlaka. Zza latarni.

No proszę. Życie znowu mnie dopadło. Justus stał, czekając, aż zaparkuję swoje stare kombi między dwoma innymi autami. Wsiadłam i zamknęłam za sobą drzwi.

- Dzień dobry! - Tu uśmiechnęłam się promiennie.

Justus popatrzył na mnie wzrokiem bazyliuszka.

- No?!

- Co, no? Co się stało?

- Dobrze się przynajmniej bawiłaś?

- Co to znaczy, dobrze się bawiłaś? Pracowałam, grałam w teatrze, przecież dobrze wiesz!

Nagle ruszył szybkim krokiem w kierunku baraku. Wydawało mi się, że dla niego rozmowa była zakończona. Podreptałam za nim.

- Justusie! Co z tobą? Najpierw czekasz na mnie, a potem nagle odchodzisz! Na pewno chcesz mi coś powiedzieć! No, nie duś w sobie, mów!

Justus gwałtownie się odwrócił. Na jego twarzy pojawiły się białe plamy.

- No nie, wiesz... - powiedział nieoczekiwanie. - Nie ze mną takie numery! - Nagle zrozumiałam, że mówi dialektem berlińskim. Tak bardzo się zdenerwował. Gdzie jego śliczny

południowotyrolski akcent? Tak bardzo erotyczny, seksowny, zachwycający?

- Jakie numery, Justusie?

- Doskonale wiesz, o czym mówię.

Nie miałam pojęcia. Był obrażony, to pewne. Ciężko obrażony, ale dlaczego? Co mu zrobiłam? Nie widzieliśmy się cztery tygodnie. Ostatni wieczór, o ile dobrze pamiętam, był uroczy. Grill, dzieci, dach na garażu.

No i ślub w kościele. Wtedy nie mieliśmy okazji, by porozmawiać prywatnie. W każdym razie prawie nie... Przysnaję, że tego dnia dałam szybko nogę. Z Gustawem. W jego przyczepie kempingowej. A on nas widział, jak odjeżdżamy. Sam sobie jesteś winien, chłopaczku. Dlaczego zawsze chowasz się za latarnią? Prawdziwy światowiec tak się nie zachowuje!

- Pajaca ze mnie robisz! - Justus był wściekły. Wyrzucił z siebie te słowa, a ja w jego oczach dostrzegłam nienawiść.

- Kto tak powiedział? - zapytałam zaskoczona.

Nie jesteś pajacem, a ja nie jestem laleczką. Wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze! Mieszkańcy Norymbergi nikogo nie powieszają, chyba że go złapią!

- Możesz otaczać się kim chcesz, twoja sprawa, ale ja do twojego dworu należeć nie będę!

- O czym ty mówisz? Kim się OTACZAM? - Zdenerwowałam się i przeszłam do ataku.

Do jasnej cholery, nie jestem ci winna żadnych wyjaśnień.

- Doskonale wiesz, o kim mówię!

Wszystko wskazywało na to, że Justus nie jest zainteresowany udzielaniem żadnych dalszych informacji na ten temat. W takim razie po co czekał na parkingu? Tylko po to, by na mnie warknąć? To tak zachowuje się światowiec?!

Wpadł do holu i nawet nie przytrzymał przede mną drzwi.

No proszę - pomyślałam. - No to nie! Zemsta laleczki i tak już straciła na świeżości. Było, minęło. Zeszłoroczny śnieg. Ale do tej pory było bardzo miło. Wbrew oczekiwaniom była to przyjemna historia. Nic za nic, Justusie.

Udałam się do garderoby na drugim piętrze. Tu czekała na mnie Bettina z różowymi lokówkami i aksamitną kokardą.

I z białym, sztywnym od krochmalu, starannie wyprasowanym fartuchem.

- Dzień dobry! - zawołałam, cała szczęśliwa.

A jednak dobrze mi tu! Brakowało mi tego ukochanego szpitalika! Ochoczo włożyłam biały fartuch. Znowu polubiłam dzień powszedni.

- Dzień dobry! - Bettina zachowała się sympatycznie. - Mam nadzieję, że odniosłaś sukces? W prasie było sporo wzmianek.

- Tak! - Ucieszyłam się i podziękowałam za zainteresowanie. Byłam zaskoczona.

Elwira, ta od jogurtów, oraz Lora Kosz-marna zignorowały mnie. Siedziały przy swoich stolikach i pilnie studiowały scenariusz. Przed Lorą stała filiżanka, oczywiście utyłtana fioletową szminką. Obok napoczęta kanapka z żółtym serem i kawałkiem pomidora. Plasterek pomidora sterczał z kanapki i wyglądał niczym wyciągnięty język. Gretel Zupf i moja osobista przyjaciółka Ulrika zajęte były studiowaniem katalogu domu mód Trulla Poepken.

- Popatrz, jakie to ładne, a to będzie modne latem, paski wzdłuż wyszczuplają. Czyż to nie jest słodkie, takie śliczne kropeczki, jaki to ładny wzór na kostium kąpielowy. Urocze.

- Co jest? - zapytałam, lekko zaniepokojona.

Pulchna Ulrika obdarzyła mnie niesamowicie ciepłym, serdecznym uśmiechem. Płynącym z głębi serca uśmiechem najlepszej przyjaciółki. Takim, od którego człowiekowi włos się jeży na głowie.

- Nic... a co ma być?

Mój Boże - pomyślałam. Jak można się tak nieszczerze uśmiechać. Lepiej by było, gdyby gapiła się w scenariusz, tak jak wąsko-liliowo-ustna Lora Kosz-marna. Lub zajmowała się poprawianiem włosów na karku, jak bardzo teraz zaabsorbowana Gretel. Wtedy wiadomo, z kim się ma do czynienia.

Elwira Merkenich wyciągnęła z torby dwie wielkie paczki kolorowych, błyszczących zdjęć i podała je koleżance.

- Widziałaś już te? Adrian gra w polo.

- O Boże, jakież to urocze! - powiedziała Ulrika, następnie roześmiała się serdecznie i ciepło niczym słodka turkaweczka,

że niemal głowę bym dała, iż przed sekundą pomyliłam się w ocenie.

- Co nowego? - zapytałam Bettinę, podając jej suszarkę.

- Nic szczególnego. Od środy zdjęcia w plenerze.

- Podróż poślubna! - Lora raczyła odezwać się do mnie znad kanapki z serem. - Ty i Justus jedziecie w podróż poślubną. Miodowy miesiąc!

- Biedny Justus! - Elwira kpiła wyraźnie, wieszając na oparciu krzesła stanik na drutach. Miseczkami do góry.

- Jedziecie na kilka dni do Francji - wyjaśniła Bettina. - Zamki nad Loarą czy coś w tym rodzaju. Gustaw już wyjechał.

O, więc to tak, Gustaw już wyjechał, no proszę. Podróż poślubna z Justusem.

- No tak, Charlotto - Ulrika uśmiechnęła się do mnie serdecznie. Słowa, które właśnie do mnie skierowała, były zapewne najszczerzszymi, jakie kiedykolwiek wypowiedziała pod moim adresem. - Teraz musisz uporać się z tym piwem, którego sobie nawarzyłaś.

Pomyśl o jej problemach psychicznych - powiedziałam sama do siebie. Odezwała się bowiem we mnie Anita Bach, osoba o gołębim sercu. - Ona ma problemy emocjonalne. Klimakterium tuż, tuż. Poczekaj, niedługo sama będziesz w tym wieku!

- W takim razie wy macie wolne! - powiedziałam, by w ogóle coś powiedzieć. - A może kręcimy równolegle?

- Nie, nie! - Ulrika zagruchala ciepłutko i serdecznie. - Nie możemy pozwolić, byś pojechała sama z Justusem! Co za dużo, to niezdrowo! Pojedziemy z wami, żeby popatrzeć, co tam razem wyprawiacie! Jesteśmy tego wszyscy bardzo ciekawi!

- Słucham?

- Według tego francuskiego scenariusza musimy wszyscy jechać z wami. - Lora Kosz-marna pouczała mnie mentorskim tonem znad filiżanki kawy. - Okropność! I to na tydzień przed przerwą letnią. Jakbym nic innego nie miała do roboty.

- Dlaczego musicie jechać z nami, skoro Ja i Justus jesteśmy w podróży poślubnej?

Najpierw nikt mnie przez cały tydzień nie potrzebuje, a teraz nagle wszyscy jadą razem z nami do południowej Francji?! Cho-

ciaż Francja jest cudowna! Rankiem, o piątej, na dworcach stoją tam najwspanialszy faceci na świecie. Z rogalikami! Mówię wam!

- My ruszamy najpierw autobusem i robimy młodej parze niespodziankę! Witamy ich na miejscu! - Gretel Zupf wyjaśniła w czym rzecz. - Bardzo oryginalne, nieprawdaż? - Mówiąc to, odłożyła najnowsze druty z jakimś ściągaczem.

- Co za głupoty! Właśnie idziecie sobie przez zarośla, a tu autobusem podjeżdża cały personel *Naszego małego szpitalika*, obrzuca młodą parą balonikami, wypakuje kosze piknikowe i gra w badminton. Wycieczka zakładowa! Koń by się uśmieł! Kosz-mar!

- To przecież dość sympatyczny pomysł - pochwaliłam autora scenariusza.

- Te gryziopórki, ci faceci od scenariusza, oni już nie wiedzą, co wymyślić. Brak im pomysłów - nadała się Lora. - Właśnie teraz, kiedy z Detlevem jedziemy na urlop. Jak gdyby człowiek miał za mało roboty z pakowaniem walizek!

Biedna ty, biedna - pomyślałam. - Wciąż musisz poprawiać poduszkę, nudzisz się straszliwie i za to dostajesz jeszcze pieniądze. A teraz musisz jechać nad Loarę! Biedactwo! Co za wymagania mają w tym studiu!

- To na pewno Charlotta spiskowała z Elmarem, tym facetem z redakcji! - Ulrika cedziła słówka, mizdrząc się i uśmiechając się słodziutko. Sam miód i budyń waniliowy! - To dla niej przerobił scenariusz!

Nagle przestała się uśmiechać. Przez ułamek sekundy pokazała swoją prawdziwą twarz, bez maski, którą codziennie mocznie nakładała. Rzuciła zdjęciami Adrianka, zacisnęła wargi i bardzo zła wlepiła wzrok w kostiumy kąpielowe w kropeczki dla puszystych pań. Puszyste modelki z katalogu domu mody Trulla Poepken były w porównaniu z puszystą Ulriką zgrabniejszymi sarenkami.

Co za pech. Jasne, miała problemy, nudziła się, no i ta pomarańczowa skórka...

Ulriko - pomyślałam. - Jesteś w najlepszych latach swego życia. Teraz kobiety dociągają do setki! Spokojnie! Zapytaj Franza Drosslera. Zrzuć trzydzieści kilo, urodź bliźniaki, napisz mo-

nodram, objeżdż kraj z tą sztuką, traf na listy bestsellerów, a najlepiej to spraw sobie kilku kochanków. To dodaje urody i poprawia nastrój. Idź własną drogą! Choć troszkę! Wtedy nie będziesz tak rozgoryczona i szczęście innych nie będzie cię złościć i gniewać. Przecież to wszystko jest całkowicie zbyteczne! Nie zajmuj się ciągle problemami innych ludzi i nie żyj odpadkami! Nie rób tego! Za żadne pieniądze! Bo kiedyś nie będziesz miała nawet szansy na to, by wbić się w kostium w kropczki firmy Trulla Poepken. A przecież nie chcielibyśmy, żeby to kiedykolwiek nastąpiło.

W podróż poślubną udaliśmy się pociągiem - jak oświadczyła Lora - intercity Kolonia-Knappsack-Akwizgran-Paryż. Wraz ze mną przedział zajmowały Elwira, Lora, Bettina i Gretel Zupf. Popijały szampana z minibuteleczek i zagryzały słonymi orzeszkami, czytając periodyki dla samiczek domowych, w których roztrząsano najróżniejsze tematy, na przykład: Jak pozbyć się szybko nadwagi? Dieta z pasty i pizzy - kilogramy spadną same! Jak się zmieścić - jeszcze przed urlopem - w kostiumie bikini? Kluski i kremy - jemy do syta! Na okładce modelka, w spodniach firmy Guenter Strack, śmiała się radośnie, bo spodnie były za szerokie.

W sąsiednim przedziale podróżował Justus. Dochodził stamtąd jego donośny śmiech. Właściwie śmiał się przez całą drogę. Od Kolonii do Knappsack, a potem do Clermont-Ferrand. Ale musiało być tam wesoło! Kiedy wybrałam się do WC na siusiu, zerknęłam do jego przedziału. Chciałam zobaczyć, co jest przyczyną jego nieustannej wesołości. Może ktoś robił fikołki w siatce na bagaż albo wyrzucił wszystkie walizki przez okno, albo zjadł wszystkie firanki lub coś w tym rodzaju. Nic takiego jednak nie ujrzałam.

Pia z rekwizytorni, ta z pasemkami, o pośladkach jak kuper kurzy, siedziała przy oknie. Obok niej skupiona Berthilda, siostra, która boi się ciemności, a w naszym szpitalu pełni nocne dyżury, osoba, która prywatnie od szesnastu lat się rozwodzi i dlatego nie toleruje pokarmów stałych. Przeciąg rozwiewał

jej włosy, łudząco podobne do kępek waty. W dłoni trzymała cienką książeczkę pod znamienym tytułem *Odrobinę pozwolić, odrobinę popuścić - wyssany stosunek*, czy coś w tym rodzaju. Po przeciwnej stronie, za całą baterią puszek z piwem, wiercił się przez sen gruby Paulguenther, który pracował w zaopatrzeniu. Obok siedział łysy Eberhard, facet od oświetlenia. Właśnie opowiadał kawał, posługując się dialektem heskim: „Maria i Józef przybyli do gospody, ale karczmarz nie chce ich wpuścić. O, gospodarzu, mówi Józef, wpuść nas, moja żona jest w awansowanej ciąży! - A czy to moja wina? - pyta karczmarz. Na to Józef: A myślisz, że moja?”

Justus wybuchnął gromkim śmiechem. Szczególnie gromkim, kiedy ujrzął mnie. Wydawać się mogło, że nie jest w stanie zapanować nad swoją, jakże męską, wesołością. Za zasłonką schował się Peter Strupp, nasz anonimowy alkoholik, który pracował w garderobie. Teraz zagłębił się w lekturze periodyku dla hobbistów ogrodników.

W sumie szalenie wesołe towarzystwo! I z jaką fantazją! Ludzie, jak nam tu fajnie! Jaka wesoła podróż! Gag za gagiem! Znacie ten kawał?

Pia, z pasemkami, i cierpiąca Berthilda na mój widok spojrzały szybko w okno, a gruby, dobronczny Eberhard, ten z heskim akcentem, pomachał mi ręką i zaprosił do przedziału, wabiąc puszką piwa. Nie chciałam jednak zakłócać zabawy w beztrudnie się bawiącym przedziale, więc się zmyłam, wracając do siebie.

Moje sąsiadki nadal studiowały czasopisma dla samiczek domowych. A gdy Elwira Merkenich wyciągnęła kolejny plik zdjęć Adrianka, tym razem na pieszej wycieczce z innymi wielbicielemi przyrody, zrzeszonymi w Klubie Mollseifen, ogarnęło mnie głębokie przygnębienie. Byłam zmęczona.

Gdy się zdrzemnąłam, śniła mi się Pia o kurzym tyłeczku w spodniach firmy Guentera Stracka, pizza i pasta. Pociąg dudnił, a ja przez sen słyszałam rubaszny śmiech Justusa. Jechałam na spotkanie z następną przygodą - w moją filmową podróż poślubną nad Loarę.

Na miejsce przybyliśmy późnym wieczorem. Ciągnąc za sobą przyjaciółkę walizeczkę Hasso, przybyłam do hotelu, gdzie w holu dołączyłam do kłębiącego się i bezładnego tłumu. Walizki, kurтки, klucze, przekrzykiwania nad głowami współpasażerów, ustalenia... Z czasem tłum się przerzedził, prawie wszyscy się zakwaterowali.

Stałam bez przydziału. Justus też stał bez przydziału. Co za zbieg okoliczności! Teraz już się nie śmiał. Śmiech chyba go całkiem wyczerpał. Stał, bardzo zajęty, w holu hotelowym, czytając jakąś francuską gazetę, a w niej drobne ogłoszenia.

Być może to, co znalazł w gazecie, nie było tak śmieszne, jak godziny spędzone w przedziale.

Winda jeździła nieustannie. Ruch, gwar, szum, stukot walizek, pytania: Czy restauracja jest otwarta? Pójdziemy jeszcze do baru? Gdzie tutaj jest telefon? Czy mogę dostać pokój, w którym nie cuchnie papierosami?

- Pfeffer - przedstawiłam się, gdy zestresowany facet w recepcji hotelu spojrział wreszcie na mnie.

Poszukał mojego nazwiska na liście. No, już mnie znalazł. Widziałam. Podniósł głowę i uśmiechnął się uprzejmie.

- Pan Pfeffer już przyjechał.

- Słucham?... Kto?... W pokoju? - Bardzo, ale to bardzo zażenowana odwróciłam się i spoglądałam na Justusa. On tymczasem zajął się oglądaniem dyplomów w złożonych ramach, nagród dla kucharza-mistrza za ślimaki w sosie czosnkowym i bizona pieczonego w popiele.

- Tak, jest już... pan Pfeffer już jest. Pokój numer szesnaście, pierwsze piętro. - Francuz powtórzył informację raz jeszcze.

Zamknij się, nie powtarzaj mi, już się pokapowałam - pomyślałam zdenerwowana.

Chwyciłam walizeczkę i ruszyłam na pierwsze piętro. Łydki mi drżały.

Monsieur Pfeffer? Któż to taki? ERNSTBERT? Z dziećmi? **TUTAJ?** Przecież chciał mi dać kilka dni czasu, bym całą sprawę przemyślała.

Zataczając się, szłam ciemnym korytarzem. Walizka, sunąc za mną, niechętnie skrzypiała. Trzynaście, czternaście, piętna-

ście.. to tutaj. Szesnaście. Gdy właśnie ostrożnie chwyciłam za klamkę, usłyszałam za sobą kroki. Puściłam ją bezszelestnie i odwróciłam się gwałtownie. Kurteczka w kolorze kupki niemowlęcia wyłoniła się zza rogu.

- W którym jesteś pokoju?

- W tym, tutaj!

- Wszystko w porządku?

- Jasne! Dlaczego pytasz?

- Wydawało mi się, że masz jakieś problemy.

- Nie. Wszystko W PORZĄDKU! - powiedziałam, akcentując każde słowo. - MÓJ POKÓJ JEST W PORZĄDKU! ABSOLUTNIE W PORZĄDKU!

- Zejdiesz na piwo?

- Jeszcze nie wiem - odparłam. - Może.

Justus nie odchodził, był niezdecydowany.

- Co to znaczy „może”? Tak albo nie!

- A ty, w którym pokoju jesteś? - zapytałam, by w ogóle coś powiedzieć.

- Pokój numer dwadzieścia trzy - odpowiedział niskim głosem.

- Pokój numer dwadzieścia jest piętro wyżej! Co ty tutaj robisz?

- O, naprawdę? - Justus obejrzał dokładnie swój klucz. - No więc jak? Zejdiesz?

- Może - powtórzyłam. - Jak nie będę zmęczona, to zejdę.

Zobaczę najpierw, kto czeka na mnie w moim pokoiku - pomyślałam. - Kto je moją łyżeczką, kto siedzi na mojej desce klozetowej, kto pluje do mojej umywalki? Co za prosię? No, kto? W głębi serca jestem, niestety, sentymentalna i łatwo się przyklepam, niczym klej do łapek dziecka. Jak już raz mnie dopadnie... Kiepska sprawa.

Justus zrobił w tył zwrot i się zmył. Był wściekły. Zaczekałam, aż zadudnią schody prowadzące na pierwsze piętro. Czasami był naprawdę męczący.

Po chwili cichutko otworzyłam drzwi. Pokój był pusty. Ale w moim łóżku ktoś już leżał. Narzuta była pognieciona, poduszka zresztą też. Rzuciłam okiem na łazienkę. Otwarta deska

klozetowa ziewała mało uprzejmie, nie zasłaniając sobie ust dłonią. Aha, monsieur Pfeffer susiał na stojąco. A więc to nie Ernstbert. Ernstbert susiając siedział i czytał instrukcje obsługi.

Po wypakowaniu ciuchów, opuszczeniu deski klozetowej, umyciu rąk - na znak swojej niewinności! - zeszłam na dół, by popatrzeć na koleżeństwo. No bo co miałam robić sama na górze? Przecież byłam dopiero w kwiecie wieku.

Na dole, w restauracji nastrój panował szampański. Niepozorny, anonimowy alkoholik, nasz Peter Strupp, od dwóch minut obchodził urodziny i stawiał wszystkim. Szampan lał się strumieniami, wszyscy śpiewali mu *Happy birthday, kochany Peter!* - jak gdyby zawsze był ich ukochanym kolegą. Peterowi z radości zza okularów błyszczały oczęta. Był wielce uradowany, ale toasty wznosił wodą sodową. Gdy mnie ujrzał, przysunął do siebie wolne krzesło i zaklepał je ręką.

Podeszłam i ucałowałam go.

- Peter, ile latek ci dziś stuknęło? - Zadając pytanie, kątem oka zerkałam, czy nie widać gdzieś Gustawa.

- Pięćdziesiąt! - odpowiedział Peter. - Napijesz się?

- No jasne! - odpowiedziałam radośnie i dostałam kieliszek szampana. Uniosłam go do góry na znak radości, że spędzę z miłym koleżeństwem tak uroczy wieczór.

Nikt już nie patrzył na mnie spode łba, ani, co gorsza, gdzieś obok, wszyscy się cieszyli, bo Peter znowu był jednym z nas. Wszyscy byli mili, serdeczni, radośni, wyluzowani i zachowywali się swobodnie. Najbardziej wyluzowany i radosny był Justus. Gdy zobaczył, że usiadłam koło Petera, zajął miejsce obok wstawionej fryzjerki Iwonki, która pochodziła z Eisenhuettenstadt, i zdążyła już sama obalić butelkę szampana. Nos wetknął w jej platynowe loki i głębokim głosem wykrzykiwał: „Ooo! Aaa! Obłęd! Jaka ona podniecająca!” Potem roześmiał się gromko i wymachując kieliszkiem zaintonował *Gaudeamus igilur*, bo przecież kiedyś był w korporacji studenckiej, i to takiej, w której uprawiano fechtunek.

Iwonka z Eiswenhuettenstadt wprowadzie nigdy na studiach

nie była, ale bardzo mocno pachniała „Toską-Jaśmin” czy też „Pozostań-Mi-Wierna” firmy Szand-Tall z domu mody Filii czy też Szpili lub coś w tym rodzaju.

No proszę - pomyślałam - w takim razie jego niegrzeczny wacusz będzie dziś wieczorem wiedział, do kogo się zwrócić w biedzie. No bo z kimś takim jak ja on zadawać się już przecież nie będzie. No bo w końcu nie będzie robił z siebie błazna! Jest światowcem przecież. A taka laleczka jak ja do niczego mu się w układach zawodowych nie przyda.

Pogadałam przez chwilę z Peterem o jego chorobie alkoholowej. Powiedział mi, a widać było, że jest dumny z siebie, iż od dwudziestu lat już nie pije, w swoje trzydzieste urodziny rzucił picie, dziś kończy pięćdziesiąt lat i jest to szczególna okazja, by świętować ten dzień. Był wspaniały! Po raz pierwszy trochę się otworzył. Pogratulowałam mu serdecznie - bardziej żelaznej siły woli niż z okazji urodzin - i podsunęłam pomysł, by wystąpił w audycji Franza Drosslera, który nieustannie szuka osób, które w kwiecie wieku zaczynają wszystko od nowa. Peter, wzruszony i serdecznie zobowiązany, po raz trzeci napełnił mój kieliszek szampanem zapewniając, że wspaniała dziewczyna ze mnie, że w domu wpiął sobie do segregatora wszystkie artykuły dotyczące mojej osoby, opublikowane w „Spieglu” „Sternie” i „Wizerunku Kobiety”. Że oczywiście ma również moją książkę i że Ernstbert na pewno pęka z dumy, iż jego żonka jest pełna inwencji i że on sam rozwiódł się ze swoją Giselą już bardzo dawno temu. Przerywał nam Justus, wydzierając się, że jest w świetnej formie i że nigdy już nie spotkamy się tak młodzi jak dziś, i że Tyrolczycy są wesołym ludkiem! Tak jest! I czy może ktoś ma gitarę, bo on jest dobry w grze na gitarze, a teraz chętnie by coś zaśpiewał: trzy, cztery! I wtedy go ujrzałam. Wreszcie.

To był on. Poczułam, jak przebiega mnie dreszcz - od ramion aż po skórę na głowie, potem z powrotem aż pod kolana i dalej do pięt.

Gustaw. Mój stary Gustaw. Jak zwykle w złym humorze, uparty i przekorny, zawsze wiedzący wszystko lepiej, mrukiwy,

kłótniwy, zbędny... Tak bardzo mi go BRAKOWAŁO. Teraz stał w drzwiach. Jak gdyby stał tam od zawsze.

Ty cholero, gdzieś ty był? Czy ty w ogóle wiesz, że nie rozmawiam z tobą?! Nigdy w życiu. Mowy nie ma.

Popatrzył na mnie. Ja popatrzyłam na niego. Przez chwilę świat zdawał się nie istnieć. Wszyscy wokół mnie hałasowali, gadali, krzyczeli, pili, żartowali. Tylko ja zamarłam.

A może jednak zamienię z tobą kilka słów? Ale tylko kilka. Reszta jest całkiem zbędna.

Siedząca na przeciw mnie platynowa blondyna z freonową fryzurą na łbie, piszcząc, łapała Justusa za ramię i szarpiać go, dopominała się swoim saksońskim akcentem o szampan. Justus objął ją w pasie i - patrząc wyraźnie na mnie - nalał jej szampana z wysokości około siedemdziesięciu centymetrów (W nalewaniu szampana jestem dobry!), a szampan pienił się i pryskał. Iwonka z Eisenhuettenstadt piszczała, a Peter Strupp opowiadał mi, że teraz jego jedyną miłością jest ogród, ponieważ Gisela odeszła od niego.

Wtedy Gustaw podniósł lewe ramię, coś zabłyszczało przez moment, może przez krótką sekundę. Był to przedmiot. Owalny, pozłacany.

Starałam się zachowywać naturalnie. Dziecinko, patrz prosto przed siebie, zachowuj się naturalnie i skromnie, tak jak zawsze. To dziewczynie dodaje urody.

Po chwili Gustaw schował rękę w kieszeni spodni. Odwrócił się.

- Gustawie! Zostań z nami! Dziś wieczorem bawimy się! - Elwira krzyczał nad naszymi głowami, wymachując zdjęciami Adrianka. Gernot Miesmacher wciągnął głowę. Na jego twarzy malowało się udręczenie.

Ale Gustawa już nie było.

- O, ten Gustaw! - powiedział ktoś z obecnych. - Teraz pewnie pójdzie do kasyna i przegra resztę swego szczęścia.

Odwróciłam się znowu do sympatycznego Petera. Tak, tak, jego ogródek! Tak, tak, Gisela. A gdzie jest teraz? No i te storczyki! Taka trudna hodowla! Na stoku rosną lepiej! Tak, tak! Potakuj, zawsze potakuj.

Ogarnęła mnie wielka radość. Gustaw był tutaj. Czekał na mnie. Zaraz z nim będę mogła porozmawiać. Na górze, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał. Owalny, połączany przedmiot. To klucz do mojego pokoju. Klucz z numerem szesnaście.

Monsieur Pfeiffer już jest.

Dla przyzwoitości pogadałam jeszcze przez jakiś kwadransik z Peterem, wypłam dla przyzwoitości dwa kieliszki szampana i z coraz większą radością obserwowałam, jak Justus zdawał się bawić z Iwonką. Potem wstałam - całkiem-naturalnie-i-skromnie-jak-zawsze - mówiąc, że zaraz wracam. To co zwykle. Szampan. Dla małych dziewczynek, no rozumie pan...

Skradałam się po schodach na górę, oglądając się kilka razy za siebie. Nikogo nie widać, pusto, nikt mnie nie śledzi. Ani śladu kurteczki w kolorze kupki niemowlaka. Czym na to zasłużyłam?

Gustawie, gdybyś wiedział, jak bardzo jestem do ciebie przywiązana! Niemal oszalałam bez ciebie! Ty stary, żelazny niedźwiedziu! Trzy tysiące przyczep kempingowych! Wszystkie bez ciebie! A teraz ty. Bez przyczepy kempingowej.

W rzeczy samej poczułam pewną potrzebę, jako że szampan i panika, jaka mnie zwykle ogarnia w sytuacjach stresowych, zrobiły swoje. By ulżyć sobie, wstąpiłam na korytarzu do WC. Wołałam tutaj, bo sprawa była gardłowa. Jedno spojrzenie w lustro. No tak. Plamy na twarzy, podniecenie, histeria, ani śladu naturalności. Gdzie to spojrzenie rozumne... Ale nic już nie było jak zwykle, wszystko było inaczej. W moim pokoju był przecież Gustaw.

Wyfrunęłam więc z damskiego WC i poszybowałam w kierunku pokoju numer szesnaście, nerwowo, niczym ogarnięty szalem miłośnym cytrynek, niemal nie dotykając stopami skrzywiającej podłogi, wyłożonej wykładziną.

I nagle! Żółty cień! Nie! Proszę, nie! Nie TERAZ! Przed drzwiami do mojego pokoju stało coś w kolorze kupki niemowlaka. I pukało do drzwi! Do MOICH drzwi! Trzy razy długo,

trzy razy krótko! Wlepiłam wzrok w klamkę. Drgnęła. Ktoś powoli i bezszelestnie otwierał drzwi od wewnątrz.

Sąsiadeczko, pani buteleczka! Umieram, jeśli wolno!

- Justusie! - mój załamujący się głos zabrzmiał obco w korytarzu spowitym mrokiem. - JUSTUSIE! NIE PUKAJ DO MOICH DRZWI! PRZCIEŻ CI MÓWIŁAM!

- Justus odwrócił się.

Klamka tak samo jak uprzednio powoli i bezszelestnie wróciła na swoje miejsce.

Ktoś otworzył jakieś drzwi. Gretel Zupf w koszuli nocnej i dziwnej fryzurze, pokój numer czternaście.

- Kochani, ależ hałasujecie! Już po pierwszej!

- Wybacz, Gretel! - zawołałam głosem, jakim zwykle skarżą się moi synkowie. - Justus stoi pod moimi drzwiami! I puka! On mi dokucza!

Skarżypyta - pomyślałam. - Czy to konieczne?

- Nic takiego się nie stało! - powiedziała Gretel. - Wszyscy przecież wiedzą, że się za tobą uganiam! Musicie wymyślić coś nowego! - Obrażona zamknęła drzwi i zniknęła w swoich komnatach.

- Justus nie uganiam się za mną! - wrzasnęłam. - Justus pomylił drzwi! Naprawdę!

Otworzyły się drzwi do pokoju numer siedemnaście. Lora Kosz-marna z twarzą wysmarowaną tłustym kremem i bez liłowej szminki.

- Bezczelność! Nikt nie może spać!

Justus stał zmieszany. Było mu głupio. W dłoni trzymał butelkę szampana. Ciekawe, w jaki sposób spławił pomoc fryzjerską? Podniósł ramiona.

- Musiałaś tak krzyknąć?

- Przestraszyłam się - zachichotałam histerycznie. - Tak bardzo boję się ciemności, tak samo jak nasza pielęgniarzka Bertilda, ta od nocnych dyżurów, no bo przed drzwiami zobaczyłam jakiegoś mężczyznę, ciemną postać, no to zaczęłam krzyknąć, no wiesz, pierwiastek kobiecy wziął we mnie górę...

- Gadułko! - dotarł do mnie głos zza drzwiami prowadzących do mojego pokoju.

- No więc jak? Napijemy się razem? - Justus był już zły.
- Ależ Justusie! - zawołałam. - Co powie na to Iwonka?
Przecież ona na pewno na ciebie czeka!
- Ciiicho!
- Nie mogę się teraz z tobą napić! Jest wpoł do drugiej!
A jutro kręcimy!
- Nie krzycz tak, na miłość boską!
- A więc dobranoc, Justusie! I nie zapominaj, gdzie twój pokój! Piętro wyżej! Pokój numer dwadzieścia trzy! Spokojnie idź teraz do siebie! Tędy droga!
Justus obraził się i na szczęście poszedł.
- Nie pozwolę, by ktoś robił ze mnie pajaca - warczał wściekły, tupiąc nogami po skrzypiących schodach prowadzących na górę. - Iwona leci na mnie. Nie myśl, że jestem zdany tylko na ciebie!
- Będzie zachwycona twoim niegrzecznym wacusem! - krzyknęłam za nim. - W Eisenhuettenstadt nie mają takich!
Ujęłam klamkę i nacisnęłam ją. Wsunęłam się do pokoju i, całkiem już pozbawiona sił, opadłam na łóżko.
Niestety, scena powitalna z Gustawem nie odpowiadała tej z moich fantazji. Nie padliśmy sobie w ramiona, milcząc z przejęcia, tak jak po tysiącokroć widziałam to oczami swej duszy.
Padniemy sobie bez słowa w ramiona. I po prostu będziemy milczeć. Wszystko zbędne. Milczenie jest złotem.
Nie. Znowu wpadka. Diwa zaczęła się histerycznie śmiać. I przez następną godzinę nie mogła dojść do siebie.
- Widziałeś? - ryłam ze śmiechu, gryząc narzutę. — Jak stał przed drzwiami?
- Nie, skąd? Przecież byłem tutaj!
- Jak stukał do drzwi! Trzy razy długo i trzy razy krótko! - rżałam, ryczałam, prychałam niczym szczęśliwiec, który wygrał główny los na loterii.
- Gadułko! Co z tobą? Kiedy się wreszcie uspokoisz?
- A jak obmacywał Iwonę! - piszczęłam ze śmiechu, bo już mi brakowało tchu. - Jak zaplątał się w jej włosach, trzymając kieliszek! - Straciłam panowanie nad sobą. Ryczałam i płakałam ze śmiechu, aż mnie przepona bolała.

„Dziewczyno! To histeria. Po MNIE tego nie odziedziczyłaś”.
Gustaw wstał i przyniósł z łazienki mokrą szmatkę.

- Proszę, zrób sobie zimny kompres.

Wbiłam zęby w szmatkę, palcami chwyciłam frędzle narzuty i dalej się śmiałam. Tarzałam się po łóżku, aż w końcu opadałam z sił.

- I jak od niego jechało lakierem do włosów! Gdzie on ją spławił, tę freonową bombę? Ona jest mocno napalona na jego niegrzecznego wacusia! Wpadnie w jej szpony! Nic go nie uratuje! Biedaczysko!

Zanosiłam się ze śmiechu, wyłam, ryczałam, dygotałam. Nie byłam ani odrobinkę skromna-grzeczna-naturalna. Jak nigdy w życiu.

Gustaw siedział obok, trzymając mokrą szmatkę i czekał, aż rozhisteryzowana diwa wreszcie raczy zasnąć. Potem zdjął jej buty i sweter. I przykrył narzutą z frędzlami, i uczynił to ze wzruszającą niezręcznością.

Noc była niespokojna. Ktoś raz po raz pukał do moich drzwi. Co dwadzieścia minut. I sapiąc z wściekłości, ciężkim krokiem szedł na górę. Dwie, trzy karteczki wsunięte pod drzwi. Zauważyłam je dopiero potem. Z wyczerpania pogrążyłam się w głębokim śnie. Za dużo wrażeń!

Od trzeciej nad ranem telefon dzwonił co piętnaście minut. To Justus. Odkładałam słuchawkę. Raz tylko podniosłam głowę, szukając Gustawa. Jednak nie było go. Znowu znikł. Byłam zbyt zmęczona, by z tego powodu rozpaczać.

Wreszcie podniosłam słuchawkę, schowałam do szuflady i usiłowałam zasnąć mimo dobiegającego stamtąd dość namolnego sygnału telefonicznego.

Ale teraz zasnąć już nie mogłam. Gustaw znikł! A tak chętnie bym z nim spokojnie porozmawiała! Tyle pytań chciałam mu zadać! Wszystko uniemożliwił ten zamęt pod moimi drzwiami. Byłam wściekła na Justusa.

Za kogo on się ma! Skoro nie chce zadawać się z kimś takim jak ja, to po co mi głowę zawraca! Im częściej twierdził, że

nie pozwoli zrobić z siebie pajaca, tym bardziej się pograżał! Wszyscy koledzy już się z niego śmiali.

Wierciłam się pod francuską narzutą i nie mogłam spać. W myślach znowu ujrzałam słodziutko uśmiechającą się Ulrikę, jak stoi przede mną i opowiada interesującą historię. W pociągu zdradziła mi bowiem, że w tym tygodniu, kiedy mnie nie było, Justus się do niej zalecał. Bez-przer-wy. No i że w ogóle biega za każdą spódniczką. Ale najbardziej za nią, pulchniutką Ulriką. I do wszystkich pisze liściki! I wsuwa je przez szparę pod różne drzwi. Od tego ciągłego schylania nabawił się już pewnie newralgii nerwu kulszowego. I że do wszystkich dzwoni co dziesięć minut! Pyta, co porabiają i czy już śpią! Że ma bardzo cichy pokój, którego okna wychodzą na podwórko, czy może chcą ten pokój obejrzeć? A w marszu, podczas wycieczek, działa jak niesamowicie rozgrzewające wino. Jakże ten pełen temperamentu Tyrolczyk rozruszał nasze niemrawe towarzystwo rodem z Nadrenii!

W naszym małym szpitaliku wreszcie coś się działo. Ze starym szefem, doktorem Juppem Toengesem, nigdy byśmy tak nie szaleli! Ten nigdy nie pukał do żadnych drzwi! I nigdy nie wsunąłby karteczki przez szparę pod drzwiami prowadzącymi do pokoju któregoś z kolegów! Nie byłby w stanie, bo miał reumatyzm. A wino wypijał sam. Nigdy nie chodził na piesze wycieczki. O żadnej porze dnia. W każdym razie nie ze mną.

Nie to co Justus! Młody, dynamiczny, zawsze skory do żartów i szaleństw! Tylko, niestety, czasem cokolwiek męczący. Czyżby był bezdomny?

Pora, by wrócił do domu. Do Tyrolu Południowego, do żony i dzieci, do traktora i dziewczyn na sianie, by płodzić następne dzieci. Wszyscy na niego czekali. U nas jego możliwości nie były w pełni wykorzystywane.

Ulriko - pomyślałam. - Życzę ci z całego serca, żeby to rzeczywiście była prawda! Potem zapadłam w płytki sen.

Następnego ranka ktoś zapukał o wpół do siódmej do moich drzwi. Energicznie. Obudziłam się, choć niechętnie, wygrzeba-

łam się spod narzuty i chwiejnym krokiem podreptałam do drzwi.

- Kto tam?

Może Gustaw? Ucieszyłam się bardzo.

- To ja! (Justus, no bo kto inny!) Halo! Twój telefon jest bez przerwy zajęty! Chciałem się tylko upewnić, czy wszystko u ciebie w porządku!

Pod moimi bosymi stopami coś zaszeleściło. Stałam na całej stercie karteczek i listów, które on w nocy wsuwał przez szparę pod drzwiami do pokoju.

Boże, dziś w nocy musiał wręcz tryskać humorem i inwencją twórczą!

- Bo odłożyłam słuchawkę! - syknęłam wściekła.

- Muszę koniecznie z tobą porozmawiać!

- DLACZEGO?

- Bo idę teraz na pieszą wycieczkę! Świeci słońce, no ruszaj się, chodź, pochodzimy razem!

Po takiej propozycji, w innych okolicznościach, pobiegłabym z ochotą na spacer z Justusem. Taki słoneczny poranek to świetna pora. Nawet gdyby padało. Na kaca i złe nastroje, kłopoty i troski piesze wycieczki to jedyne lekarstwo. Mieliśmy zawsze tak wiele do opowiadania. I było nam razem wesoło. Pod każdym względem było nam razem fajnie. Zwłaszcza wtedy, gdy się nie chełpił. Ale teraz miarka się przebrała. Nigdy więcej.

- Daj mi spokój! - syknęłam przez drzwi. - Przez pół nocy nie dałeś mi spać, konam ze zmęczenia!

- Kim ja w ogóle jestem? - usłyszałam z drugiej strony. - Czy ja muszę tego wysłuchiwać?

Poszedł sobie.

- Nie, nie musisz tego wysłuchiwać. Sam się podkładasz - mruknęłam i wróciłam do łóżka. Rzuciłam się na skotłowaną narzutę.

Telefon w bezpośrednim sąsiedztwie mojego ucha krzyczał: „Wypuść mnie stąd! Boję się ciemności! Nudno mi tu! Chcę innych rodziców!”

Wyjęłam telefon z szuflady nocnego stoliczka, położyłam słu-

chawkę na widełki. No, ty potworze! Daj mi wreszcie spokój. Śpij wreszcie! Mama też pośni, jasne!

Jasne, odpowiedział niemy telefon. Był wycieńczony wielogodzinnym nawoływaniem w szufladzie.

Zerknęłam na zegarek. Za dwadzieścia siódma.

- Cholera! - zakłęłam pod nosem. - Ostatnią taką noc miałam, gdy bliźniaki były małe. Co dwadzieścia minut pobudka. A dziś o jedenastej kręcimy w plenerze. I ja mam dobrze wyglądać po TAKIEJ nocy!

I nagle usłyszałam głos grubej Ulriki, która uśmiechając się słodziutko i grzeczniutko mówi: „Tak, teraz musisz poradzić sobie z tym piwem, którego nawarzyłaś!”

Daj spokój kobieto, po prostu zazdrościsz mi.

Tak naprawdę, żaden Justus nie raczył na ciebie rzucić kiedykolwiek okiem. Na twoim dywaniku przed łóżkiem nie leżą liściki od mężczyzn. Nie ma ani jednego.

Wściekła, odwróciłam się do ściany. W tym momencie zadzwonił telefon. Właściwie nie chciałam odbierać. Ale to MÓGŁ być Gustaw. MÓGŁ być.

Z bijącym sercem podniosłam słuchawkę. Serce waliło jak oszalałe.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że już wychodzę.

- IDŹ WIĘC WRESZCIE! - Rzuciłam słuchawkę na widełki, aż aparat podskoczył.

Mamusia chciała sobie pospać! Tysiąc marek za godzinę snu! Gotówką zapłacę! Pieniądze wyłożę na stół!

„No, taaak!” - Ulrika znowu uśmiechała się nieszczerze i słodziutko. Mrużyła te swoje świńskie oczęta, ciesząc się z mojego nieszczęścia: „Sama sobie tego piwa nawa...” - Walnęłam pięścią w poduszkę.

Zamknij mordę! Sama wiem najlepiej. I nigdy więcej już się to nie powtórzy!

Na narzutę kapnęły pierwsze łzy wściekłości rozjuszonych diwy. Zmęczona płaczem zasnęłam ciężkim, niezdrowym snem. We śnie migotał mi przed oczyma serdeczny uśmiech Ulriki, gdy ktoś znowu zapukał do moich drzwi.

Na zegarku wpół do ósmej. Czyżby pokojówka? O, te fran-

cuskie dziewczyny! Bez wycucia! Że też nie rozumiały nas, niemieckich artystów! Przecież dziś musimy ciężko harować! Ale to MÓGŁ być Gustaw!

- Tak? - czarna kawka o podciętych lotkach zachrypiała z łóżka w kierunku drzwi. - Kto tam? - Łapką mokrą od łez wytarła sobie, całkiem zasnana, dziób, by odpędzić uczucie frustracji i gniewu. Fu! Nieprzyjemny smak w ustach. Koszmarne sny!

- To ja! - za drzwiami grzmiał basem Justus. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że już wróciłem!

NIE! Czarna kawka o podciętych lotkach i czerwonych od płaczu oczach w ciągu sekundy przeobraziła się w orła żadnego krwi. Drapieżny ptak rozpiął swoje skrzydła, uniósł się pod sufit i stamtąd rzucił się na drzwi, by je rozpruć ostrym niczym brzytwa dziobem.

- Oszalałeś chyba! - zaskrzeczał orzeł, żądny krwi, waląc skrzydłami w niewinnego wędrowca w kurteczce koloru kupki niemowlaka. - Powiesz wreszcie, czego ty ode mnie chcesz?

Chcesz się ze mną ożenić? Czy to sprowadza cię do mnie? Chcesz opuścić żonę i sześcioro dzieci, by w kwiecie wieku zacząć nowe życie ze mną? No powiedz wreszcie! Wyduś to z siebie! Chcesz uciec ze mną na bezludną wyspę? Tak? O to ci chodzi? A może zaproponujesz mi, żebyśmy wspólnie popełnili samobójstwo?

Stojący w ciemnym korytarzu radosny wieśniak pachniał świeżym powietrzem i rankiem. Na kurteczce, żółtej niczym kupka niemowlaka, lśniły krople rosy niewinnego letniego poranka.

- Na dworze jest wspaniale! - Justus był zachwycony. - Powietrze jest takie pikantne, słyszałem kukułkę...

- No i co z tego? Ile minut będziesz jeszcze żył? - wyłodziwiała się z nienawiścią. Zastanawiała się, jaką bronią go zabić. Morderstwo w afekcie. To chyba okoliczność łagodząca.

- Jesteś tak niesamowicie urocza, gdy się złościsz! - powiedział i wcisnął się do swojego pokoju.

Doskonale wiedziałam, że nie wyglądałam specjalnie uroczo. Na wpół naga, z opadającymi pończochami, rozczochrana, z czerwonymi plamami ze złości na twarzy. Niczym Fizia Poń-

czoszanka po powrocie z krainy Taka-Tuka, kiedy to przez wiele godzin taszczyła na plecach swego konia.

- No tak! Wszedłeś do środka - powiedziałam. - I co dalej?

- Czytałaś moje liściki? - zapytał i rozejrzał się po pokoju, szukając czegoś.

Wszystkie listy leżały tam, gdzie je wsunął. Teraz pod naszymi stopami. Staliśmy na nich. Ja w pończochach, on w swoich butach do pieszych wędrowek.

- Nie, nie miałam kiedy - wyjaśniłam. - Bo co dziesięć minut dzwonił telefon. A co w nich jest?

Justus osunął się na krawędź mojego łóżka. Na jego górnej wardze lśniły krople potu. Twarz miał w białych plamach. Chyba ten poranny spacer nie wyszedł mu na zdrowie.

Zemsta laleczki - pomyślałam. - Ostatnia część. Dość już tego. Teraz już dosyć. Ta sztuka już mnie zaczęła nudzić. Przecież już dawno usunęłam ją ze swojego repertuaru.

- Nie pozwolę z siebie robić pajaca - wydusił wreszcie.

Tę melodię też już dobrze znałam.

- Zgodziłam się - odparowałam. - W takim razie sam nie rób z siebie pajaca!

Ktoś w pokoju obok, rozindyczony hałasem, zapukał w ścianę.

- To TY robisz ze mnie pajaca! - teraz on atakował.

- Czy o tym pisałeś w listach do mnie? I DLATEGO przez całą noc wydzwaniasz?

- Ciszej! - zawołał ktoś z sąsiedniego pokoju.

- CZEGO ty ode mnie chcesz? Musi być przecież jakiś powód, dla którego biegasz niczym niespełna rozumu odyniec w amoku! Z pianą na pysku! No, powiedz wreszcie!

- Chcę ciebie! - powiedział bezbarwnym głosem. - Przecież dobrze o tym wiesz.

- Jak to - nie rozumiem? Chcesz mnie! Po co? Chcesz ożenić się ze mną? Jestem zamężna! Ty również jesteś żonaty, jeśli wierzyć twoim wywodom!

- Nie ożenić. Nie mogę opuścić mojej żony. Ona mnie potrzebuje.

No jasne - pomyślałam. - I to jak bardzo cię potrzebuje! Ktoś taki jak ty nie trafi się jej już nigdy w życiu!

- W takim razie o co ci chodzi? Chcesz mnie osiąść? Słuchaj, na jakim świecie ty żyjesz? Żyjemy w wolnym kraju, bez obowiązku noszenia chusty na głowie, bez poligamii, bez obowiązku spuszczenia oczu. Jasne?!

- Robisz ze mnie pajaca! - odpowiedział. - Kim ja w ogóle jestem? Czy ja jestem na to zdany.

- To TY SAM robisz z siebie pajaca!

- Jest mi obojętne, kim ty się otaczasz i jak żałosne są te twoje typki!

- Kogo masz na myśli?

Jedno słówko o Gustawie, a walnę telefonem w łeb.

- Tych godnych pożałowania pętałów, którzy nie sięgają mi nawet do pięt.

- A więc kogo? Mówisz o moim mężu? Ernstbercie? Sądzisz, że nie dorasta ci do pięt?

- O, nie mówię o twoim mężu. To całkiem miły gość.

- O, dziękuję uprzejmie za tyle łaski. W TAKIM RAZIE O KIM MÓWISZ?

- Ciszej! Jest środek nocy!

Zamknijcie się, wy głupie ściany. Skoro macie uszy, to musicie słuchać. W każdym razie nie możecie twierdzić, że się nudzicie w podróży służbowej, że zawsze podają rybę i że nikt się nie chce z wami bawić.

- No, ten żałosny nauczyciel, jak jemu tam, ten belfer, Schmitz-Nittenwirm. Przecież to nie mężczyzna! To chłopina!

Aha, tu cię boli.

- Tak? I o kim jeszcze?

- No, a ten chłystek, ten cały Benjamin! Czy ja muszę z kimś takim konkurować?

- Nie, nie musisz konkurować z Benjaminem! Ma dwadzieścia lat i mógłbyś być jego ojcem!

- I inni przegrani faceci!

- O kim mówisz?

Spróbuj tylko wspomnieć słówkiem o Gustawie, a ukatrupię cię.

- Wszystko wskazuje na to, że lubisz skrajności!

- Jasne, że lubię skrajności! Nudnych typów są na świecie całe kopy!

Być może Justus uznał te słowa za komplement. W każdym razie odważył się na dalszy atak.

- Nie rozumiem, co ty widzisz w tych starych, brzydkich facetach.

Ale ja rozumiem. Wiem, że starzy, brzydki mężczyźni mają młode i piękne dusze. Tak jest! Mam nadzieję, że ktoś to zapisze! A ty nie masz o tym pojęcia, bo jesteś próżnym pawiem. Twoja dusza skryła się gdzieś pod grubą warstwą kurzu, bo ciągle jesteś zajęty wpatrywaniem się w swoje odbicie w lustrze!

Podniosłam aparat telefoniczny, by go rozwalić na jego łbie.

„Starzy i brzydki mężczyźni!!!” TYLKO BEZ NAZWISK!

- No, a ten dentysta, ten waźniak?

- Waźniak? Jak ty to ładnie powiedziałaś!

- I kto wie, kto się poza tymi za tobą ugania! Ja nie mam nic przeciw temu, że masz powiedzenie u mężczyzn! Twoje prawo!

- Dzięki! Jakiś ty wspaniałomyślny! I gdy tak sobie uświadomię, że nie jesteś ani moim bratem, ani swatem... A tym bardziej mężem! Naprawdę! Gdy tak sobie uświadomię, że mój małżonek, z którym jestem osiem lat po ślubie, nigdy sobie nie pozwolił na określenie jakiegokolwiek mężczyzny z mojego otoczenia jako pajaca, przegranego faceta, chłopiny, starego, brzydkiego faceta czy też chłystka! I nigdy nie przejmował się tym, kim się otaczam! Do jasnej cholery! Że ty, jako mój kolega z pracy, rościsz sobie takie prawa do wydawania opinii! Miłe to z twojej strony i koleżeńskie! Czym to ja zasłużyłam sobie na tyle dobroci o tak wczesnym poranku?!

- Nie będę konkurować z tym żalosnym chłystkiem! To wszystko! Nie zniżę się do jego poziomu. Ja jestem mężczyzną, który daje sobie radę w życiu!

Tak, tak, dajesz sobie radę! Jasne!

- No proszę! W takim razie w czym problem?

- Nie ma żadnego problemu! Wszystko jasne!

Justus wstał, a ja westchnęłam z ulgą No, wreszcie!

- Chciałem cię tylko na koniec o coś poprosić! - powiedział, stojąc już w drzwiach.

- Tak?

Wszystko, co chcesz, tylko daj mi pospać ze dwie godziny.

- Nie uganiaj się za mną!

- SŁUCHAM?

- Wiesz doskonale, co mam na myśli! - Justus był rozżalony.

- NIE! Nie wiem! Co masz na myśli mówiąc, żebym się za tobą nie uganiała? Czy chcesz mi przez to powiedzieć, bym nie dzwoniła do ciebie co dziesięć minut, nie pisała liścików, wtykając je pod drzwi, żebym nie pukała do twoich drzwi o trzeciej nad ranem, żebym nie stała za każdą latarnią, śledząc, dokąd idziesz i z kim? I żebym nie stawała przypadkiem przed toaletą dla panów, pilnie studiując ogłoszenia na tablicy, kto ma dyżur i kto sprząta w tym tygodniu, bo ty schowałeś się właśnie w toalecie i siedzisz tam od pół godziny na desce klozetowej, chcąc mieć chwilę spokoju? I żebym nie wczytywała się w rozkład zajęć, który wisi przy wyjściu ze studia, aż ty wreszcie wyjdiesz z budynku? I żebym nie studiowała jadłospisów wywieszonych na drzwiach stołówki, od których człowiekowi chce się rzygać? I żebym nie obchodziła wszystkich możliwych miejsc, gdzie rano można postawić auto, aż ty wreszcie przyjedziesz do pracy? I żebym nie dzwoniła do ciebie popołudniu, po pracy, opowiadając, że jestem przypadkowo w twojej dzielnicy, u swojego doradcy podatkowego? W porządku! Chętnie! Zgoda! Umowa stoi!

Aż się zasapałam z wysiłku. No, no, że też sprawy musiały zajść tak daleko! Przecież to w kiepskim stylu! A przecież kiedyś było tak sympatycznie!

- Prawdziwe gówno z ciebie! - syknął Justus, a wokół jego ust pojawiły się krople piany.

Podeszłam do drzwi i otworzyłam je. Zemsta laleczki, akt ostatni.

- Won!

- Nie ze mną w ten sposób! - powiedział. - Stosunek służbowy między nami jest tego typu, że nie muszę tego wysłuchiwać! Jestem mężczyzną, który daje sobie radę w życiu!

Krokiem defiladowym armii pruskiej opuścił mój teren. Rzucałam się na skotłowane łożko i wlepiłam oczy w sufit.

Trzy minuty później zadzwonił telefon.

Koło południa światło jest najlepsze.

Powietrze nieruchome, słońce jaskrawe i jarzące. Trzydzieści stopni w cieniu.

Cudowny zameczek nad Loarą nie dawał ani odrobiny cienia. Pod samo niebo tryskały ożywcze strumienie wody z fontanny, którą zdobyły liczne postaci, ciosane w kamieniu. Krople wody błyszczały na wszystkich kwiatach i krzewach, jakby szły w zawody, gdzie ich więcej.

Pan profesor doktor Bornheimer i pani doktor Anita Bornheimer-Bach, świeżo po ślubie, zakochani w sobie po uszy, gruchali słodko i trzymając się za rączki, spacerowali po ogrodzie zamkowym. Kamery śledziły ich ruchy, poruszając się po szynach, które specjalnie dla tej sceny ułożono poprzedniej nocy.

Tak, nasi technicy harowali już od najwcześniejszych godzin rannych. Podczas gdy my obracaliśmy się właśnie na drugi bok, śniąc o samych przyjemnych rzeczach, oni przygotowywali plan. Technicy odpowiedzialni za światło mieli dziś wolne. Pracowało za nich jaskrawe lipcowe słońce.

- Jaki piękny dzień, prawda kochanie? - szczebiotała Anita, opierając z wdziękiem swoją główkę na ramieniu pana profesora.

Profesor roześmiał się jowialnie.

- Wspaniały dzień na podróż poślubną.

- Tak bardzo bym chciała wiedzieć, co nam przyniesie przyszłość! - Pani doktor gruchała słodko. Tu zerwała mimochodem łądzkę trawy. - Czy za dziesięć lat będziemy się jeszcze tak kochać jak dziś?

- Ależ oczywiście, kochanie! - Dobry pan doktor ucieszył się. - Bo dlaczego nie? Taką cudowną istotę jak ty będę kochał do śmierci!

„Prawdziwe gówno z ciebie”.

- Czy wiesz, kochany, o czym marzę?

- Nie, aniele mój, ale zaraz się dowiem. Wszystkie twe życzenia są dla mnie rozkazem.

- Chciałabym mieć z tobą dzieci - zaszeptała Anita. - Przy najmniej pół tuzina. - Zachichotała rozbawiona.

- Ależ najdroższa, przecież ja też pragnę mieć z tobą dzieci. Jeśli będą choć troszkę do ciebie podobne, możemy ich mieć jeszcze więcej! - Tu profesor wziął twarz Anity w swoje dłonie i wycisnął na jej ustach serdeczny pocałunek.

„Nie uganiaj się za mną”.

- Wiesz, na co mam teraz ochotę? - zagdakała Anita frywolnie. Rozejrzała się po parku, jakby czegoś szukała.

Poza kilkoma kamerzystami, paniami charakteryzatorkami, kilkoma zainteresowanymi kolegami i technikami w parku nikogo nie było. Nie, jeszcze ktoś siedział na swoim krzesełku. Gustaw.

W serialu byliśmy sam na sam. Nikt nam nie przeszkadzał.

- Czego pragniesz, kochanie? Powiedz mi!

- Chcę się z tobą kochać, Franku!

„Gdybyś wiedziała, jak Iwona na mnie leci! Mogę mieć każdą. Każdą”.

- Co? Tutaj? Teraz? Natychmiast?

- Tak, kochanie, teraz, natychmiast! Jesteśmy sami. - Anita zaciągnęła małżonka w krzaki.

Koledzy gapili się, niektórzy siedzieli na trawie, inni podglądali nas zza drzew. Gruby Paul i Eberhard z Hesji stali w towarzystwie kierowcy autobusu oparci o żywopłot i grali w skata. Ulrika uśmiechała się ciepło i szczerze, siedząc na wełnianym kocu. „Sama nawarzyłaś...” A na dodatek reprimenda!

Ekipa techniczna wybrała dla nas uroczy zakątek za krzakiem rododendronu, obrośnięty mchem. Odgradzili go od reszty czerwona taśmą.

- Chcę mieć z tobą dzieci, kochanie! Wiesz przecież, jak bardzo pragnę mieć dzieci!

- Ale przecież możemy wieczorem... - Pociągnęła go za sobą, potem osunął się sam.

- Nie, teraz! Pocałuj mnie!

Teraz, szybko, pocałuj mnie natychmiast. Przecież wiesz, jak mnie podniecasz.

Zemsta laleczki, epilog.

Justus pocałował mnie. Podjechały kamery. Bliski plan.

- Ależ Anito! Jacyś ludzie idą w naszą stronę!

Anita chichotała, rozchochocona.

- Franku! Takim cię w ogóle nie znam! Taki... jesteś zapięty na wszystkie guziki!

Anita zaczęła rozpinąć garderobę swego małżonka profesora. Palcami wczepiła się w jego czarniawą, owłosioną klatkę piersiową, obsypała ją namiętymi pocałunkami, odrzuciła jedwabną bluzeczkę i staniczek w krzaki.

Nagle dały się słyszeć śmiech i piski. Podjechał autobus z koleżeństwem. Pojawił się pośrodku wygracowanej dróżki parkowej. Tuż obok rododendronu.

Spocony Benno siedział przy kierownicy, trzymając karty do skata. Drzwi się otworzyły i z autobusu wysypała się zgraja rozbawionych kolegów i koleżanek.

- Boże, jak tu ładnie! - zawołała starsza siostra Lora Kosz-mama, otwierając parasolkę przeciwśłoneczną.

- To był dobry pomysł, żeby tutaj przyjechać - powiedziała Gretel Zupf do kamery i wbiła zęby w jabłko. - Oni nigdy na to by nie wpadli!

- Gdzie oni mogą być?

- Ale się zdziwią! - ucieszył się doktor Gernot Miesmacher, lekarz asystent. - Nie spodziewają się nas! Czy ktoś wziął ze sobą rakiety do badmintona?

- Ja! - zawołała Elvira Merkenich-Jogurtowa, i natychmiast wyczarowała dwie rakiety i lotki. Z zapałem zaczęli grać.

Miejmy nadzieję, że podczas gry nie wypadną setki zdjęć Adrianka! - pomyślałam, siedząc za krzakiem, podczas gdy Justus uszczęśliwiał mnie swoją nieposkromioną męskością.

Pani doktor Mechhilda Goch i nasz turecka koleżanka, Merdał Guelldyll, rozłożyły wełniany koc i rozsiadły się na nim. Mechhilda wyciągnęła termos z herbatą miętową. Merdał poprawiła chustkę, która zakrywała jej czoło aż po brwi i skwapliwie

skorzystała z zaproszenia, by napić się herbaty z brązowego plastikowego kubka.

Głupkowaty sanitariusz, czyli Adolf, próbował stanąć na rękach, co mu oczywiście nie wychodziło. Zawsze usiłował zwrócić na siebie uwagę. Jeśli chodzi o możliwości intelektualne, był na poziomie Erniego i Berta, chociaż w przypadku moich chłopców stwierdzałam regularne postępy. Adolf natomiast był takim niedorozwiniętym i ograniczonym tumanem, który rozśmieszał tylko siebie samego.

Skupiona Berthilda, nasza siostra pełniąca nocne dyżury, spacerowała po alejkach parkowych z książką w ręce (*Wyssany stosunek* - ciąg dalszy?). Pia, ta z kurzym kuprem, usiadła skrzywiona na murku i znudzona gapiła się w słońce.

Wycieczka zakładowa - forma rekompensaty dla pięciu milionów emerytów za nigdy nie odbyte wycieczki.

- Popatrz, sarenki w zaroślach! - zawołał doktor Christof Gernhaber, nasz kolega zainfekowany wirusem HIV.

- Tam coś się porusza! - krzyknęła Ulrika, uczennica zawodu pielęgniarskiego.

Wszyscy pobiegli, zaciekawieni, w kierunku zarośli, gdzie w miłosnym szale tarzaliśmy się my - ja z Justusem.

Miałam nadzieję, że Gustaw powie w pewnym momencie, że wszystko jest zbędne. Ale on długo kazał mi czekać.

- Cicho! Może młode jest ranne! - syknął doktor Jean Marie Wagner, obleśny obrzydliwiec, gnom o byczym karku, ten, który nieustannie zdradzał swoją żonę i prowadził jakieś lewe interesy z zakładem pogrzebowym

Siostra Elwira Merkenich-Miesmacher uderzyła w mentorski ton:

- Powinniśmy sprowadzić leśniczego! - Mówiąc to, waliła rakiętą do badmintona o krzaki.

Spadaj, babo - pomyślałam. - Tak tu przyjemnie z Justusem. Akurat rozłożyliśmy się wygodnie. Że też zawsze musisz się nudzić!

Justus dąsał się, a więc i jego męska witalność również była nadąsana. Najlepszy jego przyjaciel leżał bez wigoru, ze wszech miar obrażony. Nudził się i pragnął mieć innych rodziców.

- No, ruszaj się, teraz nasza kolej! - syknęłam, szturchając kolegę Streitackera. Wziął mnie obcesowo w swe silne męskie ramiona i - wściekły - przygniótł do swojej owłosionej piersi.

- O! - zawołała Elwira, odskakując od naszego legowiska. - To oni!

Znowu bliski plan. Kamera skierowana prosto na nas.

Chichocząc rozkosznie, przytuliłam się do Justusa i schowałam swoją, w loczki ufryzowaną, główkę pod jego spoconą pachą. Mój świeżo poślubiony narzucił na mnie koszulkę polo. Dla przyzwoitości. Był przecież światowcem. I doskonale wiedział, jak zachowuje się džentelmen w trudnych sytuacjach. Dwadzieścia par ciekawych oczu zerkało teraz z góry na nasze gniazdko miłosne. Ze szczególnym zaciekawieniem i wyrazem radości na widok cudzego pecha patrzyły na mnie świńskie oczęta grubej praktykantki Ulriki. No! Wypij to, czegoś nawarzyła! Publicznie! Na oczach wszystkich! Pod pręgierzem! I na dodatek reprimenda!

Końcowe ujęcie. Koniec odcinka czterysta dziewięćdziesiąt dziewiątego.

- Stop! Dziękuję! Koniec! - Gustaw przez megafon zakończył tę scenę. - Miłego dnia życzę państwu!

Powlókł się do swojej przyczepy kempingowej, zatrzasnął za sobą drzwi i ruszył.

Tej nocy ukradkiem opuściłam swój pokój. Bezszelestnie otworzyłam drzwi. Korytarz ciemny i pusty. Powietrze czyste. Ani śladu kurteczki. Żadnego liścika pod wycieraczką. Nie widać też było Justusa ze sztyletem pod płaszczem. Na wszelki wypadek wyłączyłam telefon. Najciszej jak tylko potrafiłam zeszałam po skrzypiących schodach.

Kobieto! - pomyślałam. - Nadal nie wydorosłaś.

Na parkingu stała przyczepa kempingowa. Było dziesięć po trzeciej. Nie bardzo wiedziałam, czego chcę. Jakaś magiczna siła kazała mi jednak iść do Gustawa. Przynajmniej z nim porozmawiać. Tyle pytań chciałam mu zadać. Tylko ten jeden, jedyny raz.

Księżyc stał nad zamkiem i odbijał się w Loarze. Cała okolica skąpana w bladobłękitnym świetle. Spojrzałam na fasadę hotelu. Cicho, ciemno. Justusa ani śladu. Ani w rynnie, gdzie czaiłby się gotów do skoku, ani w pobliskich zaroślach. Przyczepa kempingowa skąpana w świetle księżyca. Wydawała się martwa.

Podbiegłam do niej niczym włamywacz. Za sprawą księżyca w pełni wbiegłam na schodki do przyczepy. Jak lunaticzka.

Jednak byłam przytomna. I wiedziałam, co robię. Cichutko zapukałam do drzwi przyczepy. Bardzo, bardzo ostrożnie. Drzwi ustąpiły. Nie były zamknięte.

Gustaw leżał na swojej kanapce. Oczy miał otwarte.

- Wejdz! - szepnął ochrypłym głosem. - Czekałem na ciebie.

Dotarłam do niego po omacku i podałam mu rękę. Mój wzrok musiał się najpierw przyzwyczaić do ciemności. Zapach panujący w przyczepie znałam doskonale. Jak zapach własnej kołdry.

Wziął moją rękę i przesunął się cokolwiek. Usiadłam na brzegu pośłania. Milczeliśmy. Siedzieliśmy, trzymając się za ręce, i milczeliśmy. Gustaw był jedynym człowiekiem na świecie, z którym potrafiłam godzinami milczeć.

No dobrze, z Ernstbertem można też godzinami milczeć, ale on zawsze coś czyta, jakieś instrukcje obsługi na przykład, lub śpi.

- Trudno było? - zapytał wreszcie głosem człowieka, który całymi dniami i tygodniami z nikim nie zamienił ani słowa.

- Co masz na myśli? - szepnęłam.

- Przyjść tutaj.

- Tak. Musiałam się przemóc. No bo ty przecież nie przyjdiesz.

- Wciąż ktoś puka do twoich drzwi! - powiedział. - Albo czai się w pobliżu.

- Tak mi przykro. To nie moja wina.

O co, to nie! Twoja wina! Twoja, Charlotta! Doskonale o tym wiesz. Sama musisz wypić to, czegoś nawarzyła. No, szybciej!

- Czy tym razem nikt cię nie obserwował?

- Nie, wydaje mi się, że nie.

- To musi być okropne, taki ciągły nadzór! Ja bym tego nie wytrzymał! - powiedział Gustaw, odchrząkując.

- Można dostać szału - przyznałam mu rację. - Za każdym węglem widzę lśniąca wiatrówkę.

- Czy pozwoliłaś mu kiedyś zbliżyć się cokolwiek do siebie? Bo tacy ludzie jak on tracą zaraz umiar. - Gustaw zadał to pytanie pryncypialnym tonem.

- To on zbliżył się do mnie - wyjaśniłam. - Ale w gruncie rzeczy na jedno wychodzi.

- No i teraz sama widzisz, co z tego masz - powiedział Gustaw.

Kochałam go za to, że nie znosił teatralnych gestów. Znowu milczeliśmy oboje.

Nadal trzymaliśmy się za ręce.

- Gustawie?

- Hm?

- Co się z tobą właściwie dzieje?

Milczenie. A potem:

- Gdybym wiedział, byłoby mi lepiej.

Czyżbym rzuciła na niego czar? Niechący? I nie zauważyłam? Chociaż surowo sama sobie tego zakazałam. Nie mogłam przecież zapytać go wprost: „Proszę pana, czy pan nie zakochał się niechący we mnie? Jeśli tak, to w jakichże to niefortunnych okolicznościach?” Przecież TAK wprost zapytać go nie mogłam. Za żadne pieniądze!

- Dlaczego uciekłeś z Wiesbaden? - zapytałam wreszcie. Nie mogłam sobie tego pytania darować.

- Wydawało mi się, że jestem tam zbędny. Mnóstwo ludzi wokół ciebie...

- Co? I TO jest przyczyna? Wydawało ci się, że jesteś tam zbędny? Ale przecież spałeś w moim łóżku!

- Nigdy nie śpię. Nie spałem wtedy. Ty pomstowałaś na srokę - powiedział Gustaw tonem osoby na pewno mającej rację. - Przeklinałaś jak furman. - I choć było całkiem ciemno, wydawało mi się, że widzę, jak się uśmiecha. - Chyba to był kos. Zresztą co za różnica. Kos, słowik, skowronek czy sroka! Wszystko jedno!

- Ale ciebie następnego ranka już nie było!

- Zaspałem! Przespałem twoje przedstawienie. - Przyznał się.

- A ja myślałam, że nigdy nie śpisz.
- Nocą NIGDY nie śpię. Ale właśnie tego wieczoru zasnąłem. Byłem oczywiście na siebie wściekły.
- Ale ja nie byłam wściekła na ciebie! - przerwałam. - I to jest najważniejsze!
- Gadułko, ty gadułko! - zamruczał.
- O, jak bardzo kochałam jego powiedzonka. Miałam nadzieję, że nie wpadnie na pomysł, by puścić moją dłori.
- W każdym razie nie mogłem już zasnąć po tej twojej awanturze ze sroką.
- Przed chwileczką twierdziłeś, że był to kos.
- Bo to był kos. To był kos. Kos przepięknie gwizdże, a sroki skrzeczą.
- Wiem. Wiem, jak kosy gwizdzą. No i co dalej? Co było dalej?
- Zszedłem więc do przyczepy, by się ogolić i odświeżyć. Było około wpół do siódmej. Potem chciałem iść po świeże bułeczki i zaprosić cię na śniadanie.
- Na samą myśl, że straciłam wspólne śniadanie z Gustawem w przyczepie kempingowej, ogarnął mnie szał.
- Tak? I co dalej? I okazało się, że sroka narobiła ci na błotnik! Albo coś w tym rodzaju?! - zawołałam rozżłoszczona.
- Ciicho! Nie tak głośno! Bo zaraz stanie na wycieraczkę twój stróż i będzie reprimenda na dodatek!
- Roześmiałam się. Gustaw szybko kojarzył!
- No więc? Poszedłeś się ogolić. I co dalej?
- Wtedy kątem oka dostrzegłem jaskrawożółtą kurteczkę, która właśnie zniknęła za węgiem hotelu.
- NIE!
- Ciicho! Chcesz obudzić wszystkich w hotelu?!
- Co zrobiłeś potem? Pobiegłeś za nim i dałeś mu w mordę?! Przyłożyłeś temu wackowi, temu niegrzecznemu maluchowi?! Pogadałeś jak mężczyzna z mężczyzną?! I nazwałeś rzeczy po imieniu?! Kawę na ławę!
- Nie. To nie w moim stylu. Wsiadłem do przyczepy i wróciłem do domu.
- Nie ogolony.

- Nie ogolony. Przez kilka dni nie goliłem się potem.
- Tak. To w twoim stylu. Po prostu nie golić się, schować się niczym borsuk w jamie i nie powiadomić mnie, co się dzieje. Czy jeszcze mnie lubisz, czy ci coś zrobiłam, czy cię kiedykolwiek jeszcze zobaczę. I nieważne, że ja przez kilka dni kręciłam się jak otumaniona, nie goląc się.

- A co ty golisz?

- To nie twoja sprawa.

- Skoro ten twój pan Justus zechciał złożyć ci wizytę w Wiesbaden, to ja nie zamierzałem być przeszkodą na drodze do twojego szczęścia.

- O, Gustawie! Przecież doskonale wiesz, jak sprawy się mają! Lubię go. Zwłaszcza wtedy, gdy nie nadyma się jak balon.

- Czy ty widziałas go kiedykolwiek nienadętego?

- Tak, nawet często. - Byłam dumna z siebie, no bo kto mógł o sobie powiedzieć, że widział Justusa nienadętego. Że zna go prywatnie, kiedy jest naturalny, skromny i patrzy prosto przed siebie.

- Daj spokój, Gustawie, skończmy ten temat, to prowadzi donikąd.

- Musisz uporządkować swe życie emocjonalne. Zapanuj nad tym chaosem. - Głos Gustawa zabrzmiał smutno. - Wtedy może się znajdzie jakiś kącik dla mnie.

- Ależ Gustawie! - wyrwało mi się z piersi. Kochałam go jeszcze bardziej i jeszcze bardziej bezradnie niż kiedykolwiek. Teraz to ja byłam zupką w torebce, miotającą się w sieci rybaka. Kochałam go za to, że dzięki niemu mogłam przeżywać takie uczucie. Był jedynym człowiekiem, który potrafił to uczucie we mnie wyzwolić.

Ale może ja w ogóle nie chciałam uporządkować mojego życia emocjonalnego i zapanować nad tym chaosem?! Może bałam się, że znowu będę się nudzić?!

- Jak to ma dalej być? - zapytałam, zupełnie bezradna.

- Cały czas o tym myślę.

- I DLATEGO od kilku tygodni schodzisz mi z drogi?

To było do niego podobne. Gdy myślał o kimś, schodził mu z drogi. Gdy Justus o kimś myślał, bez przerwy pukał do jego

drzwi. I wtykał karteczki. I szpiegował. I ogarniał go gniew, gdy ten ktoś rozmawiał z kimś innym. No cóż, mężczyźni chadzają różnymi drogami.

Dlaczego tak trudno spotkać takiego, który by powiedział: „Łaskawa pani, lubię panią i chcę, żeby pani o tym wiedziała”. Ot i wszystko. Dlaczego mężczyźni muszą uprawiać takie dziwne gierki? Czy ma to jakiś związek z tak zwanym honorem męskim? I dlatego żaden z nich nie potrafi skromnie i naturalnie, patrząc prosto w oczy, wyrazić jasno swoich uczuć?

Jeden puszy się niczym kogut na kupie gnoju i tylko się coraz bardziej ośmiesza. Im więcej entuzjazmu, tym mniej powagi. Kukuryku! Jestem prawdziwym światowcem!

Drugi chowa się w swojej zółwiej skorupie, spod której wygląda jedynie jego pomarszczona szyja, i za nic nie chce tej skorupy opuścić. Nawet gdyby go kusić liściem mlecza.

Jeden i drugi zachowywali się w sposób męczący, więc sprawy nie posuwały się ani odrobinę do przodu.

Stop, zostaje jeszcze Ernstbert. Ten nie uprawia żadnych gierrek. Ten nie udaje. Nie obraża się i nie jest urażony, nie rzuca wielkich słów na wiatr, nie ucieka się do dramatycznych gestów. Po prostu poinformował mnie, że nadal jest mną zainteresowany. I że pragnie dać mi czas, bym się zastanowiła. No i działał. Bez teatralnych gestów, skromnie, naturalnie, patrząc prosto przed siebie. Z tego dałoby się coś zrobić. Niezły materiał.

Ale jego godzina jeszcze nie wybiła.

- Twój monodram odniósł bombowy sukces. - powiedział Gustaw. - Znalazaś się wśród nielicznych, którym się udało.

- Co to znaczy „udało się”? Przecież nikomu nie chciałam zrobić krzywdy. Po prostu spróbowałam czegoś nowego. Udało się przy twojej pomocy, Gustawie! Bez twojego udziału sztuka nigdy by nie stała się tak dobra. Czy ja już ci za to kiedyś podziękowałam?

- Za co?

- Za ten wspianały czas spędzony z tobą. I za wszystko, czego się od ciebie nauczyłam.

- Jesteś zdolna i miałaś szczęście - odpowiedział. - W przyszłości sama sobie dasz radę. Nie potrzebujesz już naszego serialu. Wcześniej czy później szpitalik porzucisz.

- Ależ skąd! Co ty mówisz? Gustawie, ja przecież gram w tym serialu już od siedmiu lat! Kocham to! Lubię rolę doktor Anity Bach! Jestem jedną z was! Podoba mi się w szpitaliku! Nigdy się nie nudzę!

- Wiem. Mało kto pracuje w szpitaliku tak chętnie i z takim zapałem jak ty. A mimo to wiem, że odejdiesz. - Gustaw był smutny. - Kiedyś rzucisz ten serial. Anita Bach będzie musiała umrzeć.

- Gustawie! Nie! Anita Bach nie może umrzeć! Chcę, by jej życie trwało wiecznie!

- Kiedyś odejdiesz. Wiem, że tak będzie. - Gustaw powtórzył swoje słowa.

Gustaw zawsze wszystko wiedział lepiej. Nie chciałam mu się sprzeciwiać. Szkoda mi było tych kilku wspólnie spędzonych z nim chwil. Wiedziałam, że to nasze ostatnie wspólnie spędzone minuty.

- Gustawie? - zapytałam z lękiem. Nadal trzymaliśmy się za ręce.

- Słucham?

- Czy ty nie...

- Tak?

- O, nic takiego!

- Charlotte?

- Hm?

- Tak. Rzeczywiście. I dlatego czuję się tak podle.

Milczeliśmy, siedząc po ciemku.

- W takim razie z wzajemnością - powiedziałam wreszcie.

Tak, teraz wiesz. Jesteś jedynym mężczyzną, na którego nie rzuciłam czaru. To TY mnie zaczarowałeś. Ty stary, mrukliwy niedźwiedziu! Bo masz taką cudowną duszę! Bogatą i szlachetną! I nigdy na ten temat nie uroniłeś ani słowa.

- I nic nastąpić nie może! - Gustaw był smutny.

Poszukałam jego ręki.

- Nie, nie może! To prawda.

- Masz męża, a ja jestem starym mężczyzną.
 - Tak, tak jest rzeczywiście.
 - Mógłbym być twoim ojcem - odezwał się niespodziewanie. Aż drgnęłam.
 - No i co? Jesteś nim? - Wykrzywiłam twarz w uśmiechu. Moje serce waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi.
 - Skąd ja mam wiedzieć? - odpowiedział. - Nie mam pojęcia. Nigdy nie ma pewności co do ojcostwa. *Pater semper incertus*.
 - Czy wtedy dostałam tę rolę w serialu, bo miałeś jakieś zobowiązania w stosunku do Grety?
 - Jakiej znowu Grety?!
 - Dupek żołądny!
- Zamilkliśmy znowu. Głaskał moją dłoń. Boże, jak ja tego mężczyznę lubiłam!
- Czy uważasz, że jesteśmy do siebie podobni? - zapytałam wreszcie.
 - Nie, ani trochę.
 - No widzisz. Ja też żadnego podobieństwa między nami nie dostrzegam.
 - Masz wspaniałego męża - powiedział nieoczekiwanie. - Dużo rozmawialiśmy.
 - I jak?
 - Jest wart tego, by zacząć wszystko od nowa - powiedział Gustaw.
 - Tak, tak zrobię.
- Księżyc dyskretnie schował się gdzieś za dachem. Było całkiem ciemno. Żadne z nas nie odzywało się słówkiem. Co jeszcze mogliśmy sobie powiedzieć?!
- Siedzieliśmy w ciemności. Wszystko zapadło w nicość. Trzymaliśmy się za ręce i wiedzieliśmy, że wszystko zostało już omówione. Nawet kwestia kosa i sroki.
- Idź już! Pora, byś wróciła do siebie - powiedział wreszcie Gustaw.
- Przyczepa kempingowa milczała taktownie.
- Tak, tak zrobię - odparłam.
- Cisza niczym makiem zasiał. Ani sroki ani kosa. A może jednak?

- Gustawie? Czy ty płaczesz?

Brak odpowiedzi.

Wyjęłam swoją dłoń z jego ręki i poszukałam twarzy. Była mokra.

- Gustawie! Kochany, mój kochany Gustawie! Proszę, nie płacz! Nie chcę, żebyś płakał z mojego powodu!

Oniemiała wytarłam mu twarz z łez.

- Pozwól staremu człowiekowi na odrobinę sentymentalizmu - powiedział ochrypłym głosem.

Teraz i ja się poryczałam. Dziewczyno, weź się w garść! Sama sobie tego piwa nawarzyłaś!

- Gustawie! Proszę, uwierz mi! Ja tego nie chciałam!

- Wiem. Ja też nie chciałem - odparł na to Gustaw. - Naprawdę nie chciałem.

Znowu wyłonił się księżyc. Jak gdyby dawał mi znak, że powinnam już iść. Nasz czas minął.

Ale o jedną jedyną rzecz chciałam jeszcze koniecznie spytać.

- Gustawie, już idę, ale chciałam ci zadać ostatnie pytanie. Czy kiedykolwiek... Gustawie, to ważne... patrz mi teraz w oczy! To ma dla mnie zasadnicze znaczenie!

- Tak?

Zaraz się pokłócimy, rozmawiając o kosach i srokach. Sroki skrzeczą, a kosy przepięknie śpiewają. I znowu on będzie twierdził, że nie mam pojęcia o tercjach! I znowu dostanę mokrą szmatą w twarz! „Masz, trzymaj, ostudź trochę twarz, ty gaduśko!”

- Czy kiedykolwiek... kiedykolwiek, zastanów się dobrze... czy kiedykolwiek coś, na przykład ołówek, oliwka, kartka ze scenariusza, mokra skarpetka czy łąjno drozda...

- Co z tobą? Co cię napadło?

- Spokojnie! No! Czy kiedykolwiek coś upadło na ziemię, podczas gdy my patrzyliśmy sobie w oczy?

- A czy my kiedykolwiek patrzyliśmy sobie w oczy? Przecież ty lecisz tylko na zezowatyach!

- Gustawie! Odrobinę powagi! Zastanów się, czy kiedykolwiek coś takiego nastąpiło? To jest bardzo ważne. Czy coś kiedyś spadło?

- Akcje na giełdzie nowojorskiej. Ale jeszcze niżej niż akcje upadło twoje morale.

- GUSTAWIE! Czy coś spadło na podłogę? Przypomnij sobie!

- Nie - odpowiedział Gustaw po chwili namysłu. - No bo co miałyby spaść?

- Zawsze gdy coś spada na podłogę, a ja patrzę mężczyźnie w oczy... wtedy... O, czuję się doprawdy zażenowana...

- Nie rozumiem! Ty czujesz się zażenowana? Ty - zażenowana? Nie wierzę.

- O, nie ma sprawy. Na pewno wiesz, że nic ci nie spadło? Odrobinka pasty do zębów lub coś w tym rodzaju? Może popiół z papierosa?

- Nie! Nic mi o tym nie wiadomo. Gadułko ty moja kochana! Czy ty w ogóle wiesz, za co ja cię kocham? Nie za to, że coś spadło. To jakieś przesady! Za coś innego. Pozwól, że zacytuję twoje słowa: „Z tobą nigdy się nie nudzę”. Oto przychodzi!

- Ładnie to powiedziałaś! Dziękuję!

- Ale przestań igrać z ogniem! Słyszysz? To nie jest w porządku. Bo się doigrasz! Wszystko spłonie! I co wtedy? Staniesz nad zgłiszczami i powiesz: „Przepraszam, to było niechcący!”

- Przepraszam! - Byłam naprawdę skruszona.

- Musisz już iść! Staremu człowiekowi potrzebny jest czas na wypoczynek.

- Tak, już idę. Czy na pożegnanie mogę cię o coś poprosić?

- Czy każesz mi coś upuścić na podłogę?

- Nie! Ciebie akurat nie! Chodzi o coś innego. Czy na pożegnanie włączysz mi jeszcze jeden jedyny raz wycieraczki? Jeden jedyny raz!

- A więc poczułaś się jednak gorzej?

- Proszę, proszę cię bardzo! Ostatni raz. Zagraj mi pieśń o śmierci.

Gustaw wstał i włączył wycieraczki. Zapiszczały jak dawniej. Śpiewały pieśń o starej ciężarówce. Samotnej. Która do końca swych dni pozostanie sama.

- Gustawie, dziękuję ci za każdą chwilę spędzoną z tobą! Nigdy ciebie nie zapomnę.

- Gaduńko, ty moja gaduńko!
Rzuciliśmy się sobie w ramiona. Wyszłam.

Było już południe, gdy pociąg wtaczał się na dworzec w Kolonii. Stałam przy oknie i rozglądałam się, szukając mojego nowego-starego Ernstberta. Serce mi biło mocno.

Czy rzeczywiście zamierzał zacząć wszystko od nowa? Ja pragnęłam tego bardzo. Ale czy będzie to łatwe przedsięwzięcie?

Ernstbert i dzieci stali na peronie. On szczupły, w dżinsach i luźnym swetrze. Szeroki, skórzany pasek do spodni, sportowe obuwie. Mężczyzna, na którym można oko zawiesić. Ale czy on aby na pewno był MOIM mężem?

Bliźniaki urosły i wyszczuplały. Włosy obcięte krótko. Stały się jeszcze bardziej podobne do Ernstberta. Zwłaszcza Bert. Moi mężczyźni! Przecisnęłam się przez drzwi i wypuściłam bagaż z ręki. Padliśmy sobie w ramiona.

- Mamusiu! Mamusiu! Tata kupił przyczepę kempingową i jeździliśmy nią! Byliśmy w Disneylandzie!

- W Disneylandzie? W Kalifornii? - Popatrzyłam pytającym wzrokiem na Ernstberta.

- W Disneylandzie pod Paryżem. Mało brakowało, a złożylibyśmy ci wizytę. Ale pomyślałem, że potrzebujesz trochę więcej czasu.

Mijali nas koledzy. Niektórzy się uśmiechali. Inni nie. Gernot Miesmacher i Elwira, na przykład, nie! CHOCIAŻ wyszedł po nich Adrian. Berthilda, siostra, ta od nocnych dyżurów, o skupionym spojrzeniu, boleśnie się skrzywiła. Pia o kurzym kuprze uśmiechnęła się kwaśno. Najserdeczniejsza była pulchna Ulrika.

- Ile radości! - powiedziała, przechodząc. - Jaki to piękny widok, kiedy rodzina jest tak ze sobą zżyta!

- Prawda? - odpowiedziałam i uśmiechnęłam się równie fałszywie jak ona. - Ale gdzie można znaleźć tych, którzy człowiekowi niczego nie zazdroszą?

- Ooo! - odezwał się Ernstbert, gdy już nas nie słyszała. - Wygląda na to, że wszystkim wam potrzebne są wakacje! Musicie odpocząć od siebie!

- Co ty powiesz... - skomentowałam. Właśnie zbliżał się do nas Justus.

Szedł prosto w naszym kierunku, udając, że nas nie widzi. Lada moment mógł po prostu na nas wejść. Jednak był dżentelmenem! Uśmiechnął się jowialnie, podał Ernstbertowi rękę, dzieci pogłaskał po główkach. Jak gdyby nic się nie stało. Aktor, po prostu aktor!

- No jak, chłopcy? Odwiedzicie nas w Tyrolu? U nas w hotelu jest wszystko! Konie i kury, traktor, domek na drzewie i bajorko! I piaskownica!

- Którą Justus wybudował sam! - zawołałam. - Z drzew, które sam ściał!

- Moja żona jest naprawdę fajna! - Justus wybuchnął głośnym śmiechem. - Ucieszy się, gdy przyjedziecie! Moje dzieciaki również!

- Mamusiu! Pojedźmy do Tyrolu! Teraz! My chcemy zaraz tam jechać!

Dzieci uwiesiły się moich ramion. Ernstbert się roześmiał.

- Dziękujemy za zaproszenie! Zastanowimy się jeszcze!

Justus roześmiał się jeszcze głośniej.

- O, proszę bardzo! Ale czas nagli! Może zabraknąć miejsc w hotelu!

Aktor, pomyślałam, aktor! Tę scenkę zagrał pierwszorzędnie!

- Do widzenia, Justusie! - powiedziałam. - Życzymy ci udanego lata! Pozdrów swoją żonę!

- Dziękuję! Pozdrowię! I nie zapomnijcie o nas! Musicie nas odwiedzić!

Spojrzałam na niego pytającym wzrokiem. Roześmiał się bardzo głośno i jowialnie.

Latem było jak w bajce. Nasze pierwsze wspólne lato. Historia jak z książki. Siedem tygodni spędzonym razem! To się jeszcze nigdy nie zdarzyło - Ernstbert miał dla nas zawsze czas!

Przez pierwsze trzy tygodnie byliśmy w domu. W **DOMU**! Jakie to cudowne słowo, jeśli oznacza coś więcej niż dach i cztery ściany. Jeśli jest to **STAN**, a nie tylko adres.

Ernstbert nie czytał żadnych instrukcji obsługi. Przez całe długie lato nie przeczytał ani jednej! I ani razu mi nie powiedział, że spędza czas, zajmując się sprawami pseudozawodowymi. I że moje miejsce pracy to tylko bezużyteczne przedszkole! I że oczekuje ode mnie, że przynajmniej troszkę zajmę się domem. Że to minimum, którego ode mnie oczekuje! I żebym się nie spodziewała, że on wykona choć jeden ruch ręką w naszym domu! Że ma ważniejsze rzeczy na głowie!

Dawniej nie sprzątnął nawet filiżanki po kawie. Gdy wieczorem stawiał przy łóżku filiżankę, rano nadal była tam, gdzie zostawił ją wieczorem. Tydzień później również. Z czasem koło jego łóżka stało z piętnaście filiżanek, niektóre już zapleśniałe, ale ich nie odnosił. Stały i czekały. Ja oczywiście również czekałam.

Żeby nie było nieporozumień.

Albo brudne ręczniki. Rzucił je po prostu na podłogę. I nawet gdy musiał deptać po nich, żadnego nigdy nie podnosił, by wrzucić do kosza na brudną bieliznę. To należało do kobiet! Po co niewiasty mają ręce? By podnosić brudne ręczniki swoich mężów! By je zanieść do kosza na brudną bieliznę! By je z tego kosza wyjąć, wyprać, powiesić, zdjąć ze sznura, złożyć, zanieść do szafy i tam je ułożyć! Tylko po to, by mąż mógł znowu wyjąć z szafy czysty ręcznik, użyć go raz i znowu rzucić na podłogę!

Nie ze mną takie numery, najdroższy mój mężu! Tak sobie przez siedem lat naszego małżeństwa myślałam. NIE ze mną! Szarej kurki domowej możesz sobie poszukać gdzie indziej. Ożenek jest w takim układzie nieuczciwym posunięciem.

Albo brudne talerze. Ernstbert, ogarnięty szalem pracy, zwykł jadać przy komputerze lub jakimś innym urządzeniu, zdalnie sterowanym. W ten sposób mógł czytać na przykład instrukcje obsługi lub danymi „karmić” komputer, nie tracąc czasu na posiłki. Łyzeczka za dyskietkę, łyżeczka za twardy dysk, łyżeczka za drukarkę laserową, a ostatnia łyżeczka za myszkę! Jakie to smaczne! Mniem, mniem! Ojej! Myszka ma okruszki w na brodzie! Ale popiskuje, bo jest wdzięczna i świadoma swoich obowiązków! Komputer beknął sobie zadowolony, po czym na

znak wdzięczności wypluł z siebie jakieś liczby, listy i obliczenia.

Ernstbert i jego komputer tworzyli jedność, zauroczeni sobą, tworzyli zakochaną parę, żaden z nich poza partnerem świata bożego nie dostrzegał. Tu właśnie stały te brudne talerze. Gdzieś. W piwnicy obok alarmu, który także był „karmiony”, bo bez odpowiedniego materiału napędowego nie pracował. W garażu obok pilota. W pokoju obok cd-roomu. W łazience obok bidetu. W naszym domu nawet tyłki były myte i wycierane automatycznie, co pozwalało na spokojne czytanie instrukcji obsługi.

Nie wspominając już o gabinecie Ernstberta. Doprawdy, jakież to bardzo osobiste pomieszczenie, tak typowe dla mężczyzny! Najbardziej osobiste w całym domu! Tutaj, nawet przy największych staraniach, nie sposób było dojrzeć choćby kawałka dywanu czy biurka, bo wszystko, całą podłogę i blat biurka zawalono stosami papierów lub zastawiono jakimiś urządzeniami. Na telewizorach, drukarkach, komputerach, faksach, telefonach, alarmach, fotokopiarkach, automatycznych sekretarkach, szafach i regałach stały brudne talerze. Piętrzyły się wręcz! Nie sposób było zbliżyć się do nich. Stały wszędzie. Nawet gdy chciałam je pozbierać, choćby z tego powodu, że w całym domu nie było już ani jednego czystego talerza, nie mogłabym tego zrobić, bo chyba złamałabym sobie kręgosłup.

Kilkakrotnie kupowałam nowe serwisy porcelanowe, żeby wieczorem nie jeść z plastikowych talerzyków. Te znowu Bert i Emie z wielkim upodobaniem wynosili do piaskownicy. Idąc za przykładem ojca, przywłaszczali sobie wszystko, co nadawało się do lepienia, robienia babek, budowania, układania i robienia błotka. Tak więc w piaskownicy wylądowały kieliszki do jajek, patelnia, kieliszki do szampana, trzepaczka do bicia piany. Wszystkie te przedmioty zniknęły na zawsze pod grubą warstwą piachu, usytuowaną pod rynną.

Nie miałam nic przeciwko temu, by dzieci rozwijały się twórczo. Czasem tylko prosiłam je, by zostawiły choć jedną łyżeczkę, żebym nie musiała jeść papki typu: „Samo zdrowie”, palcami. Byłam bowiem osobą, która w sposób męczący dla otoczenia zbyt często uderzała w małostkowy, mentorski ton.

Beniamin wprowadził do naszego domu względny porządek, ale od kiedy Ernstbert zachwyił się tą pożyteczną i piękną działalnością, jaką są prace domowe, porządek u nas zapanował wręcz doskonały. „Wszystko było jak z pudełeczka”, żeby użyć ulubionego powiedzonka Greta.

„Dziewczyno ty moja - zwykła mówić Greta - u pani Nachtigallenweg wszystko jest jak z pudełeczka. Ona sama zresztą również, dzieci oczywiście też. Mąż TEŻ. Weź przykład z tej miłej, gospodarnej niewiasty. Popatrz, jak jeździ rowerem na rynek po zakupy! Tak naturalnie, sympatycznie i skromnie!”

I oto teraz Ernstbert stał się tym człowiekiem w naszej rodzinie, który spowodował, że wszystko było jak z pudełeczka. On jeździł rowerem, sympatycznie i skromnie i miło, na rynek po zakupy. A za nim dzieci! Tam kupowali świeże liście, korzonki, bulwy i głąby. I gotowali z tego smaczny wywar!

Oniemiała przyglądałam się zmianom, jakie nastąpiły w domu. Ernstbert wziął kilka lekcji u Beniamina z zakresu gotowania, sprzątanía, szorowania schodów, prasowania, zmieniania pościeli. I był w tym dobry! Za każdy z tych fakultatywnych przedmiotów dałabym mu piętnaście punktów! Najwyższy stopień!

Mistrzem był jednak nie w mówieniu o tym, co potrafi, lecz w akcji. Po prostu w działaniu. On DZIAŁAŁ. Najlepszy był w kwestiach wychowawczych. Doskonale sobie radził z dziećmi. Nie było już: „Czy mogłabyś położyć dzieci spać? Puść im film! Czy nie mogłabyś im powiedzieć, by zostawiły w spokoju mój komputer? Powiedz im, żeby poszły do Greta!” Tego już nie było.

Teraz SAM z nimi rozmawiał! Jak mężczyzna z mężczyznami! I zrobił im łuk! I setki papierowych samolocików! Puszczął razem z nimi na jeziorku stare kalosze, budował zamki z piasku i ozdabiał je kieliszkami do jajek, piłeczkami do gry w badmintona, trzepaczkami do bicia śmietany, patelniami i spodkami! Godzinami łąził z nimi po lesie! I pozwolił im umyć swój nietykalny samochód!

Chodził z nimi na pływalnię. Przeszukałam kiedyś po kryjomu jego przybory kąpielowe. I nie znalazłam ani jednej instrukcji obsługi! Ktoregoś dnia ujrzałam coś, czego do tej pory

nie uważałam za prawdopodobne. Stojąc przed drzwiami do kibelka dostrzegłam, jak wyciera Emiemu tyłek! Własnoręcznie. A następnie moi panowie szczotką klozetową wyszorowali wspólnie tron w świątyni dumania. I otworzyli okienko! Sami! Sami z siebie! Potem umyli ręce. A ręczniczek wrzucili do pojemnika na bieliznę.

Ernstbert zaskakiwał mnie coraz bardziej. Wszystko to potęgowało się w nieskończoność. Następnego dnia ujrzałam przed pralką kosz na brudną bieliznę. BYŁ PUSTY!

Kręciłam się po domu i czułam się bezradna. To był sen! Sen na jawie! Gdy otwierałam szafy lub szuflady, własnym oczom nie wierzyłam. Umyte i poukładane naczynia, wyprasowana bielizna, świeżo zmieniona pościel, świeże kwiaty na stole w kuchni!

Wieczorem z pokoju dziecinnego dochodziły mnie podejrzane, dziwne dźwięki. Głos męski! ERNSTBERT siedział na łóżku dzieci i czytał swoim synkom na głos *Wyspę skarbowi* Na głos! Na żywo! To nie była żadna tam kasetka! A oni trzymali się jego muskularnych ramion.

Z początku patrzyłam na to wszystko dość nieufnie. Nowa miotła dobrze zmiata. Nowy mężczyzna jeszcze lepiej. Zwłaszcza gdy chce osiągnąć jakiś cel. Pewnie chce, żebym w przyszłości zaprzestała czarodziejskich sztuczek. Skończyła z tym raz na zawsze.

Sposób, w jaki wyrażał swoje pragnienie, był bardziej wyszukany niż wszystkie storczyki, pierścionki, czekoladki Ferrero czy podróże do Wenecji. Przyjmowałam to wszystko do wiadomości z prawdziwym wzruszeniem. Ale tego, co zostało zniszczone w ciągu siedmiu lat, nie sposób odbudować w ciągu trzech tygodni.

Mimo wszystko co noc śnił mi się Gustaw. Co noc. Nawet jeśli sama byłam zdania, że nie jest to z mojej strony w porządku.

Ale na sny nie ma rady. Sny na ogół dotyczą tego, co w ciągu dnia w sobie tłumimy i o czym chcemy zapomnieć. Zakazałam sobie myślenia o Gustawie. Z nikim nie zamieniłam słówka o Gustawie. Z Ernstbertem też nie. To było zbędne!

Gdy na początku sierpnia dzieci miały urodziny, zaprosiliśmy czternastu chłopców. Liczyliśmy tak: za każdy rok życia jedno dziecko. Lat było czternaście. Urządziliśmy wielki festyn dla dzieci. W ogrodzie. Były stroje dla piratów, szukanie ukrytych skarbów, kiełbaski z grilla i bitwy morskie. Czternastu chłopca na umrzyka w skrzyni. Pojechaliliśmy na plac zabaw dla morskich piratów w miejskim lasku. Łapaliśmy kaczki i ich skalpy wieszaliśmy na linie do bielizny. MY. A więc Ernstbert i ja. Razem kładliśmy dzieci spać. Razem siedzieliśmy wieczorem na tarasie przy butelce wina i snuliśmy plany na przyszłość. Nie rozmawialiśmy o tym, co było. Za wcześnie, by o tym mówić. Tylko o przyszłości.

Sprzątnęliśmy razem garaż, zreperowaliśmy wreszcie dach, pracowaliśmy wspólnie w ogrodzie, jeździliśmy na wycieczki rowerowe z dziećmi i chodziliśmy na pływalnię. On sam wchodził z nimi do wody, podczas gdy ja leżałam na leżaku, wysmarowawszy się kremem do opalania, lub oniemiała siedziałam na kocu i obserwowałam, jak tych trzech męskich osobników, którzy w jakiś niepojęty sposób należeli do mnie, szalało w basenie, tryskając humorem i radością życia. Biłam im brawa, klaskałam w dłonie, krzyczałam i pękałam z dumy z tych trzech mocno opalonych budrysów. Ze szczęścia rodzinnego płakać mi się chciało.

Po kąpieli Ernstbert wycierał dzieci. Dawał im jeść. Kanapki, które sam przygotowywał. Potem ich czesał, robiąc przedziałki. Wyżymał ich spodenki kąpielowe i rozkładał na ręczniku do suszenia. I spoglądał na mnie czule. Milcząc. To mnie zwałało z nóg. Milczałam i odwzajemniałam uśmiech. Tak, chłopie, pojęłam twoje przesłanie.

Jednak zrozum, mężu, twoja godzina jeszcze nie wybiła.

W sierpniu wyjechaliliśmy na urlop. Ernstbert sprzedał starą przyczepę kempingową. Byłam z tego zadowolona, bo jestem sentymentalna. Nigdy więcej nie chciałam siedzieć w przyczepie kempingowej. Bałam się odgłosów wydawanych przez wycieraczki.

Niespodzianka dla mamusi: jechaliśmy w nieznanne! Pociągiem. Bo tak chciały dzieci. Raz w życiu sypialnym! Jakież to podniecające!

Wszystko zorganizował Ernstbert. Ja miałam tylko odpoczywać, odprężyć się i czekać na kolejne niespodzianki. Ernstbert zarezerwował dla nas cały przedział sypialny. Pociąg pędził na południe. To wszystko. Wieczorem, o dziesiątej, po uroczym pożegnalnym wieczorku w knajpce „Frueh” przy kolońskim piwie, wsiedliśmy do naszej sypialni na kołach.

- Nie patrz, mamusiu, nie patrz! - wołały dzieci, gdy kątem oka usiłowałam dostrzec, jaką trasą jedzie nasz pociąg. Jakaś włoska nazwa - Milano lub Bolzano. Coś w tym rodzaju.

Nie chciałam im popsuć zabawy. Oczywiście, czekałam na dalsze niespodzianki. Moje życie ostatnimi czasy składało się z samych niespodzianek. Mimo to nie chciałam, by mnie ktoś wyprowadził w pole. Przez ostatnie siedem lat wszystko wszak odbywało się inaczej.

Powoli, tylko powoli, żadnych pochopnych kroków - myślałam. Nie popadaj w przesadny entuzjazm. Śpiesz się powoli.

Dzieci ochoczo wdrapały się na swoje górne pośłanie. Były szczęśliwe jak nigdy dotąd. Ernstbert wdrapał się za nimi, starannie je przykrył, pogłaskał po główkach i opowiedział na dobranoc historyjkę o Jimie Guziku i maszynie Łukaszu. Ja tymczasem usiadłam wygodnie i kontemplowałam widok za oknem. Wieże katedry kolońskiej skąpane były w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Żegnaj miniony roku! Żegnajcie wydarzenia ostatnich miesięcy! Tak cudowne i chaotyczne zarazem! Nie będę za wami tęsknić. Choć nigdy już nie wrócicie. Nigdy.

Pa, pa, mały szpitaliku i szkoło! Żegnajcie kursy hokeja i tenisa! Pa, pa, panie nauczycielu! Pa, pa, domku, ogrodzie i dachu na garażu, Beniaminie, doktorze Geldmacherze, Ulriko o świńskich oczętach, Loro Kosz-marna, Gretel Zupf i ty Gernocie Miesmacherze z Elwirą od Adrianka. Pa, pa, Mechthildo Goch. Wynajmę sobie teraz samolot i już mnie nie ma. Wiem, gdzie moje miejsce. Pa, pa, Justusie!

Wszystkim wam mam tak wiele do zawdzięczenia! Bez was

nudziłabym się okrutnie. Jaki byłby ten okres bez was? Stuknąłby mi tylko jeszcze jeden roczek. I to wszystko.

Żegnajcie wy szczęśliwcy, Greto i Bodo! Macie rację!

Żegnaj, Gustawie! Dziękuję ci za te piękne chwile z tobą. Dziękuję ci za to, że pozwoliłeś mi poszperać w swojej nieodgadnionej duszy!

Miasto zniknęło za horyzontem. Słońce już zaszło. Zapadł ciepły zmierzch.

Na niebie zabłyśły pierwsze gwiazdy. Mrugały do mnie wesoło, jakby chciały dać znać, że wszystko jest „okay, okay, okay!” Wszystko w swoim czasie. Bowiem to, co nas spotyka, nadchodzi zawsze we właściwym czasie.

Odwróciłam się od okna.

- Ernstbercie?

- Tak? Zasnęły już?

Ernstbert zamówił u konduktora butelkę czerwonego wina. No i dwa kieliszki.

- Kochasz je, prawda?

- Oczywiście. Zawsze je kochałem.

- Ale teraz to okazujesz.

- Gdy były mniejsze, nie potrafiłem się z nimi porozumieć.

- A teraz?

- Teraz tak.

Napiliśmy się wina.

- Za nas?

- Chciałabym. Tak! Za nas!

Tak więc siedzieliśmy na naszych pościłach, państwo Hal-mackenreuther w podróży, nasze wyczerpane pociechy chrapały na górze. Siedząc przy butelce czerwonego wina, próbowaliśmy uratować nasze małżeństwo. Jak gdyby to było możliwe w tak krótkim czasie.

Pociąg dudnił. Za oknem zapadła noc. Już dawno minęliśmy Bonn i Koblencję. W przedziale było ciepło, przyjemnie i przytulnie. Niczym w jakiejś małej kapsułce, która unosi się przestrzeni kosmicznej. I zrzuca cały ten balast, który ją ostatnio zaczął obciążać.

- Czy sądzisz, że mamy szanse? - zapytał Ernstbert, biorąc w moje dłonie w swoje ręce.

- Nie wiem. Jestem zaskoczona. Tyle niespodzianek!

Dotknęło to go. Zamilkł.

- Czy zauważyłaś, że się zmieniłem?

- Oczywiście, że zauważyłam. Jestem wręcz oszołomiona. Ale zastanawiam się, jak długo zawartość jajka z niespodzianką pozostanie świeża i się nie popsuje?

- Zawsze! Zawsze tak będzie! Obiecuję ci!

W oczach stanęły mi łzy. Jego odpowiedź zabrzmiała, jak zdanie ściągnięte z jakiejś kiczowatej powieści Daniela Paletti. Aż serce się radowało! Ja jednak poczułam chłód wokół swojej duszy, wykarmionej na chudym mleku i zdrowej żywności. Miałam podły charakter. Dobrze, że nie powiedział: „Jestem światowcem!” albo „Słowo człowieka honoru!”

Prawdziwy facet z jajami unika frazesów. Zdarza się, że ten lub ów klepie frazesy, ale rzadko. Ernstbert działał. Udowodnił, że działa! I ani razu nie powiedział: „A widzisz?” Albo: „Przecież mówiłem!” Albo: „Zamurowało cię, co? W wyjmowaniu bielizny z pralki jestem dobry!” Ernstbert jedynie działał. I to był sposób najbardziej wymowny.

Po raz pierwszy w życiu porozumiewaliśmy się bez słów. Pozostawało jedynie pytanie, jak długo jeszcze? Co nastąpi, gdy minie lato? Kiedy znowu wróci do swojego biura, w którym obraca nieruchomościami i spuści rolety, które go odseparują od życia, ode mnie i od dzieci? Kiedy polubi swego mercedesa bardziej od nas? Kiedy znowu koło wanny piętrzyć się będą góry talerzy? Kiedy znowu jego dzień powszedni składać się będzie z liczb, kalkulacji i spekulacji? Kiedy znowu powie mi, że dom i dzieci to moja sprawa, że w niedzielę musi pospać do pierwszej i że ja, oprócz tej śmiesznej roli w tandetnym serialu o szpitalu, nic tak naprawdę nie robię? KIEDY to nastąpi?

Ernstbert usiadł naprzeciw i dolał nam wina.

- Wiem, że zaskoczyłem cię i że nie spodziewałaś się tego wszystkiego! Ale porozmawiajmy o naszych sprawach!

- Jak sobie życzysz! - Schowałam się za kieliszkiem wina.

Za oknem widać było Ren, ciemną, starą rzekę matkę, jak wije się między winnicami na stokach pagórków.

- Jest taki dzień w moim życiu, którego nigdy nie zapomnę - powiedział. - Było to piątego czerwca.

- I co dalej? Co było piątego czerwca?

- Tego dnia po raz pierwszy wysłuchałem twoich słów.

Zaczęłam obliczać. Piątego czerwca byłam w Bad Hersfeld. Występowałam w ruinach starego zamku. Było to moje trzecie lub czwarte przedstawienie. Przez moment pomyślałam o Gustawie. Tylko przez moment.

- Tak. Tego dnia po raz pierwszy zadałem sobie trud przyjęcia do wiadomości, czym się interesujesz.

- Dziękuję, nawzajem! - odpowiedziałam przygaszona. - Mnie też nigdy nie interesowała zawartość twoich przepastnych segregatorów.

- Ten cały tandetny serial, ten mały szpitalik czyli jedno wielkie głupie przedszkole, które ci wypacza charakter, te żalosne pseudoproblemy, którymi żyją twoi koledzy...

- Nie mówmy o tym!

- W Bad Hersfeld mówiłaś do mnie, chociaż wcale nie wiedziałaś, że jestem na widowni. Wtedy po raz pierwszy wysłuchałem tego, co masz mi do powiedzenia.

- Skąd się tam wzięłaś?

- Byłem w okolicy. W Witzelroda. Piętnaście kilometrów w linii prostej. Na latarni wisiały twoje plakaty.

- No coś takiego! Że mnie nawet w Witzelroda powiesili na latarni...

- Zasłużyłaś sobie na to! - Ernstbert wykrzywił twarz w uśmiechu.

Ja też wykrzywiłam twarz w uśmiechu. „Wiem”.

- Byłaś w towarzystwie swojego... ojcującego ci przyjaciele... Gustawa!

„Ojcujący przyjaciel”! Przełknęłam ślinę.

- W Wiesbaden też ci towarzyszył. Potem dołączył jeszcze twój kolega z pracy, Justus.

- Co? Widziałeś go tam?

- Tak, widziałem. Ale on mnie nie.

- No jasne, rozumiem.

- Potem byli ludzie ze „Spiegla”, dziennikarze z drugiego programu telewizji, dyrektor teatru z parasolem. Pomyślałem sobie, że jest stanowczo zbyt tłoczno wokół ciebie, że jesteś zbyt oblegana. Zająłem się więc sprawami, które wydały mi się istotniejsze.

A więc jednak! Justus był w Wiesbaden. Gustaw mi o tym wspominał. Ale ja mu nie uwierzyłam. Dlatego Justus był tak bardzo urażony. Biedny Ernstbert.

- Ostatnią próbę podjąłem w Weiden w Górnym Palatynacie - kontynuował Ernstbert. - Ale i tam nie byłaś sama.

- A więc to ty byłeś z tą przyczepą kempingową na parkingu przed hotelem!

- Tak, to byłem ja. No bo kto inny?

A więc nie Gustaw.

Szój wstyd utopiłam w czerwonym winie. Odstawiłam kieliszek na stół i szybko przytuliłam Ernstberta. Potem znowu wtuliłam się w swoje pośłanie. Najbardziej obojętnym tonem, na jaki mnie było stać, rzuciłam:

- W Weiden odwiedził mnie Benjamin. Sam dałeś mu przecież wolne!

- Tak! I razem pojechaliśmy do Weiden. A jadąc do ciebie zagrałiśmy w supełki, który z nas zrobi ci niespodziankę. Benjamin wygrał.

- NIE mów!

- Tak naprawę było!

- Przyjechaliście razem... z dziećmi?

- Tak, tylko dzieci nie wiedziały, że ty tam jesteś. Nie chciałem im sprawić zawodu. Na wypadek, gdybyś nie była sama.

Tu ja przełknęłam ślinę.

- Byłam sama! Słowo Indianki!

- Tego nie byłem w stanie przewidzieć. Ustaliliśmy, że Benjamin wystąpi w roli kuriera.

- Benjamin! Jaki to miły chłopak!

- Benjamin nauczył mnie wszystkiego, co nowoczesny pan domu powinien wiedzieć. - Ernstbert był dumny z siebie. - Teraz odczuwam respekt przed paniami domu!

- A ja przed panami! - westchnęłam, całkiem zrezygnowana.
- Pomyślałem, że moglibyśmy sfinansować studia Beniamina - powiedział Ernstbert. - Za to on może nam prowadzić dom. Co ty na to?

- Genialny pomysł! - odpowiedziałam uradowana.

Nadszedł konduktor i zapytał, czy może postać łóżka.

- Nie, jeszcze nie, musimy omówić kilka spraw. Ale za to może pan nam przynieść jeszcze jedną butelkę wina.

Ernstbert podał mu pustą już butelkę. Stuknęliśmy się kieliszkami.

- Spotkałeś się z Gustawem. - Uprzedziłam go.

- Tak. I co chcesz wiedzieć?

- Wszystko.

- Gustaw zadzwonił do mnie.

- Kiedy?

- Dzień po Wiesbaden.

- I co dalej?

- Spotkaliśmy się.

- Czy był nie ogolony?

- Tak. Mocno zarosnięty. Dlaczego pytasz?

- Tylko tak. Opowiadaj dalej.

- To wszystko. Pogadaliśmy tylko.

- Jak mężczyzna z mężczyzną?

Właśnie w tym momencie wrócił konduktor, by zapytać, czy ma już otworzyć drugą butelkę.

- Niech pan ją da! Sami sobie damy radę!

Człowieku, wynoś się stąd! My tu składamy od nowa nasze małżeńskie życie, a pan pyta, czy otworzyć butelkę. Człowieku, pan masz nerwy! Drzwi się zamknęły.

- A więc porozmawialiście sobie. Po męsku! - napierałam.

- Skoro chcesz wiedzieć... - powiedział Ernstbert.

- No więc?

- Co chcesz wiedzieć?

- Więc o CZYM rozmawialiście?

- O wynikach ostatnich krajowych rozgrywek piłkarskich i o kolejności drużyn w tabeli ekstraklasy - powiedział Ernstbert. - Takie męskie tematy!

- Kłamiesz. Gustaw nie interesuje się piłka nożną.
- Dobrze, w porządku, powiem ci prawdę, zgoda?
- Proszę cię o to!
- Mówiliśmy o przyrządzaniu odsmażanych ziemniaków.

Jest taki przepis...

- ERNSTBERCIE!

- On topi masło i smaży ziemniaki powoli, na wolnym ogniu.

I zwykłe je prosto z patelni!

- Naprawdę żeście O TYM rozmawiali?

- No jasne! A ty o czym myślałaś?

- Że rozmawialiście o mnie! - powiedziałam i obraziłam się.

- Być może, że gdzieś mimochodem wspomnieliśmy też o tobie. Ale przede wszystkim rozmawialiśmy o przyczepach kempingowych. Przecież on tak mieszka. Wiedziałaś?

- Nie! - odparłam przekornie.

- Dał mi kilka bardzo ważnych wskazówek dotyczących środków odkażających wodę pitną i środków do usuwania uszkodzeń powstałych na szkle z akrylu. A także innych środków jak Dichtolan, Frostimar i dezodoranty zapachowe do WC.

- Nie mów! - parsknęłam rozwścieczona.

A więc Ernstbert nie zamierzał się zdradzić. I coś w tym było. Dzentelmen rozkoszuje się i milczy. Że też ci mężczyźni są zawsze tacy solidarni - pomyślałam. - I to sprawia, że są tacy pociągający.

Czy powinnam teraz upuścić korkociąg? Gdy tylko troszkę go przesunę, spadnie! I wtedy zobaczymy, co nastąpi. Kto kogo upoluje, kto zawisnie na haczyku, a kto będzie się wił na długiej żyłce! Ten wieczór nagle zaczął się zapowiadać całkiem, całkiem... Dyskretnie położyłam rękę na blacie stolika.

Ale w tym samym momencie Ernstbert wziął korkociąg i od niechcienia zaczął się nim bawić. I to tym ostrym końcem. Wyglądało to tak, jakby chciał się ukłuć w palec. Jak gdyby chciał nas zaczarować. Zasnęlibyśmy na sto lat i jego życzenie by się spełniło. A może chciał mnie ustrzec przed następnym głupstwem?

Odezwał się nagle:

- Wiem, że Gustaw jest dla ciebie kimś niezwykle ważnym.

Byłam mu wdzięczna za to, że nie powiedział „ten mężczyzna”. Nazwał go po imieniu.

Aha, a więc jednak zajmie się kwestią najważniejszą. Ale dopiero teraz, kiedy ja już przestałam na to nie liczyć.

Do oczu napłynęły mi łzy. Cholera jasna. Nie płacz teraz, dziewczyno! Precz, łzy! Wytarłam je wierzchem dłoni.

Ernstbert otwierał butelkę wina. Miałam czas na opanowanie się. Napełnił kieliszki.

- Za nas!

Kiwnęłam głową.

Na górze - za sprawą polipa - oddychał głośno przez otwarte usta Bert.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

- Chcesz rzucić to wszystko?

- Nie! - Jednym haustem wypitałam wino. - Nigdy takiego zamiaru nie miałam!

- Ja też nie! - powiedział Ernstbert. Ścisnął moją dłoń. - Byłem jedynie straszliwie opieszasty i niedbały.

- Ja też!

- Czy jesteśmy w stanie to zmienić?

- Tak! Jeśli oboje będziemy tego chcieli!

- Czy możemy po raz ostatni jeszcze przez chwilę porozmawiać o Gustawie?

- Proszę! - zgodziłam się, czekając, co nastąpi dalej. - Przed chwilą nie chciałeś!

- Powiedział mi, że cię kocha.

- Ach, więc to tak! Powiedział ci to? - Ernstbert wreszcie poruszył zasadniczą kwestię.

- Co ty na to? Czy ty go także kochasz?

Wzruszyłam ramionami. Popatrzyłam przez okno. Stary Ren spał na swojej otomanie. Ale oczy miał otwarte. Popatrzyłam poważnie na Ernstberta.

- On słuchał ciebie. Ja nigdy nie słuchałem tego, co do mnie mówiłaś - przyznał Ernstbert. - Tak było do piątego czerwca. Od tej pory słucham uważnie. Czy nie zauważyłaś tego?

Milcząc, kiwnęłam wyraźnie głową. Tak, człowieku! Oczywiście, że zauważyłam! Tylko dlaczego nie potrafisz rzucić się

w twoje ramiona, płacząc, zawiesić się na szyi, by przysiąc wieczną wierność! Dlaczego nie mogę? Dlaczego patrzę przez okno i milczę? W powieści pani Paletti bohaterka rzuciłaby się teraz mężowi w ramiona! Ale ja jestem taką krnąbrną istotą!

- Charlotta! - odezwał się znowu Ernstbert.

Popatrzyłam na niego.

- Tak?

- Czy możesz o nim zapomnieć?

- Pracuję nad sobą - powiedziałam w końcu. - Uroczyste słowo Indianki.

- W takim razie w porządku! - powiedział Ernstbert z ulgą w głosie. - W takim razie oddzielmy grubą kreską to, co zaszło w przeszłości! I nie rozmawiamy już więcej o tym.

- Nigdy więcej? Umowa stoi! Potrafisz jej dotrzymać?!

- Tak. Dla mnie sprawa jest zakończona. Wpiszmy to do rejestru tego nieszczęsnego siódmego roku.

- Hm, podszedłeś bardzo praktycznie do sprawy! - pochwaliłam go. - Znowu przemówił mój stary Ernstbert!

- W którymś momencie należy zastosować wiedzę teoretyczną w prawdziwym życiu! - Ernstbert wykrzywił twarz w uśmiechu. - Do czegoś musi się ona kiedyś przydać!

Podniosłam kieliszek.

- Wielu rzeczy się nauczyłeś.

- Ty również.

- Czy teraz mi wreszcie zdradzisz, dokąd jedziemy na urlop?

- Do Tyrolu Południowego. Czy może masz coś przeciw temu?

- Nie! - odpowiedziałam. - Zawsze chciałam się tam kiedyś wybrać.

Hotelik „Christel” w dolinie Passeia był uroczy. Najbardziej urokliwy hotel, w którego ślicznych izbach kiedykolwiek się zatrzymałam. Nie przypuszczałam, że może istnieć coś tak zdumiewającego! I że wyszło to spod ręki człowieka! Że też w umyśle ludzkim mogły zrodzić się tak wspaniałe pomysły! Jakież to wszystko było urocze, słodkie, czarujące, zachwycające!

Na ścianach ozdóbki, rzeźby i przysłowia! W pokoikach słodkie szafki, w łóžeczkach prześliczne poduszeczki! A w kibelku flanelowe szmatki do wytarcia dupeczek!

I z tego uroczego zakątka, pobłogosławionego przez Boga, pochodził Justus! Mój ty Boże, ten biedy człowiek emocjonalnie nie pasował do nas! To jasne!

Już pierwszego dnia dzieci moje zaprzyjaźniły się z Franzerlem i Fritzerlem, z pozostałym rodzeństwem zresztą również. Przez następne trzy tygodnie widywałam chłopców rzadko. Szaleli po ogrodzie i po grządkach z warzywami, w których kochana Krystynka nasadziła zieleniny. Pływali i chlapali się w baseniku, wygłupiali i bawili z bardzo łagodnym owczarkiem niemieckim, który zwał się Herman, a który pozwalał się ciągnąć nawet za ogon. Pod opieką Justusa odkryli uroki jazdy na traktorze, poznali bliżej kurnik, w którym mieszkały kury i gęsi, chlew i świnki, krowy w oborze i stare pomieszczenia, w których kiedyś warzono sery.

Wieczorami spotykaliśmy się w jadalni, której ściany były wyłożone drewnem, gdzie podawano przepyszny podwieczorek, do którego zwykle wypijaliśmy razem dwie, trzy butelki wina. Deser zabieraliśmy na taras, skąd był przepiękny widok na dolinę. Potem graliśmy jeszcze w tenisa stołowego (w tenisie stołowym Justus był dobry, ale ja byłam jeszcze lepsza, czego on się nie spodziewał! Cha, cha, cha!). Czasem Justus wyciągał gitarę i pobrzękując, śpiewał, podczas gdy jego uroczą Krystynka ze swoimi dziewczętami sprzątała ze stołów, by przygotowywać je do śniadania.

Ponieważ dzieci znalazły się pod świetną opieką Krystynki i Justusa oraz Hermana, byliśmy wolni i nieskrępowani. Już o ósmej rano mogliśmy wsiąść do pierwszego wózka kolejki wysokogórskiej, która nas zawoziła na pokryty śniegiem wierzchołek góry, skąd wyruszaliśmy w dalsze wędrowki po tej błogosławionej przez Boga krainie. Szliśmy w góry albo też, na przykład, trzydzieści kilometrów prosto przed siebie. Trzymając się za ręce. Czasem zostawialiśmy w domu i graliśmy w tenisa.

I choć na początku pobytu nie spodziewałam się, że Ernstbert,

po pierwsze, rano wstanie z łóżeczka, po drugie, wejdzie na wysoką górę, a po trzecie, że nocą będzie spełniał swe małżeńskie obowiązki, bo z wyczerpania po prostu padnie, to jednak po kilku dniach przekonałam się, że się we wszystkich tych kwestiach myliłam.

Podczas tego urlopu rozmawialiśmy ze sobą bardzo dużo, jak nigdy dotąd w ciągu tych wspólnych siedmiu lat. I poznawaliśmy się od nowa.

- Niestety, nie jesteś damą - westchnął kiedyś z żalem Ernstbert.

- Całe szczęście! - odparłam. - Żebyś wiedział, ile wspaniałych rzeczy tracą damy w życiu! Okropność!

- Jesteś moją igłą w stogu siana. Znalazłem cię. Ale nie chcę się tobą ukłuć, jasne?!

- Jasne!

- Nigdy więcej! Obiecujesz?

- W porządku! Obiecuję!

Ponieważ droga prowadziła stromo pod górę, musieliśmy na chwilę zamilknąć. Nagle potrafiliśmy milczeć. Milczeliśmy razem. I byliśmy sobie bliscy.

W powietrzu jeszcze długo rozbrzmiewało ostatnie wypowiedziane słowo: „Obiecuję!”

Pewnego ranka, a był to jeden z ostatnich dni naszego pobytu, po partii tenisa poszłam do ogródka, w którym rosły zioła. Chciałam przed śniadaniem wziąć zimny prysznic. W tym czasie Ernstbert z chłopcami zamiatali podwórko. Słyszałam, jak się kłócili, kto będzie trzymał siatkę. Cieszyłam się porannym słońcem i perspektywą długiego śniadania na tarasie oraz całodzienną wędrownką, którą mieliśmy w planie.

Wtedy ujrzałam tę miłą kobietę, która mieszkała pod numerem dwunastym. Siedziała pod czereśnią. Widywałam ją w jadalni. Ona i jej mąż zawsze witali nas grzecznie. Wyglądała młodo, choć była już niemal całkiem siwa. Jak gołąbek.

- Dzień dobry! - pozdrowiłam ją. - Śliczny dzień, prawda?

- Tak, to prawda. Proszę, niech się pani do mnie na chwilkę przysiadzie.

Na leżaku leżały poduszka i pledy. Czytała dobrą książkę. Jedną z tych, które czytuje Berthilda, siostra pełniąca nocne dyżury. Ale w jej rękach sprawiało to całkiem inne wrażenie.

- Odpoczywa pani? - zapytałam. - A gdzie zostawiła pani męża?

- Posłałam go na pieszą wycieczkę - odpowiedziała siwa pani. Głos miała młody. - Nie ma sensu, żeby wciąż tutaj ze mną siedział. Musi się trochę ruszać, nic może wciąż siedzieć.

Popatrzyłam na nią. Sprawiała wrażenie osoby chorej. Była dość blada. Prawdopodobnie się zaziębiła. Stałam czekając, co jeszcze powie.

- W czym mogę pani pomóc?

- Obserwuję panią - powiedziała i uśmiechnęła się sympatycznie. - Pani niczego sobie nie daruje!

- Czujemy się tutaj doskonale! - wyjaśniłam. - Fantastyczny urlop! Szkoda tylko, że już się kończy!

- Sprawia pani wrażenie osoby tak... złaknionej! - powiedziała kobieta. - Jak gdyby chciała pani nadrobić duże straty!

W tej kwestii miała rację. Mądra starsza pani!

- Po czym to pani poznała? - zapytałam i wykrzywiłam twarz w uśmiechu, bo oślepiało mnie poranne słońce.

- Nie ma dnia, by nie grała pani w tenisa - wyjaśniła. - Już od samego rana słyszę pani głos pod moim oknem. I jak pani biega! Odbiera pani każdą piłkę. Pani mąż również! Jesteście państwo bardzo aktywni!

- O! Mam nadzieję, że nie budzimy pani!

- Nie, nie, skąd, ja i tak nie mogę długo spać. Wtedy przyglądam się, jak pani gra i cieszę oko widokiem pani rodziny. Pani chyba długo nie usiedzi na jednym miejscu?

Gdybyś, miła moja, wiedziała, ile lat Ernstbert siedział bez ruchu! Siedem długich lat!

- Nie! - odpowiedziałam z zadowoleniem. - Nie potrafimy!

- Szczególnie cieszę się na widok pani! - powiedziała uprzejma kobieta. - Pani jest Charlottą Pfeffer, nieprawdaż?

- Tak, to ja - odparłam. - Pani mnie zna?

- Pani monodram przeczytałam kilkakrotnie - powiedziała. - I widziałam panią kilkakrotnie w telewizji. Wydaje mi się, że świetnie panią znam. Cieszę się, że na koniec mogłam panią osobiście poznać. Nazywam się Barbara Becker.

Na koniec? O czym ona mówi? O jakim końcu?

Podaliśmy sobie ręce. Jej dłoń była wąska i chłodna. Moja spocona. Z odciskami od trzymania rakiety tenisowej.

- Pani co dzień chodzi w góry - powiedziała jeszcze pani Becker. - A popołudnia spędza pani w basenie. Obserwuję, jak bawi się pani z mężem i dziećmi w basenie, w koniki. Wieczorem gra pani w tenisa stołowego, w kręgle, bawi się w berka z dziećmi, biegając po domu, a na tarasie śpiewa...

- Jasne! - odpowiedziałam z dumą. - W śpiewaniu jestem dobra.

Czego ona ode mnie chce? Czyżby były to słowa krytyki?

- Ja dawniej też tak szalałam - stwierdziła. - Niczego sobie nie darowałam. Goniłam życie, by mi nie uciekło. Wydawało mi się, że coś stracę.

- Dawniej?

- Jeszcze dwa lata temu tak było - powiedziała i popatrzyła na drzewko czereśniowe, którego ciemnozielone liście wyraźnie rysowały się na tle ciemnoniebieskiego nieba.

- Czy pani ma teraz jakieś problemy? - zapytałam, siadając tuż obok jej leżaka. W dłoni trzymałam raketę do gry w tenisa. - Czy pani coś dolega?

- Jestem chora na raka - powiedziała. - Mam raka - powtórzyła. - Lekarze dają mi kilka tygodni życia.

- Nie! - powiedziałam. - Pani? To niemożliwe? Pani? Właśnie pani?

- Tak, niestety, tak jest. Właśnie ja. Spadło to na naszą rodzinę niczym grom z jasnego nieba. Przed dwoma laty świat był w porządku. Miałam tyle lat co pani teraz, gdy dowiedziałam się, że jestem chora. Rutynowe badanie. Ot, tak sobie. Idąc z pracy do domu.

Boże, dałabym jej dziesięć lat więcej.

- Na szczęście nasze dzieci są już duże - dodała. - Są już samodzielne.

To nic nie znaczy - pomyślałam.

- A pani mąż?

Zamilkła. Powiedziała, że wysłała go w góry. Teraz przedzierał się przez jakieś zarośla i myślał o swojej żonie, która nie mogła mu towarzyszyć. I która już nigdy nie będzie mu towarzyszyć. Już nigdy. Nie było dla nich ratunku.

Ale dla Ernstberta i dla mnie ratunek jeszcze był. Przez całe lata igraliśmy z naszym małżeństwem. Mało brakowało, a zaprzepaścilibyśmy je z kretesem, stratowalibyśmy nasze szczęście, naszą rodzinę. Po prostu. Ot, tak. Z dobrobytu i egoizmu. Ja na swój sposób i on na swój sposób. W ostatniej chwili wzięliśmy wspólnie ten zakręt. Zaczynaliśmy wszystko od nowa. JEŚLI mamy radę. Jeśli. Ale im nie jest dana taka szansa. Oni nie mogą zacząć niczego od początku.

Jeszcze przed paroma minutami dzień wydał mi się taki radosny, młody, świeży! I oto nieoczekiwanie natknęłam się na śmierć. Dziwna sprawa. Ta kobieta wydała mi się znajoma. Niczym stara przyjaciółka. A przecież nigdy przedtem jej nie spotkałam. Wyciągnęła papierową chusteczkę i podała mi ją.

- Przepraszam - wyjąkałam. - Że też ja płaczę w pani obecności! Okropnie się zachowuję.

- Proszę sobie spokojnie popłakać. Musi się pani uporać się z tymi uczuciami, które w pani tkwią. To się wyraża w tej nadmiernej aktywności. Pani i pani mąż nie zostawiacie sobie ani jednej wolnej chwili. Czy nie usiłujecie czegoś zagadać? Czegoś zatuszować? Czy nie zamazujecie pewnych spraw ciągłą akcją?

Aha, rozumiem. Dobra książka w jej rękach. Zastanowić się nad sobą. Wsłuchać się w siebie.

- Tak, to prawda.! - Chlipałam. I wtedy niemal wybuchnęłam: - Przez wiele lat wszystko robiliśmy, by zdeptać na śmierć nasze małżeństwo. Było nam obojętne, co się dzieje z naszym życiem. Nie cieszyliśmy się faktem, że mamy siebie. Przez wiele lat żyliśmy obok siebie.

- Wiem - powiedziała. - Czytałam pani monologi.

Płakałam straszliwie. Rozszlochałam się, szukając ratunku w chusteczce.

Kobieta czekała cierpliwie. Milczała. Tak, miała czas. Umiała

słuchać. Nagle zaczęłam mówić. I opowiedziałam jej całą swoją historię. O Ernstbercie, który zawsze zajmował się tylko swoimi sprawami. O naszym życiu rodzinnym, którego tak naprawdę nie było. O moich ucieczkach w różne możliwe strony. O moich szaleństwach i o tym, jak bardzo żądna jestem życia. O moich działaniach zastępczych. O tym, że zachowuję się tak, jak ci, którzy w supersamie grzebią w koszu z promowanymi produktami w nadziei, że znajdą ekstratowar. Bo boję się, że coś przegapię. Nawet o moich czarach. Opowiadając o tym, nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

- Nie uwierzy mi pani, ale to naprawdę działa!

- Tak, wierzę pani, dlaczego by nie miało działać... jest pani tak niezwykłą kobietą! - powiedziała.

- A pani? - zapytałam. - Proszę mi coś o sobie opowiedzieć!

- To moje ostatnie lato! Przyjeżdżamy tutaj od zawsze. Tym razem jestem po raz ostatni. Nigdy dotąd nie zauważyłam, że tu tak pięknie. I cudowne jest to, że człowiek wreszcie doznaje spokoju. Siedzę tutaj całymi godzinami i cieszę się życiem. Każda minuta jest darem. - Odetchnęła głęboko.

Ja również powróciłam nagle do rzeczywistości

Z kortów tenisowych dochodziły okrzyki panów. Wybierali się w naszym kierunku. Byli głośni, rozbrykani i nie zwracali uwagi na otoczenie. Czułam, jak znowu dopada mnie życie. Szybko wytarłam jeszcze raz nos.

- Dziękuję pani! - powiedziałam. - Dziękuję pani za to, że mnie pani wysłuchała.

Ścisnęłam jej obie dłonie.

- Życzę wszystkiego najlepszego - powiedziała pani Becker. - Będę o pani myślała. I niech pani nie zapomina, by przede wszystkim robić to, co istotne. I nie marnować czasu. Pani mąż jest tego wart. Niech mi pani wierzy.

Przecież już to niedawno słyszałam. Od kogoś, kto zawsze rozmawiał ze mną bez fałszu i zawiści, nie ciesząc się z cudzego nieszczęścia i nie uważając, że wszystko wie lepiej. Tacy ludzie jeszcze istnieją. „Bawisz się ogniem, uważaj, żeby którego dnia nie spłonęło wszystko. Bo wtedy zapłacziesz”.

Chciałam jak najdłużej trzymać jej dłonie w swoich.

- Tak - przyznałam jej rację. - Jest bardzo wartościowym człowiekiem. Że też nie uświadomiłam sobie tego wcześniej!

Wybiegłam naprzeciw swoim mężczyznom. Objęłam ich. Po-tem wzięliśmy się wszyscy za ręce i poszliśmy na śniadanie. Byliśmy głodni jak młode wilczki.

Czekał nas kolejny cudowny dzień!

Barbara Becker przyglądała się nam z dala. I łagodnie się uśmiechała.

Gdy dwa dni później przeglądaliśmy w domu pocztę, Ernstbert zawołał:

- Popatrz, a nie mówiłem! Charles Koch chce cię zaprosić do telewizji! Do udziału w talk-show! Widzisz, jakie żniwo zbierasz!

Sam Charles Koch! Jedyny dziennikarz telewizyjny, wśród przeprowadzających wywiady, który ma maturę! Facet na poziomie. Klasa i styl.

- Jak brzmi temat tego programu? - zapytałam Ernstberta, który jak dawniej nie mógł oduczyć się otwierania i czytania jako pierwszy mojej poczty.

- *Kto za młodu harował, ten nie pożałował!* Ale mają pomysły! - skomentował Ernstbert.

- Kim są pozostali goście? - zapytałam. Stanęłam na palcach, by zobaczyć nazwiska.

Ernstbert, który nadal nie dawał mi zerknąć do własnej poczty, poinformował mnie łaskawie:

- Dwoje starszych i dwoje młodych! Starsi to Jonathan Puesters i Marie Louise Knitter. Boże, że ten stary Puesters jeszcze żyje! Ma sto trzy lata! I nadal występuje! Młodzi to ty i jakiś Hannes Chairleg z Ameryki!

- Hannes... kto z Ameryki?

- Chairleg, po niemiecku Stuhlbein. Idiotyczne nazwisko jak dla amerykańskiego aktora. Chairleg brzmi lepiej. Nowa gwiazda na amerykańskim firmamencie, aktor niemieckiego pochodzenia, robi karierę w Hollywood. Gra z Lindy Kraehford i Rowdie

Foerster oraz Cindy McDauerwell. Ostatnio wielka produkcja z Leonem Buchingerem. Nie znam człowieka.

- Kogo nie znasz? Leona Buchingera? Przecież on jest bardzo znany! To naprawdę światowiec! Autentyczny!

- Nie, tego aktora nie znam, tego Chairlega...

- Stuhlbeina - poprawiłam go. - Hannesa Stuhlbeina.

Osunęłam się na kuchenne krzesło. Hannes. Hannes Stuhlbein. Ojciec Erniego. Facet z najdłuższym dziobakiem na świecie. Prawdopodobnie najdłuższym.

- No jasne, że go znam! - wyrwało mi się.

Moje serce waliło, jakby chciało się wyrwać z piersi.

Hannes! A więc tam zaistniałeś! W Los Angeles! Przez osiem lat nie dawałeś znaku życia. A teraz spotkamy się w programie telewizyjnym Charlesa Kocha. I rozmawiać będziemy o harówce w młodości. Co za zbieg okoliczności! Życie spłatało nam figla, reżyserując to spotkanie!

- Coś ty tak zbladła? - zapytał Ernstbert. - Co ci jest?

- Jestem zaskoczona - odparłam słabym głosem. - Straciłam go całkowicie z oczu.

- I sądzę, że tak jest lepiej - powiedział Ernstbert.

Od piątego czerwca stał się niezwykle czujny. Jego zainteresowanie moją osobą i moim życiem emocjonalnym było trwałe i nie ustępowało.

- Kiedy jest ten program? - zapytałam i drżącymi palcami chwyciłam list. Wreszcie mogłam go wziąć do rąk.

- Dziewiątego września - Ernstbert już wiedział kiedy.

Straszliwie się zdenerwowałam. Ponownie w moim życiu pojawiał się Hannes, a już sądziłam, że go nigdy nie zobaczę. Gwiazdor ze Stanów Zjednoczonych! Przedtem aktor odtwarzający drobne role! Musiał się bardzo zmienić. Ja na pewno też się zmieniłam.

Być może siedział teraz w fotelu pierwszej klasy amerykańskich linii lotniczych i przelatując nad wielką wodą, znużony kartkował materiał informacyjny przesłany mu w związku z programem Charlesa Kocha. Popijał jakiegoś drinka i zastanawiał się, o czym też będzie rozmawiał z dwójgiem starszusków, już jedną nogą na tamtym świecie, którzy osiągnęli sławę, gdy film

niemiecki był jeszcze czarno-biały, i jakąś literatką, autorką monodramów, która właśnie się emancypowała.

Podniosłam się z krzesła i na drżących nogach poszłam na górę do sypialni. Tu popatrzyłam krytycznie na swoje odbicie w lustrze. Tak surowo, jakbym patrzyła na siebie pierwszy raz. Co na siebie włożyć?

Wtedy usłyszałam jakiś szmer przy drzwiach. Drgnęłam.

- Ernstbercie, co mam włożyć?

- To, co zwykle! Nie udawaj! Oglądać cię będzie tylko pięć milionów widzów!

- Nie chodzi mi o tych pięć milionów ludzi. Chodzi mi o...

- Kogo? Hannesa Stuhlbeina? Czy on się zastanawia się, jakie ubrać skarpetki z okazji spotkania z tobą?!

- Nie, nie, już w porządku!

- Charlotto!

- Słucham?

- Chyba nie zamierzasz poderwać tego Hannesa?

- Nie, skąd! Oczywiście, że nie!

- OSTRZEGAM cię-, Charlotto!

- No już dobrze!

- Charlotto?

- O co chodzi?

- Proszę cię, włóż coś całkiem zwyczajnego. Zrób mi tę grzeczność. Bardzo cię o to proszę!

- Tak, tak! - warknęłam, bo już byłam obrażona. - Włożę coś całkiem zwyczajnego! Kupię sobie za swoje pieniądze skromny kostiumik, będę się miło uśmiechała, a odzywać się będę tylko wtedy, gdy mnie zapytają, nie będę robić żadnych impertynenckich uwag, patrzeć będę przed siebie, skromnie i naturalnie. Sympatycznie - jak zwykle! - skoro usilnie mnie o to prosisz!

Ale ta mała czarodziejka, która nadal we mnie tkwiła, nie chciała przyjąć do wiadomości, że lato już się skończyło. Siedząc na liściu lotosu, zapadła w sen niczym królowna Śnieżka, bo zbliżała się jesień. Ale nie oznaczało to, że już nie żyje.

Nagranie audycji Charlesa Kocha miało się odbyć w Monachium, dziewiątego września.

Beniamin był z klasą na wycieczce, a Greta i Bodo w Bad Woerishofen, gdzie oboje poddali się kuracji odmładzającej, polegającej na wstrzykiwaniu młodych komórek, pobranych z płodów jagnięcych. Było to godne pochwały przedsięwzięcie. Każdy dostaje to, na co zasłużył.

Ernstbert został z dziećmi. Innego wyjścia nie było. Teraz, gdy się tak zastanawiam nad tym, co się wydarzyło, nie potrafię sobie wytłumaczyć, DLACZEGO cieszyłam się tak bardzo z tego właśnie powodu! Cieszyłam się dziko, szalenie i wręcz nieprzyzwoicie z faktu, że do Monachium lecę sama.

I że nocować będę w hotelu „Cztery Pory Roku”. Ten jeden jedyny raz. Ostatni.

Najgorsze cechy mojego charakteru drzemały. Ale tylko drzemały. Od czasu do czasu dawały jednak o sobie znać. Jakże żałuję, że nie wytepiłam ich, nie zabiłam na śmierć! Powinnam była dostać manto! Jaka szkoda, że tego nie zrobiłam. Szkoda, że nie zachowałam się wytwornie, w sposób powściągliwy, naturalnie i uroczo. Patrząc, jak zwykle, prosto i skromnie przed siebie.

Rankiem dziewiątego września nie wiedziałam jeszcze, jaki żałosny czeka mnie koniec. Kara za moje, jakże naganne, zachowanie.

W samolocie byłam w rozkosznym nastroju. Siedząc w fotelu pierwszej klasy maszyny Lufthansy, popijałam szampana i gawędziłam z jakimś panem podróżującym w interesach. Zapewniał mnie, że na pewno obejrzy program dziś wieczorem w telewizji. I że przyjdzie, by się ze mną spotkać. Jutro rano, na przykład.

Ja wyraziłam swój żal, że jestem bardzo zajęta, życzyłam mu wszystkiego najlepszego i pożegnałam się z nim po wylądowaniu w Monachium.

Przypomniał mi się program telewizyjny Jochena Mueckiego, w którym występowałam z Gretą i dziećmi. Jak chciałam uciec do podziemi po taśmie do transportu bagażu, by nie siedzieć

w mikrobusie z innymi kobietami, borykającymi się z konfliktem matka - córka.

To było przed rokiem. Wtedy występowałam jako Anita Bach. Teraz byłam Charlottą Pfeffer. Byłam gwiazdą programu. Odebrano mnie wielką, czarną, niesamowicie długą limuzyną.

Dreptałam w pantoflach na wysokich obcasach, ciągnąc za sobą jak zwykle durnowatowierną walizeczkę marki Hasso. Asystent reżysera, w skórzanych ciuchach, już czekał na mnie w holu lotniska. Przedstawiłam się jako Charlottą Pfeffer. Na powitanie wręczył mi bukiet kwiatów i uwolnił mnie od mojego bagażu. Otworzył drzwi samochodu. Osunęłam się na miękkie siedzenie. Po czym zażądałam złotej czekoladki (w tym celu szofer opuścił szybę: „Janie, miałabym apetyt na coś nieokreślonego!”) i - już całkiem odprężona - wyciągnęłam wygodnie nogi, częściowo okryte spódnicą białego kostiumu.

Gdy samochód zajechał pod hotel „Cztery Pory Roku”, drzwiczki samochodu otworzył przede mną tym razem niewolnik ubrany na srebrno, z cylindrem na głowie. Teraz podreptałam już bez bagażu. Bagaż ciągnął inny pracownik hotelu - chociaż walizka była bardzo sprytna i potrafiła sama poruszać się na kółkach - przez hol hotelowy. Pod stopami czułam puszysty dywan, który prowadził do recepcji. Tu z wdziękiem srebrnym piórem wpisałam swoje nazwisko na formularzu meldunkowym. To wszystko. Jedynie nazwisko.

Dostałam apartament z widokiem na kościół Frauenkirche. Stałam w oknie i nie posiadałam się ze szczęścia. Cieszyłam się tą chwilą, jakbym ją ukradła. Raz jeszcze. Czy to bardzo brzydko z mojej strony? Wolno mi? Wolno mi! Tylko ten jeden jedyny raz, ostatni!

Na stole stał srebrny kubełek z butelką szampana. Patera z owocami. I patera z czekoladkami i truflami rumowymi. Czy wolno mi tak w biały dzień zajadać się truflami rumowymi? Za żadne pieniądze! Wieczór jest przecież długi!

Spacerowałam po apartamencie. Wszystkimi myślami i zmysłami krążyłam wokół Hannesa. Kiedy wreszcie przed nim stanę?

Co teraz? Wygląd! To było najważniejsze. Jak wyglądam?

Straszliwie zajęta dreptałam po bardzo długich korytarzach

i wielkich holach, wyłożonych puszystymi dywanami, przekonana, że lada moment spotkam Hannesa. Zamierzałam udać zaskoczona: „Ty tutaj?” Świetni aktorzy zawsze sobie doskonale radzą! Szłam bez namysłu do fryzjera hotelowego. Tu kazano mi zdjąć mój kostium od Chanel i ubrano mnie w zielony płaszcz kąpielowy. Ludzie, gdy to opowiem w klubie...

Ale w klubie nikt niczego takiego słuchać nie chciał.

Umyto mi dłonie, wyszorowano i wycięto skórki wokół paznokci, a fryzjer wymoczek nawinał mi włosy na strasznie miękkie, gąbczaste, puszyste lokówki. Na włosy skierowano niby-naturalny prąd ciepłego powietrza. Inny mistrz zajął się moim makijażem. Po dwóch godzinach byłam gotowa. Popatrzyłam w lustro i nasunęło mi się pytanie: Skąd ja właściwie znam tę wypacykowaną staruchę w zielonym płaszczu kąpielowym? W sumie wyglądałam imponująco.

Ani śladu naturalności, skromności czy tego, co Greta określała jako „patrzenie przed siebie”. W lustrze widziałam diwę. Diwę jako taką. Zrobioną.

Hannes na pewno mnie nie pozna. I małżeństwo Miesmacherów - leżące na flanelowej pościeli w domowych pieleszach - również nie.

Maestro był zachwycony swoim dziełem.

Podano mi moje futro z norek, abym mogła udać się do kasy. Pani z sąsiedniej kabiny też właśnie wychodziła. Wyglądała tak samo niepozornie jak przed wizytą w gabinecie. Prawdopodobnie należało to zaznaczyć przez zabiegiem, jeśli ktoś tego sobie życzył. Na przykład należało powiedzieć: „Chciałabym wyglądać tak samo niepozornie i skromnie jak zawsze”.

Zapłaciłam prawie trzysta marek za to udane dzieło mistrzów i pozwoliłam się fryzjerowi na pożegnanie pocałować w rękę. W cenę usługi i to było wliczone.

Następnie wsiadłam do superdługiego czarnego wozu i kazałam się zawieźć do telewizji na program Charlesa Kocha.

Tu najpierw zaprowadzono mnie do garderoby.

No tak - pomyślałam. - To się kochani zdziwicie, bo diwa już jest zrobiona. I to w jakim stylu!

Charakteryzatorka popatrzyła na mnie i bez chwili namysłu

wzięła wielki kawał miękkiego papieru do zmywania i wycierania (takiego z rolki, używanego w gospodarstwie domowym) i mówiąc: „Proszę zamknąć oczy!” - zmyła mi całą tapetę z twarzy. Następnie przyjrzała się bocianiemu gniazdu, jakie mistrz fryzjerski raczył zrobić z moich włosów, zadając sobie zresztą mnóstwo trudu.

Krótkie spojrzenie na zegar - no, da się jeszcze zrobić! - i już trzymała w dłoni szczotkę na metalowej ręczce. Kilka energicznych ruchów i cuchnący lakier, jakim potraktowano moje włosy, został wyszczotkowany. Przez moment pomyślałam o Iwoncie z Eisenhuettenstadt i Justusie, kiedy to jego kieliszek zaplątał się w jej cudaczną fryzurę. Kosz-mar!

- Trochę zaboli, będę targać panią za włosy! - zaczerwieniona na twarzy z wysiłku uprzedziła mnie, walcząc z włosami.

- Nic nie szkodzi! - odparłam, siląc się na wspaniałość-mysłność.

Wpuściła mnie po zabiegu. Ledwo znalazłam się za drzwiami, a już zaczęłam się rozglądać za Hannesem Stuhlbeinem. Musiał gdzieś tu buszować! Ale na korytarzu spotkałam jedynie jakąś niepozorną panią. Mogłabym przysiąc, że już ją kiedyś gdzieś widziałam. Ale gdzie?

Ogarniało mnie coraz większe napięcie, tak że ledwo trzymałam się na nogach.

Zaraz spotkam Hannesa! Hannes Stuhlbeina! Czy mnie pozna? No i co dalej?

W garderobie usiłowałam odzyskać spokój i zapanować nad nerwami. Teraz wyglądałam całkiem nieźle, pominąwszy gorączkowy blask oczu.

Kostium od Chanel był nadał czyściutki, bez plamki, mimo nakładania urody i zmywania twarzy. Dekolt po urlopie opalony. W głębokim wycięciu błyszczał efektownie elegancki, w dobrym guście, złoty łańcuszek. Prezent od Ernstberta. Stałam bokiem do lustra, by przyjrzeć się swojej talii. Tak, dieta owocowa, soki z jarzyn i chrupanie marchewki oraz piesze wędrówki po górach, pływanie i kuracje oczyszczające organizm, jakim poddałam się w Tyrolu, w sumie się opłaciły!

Nogi miałam nadal mocno opalone. Biała minispódniczka

prezentowała się naprawdę nieźle. Wysokie, biało-srebrne szpilki podkreślały kolor i długość spódniczki. Wyglądało to ciekawie.

Podreptałam do kawiarenki. Nie miałam już czasu do stracenia. Gdzieś tutaj musi siedzieć Hannes Stuhlbein!

Niepozorna pani, którą widziałam na korytarzu, brała właśnie kawę. Na pewno tutaj pracuje. Przysiadła się do jakiegoś również niepozornego pana i podjęła z nim rozmowę. Czyżby patrzyli w moją stronę? Jeśli tak, to bez większego zainteresowania.

Skoro raczyłam się zjawić, to macie się mi przyglądać! - pomyślałam.

I wtedy dostrzegłam jego. Hannesa. Hannesa Stuhlbeina.

Hannes, mój stary, słodziutki Hannes o czarnych lokach! I lekko zezującym spojrzeniu! I te brązowe oczy! Nosił OKULARY! Boże, jak seksownie wyglądał w tych okularach! Aż mnie korciło, by coś upuścić. Serce waliło mi tak mocno, że chyba wszyscy w kawiarence słyszeli dochodzący zza kostiumu łomot.

Gdy weszłam, nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Nawet ci niepozorni pograżyli się w rozmowie. Zerknęłam dyskretnie w kierunku Hannesa. Na jego skroni ujrzałam pierwsze siwe włosy. Poza tym nie zmienił się nic a nic! Miał na sobie czarną, skórzaną kurtę. I dżinsy. Takie same, jak wtedy. I buty kowbojskie. No cóż. Widocznie tak musi być. Siedział w kawiarence, w rogu, na miękkiej kanapce i popijał piwo z butelki. Obok niego dojrzałam Marie Louise Knitter, Jonathana Puestersa i jasnowłose dziewczę z redakcji programu. O czymś gadali. Halo, Hannesie, królowna Śnieżka przybyła do studia! Bądź tak uprzejmy i zeskocz natychmiast z rumaka, by ucałować szklaną trumnę, która dzieli ją od świata!

Hannes obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem zza cienkich okularków, oprawionych w złoty drucik. I nie wykonał żadnego ruchu. Starając się za wszelką cenę nie słyszeć walącego histerycznie serca, zbliżyłam się do grupki siedzącej w rogu sali. Usiłowałam zachowywać się naturalnie i skromnie, jak zwykle.

Dziewczę wstało, by mnie przedstawić pozostałym uczestnikom programu.

Ale w tym momencie pani Knitter uprzedziła ją, wołając radośnie:

- O, a oto nasza pani Anita Bach! Oglądam wszystkie odcinki! *Nasz mały szpitalik* to moja ulubiona audycja! Wygląda pani czarująco! A gdzie pani zostawiła małżonka?

- Małżonka? - zapytałam cokolwiek zażenowana, zerkając w kierunku Hannesa.

- Został z dziećmi!

- O nie, nie! Tego filmowego! Mam na myśli tego cudownego lekarza naczelnego!

- Jest na dyżurze! W sali operacyjnej! - odpowiedziałam uprzejmie. Bardzo mi to pochlebiło, więc podałam jej dłoń, a pani Knitter długo jej nie wypuszczała. Potrząsała nią energicznie i serdecznie, aż bransoletki i łańcuszki, którymi była obwieszona, zaczęły pobrzękiwać w zgodnym rytmie z trzęsącymi się fałdami skóry na jej twarzy i szyi.

Pan Puesters podniósł się z miejsca - jak na te swoje sto trzy lata był jeszcze całkiem sprawny - i ucałował moją dłoń.

- Pani doktor Anita Bach, nieprawdaż, mam zaszczyt...

Białym szalem musnął przegub mojej ręki. Włosy starszego pana były błyszczące, świetne i apetyczne. Bez zarzutu.

Właściwie chciałam sprostować, że nazywam się Pfeffer i że nie mam tytułu doktora, ale dałam spokój.

Hannes Stuhlbein też podniósł się ze swojego miejsca, bo tak już wypadało. Siedziała jedynie pani Knitter. Wyprostował się, stanął przede mną w całej swojej okazałości, popatrzył na mnie z aprobatą przez swoje złote okulary, zerknął, lekko zezując, na biały kostium od Chanel, który tak dobrze podkreślał moją figurę, i przedstawił się:

- Chairleg.

Wpatrywałam się w niego i nie byłam w stanie powiedzieć ani słowa. Zamurowało mnie. Czy ty sobie ze mnie kpisz? Czy o drogę pytasz? Ty dupku żołądny!

Może rzeczywiście mnie nie poznał?! A może tylko się zgrywał!

- Niech pani siada, pani Bach! - zawotóła pani Knitter. - Zrobiło się tak oficjalnie!

Osunęłam się na błękitną kanapkę.

- Czego się pani napije? - zapytało dziewczę z aparatem nadawczym.

Puesters roześmiał się rozochocony.

- Szampana! - zawołał w kierunku kelnera. - Tacy młodzi jak dziś już nigdy się nie spotkamy! Nieprawdaż?

Jaki dowcip! Jaki wdzięk!

Pani Knittter nadal potrząsała moją dłonią oraz swoimi łańcuchami, obręczami i zwisającymi fałdami skóry.

- Drogie dziecko, znam panią tak dobrze, jakby była pani moją wnuczką. Tak, to dobry serial! Czy reżyserem jest nadal Grasso?

- Kto...? Tak, Grasso jest reżyserem...

- To uroczy, przemiły gość" - powiedziała pani Knitter. - Tylko trzeba umiejętnie z nim postępować.

- Tak - potwierdziłam. - Słuszna uwaga.

Niepozorna pani siedziała w niepozornym kąciku i całkiem niepozornie przerzucała gazetę. Popijała niepozornie kawę. Niepozorny pan gdzieś nagle zniknął.

- Proszę go serdecznie ode mnie pozdrowić, gdy go pani zobaczy. Był kiedyś moim uczniem. Bardzo zdolnym! - pani Knitter tryskała radością.

- Tak? Słucham? Tak, tak, oczywiście! - odpowiedziałam mało przytomnie.

Dyskretnie przyglądałam się Hannesowi. Odwrócił się teraz do pana Puestersa. Rozmawiali o Hollywood, kiedy to kręcono tam jeszcze nieme filmy, nieprawdaż. Puesters był tam przed Charliem Chaplinem, którego wprowadził do świata filmu. A Bustera Keatona woził w wóze, nieprawdaż! Starszy pan śmiał się zachwycony faktem, że przeżył ich wszystkich, tych sztywniaków, nieprawdaż. Hannes roześmiał się również. Nie zwracał na mnie w ogóle uwagi! Nie... to było niepojęte! On mnie nie poznał. Najzwyczajniej w świecie nie poznał.

Nie poznał mnie ojciec mojego bliźniaka, Ernicgo!

Wszystko wskazywało na to, że w pewnym momencie przestałam dla niego istnieć. Przestał po prostu o mnie myśleć. Zapomniał o mnie, tak jak zapomniał o Rosjaninie i jego tłu-

wym zapaszku w naszym łóżku! Jakie to podłe z jego strony! Nieprawdaż?!

- Państwo pozwolą ze mną, pora na nasz program, zaraz zaczynamy nagranie! - dziewczę z nadajnikiem dało hasło do zmiany lokalu. - Za kilka minut zaczyna się nasz program. Leci na żywo. Pan Koch przywita się z państwem, to nie potrwa długo, a potem rozmowę zacznie z panią Knitter.

- Jak sobie państwo życzą, nieprawdaż! - zaskrzeczał pan Puesters ochoczo i o dziwo podniósł się z kanapy bez większego trudu.

Hannes chciał mu podać pomocną dłoń, ale on nie skorzystał, nieprawdaż.

- Młody człowieku, pan musi mi koniecznie opowiedzieć coś o sobie. Panie obie znam, ale o panu jeszcze niczego nie wiem. Jak pana godność? Airbag?

- Chairleg! - powiedział Hannes i rozbawiony wykrzywił gębę w uśmiechu. - Mieszkam w Stanach.

- I żywi się pan tym gotowym żarciem, tym *fast foodl* - starsza pani dopytywała się zainteresowana. - Czy to prawda, że w Stanach nie posługują się nożem i widelcem? Że jeżdżą autami do restauracji, gdzie gościom rzucają brązową torebkę z jedzeniem na kolana, które następnie zjada się w drodze?

- To prawda - odpowiedział uprzejmie. Popatrzył na mnie króciutko.

Jego spojrzenie - lekki zez znad okularów - było czarujące. Ale krótkie. Potem znowu zwrócił się uprzejmie do pani Knitter.

- Ale pan, młody człowieku, pan ma zaskakująco dobre manieri!

Nieprawdaż - pomyślałam sobie.

- W Stanach mieszkam dopiero od sześciu lat. Po mojej roli w *Utartej drodze*.

- O, to pan! - pani Knitter ucieszyła się bardzo, podczas gdy Hannes prowadził ją pod rękę. Właśnie wchodziliśmy do studia. - W takim razie znam pana! A kto reżyserował? Czy nie... Jak mu tam?... Czy nie przeniósł się potem do Ameryki?

- Tak jest, dokładnie! - Hannes potwierdził. - Dzięki niemu trafiłem do Stanów.

- Boże, jakie to ekscytujące! - zawołała pani Knitter. - Zawsze marzyłam o Stanach! Gdybym była ze dwa lata młodsza! To moje marzenie!

- Chętnie panią ze sobą zabiorę! - odparł Hannes i obdarzył ją uroczym, lekko zezującym spojrzeniem.

No proszę - pomyślałam. - Jakie to proste. Jak sobie życzysz. Możemy to przedstawienie kontynuować. Dlaczego nie. Albo mnie naprawdę nie poznałeś - a mam nadzieję, że tak, bo tak byłoby dla ciebie lepiej, nieprawdaż - albo odgrywasz mi tu jakieś przedstawienie. Jeśli tak, to wieczorem będzie draka.

Patrzyłam więc dalej prosto przed siebie, naturalnie i skromnie, sunąc u boku pana Puestersa. W studiu telewizyjnym ustawiono dla nas cztery siedzenia. Usiedliśmy więc, a kamery zamrugały do nas przyjaźnie. Publiczność biła brawa.

- Dzień dobry państwu! - pan Puesters śmiał się sympatycznie, demonstrując sto trzy lśniące białe zęby, nieprawdaż. Potem ściągnął z szyi biały szal i z nogawki leżących bez zarzutu spodni strącił jakiś niewidoczny pyłek.

Pani Knitter wymachiwała fałdami skóry wiszącymi na szyi oraz obręczami i łańcuchami, wyrażając jednocześnie swe pragnienie zapoznania nas wszystkich ze sobą.

- Panią Anitę Bach poznał pan już, drogi panie...

- Chairleg! - dodał Hannes. - Nie, przykro mi, nie znam!

Posłałam mu najśodszy uśmiech z repertuaru Ulriki, słodziutki niczym miód.

Ty gnojku, cóż za arogancki pyszałek z ciebie! No, poczekaj, jak tylko będziemy sami, powiem ci kilka słów do słuchu...

- Jeszcze dwadzieścia... piętnaście... dziesięć... pięć... Uwaga! Jesteśmy na antenie!

Charles Koch wyskoczył ze swojej kryjówki, wysmarowany pudrem w kremie, niby-opalony i wymuskany. Ukłonił się tłumowi bijącemu brawa, nieprawdaż, tutaj na sali i w domu, przed telewizorami, wszędzie na całym świecie, a więc ukłonił się również widzom w Quadrath-Ichendorf. Następnie, roztaczając wokół dziwny czar, podał każdemu z nas rękę.

- Pani Knitterrrr, aktorrrrka teatrrru kamerrrralnego! - przed-

stawił starszą panią, rolując „r” na sposób kawaleryjsko-pruski. -
Panie Puesters, proszę pana uprzejmie o niewstawianie z miejsca!

Zwracając się w ten sposób do pana Puestersa, który kiedyś był również śpiewakiem kameralnym, robił to z czystej grzeczności, chociaż starszy pan z przyjemnością poderwałby się z miejsca, nieprawdaż, by pokazać wszystkim, jaki to on jeszcze jest zwinny, choć ma sto trzy lata, nieprawdaż.

- Pani Pfeffer, jak to miło. że jest pani tutaj z nami w studiu, pan czy też mister Chairleg! Jak pan sobie życzy? Chairleg czy Stuhlbein?

- To obojętne! - Hannes dodał: - Bardziej znany jestem pod nazwiskiem Chairleg.

- W takim razie my też pozostaniemy przy tym nazwisku - główny specjalista od rozmów telewizyjnych wykrzywił twarz w uśmiechu, zgrzytając przy tym zębami. Poprosił nas, abyśmy rozgościli się na swoich miejscach i się odprężyli.

Następnie podjął rozmowę z panią Knitter, w sposób bardzo swobodny podciągając swoje skarpetki. Pragnął podkreślić panującą w studiu swobodną atmosferę, zademonstrował pięć milionom widzów w domach i obecnym na sali gościom swoje białoszarawe, troszkę tylko owłosione łydki. Pani Knitter, kołysząc cały czas głową, co powodowało falowanie fałd skóry na szyi i pobrzękiwanie obręczy i łańcuchów na rękach, opowiadała ochoczo i wyczerpująco o swoich rolach telewizyjnych. Po chwili Charlie Koch zwrócił się do Puestersa z nadzwyczajną i nadskakującą uprzejmością.

Na to właśnie pan Puesters czekał cały wieczór, nieprawdaż. Szybko poderwał się z krzesła i energicznym krokiem podszedł do znanego skądinąd brązowego pianina, przy którym siedział już gorliwy pianista. Tu wycisnął ze swojej szczęki, uzbrojonej w sto trzy doskonałej jakości zęby, oraz z podniebienia miękkiego pieśń *Lubiłem całować kobiety*, ku wielkiej radości obecnej na sali publiczności, która występ przyjęła owacyjnie. Miesmacherowie zapewne ze szczęścia aż tarzali się po poduszkach. Co do tego nie miałam ani cienia wątpliwości. W drugim rzędzie siedziała niepozorna pani i też się cieszyła z występu mistrza.

Pan Puesters opowiedział raz jeszcze, nieprawdaż, jak to woził

w wózku Charliego Chaplina, Bustera Keatona i tych wszystkich innych nudziarzy i że z jego starych przyjaciół już nikt nie żyje, nieprawdaż, i że teraz jest żonaty z niewiastą, która jest od niego młodsza o sześćdziesiąt lat, nieprawdaż, co jest powszechnie znanym faktem, nieprawdaż. Sprawia to, że czuje się młodo, że nadal jest zwinny i pod każdym względem interesujący, nieprawdaż.

Hannes i ja nie spojrzeliśmy na siebie ani razu.

Wreszcie Charles Koch zwrócił się do mnie.

- Pani Pfeffer - Anita Pfeffer! — Tu skupiony, niczym prawdziwy Prusak, zerknął na swoją ściągawkę. - Nie, Anita Bach! Albo - cha, cha, cha! - roześmiał się, aż mu łzy stanęły w tych cwanych oczkach. - Nie, odwrotnie! Pani Charlotta Pfeffer! Tak jest! Pani Charlotta Pfeffer! Teraz się wszystko zgadza!

Policzki niczym u chomika opadły mu z wyczerpania. Mimo iż miał sztuczną szczękę, a może właśnie z jej powodu, wyglądał wciąż jak taki wesoły, bezzębny chomik. Chomik, który kiedyś zrobił maturę.

„Pan - powiedziałyby Greta - pan Chomik”.

Publiczność biła brawa. Kamery podjechały do mnie. Miesmacherowie na pewno poderwali z flanelowej pościeli i w panice rzucili się, by szybko włączyć magnetowid. Hannes po raz pierwszy tego wieczoru odwrócił głowę w moim kierunku.

Charlotta Pfeffer? Czy nie zetknął się już kiedyś z tym nazwiskiem?

- Pani Pfeffer! Pani jest pani autorką monodramu, sztuki pod tytułem *Czarny i biały pieprz*. Jak się dokonuje czegoś takiego?

- Najlepiej siedząc - odparłam.

No bo co miałam mu odpowiedzieć na pytanie: „Jak się dokonuje czegoś takiego?!!!”

- Ale przecież dawniej zajmowała się pani czymś całkiem innym! - Znowu zerknął na swoje notatki, huśtając nogą obutą w brązowe trzewiki i odsłaniając szarobiałe łydki.

Chłopczyk roznoszący napoje podał mi szklankę wody. W samą porę. Dawaj! Wszystko, co masz!

- Przecież była pani gwiazdka, występująca w serialu!

Hannes wychylił się troszkę do przodu, by mnie lepiej widzieć. Uważaj, malutki, bo spadniesz z krzesła! I może to mieć przykre skutki, bo rzucę czar. No coś takiego! Tutaj, w obecności wszystkich gości! A na dodatek reprimenda!

- Jeśli chodzi o serial telewizyjny, to nadal w nim występuję - wyjaśniłam najskromniej i najbardziej naturalnie jak tylko potrafiłam.

- Jak nazywa się serial? - zapytał Charles Koch, zainteresowany się tą informacją.

- *Nasz maty szpitaliki* - zawołała pani Knitter, uradowana, że może coś powiedzieć. - Codziennie popołudniu na Cztery Minus. To całkiem niezły serial o szpitalu! Prawdopodobnie najdłuższy serial tego rodzaju, jaki kiedykolwiek powstał na świecie!

- W takim razie, droga pani Knitter - powiedział pan Koch, zwracając się w jej stronę - bardzo wiele straciłem. Od dziś będę codziennie oglądał o czwartej serial na Cztery Minus! - Tu chomik się uśmiechnął.

Nie wierzyłam mu, oczywiście.

- No tak, ale pani zajmowała się uprzednio czymś innym - powtórzył z naciskiem pan Koch. - Pani, że tak powiem, wyemancypowała się artystycznie...

- Nie sformułowałabym tego w taki sposób. Serial to jest jeden aspekt mojej pracy, a to, co porabiam w czasie wolnym od pracy, to całkiem coś innego! - próbowałam bardzo nieśmiało oponować.

- Czyżby miała pani aż tyle wolnego czasu? Przecież ma też pani dwoje dzieci!

Franzu Drosslerze, skąd ja znam tę nutkę... Wciąż mi puszcacie tę samą płytę...

- Doba ma dwadzieścia cztery godziny! - odparłam spokojnie.

Hannes wpatrywał się nadal. Widziałam niemal, jak belka w jego oczach rozsypuje się na tysiące drzazg.

- Ale co było bezpośrednim bodźcem, co sprawiło, że nie chciała pani być jedynie... - tu znowu zerknął na swój karte-luszek - lekarzem naczelnym... Anitą Bach?

- Nie chciałam grać jedynie ról, które ktoś napisał dla mnie - wyjaśniłam. - To bardzo piękny zawód, który wykonuję z największą radością, ale grając tę rolę byłam wciąż tylko Anitą Bach, nikim innym! Nigdy nie byłam sobą.

- I pisząc tę sztukę dokonała pani samorealizacji! - dziennikarz uderzył w ton lekko protekcyjnalny.

Boże, te PYTANIA! Franzu Drosslerze! Ratunku!

Hannes wychylił się teraz tak bardzo, że mało brakowało, a spadłby z krzesła. Pan Puesters pociągnął go dyskretnie za rękaw. Zasłaniał mu cały widok.

Czułam, że robię się czerwona na twarzy. Wreszcie mnie poznał. Ludzie kochani, ale to pasjonująca historia!

Nawiasem mówiąc, ojciec jednego z moich bliźniaków jest tutaj! Popatrzcie, drodzy państwo, siedzi tutaj, nieprawdaż!

Pan Koch przyczepił się jednak do mojej sztuki dla jednej aktorki i zapytał, dlaczego zatytułowałam ją *Czarny i biały pieprz* - co przeczytał z kartki - oraz poinformował, że opracowano już jej wersję telewizyjną i że moja książki ukazała się w znanym wydawnictwie „Zajrzyj!” - w oprawie płóciennej za dwadzieścia osiem marek - no i że ja sama w sztuce występuję, no i że sztuka jest wieloznaczna, i że autorka jest kobietą.

- Temat naszej dzisiejszej rozmowy brzmi *Kto za młodu harował, ten nie pożałował!* - powiedział pan Koch. - Harowała cała obecna tutaj w studiu czwórka. Czy państwo czegoś potem żałowali? Zacznijmy od pani!

Posłałam Hannesowi dwuznaczne spojrzenie. A czy ty czegoś żałowałaś, Hannesie?

- Nie! - odpowiedziałam.

- Panie Chairleg! - powiedział chomik. - Jak pan to wszystko osiągnął? Za młodu pan harował! Czy nigdy pan niczego nie żałował? Dlaczego opuścił pan Niemcy? Dlaczego wyemigrował pan do Ameryki?

- Amerykanie są wspaniałomyślni i tolerancyjni - wyjaśnił Hannes. - I człowieka, który odniósł sukces, klepią po ramieniu. A ja doskonale pamiętam klimat panujący w pracy tutaj w Niemczech! Gdy ktoś odnosi sukcesy, inni biorą mu to za złe!

Niemcy mają problem z niezazdrosczeniem! I to bardzo poważny problem!

Serdecznie się do niego uśmiechnęłam.

- Nie wszyscy! - dodałam.

On uśmiechnął się również.

- Nie, nie wszyscy - odpowiedziął.

No widzisz, a więc poznałeś mnie.

- Pani Knitter! Wygląda pani na osobę bardzo zmartwioną. Czyżby żałowała pani czegoś? - Charles Koch zwrócił się teraz do Marii Luisy. W jej oczach stanęły łzy.

- Moje doświadczenia z pięćdziesięciu lat są smutne: sukces sprawia, że człowiek staje się samotny. W zasadzie nie ma takich ludzi, którzy by nie zazdrościli sukcesów i byli naprawdę, tak z serca, życzliwi. Było kilka takich osób, ale już, niestety, odeszły.

Tu posłała publiczności swoje słynne spojrzenie, które od dziesiątków lat całe rzesze widzów doprowadzało do szloch. Hannes i ja spojrzeliśmy po sobie, oboje cokolwiek zażenowani. Pan Koch wziął ją za rękę, chcąc w ten sposób wyrazić swoje współczucie.

- Czy patrząc z dzisiejszej perspektywy, postępowałaby pani inaczej? Czy - już po fakcie - byłaby pani gotowa zrezygnować z sukcesu? Założmy, że ma pani szansę zacząć wszystko od początku?

- Nie! - pani Knitter dodała: - Postępowałabym tak samo. Nie zeszląbym ze swej drogi. Nadal zresztą nią idę.

- Ja też! - zawołał radosnym głosem pan Puesters. - Zawsze osiągałem bez trudu wysokie „c”. Na wojnie, nieprawdaż, albo też nie na wojnie... zawistnych ludzi nie brakuje i trzeba ich tak traktować, jak na to zasługują, czyli strzepać z rękawa niczym śmierdzące gówno.

- Dokładnie! - ucieszył się Hannes. - *Like bullshit.*

- Przyjaciół ma się naprawdę niewielu. Pod koniec życia można ich policzyć na palcach jednej ręki - kontynuowała pani Knitter, tłumiąc łzy.

- Ale ci inni nie byli przecież przyjaciółmi! - rzucił Hannes dość nonszalancko. Symbolicznie napluł w dłoń i wykonał

ruch mający oznaczać wyrzucenie czegoś za siebie przez ramię. - Takich przyjaciół można spokojnie olać.

- Na ten temat jest nawet arioso z *Wolnego Strzelca* - zawołał pan Pusters. - Czy państwo pozwolą, że zaśpiewam?

- Ależ z przyjemnością posłuchamy! - ucieszył się pan Koch. - *Dla Ciebie śpiewam... z Tobą zespołą nadzieje, radości i smutki...*

Pan Pusters przybrał postawę, głęboko nabrał powietrza, aż do swojej przepony, młodej i sprawnej, i uduchowiony zaśkrzeczwał do kamery: - *Zaaaawiść nie tooooooczy zdroooooowego drzewaaaaa, więc duuuuumny bądź z tych, którzy ciiii zawistni sqaqq!* - Zrobił się purpurowy z wysiłku. Gdy skończył, rozejrzał się, czekając na oklaski.

Zachwyceni byliśmy bardzo. Biliśmy mu brawa. Na szyi pani Knitter majtały się fałdy skóry i pobrzękiwały obręcze. Hannes i ja uśmiechnęliśmy się do siebie.

W tym momencie pani Knitter zawołała rozentuzjasmowana:

- Pamiętam jeszcze coś, co by tutaj pasowało, zaraz, zaraz, czy sobie przypomnę? To było takie powiedzenie: „Psy szczekają, karawana idzie dalej!”

- Czyż nie jest to udane resumé naszej rozmowy? - Tu pan Charles poderwał się ze swojego miejsca, postawił swoje obie szarobiałe nogi obok siebie, równo i porządnie, następnie odczytał tekst z kartki niczym dziecko przystępujące do pierwszej komunii: - Zapraszam państwa na nasz następny program pod tytułem *Niech nas pochłoną miliardy* z udziałem znanego wykonawcy szlagierów Torwalda Schlagergroelera", oszusta podatkowego Boejerna Boersenschweina*, polityka Nicka Bangemachena* i - *last not least* - autorki ostatniego literackiego prawie bestsellera Very Schund*. Do zobaczenia.

***W przybliżeniu:**

Schlagergroeler - wyjec.

Boersenschwein - szczeciniasta świnia.

Bangemachen - straszak.

Schund - brukowiec (literatura brukowa).

Uwolniliśmy się od naszych widzów i się podnieśliśmy. Publiczność opuszczała studio.

- I co teraz zrobimy z tak dobrze rozpoczętym wieczorem? - zapytał ubawiony Pan Puesters. - Może pójdziemy do jakiegoś lokalu? Może jakiś ustronny gabinet na zapleczu?!

- Tak, zastanówmy się, co POCZAĆ z tak sympatycznie rozpoczętym wieczorem? - zapytał Hannes i zezując lekko, posłał mi zza swoich okularków spojrzenie tak namiętne, że opisać go nie sposób.

- O, na pewno jakiś pomysł przyjdzie mi do głowy! - W moim głosie zabrzmiała frywolna nutka.

Całkiem przypadkiem zerknęłam na przeredzające się już rzędy ma widowni. Niepozorna pani właśnie wstawała. Następnie skierowała się do wyjścia.

Nigdy w życiu nie zapomnę widoku Ernstberta, gdy następnego dnia stał na lotnisku. Chudy, czarny, blady, ulizane włosy. Wyglądał niczym kawka, która od tygodni głoduje. Albo kocur, który dostał lanie.

Stał z Erniem i Bertem, w garści trzymał trzy róże. Uśmiechał się blado.

Ja wstydziłam się od głów do stóp, obutych zresztą w szpilki na bardzo wysokich obcasach, w których miałam wkładki zapobiegające ślizganiu.

Musisz przez to przejść, Charlotto! Przyjmij róże, obejmij ich wszystkich serdecznie, rozmawiaj jak gdyby nigdy nic. Naturalnie i skromnie, jak zawsze, idź z nimi do auta!

Dzieci skakały z radości, wołały, że wiedziały mnie wczoraj w telewizji, że nie musiały iść spać, że ten pan z białym szalem śpiewał dokładnie tak samo jak żaba Kermit. Odlotowy numer!

Ernstbert milczał. Niósł walizeczkę i siedł obok nas, jakby był kimś dla mnie obcym. Nie powiedział ani słowa.

Przecież on nie może niczego wiedzieć, bo skąd? Nie było go przy tym. Przed kamerami przecież nic się nie wydarzyło. A potem byłam z Hannesem sama. Oczywiście, byli tam jeszcze jacyś ludzie, kilka osób biorących udział w realizacji programu,

stali w holu hotelowym, ale w pokoju to już naprawdę nikogo nie było. Weź się więc w garść i przełknij poczucie winy. Zrób to dyskretnie! Ernstbert nie ma pojęcia, co się naprawdę wydarzyło.

Wsiadliśmy do auta i pojechaliśmy na jesienny kiermasz do Groov. Dzieci sobie tego zażyczyły.

Przyglądałam się Ernstberowi z boku. Jak to możliwe, żeby normalny, zdrowy mężczyzna tak bardzo się zmienił w ciągu dwudziestu czterech godzin? Wyglądał kiepsko. Blady, chudy, czarny! Jak nigdy w życiu! Jak na własnym pogrzebie!

- Czy wszystko z tobą w porządku? - zapytałam wreszcie nieśmiało.

Moje serce, niedobre i podłe, waliło jak oszalałe. Na języku poczułam smak benzyny.

- Mam problemy w pracy. Sekretarka, na której tak bardzo polegałam, zawiodła mnie.

Z ulgą osunęłam się na oparcie fotela. Sekretarka! To jest przyczyna!

- Biedny ty jesteś! - W przypiływie czułości pogłaskałam go po policzku.

Lekko drgnął. A może tylko mi się wydawało?

- Mamusi! Czy w Groov są też rowery wodne?

- Tak, skarbie, tam na pewno są rowery wodne!

- I łódzie silnikowe? Wynajmiemy sobie łódkę?!

- Na pewno, skarbie! Ale teraz pozwól mi przez minutkę porozmawiać z tatusiem!

- Jak było? - zapytał Ernstbert przez zaciśnięte usta, nie patrząc na mnie.

- Sympatycznie! - uśmiechnęłam się najnaturalniej jak tylko umiałam, odsłaniając ząbki. Dziwna sprawa, ale w ustach nadal czułam smak papierowego kubka, w jakim podano napoje w samolocie. - Bardzo sympatycznie i miło.

- I co? Spotkałeś się z nim?

- Tak, oczywiście, przecież widać to było nawet na ekranach telewizorów.

- Pytam o to, co było potem! Widzieliście się jeszcze prywatnie?

- Co to znaczy, prywatnie? No jasne! Siedzieliśmy z innymi ludźmi w holu hotelowym. Pusters do drugiej w nocy szalał jak nakręcony, wspaniały facet, mówię ci, również pani Knitter jest naprawdę bardzo miła, było dużo szampana, gadaliśmy o audycji i o tym, co robimy...

- I co? Co porabia on?

- To, co już wiesz. Jest w Ameryce. Odniósł sukces, jest gwiazdą. Julia Roberts będzie jego filmową partnerką w następnym filmie...

- Mamo! Co to znaczy, że on jest gwiazdą?

- Nie znasz go, Ernie, to mężczyzna, jest aktorem.

- Był wczoraj w telewizji? Ten stary?

- Nie, kochanie, ten młody!

- Ten, który tak dziwnie mówił?

- Tak, to on, mówi teraz z akcentem amerykańskim. Też to zauważyłam.

- Dostałem w prezencie łódkę z klocków lego, a Bert mi ją zepsuł - mówił dalej Ernie, zmieniając nagle temat.

- To nieprawda! Nie chciałeś mi jej dać, więc ją sobie wziętem i wtedy się zepsuła! Sama!

- Odbudujemy ją! - powiedziałam. - Takie drobiazgi, które się same popsują, można łatwo zreperować!

Popatrzyłam na Ernstberta. Dlaczego MILCZAŁ? Położyłam rękę na jego ramieniu. Nagle musiał mocno skrócić kierownicę. Moja ręka się osunęła.

- Drobiazgi, które same się psują, prawdopodobnie nie mają żadnej wartości! - powiedział.

Patrzyłam prosto przed siebie. Coś wiedział. Nagle sobie coś uświadomiłam.

Ale przecież to niemożliwe! Zachowywaliśmy się bardzo dyskretnie! Nie trzymaliśmy się za rączki, nie przekomarzaliśmy się, nie wymienialiśmy namiętnych spojrzeń!

Gdy nikogo nie było w holu, pojechaliśmy windą na górę. A w windzie się całowaliśmy. Ale byliśmy przecież sami! Mogłabym przysiąc! Hannes wziął moją twarz w swoje dłonie, nachylił się nade mną i pocałowaliśmy się.

Smakował tak wspaniale, jak kiedyś. Wspomnienie południo-

wej Francji, małego basenu w ogrodzie, Rosjanina w łóżku, kurzu w pomieszczeniu, w którym przechowywano kostiumy dla odtwórców drobnych ról i młodości - wielkich nadziei i swobody.

Nagle ostatnie dziesięć lat rozplynęło się w niebycie. Objęłam go gwałtownie i namiętnie. Dlaczego? Bo byłam szczęśliwa i pełna entuzjazmu. I wtedy z jego nosa spadły złote okulary. No dobrze, nie spadły same. Troszkę im pomogłam. Niechcący. Nie rozumiem dlaczego.

Ostatni raz! Ostatni raz! Tylko ten raz! Nigdy więcej! Bo to był Hannes! Bo w ten sposób zamykało się to cholerne koło. Bo jutro będę stara i brzydka, siwa, sfrustrowana i znudzona niczym Lora Kosz-marna i Gretel Zupf i Ulrika Zazdrosne-oko-Nalanatwarz. Bo on już jutro odlatuje do Stanów! Do Julii Roberts! Bo i tak już go nigdy nie zobaczę! Bo chciałam przeżyć to jeszcze raz!

A jeden raz to za mało! To tak, jakby niczego nie było!

Tylko raz chciałam zobaczyć, czy się uda! To było tak, jakby Paulinka bawiła się zapałkami!... Przecież raz nie zaszkodzi! Jeden raz pobawić się można!

Igrasz z ogniem! Pewnego dnia to się źle skończy! A wtedy będziesz żałowała.

Nie! Nie masz racji! Trochę zabawy! Trochę życia! Niech się tutaj wreszcie coś dzieje! To nikomu nie zaszkodzi!

Życie jest takie nudne. A tutaj, w windzie, nikt nas nie widzi! Tak, moje czary zadziały. I to jak! Stare czarownice nie zapominają, jak się rzuca czary. Do końca życia to potrafią.

W korytarzu hotelowym na pewno nikt nas nie widział. Było pusto. Mój apartament był na dziewiątym piętrze. O drugiej w nocy nikt się już po korytarzach nie kręci. Tłumów żadnych nie było widać. Toteż Chairleg, gwiazda światowego kina, nie budził już niczyjego zainteresowania. Nigdzie żywej duszy! Ani ukrytej kamery! Ani jakiegoś paparazzo! Ani zdalnie kierowanego magicznego oka! Sami też byliśmy w moim pokoju. Na sto procent! Nikt nie stał za kotarą czy za szafą w ścianie. Nikt nie leżał pod łóżkiem.

To wszystko to tylko urojenia. Ernstbert był przepracowany,

źle spał i prawdopodobnie noc spędził przy komputerze, zastawiając się, czy powinien zatrudnić nową sekretarkę. A rano, od siódmej bawił się z dziećmi w złodziei i policjantów. Coś mi się uroiło. Wszystko jest w najlepszym porządku.

Nie wolno mi teraz popełnić błędu, by ulżyć swemu sumieniu. Nie kosztem Ernstberta. Ernstbert miał dość własnych kłopotów z powodu sekretarki i nowej firmy. A Hannes już od kilku godzin był w drodze do Stanów. Po co więc poruszać sprawę, które pozostawiłam za sobą?!

- No więc, jak? - zapytałam, chcąc rozruszać moją niemrawą załogę. - Wynajmujemy najpierw łódkę?

Parne popołudnie. Późne lato. Zanosiło się na burzę. Pochmurno. Siedzieliśmy w łódce. Dzieci na rufie, rodzice na dziobie. Coraz więcej chmur na niebie. Lada moment zaczną padać. Powietrze ciężkie niczym ołów.

Zdjęłam słoneczne okulary. Było tak ciemno! Szare powietrze drżało i oślepiało. Ponownie włożyłam okulary. Woda była czarna, mętna. Unosiło się na niej kilka piór łabędzich. Ernie i Bert klócili się, kto ma trzymać ster.

Byłam głodna. Ale nie odczuwałam tego. Tak naprawdę, to było mi niedobrze. Nogi mi drżały. Noc była krótka. Wcale nie spałam. Hannes wyszedł o szóstej, by zdążyć na samolot. Było bardzo, ale to bardzo sympatycznie. I nic ponadto. Na pewno nie miałam zamiaru zranić Ernstberta. Nie było to tego warte. Było miło, ale nic ponadto.

Przysięgałam sobie, że nigdy mu o tym nie powiem. Musiałam sama sobie poradzić z poczuciem winy. Wypić to, czego narwarzyłam... Nawet gdybym przez wieki miała się tym dławić.

- Ernstbercie, co jest, powiedz mi, co się stało? - zapytałam powtórnie.

- Złamałaś obietnicę!

O naszą łódź otarło się piórko łabędzie. Wyglądało obrzydliwie. Było takie stare, zgniłe i brudne.

- Co... co ty mówisz... co ci przyszło do głowy?...

- Wiem.

- Przypuszczasz jedynie.

- Koniec z nami.

Zrobiło mi się niedobrze. Byłam bliska torsji. Widok tej brudnej wody, tych pomyj obrzydliwych i ohydnych łabędzich piór wywoływał we mnie odruch wymiotny.

Zamknęłam oczy. Bzdury. Co za bzdury. To tylko poker. Chce wiedzieć. W gruncie rzeczy pragnie usłyszeć, że niczego nie było. No, szybciej, zaczynaj. Tu nie ma co silić się na wytworne milczenie. Teraz musisz kłamać. Otworzyłam oczy. Chciałam się uśmiechnąć. Ale łódka huśtała się na wodzie.

Chcę poczuć ląd, stanąć na pewnym gruncie!

Dzieci nadal kłóciły się niczym dwa wróbelki, które z nich ma trzymać ster.

Wtrącałam się.

- Bądźcie cicho!

- Daj im spokój! - powiedział Ernrtbert. - One nie są niczemu winne!

- Ernstbercie! - chwyciłam go za ramię.

Odsunął moją rękę.

- Chciałem mieć pewność. Po TAKIM wspólnym lecie. Sądziłem, że nie zrobisz tego. Miałem twoje słowo. Złamałaś dane mi przyrzeczenie.

- Ależ Ernstbercie! Dlaczego złamałam przyrzeczenie?

- Odchodzę od ciebie.

- Ernstbercie! Dlaczego operujesz zagadkami? Dzieci, proszę, płyniemy do brzegu, jest mi niedobrze!

Miałam uczucie, że za chwilę wskoczę do wody. I na zawsze zostanę w tej czarnej, mętnej i mulistej brei. Nagle usłyszałam siebie, jak sapiąc - bo droga prowadziła pod górę - zapewniałam: „Obiecuję, obiecuję, obiecuję!”

Znowu ciężko oddychałam. Przypomniałam sobie własne słowa. Słowa bez najmniejszej wartości.

Przybiliśmy do brzegu. Ernrtbert pomógł mi wysiąść. Czułam się podle. Nogi mi drżały. Z trudem szłam.

Grzmiało. Zaraz zacznie padać. Dzieci pobiegły do strzelnicy. Ja nie byłam w stanie im towarzyszyć. Odgłosy dochodzące z wesołego miasteczka doprowadzały mnie do szału. Piski, wrza-

ski, trzaski, hałas, śpiewy, te zniekształcone głosy dochodzące z głośników, to wszystko wydało mi się wulgarne i pospolite.

- Daj im spokój. Już się z nimi pożegnałem - poinformował.
- Pożegnałeś? Co to ma znaczyć? Dokąd idziesz?
- Odchodzę od ciebie - powiedział.
- Ale dziś wieczorem wrócisz?
- Nie. Nie rozumiałaś. To poważna sytuacja.

- Ernstbercie! Tak, to prawda, zdradziłam cię! Dziś w nocy po raz ostatni, ale przysięgam ci, że nigdy więcej tego nie uczynię. Naprawdę nie warto! Podnieciło mnie tylko to, że on... przed dziesięcioma laty... był moją wielką miłością... - jąkałam się, mówiłam coś bez składu i ładu.

- Ty byłeś MOJĄ wielką miłością! - powiedział na to Ernstbert. - Byłaś moją igłą, którą znalazłem w stogu siana. Ale już więcej nie chcę się ukłuć!

- Ernstbercie! - Opadłam bez sił na murek. Wyciągnęłam do niego rękę. - Nie możesz tak po prostu odejść!

Zaraz stracę przytomność - pomyślałam. - Za chwilę. Wtedy ktoś będzie musiał się mną zająć.

- Gra się skończyła! - powiedział Ernstbert. - Tu, proszę, to dla ciebie. Wyciągną z marynarki dużą kopertę. Tu jest wszystko, o czym wiedzieć powinnaś.

Wyglądało to dość urzędowo. Stemple, zabezpieczenia. Jakaś tajemnicza koperta, ale w tym momencie nie wydało mi się to istotne.

- A tu twoja poczta!

Ernstbert podał mi wąską, białą kopertę z czarną obwódką. Zawiadomienie o czyjejś śmierci, czy coś w tym rodzaju. A może podziękowanie. Nie rzuciłam na to nawet okiem.

- Zmieniłem swoje życie. Całkowicie. Od początku do końca. Zmieniłem siebie i swoje życie. I złożyłem je w darze u twoich stóp. Ale ty, ty skorzystałaś z pierwszej okazji, która się nadarzyła. Z pierwszej! To tylko chciałem wiedzieć. Chciałem wiedzieć, czy rzeczywiście to zrobisz. Kosztowało mnie to sporo. Sporo pieniędzy i... dumy!

- Ale przysięgam ci, że to było po raz ostatni!

- Obiecałaś mi to już kiedyś! - odezwał się Ernstbert. -
W górach!

- Obiecuję ci teraz! - wydusiłam z siebie resztkami sił. -
W wesołym miasteczku! Zrobiło mi się ciemno przed oczyma.
Wyciągnęłam rękę, by chwycić się jego ramienia. Kręciło mi
się w głowie. Niebo było szare. Parno. Powietrze drżało.

- Wesołe miasteczko zwinie manatki i przeniesie się. Góry
stoją wiecznie.

Ścisnął mnie za ramię i puścił. Potem odszedł. Po prostu
odszedł. Czarna, chuda, obca, biała postać. Przylizane włosy.
Wyglądał niczym zamarznęta kawka.

Chciałam pobiec na nim. Ale nie mogłam. Nogi odmówiły
mi posłuszeństwa.

Nie wiem, jak długo siedziałam na murku. Dzieci przybiegały,
brały pięć marek na karuzelę i znowu znikwały.

Ernstbert odszedł. Szumiało mi w głowie. To na pewno tylko
zły sen. Tłumy ludzi. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Zaraz
ujrzę tu, wśród tego tłumu, tę jego kochaną, jedyną, prawdziwą,
tak dobrze mi znaną twarz, twarz przyjaciela! Poda mi loda ze
śmietaną i zawoła: „Prima aprilis!” Roześmieje się serdecznie!
Mój Ernstbert! Przecież ja go tak dobrze znałam. Był zawsze,
gdy go potrzebowałam. Zawsze.

Teraz było mi niedobrze. Potrzebowałam go. Gdyby tu był,
zaprowadziłyby mnie do auta. Jego jednak nie było.

Po jakimś czasie zebrałam się w sobie i rozerwałam tę dziwną,
brązową kopertę. Może to jakieś zaświadczenie dla urzędu
finansowego albo rozliczenie firmy ubezpieczeniowej. Gdy uj-
rzałam zawartość tej koperty, oniemiałam. Niczego w pierwszym
momencie nie rozumiałam.

„Raport z dnia 9 września”. Bez adresu nadawcy. Bez na-
główka. Tekst napisany na maszynie. Przecież to wczorajsza
data. Dziewiątego września.

„Godzina 16.00 - A udaje się najpierw do informacji, na-
stępnie odbiera bagaż. Kierowca odbiera ją służbowym samo-

chodem stacji telewizyjnej. Wsiada do pulmana. Pulmanem jeżdżąc bezpośrednio do hotelu".

Popatrzyłam na budę z kiełbaskami. Wokół niej stali jacyś ludzie, podając sobie musztardę w brązowej plastikowej butelce, żartowali.

„B przybył do Monachium już przedpołudniem. Nie ma żadnych oznak świadczących o tym, iż pragnie nawiązać kontakt z A. Kręci się po Monachium, kupuje pamiątki, pisze pocztówki".

Ludzie przy budzie kupują jeszcze jedną porcję frytek z keczupem i majonezem. Zadowoleni popijają piwem z puszek. Kobiety są w szortach, mężczyźni w dresach.

Rowery oparli o murek.

„Godzina 17.00 - A przybywa do hotelu Cztery Pory Roku, zajmuje apartament na dziewiątym piętrze, po chwili wychodzi. Jedna osoba współpracująca preparuje drzwi. Druga osoba współpracująca czeka w holu. Trzecia osoba współpracująca obserwuje B. Nie stwierdza żadnych prób skontaktowania się z A. B przebywa w siłowni. Pokój B został przygotowany już poprzedniego dnia. Nikt nie telefonuje".

Teraz wycieczkowicze odebrali frytki i siadają na murku.

„Godzina 17.30 - A udaje się do salonu piękności w hotelu. Nasza współpracownica poddaje się zabiegom w sąsiedniej kabinie. A opowiada o programie telewizyjnym, w którym ma wystąpić. Serdecznie się wyraża o mężu i dzieciach, wspomina udany urlop latem. W świetnym nastroju, radosna. Brak jakiegokolwiek wskazówki dotyczącej B czy spotkania z B".

Teraz ktoś z siedzących na murku ludzi opowiada jakiś kawał. Pisk, wszyscy wybuchają głośnym śmiechem.

Nie byłam w stanie czytać dalej. Nagle przypomniałam sobie tę niepozorną panią. Stała obok mnie przy kasie, by zapłacić rachunek za zabieg w salonie piękności. Później widziałam ją w kawiarence stacji telewizyjnej. Z jakimś mężczyzną. Pili kawę. Była na widowni w czasie programu. Już bez tego mężczyzny. I świetnie się bawiła. Siedziała w drugim rzędzie. Potem, w hotelu, już jej nie widziałam. Ale ten mężczyzna! On był w holu! Bawił się razem z nami! I dziś rano widziałam go

znowu. Przy śniadaniu. Siedział z innym mężczyzną, dwa stoliki dalej. Czy nie odezwałam się do niego, gdy szłam do bufetu po sałatkę? Powiedziałam, że wczoraj było bardzo wesoło, czy coś w tym rodzaju. Miałam go za kogoś z ekipy Charlesa Kocha. Tylko dlatego, że wciąż się koło nas kręcił. I teraz przypomniałam sobie, że gdy do niego zagadałam, on popatrzył na mnie chłodno i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że nie wie, o czym mówię. Że go z kimś pomyliłam. Nie miałam zresztą ochoty na dłuższą z nim rozmowę, bo śniadanie jadłam z uroczą panią Knitter.

- Wesoło było wczoraj, prawda?

Wzruszył ramionami.

- Pani mnie z kimś pomyliła.

Chwilę potem wyszedł. A ten drugi schował się za gazetą i zamówił jeszcze jedną herbatę. Czy leciał ze mną w tym samym samolocie? TAK? CZY TO BYŁ ON? Czy nie szedł za mną na lotnisku, gdy szukałam toalety? Czy nie stał obok mnie w drogerii, gdy kupowałam dezodorant z kulką i wkładki do majteczek? Czy grzebał w mojej torebce?

Z największym wysiłkiem otworzyłam raport na ostatniej stronie.

„Godzina 10.30 - A w towarzystwie aktorki K opuszcza pomieszczenie, w którym podaje się śniadanie. Płaci rachunek za swoje wydatki i opuszcza apartament. Upřednio sprawdzono pokój i łazienkę”.

Przed oczyma zrobiło mi się czarno. Wyobraziłam sobie, jak siedzę przy śniadaniu z panią Knitter, a w tym samym czasie niepozorna pani grzebie w koszu na śmieci, szukając poszlak. I jak koniuszkami palców wyciąga z kosza użytą prezerwatywę! I chowa ją do torebki! Dlaczego nie przypięła tej prezerwatywy spinaczem biurowym do swojego raportu? Może Ernstbert już ją oczyścił i wpiął do jednego ze swoich segregatorów? Przyda się do sprawy rozwodowej! Jako dowód.

Boże, było mi tak niedobrze!

„Godzina 11.15 - A opuszcza hotel Cztery Pory Roku i wspomnianym tu już samochodem udaje się na lotnisko. Godzina

12.00 - A odprawia się. Godzina 12.30 - samolot wystartował do Kolonii. Koniec raportu".

Żadnego podpisu, żadnej adnotacji, nic. Koniec raportu.

I to wszystko Ernstbert trzymał w ręce, gdy ja lądowałam o 13.30 na lotnisku w Kolonii. I zdążył przeczytać. Zanim kupił te trzy róże? Czy kupił je przed lekturą?

Bezmyślnie wpatrywałam się w budę z kiełbaskami. Że też on to zrobił. Że w ogóle był do tego zdolny.

Złożyłam ten anonimowy raport i patrzyłam tępym wzrokiem przed siebie.

Koniec. Wszystko runęło.

Ludzie wstali z murku, wsiedli na rowery i ruszyli. Pierwsze, ciężkie, czarne krople padły u moich stóp. Zapachniało mokrym asfaltem.

Nagle wokół mnie ogólna panika. Wszyscy opuszczają wesołe miasteczko i szukają schronienia przed deszczem. Biegają, szukają kurtek i parasoli.

Nie wstałam. Nie czułam deszczu. Czułam jedynie ten dziwny zapach. Zapach mokrego asfaltu. Jak dawniej, gdy jeździliśmy wspólnie na rowerowe wycieczki.

Muszę poczekać na dzieci. Lada moment nadbiegną.

Jak w transie wzięłam do ręki drugi list. Ten z czarną obwódką. Było to zawiadomienie o śmierci jakiejś kobiety. Nie znałam jej. Miała tylko trzydzieści osiem lat.

„Po krótkiej, ciężkiej chorobie...”

Zawiadomienie o śmierci podpisał jakiś mężczyzna o dość popularnym nazwisku, jakiś Maier czy Mueller. Nie miałam pojęcia, kto to taki. Czasem dostaję bardzo dziwne listy. Od kiedy jestem Charlottą Pfeffer. Zgniotłam list i wsadziłam go do kieszeni spodni. Siedziałam beczynn timer. Deszcz lał jak z cebra.

Ernstbert nasłał na mnie detektywów. No, gdy tak spojrzeć na to z boku, to nawet to i eleganckie. Ta przyjemność słono go kosztowała. Nie był to jakiś podejrzany detektyw z dziobatą gębą, który kręciłby się po hotelu i zadawał obleśne pytania facetowi w barze. Nie, to byli współpracownicy, bardzo dyskretni i bardzo eleganccy. Szpicle w najlepszym gatunku. Z wyż-

szym wykształceniem! Obserwowali mnie i Hannesa. Przez całą dobę.

No bo kto by sam zajmował się obecnie śledzeniem swoich bliskich? Są inne przecież możliwości. O wiele bardziej eleganckie. Do takich zadań wynajmuje się ekspertów! Fachowców! Przeszkolonych! Z międzynarodową praktyką i doświadczeniem!

Proszę zaufać" nam, znanej firmie „Podsłuchalski i Spółka". Na takich świniach jak my można polegać! I jeśli w efekcie Wasze dotychczasowe życie legnie w gruzach, miło będzie nam bardzo! Cała przyjemność po naszej stronie! Przynajmniej dowiecie się Państwo, z kim tak naprawdę mieliście do czynienia przez ostatnie dziesięć lat. Rachunek wynosi siedem tysięcy dolarów plus VAT. Zainwestujcie Państwo w swoje bezpieczeństwo. Szpiclować, obserwować, podsłuchiwać, śledzić - to nasza oferta. Przygotować pokój? To też obejmuje nasza oferta. Usługi kompleksowe. Raport otrzymają Państwo w ciągu godziny. Dyskretnie, szybko, anonimowo. Poczta kurierską. Przez satelitę. Przekazać możemy wszystko, nic nie jest zbyt trudne. Życzymy Państwu miłego wieczoru. Proszę nas polecić znajomym!

Ernstbert skorzystał z usług takiej właśnie firmy. I wiedział wszystko.

Wszystko. I stał z trzema czerwonymi różami na lotnisku.

- Mamo, jesteś całkiem mokra! Gdzie tata?
- Papa pojechał już...
- Mamo, pada deszcz! Chcę do domu! Jestem zmęczony i głodny!
- Ale to głupia strzelnica! Zamknęli ją nam tuż przed nosem!
- Ja wygrałem długopis, bo trafiłem puszką! Ale nie pisze!

Dzieci zaczęły mnie ciągnąć. Bez ich pomocy nie wstałabym. Dopiero w aucie, gdy kurczowo trzymałam kierownicę i wpatrywałam się w szybko pracujące wycieraczki, które zmywały z szyby strumienie wody, gdy dzieci zasnęły na tylnym siedzeniu, schowawszy się pod kocem, gdy grzmiało, jak gdyby miał nastąpić koniec świata, coś do mnie iotarło.

Kim była ta kobieta. Trzydzieści kilka lat. Koperta z czarną obwódką.

Nagle zrozumiałam. I zrozumiałam też, dlaczego mąż przysłał mi zawiadomienie o jej śmierci. Włączyłam światła awaryjne, zjechałam na pobocze, oparłam się o kierownicę i się rozryczałam. Mijały nas auta, które jadąc przez wielkie kałuże ochlapwały nasz samochód, aż woda się pieniła. Przypomniam sobie rozmowy, sceny, sytuacje, o których już dawno zapomniałam. Słoneczne, szczęśliwe dni, przesycone słońcem. U stóp potężnych gór. Słyszałam śmiech Ernstberta na korcie tenisowym, dzieci kłócące się o grabie, słyszałam jak wracają z kortów i otrzepują piach z butów. Ujrzałam siedzącą na pledzie kobietę. Uśmiechała się i ściskając moją dłoń, mówiła do mnie: „Niech pani nie marnuje czasu! Pani mąż jest wartościowym człowiekiem!”

Barbara Becker. Pani, którą spotkałam w ogrodzie Edenu.

Nie wiem, jak długo tak siedziałam, oparta o kierownicę samochodu. Czy to były minuty, czy godziny? Nie wiem. Nagle podniosłam głowę. Deszcz przestał padać. Zaspane dzieci wygramoliły się spod pledu.

- Jestem głodny! Dlaczego stoimy?

- Popatrz, mamusiu! Tęcza!

Boże, jaka piękna tęcza! Na tle granatowych, skłębionych chmur. Taka piękna, kolorowa! Mrugała do mnie z nieba, dając mi znać, że może jest jeszcze jakaś nadzieja. Co ja tutaj robię, w deszczu, na poboczu, rycząc i szczękając zębami? Dlaczego użalam się sama nad sobą?!

„Niech pani przestanie marnować swój czas! Każda minuta jest darem!”

Wytarłam oczy i nos, uśmiechnęłam się do dzieci i włączyłam lewy kierunkowskaz.

- Jedziemy. Zjemy coś w domu.

Jechaliśmy po głębokich kałużach. Ale pod kołami czułam twardą nawierzchnię.

Nagle wiedziałam, co mam zrobić. Nagle poczułam w sobie mnóstwo siły.

Prawdopodobnie sprawiła to myśl o Barbarze Becker. Uru-

chomiłam ostatnie rezerwy. „Niech pani nie marnuje swojego czasu! Każda minuta jest darem”.

Dodałam gazu. On na pewno jeszcze jest w domu. Czeka na mnie. Bo mnie kocha. Byłam przecież jego igłą w stogu siana. A on moją.

Ulice lśniły po deszczu, jak gdyby wzięły kąpiel. Tęcza nadał lśniła na niebie.

Dzieci bawiły się na kocu rycerzykami playmobil. Jechałam możliwie jak najszybciej. Tak jak w tych warunkach było możliwe. Nawet gdyby zamierzał się wyprowadzić, nie zdążył się jeszcze spakować. Zatrzymam go. Zatrzymam go siłą.

Nagle zyskałam pewność, że mi się to uda. Byliśmy zdrowi! Mieliśmy siebie! Żyliśmy!

Następne światła były czerwone. Ernstbercie! Zaczekaj! Nie odchódź jeszcze! Już wracam. Wracam do ciebie. Nie odchódź. Jesteśmy parą. Należymy do siebie.

Palcami waliłam o kierownicę. No, szybciej, kiedy będą zielone? Ruszyłam. Opony zapiszczały. Wzięłam ostry zakręt.

- Mamo! Dlaczego jedziesz tak szybko? - Ernie przestraszył się i łapkami objął mój podgłówek.

- Bo się spieszę!

- Dlaczego? Jedziesz znowu na lotnisko? Czy na tournée? Albo do telewizji? A może do studia kręcić serial?

- Nie, synku. Nie muszę nigdzie lecieć, nie jadę na tournée, nie jadę do studia. Nigdzie nie muszę. Wszystko jest zbędne. Muszę do domu. Do twojego ojca.

- Dlaczego on jest ojcem Erniego? - Bert nadała się. - To jest też mój ojciec!

- Wasz ojciec! - poprawiłam się i dodałam gazu. - Wasz ojciec jest najważniejszy na całym świecie!

- Dlaczego jedziesz tutaj sto dziewięćdziesiąt na godzinę? - zapytał Bert. - Przecież ojca widzisz codziennie.

- Sto czterdzieści! - odpowiedziałam. - Szybciej nie mogę.

Stary Ren wił się w swoim łożysku i połykał nadal łzy, które dane mu było przelać. W górę i w dół rzeki płynęły spokojnie szare i białe barki.

Życie toczy się dalej - pomyślałam. „Niech pani nie marnuje

swojego czasu! Każda minuta jest darem". Przecież to niemożliwe, żeby odszedł. Nie wolno mu przecież! Może napisał list pożegnalny. Odręcznie, nie na komputerze.

Tyle trudu chyba sobie zada z mojego powodu! Tym bardziej że teraz już wie, jak dobrze może być nam razem.

Może? Jak to może? Nam będzie jeszcze dobrze razem! Tego byłam pewna. Nawet jeśli on już przestał w nas wierzyć. Ale ja wierzyłam. Za nas dwoje. To nie mógł być koniec. To był dopiero początek. Nie przeżyliśmy przecież ostatniego roku na próżno.

Wzięłam następny zakręt. Z lewej strony mijałam katedrę. Na tle nieba, którego całe smugi były już niebieskie, odcinały się dwie ciemne wieże. To był pewien znak.

Rozjaśniało się. Wszystko dobrze się skończy! Katedry nie nie obali! Siła dwóch wież. Katedra stoi tutaj od zawsze. Kulisy nie są istotne.

- Mamo, mnie się robi niedobrze, gdy tak pędzisz.

Tęcza zrobiła się już jaśniejsza. Teraz. Ale było ją widać jeszcze wyraźnie. Wydawało mi się, że muszę wrócić do domu, zanim tęcza zniknie na dobre.

- Bert, weź się w garść, za pięć minut będziemy w domu!

Każda minuta jest darem. Zbyt wiele minut zmarnowaliśmy. Po prostu zmarnowaliśmy. Przeciekały nam przez palce niczym piasek w klepsydrze. Stało się tak, bo nie mieliśmy pomysłu na nasze życie. Bo nie wiedzieliśmy, co począć z czasem. A przecież mieliśmy siebie! By wspólnie żyć!

Skręciłam w naszą uliczkę. Niebo za nami było błękitne. Tęcza niemal całkiem znikła. Widać było jedynie pojedyncze smugi. I tylko wtedy, gdy się bardzo uważnie patrzyło. Nie oglądałam się za siebie. Patrzyłam przed siebie. Przypomniałam sobie, jak w przedziale sypialnym Ernstbert powiedział: „Nie patrzmy wstecz! Patrzmy przed siebie!” Uznałam wtedy, że jest to uczciwy układ i że umowa stoi.

Wyskoczyłam z auta i pobiegłam do domu.

- Ernstbercie?!

Nic. Cisza.

- Ernstbercie! Jestem! Jestem w domu! Wróciliśmy! Kocham

cię! Przyszłość należy do nas! Przysięgam ci! Góry stoją! I katedra również!

Dzieci, zdziwione moim zachowaniem, przydreptały za mną.

- Musieliśmy wysiąść drzwiami dla kierowcy! Dlaczego nie odbezpieczyłaś tylnych drzwi?

- ERNSTBERCIE! JESTEŚMY W DOMU!

Chwyciłam się poręczy schodów. Dlaczego jeszcze się nie odezwał? Dlaczego nie nadbiega? Czyżby już się wyprowadził? A może coś sobie zrobił? Dzieci schowały się w swoich pokojach.

- Co z nią?

- Najpierw jedzie jak szalona, a potem krzyczy w domu!

- Odejdź stąd!

- Posuń się, to moje miejsce! To most, który zbudowałem dziś rano z tatą.

- Nie, to jest mój most. To JA go zbudowałem dziś rano z tatą!

- Ale tata dla MNIE zbudował ten most! Ty nie umiesz budować takich fajnych mostów.

- Umiem! A właśnie, że umiem!

- A właśnie, że nie umiesz! Prawda, tato? On nie potrafi zbudować takiego fajnego mostu.

TATO? Czyżby dzieci rozmawiały z...? Czyżby był na górze? Rzuciłam się w kierunku dzieci. Był. Siedział na podłodze. Z Erniem i Bertem. I budował most. Popatrzył na mnie martwym wzrokiem. Całe popołudnie budował mosty. Podczas gdy na dworze padał deszcz. Jak gdyby niebo chciało odpokutować moje winy.

- Jesteś! - Do oczu napłynęły mi łzy. Stałam w drzwiach i czułam, jak drżą mi nogi. Nie byłam w stanie ruszyć się z miejsca.

- Tak, jeszcze jestem.

- Ja też jestem! - powiedziałam, usiłując się uśmiechnąć. Nie wyszło mi. To, co powiedziałam, zabrzmiało raczej jak skowyt, tak bardzo czułam się bezradna i nieszczęśliwa. Rozpłakałam się znowu.

Dzieci patrzyły na nas.

- Mama jechała brzegiem Renu! Sto dziewięćdziesiąt miała na liczniku! - powiedział Bert. - A za nami była tęcza.

- Naprawdę? - Ernstbert uśmiechnął się blade.

- A teraz mama płacze! - dodał Ernie. - I na murku też płakała. Czytała list i płakała.

Uklękałam, by oprzeć się o framugę drzwi.

- Barbara Becker nie żyje. To ta kobieta z hotelu. Ta, która miała taką miłą twarz. - powiedziałam.

- Tak? Nie znałem jej - odparł Ernstbert.

- Ale ja ją znałam. A czy wiesz, co ona mi powiedziała?

- Nie. Kim była Barbara Becker?

- „Niech pani nie marnuje czasu! Każda minuta jest darem” - wydusiłam z siebie, zanosząc się od płaczu.

Ernstbert popatrzył na mnie. Miał zaczerwienione oczy. Wstał, podszedł do drzwi, w których tkwiłam niczym kupka nieszczęścia, i usiadł obok mnie. Pogłaskał mnie po potarganych, klejących się włosach.

- Nie znałem tej kobiety, ale ona miała rację!

- Czy to znaczy, że zostaniemy razem? - Odwróciłam ku niemu zalaną łzami twarz.

Ernstbert kiwnął głową.

- To znaczy, że zostaniemy razem! Ale musisz zerwać z dotychczasowym życiem! Bo inaczej przestanę w ciebie wierzyć!

- Tak! - powiedziałam mocnym głosem. - Tak zrobię.

Chrząknął.

- Proponuję, żebyś się teraz przebrała. Załóż coś suchego! Zrobiłem kolację. Sałatkę z sosem z maślanki. Taką, jaką lubisz!

Po chwili przeczołgał się do dzieci, by zreperować uszkodzony most.

- Ty trzymaj tutaj! A ty z drugiej! W pojedynkę tego się nie zreperuje!

Opierając się o framugę, przesunęłam się za nim. Jakoś nie mogłam stanąć o własnych siłach. Położyłam rękę na jego karku i rozpłakałam się ponownie. Wylałam pół litra łez, moczając mu kołnierzyk. Dzieci taktownie milczały i swoimi brudnymi, zręcznymi łapkami reperowały most. Pomagały.

Ernstbert odwrócił się do mnie.

- Wykonaj jakiś ruch, który oznaczać będzie, że zaczynasz od nowa - powiedział i uśmiechnął się. - Zrób coś! Na pewno coś ci przyjdzie do głowy! Jesteś taka pomysłowa!

Uśmiechnęłam się.

- Tak! Na pewno przyjdzie mi coś do głowy!

- No co? - zapytał. - Jeśli się szybko nie przebierzesz, sałatka ostygnie! Ja zajmę się dziećmi. Mają czarne łapy! Czego dotyczyliście?

- Wielu zbędnych przedmiotów! - powiedziałam skruszona.

Podniosłam się, na ile pozwalały mi drżące nogi. Martwo patrząc przed siebie, ruszyłam w kierunku łazienki. Oczami duszy widziałam góry i katedrę. Na tle błękitnego nieba. Oświetlone promieniami jesiennego słońca. Tęczy już nie było. Ale czarnych chmur też nie. Zniknęły.

Nie posiadałam się ze szczęścia. Ze szczęścia, że mam rodzinę. I takiego męża. Takiego cudownego męża! Niesamowitego! Tego jedynego mężczyznę, na którego naprawdę rzuciłam czar. Na zawsze!

W drzwiach odwróciłam się raz jeszcze. Chciałam ten widok zapamiętać na całe życie. Wiedziałam już, co powinnam zrobić, by zacząć wszystko od nowa.

To musi być coś, co pozostanie po nas. Coś, co nas - miejmy nadzieję - przeżyje.

Poszłam do łazienki umyć sobie twarz.